



anonim

**Polowałam na
terrorystów**

Opowieść agentki CIA

Świat Książki

Spis treści

1. [Karta tytułowa](#)
2. [Jest to historia prawdziwa](#)
3. [ROZDZIAŁ 1 Ucieczka](#)
4. [ROZDZIAŁ 2 Rozwiane marzenia](#)
5. [ROZDZIAŁ 3 Tendencyjny przekład](#)
6. [ROZDZIAŁ 4 Dar al-Hidżra](#)
7. [ROZDZIAŁ 5 Incydent dyplomatyczny](#)
8. [ROZDZIAŁ 6 Piątkowe kazanie](#)
9. [ROZDZIAŁ 7 Spisek milenijny](#)
10. [ROZDZIAŁ 8 Oblicze bestii](#)
11. [ROZDZIAŁ 9 Pogoń za pieniędzmi](#)
12. [ROZDZIAŁ 10 Ptaki w ogniu](#)
13. [ROZDZIAŁ 11 Saudyjskie powiązania](#)
14. [Epilog Wiosna 2003 roku](#)

A N O N I M

**POLOWAŁAM NA
TERRORYSTÓW
OPowieść AGENTKI CIA**

(Terrorist Hunter)

Przełożyła: Szubert Małgorzata

 Świat Książki

2004



Jest to historia prawdziwa. Prawdziwa tak, jak utrzymała się w mej pamięci, a ponadto poświadczona przez różnego rodzaju źródła - dokumenty pisane, taśmy magnetofonowe i kasety wideo.

Niektóre szczegóły pozwalające zidentyfikować pewne osoby i miejsca zostały zmienione ze względów bezpieczeństwa, tak by uczestnicy wydarzeń nie stali się obiektami toczących się obecnie dochodzeń.

Jeśli pojawia się imię i nazwisko osoby lub pełna nazwa miejsca, dotyczą one osób i miejsc rzeczywistych; gdy występuje tylko imię, nie zawsze jest ono prawdziwe. Podobieństwo do osób żyjących jest natomiast w pełni zamierzone.

ROZDZIAŁ 1

Ucieczka

Dzieci wchodzą na scenę jedno po drugim, wydają się tak słodkie w czerwonych, zielonych i białych strojach. Wygląda na to, że ten występ będzie mniej ponury niż niektóre inne części konferencji. Może będzie nawet zabawny. Pragnę odmiany. Czuję, że nie potrafię zmierzyć się z żadną poważniejszą kwestią, nie teraz, nie tego wieczoru, i cieszę się z chwili wytchnienia. To był bardzo długi dzień. To były trzy bardzo długie dni i jestem zmęczona.

Występ dzieci jest częścią ceremonii zakończenia konferencji. Jak co roku organizatorzy zaplanowali trzydniowe uroczystości w okresie Świąta Dziękczynienia. Owszem, muszę pracować, ale tym razem nie zamierałam rezygnować ze świątecznego weekendu w towarzystwie rodziny - a przynajmniej nie z wieczorów. Jesteśmy więc wszyscy razem tu, w hotelowym pokoju. Cztery dni temu mój mąż Leo, troje naszych dzieci i ja wyruszyliśmy z Nowego Jorku do Chicago starą furgonetką. Podróż zajęła trzynaście godzin, ale i tak nie chciałam lecieć samolotem. Nienawidzę latania. Co prawda moja ginekolog powiedziała, że choć jestem w ciąży w samolocie nic mi nie grozi, ale i tak czułam się o wiele lepiej jadąc samochodem. I mimo że większość dnia spędzam bez Leo i dzieci świadomość, że są w pobliżu, dodaje mi pewności siebie.

Co rano budzę się wcześnie w pokoju hotelowym, by przygotować się do pracy. Jest to konieczne, ponieważ ubranie się zabiera mi niemal godzinę. Od pewnego czasu wkładam muzułmański strój, czyli moje przebranie, dwa razy w tygodniu, nadal jednak jest mi w nim niewygodnie, czuję się niezręcznie, a skompletowanie całości sprawia mi kłopoty. Walczę z pragnieniem pozostania w łóżku, moje ciało krzyczy: „Spać!”, ponieważ nienarodzona jeszcze córka odbiera mi coraz więcej energii.

Wstaję jednak, myję twarz i zaczynam przygotowywać się do tego ostatniego dnia. Teraz, ponieważ jestem tak znużona, muszę być podwójnie ostrożna i pilnować, by wszystko było jak należy, i zwrócić szczególną uwagę na detale, dzięki którym kostium robi wrażenie autentycznego, a ja nie rzucam się w oczy. Wiem, że wyglądam jak one, mówię jak one i nawet myślę jak one, ale wystarczy jedno potknięcie, jedno niewłaściwe słowo i wszystko może skończyć się katastrofą.

A teraz sprzęt nagrywający. Im bardziej staje się wymyślny i zminiaturyzowany, tym trudniej go zainstalować, a u mnie te gadżety można jedynie przymocować do ciała, pod wydatnym brzuchem. Aparat jest bardzo niewygodny, druty wrzynają mi się w podbrzusze, ale są niezbędne, zabezpieczają urządzenie rejestrujące, które nie może upaść ani się ruszać. Budzę Leo, robię ostatnie poprawki w przebraniu i schodzę na dół. Leo pojawia się kilka minut później i udając, że się nie znamy, oboje idziemy do furgonetki zaparkowanej w najdalszym końcu parkingu. Leo wiezie mnie do hotelu Ramada Plaża na przedmieściach Chicago, gdzie w tym roku odbywa się konferencja.

W salach konferencyjnych aż wrze. Jak zwykle džihad, męczeństwo, „Śmierć Żydom”, wszystkie te doskonale mi znane, nienawistne mowy. Tego dnia jednak dzieje się coś niezwykłego.

Siedzę w przepelnionym holu i nagle słyszę zgiełk z lewej strony, gdzie znajdują się mężczyźni. My, kobiety i dzieci, jesteśmy stłoczone po prawej stronie wielkiego pomieszczenia, oddzielone od mężczyzn, ponieważ taki panuje zwyczaj. Ktoś z lewej wrzeszczy: „Nie jesteś bratem! Wynocha stąd!”. Zamieram w bezruchu, zbyt przerażona, by choćby odwrócić głowę. Hałas się nasila, słychać kłótnię, odgłosy bójki, rozwścieczone głosy, kotłowanie - i wreszcie zapada cisza. Ciągłe nie mam odwagi podnieść głowy i rozejrzeć się. Muzułmańska kobieta nie powinna nigdy pozwolić sobie na wtykanie nosa w męskie sprawy. Ponadto nie mógł to być żaden z moich ludzi. Na konferencji jestem sama. Prawdopodobnie wpadł jakiś dziennikarz, ponieważ słyszę męczyzną syczące słowo „magnetofon”. Kimkolwiek był intruz, mam nadzieję, że nie został poważnie ranny. Pod czarczafem jestem bledsza niż Królowa Śnieżka.

Znów słyszę podniesione głosy. Ktoś krzyczy: „Bezczelność! Za kogo oni się uważają? Następny, którego znajdziemy, zostanie rozerwany na strzępy! Nikt nie będzie nagrywał na tej sali! Mówimy poważnie!”. Serce bije mi szybko, jestem złana potem. Modłę się Boga, by mój pot nie uszkodził wartej pięć tysięcy dolarów kamery cyfrowej i wzmacniacza magnetofonu, i by nie zdarzyło się nic złego. Wystawiać siebie na niebezpieczeństwo to jedno, ale narażać własne dziecko... to zbyt wysoka stawka. Gdybym została zdemaskowana, nigdy nie zdobyłabym się na to, by zrobić to jeszcze raz.

Reszta konferencji upływa bez specjalnych emocji. Odczyty i przemówienia są ogólnikowe, umiarkowane w tonie, na pozór pokojowe; w niczym nie przypominają wojowniczych deklaracji, jakie słyszałam wczoraj podczas piątkowego kazania. Pod koniec dnia uspokajam się, pozwalam sobie na chwilę rozluźnienia. W tej chwili niemal żałuję przyjazdu do Chicago, ale z drugiej strony materiał, który zdobyłam w ciągu trzech ostatnich dni, jest zdumiewający.

Nawet mój szef, Max, zwykle tak oszczędny w pochwałach, będzie zadowolony. Patrzę na tę muzułmańską młodzież, ubraną w jaskrawe kolory flagi palestyńskiej i gotową do odegrania swego przedstawienia, i ogarnia mnie przyjemny, błogi spokój. Z tyłu sceny mężczyźni przygotowują wielkie żółte tło. Patrzę na nie, na lśniące, żółtawe światła rampy, i chłonę oczyma kolory. Dzieciaki przypominają mi kolegów szkolnych z dzieciństwa... jakby występowały na scenie w mojej dawnej szkole... wszystko staje się żółte...

Żółte piaski na przedmieściach Basry zaczynały przybierać kolor szkarłatny dopiero wówczas, gdy wiosenne słońce powoli i majestatycznie zmierzało do linii horyzontu. O zmierzchu dominowały czerwienie i brązy. O wschodzie olśniewające barwy nikły, szybko przesuwaną się słońce zalewało światłem odległe instalacje rafinerii naftowych i malowało je lśniącym żółcieniem. Pustynia otaczająca nasze miasto była żółta. Żółte było drgające w upale powietrze, żółte było też bezchmurne niebo. Domy zbudowane z wysuszonego mułu miały kolor żółtobrązowy. Nieliczne rosnące tu krzewy były żółte, podobnie jak palmy rodzące jaskrawożółte owoce. Nawet kurczaki biegające po podwórku mojego dziadka, szczęśliwe w swej głupocie, były bardziej żółte niż białe.

Zastanawiałam się, czy mój starszy brat Ron lubi żółty kolor tak bardzo jak ja, ale nigdy go o to nie pytałam. Lubiłam myśleć o wszystkich tych żółtych rzeczach jak o własnych, zaufanych przyjaciołach; gdybym zapytała brata, wyjawiałabym swój sekret. Żółty kolor stanowił ważną część mojego dzieciństwa i bardzo wyraziście zapisał się we wspomnieniach z najwcześniejszych lat. Moje dzieciństwo można podzielić na trzy części: lata przed aresztowaniem ojca, okres po aresztowaniu i lata po wyjeździe z Iraku do miejsca, o którym nigdy nie słyszałam, mieszkając w Basrze.

Gdy pod koniec dnia wracałam z Ronem ze szkoły, cieszyły mnie wydłużone cienie, rozlewające się brązy i tajemnicze czernie nadchodzącego wieczoru. Ogromnie lubiłam żółte dni w Basrze, ale lubiłam też ciemniejsze barwy, zapowiedź wieczoru. Wieczór z kolei kojarzył się z chłodniejszym powietrzem, rodzinną kolacją i końcem lekcji. W szkole spędzaliśmy czas od ósmej rano do szóstej po południu, a gdy zbliżało się lato, stawało się to coraz bardziej męczące. Czterdzieścioro małych dzieci, stłoczonych w niewielkim pomieszczeniu o glinianych ścianach, bez klimatyzacji, piekło się przez długie godziny w pustynnym słońcu, a powietrze wypełniał ciężki zapach potu.

Brat i ja nigdy się nie skarżyliśmy, ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy szczęściami. W końcu lat sześćdziesiątych w Iraku wiele dzieci w naszym wieku już pracowało. Wykonywały zajęcia trudne nawet dla ludzi trzy razy od nich większych i cztery razy starszych. Harowały na wolnym powietrzu, w prażącym słońcu, od świtu do zmierzchu i za marne grosze po to tylko, by wieczorem dostać od rodziców lanie i trochę nędznej strawy. Ronowi i mnie się udało i wiedzieliśmy o tym. Lubiłam szkołę i byłam szczęśliwa, że do niej chodzę. Chciałam chodzić do szkoły, zanim jeszcze osiągnęłam odpowiedni wiek, mama i tata musieli więc przekonać dyrektora, że dam sobie radę. Była to prywatna szkoła, w której uczyły się przede wszystkim dzieci chrześcijańskie i kilkoro nas, Żydów. Łączyło nas to, że naszych rodziców stać było na opłacanie skandalicznie wysokiego czesnego, którego żądano w zamian za wysoki poziom nauczania. Nie było dzieci muzułmańskich. Większość rodzin nie miała na to pieniędzy, te zaś, które miały, nigdy nie wysłałyby tu swoich dzieci.

Taka separacja, zupełny brak kontaktów z miejscowymi muzułmańskimi dziećmi, była dogodna dla wszystkich zainteresowanych i od pokoleń stanowiła w Basrze tradycję. W mojej

szkole muzułmanie pracowali jako woźni, sprzątacze, kucharze i wartownicy, ale nie było wśród nich ani jednego nauczyciela. Uczyli głównie chrześcijanie, najczęściej z krajów europejskich. Mieli odpowiednie kwalifikacje i otrzymywali pensje na poziomie europejskim, dziesięciokrotnie wyższe niż Irakijczycy. Nasi rodzice chętnie płacili za edukację, w której zakres wchodziły zarówno przedmioty ścisłe, jak kultura, sztuka i języki. W wieku sześciu lat większość nas mówiła już trochę po angielsku i francusku. Do naszego świata nie miały wstępu Koran, islam, dżihad, „święte” przekonania o diabelskim i skorumpowanym świecie niemuzułmańskim. Nasi nauczyciele przybywali z dalekich stron i byli prawdziwymi światowcami. Szkoła stanowiła małą wysepkę kultury umysłowej w oceanie analfabetyzmu, nędzy i budzącego się muzułmańskiego fundamentalizmu.

Nasza żydowska enklawa w Basrze stanowiła pozostałość doskonale niegdyś prosperującej diaspory babilońskiej; społeczność żydowska w Iraku należała do najstarszych na świecie. Jak mówi tradycja, Abraham, ojciec narodu żydowskiego, urodził się w południowym Iraku, w chaldejskim mieście Ur, około czterech tysięcy lat temu. Według Biblii wszelka cywilizacja narodziła się na tej żyznej równinie Mezopotamii, w dolinach Tygrysu i Eufratu. W tym czasie, zgodnie z Księgą Rodzaju, wszyscy mieszkańcy ziemi mówili jednym językiem i znali niewiele słów. Postanowili zbudować miasto z wieżą tak wysoką, że sięgałaby nieba. Wtedy Bóg, rozgniewany ludzką pychą, pomieszał języki, żeby ludzie nie mogli się nawzajem zrozumieć. Miasto Babilon (*babel* znaczy po hebrajsku „zamieszanie”) opustoszało, a mieszkańcy rozpiechli się na wszystkie strony świata.

W VI wieku przed Chrystusem babiloński król Nabuchodonozor podbił królestwo Judei, nakazał zniszczyć pierwszą świątynię

jerozolimską i wypędził większość mieszkańców Judei do Babilonii. Przez wiele stuleci sytuacja diaspory babilońskiej pod władzą muzułmańską przedstawiała się rozmaicie, lata gwałtownych prześladowań przeplatały się z okresami względnego spokoju i znośnych warunków życia. Żydzi musieli zwykle płacić specjalne podatki zwane *dżizja*, dotyczyły ich różne restrykcje, wielu jednak powodziło się dobrze, a niektórzy osiągnęli nawet wysoką pozycję. Kondycja finansowa diaspory polepszyła się pod władzą turecką i brytyjskim mandatem, lecz gdy Irak w 1932 roku uzyskał niepodległość, położenie irackich Żydów zaczęło się szybko pogarszać.

Wiele osób zaczęło nielegalnie opuszczać kraj. W 1950 roku parlament iracki zalegalizował emigrację do Izraela i wkrótce potem Sochnut, czyli Agencja Żydowska - międzynarodowa organizacja wspierająca Izrael i emigrację do tego państwa - przy współpracy rządu izraelskiego utworzyła most powietrzny do Izraela dla około 130 tysięcy irackich Żydów. Operacja nazywała się „Ezdrasz i Nehemiasz” - dla upamiętnienia dwóch przywódców żydowskich, którzy poprowadzili wielkie rzesze wychodźców z Persji do Izraela około 450 roku przed Chrystusem - i oznaczała koniec diaspory babilońskiej. W roku 1952 w Iraku pozostało niespełna 6 tysięcy Żydów. Dziś jest ich zaledwie garstka. Najbardziej niechętni wyjazdowi byli ci, którym dobrze się powodziło. Kilkoro braci i sióstr mojej matki wyemigrowało do Europy, ale zdecydowana większość jej rodziny oraz rodziny mojego ojca była zbyt zamożna, by zdobyć się na opuszczenie kraju, tym bardziej że rząd iracki nie tylko pozbawiał tych, którzy wyjeżdżali, obywatelstwa, ale konfiskował też cały ich majątek. Cena, jaką przyszło nam zapłacić za pozostanie w Iraku, okazała się o wiele wyższa.

Głośna muzyka przywołuje mnie do rzeczywistości. Przyglądam

się dzieciom na scenie. Tańczą w tradycyjnym arabskim stylu, drepcząc i przytupując z wyciągniętymi przed siebie rękoma, ale w tym tańcu nie ma radości. Następnie wykonują nowoczesny układ muzyczno-taneczny, zatytułowany *Jak zostałem męczennikiem*.

Zaledwie tygodnie dzielą nas od końca drugiego tysiąclecia; żyjemy w czasach, kiedy ludzkość zwalczyła najgroźniejsze choroby, ujarzmiła energię atomową, uczyniła czymś zwykłym podróżę w kosmos, sporządziła mapę ludzkiego genomu. Tymczasem w hotelu Ramada Plaža na przedmieściu Chicago młodzi Amerykanie arabskiego pochodzenia popisują się, przedstawiając publiczności, jak zabijają Żydów i zostają męczennikami. Są tak młodzi, a już przepełnieni odwieczną nienawiścią. W sposobie, w jaki ukazują na scenie swój gniew, jest coś przerażającego. A ja myślałam, że to może być zabawne! Mam nadzieję, że moja kamera wciąż pracuje, ale jestem zbyt zmęczona, by zbyt długo się tym przejmować, a teraźniejszość ponownie zaczyna mieszać się z przeszłością. Moje myśli wędrują do Iraku. Jak bardzo różniliśmy się od tych dzieci na scenie, jacy byliśmy naiwni. I jak bardzo szczęśliwi.

Rozpoczęłam naukę szkolną wcześniej niż inne dzieci. Mój młodszy brat, Jonathan, był wciąż zbyt mały, by chodzić do szkoły, musiał czekać przynajmniej rok, a na razie został w domu ze swoją *naną* - czyli po prostu nianią. Ron i ja od dawna już nie mieliśmy niań - mama mówiła, że jesteśmy za duzi - ale ja wciąż swoją pamiętałam. Była miłą, starą, prostą muzułmanką, która usypiając mnie, snuła straszliwe opowieści o duchach. Z pewnością miała dobre intencje. Mówiła mi, że przed laty opowiadała te same historie swoim dzieciom. Niania zawsze próbowała mnie bronić, gdy zbyt mocno nabroiłam. Gdy weszliśmy w wiek szkolny, miejsce niań zajęli służący; opiekowali się nami dobrze, ale ja niezbyt swojego lubiłam. Brakowało mu poczucia humoru.

Ron, podobnie jak niania, starał się chronić mnie przed kłopotami, ale niewiele mógł zrobić, nie nadążał za mną. Tata mówił, że jestem diabłem wcielonym, choć wcale tak nie myślał. Sądzę, że kochał mnie bardziej niż Rona i Jonathana, mimo wszystkich moich wad - a może właśnie z ich powodu. Ojciec dużo podróżował i zawsze przywoził nam prezenty z wojaży. Gdy wyjeżdżał, męczyły mnie nocne koszmary, w których odchodził od nas i znikał na zawsze. Nigdy nie mówiłam nikomu o tych snach, a zwłaszcza matce. Bałam się, że wpadnie w furię. Bardzo kochała ojca.

Urodziłam się w Basrze i spędziłam tam pierwsze lata życia; nigdzie nie wyjeżdżałam. Basra była wówczas wielkim miastem z blisko dwoma milionami mieszkańców, największym irackim portem oraz punktem docelowym rurociągów i bardzo ważnym ośrodkiem przemysłu rafineryjnego. Podobnie jak wiele innych miejsc, gdzie występowały pokłady ropy naftowej, miasto rozkwitało. Szczyciło się wspaniałą tradycją, zostało założone, jak powiadają, przez legendarnego kalifa Umara w VII wieku, w początkach islamu. Basra zajmuje także poczesne miejsce w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* - większość zawartych tam opowieści rozgrywa się w Bagdadzie i Basrze. Właśnie z Basry wyruszał w swoje baśniowe podróże Sindbad. Moje wspomnienia z rodzinnego miasta są jednak nieco zamazane. Nie z powodu złej pamięci; przeciwnie - pamięć mam doskonałą.

Wydaje mi się, że wiele wspomnień na zawsze zatarło się w mej pamięci po aresztowaniu ojca; pozostały stare fotografie i opowieści mamy, która jest wspaniałą gawędziarką. Trudno mi już jednak odróżnić, które wspomnienia z Basry są rzeczywiście moje, a które należą do innych osób.

W latach osiemdziesiątych, gdy wraz z rodziną byłam już daleko stąd, szczęście zdawało się odwracać od Basry. Podczas wojny iracko-

irańskiej poważnym zniszczeniom uległy rafinerie. Potem przyszła wojna w Zatoce Perskiej i to, co z miasta pozostało, legło w gruzach wskutek bombardowań prowadzonych przez siły sprzymierzone, a produkcja ropy stanęła. Pod rządami Saddama Husajna Basra zmieniła się z potężnego centrum przemysłowego i handlowego w nędzną, wygłodzoną, nękaną chorobami miejscinę w południowym Iraku. Ludność miasta zmniejszyła się o przeszło połowę, a dzieci, stopniowo zatrutowane zanieczyszczoną wodą, umierają na raka. Większość kraju jest obecnie zrujnowana, nie potrafię jednak znaleźć w sobie współczucia. Irakijczycy mogli się tego spodziewać. A mnie zranili tak boleśnie. Uważam to za swego rodzaju sprawiedliwość dziejową.

Moja rodzina uważała się za szczęśliwą, ale bycie uprzywilejowanym w Iraku oznacza zupełnie co innego niż bycie uprzywilejowanym w Ameryce. Życie tam było proste i okrutne, choć nie miałam o tym pojęcia. Późną wiosną wracałam wieczorami ze szkoły, wesoła i zadowolona z życia niczym kurczaki mojego dziadka. Nieświadoma nadchodzącej burzy i tego, że nasz świat za chwilę rozpadnie się na kawałki, wołałam do Rona: „Ścigajmy się, kto pierwszy będzie w domu!”. Biegliśmy, śmiejąc się, i bez tchu wpadaliśmy do bramy, gdzie czekał na nas kamerdyner. Byliśmy szczęśliwi.

Przy kolacji mama i tata, wówczas małżeństwo od blisko dziesięciu lat, uśmiechali się do siebie. Ja również uśmiechałam się w duchu, ponieważ widać było na pierwszy rzut oka, że rodzice bardzo się kochają. Mama pochodziła z niezwykle zamożnej rodziny, należącej od wielu pokoleń do najbogatszych w Iraku. Jej ojciec mieszkał w okazałej rezydencji, w najelegantszej dzielnicy Basry, wraz z czterema żonami*[* Około roku 1000 w zachodniej Europie rabin Gerszom z Moguncji uznał, że każdy mężczyzna może mieć nie więcej niż jedną

żonę. Zasada ta nie została zaakceptowana w krajach muzułmańskich, gdyż Talmud i Koran dopuszczają, by każdy mężczyzna miał cztery żony, pod warunkiem, że potrafi zaspokoić ich potrzeby.] i dziećmi - moimi wujami i ciotkami - oraz chmarą służby. Moja babcia była ostatnią żoną dziadka i, jak utrzymywała matka, jego faworytą. Mama miała dziesięcioro rodzonych braci i sióstr oraz trzydziścioro przyrodniego rodzeństwa, a cały klan żył pod jednym, bardzo obszernym dachem. W owych czasach w Iraku wśród ludzi, którzy mogli sobie na to pozwolić, a nawet wśród tych, którzy nie mogli, dobrze widziane było jak najliczniejsze potomstwo. Dziadek, ojciec czterdziściora dzieci, żył zgodnie z duchem swoich czasów.

W gminie żydowskiej dziadek nie zajmował wysokiej pozycji, był tylko *szohetem* - rytualnym rzeźnikiem, czyli specjalistą od koszernej uboju bydła. Innymi słowy, był rzeźnikiem. Czerpał z tego pewien dodatkowy dochód, ale w żaden sposób nie mogło to stanowić głównego źródła jego bogactwa. Miał zwyczaj zarzynać kurczaki na podwórku, w obecności nas, dzieci. Czuliśmy obrzydzenie, a jego zdawała się bawić nasza odraza. Nazywał nas mięczakami i nabijał się z nas. Myślę, że lubił zabijanie. Doskonale pamiętam te brutalne sceny, żółte kurczaki miotające się w panice po podwórku i ścigającego je dziadka. Pamiętam, jak śmiał się, gdy któregoś złapał, jak obcinał wyrywającemu się ptakowi łeb i jak kilka chwil później bezgłowy tułów kurczaka biegał dookoła, a krew tryskała na wszystkie strony. Scena była surrealistyczna, przerażająca, a zarazem groteskowa, ale nie było zabawnie zostać oblanym gorącą krwią, czuć jej zapach. Wydawało mi się wówczas, że stale ocieram się o śmierć. Żółte kurczęta zamieniały się w czerwone.

Mój dziadek miał kilka żon, ale rzadko dochodziło między nimi do kłótni. Choć babcia była najukochańszą żoną, mama, młodsza od większości swoich przyrodnych sióstr, nie zajmowała wysokiej pozycji

w „porządku dziobania” obowiązującym w tym domu. Dziadek był skąpy i mama musiała uczestniczyć w pracach domowych, które powinni wykonywać służący. Musiała także pomagać w wychowaniu młodszych braci i sióstr. Była jednak zadowolona, ponieważ ani ona, ani większość pozostałych domowników nie oczekiwali od życia niczego innego. Gdy mama skończyła osiemnaście lat, wybrała na męża najbliższego sąsiada, młodego, przystojnego, bogatego i wpływowego biznesmena. Znali się bardzo dobrze, wiedzieli o sobie wszystko i byli bardzo zakochani. Postanowienie mamy musiało być trzymane w sekrecie, dopóki ojciec nie porozmawia z dziadkiem, gdyż zgodnie z ówczesnym obyczajem decyzja nie należała do panny młodej. O małżeństwie decydowali przyszły pan młody i ojciec narzeczonej. Ona nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Podobnie jak w przypadku każdej transakcji handlowej, trzeba było wynegocjować układ, narzeczony musiał udowodnić, że stać go na utrzymanie żony, a ojciec narzeczonej - dać odpowiedni posag. Zgodnie z tradycją narzeczonego oceniano po tym, jaką reputację ma jego rodzina. Ponieważ pozycja społeczna rodzin ojca i matki była równa, porozumienie osiągnięto bez trudu.

Po ślubie mama i tata przeprowadzili się do domu stojącego w pobliżu miejsca, w którym dorastali - nie tak dużego, jak dom mojego dziadka, ale nowszego i eleganckiego. Była tam klimatyzacja, nowoczesne udogodnienie rzadkie w tych czasach w Iraku, takiego urządzenia nie było nawet w rezydencji dziadka. Mama prowadziła dom, a wszystko robili służący. Koniec z ciężkimi pracami, koniec z wykonywaniem poleceń - i żadnego ryzyka, że tata weźmie sobie inne żony. Mój ojciec różnił się bardzo od dziadka. Był miły, uprzejmy, zawsze spokojny, zawsze uśmiechnięty.



Ron urodził się wkrótce po ślubie - wkrótce to znaczy trochę więcej niż rok. W tamtych czasach w Iraku narodziny dziecka wcześniej niż dziewięć miesięcy po weselu były nie do przyjęcia i mogły mieć poważne konsekwencje. Niespełna dwa lata po Ronie urodziłam się ja, a po kolejnych dwóch latach pojawił się na świecie Jonathan. Ron i Jonathan byli podobni do ojca - spokojni, grzeczni, wspaniałe dzieci. Ja z kolei miałam w sobie nieco więcej z dziadka. Należałam do dzieci, które zwykło określać się słowem „żywe” i za pomocą wielu innych przymiotników, najczęściej równie eufemistycznych: wyjątkowo niesforne, psotne, śmiałe, ruchliwe, ciekawskie, nieposłuszne, obdarzone bujną wyobraźnią, niegrzeczne, zadziorne. Dla irackiej socjety z lat sześćdziesiątych żadna z tych cech była nie do przyjęcia u uroczej, małej dziewczynki z czarnymi warkoczykami.

Wkrótce zostałam regularną pacjentką pogotowia ratunkowego i tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu obyło się bez poważniejszego uszczerbku na zdrowiu. Wypiłam wielką butelkę perfum. Postanowiłam uratować płonące kłody z pożaru; kłody ocalały, ale poważnie poparzyłam rękę. Na szczęście jeden ze służących wyciągnął mnie z ognia, zanim całkiem się usmażyłam. Oparzenia goiły się długo, ale nie pozostały po nich blizny. Następnie zabrałam się do połykania gwoździ, całej garści żelaznych gwoździ. Pewnego razu schowałam się w szafie i uznałam, że to bardzo śmieszne widzieć rodziców szalejących z niepokojem i wzywających policję, by przeprowadziła śledztwo w sprawie porwania córki. Innym razem, ukryta w bieliźniarce, rozgryzłam kilka kulek naftaliny. Ten ostatni

wyczyn był, patrząc z perspektywy czasu, doskonałym sprawdzianem, czy cierpię na niedobór G6PD. Niedobór ten jest powszechnym na Środkowym Wschodzie zaburzeniem genetycznym, które może powodować zniszczenie komórek krwi po zjedzeniu na przykład bobu lub substancji takich jak naftalina. Najwyraźniej mam ten gen, przekazałam go obu moim synom i nie narzekam na zdrowie. To mogła być ostatnia moja sztuczka, ale po niej nastąpiło jeszcze wiele, wiele innych.

Biedny tata. Wypracował dramatyczny sposób reagowania na takie incydenty. Ilekroć przyłapał mnie w niebezpiecznej sytuacji, mdlał. Mama nie mogła sobie na to pozwolić. Już i tak była bez przerwy zajęta pilnowaniem swojego diablęcia.

Co we mnie siedziało? Czy była to zwykła ciekawość świata, czy może chciałam zwrócić na siebie uwagę? Nie mogłam narzekać na brak zainteresowania ze strony rodziców. Oboje bardzo mnie kochali, a ja o tym wiedziałam. Nigdy nie byłam zazdrosna o Jonathana, ponieważ miał nianię, która się nim opiekowała, a mama mogła spędzać ze mną aż nadto wiele czasu. Czy nie mogłam poradzić sobie z ciemną stroną mojej natury, czy po prostu kierowała mną chęć spróbowania owocu zakazanego? Po części było to nadużywanie dobroci i wyrozumiałości rodziców, którzy zawsze byli wdzięczni losowi za to, że po raz kolejny przeżyłam. Mój talent do płatania zupełnie nieprzewidywalnych i niebezpiecznych figli - często tuż pod nosem rodziców i bacznie mnie pilnującej służby - rozwinął się w całej pełni, gdy skończyłam cztery lata. Wtedy także zaczęłam w końcu mówić. Nie znaczy to, że wcześniej nie można się było ze mną porozumieć: przedtem po prostu nie czułam, że mam coś ważnego do powiedzenia. A może nie było nic, na co mogłabym się skarżyć. Mama prowadziła mnie do rozmaitych lekarzy, ale żaden nie potrafił orzec, co jest ze mną nie w porządku. Powtarzali, że zacznę mówić,

gdy będę na to gotowa, i mieli rację. Kiedy już zaczęłam, nie mogłam przestać. Do dziś nikt nie może mnie powstrzymać, gdy mam coś do powiedzenia.

Bez względu na to gdzie, kiedy i dlaczego, potrzebuję tylko kilku minut, by znaleźć się w centrum uwagi, zainteresowania, rozmowy. Początkowo nie zdawałam sobie z tego sprawy. Pewnego razu jednak, w czasach gdy spotykałam się z Leo, zauważył on, że na przyjęciu, z którego właśnie wróciliśmy, wszyscy skupili się w dużym kręgu wokół mnie i słuchali tego, co mówię. Zaczęłam uważnie się przyglądać i rzeczywiście okazało się to prawdą. Na wszelkiego rodzaju spotkaniach niewiele trzeba było czasu, by wszyscy zaczynali gromadzić się koło mnie. Lubiłam być w centrum uwagi i stało się to dla mnie niejako naturalne. Niestety, w moim zawodzie cecha ta mogła okazać się śmiertelnie niebezpieczna. Wiele lat zajęło mi nauczenie się, jak pozostać niezauważoną, wmieszać się w tłum, niepostrzeżenie zniknąć, trzymać buzię na kłódkę.

We wczesnym dzieciństwie trzymanie buzi na kłódkę nie należało jednak do moich umiejętności. Pewnej nocy, latem, spaliśmy wszyscy, włącznie z mamą i tatą, w domu dziadka, co często nam się zdarzało. Lubiliśmy tam bywać ze względu na babcię; była ona jedną z najmiłszych, pełnych ciepła osób, jakie kiedykolwiek znałam. W domu dziadka nie było klimatyzacji, dlatego latem, gdy nocne powietrze stawało się gęstsze niż masło, spaliśmy na dachu. Dom był stary, ale zbudowany z prawdziwego kamienia, nie z mułu jak chaty, w których mieszkała większość Irakijczyków. Ale forteca, myśleliśmy; będzie trwała wiecznie. Podobnie jak wiele innych rzeczy w naszym życiu, nie przetrwała.

Tej nocy spaliśmy na dachu wszyscy - moi rodzice i rodzeństwo, rodzina dziadka, kilkoro kuzynów, ciotek, wujków, część służących. We śnie słyszałam huk grzmotu, potem nadeszła burza piaskowa, a

po chwili ujrzałam biblijną scenę z Księgi Ezechiela, tę z wysuszonymi kośćmi. Myślałam, że - tak jak uczono nas w szkole - kości ożyją i spuszczą mi łanie... a potem się obudziłam i przekonałam, że to nie był sen. To była prawdziwa burza piaskowa. Dach się zapadł!

Oddychałam z trudem, nie widziałam mamy ani taty, nic nie widziałam wśród kurzu spowijającego rumowisko. Wszyscy krzyczeli. Ogarnął mnie paraliżujący strach: gdzie jest Jonathan? To przecież jeszcze dziecko! Wśród krzyków krewnych i służby usłyszałam płacz brata. Potykając się, przebrnęłam przez gruzy i znalazłam go. Był cały i zdrowy, nic mu się nie stało. Dzięki Bogu, wszyscy przeżyli upadek, wyszli tylko z tego z niewielkimi stłuczeniami i siniakami. Uśmiechnęłam się do Jonathana i wzięłam go na ręce, a on uśmiechnął się do mnie. Zorientowałam się już, co się stało, i gdy tak siedziałam z malutkim bratem na kolanach, cała sytuacja nagle wydała mi się niewiarygodnie śmieszna. Zaczęłam chichotać. Jonathan, spokojny w moich ramionach, także się zaśmiał. Zrobiło się jeszcze weselej i teraz już zanosiałam się śmiechem.

Dziadek tymczasem kipiał z wściekłości. Ponieważ konstrukcja dachu się załamała i wszystko groziło zawaleniem, dziadek przejmował się raczej kosztami naprawy niż naszym zdrowiem. Mój histeryczny śmiech do reszty wyprowadził go z równowagi. Zaczął mnie gonić niczym jednego ze swoich kurczaków. Tata go powstrzymał, ale potem nie zdołał się opanować i też wybuchnął śmiechem. Wkrótce wszyscy się zarykiwali. Dziadek, blady ze złości, był przekonany, że mam coś wspólnego z tym wypadkiem, choć sama myśl o tym, że mogłabym uszkodzić konstrukcję i sprawić, że stary dach załamał się pod ciężarem gromady śpiących osób, była wręcz śmieszna. Dopiero gdy tata obiecał partycypować w kosztach naprawy, dziadek się uspokoił.

Mimo incydentu z dachem i moich licznych wizyt na pogotowiu życie naszej rodziny zdawało się płynąć spokojnym, przyjemnym nurtem. Tata był *tadżir*, kupcem, właścicielem doskonale prosperującego przedsiębiorstwa handlowego. Coraz częściej podróżował w interesach, a rezultatem tych wyjazdów było polepszenie się naszej sytuacji finansowej.

Życie toczyło się spokojnie, ale gdzieś tam rozwijały się załężki nieuchronnie nadciągającej katastrofy. A może byliśmy tylko zbyt ślepi, by dostrzec, co się święci. Nie widzieliśmy, że nieszczęście wisi w powietrzu.

Chrześcijanie i Żydzi zawsze potrafili przetrwać w krajach arabskich i innych krajach muzułmańskich tolerowani przez nietolerancyjną większość. Podobnie jednak, jak tornada zagrażają Kansas, a głód jest zmorą Afryki, życiu niemuzułmanów w Iraku i większości krajów arabskich zawsze towarzyszyła groźba zamieszek, pogromów i mordów. Niemuzułmanie byli obwiniani o wszelkie nieszczęścia spadające na kraj. Czuliśmy się Irakijczykami, ale nie byliśmy prawdziwymi Irakijczykami. W dobrych czasach, gdy w regionie panował spokój, łatwo było zapomnieć, po jak grząskim i zdradliwym gruncie stąpamy. Myśląc o przeszłości, często powtarzamy: „Trzeba było zrobić to i to”, „można było coś zrobić” czy „a nie mówiłem”. Ludzie zawsze jednak błędnie odczytywali oczywiste zapowiedzi nadchodzącego kataklizmu: upadku cesarstwa rzymskiego, holocaustu, Pearl Harbor, 11 września. Rozważania po fakcie wskazują, że wszystkie te katastrofy można było przewidzieć i wszystkim zapobiec. Podobnie jak większość ludzi, ojciec próbował zachowywać optymizm, rozpatrywał sytuację w kategoriach własnych pojęć moralnych - i chował głowę w piasek, wcale nie zdając sobie z tego sprawy. Myślał prawdopodobnie: to nie do wyobrażenia, to się nigdy nie zdarzy.

Ale to się zawsze zdarza.

Wydarzenia czerwca 1967 roku zapoczątkowały tragedię mojej rodziny. Byłam wówczas mała i nic nie wiedziałam o polityce w tym regionie; przed rokiem 1967 w moim domu nie wspomniano nawet o Izraelu. Za naszą ojczyznę uważaliśmy Irak. Dopiero wiele lat później przeczytałam o tym, co się działo i jak głęboko sięgały korzenie ówczesnych wydarzeń. 14 maja 1948 roku Izrael ogłosił niepodległość. Armie siedmiu krajów arabskich natychmiast podjęły zmasowany atak na izraelskie granice, zbombardowano miasta. Azam Pasza, ówczesny sekretarz generalny Ligi Arabskiej, publicznie wyjawiał cele inwazji: „Ta wojna doprowadzi do całkowitej zagłady, to będzie rzeź, którą będzie się wspominać jak rzezie mongolskie i krucjaty”. Nowo powstałe państwo walczyło o życie i zdołało, mimo znacznej przewagi liczebnej nieprzyjaciół, nie tylko zwyciężyć, lecz także zająć niektóre terytoria egipskie i jordańskie. Oba te kraje, a także Syria, Liban i Irak, nigdy nie zamierzały przebaczyć ani zapomnieć takiego upokorzenia.

Gamal Abdel Naser (Dżamal Abd an-Nasir), pierwszy prezydent Egiptu, uważany za bohatera narodowego nacjonalista, który objął władzę po obaleniu króla Faruka, w 1964 roku powiedział w Zgromadzeniu Narodowym Zjednoczonej Republiki Arabskiej: „Niebezpieczeństwo ze strony Izraela tkwi w samej jego egzystencji i we wszystkim, co ten kraj reprezentuje”. Nic dodać, nic ująć. Niezadowolenie świata arabskiego nie wiązało się z kwestią Palestyny i uchodźców ani z okupacją ich terytoriów od 1948 roku; nie było wynikiem sojuszu Izraela ze Stanami Zjednoczonymi, podczas gdy wszystkie kraje arabskie opowiedziały się po stronie Związku Radzieckiego. Prawdziwa przyczyna niezadowolenia leżała po prostu w samym fakcie istnienia Izraela, kraju młodego, nowoczesnego, żarliwie demokratycznego i - co najgorsze -

zapatrzonego na Zachód i reprezentowane przezeń wartości, wolność i postęp. Dla graniczących z Izraelem państw arabskich akceptacja jego istnienia mogłaby oznaczać zaproszenie do katastrofy. Katastrofy, która doprowadziłaby do ogolenia bród przez mężczyzn, pokazywania się kobiet w miejscach publicznych z odsłoniętymi twarzami i co gorsza do tego, że kobiety nauczyłyby się czytać, a w końcu - Allahu Miłościwy! - do sprzedaży hamburgerów McDonald'sa na każdym rogu ulicy. Koniec świata! Izrael był dla Arabów tym, czym Stany Zjednoczone dla Al-Ka'idy: symbolem wolności wyboru, postępu technologicznego, społeczeństwa opartego na równości, sprawiedliwości i wolności słowa. Izrael musiał zostać zniszczony, zanim takie bezbożne pomysły rozprzestrzenia się na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

W Stanach Zjednoczonych dostaliśmy straszliwą lekcję terroryzmu 11 września. Wskutek terroryzmu cierpi wiele krajów, między innymi Wielka Brytania, Hiszpania, Indie, niekiedy trwa to od wielu lat. W Izraelu jednak terroryzm był częścią codziennego życia, zanim jeszcze powstało państwo. Później, w połowie lat sześćdziesiątych, terroryści finansowani i wspierani przez kraje arabskie, uderzali coraz częściej. W ciągu niespełna dwóch lat przeprowadzili ponad sto zamachów, których ofiarami padli niewinni ludzie. Jednocześnie zaczęły narastać nastroje wojenne. Na północnej granicy Izraela galilejskie wsie były ostrzeliwane ze wzgórz Golan przez Syryjczyków. W Egipcie Naser podburzał tłumy, wygłaszając oświadczenia w rodzaju: „Gdy wejdziemy do Palestyny, ta ziemia nie będzie już pokryta piaskiem, zostanie skąpana we krwi” czy „Przywrócenie pełni praw ludności Palestyny oznacza całkowite zniszczenie Izraela. [...] Naszym bezpośrednim celem jest umocnienie siły militarnej. Nasz cel narodowy to unicestwienie Izraela”. Wojska egipskie wkroczyły na półwysep Synaj i przegrupowały się na granicy izraelskiej, natomiast

armia syryjska przygotowywała się do walki na wzgórzach Golan. Naser wyrzucił z Synaju oddziały ONZ. Hafiz al-Asad, ówczesny syryjski minister obrony, oświadczył, że „armia syryjska trzyma palec na spuście i jest zjednoczona. [...] Nadchodzi czas walki i zniszczenia”. Dwudziestego drugiego maja 1967 roku Egipt, gwałcąc przyjętą przez ONZ konwencję o wodach terytorialnych i terenach przygranicznych, zaminował wejście do zatoki Akaba, odcinając okrętom izraelskim dostęp do Morza Czerwonego. Izrael miał prawo tranzytu na mocy rezolucji ONZ, popartej przez siedemnastu członków tej organizacji. Celem wprowadzonej przez Egipt blokady było odcięcie dostaw ropy do Izraela. Trzydziestego maja pakt z Egiptem podpisał król Jordanii Husajn. Prezydent Iraku, Abd ar-Rahman Arif, przystąpił do sojuszu wojskowego, ogłaszając: „Istnienie Izraela jest pomyłką [...] nasz cel jest jasny - wykreślić Izrael z mapy”. Kuwejt, Algieria, Arabia Saudyjska i Irak wysłały wojska i sprzęt wojskowy na front. I podczas gdy Stany Zjednoczone pod rządami prezydenta Lyndona Johnsona oraz Francja, inny ważny w tym czasie dostawca sprzętu wojskowego, nałożyły embargo na dostawy broni do Izraela, Rosjanie dostarczali wielkie ilości uzbrojenia krajom arabskim.

Wczesnym rankiem w poniedziałek 5 czerwca 1967 roku lotnictwo izraelskie przypuściło atak na egipskie lotniska wojskowe. W ciągu trzech godzin siły powietrzne Egiptu przestały istnieć. Podczas nalotu królowi Husajnowi przekazano wiadomość, że Izrael nie wystąpi pierwszy przeciwko Jordanii. Gdy jednak jordańskie radary namierzyły samoloty izraelskie wracające z Egiptu, Jordańczycy otrzymali od Egipcjan zapewnienie, że są to egipskie samoloty lecące na Izrael. Opierając się na tej informacji, Jordania zdecydowała się ostrzelać zachodnią Jerozolimę, a duże siły jordańskie natarły na główną siedzibę ONZ w Jerozolimie. Izraelczycy odpowiedzieli tego samego dnia, bombardując jordańskie lotniska, na których samoloty

ciągle czekały w pogotowiu; i lotniska, i samoloty przestały istnieć. Podczas tego uderzenia unicestwiono także ponad dwie trzecie lotnictwa syryjskiego i dziesięć myśliwców irackich. W ciągu jednego dnia siły powietrzne Izraela zniszczyły więc ponad czterysta nieprzyjacielskich samolotów, zdobywając całkowitą przewagę w powietrzu w regionie Bliskiego Wschodu. W zażartych walkach na ziemi, które także trwały jeden dzień, Izrael zajął całą Jerozolimę.

Wszystkie walki zakończyły się zaledwie w sześć dni, a wojna, która przeszła do historii jako wojna sześciodniowa, zakończyła się całkowitym zwycięstwem Izraela i najbardziej upokarzającą klęską armii arabskich w dziejach. Izrael okupował teraz cały półwysep Synaj i całą dolinę Zachodniego Jordanu, później nazwaną Zachodnim Brzegiem. Co najważniejsze, święte miasto Jerozolima zostało „wyzwolone” lub „przyłączone” - w przekonaniu Izraelczyków - lub znalazło się pod „okupacją” - w przekonaniu wszystkich innych mieszkańców regionu. Izrael posiadał teraz trzykrotnie więcej terytoriów niż tydzień wcześniej.

Zawierucha nie oszczędziła też Iraku: stracił nie tylko dziesięć myśliwców, lecz także dwa pułki wojska wysłane na pomoc arabskim braciom; oddziały irackie zostały zatrzymane w drodze na front i rozbite. Żołnierze rozpierzchli się, porzucając podczas szaleńczej ucieczki broń, a nawet gubiąc buty.

Po wojnie antysemityzm, na Bliskim i Środkowym Wschodzie zawsze czający się pod powierzchnią, eksplodował z całą siłą. Arabowie nie mogąc pokonać państwa żydowskiego, na swych bezbronnych żydowskich sąsiadach brali odwet w stylu talibów. Setki Żydów w krajach arabskich padło ofiarą brutalnych ataków, gwałtów, linczów. Saddam Husajn był wówczas szefem bezpieczeństwa partii Baas, która wkrótce potem przejęła władzę w Iraku. Już wtedy miał reputację człowieka ambitnego i

bezwzględnego; w ciągu trzech lat pozbawił wpływów swego kuzyna, sekretarza generalnego partii, i został władcą kraju. W tamtym jednak momencie musiał uporać się z niemałym zagrożeniem dla swej kariery - musiał ratować twarz. Rozbicie oddziałów irackich było szczególnie upokarzające i mogło zniszczyć prestiż tego egomaniaka. Nie dbał o to, ilu żołnierzy straciło życie, był wściekły z powodu klęski. Naprawdę wściekły. Ogłosił, że wojsko zostało zdradzone, a on zamierza znaleźć zdrajców. Wielu Irakijczyków natychmiast mu przyklasnęło, a wygłaszane powszechnie opinie oznaczały tylko jedno: dla odbudowania dumy narodowej musi poleć się wiele żydowskiej krwi.

Tata był idealnym kozłem ofiarnym. Nawet bez wojny Saddam i jego banda mieli dość powodów, by nienawidzić takich jak on. Był młody, bogaty, szanowany. Jego firma kwitła. Miał wspaniałą rodzinę i wielu przyjaciół w rządzie, armii, wszędzie. Niektóre znajomości ciągnęły się od czasów szkoły podstawowej; niekiedy bliskie więzi między rodzinami trwały od dwóch pokoleń. Przyjaciele ojca zajmowali ważne stanowiska we władzach miejskich i państwowych, w sądownictwie; jeden z nich był na przykład szefem policji w Basrze. Ludzie ci znali wiele ważnych tajemnic, przyjaźń mojego ojca z nimi łatwo więc było zinterpretować jako przykrywkę dla działalności szpiegowskiej. Było to bardzo wygodne, a tata stanowił łatwy cel dla żądnej krwi Saddama.

Siedemnastego lipca 1968 roku oficerowie z partii Baas dokonali zamachu stanu i objęli władzę w Iraku. Przywódcami narodu zostali Saddam Husajn i jego kuzyn Ahmad Hasan al-Bakr. Przewrót przebiegi względnie bezkrwawo, ale jego następstwem okazał się terror zmierzający do zlikwidowania wszelkiej opozycji. Codziennością stały się zabójstwa, egzekucje, tortury, fikcyjne procesy sądowe. Aby odwrócić uwagę opinii publicznej od gwałtów

i przemocy, bez których nowy reżim nie mógł istnieć, junta wojskowa „odkryła” spisek szpiegowski. Większość ujętych wówczas szpiegów stanowili Żydzi.

Pewnego popołudnia drzwi naszego domu zostały wyłamane, z ciemnoniebieskiego volkswagena wysypali się oficerowie, wpadli do domu i aresztowali ojca. Wyrwali transformator klimatyzatora i oznajmili, że jest to nadajnik szpiegowski. Pamiętam - tak dobrze, jakby stało się to dziś - każdy szczegół tej upiornej sceny. Ten dzień zakończył pierwszy etap mojego dzieciństwa, zamknął pierwszą fazę mojego życia.

Po aresztowaniu taty zaczęły nawiedzać mnie męczące sny, a najczęściej po prostu koszmary. Nawet dziś nocą i podczas czuwania prześladują mnie te wizje. Nazywam to darem Józefa. Takie sny miewałam być może już wcześniej, ale zwróciłam na nie uwagę z pewnością dopiero po zniknięciu taty. Przedtem nie zdawałam sobie sprawy, co ten dar oznacza.

Józef z Księgi Rodzaju miał prorocze sny i potrafił interpretować sny innych ludzi, przewidzieć zawartą w nich przyszłość. Z powodu tego daru Józef, najmłodszy z dwunastu braci, był ulubieńcem swego ojca, Jakuba, który chcąc to okazać, kupił mu piękną, wielobarwną szatę. Nienawiść starszych braci się nasilała, a wzrosła jeszcze bardziej, gdy Józef zaczął miewać sny przepowiadające mu wspaniałą karierę. Wówczas oślepieni zazdrością bracia sprzedali Józefa w niewolę. Wywieziono go do Egiptu, gdzie po wielu perypetiach został uwolniony z więzienia dzięki swemu darowi i stał się najpotężniejszym człowiekiem w państwie. Jego sny się spełniły.

Dzień, w którym aresztowano ojca, był jak dzień sprzedania Józefa w niewolę - zrujnował moje życie, ale sprawił, że stałam się osobą, którą jestem dzisiaj. Teraz wiem, że ojciec, wraz z blisko stu innymi irackimi Żydami, został zatrzymany i oskarżony o szpiegostwo na

rzecz Izraela. Wtedy jednak rozumiałam tylko, że musiało stać się coś strasznego, ponieważ ojciec zniknął, a mama nigdy o tym z nami nie rozmawiała. I ponieważ Jonathan, wiedziony dziecięcą intuicją, w przeczuciu zbliżającego się nieszczęścia próbował odpychać oficerów. Próbował bronić taty. Pamiętam, jak niespełna czteroletni chłopiec został rzucony na żelazną poręcz, jak upadł z otwartą raną głowy, zalewając krwią marmurową podłogę, jak kurczowo trzymał się ojca i nie pozwalał go zabrać. I jak próbował okładać oficerów piąstkami. Ciągle słyszę głuchy huk, z jakim jego głowa uderzyła o poręcz. Chciałabym, by Bóg pozwolił mi zapomnieć tę scenę, ale wiem, że nic z tego. Jonathan z dumą obnosi bliznę na głowie, tuż pod linią włosów. Wszyscy zostaliśmy poranieni tego dnia; choć moich blizn nie widać na zewnątrz, noszę je w duszy. Moja misja, determinacja, to, co robię teraz w życiu, i to, o czym jest ta książka, są rezultatem tamtych wydarzeń. Moje powołanie to spuścizna, dziedzictwo przekazane mi przez ojca.

Tata zniknął, a moi bracia i ja nie mieliśmy pojęcia, gdzie go zabrano. Gdy pytaliśmy mamę, nie umiała dać nam jasnej odpowiedzi i zaczynała płakać, przestaliśmy więc zadawać pytania. Prawie cała służba odeszła, a mama, która nigdy wcześniej nie wychodziła na długo, spędzała teraz większość czasu poza domem, mimo że była w czwartym miesiącu ciąży z moją siostrą. Wychodziła wcześniej rano, wracała późno wieczorem i całe noce płakała. Babcia przeprowadziła się do nas, mimo sprzeciwu dziadka, i ze wszystkich sił starała się nam pomóc. Wtedy właśnie stałyśmy się sobie bliskie. Najżywsze wspomnienia z tego strasznego okresu mojego życia związane są z babcią, delikatnie czeszącą moje włosy, splatającą je w warkocze, przytulającą mnie mocno. Była zawsze pełna współczucia i gotowa do pomocy. Nawet teraz, gdy odwiedza mnie w snach, zawsze jest uśmiechnięta.

Mama chwyciła się wszelkich sposobów, by ratować tatę; nie bacząc na nic, wydeptywała wszystkie możliwe ścieżki, wykorzystywała najśłabszy cień szansy, by udowodnić niewinność taty. Moźni przyjaciele natychmiast go opuścili, a nawet donosili na niego, obawiając się podobnego losu. Niektórzy może nawet wierzyli, że naprawdę był winny zbrodni, o które go oskarżano. Mama próbowała nawiązać kontakt z tymi znajomymi ojca, których sama dobrze знаła. Jedni odmawiali od razu, inni szukali rozmaitych wykrętów, by się jej pozbyć. Pewien osobnik, który mienił się bliskim przyjacielem taty, brat członka rządu, zgodził się z nią spotkać. Bezwstydnie próbował wykorzystać sytuację i zgodził się pomóc kobiecie w widocznej ciąży w zamian za pewne „przysługi”. Mama zrobiłaby wszystko dla ratowania ojca, ale zorientowała się, że ktoś tak podły wykorzystałby ją tylko i nic później nie zrobił. Rozwścieczona opuściła dom tej świni, przeklinając jego i jego potomstwo. Musiała także mieć coś w rodzaju daru Józefa, ponieważ niewiele później pozornie zdrowy mężczyzna doznał rozległego udaru i umarł w cierpieniach. Zostawił swój majątek pięciu synom, którzy zaczęli walczyć między sobą o schedę po ojcu; jeden brat został zabity, dwaj inni trafili do więzienia. Osobliwym zrzędzeniem losu znaleźli się w tym samym więzieniu, w którym początkowo trzymano ojca. Czwarty z braci został później doradcą Saddama, wykonał zły ruch i jego pracodawca osobiście go zabił. Zaszczytna śmierć. Wkrótce potem ostatni z piątki, obawiając się, że zostanie powiązany ze „spiskiem” brata, odebrał sobie życie.

Tata został przeniesiony do Bagdadu, a w ślad za nim trafiliśmy tam i my. Mamę, moich braci, babcię - która nie musiała wyjeżdżać, ale nie chciała nas opuścić - i mnie umieszczono w areszcie domowym w małej chacie w Bagdadzie. Władzom irackim nie starczyło aresztowanie ojca. Zabrano nam wszystko, od pieniędzy po

rzeczy osobistego użytku. W chacie, w której nas umieszczono, była tylko jedna izba i mała sień. Z tyłu, w miejscu podwórza, rosły cierniste krzewy, na które wychodziło małe okno izdebki. Od frontu biegła ruchliwa droga; mogliśmy ją oglądać przez okno zaopatrzone w stalowe kraty. Chata zbudowana była z kamienia, miała betonową podłogę i przypominała ponury, ciemny loch. Stała w dzielnicy zamieszkałej przez biedną ludność muzułmańską, dość blisko centrum, zaledwie kilka przecznic od gmachu irackiego Ministerstwa Obrony, gdzie trzymano więźniów politycznych. Budynek strzegli całą dobę, na trzy zmiany, umundurowani agenci tajnej policji. Nikt w najbliższej okolicy nie wiedział przypuszczalnie, kim jesteśmy, choć sąsiedzi musieli się domyślać, gdyż nasze nagłe pojawienie się i niezwykła aktywność policji, która nieustannie kręciła się wokół naszego domu, nie należały do rzeczy zwykłych. Byli bardzo ostrożni, żaden z sąsiadów nawet z nami nie rozmawiał.

Mama nadal wychodziła prawie co dzień, a za nią szedł jeden z funkcjonariuszy. Nie wiedzieliśmy, dokąd się udaje; żyliśmy w ciągłym napięciu związanym nie tylko z aresztem, w którym się znaleźliśmy, ale przede wszystkim z koniecznością chodzenia do państwowej szkoły, do której codziennie eskortował nas strażnik. Dla nas, dzieci, ta zmiana, przejście od zupełnej swobody, dużego domu ze służbą i szczęśliwej rodziny do zamknięcia w tej ciasnej klatce, była druzgocąca. Wkrótce jednak dotarło do mnie, że nie ma gorszego piekła niż szkoła, ponieważ tam dostałam pierwsze lanie w życiu. Mimo charakteru odziedziczonego po dziadku i ciągłych psot nigdy wcześniej nie byłam bita. W domu dostawałam od czasu do czasu symbolicznego klapsa, a w światłej szkole w Basrze kary cielesne były absolutnie zakazane. Nie miałam pojęcia, że w tej nowej szkole w Bagdadzie, gdy któryś z uczniów zrobił coś nie po myśli nauczyciela, zwykłą praktyką było ustawianie całej klasy w

szeregu i bicie dzieci linijką po palcach, jednego po drugim. Nauczyciele mogli używać siły do woli i tak właśnie robili.

Przez kilka pierwszych dni w nowej szkole ośmielałam się zadawać nauczycielce pytania, jeśli czegoś nie rozumiałam. Na fatalne rezultaty nie trzeba było długo czekać. Nauczycielka, czekająca tylko na właściwy moment, przyskoczyła do mnie z linijką i biła mnie po głowie, twarzy, palcach, krzyżąc: „Tu nie ma miejsca dla córek szpiegów, śmierć wszystkim zdrajcom!”. Dzieci w klasie śmiały się, rozbawione, i waliły pięściami w ławki. Ktoś mnie opluł.

Czułam się upokorzona. Zrozumiałam, że skoro muszę co dzień przychodzić do tej klasy, powinnam od tej pory starać się nie zwracać na siebie uwagi, by nie dać nikomu powodu do napaści. Gdy tego wieczoru mama wróciła do domu, jej twarz także była opuchnięta i sina, a na rękach widać było ślady razów. Przytuliła mnie i obie płakałyśmy. Najgorszy w tym wszystkim nie był ból, upokorzenie i strach - byłam silna, wiedziałam, że przetrwam ten koszmar. Najgorsze było to, co nauczycielka powiedziała o tacie: że jest szpiegiem i zdrajcą. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że ojciec jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Zbyt młoda i zbyt obojętna tym wszystkim potrzebowałam sporo czasu, by zrozumieć, dlaczego mama wraca po nocach ze śladami na rękach, twarzy i kto wie, gdzie jeszcze. Gdy ją w końcu o to zapytałam, uciekła się do wykrętów, w które nie uwierzyłby nawet drugoklasista. Po latach zrozumiałam, przez co przeszła. Każdego dnia, który spędziliśmy w szkole, próbowała ratować mojego ojca. Jak próbowała! W więzieniu tata był przesłuchiwany i „przekonywany” - to stary, dobry iracki sposób nakłaniania więźnia, by przyznał się do winy. Tata odmawiał, wiedząc, że przyznanie się oznacza wyrok śmierci. Był po barbarzyńsku torturowany. Wyrwano mu paznokcie i wybito zęby, poddawano go wstrząsom

elektrycznym, podłączając elektrody do genitaliów, bito go i głodzono, pozbawiano snu. Powiedziano mu, że inny więzień go zdradził i wszystko opowiedział władzom, ale tata odkrył, że w rzeczywistości ten człowiek zmarł przed tygodniami, w pierwszych dniach śledztwa przeciwko niemu.

Zbliżał się termin procesu taty, a inkwizytorzy ciągle nie wydobyli zeń przyznania się do winy, spróbowali więc nowej metody. Był to jeden z powodów przeniesienia nas wszystkich do Bagdadu. Moją ciężarną matkę wzywano do więzienia, gdzie wielokrotnie ją bito, torturowano, gwałcono. Powiedziano jej, że jeśli napisze list do męża, namawiając go do przyznania się do wszystkich rzekomych zbrodni, tortury się skończą i zapadnie łagodniejszy wyrok. Mama nie była jednak głupia. Wiedziała, że tata nigdy się przyzna, tortury trwały więc nadal. Jedyną rzeczą, co do której oprawcy mamie nie skłamali, było to, że mój umęczony ojciec znajdował się za cienką ścianą przez cały ten czas, gdy ona poddawana była „specjalnym zabiegom”. Nie pozostawiono jej co do tego wątpliwości, ojca zaś informowano, gdzie znajduje się właśnie jego żona. Czasem matka słyszała zza ściany jęki ojca, niekiedy - jak mówi - czuła niemal jego obecność. Oprócz zaspokajania sadystycznych upodobań strażników więziennych i nikczemnych funkcjonariuszy reżimu celem tego niekończącego się, pełnego bólu i krwi spektaklu było stworzenie odpowiednich warunków ku temu, by ojciec spełnił wolę władz i pod presją przyznał się w końcu do zbrodni.

Ale nie złamał się, chociaż wiedział, że żona poddawana jest torturom. Nie przyznał się do niczego. Mama zaś, nie bacząc na nic, mimo świadomości, że życie powoli wycieka z jej męża, ciągle wracała do więzienia, na przekór wszystkiemu mając nadzieję, że zdoła go ocalić.

Proces toczył się w 1969 roku w Ministerstwie Obrony, w tym

samym budynku, w którym więziono tatę. Trwał trzy dni, podobnie jak inne tego typu widowiska. O żadnej obronie nie było mowy, liczyło się tylko oskarżenie. Sędzia nazywał mojego ojca „szpiegiem”, nie „oskarżonym”. Oskarżenie twierdziło, że ma niezbite dowody winy ojca, że w jego domu i biurze odkryto wymyślne nadajniki radiowe, a jego współnicy już złożyli wyczerpujące zeznania.



Proces toczył się za zamkniętymi drzwiami, bez udziału publiczności, ale państwowa telewizja iracka codziennie nadawała relacje. Pierwszego dnia pokazano, jak ojciec podważa fałszywe i w oczywisty sposób sfabrykowane wnioski i „dowody”. Tego wieczoru matka otrzymała list, dostarczony przez specjalnego posłańca, z wiadomością, że jeśli następnego dnia przyjdzie do więzienia, może będzie mogła po raz ostatni zobaczyć męża. Oczywiście matka poszła tam z samego rana. Zaprowadzono ją do pomieszczenia, w którym nigdy wcześniej nie była, o wiele większego i jaśniejszego niż cele, gdzie zwykle ją bito, ale tak samo udekorowanego wizerunkami Saddama i jego kuzyna, prezydenta. W pomieszczeniu wyposażonym w trzy duże stoły znajdowało się dziesięciu mężczyzn; wszyscy dumnie nosili wąsy i wszyscy ubrani byli w ciemne mundury irackich tajnych służb. Poszturchali mamę, wymierzili jej parę razów i kopniaków, ale znacznie lżejszych niż wcześniej, po czym usiedli. Do pokoju wszedł główny oskarżyciel, Madźdi Amin, usiadł, zapalił papierosa i siedział bez ruchu kilka chwil, przyglądając się mamie. W końcu powiedział:

- Wciąż jeszcze możesz się z nim zobaczyć, zanim proces się

skończy. Wziął głęboki oddech i ciągnął:

- Wiesz, że nie wszyscy jesteśmy potworami. Być może popełniamy błąd. Proponuję, żebyś napisała do sędziego list, wszystko wyjaśniła i poprosiła o widzenie z mężem. Nie byłbym zaskoczony, gdyby sędzia zgodził się na to. - Uśmiechnął się do matki.

Mama usiadła zupełnie zdezorientowana. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. To musiała być jakaś sztuczka. A jeśli to nie podstęp? Mówił to sam prokurator! W rozterce, pełna obaw, że jej słowa i intencje zostaną wypaczone, matka drżącą ręką napisała list. Napisała, że jest żoną oskarżonego, że mają troje dzieci i czwarte w drodze, że jej mąż jest niewinny, że to dobry i szlachetny człowiek, który nigdy nie skąpił pieniędzy ubogim i nie skrzywdziłby nawet muchy.

Napisała także, że jej mąż nie mógł się przyznać. Nie do czegoś, czego nie zrobił. Powiedziała mi później, że kazało jej tak postąpić przecucie: trzykrotnie powtarzała w liście do sędziego, na wypadek gdyby tata kiedykolwiek zobaczył ten list, że mąż nie mógł się przyznać. Na koniec prosiła sędziego o pozwolenie na choćby kilkuminutowe widzenie z mężem, za którym tak bardzo tęskni. Oddała list Madźdiemu Aminowi i czekała. Po niespełna godzinie przyszedł strażnik i kazał jej iść do domu. Wracała z pierwszą od bardzo długiego czasu odrobiną nadziei w sercu.

Gdy tylko mama oddała list, agenci tajnych służb natychmiast przekazali go ojcu. Powiedzieli mu, że jego żona jest za ścianą. Oto dowód - list pisany jej ręką. Powinien jeszcze raz poważnie rozważyć przyznanie się do winy. W przeciwnym razie żona może zostać potraktowana tak, jak inne osoby przebywające w tym pomieszczeniu w ostatnim tygodniu. Ojciec od razu wiedział, o co chodzi. Wszyscy w więzieniu wiedzieli. Tydzień wcześniej przyszła

żona jednego z więźniów i zwyczajowe szykany wymknęły się spod kontroli. Kobieta została brutalnie zgwałcona przez strażników, a potem pobita do utraty przytomności. W stanie krytycznym zawieziono ją do szpitala, a jej mąż był bliski utraty zmysłów.

- Ona jest tu, po drugiej stronie tej ściany - powiedział jeden z agentów. - Rozpoznasz jej pismo, prawda?

Ojciec rozpoznał.

- Nie przyznasz się, to za kilka chwil pójdziemy, otworzymy jej brzuch i przyniesiemy ci twoje dziecko. Na tacy.

Tak to było.

Po powrocie do domu mama czekała niecierpliwie na telewizyjne sprawozdanie z procesu. Babcia powiedziała, że rano, gdy mama wyszła, jedno już pokazywano, a tata znów powtarzał: „niewinny”. Na tym sprawozdanie zostało przerwane. Działo się to prawdopodobnie mniej więcej w tym czasie, gdy matka rozmawiała z prokuratorem.

A potem, w wieczornej relacji telewizyjnej, matka zobaczyła, jak jej mąż podchodzi do swego miejsca na sali sądowej i czystym, pewnym głosem przyznaje się do winy, przyznaje się, że jest izraelskim szpiegiem i zdrajcą narodu irackiego. Mama od razu wiedziała - to był koniec.

Przez te trzy dni braciom ani mnie nie wolno było oglądać relacji z procesu, byliśmy trzymeni w całkowitej nieświadomości. Mama nie widziała ostatniego dnia rozprawy, gdy ojciec został uznany za winnego i skazany na śmierć. Po tym, jak zobaczyła, że przyznaje się do winy, nie wiedziała - nie chciała wiedzieć - jaki zapadł wyrok, choć w głębi duszy czuła, że może być tylko jeden.

Obawy mamy co do wyroku potwierdziły się, gdy włączyła telewizor i trafiła na uroczystą transmisję z egzekucji. Ojciec został powieszony wraz z ośmioma innymi Żydami w Bagdadzie, na

głównym placu miasta. Egzekucja odbyła się w środku dnia, w atmosferze wielkiej radości, a przyglądało się jej pół miliona wiwatujących widzów. Prawdziwe święto narodowe. Autobusy i pociągi w całym kraju były tego dnia za darmo, więcej ludzi mogło więc zjechać do Bagdadu na widowisko. I przyjechali. „Wieszają izraelskich szpiegów!” - skandował podniecony motłoch. Wszędzie powiewały flagi irackie, z głośników płynęła skoczna muzyka, z całego kraju ściągnięto tancerki, które wykonywały taniec brzucha przed zgromadzonymi. Barbarzyńcy. Żadna krwi gawiedź, rozradowana i wrzeszcząca aż do zachrypnięcia gardeł, nie różniła się niczym od stada hien. W telewizji na okrągło pokazywano spektakl z udziałem dziewięciu powieszonych Żydów w czerwonych ubraniach. Z głośników obwieszczono w Bagdadzie zarządzenie władz, w którym informowano, że ciała zostaną zdjęte o czwartej po południu i wydane zgromadzonym, tak by naród iracki mógł obnieść je po ulicach.

O tym wszystkim dowiedziałam się znacznie później. Gdy miałam siedemnaście lat, w innym miejscu i w innym życiu, szukałam informacji o swoim ojcu i znalazłam zdjęcie z egzekucji w starej gazecie. Dopiero wtedy przyjąłam do wiadomości, że egzekucja odbyła się naprawdę. Dzięki tej fotografii wreszcie mogłam pogodzić się z rzeczywistością.

Wówczas jednak, gdy jako małe dziecko mieszkałam w betonowej chacie w Bagdadzie, nie wiedziałam, że tata nie żyje. Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą o tym, dlaczego nie wraca. Miałam tylko mgliste przeczucie, że zdarzyło się coś strasznego, ponieważ widziałam, że mama stała się cieniem samej siebie, a każdy nasz dzień wypełniał smutek i żal. I choć z właściwą dzieciom intuicją wyczuwałam, że ojciec odszedł na zawsze, dla mnie umarł dopiero wtedy, gdy miałam siedemnaście lat.

Przez rok po śmierci ojca mieszkaliśmy w chacie w Bagdadzie. To był szary okres mojego dzieciństwa. Szare były ściany, szara podłoga, szare było nasze życie. Po egzekucji nie pozwalano nam już opuszczać domu bez specjalnego zezwolenia. Nie pozwalano nam chodzić do szkoły. Moi bracia i ja dowiedzieliśmy się co nieco o wojnie sześciodniowej z audycji propagandowych w telewizji, wiedzieliśmy o klęsce armii krajów arabskich. Często siadywaliśmy w oknie ciasnej sieni, obserwując ulicę i strażników w nadziei, że nagle pojawi się roześmiany tata, a nocne koszmary się skończą. Zaczęliśmy się bawić, wyobrażając sobie różne rzeczy. Pewnego deszczowego dnia, gdy nie tylko nasze więzienie, ale cały świat wydawał się szary, siedzieliśmy w pokoju i wyglądaliśmy przez małe okno. Uderzyła mnie nagła myśl i powiedziałam:

- Nie musimy się bać. Izraelscy żołnierze, *nasi* żołnierze przylecą z Izraela samolotami i wykradną tatę z rąk złych żołnierzy. A potem wykradną nas i zabiorą daleko stąd.

- A skąd będą wiedzieli, gdzie jesteśmy? - zapytał Jonathan. - Nawet tata nie wie, gdzie jesteśmy. Gdyby wiedział, uratowałby nas już dawno temu.

Mając w pamięci to, co usłyszałam i zobaczyłam w telewizji, odparłam pewnym tonem:

- Nie bądź głuptasem. Oczywiście, że wiedzą. Izraelczycy wiedzą wszystko.

Ron nie powiedział ani słowa, tylko łzy pociekły mu po policzkach.

Uparcie czekaliśmy na tatę i żołnierzy izraelskich, ale nigdy nie przyszli. Moi bracia i ja staliśmy się sobie bliżsi niż kiedykolwiek wcześniej. Podobało mi się to, że wszyscy śpimy w jednym pokoju; czułam się bezpieczniej i łatwiej zasypiałam. Czasami słyszałam jednak nocą wycie wilków i wtedy ogarniał mnie strach. W Iraku

mówi się, że jeśli wyją wilki, ktoś niedługo umrze; opowiadała mi o tym niania. Leżałam więc w łóżku i rozmyślałam o śmierci. Próbowałam wyobrazić sobie, jak wygląda niebo. A co będzie, jeśli nie pójde do nieba? Okłamywałam przecież mamę, że umyłam zęby. Nagle wpadałam w panikę. Dlaczego te wilki wyją? Kto ma umrzeć?

W tym właśnie czasie urodziła się moja siostra Betty. Mama ciągle płakała. Zaraz po przyjściu Betty na świat położyła matkę, a ona już zalewała się łzami. Ron i ja pytaliśmy, dlaczego płacze, czyż pojawienie się dziecka nie jest szczęśliwym wydarzeniem. Wtedy matka jeszcze bardziej zanosila się płaczem. Ilekroć próbowaliśmy nawiązać rozmowę, płakała. Płakała całe noce. Najgorsze było to, że zajmowała się moją małą siostrą i jednocześnie zalewała się łzami.

Pewnego dnia dostaliśmy list; przyniósł go stary przyjaciel ojca. To był ostatni list napisany przez tatę. Jeden z towarzyszy ojca z celi, stary człowiek złamany torturami, został zwolniony z więzienia. Zanim wyszedł, tata dał mu list. Starzec odpruł gumkę w swoich slipach, owinął wokół niej starannie złożoną kartkę papieru i w ten sposób wyniósł list z więzienia. Ojciec pisał do matki:

„Niedługo umrę, ale ty musisz żyć. Musisz opiekować się naszymi dziećmi. Nie płacz za mną. Zabierz dzieci i wyjedź do Izraela. Tam się tobą zajmą. Tylko tam będziesz bezpieczna”. Niżej, nieco drżącą ręką, dodał: „Wraz z tym listem przesyłam ci moją obrączkę i wyrazy gorącej miłości”. Obrączka ojca była zawinięta w list.

Przeczytawszy te słowa, mama, młoda wdowa z czwórka dzieci, poczuła, że musi wziąć się w garść. To był testament skazańca, a jego ostatnią wolą było, by matka ratowała dzieci i wywiozła je z Iraku. List otworzył jej oczy, przywrócił właściwą hierarchię wartości. Najpierw walka o wolność, później rozpacz. Zaczynało do niej docierać, że Irakijczycy nie zamierzają długo znosić naszego istnienia. Zrozumiała, że musimy uciekać, zanim nastąpi kolejna katastrofa. I

wtedy moja matka, wychowana w dostatku i wygodach, nienawykła do wysiłku i troszczenia się o siebie, odkryła w sobie cechy, o które nigdy się nie podejrzewała. W tajemnicy zaczęła nawiązywać kontakty ze swymi licznymi przyjaciółmi. Była bardzo ostrożna, ponieważ władze tylko potrzebowały pretekstu, by z nami skończyć. Mama znalazła kilka odważnych, gotowych nam pomóc osób spoza grona przyjaciół ojca lub ludzi mających wobec niego zobowiązania i spoza środowisk opozycji politycznej. Któryś z przyjaciół wpadł na doskonały pomysł. Jedynymi ludźmi, którzy mogą wywieźć nas z Iraku, są *szlihim*, emisariusze pracujący dla Sochnut, Agencji Żydowskiej. Robili to już wcześniej, powiedział mojej matce. Gotowi są ponieść ryzyko, by ratować Żydów z łap wrogich reżimów.

Po drodze na targ mama przekazała przyjacielowi wiadomość. Dwa dni później spotkała się z jego przyjacielem w sklepie spożywczym.

- Potrzebuję więcej szczegółów - powiedział cicho. - W następnym tygodniu proszę wysłać swoją matkę do sklepu rybnego, nie możemy znów się spotkać, to zbyt niebezpieczne.

Mama stanowczo odmówiła posłużenia się babcią jako posłańcem.

- Ona nie zna moich planów - odparła. - Nikt ich nie zna i nikt nie będzie znał. Gdyby mnie złapano, tylko ja za to zapłacę.

Dziesięć dni później mama spotkała się z innym przyjacielem przyjaciela. Stał za ladą w piekarni. Nie była to dobra pora na rozmowę, bo mama była obserwowana. Kupiła bochenek chleba i zapłaciła. Dopiero długo po jej wyjściu ze sklepu sprzedawca ośmielił się zerknąć na karteczkę, którą mama wsunęła między banknoty. Znajdowały się tam dwa numery telefonów i krótka wiadomość, napisana pismem arabskim, ale z pozoru zupełnie bezsensowna. Mimo to mężczyzna zadzwonił pod oba numery, przekazał

wiadomość i odłożył słuchawkę, trzęsąc się jak osika. Wiadomość, napisana w transliterowanym hebrajskim, dotarła do tych, dla których była przeznaczona, do *szlihim*. Plan naszej ucieczki zaczynał nabierać realnych kształtów.

I wtedy zabili babcię. Tego ranka pozwolono nam wyjść; mieliśmy odwiedzić rodzinę jednego z mężczyzn powieszonych wraz z moim ojcem. Ta łaskawość była dziwna, ale mama nie zadawała zbyt wielu pytań. Babcia powiedziała, że zostanie w domu, może pójdzie na targ. Właśnie wówczas widziałam ją ostatni raz. Gdy wracaliśmy, na ulicy prowadzącej do naszego domu kłębiło się hałaśliwe zbiegowisko. Policja, samochody, ambulanse, liczni gapie, krzyżący sąsiedzi. Babcia została przejechana pod samym domem przez wielką, czarną limuzynę. Powiedziano nam, że zginęła na miejscu. Gdy tylko dotarło do nas, co się stało, bracia i ja wbiegliśmy do środka i owinęliśmy głowy kocami, próbowaliśmy się ukryć. Mieliśmy nadzieję, że straszliwa rzeczywistość zniknie. Ponieważ w owym czasie nie wiedziałam, co stało się z ojcem, po zamordowaniu babci po raz pierwszy poczułam się osierocona. Siedziałam kilka godzin w kryjówce pod kocem i zaczęłam wyobrażać sobie koła. Koła obracały się, kręciły coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zapomniałam, gdzie jestem.

Mama musiała nas zostawić i pójść do szpitala, by zidentyfikować zwłoki. Zgodnie z tradycją żydowską zmarłą trzeba było umyć, a ponieważ personel szpitala odmówił zrobienia tego, mama musiała zupełnie sama umyć martwe ciało swej matki. Myła i płakała, płakała i myła...

W tamtych czasach w Iraku czarnymi limuzynami jeździli tylko przedstawiciele władz, nikt inny nie mógł mieć takiego wozu. Śledztwo w sprawie tak zwanego wypadku przeprowadzono tylko dla zachowania pozorów, a całe wydarzenie uznano za zwykły

wypadek, którego sprawca zbiegł. Mama dobrze wiedziała, o co chodzi. Irakijczyków nie interesowała babcia, tylko ona. Obie musiały nosić *burgas*, suknie okrywające kobiety muzułmańskie od czubka głowy do pięt, i były nie do odróżnienia. Mama przypuszczała, że ten, kto przejechał babcię, pomylił się, wziął babcię za wdowę po szpiegu i zdrajcy. Kilka dni później jej podejrzenia się potwierdziły. Zagadnął ją jeden z funkcjonariuszy pilnujących naszego domu, człowiek, który widywał mojego ojca w Basrze, w domu szefa policji, w czasach gdy ojciec był tam mile widzianym gościem. Musiało to zrobić na nim wrażenie, ponieważ okazywał matce coś w rodzaju współczucia i był jedynym z naszych strażników, który się do nas odzywał. Wyszeptał mamie do ucha:

- To panią chcą dopaść. Jest pani w wielkim niebezpieczeństwie.

Nie było czasu do stracenia. Władze zaczynały mieć nas dosyć, nasze dni były policzone. Istniał jednak pewien problem. Gdy zginęła babcia, moja matka nie miała wątpliwości, że spoczywa na niej odpowiedzialność za pięcioro młodszego rodzeństwa, ciągle mieszkającego w Basrze z moim dziadkiem. Pomyślała, że lepiej zaryzykować życie sióstr i braci w nadziei na lepszą przyszłość, niż żyć dalej w tym koszmarze.

Plany matki były niemal dopracowane. Na czas ucieczki wybrała piątkową noc, gdy strażnicy będą zmęczeni długimi, ciągnącymi się całe popołudnie kazaniami i modlitwami. Ale jak się ich pozbyć? Jako dobrzy muzułmanie nie pili alkoholu. Mama naparzyła mocnej kawy, do której wlała tyle *valium*, ile miała pod ręką, i modliła się, by wszystko poszło po jej myśli. Teraz albo nigdy. Kawa musiała zrobić swoje przed zmianą straży. I zrobiła; strażnicy popadli w głębokie zamroczenie.

Mama zabrała dwa kurczaki, przygotowane na tradycyjną szabasową kolację, oraz małą walizkę z naszymi ubraniami i szybko

wyprowadziła nas z domu. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie idziemy i co się dzieje, ale rozumieliśmy, że chodzi o coś ważnego, i szliśmy posłusznie, nie zadając żadnych pytań. Pamiętam dziwne uczucie na widok dawno nieoglądanych gwiazd i księżycy, a także ciepły, przynoszący nadzieję powiew wiatru. Zdawałam sobie sprawę, że to już koniec szarego okresu mojego dzieciństwa. Jeśli przeżyjemy, obiecałam sobie, nigdy o tym nie zapomnę i nigdy nie pozwolę, by moje życie znów stało się szare.

Kilka przecznic dalej czekała furgonetka. W środku siedzieli młodszy bracia i siostry matki, moi wujowie i ciotki. Dzięki kontaktom mamy udało się po kryjomu wywieźć ich z Basry. Nawet dziadek nie wiedział, że uciekniemy razem, co w rezultacie uratowało mu życie. Kierowca, Irakijczyk, był zaskoczony naszym pojawieniem się; zapłacono mu dobrze, ale nikt mi nie powiedział, że będzie przewoził grupę złożoną z dziewięciorga dzieci i młodej kobiety. Gdy matka dołożyła więcej pieniędzy, zgodził się dowieźć nas na dworzec kolejowy w Bagdadzie. My, dzieci, zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, że mamy mało czasu, że za kilka godzin tajna policja odkryje naszą ucieczkę i zacznie się polowanie na nas.

Wsiedliśmy do pociągu jadącego na północ, w pobliże granicy z Iranem. Gdy znaleźliśmy się w wagonie, Jonathan zaczął płakać. Mama zapytała, co się dzieje.

- Jesteś bez serca - oskarżył ją przez łzy. - Jak możesz nam kazać zostawić tatę? Nigdy się z nim nie pożegnaliśmy!

Mama usadowiła nas i szybko wyjaśniła sytuację. Powiedziała, że musimy być dzielni, że wyjeżdżamy daleko i jeśli nam się uda, po tej długiej podróży będziemy wolni. Poinstruowała nas, jak mamy się zachowywać i co mówić, gdyby ktoś zadawał pytania.

Mama zakazała nam chodzić po pociągu, ale zachowałam przyjemne wspomnienie z tej podróży. Coś się działo - skończyła się

monotonia dwóch lat zamknięcia, w którym żyliśmy od aresztowania ojca. Mama rozłożyła na podłodze jakieś koce i przez kilka godzin leżeliśmy, trzymając się za ręce. Nagle ktoś zastukał do drzwi naszego przedziału. Mama przykryła nas kocami, przykazała się nie ruszać i otworzyła drzwi. Młody oficer poprosił ją o okazanie dokumentów.

- Dlaczego, w czym problem? - zapytała.

- Och, jakaś Żydówka, szpieg, uciekła z czwórką dzieci - wyjaśnił.

Mama powiedziała, że jest nauczycielką i jedzie z dzieckiem i ośmiorgiem uczniów na wycieczkę w góry. Wszystkie dzieci mocno śpią, a walizka z dokumentami leży gdzieś pod spodem. Czy pan oficer nie mógłby przyjść trochę później, gdy się obudzimy?

- Mam nadzieję, że ci wszyscy Żydzi już sobie poszli i pozwolą nam żyć w spokoju. - Młody człowiek westchnął.

Gdy tylko oficer wyszedł, matka kazała nam ustawić się w pary i wysiąść z pociągu na najbliższej stacji.

- Idźcie prosto do toalety i czekajcie tam na mnie - powiedziała stanowczo. - Nie siusiajcie, nie ruszajcie się, nie rozmawiajcie. Tylko czekajcie.

Na stacji stali w szeregach żołnierze. Wsiadłam w parze z Ronem. Podszedł do nas żołnierz i spytał, co tu robimy i kim jest nasz ojciec.

- Nasz ojciec mieszka w Anglii. Jedziemy go odwiedzić. Właśnie wyszliśmy kupić butelkę wody - odrzekł bez wahania Ron.

Jakimś cudem spotkaliśmy się wszyscy w toalecie i szybko wyszliśmy z dworca. Na zewnątrz zauważyliśmy dużego mercedesa z trzema rzędami siedzeń; wozów takich powszechnie używano w krajach Środkowego Wschodu jako taksówek. Kierowca uśmiechnął się do mamy szeroko i zapytał:

- Co pani ostatnio porabiała, pani Falan? Nie widziałem pani od jakiegoś czasu.

Falan był to słynny generał armii irackiej. Moja matka była

bardzo podobna do jego żony i taksówkarz wziął ją za generałową. Matka wyśmieniecie grała swoją rolę i kazała zawieźć nas do północnej granicy.

- Ależ to szesnaście godzin jazdy, pani Falan, to bardzo daleko!

- Jedź, a mój mąż dobrze cię wynagrodzi.

W drodze mama powiedziała kierowcy, że jedziemy na wakacje i że jej mąż, generał, nie mógł wyjechać z powodu całego tego zamieszania ze zbiegłymi szpiegami. Nikt z nas się nie odzywał, mama kazała nam siedzieć bez słowa. Tylko Ron mógł rozmawiać, bo był najstarszy z nas i potrafił naśladować arabski akcent.

Jechaliśmy dwa dni. Niektórzy z nas chorowali i wymiotowali, ponieważ drogi były straszne. Taksówkarz chciał się zatrzymać, namawiał matkę, by kupiła dla nas trochę jedzenia.

- Jedź, po prostu jedź - nalegała. - Jeśli się najedzą, znów będą wymiotować.

Niedaleko miejsca, do którego jechaliśmy, tuż przed bramami miasta zobaczyliśmy blokadę drogową.

- Co się dzieje? - zapytała matka taksówkarza.

- O, nic takiego. Chyba chodzi o to, o czym mówili w radiu, o tych Żydów, którzy niedawno uciekli.

- Złapali ich?

- Tak, i zastrzelili na miejscu. Powinni zrobić to z wszystkimi Żydami.

Gdy dojeżdżaliśmy do blokady, Mama poprosiła kierowcę, by się zatrzymał, ponieważ wszyscy musimy się odświeżyć.

- Podjedź bliżej - powiedziała. - Umyjemy się w toalecie i tam nas znajdziesz.

W punkcie kontrolnym kierowca powiedział żołnierzom, że wiezie żonę i dzieci Falana. Samochód został przeszukany, po czym kierowca przyszedł po nas do toalety, załadował do samochodu i przewiózł

przez blokadę bez dalszej kontroli. Gdy dojechaliśmy do miasta, gdzie miał czekać na nas *szaliah*, emisariusz, mama podała taksówkarzowi adres: Abu Ahmad, mały bar kawowy w pobliżu granicy.

- Dlaczego chce pani tam jechać? - zdziwił się. - Tam zbierają się przemytnicy.

Mama ogarnęła się nieco, zapłaciła i zostaliśmy sami. Gdy wchodziliśmy gromadą do baru, siedzący tam szmuglerzy patrzyli na nas z niedowierzaniem. Widzieli różne dziwne rzeczy, ale nigdy takiego towarzystwa jak my.

Emisariusza nie było, ale zostawił jednemu z przemytników wiadomość, żeby czekał w barze na kobietę z dziećmi. Przemytnik nie zdawał sobie sprawy, że będzie nas tak dużo. Oznajmił, że musimy podzielić się na dwie grupy.

- W żadnym razie - odrzekła matka. - Zajechaliśmy razem tak daleko i teraz nie zamierzamy się rozstawać.

- A więc zostanie pani sama, madame - powiedział. I dodał nieco uprzejmiej: - To dla mnie zbyt ryzykowne. Proszę zrozumieć, wiele osób może ucierpieć, jeśli nas złapią. Pozwoli pani, że znajdę taksówkę dostatecznie dużą dla całej grupy.

Sprowadził taksówkę i dopiero wtedy powiedział matce, dokąd mamy jechać. Tak to działało. Trasa miała być wykorzystywana także przez innych uciekinierów; gdybyśmy zostali złapani, gdyby nasza wyprawa się nie powiodła, unicestwiłoby to plany kolejnych ucieczek.

Taksówkarz zostawił nas na wzgórzu oddalonym około dwudziestu mil od miasta i odjechał, wzbijając za sobą tuman kurzu. O nic nas nie pytał. Przemytnik zapewnił, że spotkamy się tu z *szaliahem*. Było bardzo upalne południe, staliśmy i czekaliśmy. Minęła godzina, później druga i nikt się nie pojawiał. Mama zaczęła się zastanawiać, czy dobrze trafiliśmy. Z tego zapomnianego przez

Boga i ludzi miejsca widać było tylko nieliczne sylwetki pasterzy i stada na odległych wzgórzach. Czas płynął, a mama coraz bardziej się niepokoiła. Czy źle zrozumiała instrukcje? Czy coś się stało emisariuszowi? Czy ktoś go zdradził? Jeśli tak, było tylko kwestią czasu, kiedy znajdą i nas. Tak jak pozostałe dzieci nie zdawałam sobie sprawy, jakie myśli kłębią się w głowie matki, ale wiedziałam, że coś jest nie w porządku, ponieważ była bardzo zdenerwowana. Do tej chwili podróż wydawała mi się całkiem zabawna, była najbardziej ekscytującym zdarzeniem od wielu miesięcy. Teraz stawała się nieco przerażająca. Popołudnie zamieniło się w wieczór, a wreszcie w noc. Powietrze stało się chłodniejsze, czułam głód i pragnienie. Czekaliśmy już na tym wzgórzu dziewięć godzin i mama, coraz bardziej zdesperowana, obawiała się, że zostawiono nas na pastwę losu. Wiedziała, że bez pomocy możemy tu umrzeć. Słyszając warkot nadjeżdżającej ciężarówki, pomyślała, że to już koniec, że znaleźli nas żołnierze.

- Szybko, dzieci, musimy się ukryć - rozkazała.

Rzuciliśmy się w stronę krzaków. Nie zasłużyliśmy na to, pomyślałam. Nie zasłużyliśmy, by umrzeć w ten sposób.

Gdy ciężarówka hamowała, nawet ja zorientowałam się, że nie jest to iracki wóz wojskowy. Stara, brudna, hałaśliwa, przeznaczona do przewozu kurczaków, w moich oczach wyglądała jak zesłana z nieba. Nie przyjechał nią *szaliah*, lecz grupa kurdyjskich przemytników. Kurdowie, walczący z władzami irackimi, robili już takie rzeczy wcześniej. Mieli umowę z rządem izraelskim - Izrael dostarczał im broń, a oni w zamian pomagali w tego typu operacjach. Byli przygotowani na takie okazje. W wielkiej ciężarówce do przewozu kurczaków znajdowało się małe, ukryte pomieszczenie.

- *Szaliah* nie mógł przyjechać - powiedział jeden z Kurdów. - Wsiadajcie, nie ma czasu do stracenia. Szybko!

Wpełzliśmy do sekretnego schowka i ukryci tam jechaliśmy przez dwa dni, bez światła, z niewielką ilością powietrza, minimalną wody i bez jedzenia. Wszyscy byliśmy w opłakanym stanie, ale nikt nie narzekał. Zapamiętaliśmy słowa taksówkarza i wiedzieliśmy, że jeśli nas złapią, zostaniemy zastrzeleni na miejscu.

W końcu jazda się skończyła. Gdy wynurzyliśmy się z ciężarówki, straszliwie brudni, obolali i zziębnięci, okazało się, że jesteśmy wysoko w górach. *Szaliah* czekał na nas, miał mapy, latarki i trochę konserw. Przepraszał, że nie udało mu się zdobyć dla nas butów ani koców. Jak powiedział, jest nas po prostu za dużo i byłoby to zbyt niebezpieczne; Irakijczycy są na naszym tropie. Zapewnił, że gdy tylko przekroczymy granicę irańską, będziemy bezpieczni. Pożegnał Kurdów - dwóch miało nam towarzyszyć w następnym etapie ucieczki - i życzył powodzenia. Uściskaliśmy go, a on po chwili zniknął.

Zaczęliśmy marsz w głębokim śniegu. Dwaj kurdyjscy przewodnicy dobrze znali góry; potrafili też zdobyć trochę jedzenia w wioskach, które mijaliśmy, gdyż mieli tam przyjaciół. Szliśmy tydzień, później drugi. Aby nie natknąć się na żołnierzy patrolujących granicę, ruszaliśmy w drogę tylko mroźnymi nocami. Gdy mijaliśmy posterunki wojskowe i nieprzyjazne wsie, mama zaklejała nam usta taśmą, byśmy nie wydali żadnego odgłosu. Nie upadaliśmy na duchu, nie zmogło nas ani zimno, ani rozrzedzone powietrze, ani skalisty teren. Podczas tej podróży dojrzeliliśmy ponad wiek i maszerowaliśmy w ciszy, bez narzekań i bez łez. Ilekroć któreś z nas potykało się ze zmęczenia, mama, która niosła moją małą siostrę Betty, na jakiś czas brała na ręce jeszcze drugie dziecko. Była wspaniała. Przeszła tak wiele i nie zamierzała się poddać. Myślała o tacie i jego ostatnim życzeniu. Pamiętała słowa jego listu i to dodawało jej siły.

Po osiemnastu dniach przekroczyliśmy granicę irańską. Wszyscy byliśmy wyczerpani, poobijani, skrajnie wygłodzeni, brudni - i bardzo szczęśliwi. Nasi kurdyjscy przewodnicy nie podzielali ogólnej euforii; dla nich sprawa się jeszcze nie zakończyła, musieli przecież wrócić. Było teraz o nas głośno - o dziesięciorgu Żydach, którzy uciekli sprzed samego nosa irackich strażników - i gdyby przewodnikom udowodniono związek z nami, zginęliby. Niewiele padło słów. Wszyscy uścisnęliśmy im ręce, a oni rozplłynęli się w górach.

Na granicy czekał na nas kolejny *szaliah*. W owym czasie, przed epoką rządów ajatollahów i zanim rozpanoszył się muzułmański fundamentalizm, Iran utrzymywał przyjazne stosunki z Izraelem. Władze izraelskie otrzymały za pośrednictwem Sochnutu wiadomość o naszej ucieczce i szybko porozumiały się z rządem szacha. Przewieziono nas do cudownego miejsca w górach, gdzie czekała delegacja powitalna z samym ministrem spraw zagranicznych na czele. Nawet teraz, gdy pomyślę o tym, jak przyjmowano nas w hotelu po ciężkiej próbie, którą przeszliśmy, wydaje mi się to snem. Jedzenie przynoszone do pokoju, ciepłe łóżka, koce, miękkie poduszki...

Wszyscy, od Izraelczyków po personel hotelu, patrzyli na nas jak na jakieś niezwykle ptaki, które właśnie przyleciały z daleka. Może w pewnym sensie tak było. Niektórzy nam współczuli, inni uważali za istoty wyjątkowe. Ścigani uciekinierzy, wygłodzeni i przemarznięci, stali się znakomitościami witanymi przez ministrów, traktowanymi jak bohaterowie. Po kilku dniach odpoczynku pojechaliśmy w towarzystwie ministra spraw zagranicznych na lotnisko i wsiedliśmy na pokład samolotu lecącego do Izraela. Tam już byliśmy na ustach wszystkich. Podczas lotu Jonathan, nareszcie bezpieczny, wypoczęty, najedzony i przyzwoicie ubrany, zebrał się na odwagę i zapytał

matkę:

- Czy wreszcie znów będziemy mogli mówić, że jesteśmy Żydami?

Na te słowa wszyscy w samolocie, łącznie z załogą, wybuchnęli płaczem. Wszyscy oprócz mnie. Nie chciałam poddać się emocjom. Zamierzałam zapamiętać to wszystko, każdy najdrobniejszy szczegół, tak że gdy w końcu obudzę się z koszmaru, niczego nie zapomnę. Niczego nie zostawię za sobą i kiedyś o tym opowiem. To jest część mnie, mojego życia, mój powód do dumy i spuścizna po ojcu. Jego ostatnim życzeniem było, byśmy wyjechali z Iraku, i zrobiliśmy to. Wreszcie zrobiliśmy.

Wyglądałam przez iluminator w samolocie i tam, w oddali zobaczyłam Izrael, był już w zasięgu wzroku, i od razu wiedziałam, że to jest mój dom.

Dopiero teraz po policzkach zaczęły mi płynąć duże, słone łzy. Mama, która bacznie nas obserwowała, usiadła koło mnie. Obejmując mnie delikatnie, powiedziała, że rozumie; także jest szczęśliwa, że jesteśmy teraz bezpieczni. Nie rozumiała, nikt nie rozumiał, że nie płaczę z radości. Nie płakałam nawet z żalu za ojcem i babcią. Chodzi o to, że gdy patrzyłam z góry na moją przyszlą ojczyznę, mały Izrael, wiedziałam nawet tam, wysoko nad ziemią, że ją kocham. Kocham, ponieważ zobaczyłam piaszczyste plaże, wydmy, pustynie zalane złocistymi słońcem. Wszystko znów było żółte i nie mogłam już powstrzymać łez.

ROZDZIAŁ 2

Rozwiane marzenia

Miejsce nazywało się Ma'on Olim, „dom imigrantów” lub „dom dla tych, którzy wzrastają”. Hebrajskie słowo *olim* oznacza przybywanie, potęgowanie, wzrost, dlatego określano nim wszystkich imigrantów i przybyszy, niezależnie od tego, czy dotarli tu z Rosji czy z Etiopii, ze szczytów Atlasu czy z syberyjskiej tajgi. Chodziło o to, by stworzyć wrażenie, że każdy, kto przybył do Izraela, znalazł się w najlepszym ze światów. Przekonanie to wielokrotnie okazywało się nie do końca słuszne, dla nas jednak, którzy przeżyliśmy piekło w Iraku, Izrael był prawdziwym rajem.

Ma'on Olim był czysty, wygodny i co najważniejsze położony w pobliżu plaż Morza Śródziemnego. Nie był to pięciogwiazdkowy hotel. Duży, szary, sześciopiętrowy budynek z betonu nie wyróżniał się urodą. Pobyt w Ma'on Olim, finansowany przez rząd izraelski, był elementem procesu adaptacji. Dostaliśmy tam jednopokojowe mieszkanie; nie było sypialni, tylko jeden pokój dla nas czworga - mamy, trójki starszych dzieci i niemowlęcia - w dodatku niezbyt komfortowo urządzone. Mieszkanie było nawet mniejsze niż nasza chata w Bagdadzie, byliśmy jednak zadowoleni, bo czuliśmy się wolni i bezpieczni. Proces adaptacji imigrantów obejmował także naukę hebrajskiego w szkole zwanej *ulpan*. Było to bardzo miłe,

przyjazne miejsce, gdzie można się było nauczyć języka i poznać miejscowe obyczaje. Chodziła tam mama, ale nas, dzieci, natychmiast wysłano do publicznej szkoły podstawowej, niezbyt daleko od Ma'on Olim. Izraelczycy mieli duże doświadczenie w postępowaniu z imigrantami i wiedzieli, że jest to najlepszy sposób włączenia nowo przybyłych dzieci do środowiska rówieśników. Liczono również na to, że nauczymy się hebrajskiego o wiele szybciej niż mama. Przekonałam się wielokrotnie, że dzieci naprawdę szybko uczą się nowego języka, w przeciwieństwie do dorosłych. Im jesteśmy młodszy, tym mniej skrępowani i powściągliwi - i tym mniej wstydzimy się popełniać błędy. Dzieci chętniej akceptują zmiany, są bardziej skłonne do eksperymentów, poszukiwań, naśladowania. Bez oporów uczą się nowego języka, mówią z właściwym akcentem, naśladują miejscowych i ich zachowanie, podczas gdy wielu dorosłych trzyma się dawnych zwyczajów i nigdy na dobre nie adaptuje się do nowego środowiska.

Pierwszego dnia w szkole znalazłam się więc wśród tutejszych dzieci. Nikt nie znał naszych przeżyć, nikt nie wiedział, kim ja i Jonathan jesteśmy, i czułam, że tak jest lepiej. Dzieci szybko się zorientowały, że jesteśmy imigrantami, zanim jeszcze nauczycielka przedstawiła nas na pierwszej lekcji, choć przecież nigdy nas wcześniej nie widziały. Nauczycielka wiedziała, że nie rozumiem ani słowa z tego, co ona mówi. Spoglądała na mnie od czasu do czasu z pocieszającym uśmiechem. Podczas pierwszej przerwy - w Izraelu zwykle są dziesięcio-, piętnastominutowe przerwy między lekcjami oraz dodatkowy czas na lunch - Jonathan i ja zostaliśmy otoczeni przez dzieci. Mówiły do nas, zarzucały nas pytaniami i próbowały się z nami zaprzyjaźnić. Byliśmy przecież *olim*, a one nie co dzień miały okazję oglądać tak osobliwe stworzenia.

Nie minął tydzień w nowym kraju, a mój słownik ograniczał się

niemal wyłącznie do „tak” i „nie”, ale z całej siły zapragnęłam włączyć się w zabawy kompanii ze szkolnego podwórka. Chciałam zdobyć nowych przyjaciół; byłam przecież więźniem i przez dwa lata zadawałam się jedynie z braćmi. Przez całe życie przykładałam wielką wagę do przyjaźni, dla mnie ona wiele znaczy. Uśmiechałam się więc do kilkorga dzieci, które przypatrywały mi się podczas pierwszej przerwy w izraelskiej szkole. Zaczęły do mnie podchodzić, byłam radośnie podniecona. Rozmowa brzmiała w moich uszach mniej więcej tak:

- *Shdfasdu es desedoc queiduwef, dfhdauhwefuh?* - zapytała jasnowłosa, niebieskooka dziewczynka.

Spojrzałam jej prosto w oczy i śmiało odrzekłam: - Tak!

Wyglądała na zaskoczoną. Jej kolega, ciemnowłosy chłopiec w szortach i sandałach, dorzucił:

- *Ohscds holacdsaijp japed nasłxnaf, hjmqland chie dcahac iuuuiiah?*

- Tak. Tak! - odpowiedziałam z rosnącą pewnością siebie.

Dopiero teraz zgromadzone wokół dzieci zaczęły dziwnie mi się przyglądać, jakbym miała zielone włosy lub coś w tym rodzaju. Zakiełkowało we mnie podejrzenie, że moja strategia nie jest najskuteczniejsza. Szybko zdecydowałam się ją zmienić i gdy inny chłopiec spytał:

- *Afsewn hjseds oliwef uhe?* - rozmyślnie, z naciskiem odrzekłam: - Nie!

Tłumione chichoty zamieniły się w wybuch niepohamowanego śmiechu. Nie było w tym nic złośliwego, nikt nie chciał mi dokuczyć, ale zdałam sobie sprawę, że robię z siebie głupka. Dzieci zadawały mi pytania, odpowiadałam „tak” lub „nie”, czasem stosowałam kombinację obu słów, ale wydawało się, że nic się nie zgadza. Wszyscy prócz mnie śmiali się do rozpuku. Chciałam zapaść się pod

ziemię.

W końcu zadzwonił dzwonek i wróciliśmy do klasy. Dopiero teraz, po tym, co się stało, lekcja była męczarnią. Najgorsze jednak było oczekiwanie na następną przerwę.

Podczas drugiej przerwy zobaczyłam Jonathana zmierzającego z tornistrem w stronę szkolnej bramy, wyglądał jak uosobienie nieszczęścia. Dogoniłam go i dowiedziałam się, że wcale nie powiodło mu się lepiej niż mnie. Mam zupełnie dość jak na jeden dzień - powiedział. Zawstydzony, wyobcowany i wściekły zamierzał wrócić do domu, do Ma'on Olim. Widywałam go już wcześniej w takim stanie. Nie wiem, czy słuszne jest przypuszczenie, że Jonathan najgorzej z nas zniósł zniknięcie taty z naszego życia, ale to on najsilniej dawał wyraz swoim uczuciom, a mama traktowała go o wiele łagodniej niż resztę. Ron i ja przynajmniej z pozoru łatwiej pogodziliśmy się z rzeczywistością. Jonathan był wrażliwy i przeczulony i miewał czasem napady złości z zupełnie błahych powodów.

Mimo to nie mogłam mieć do Jonathana pretensji, że chce wyjść ze szkoły. Na dobrą sprawę wydawało się to najlepsze, co można było zrobić w tej sytuacji. Poszliśmy więc do domu.

Tego wieczoru, gdy po powrocie mamy opowiedzieliśmy, co się stało, po raz pierwszy widziałam, jak traci panowanie nad sobą. Oboje dostaliśmy solidne lanie.

Miasto, w którym znajdował się Ma'on Olim - mama kupiła tu później mieszkanie, a ja mieszkałam do dnia swojego ślubu - nazywa się Bat-Yam, czyli „syrena”, i przynajmniej ze względu na położenie jest to nazwa odpowiednia. Bat-Yam leży na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Izrael to niewielki kraj, jego powierzchnia jest o połowę mniejsza niż powierzchnia jeziora Michigan, a większość zachodniej granicy przebiega wzdłuż wybrzeża śródziemnomorskiego.

Plaże są wspaniałe, piaszczyste, złoto-żółte, w kobaltowoniebieskiej wodzie odbija się jaskrawe, olśniewające słońce.

Arabowie najchętniej utopiliby Izrael i jego mieszkańców w tym pięknym morzu. Przywódcy arabscy powtarzali to przy wielu okazjach, a niektórzy z nich ciągle są przekonani, że najbardziej odpowiednim miejscem dla wszystkich Żydów są wody Morza Śródziemnego. Im głębsze, tym lepiej.

Izrael ma kształt wąskiego pasa długości około 250 mil, ale szerokości zaledwie od 15 do 25 mil. Oznacza to, że na przykład Aszkelon, miasto na południowym wybrzeżu kraju, leży zaledwie 7 mil od Strefy Gazy, a Netania -9 mil od Zachodniego Brzegu. Sprawia to, że izraelskie miasta są łatwym celem dla terrorystów, w zamachach bombowych giną setki ludzi. Tel Awiw jest położony tylko 11 mil od tak zwanych terytoriów okupowanych.

O ile Tel Awiw, wyrosły z niczego na pustynnych piaskach, stał się najważniejszym ośrodkiem w kraju, o tyle przylegające doń od południa Bat-Yam pełni funkcję sypialni - wiele osób pracujących w Tel Awiwie mieszka w Bat-Yam, ponieważ mieszkania są tam o wiele tańsze. Dlatego właśnie mama mogła sobie pozwolić na kupno własnego lokum, gdzie indziej nie byłoby jej na to stać. W Bat-Yam nie bez powodu było taniej, w wielu dzielnicach nędzy panoszyła się przemoc i handlowano narkotykami. Co prawda nie mieszkaliśmy w najgorszej części miasta, ale i tak stanowiło to swego rodzaju stygmat. Bat-Yam nie można było odmówić jednego - fantastycznych plaż.

Dostaliśmy lanie za wagary i ciągle bolało mnie siedzenie, ale o wiele bardziej niepokoiło mnie coś innego. Nie mieliśmy z Jonathanem żalu do mamy za to, co zrobiła, kara była całkowicie zasłużona. Mama musiała być surowa, ponieważ wychowywała nas sama, nie miała nikogo do pomocy. Wiedziała, że mając w nowych

warunkach tak wiele swobody, bez dyscypliny możemy zdziczeć. Po raz pierwszy zauważyłam wówczas, i to mnie zmartwiło, że mama się starzeje. Była niewiele po trzydziestce i piękna jak zawsze, ale z jej oczu coś znikło, blask, który widziałam w Iraku nawet w najtrudniejszych i niebezpiecznych chwilach. Pracowała bardzo ciężko na nasze utrzymanie, ale nie to ją męczyło. W Iraku, walcząc o nasze życie, o uratowanie taty, a później wyrwanie nas z piekła, nie miała czasu myśleć o sobie. W Izraelu, daleko od miejsca, które uważała dotąd za swoją ojczyznę, mama czuła się bardzo osamotniona. Dużo rozmyślała o tacie i babci, nawiedzały ją sny o egzekucji i torturach; udręczona nie mogła spać po nocach. Była tak smutna, jak nigdy wcześniej, i wydawała się starsza. Czasami budziły mnie w środku nocy dziwne odgłosy. Zakradałam się do pokoju mamy i widziałam, jak siedzi na łóżku, z twarzą zalaną łzami i rozmawia z fotografią taty.

Jakby mama nie dość już przeszła, pojawiły się dodatkowe komplikacje ze strony władz izraelskich, które odmówiły uznania jej za wdowę po bojowniku. Oznaczało to pozbawienie mamy wszystkich związanych z tym przywilejów. Równie przykre było to, że władze ani nie potwierdziły związków mojego ojca z izraelskim rządem lub wywiadem, ani im nie zaprzeczyły. Mama wierzyła, że tata nie był szpiegiem, nie mogła jednak zyskać całkowitej pewności bez oświadczenia władz izraelskich w tej sprawie. Dopiero po wielu latach, pod silnym naciskiem opinii publicznej i życzliwie nastawionych członków parlamentu, matka została oficjalnie uznana za wdowę po bojowniku i otrzymała dożywotnią rentę państwową.

Na początku była zdana tylko na siebie. Jej bracia i siostry, którzy wcześniej znaleźli się w Izraelu, zgodzili się przyjąć na wychowanie pięcioro moich małych wujów i ciotek, mieli przy tym własne dzieci i nie byli w stanie nam pomagać. Po raz pierwszy w życiu mama musiała się nauczyć, jak zapewnić byt swojej rodzinie. Nie umiała

zarabiać pieniędzy i choć znaleźliśmy schronienie w Ma'on Olim, było to tylko doraźne rozwiązanie problemu. Pieniądzy wystarczyło na skromne utrzymanie i na nic więcej. Mama, przyzwyczajona do innego życia, pragnęła dla nas lepszej przyszłości. Zaczęła uczyć się na wieczorowych kursach krawieckich, a po powrocie do domu do późnej nocy szyła ubrania, które następnie sprzedawała. Stopniowo miała coraz więcej pracy, szyła coraz lepiej i wciąż zdobywała nowe klientki. Dla mnie o wiele bardziej wymowną nauką niż wszelkie kary cielesne był widok matki, która siedziała całymi nocami przy maszynie. Dzięki niej pojęłam znaczenie ciężkiej pracy, determinacji i przede wszystkim - odwagi.

Światem mojej matki byliśmy my, dzieci, i praca. Jeszcze wiele lat po przyjeździe do Izraela nie chciała się z nikim spotykać, choć kręciło się wokół niej wielu mężczyzn. Był jednak ktoś, z kim łączyła ją wspólnota doświadczeń; bardzo się zaprzyjaźnili. Nauczyciel mamy na kursach krawieckich nazywał się Zvi Wechsler. Był to człowiek po sześćdziesiątce, bardzo porządny, zawsze pogodny i uśmiechnięty, choć przeżył straszliwą tragedię. Przed wojną mieszkał w Warszawie, miał piękną żonę i dwie ładne córeczki, sześć - i ośmioletnią. A potem weszli Niemcy. Zvi musiał patrzeć, jak naziści torturują, gwałcą, a w końcu zabijają najbliższe mu istoty. Czuł się jak martwy, nie chciał dłużej żyć, lecz mimo to uciekł z obozu koncentracyjnego, by opowiedzieć całemu światu o tym, czego był świadkiem. Przyjechał do Izraela i mieszkał tu, opiekując się kaleką młodszą siostrą, jedyną osobą, która przeżyła z jego licznej niegdyś rodziny.

Zvi poznał rodzaj ludzki od najgorszej strony, doświadczył zła w czystej postaci, ale nie stracił wiary w człowieka. Dwa razy w tygodniu prowadził zajęcia w więzieniu okręgowym. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że niektórych ludzi nie da się zmienić. W ciągu wielu lat tej pracy otrzymywał wzruszające listy od byłych

więźniów, swoich uczniów, którzy pisali, że dzięki jego lekcjom i współczuciu, jakie im okazywał, starają się ze wszystkich sił odmienić swoje życie.

Podobnie jak mama odrzucał myśl o powtórny małżeństwie, ale do końca życia pozostał jej oddanym przyjacielem. Zvi nie zastąpił mi ojca, ale stał się członkiem naszej rodziny. Jedyną osobą, wobec której wyzbywał się wszelkiej rezerwy, była moja młodsza siostra, Betty. Zwykł powtarzać, że Betty to jego nienarodzona wnuczka.

Gdy tuż po osiemdziesiątce zachorował na raka okrężnicy, opiekował się nim młody chirurg, także imieniem Zvi, szwagier mojego męża Leo. Po badaniach i konsultacjach lekarze w szpitalu orzekli, że ze względu na wiek i zaawansowane stadium choroby Wechsler ma niewielkie szanse na przeżycie operacji, a na pewno nie powróci w pełni do zdrowia po szoku, jakim jest tak poważna ingerencja chirurgiczna. Trzeba mu pozwolić przeżyć resztę życia w spokoju i z godnością. Doktor Zvi był jednak przekonany, że bez operacji jego pacjent najprawdopodobniej umrze w męczarniach w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Znał tego starego człowieka i dzieje jego życia, przekonał więc kolegów i przełożonych, by pozwolono mu przeprowadzić operację.

- Ma pan wolną rękę - usłyszał w końcu - lecz jeśli coś pójdzie nie tak, odpowiedzialność spadnie na pana. Nie otrzyma pan żadnego wsparcia ze strony szpitala.

Zvi operował więc Zvi.

- Nie poddam się - oznajmił. - Nie w przypadku tego człowieka.

Operacja trwała jedenaście godzin, podczas których hałaśliwe maszyny tłoczyły tlen do płuc pacjenta, a chirurg usuwał guza i liczne przerzuty. Obaj Zvi walczyli o najwyższą stawkę i obaj wygrali. Operacja się udała, a pacjent wrócił do zdrowia, choć wydawało się, że nie ma szans. Niemal przez dziesięć lat prowadził zupełnie

normalne życie. Gdy dobiegał dziewięćdziesiątki, nastąpił nawrót choroby. Znowu operował go doktor Zvi i znowu wszystko poszło dobrze. Zvi Wechsler dożył dziewięćdziesięciu czterech lat. Nigdy się nie dowiedział, że jego imiennik był jedynym lekarzem, który zdecydował się walczyć o jego życie na przekór wszystkiemu.



W każdą rocznicę pierwszej operacji Wechsler wysyłał doktorowi Zvi kwiaty i butelkę wina. Chirurg mawiał, że były to najbardziej wzruszające dowody wdzięczności, jakie kiedykolwiek otrzymywał, a do tego ofiarodawca był naprawdę wspaniałym człowiekiem.

Po niespełna roku w Ma'on Olim staliśmy się według obowiązującej w tym domu hierarchii seniorami, dzięki czemu zyskaliśmy prawo do większego mieszkania. Składało się ono z dwóch pomieszczeń, w Stanach Zjednoczonych uznano by je za mieszkanie z jedną sypialnią. Nie mieliśmy bawialni, po prostu dwa pokoje, w których sypialiśmy, lecz i tak było nam teraz znacznie wygodniej. W Ma'on Olim mieszkania takie uchodziły za *business class*, wszyscy nazywali je „apartamentami”. Prowadziły do nich niebieskie drzwi, podczas gdy wszystkie inne mieszkania, od pierwszego do szóstego piętra, miały drzwi pomarańczowe. Przeprowadzka do nowego miejsca, na parter, oznaczała, że jesteśmy elitą, ale znalezienie się bliżej ziemi stanowiło też być może symboliczną zapowiedź, że nasz czas w tym domu dobiega końca.

Nadal chodziłam do izraelskiej szkoły podstawowej, ale chciałam pomóc mamie, która coraz ciężiej pracowała. Hebrajski przypomina nieco arabski, którym mówiliśmy w Iraku; my, dzieci, błyskawicznie

zaczęliśmy się nim posługiwać. Wkrótce czułam się na tyle pewnie, że mogłam zaoferować swe usługi jako korepetytorka. Moją podopieczną była dziewczynka, która właśnie przyjechała wraz z rodziną z Gruzji. Rodzina była bardzo zamożna. Uczyłam dziewczynkę przez kilka tygodni i gdy wreszcie otrzymałam zapłatę, okazało się, że stanowi ona równowartość mniej więcej półtora dolara. W Izraelu nawet wówczas nie było to dużo, ale byłam bardzo dumna ze swego zarobku. Gdy późnym wieczorem mama wróciła z pracy, chciałam jej oddać pieniądze. Nie zgodziła się, ale znów zobaczyłam znany błysk w jej oczach. Uścisnęła mnie jak dawniej w Bagdadzie i powiedziała, żebym wydała te pieniądze, na co chcę. Następnego dnia po szkole Ron, Jonathan, Betty i ja poszliśmy do lodziarni i urządziliśmy sobie ucztę. Nigdy nie zapomnę smaku tamtych waniliowych lodów. Czułam słodki smak zwycięstwa.

Wkrótce potem mama, bez niczyjej pomocy, wzięła dużą, wysoko oprocentowaną pożyczkę i otworzyła własny zakład. Projektowała, szyła i sprzedawała odzież, ale zarobki wystarczały akurat na utrzymanie. Kilka lat później zaciągnęła kredyt hipoteczny, wzięła jeszcze większą pożyczkę i kupiła stosunkowo duże, czteropokojowe mieszkanie. Obiecała sobie, że nie pozwoli nam cierpieć z powodu braku ojca i że będziemy żyć względnie dostatnio. Od czasu do czasu w sobotnie wieczory wcześniej kończyła pracę i w piątkę szliśmy na spacer po przepięknym bulwarze nadmorskim w Bat-Yam, a potem na lody.

Pewnej soboty pojechaliśmy do Jerozolimy, była to nasza pierwsza wycieczka do tego czarodziejskiego miejsca. Pochodziliśmy trochę po mieście, a potem mama postanowiła zaszaleć i zawieźć nas taksówką do innej dzielnicy, żebyśmy obejrzeliby wiatrak, zbudowany w XIX wieku przez sir Mosesa Montefiore, żydowskiego filantropa zamieszkałego w Anglii. Taksówka, którą złapaliśmy, była ogromna i

siedział w niej już pasażer. Wsiadłam, za mną Ron, ale Jonathan nie chciał się ruszyć. Zaczął krzyczeć, szarpać się, kopać; wszyscy musieliśmy go uspokajać. Mama szybko domyśliła się, co się stało. W Jerozolimie, zamieszkaną przez ortodoksyjnych i niewierzących żydów, chrześcijan, muzułmanów, Izraelczyków i Arabów, kierowcami taksówek byli najczęściej ci ostatni. Wielu z nich nosiło krzaczaste wąsy. W Iraku takie wąsy mieli właściwie wszyscy funkcjonariusze państwowi, policjanci, agenci tajnych służb - tacy jak ci, którzy aresztowali tatę. Jonathan zobaczył taksówkarza i arabskiego pasażera, obu z sumiastymi czarnymi wąsami, i pogubił się. Tamtej nocy, gdy iraccy agenci rozbili mu głowę o marmurową podłogę, nabawił się fobii, a my nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Byliśmy więc rodziną imigrantów, próbującą mimo bagażu ciężkich doświadczeń odbudować swoje życie w Izraelu. Mama pracowała piętnaście godzin na dobę, byśmy byli zawsze dobrze i modnie ubrani, dostawali na drugie śniadanie najlepsze kanapki i drogie owoce, i mieli wszystko, o czym zamierzemy. Pierwsi w sąsiedztwie mieliśmy nawet własny samochód, co prawda niezbyt okazały. Mama radziła sobie jakoś ze wszystkim, a przy tym przywiązywała dużą wagę do naszej nauki. Ron, który jest bardzo inteligentny, doskonale radził sobie w szkole, miał wielu przyjaciół i znajomych. Gorzej było z Jonathanem. Mama przesiadywała z nim długie godziny nad lekcjami, ale ledwie przechodził z klasy do klasy. Mnie szło w szkole dobrze, choć nie wspaniale - ograniczałam naukę do niezbędnego minimum, byle tylko mieć przyzwoite stopnie. O wiele ważniejsze było dla mnie życie towarzyskie, co przyprawiało mamę o wściekłość.

Cóż mogę powiedzieć? Chciałam być zauważana, zwracać na siebie uwagę. Nie było szkolnego przedstawienia, w którym nie grałabym głównej roli. Uwielbiałam wkładać rozmaite kostiumy, stać na scenie

w świetle reflektorów, przykuwać uwagę publiczności. Nie znałam tremy. Stałam się popularna, może zbyt popularna, ponieważ poświęcałam więcej czasu przyjaciółkom niż odrabianiu lekcji. Zaczęłam także zauważać, że chętniej bywam w domach dziewczynek, które mają ojców. Gorąco pragnęłam móc używać słowa *abba*, hebrajski odpowiednik taty. Nigdy nie było mi dane wymówić tego pięknego hebrajskiego słowa, zazdrościłam dziewczynkom, które mają *abba* i mogą go tak nazywać, ilekroć zechcą. Czasem, w nadziei, że nikt nie usłyszy, szeptałam cicho *abba* do ojców koleżanek, by sprawdzić, co się wtedy czuje.

Na domiar wszystkich kłopotów mamy moja popularność i pewność siebie sprawiły, że po latach znów ujawniła się typowa dla mnie skłonność do psich figli, całkowicie stłumiona w czasach aresztu domowego w Iraku. Gorące, słoneczne Bat-Yam stwarzało po temu znakomite okazje. Ponieważ chciałam uniknąć kolejnego lania, działałam ostrożniej. Same wygłupy to nie problem, myślałam, kłopot jest wtedy, gdy cię złapią. Udoskonaliłam więc metody. Wychodziłam ze szkoły i szłam na plażę, często w towarzystwie przyjaciół, którzy ulegali moim namowom. A potem wracaliśmy z jakimś wymyślonym usprawiedliwieniem, którego nauczycielka nie mogła odrzucić, bo potwierdzało je wielu uczniów.

Poznawszy siłę pieniądza i zalety wolnego rynku, czas spędzany poza szkołą wykorzystywałam, handlując na ulicach najrozmaitszymi rzeczami. Pewnego dnia sprzedawałam owoce kaktusa, które są w Izraelu cenioną przekąską. Nie miałam jednak żadnego doświadczenia w obchodzeniu się z takim kłującym towarem, podawałam więc owoce gołymi dłońmi. Bolały mnie potem i swędziały całe tygodnie.

Czasami kupowałam produkty w supermarkecie i odsprzedawałam je w szkole po nieco wyższej cenie. W szkole tego typu przedsięwzięć

wyraźnie nie zabraniano, w domu nie były jednak tolerowane, i gdy mama przyłapywała mnie na handlu, dostawałam w skórę. Ten powtarzający się rytuał wymierzania kary na tyle mi spowszedniał, że opanowałam sztukę uników, a mama także przyjęła zasady gry. Jej ulubioną pomocą wychowawczą był pantofel; świetnie opanowała technikę trafiania do szybko uciekającego celu.

Jonathan i ja często zmawialiśmy się przeciwko Ronowi. Był tak poważny i odpowiedzialny, że aż się o to prosił. Wieczorem w dniu poprzedzającym jego pierwszą randkę mimochodem wspomnieliśmy mamie, że idziemy razem z Ronem.

- Aha - mruknęła, pochylona nad maszyną do szycia, bo właściwie nie słyszała, co do niej mówimy.

Nasza sztuczka podziałała; rzucone w roztargnieniu „aha” potraktowaliśmy jako zgodę. Następnego dnia chodziliśmy za Ronem, a gdy spotkał się ze swoją dziewczyną, dołączyliśmy do nich i zmusiliśmy ich, by zabrali nas do kina. Ron po raz ostatni widział wówczas tę pannę. Płataliśmy mu najrozmaitsze figle i stroiliśmy sobie z niego żarty, ale on nigdy się nie obrażał i zawsze traktował wszystko z humorem. Tego wieczoru, gdy mama powiedziała nam, że Ron wyjeżdża, czuliśmy się tak, jakby cegła spadła nam na głowy.

W Iraku w zamożnych rodzinach istniał dawniej zwyczaj wysyłania młodych ludzi do szkół za granicą, by zapewnić im najlepsze wykształcenie, jakie można dostać za pieniądze. Ron, osiągnąwszy odpowiedni wiek, także został wysłany do szkoły w Anglii. Mama miała tam brata, Ron mógł więc u niego zamieszkać. Zdaniem mamy było to dla Rona najlepsze i być może miała rację. Ale co czuł mój biedny starszy brat?! Wszystko właśnie zaczęło się układać, znów byliśmy szczęśliwą rodziną, a on miał to wszystko zostawić. Jonathan i ja także byliśmy załamami, przepłakaliśmy wiele nocy z twarzami ukrytymi w poduszkach.

Ron wyjechał i zostawił po sobie pustkę. Jego wyjazd szczególnie pod jednym względem zmienił moje życie. Starszy brat opiekował się nami, zawsze można było się do niego zwrócić, zastępował nam ojca. Teraz go zabrakło, mama pracowała jak szalona i w pewnym sensie zostałam sama. Jonathan odmawiał udziału w jakichkolwiek pracach domowych w przekonaniu, że to niemęskie. Mama musiała spędzać z nim wiele czasu przy odrabianiu lekcji i była tak zaabsorbowana łagodzeniem jego zmiennych nastrojów, że nie miała już siły walczyć, by wypełniał domowe obowiązki. Betty natomiast, teraz już uczennica, i to świetna, była tak pochłonięta nauką - mama czasem przyłapywała ją na czytaniu do późna w nocy przy schowanej pod kołdrą latarce - że nie brała żadnego udziału w codziennych pracach, niczego nie tykała. Pozostałam więc tylko ja i nie tylko miałam na głowie cały dom, ale i młodsze rodzeństwo.

Poza domem - w szkole, na koncertach, spotkaniach towarzyskich - zawsze znajdowałam się w centrum uwagi; w domu byłam kiepską uczennicą, przyszłą kryminalistką i darmową gosposią. Czułam się ciągle bita i łajana, zaczęłam myśleć, że mama mnie nie cierpi i się mnie wstydzi, jakbym była czarną owcą w rodzinie. Toteż gdy mama wydała swoje oszczędności na wspaniałe, wręcz wystawne przyjęcie z okazji mojej bat micwy, przeżyłam prawdziwy wstrząs. Może mimo wszystko była ze mnie dumna.

W tym właśnie czasie coraz bardziej absorbowwała mnie kwestia zaangażowania mojego ojca w konflikt arabsko-izraelski. Ron był daleko, w Anglii, w szkole świetnie mu się wiodło i wcale nie interesowały go tragedie z przeszłości. Jonathan także nie chciał zagłębiać się zbyt w ten temat. Betty nie było na świecie, gdy wszystko to się działo, nigdy nie знаła swojego ojca. Czas mijał, a ja coraz więcej o tym rozmyślałam. Zajęta szkołą, przyjaciółmi, chłopcami i prowadzeniem domu miałam niewiele czasu dla siebie.

Mimo to zaczęłam szukać informacji. Obejrzałam albumy fotograficzne całej naszej rodziny, gromadziłam zdjęcia i zapiski, wypytywałam mamę o wszelkie informacje dotyczące ludzi na zdjęciach. Stopniowo zestawiałam swoje pierwsze dossier, nawet nie przypuszczając, że sporządzanie dossier stanie się kiedyś moją niekwestionowaną specjalnością. Następnie przeczesiałam biblioteki i archiwa publiczne; czytałam wszystko, co udało mi się znaleźć na temat wojny sześciodniowej i jej następstw, oraz szukałam wzmianek mogących naprowadzić mnie na trop taty. Stare gazety, czasopisma, artykuły, dokumenty, książki historyczne, zdjęcia - przez wszystko to przebrnęłam. Czytałam po hebrajsku, arabsku i angielsku i po raz pierwszy przekonałam się, jak wielkie możliwości stwarza umiejętność czytania dokumentów w języku oryginału. Jakże przydatna okazała się ta umiejętność w moim późniejszym życiu! Ponieważ chciałam wiedzieć więcej, pisałam do polityków, historyków, znawców problematyki, prosząc o kopie dokumentów, pytając o opinie.

Niestety, wszystkie dokumenty miały pieczęć tajności, mogły być ujawnione opinii publicznej dopiero po pięćdziesięciu latach, moje poszukiwania zakończyły się więc fiaskiem; nie zdobyłam żadnej cennej wskazówki ani użytecznej informacji. Wierzę jednak, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałam, że te poszukiwania będą miały tak zasadniczy wpływ na moje życie. W istocie zdecydowały o mojej drodze życiowej. Jestem przekonana, że nie ma nic ważniejszego niż to, co robię dziś, i kocham każdą sekundę swojej pracy, ale oddałabym wszystko, by tata nie musiał umrzeć i nie zostawił mi takiego dziedzictwa. To wielki ciężar.

Mimo że moje poszukiwania jak dotąd były daremne, nie zamierzałam poddać się bez walki. Zgłosiłam się na ochotnika do

pracy u członka izraelskiego parlamentu i dzięki temu uzyskałam wreszcie dostęp do biblioteki i archiwów Knesetu. Są tam dokumenty, których nie znajdzie się nigdzie indziej.

Pewnego wieczoru siedziałam w bibliotece, przeglądając jakieś papiery, i nagle zobaczyłam to zdjęcie. Byłam zszokowana. Patrzyłam i nie mogłam złapać tchu. Próbowałam oddychać, ale brakowało mi powietrza.

To było to. To był dowód. Czarno-biała fotografia. Tak długo szukałam odpowiedzi, a teraz gdy już znalazłam, wolałabym jej nigdy nie poznać. To było zdjęcie z egzekucji na głównym placu Bagdadu. Pod spodem przeczytałam nazwisko mego ojca i podpis z objaśnieniem. Zaczęłam rozpaczliwie płakać, przede wszystkim nad tatą. Nawet dziś, gdy przypominam sobie tę chwilę, nie mogę powstrzymać łez.

Wydawało mi się, że go słyszę. Tak, to on, znów zatrąbił. Właśnie wyszłam spod prysznic, z włosów ściekała mi woda, tworząc kałuże na kafelkach podłogi. Czy nie przyszło mu do głowy, żeby przyjść po mnie na górę, zamiast wisieć na klaksonie? Co za leń. Przecież nie ma jeszcze osiemnastu lat, dwa piętra go nie zabiją. Popędzał mnie, a ja nie lubiłam być poganiana. Spojrzałam na zegarek. Ojej. Za kwadrans dziewiąta, a mówiłam, żeby przyszedł koło ósmej. Nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Wychyliłam się z okna łazienki i krzyknęłam:

- Chodź na górę, potrzebuję jeszcze kilku minut!
- Nie spiesz się, poczekam tutaj! - odkrzyknął. Co za dżentelmen.

Teraz dopiero zaczęłam się denerwować. Otworzyłam szafę, chwyciłam pierwszą z brzegu bluzkę i dżinsy, szybko się ubrałam. Wychodząc, zatrzymałam się na chwilę przed lustrem. Co oni wszyscy we mnie widzą? Nie wiedziałam. Oczy? Piersi? Nogi, karnacja, o co tu chodzi? Jako nastolatka miałam dość pełną

sylwetkę. Nie byłam gruba, tylko zaokrąglona tu i tam, przeważnie we właściwych miejscach. Chłopcy podrywali mnie nieustannie - nie dlatego, że prowokowałam swoim zachowaniem czy byłam łatwa. Ani jedno, ani drugie. Z Jossim, chłopcem, który teraz trąbił, spotykałam się od blisko dwóch lat. Pochodził z Iranu, był wysoki, miał zielone oczy i ciemne, kręcone włosy i myślałam wówczas, że go kocham. Mama była zdecydowanie przeciwna tej znajomości. Po prostu nie lubiła Jossiego z nieznanymi mi powodów. Jeszcze raz zerknęłam w lustro. Co takiego widzą inni, czego ja nie dostrzegam? Naprawdę nie mogłam pojąć, dlaczego tylu chłopców kręci się koło mnie. Zbiegłam na dół.

Jossi miał mały samochód, nawet jak na izraelskie standardy. W Izraelu volvo właściwie uważane jest za limuzynę; większość członków rządu jeździ autami tej marki. Nic dziwnego, że dwudrzwiowy ford fiesta Jossiego uchodził za taki sobie wóz. Najczęściej używanym urządzeniem w tym samochodzie był, jak można się domyślać, klakson. Większość Izraelczyków nader chętnie używa klaksonu po to, by zasygnalizować niebezpieczeństwo, wyrazić niezadowolenie z umiejętności innego kierowcy lub uznanie dla pięknej dziewczyny idącej chodnikiem, lub po prostu po to, by zawiadomić kogoś znajomego, że ma zejść - nawet jeśli ta osoba mieszka na drugim piętrze.

Samochodem Jossiego jeździliśmy na plażę, do kina, do parku, na zabawy. Nie przejmowałam się zbytnio nauką, co odzwierciedlały moje stopnie. Byłam zaabsorbowana swoim chłopakiem i życiem towarzyskim i być może dlatego mama nie lubiła Jossiego. Wiedziała, że jedynym kluczem do sukcesu jest wykształcenie.

Gdy zerwałam z Jossim, konkurenci dosłownie ustawiali się w kolejce do naszych drzwi. Z niektórymi próbowałam się spotykać. Umawiałam się z wysokimi i niskimi, szczupłymi i grubawymi,

bogatymi i biednymi, intelektualistami i prostymi chłopcami. Niektórzy byli bardzo mili, ale w żadnym się nie zakochałam. Po randce czy dwóch kończyłam znajomość. Zaczynało do mnie docierać, że tracę czas. Im częściej jednak mówiłam „nie”, tym bardziej nalegali na spotkania. W końcu stało się to męczące. Postanowiłam skończyć z randkami i wreszcie zająć się nauką.

Nadal poszukiwałam informacji związanych ze śmiercią taty. Mama była zupełnie pewna, że nie był szpiegiem, ale ja miałam własne podejrzenia. Im więcej na ten temat rozmyślałam, tym większą zyskiwałam pewność, że jedyną drogą rozwiązania tajemnicy są studia. Studiowałam więc problematykę Bliskiego Wschodu na uniwersytecie w Tel Awiwie. Przedmiot interesował mnie coraz bardziej i mimo że w szkole średniej moje oceny dalekie były od celujących, na wydziale spraw bliskowschodnich radziłam sobie doskonale. Zdołyłam szeroką wiedzę i taką znajomość rzeczy, że stałam się ekspertem w tej dziedzinie.

W środowisku akademickim w Tel Awiwie żartowano sobie, że studentki niektórych wydziałów wstąpiły na uniwersytet tylko po to, by złapać wykształconego męża. Pewne kierunki, zwłaszcza związane z naukami społecznymi - między innymi także wydział bliskowschodni - nie zapewniały absolwentom wspaniałej przyszłości. Nazywano je z przekąsem „wydziałami matrymonialnymi”. A jak wiadomo, w każdej plotce jest ziarnko prawdy...

Leo mieszkał w Bat-Yam w bliskim sąsiedztwie, ciągle go widywałam. Bezpośrednio zetknęłam się z nim, jeśli można to tak nazwać, tylko raz, w pierwszej klasie szkoły średniej, gdy przyszedł na lekcję biologii. Chodziliśmy do tej samej szkoły i moja nauczycielka biologii, wysoko ceniąca Leo, poprosiła go, by poprowadził u nas lekcję na temat, który był mu lepiej znany niż jej.

Pamiętam, pomyślałam wówczas, że to całkiem fajne, że ten facet tyle wie, ale nie zastanawiałam się nad tym zbyt. Następnym razem spotkaliśmy się po latach w autobusie jadącym na uniwersytet. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że ma samochód, który właśnie jest w naprawie, i że gdy odbierze wóz z warsztatu, będzie szczęśliwy, mogąc mnie podwozić, jeśli oczywiście będę miała na to ochotę. Po pewnym czasie przypomniałam mu o tej propozycji i Leo zaczął mnie wozić z domu na kampus raz czy dwa razy w tygodniu.



To był prawdziwy oryginał. Miał długie, jasne włosy, dłuższe niż moje, i chyba nigdy ich nie cesał. Był jedynym studentem swojego wydziału, który pojawiał się na wykładach w krawacie. Zasady dotyczące ubioru są w Izraelu znacznie swobodniejsze niż w Stanach Zjednoczonych, dlatego początkowo wielu kolegów uznało go za dziwadło, ale już na drugim roku prawie połowa studentów z jego grupy nosiła krawaty. Leo nie znosił małych samochodów, uwielbiał natomiast wielkie amerykańskie dinozaury, rzucające się w oczy wszędzie, a tym bardziej w Izraelu. Nigdy, w żadnej sytuacji nie używał klaksonu, gardził tym. Przyjechał tu z Rosji jako chłopiec i miał kilku rosyjskich przyjaciół, z którymi lubił popijać. Miał bardzo mocną głowę i potrafił sporo w siebie wlać. Opowiadał mi dowcipy, których nie mogłam zrozumieć, i miałam niejasne wrażenie, że się ze mnie nabija.

Gdy pewnego wieczoru po raz kolejny odwiózł mnie do domu, zaprosiłam go na górę. Mama dawała do zrozumienia, że chciałaby

poznać mojego oddanego kierowcę, a ja nie byłam nawet pewna, czy lubię tego faceta. Leo wszedł, usiadł na chwilę, zamienił parę słów z mamą i Jonathanem i poszedł do domu. Potem przyszedł jeszcze raz, a ja ciągle nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Mama namawiała mnie, bym się z nim umówiła na randkę.

Dar Józefa? Nadal nie rozumiałam, dlaczego mnie na to namawia. Powiedziała mi później, że nocą przed pierwszą wizytą Leo w naszym domu zobaczyła we śnie tatę. Uśmiechał się do niej, machał ręką na do widzenia, a potem odwrócił się i powoli odszedł. Zdaniem mamy taki sen oznacza, że nadszedł dla niej czas opuścić kogoś, a inaczej mówiąc - to ja miałam opuścić rodzinę i założyć własną.

Nie wierzyłam w ani jedno słowo. Zawsze gdy matka chciała mnie przekonać do zrobienia czegoś, powoływała się na sen, który wyraźnie pokazywał, dlaczego coś należy zrobić. Myślę, że wymyślała te sny na poczekaniu. Dlaczego jednak upodobała sobie Leo? Znałam miłszych, bogatszych, starszych chłopców, ale żaden jej się nie podobał. Leo był młodszy ode mnie, dopiero zaczął studia, i nie wydawał się raczej dostatecznie dojrzały, by myśleć o poważnym związku.

Poprosiłam w końcu Leo o spotkanie. To było dla mnie coś zupełnie nowego. Zwykle to o mnie zabiegano, a tu proponuję randkę komuś, o kim nie mogę nawet powiedzieć, że go lubię. Drażniło mnie jego poczucie humoru, uważałam go za zimnokrwistego aroganta, a na dodatek nie cierpiał mojej ulubionej muzyki Bliskiego Wschodu i muzyki arabskiej. Poszliśmy do bardzo przyjemnego pubu Rothschilda w Tel Awiwie. Wypiliśmy kilka piw, Leo opowiedział mi parę historyjek i zanim zorientowałam się, co się dzieje, byłam zakochana po uszy. Nie wiem, czy sprawił to alkohol, urok tego miejsca, opowieści Leo czy cudowna muzyka Erica Claptona, ale moje wątpliwości - i zahamowania - zniknęły

całkowicie. Gdy spotkaliśmy się kilka dni później, zauważyłam, że Leo jest nieco zakłopotany i ma na końcu języka pytanie, czy pamiętam, co się stało na naszej randce. Jako prawdziwy dżentelmen nie zapytał jednak, a ja nigdy o tym nie mówiłam. Oczywiście, wszystko pamiętałam.

Z okazji Dnia Niepodległości, przypadającego w Izraelu w końcu kwietnia lub na początku maja, zależnie od żydowskiego kalendarza, wiele osób bierze zwykle kilka dni wolnego i wyjeżdża za miasto. O tej porze roku pogoda jest piękna. Spotykałam się z Leo od paru tygodni i miałam nadzieję, że wspólnie ustalimy plany na święta. Zamiast tego - zniknął. Nie zadzwonił, nie dał znaku życia. Nie robiłam innych planów, dlatego spędziłam świąteczne dni w domu. Co za bezczelny facet. Nikt mnie jeszcze tak nie potraktował. Postanowiłam, że cokolwiek powie na swoje usprawiedliwienie, nie chcę mieć z nim do czynienia.

Kilka dni później zjawił się w naszym mieszkaniu. Wyszłam spod prysznic i zobaczyłam, że stoi w moim pokoju. Przyjęłam go bardzo chłodno. Był zdziwiony, nie rozumiał, w czym problem. Dwoje ludzi, którzy są ze sobą w stałym związku, próbowałam tłumaczyć, nie porzuca się nawzajem ot tak, po prostu, a już z pewnością nie podczas świąt. Zaskoczony przeproszał, wyjaśniał, że zadzwonili jego przyjaciele i podjęli spontaniczną decyzję wyjazdu do Ejlatu.

Ejlat! A to drań! Ejlat to moje ulubione miasto! Położone tuż przy olśniewających plażach i rafach koralowych nad Morzem Czerwonym, jest chyba najbardziej zdumiewającym miejscem na półkuli północnej. To był koniec, nie miałam ochoty więcej z nim rozmawiać. Leo nie ustępował jednak, wciąż przeproszał, powtarzał, że był przekonany, iż chcę spędzić święta z rodziną i tak dalej, i tak dalej.

Na wojnie i w miłości, mówił Miguel Cervantes, twierdza, która

wdaje się w negocjacje, musi zostać zdobyta. To prawda. Spotkaliśmy się później tego dnia, spędziliśmy trochę czasu na rozmowie i poszliśmy do niego. Znowu rozmawialiśmy, zaczęliśmy się całować i skończyliśmy w łóżku. Tam czekała mnie niespodzianka. Leo okazał się bardzo delikatny i czuły, ale nie to chodzi. Nie był moim pierwszym chłopakiem i nie przeszkadzało mu to. Było dla mnie oczywiste, że on także ma pewne doświadczenie. Wydarzyło się jednak coś dla mnie nowego i po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego robi się tyle hałasu wokół seksu. To był najprawdziwszy wstrząs. Poczułam się o wiele bardziej kobietą niż kiedykolwiek wcześniej. Później, gdy Leo podszedł do biurka, wziął dwa papierosy i przypalił dla nas obojga, nagle zobaczyłam światło. Nie to z zapalniczki Zippo - doznałam olśnienia, bo zrozumiałam, kim jest dla mnie ten człowiek. Ten arogancki, samolubny, nieliczący się z innymi smarkacz będzie ojcem moich dzieci. Spojrzałam na niego i zobaczyłam je - biegały, grały w piłkę, opryskiwały się wodą, śmiały się i krzyczały. Nie wiem, dlaczego zobaczyłam ten obraz, ale jego znaczenie było dla mnie całkowicie jasne. To jest on. Jakim cudem mama to przewidziała?

Spotykałam się z Leo, ale w tym właśnie czasie musiałam, jak wszyscy Izraelczycy, odbyć obowiązkową służbę wojskową. Pierwszy okres tej służby polega na intensywnych ćwiczeniach i może być ciężki dla wielu dziewcząt, nawet dla niezbyt rozpieszczonych. Trzeba strzelać, biegać, wspinać się na linie po ścianach, czyścić ubikacje, myć wielkie gary i rondle; jada się bardzo mało i jeszcze mniej śpi. Częścią treningu są obelgi i szykany przełożonych, dziewczyn, których przewaga nad pozostałymi polega tylko na tym, że znalazły się w armii kilka miesięcy wcześniej. Wiele poborowych okupuje ćwiczenia łzami.

Miałam szczęście, zostałam skierowana do bazy położonej

zaledwie pięć mil od naszego domu. Co wieczór, gdy inne dziewczęta narzekały na ćwiczenia, użalały się nad sobą i liczyły pęcherze na stopach i dłoniach, ja przyjmowałam gościa. Leo, jako oficer, miał wolny wstęp do bazy, czyli przywilej niedostępny większości krewnych innych dziewcząt. Przynosił kwiaty, słodczyce i różne smakołyki, miłe drobiazgi, nawet wino, ale najważniejsze było to, że mogliśmy się widywać. Znaleźliśmy jakiś spokojny kąt i tam spędzaliśmy razem czas. Jak mogłam poważnie traktować ćwiczenia wojskowe, skoro niemal co wieczór miałam tyle przyjemności? Inne dziewczyny były tak zazdrosne, gdy widziały, jak wracam z liśćmi i źdźbłami trawy we włosach, że nawet batoniki i inne przysmaki, którymi starałam się je przekupić i ugłaskać, niezbyt skutecznie broniły mnie przed ich gniewem.

Po wyjściu z wojska wzięliśmy z Leo ślub. Oboje byliśmy bardzo młodzi, oboje jeszcze studiowaliśmy. Przenieśliśmy się do własnego małego mieszkania. Dwa lata później urodziłam syna, któremu daliśmy imię Jordan. Kontynuowałam studia i w tym właśnie czasie po raz pierwszy zetknęłam się z agentami wywiadu. Nie było to zbyt przyjemne. Leo wierzył i ciągle gorąco wierzy, że Palestyńczycy powinni mieć własne państwo, ale w Izraelu panowała wówczas histeria podobna do polowania na czarownice w czasach maccartyzmu, w latach pięćdziesiątych, i takie poglądy nie były miłe widziane. Ludzie lewicy, która na początku lat siedemdziesiątych, niedługo po zakończeniu wojny sześciodniowej, optowała za utworzeniem niezależnego państwa palestyńskiego, byli prawdopodobnie uważani za zdrajców i potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Przyszli do mnie dwaj agenci z propozycją, bym „miała oko” na działaczy lewicowych, także i na Leo. Czułam niesmak i odpowiedziałam, żeby poszukali wtyczek gdzie indziej.

Cudownie jest być żoną i matką, ale niesie to ze sobą odpowiedzialność. Musieliśmy zarabiać na życie. Chciałam studiować, ale to nie dawało pieniędzy na chleb. Leo także się uczył i ledwie wiązaliśmy koniec z końcem. Trzeba było rozejrzeć się za jakimś bardziej dochodowym zajęciem. Postanowiłam włączyć się do biznesu mamy i upiec w ten sposób dwie pieczenie na jednym ogniu. Zakład odzieżowy matki był właśnie w nie najlepszej kondycji z powodu szalejącej inflacji i słabości izraelskiej gospodarki. Miałam nadzieję, że uda mi się zarobić trochę pieniędzy dla mojej rodziny, a jednocześnie poprawić sytuację mamy.

Zarówno branża odzieżowa, jak i prowadzenie interesów były dla mnie czymś zupełnie nowym. Oczywiście, nosiłam ubrania, ale na tym kończyła się moja wiedza o nich. Firma odzieżowa oznaczała dla mnie siedzenie do późnej nocy, projektowanie, krojenie i szycie - tak jak robiła to mama. Niezbyt pociągająca perspektywa, myślałam. Zdecydowałam więc skupić się raczej na marketingu, niż włączać bezpośrednio w proces produkcji. Pozbawiona elementarnej wiedzy zaczęłam karierę handlowca. Maszerowałam z jednej dzielnicy sklepów odzieżowych do drugiej, taszcząc ciężką walizę z próbkami strojów, o których niewiele wiedziałam. Pokazywałam próbki i gdy padały jakieś pytania, przerywałam prezentację, by zadzwonić do mamy i uzyskać odpowiedź. Nie miałam pojęcia o cenach, rozmiarach, materiałach, jakości, gwarancjach, kredycie, podaży, handlu hurtowym; nic nie wiedziałam. Niektórzy właściciele sklepów patrzyli na mnie z politowaniem, a potem pod byle pretekstem starali się mnie pozbyć. Inni uznawali mnie za zupełną kretynkę, a mniej uprzejmi dzielili się ze mną tą opinią. Zdawałam sobie sprawę, że jestem ignorantką i tupeciarą, ale miałam też świadomość, że nie jestem głupia. Nie zrezygnowałam i stopniowo dowiedziałam się wszystkiego o stopach procentowych, tkaninach i

barwnikach, ozdobach i dodatkach, a przede wszystkim o tym, jak przyciągnąć uwagę i skusić nawet najbardziej nieugiętych i niezainteresowanych właścicieli sklepów. Zaczęłam otrzymywać pierwsze zamówienia; początkowo na małe partie - kupcy obawiali się ryzyka - i po śmiesznie niskich cenach. Potem liczba zamówień stawała się coraz większa. Ubrania mamy były, wysokiej jakości. Ci, którzy złożyli zamówienia, zawsze dzwonili po kilku dniach, mówili, że sprzedali wszystko, i prosili o dostanie towaru.

Nie minęło wiele czasu, a nasze ubrania sprzedawały się błyskawicznie, przychodziło coraz więcej zamówień i byłyśmy coraz bardziej zajęte. Zaczęłam nawiązywać kontakty z siecią największych domów towarowych w kraju. Te giganty zawsze nieufnie odnosiły się do współpracy z małymi wytwórniami, które często były niesolidnymi partnerami. Mama kilkakrotnie próbowała dawniej sprzedać jakieś swoje wyroby domom towarowym, ale nie zamówiono ani jednej rzeczy. Ja chodziłam do wytwórnych biur i oznajmiałam właścicielom, że to nie ja ich potrzebuję, tylko oni mnie; że składam tę ofertę tylko raz i jeśli okazja nie zostanie wykorzystana, nie będzie drugiej szansy. Mówiłam, że nasze kolekcje sprzedają się jak świeże bułeczki - były to pierwsze słowa w mojej prezentacji choć trochę podobne do prawdy - i że sprzedaż naszych ubrań w sklepach konkurencji poważnie zaszkodzi ich interesom. Nie wiem dlaczego, ale kupowali i moją przemowę, i ubrania. Połączenie dobrej jakości towaru i mojego tupetu przyniosło w rezultacie wielkie zamówienia, niemal dla nas za duże. Zaczęłam pracować dwa razy ciężiej. Osobiście jeździłam do fabryk włókienniczych, wytwórni dodatków i hurtowni, i musiałam szybko uzupełnić wiedzę w tym zakresie. Nie było czasu na systematyczną naukę, ale nie mogłam pozwolić na to, by ktoś nas oszukał. Jeśli przy tak wielkim zamówieniu, postawiwszy wszystko na jedną kartę, dostarczymy

towar słabej jakości, będzie to oznaczało koniec naszego interesu. W tym czasie nie byłam już tylko pomocnicą mamy przy projektowaniu wzorów. Teraz do mnie należało ostatnie słowo i decydowałam, co musi zostać zrobione i co będziemy sprzedawać.

Udało się. Sukces był fenomenalny. Ubrania znikły ze sklepów jeszcze przed dostawą kolejnej partii. Odbierałyśmy telefony z wielu sklepów tej sieci z prośbą o więcej i z informacją, że ludzie pytają o naszą kolekcję. Standard życia rodziny podniósł się tak, że mogliśmy pozwolić sobie na kupno ładnych domów na przedmieściach - naprawdę ładnych, w miłej okolicy. Zegnaj, Bat-Yam. Przeprowadziliśmy się z Leo do domu sąsiadującego z domem mamy.

Wtedy właśnie zrobiłam coś, co miało wpływ na moje przyszłe życie, lecz o tym nie mogłam mieć wówczas najmniejszego pojęcia. Postanowiłam spenetrować największy i najtrudniejszy rynek odzieżowy w Izraelu: ten, który zaspokajał potrzeby społeczności ortodoksyjnych Żydów. Ludzie ci, jak łatwo się domyślić, mieli specyficzny stosunek do prokreacji.

O ile w rodzinach świeckich było przeciętnie jedno lub dwoje dzieci, o tyle u ortodoksów - zwykle dwanaścioro, czternascioro, a nawet więcej. Do tego mieli zwyczaj ubierania wszystkich dzieci, chłopców i dziewczynek, w nowe stroje na każde święta. A w Izraelu świąt jest, dzięki Bogu, wiele. Ten rynek był więc potencjalną żyłą złota, miał jednak wielki minus. Ortodoksi kupują wszystko tylko od własnych ludzi. Nie zaopatrują się u świeckich kupców choćby dlatego, że ci nie mają w ofercie odpowiednich strojów - długich sukien z długimi rękawami, koronek, nakryć głowy i wszystkiego, czego trzeba do skompletowania ubioru. Po drugie ortodoksyjni Żydzi chcą mieć do czynienia z ludźmi, którzy wyglądają jak oni, są ubrani jak oni, mówią ich językiem i myślą jak oni. Uświadomiwszy to sobie, poświęciłam pewien czas na studiowanie zwyczajów tej

grupy. Gdy uznałam, że jestem gotowa, włożyłam długą suknię z długimi rękawami, zgodnie z tradycją nakryłam głowę i szyję i poszłam do dzielnicy zamieszkaanej przez ortodoksów. Aby nie przedłużać opowieści, dodam tylko, że przedsięwzięcie powiodło się doskonale. Właśnie wtedy nauczyłam się sztuki kamuflażu, rozpluwania się w tłumie, dostosowywania się do otoczenia, przybierania różnych osobowości.

Wczesnym rankiem wkładałam obciste dżinsy i T-shirt, szłam do naszej małej wytwórni, nadzorowałam szwaczki, doglądałam wszystkiego. Później wkładałam żakiet i udawałam się na spotkanie z dyrektorem wielkiej sieci domów towarowych; omawialiśmy kwestie sprzedaży, dystrybucji i fasonów. Następnie przebierałam się w samochodzie w strój ortodoksyjnej Żydówki i w tym przebraniu odwiedzałam nasze sklepy w B'nai-Braq i Jerozolimie, upewniałam się, że wszystko idzie dobrze i pomagałam w sprzedaży. W końcu, znów w dżinsach i T-shircie, wracałam do przemysłowej dzielnicy Tel Awiwu, by spotkać się z wytwórcami tkanin. W owym okresie życia przywykłam zmieniać się w kogoś innego w ciągu kilku minut.

Interes kwitł. Kierowałam wszystkim osobiście. Rodzina się rozrastała, mieliśmy troje dzieci, trzech chłopców - Jordana, Gila i Charliego. Jordan chodził już do szkoły. Mieliśmy wielu przyjaciół i prowadziliśmy ożywione życie towarzyskie. Bawiliśmy się doskonale, a życie wydawało się piękne.

Niestety, ta idylla nie mogła trwać wiecznie. Jabłko było duże, słodkie i soczyste, ale od środka zjadał je robak.

Po powrocie z wojny w Libanie Leo stawał się coraz bardziej niespokojny. Zaczął przekonywać mnie, że powinniśmy spróbować życia gdzie indziej, wyjechać z Izraela przynajmniej na jakiś czas. Nie chodziło o wojnę. Miał dość powszechnego w Izraelu grubiaństwa, szaleństwa na drogach, klaksonów i w ogóle tutejszych manier i

zwyczajów. Byłam absolutnie przeciwna temu pomysłowi. Uważałam się za patriotkę. Tata umarł, ponieważ był Żydem z diaspory, a przy tym w Izraelu dobrze nam się wiodło pod względem finansowym. Wyjazd nie wchodził w rachubę. Leo jednak bez przerwy powracał do tego tematu, choć przez lata nie był nawet pewien, dokąd powinniśmy wyjechać.

Nie zmieniłam decyzji z dnia na dzień, ale mój opór zaczął stopniowo słabnąć. Nie byłam tak szalona, by uważać Izrael za Ziemię Obiecaną. Gdyby trzeba było określić życie tu jednym zdaniem, z pewnością znalazłyby się w nim słowa „trudności” i „wojna”. Byłam dzieckiem, gdy wybuchła wojna Jom Kippur, i doskonale pamiętam tamten czas. Widziałam młodych ludzi, którzy wstępowali do wojska i nigdy nie wrócili. Mam w uszach ryk syren alarmowych... Potem była wojna w Libanie. Leo na niej walczył, a ja kilkakrotnie jeździłam na północ w pobliże strefy wojennej, by zabrać go do domu na krótki urlop. Dwa razy omal wówczas nie zginął. I w końcu wojna w Zatoce, i znów syreny. W tym czasie my, cywile, byliśmy na linii frontu, scudy latały wszędzie. Chcąc nie chcąc, wszyscy zostaliśmy żołnierzami.

Ponieważ Leo był oficerem, a armia wiedziała, że zbliża się wojna, został zmobilizowany na początku stycznia 1991 roku, przed pierwszym bombardowaniem Bagdadu przez siły sprzymierzone. Dwa dni później, w połowie stycznia, zaczęło się. Nadleciały pierwsze pociski, scudy od Saddama. Wiedzieliśmy, że Saddam Husajn ma zamiar użyć broni masowej zagłady, toteż gdy wyły syreny, wszyscy chowali się w „zaklejonych pokojach”, jak je nazywaliśmy, nie zaś w schronach przeciwlotniczych. Chodziło o to, by zabezpieczyć się przed gazami trującymi i bronią biologiczną. W każdym mieszkaniu zaklejano szczelnie okna jednego pokoju płachtami plastiku i taśmą. Na dźwięk syren biegliśmy do tego

pokoju, wkładaliśmy maski przeciwgazowe, zamykaliśmy drzwi i uszczelnialiśmy je wilgotnymi ręcznikami, by gaz nie przedostał się do środka. Siedzieliśmy w maskach, dopóki nie nadszedł sygnał, że pociski nie zawierają gazu ani ładunku biologicznego. Wszystko to trzeba było zrobić w trzydzieści sekund. Ani chwili dłużej, bo - jak twierdziły władze - mogłoby być za późno. To jeszcze nie wszystko. W niektórych miejscach syreny znajdowały się zbyt daleko i słabo je było słychać, radio musiało więc być nastawione na „cichą falę”, kanał, na którym panowała absolutna cisza. W chwili gdy radary wojskowe przekazywały ostrzeżenie, w radiu rozlegało się wycie syren. Wszyscy spaliśmy, a właściwie czuwaliśmy, z odbiornikami przy łóżkach nastawionymi na „cichą falę”. Większość nalotów następowała w nocy, w owym czasie nie mogliśmy więc porządnie przespać ani jednej nocy.

Do tego dochodził problem z maskami gazowymi. My, dorośli, jakoś sobie z nimi radziliśmy. Ale co z dziećmi? Charliego nie było jeszcze na świecie, ale byli Jordan i Gil. Dla starszych dzieci, takich jak Jordan, można było zdobyć maski mniejszych rozmiarów, dla bardzo małych wynaleziono urządzenie wyglądające jak szpitalny namiot tlenowy czy plastikowy inkubator. Miało ono zmyślne zamknięcie, dzięki któremu umieszczenie tam dziecka trwało sekundy. Tak przynajmniej pisano w instrukcji obsługi. Robiłam, co w mojej mocy, by jakoś się z tym urządzeniem uporać. Mama wprowadziła się do mnie, mogłyśmy więc sobie pomagać, a przy tym martwiłyśmy się o zabezpieczenie tylko jednego pokoju. Gdy po raz pierwszy zawyły syreny, nastąpiła klęska, totalny chaos. Przy akompaniamencie mrozących krew w żyłach dźwięków próbowałyśmy robić wszystko ściśle według instrukcji. Zaczęłam od siebie, jak kazano. Potem próbowałam włożyć niemowlę, Gila, do namiotu. Mama miała wiele kłopotów z nałożeniem maski. Jordan jakoś sobie z tym poradził. Na

ułamek sekundy straciłam koncentrację i to wystarczyło, by mechanizm zamykający namiot z trzaskiem zacisnął się wokół szyi Gila. Rozpaczliwie próbowałam uwolnić jego głowę, ale im bardziej zмагаłam się z tym urządzeniem, tym mocniej zaciskało się na szyi dziecka. Mały zaczął krzyczeć. Jordan siedział spokojnie w drugim kącie pokoju z maską na twarzy. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale gdy zerknęłam uważniej, zobaczyłam, że jego buzia jest ciemnosina. Maską była sprawna, owszem, ale zawór pozostał zamknięty. Zapomniałam go odkręcić. Jordan nie wiedział, jak czuje się ktoś w masce przeciwgazowej na twarzy, posłusznie znosił więc niewygodę i powoli się dusił. Minęło około 120 sekund od ogłoszenia alarmu - o 90 sekund za dużo - a mama wciąż walczyła ze swoją maską, Jordan się dusił, a głowa Gila była uwięziona między dwiema plastikowymi tyczkami. Gdyby wystrzelone wówczas scudy zawierały gaz, ta książka by nie powstała.

Wtedy zadzwonił Leo. Bardzo się o nas niepokoił. Przebywał w bunkrze - zastosowano tam wymyślne urządzenia filtrujące, tak że nie trzeba **było** nawet nosić masek. Ale co się dzieje w domu? Wszystko w absolutnym porządku, skłamałam.

Miałyśmy okazję lepiej się zapoznać z naszym sprzętem, ponieważ naloty zdarzały się niemal co noc, czasem nawet trzy, cztery razy w nocy. Z małymi dziećmi, za to bez męża, w ciągłym strachu przed atakiem chemicznym, żyłam niczym w koszmarnym śnie. Cały kraj został sparaliżowany strachem przed nalotami. Na długie tygodnie zamknięto szkoły, firmy, wszystko; ludzie wychodzili z domu tylko w razie konieczności i jak najszybciej wracali. Izrael stał się ogromnym krajem duchów. Mieszkańcy siedzieli w domach i czekali na kolejny nalot, na ostatnie wiadomości. Czy pojawił się już trujący gaz, czy jeszcze nie?

Codziennie rozmawiałam z Leo przez telefon; mówił, że wszystko

jest dobrze, nie ma powodów do obaw, niedługo będzie po wszystkim, a on wróci do domu. Teraz na niego przysła kolej kłamać i choć łatwo mogłam się tego domyślić, wolałam mu wierzyć. Prawdę poznałam dopiero dużo później. Podczas tej wojny Leo pełnił funkcję szefa zespołu wyszukującego obiekty, w których można by leczyć masowe ofiary wojny. Pewnej nocy został wezwany na spotkanie z kilkoma generałami. Wszyscy byli w bardzo ponurych nastrojach. Poprosili Leo o profesjonalną opinię w kwestii jednego z zagrożeń, wąglika. Przewidywano, że jeden atak spowoduje od pięciu do pięćdziesięciu tysięcy ofiar. Leo miał oszacować rozmiary zagrożenia i szybko opracować plan umożliwiający skuteczne ratowanie takiej liczby poszkodowanych. Gdy wrócił z wojny, okazało się, że mocno posiwiiał. Jeżeli chodzi o niego, ta wojna dopełniła miary.

Rok po tych wydarzeniach postanowiliśmy pojechać na wycieczkę do Stanów Zjednoczonych. Spakowaliśmy trochę rzeczy, zabraliśmy chłopców i całą piątką ruszyliśmy. Przejechaliśmy kraj od wybrzeża do wybrzeża i było to cudowne przeżycie. Mieliśmy wrażenie, że jeśli istnieje raj na ziemi, musi on być gdzieś w Parku Narodowym Yellowstone albo na wybrzeżu Kalifornii, a może w Wielkim Kanionie. A potem Manhattan, widziany z mostu Verrazano-Narrows, autostrada Brooklyn-Queens - widok zapierający dech w piersiach. Majestatyczne wysokościowce na tle nieba, od Twin Towers po Empire State Building i budynek Chrysler... nie do uwierzenia. Symbole największego narodu na ziemi. Leo był zauroczony i zdecydował, że właśnie tu musimy osiąść. W Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Ciągle nie byłam przekonana do tego pomysłu, nastąpiła jednak seria nieoczekiwanych wydarzeń. W wyniku błędu lekarskiego straciłam nowo narodzone dziecko. Nie zaskarżyłam lekarzy, bo

pieniądze nie zwrócą mi dziecka. Nigdy go nie widziałam, ponieważ zaraz po przyjściu na świat zostało zabrane na operację, a ja byłam zbyt chora, by wstać. Leo jednak siedział przy maleństwie podczas długich godzin, gdy pediatricy walczyli o jego życie.

Potem przyszedł kolejny cios i wielka tragedia dla całego Izraela. Prawicowy fanatyk zamordował premiera Icchaka Rabina. Większość Izraelczyków nigdy nie zapomni, co robili i gdzie się znajdowali w chwili zabójstwa. My bawiliśmy się doskonale w towarzystwie przyjaciół, gdy usłyszeliśmy krzyki na ulicy i zadzwoniła mama; włączyliśmy telewizor i usłyszeliśmy, że premier został poważnie ranny. A potem spiker łamiącym się głosem podał wiadomość o śmierci Rabina. Wszyscy mieliśmy tej nocy wrażenie, że coś w nas pękło, coś bardzo ważnego. Skończył się wiek niewinności, czystego i prawego syjonizmu, wyidealizowanych wyobrażeń o naszym małym kraju i naszych ziomkach. Skończyły się marzenia. Tego dnia dorośliśmy i było to straszliwe doświadczenie.

Zawsze są jakieś znaki ostrzegawcze, ale wszyscy mamy tendencję do ich bagatelizowania. Kilka lat przed tym morderstwem prawicowiec-psychopata rzucił granat w tłum zgromadzony na wiecu pokojowym, zabijając jednego z uczestników. Na wiecach prawicy w miesiącach poprzedzających śmierć Rabina pojawiały się plakaty, ukazujące premiera i współpracujących z nim zwolenników procesu pokojowego w nazistowskich mundurach i z tarczami strzelniczymi na twarzach. Gdy Rabin zmarł, ludzie się ocknęli, ale było już za późno. W jego pogrzebie wzięło udział półtora miliona Izraelczyków; jedna trzecia ludności kraju zgromadziła się nad jego grobem, by po raz ostatni oddać mu cześć w tym najczarniejszym dniu w historii Izraela.

A inne ciosy? Izraelskie władze skarbowe postanowiły przeprowadzić dochodzenie w sprawie interesów mamy,

podejrzewając oszustwa podatkowe. Dowiedziałam się później, że była to powszechna praktyka wobec firm, które nagle odnotowały duży wzrost dochodów. Przez całe miesiące byłam przesłuchiwana jak kryminalistka. Nieskończenie wiele razy chodziłam do urzędu skarbowego, dźwigając ciężkie segregatory z rachunkami i wszelkimi dokumentami firmy. Ostatecznie niczego się nie dopatrzone, byłyśmy czyste, ale czułam się głęboko dotknięta, jak można w taki sposób prowadzić śledztwo, dlaczego właśnie nas tak potraktowano... Jakby moja przybrana ojczyzna mnie zdradziła. Po raz pierwszy miałam wrażenie, że dzieje się coś złego, że szczęście się odwróciło. Chciałam to zmienić, zatrzymać lawinę niepomyślnych wydarzeń. Dlaczego nie spróbować gdzie indziej, choćby przez krótki czas? Dwa lub trzy lata w Ameryce mogą okazać się nad wyraz korzystne dla kariery Leo i zapewnić mu znakomitą pozycję po powrocie do Izraela. Mąż wyczuwał moje wahania i coraz mocniej naciskał. Z drugiej strony, przekonywałam samą siebie, będę tęskniła za rodziną, a firma mamy znajdzie się w bardzo trudnej sytuacji. I będę miała problem ze znalezieniem pracy w Nowym Jorku... Nie lada dylemat.

A potem zamknięto pub Rotschilda. Nasze ulubione miejsce. Tam zaczęła się nasza miłość, dlatego tak wiele dla nas obojga znaczył. To był zły znak. Uznałam, że pora wyjeżdżać.

ROZDZIAŁ 3

Tendencyjny przekład

*Gdy dzieje się coś niepokojącego,
szanse ma tylko ktoś
na to przygotowany.*

Louis Pasteur

Wyjazd do Ameryki oznaczał zmianę dotychczasowego życia na coś zupełnie nowego i nieznanego. Gdy poprzednim razem przenosiłam się z jednego kraju do drugiego, wybór był prosty: zostać albo umrzeć. Teraz wyjeżdżałam z powodów nie aż tak dramatycznych, ale mimo to przeprowadzka z Tel Awiwu w okolice Nowego Jorku - niezależnie od tego, jak dalece dobrowolna - była niełatwym przeżyciem.

Trudno sobie wyobrazić, ile rzeczy można zgromadzić przez lata w domu, zwłaszcza takim jak nasz - wygodnym, obszernym, z siedmioma sypialniami i dwiema łazienkami z jacuzzi. To, co chcieliśmy ze sobą zabrać, na przykład pamiątkowe zdjęcia i kasety wideo, wysłaliśmy morzem; pozostałe rzeczy sprzedaliśmy lub po prostu rozdaliśmy. Zbiegli się wszyscy, którzy się dowiedzieli, że oddajemy za darmo. Znajomi i przyjaciele, przyjaciele przyjaciół, nasi sąsiedzi i sąsiedzi znajomych - kto żyw. Przyjeżdżali furgonetkami i

brali dosłownie wszystko, co dali radę wynieść. Gdy oglądałam później dom, łatwo mogłam wyobrazić sobie Rzym po najeździe Wandali i Wizygotów.

Nasze amerykańskie wizy spóźniały się z powodu różnych biurokratycznych trudności. W końcu przyszły, pożegnaliśmy się - po raz kolejny - z rodziną i przyjaciółmi i ruszyliśmy na lotnisko. Orszak składał się z Leo i mnie, trzech naszych synów, dziesięciu pudeł średniej wielkości i czterech wielkich waliz, mamy i matki Leo, Jonathana i Betty, najbliższych oraz kilku znajomych. Na lotnisku łatwo było odróżnić tych, którzy nam towarzyszyli, od reszty odprowadzających, ponieważ gdy zapowiedziano odlot naszego samolotu, niemal wszyscy członkowie tej licznej grupy jak na komendę zaczęli płakać. Zanim przeszliśmy przez punkt kontroli paszportów, utworzyło się wokół nas małe jezioro, nazwane później naszym imieniem... Trochę mnie poniosło. Ale naprawdę wszyscy płakali jak bobry.

Tak się złożyło, że lecieliśmy 4 lipca, i gdy zbliżaliśmy się do lotniska JFK w Nowym Jorku, widać było w dole pióropusze fajerwerków. Potraktowaliśmy to jako widomy znak, że Ameryka wita nas serdecznie. Głupi pomysł, wiem, a jednak było nam bardzo przyjemnie.

Ameryka przywitała nas tak samo jak wcześniej wielu innych imigrantów. Trzeba było znaleźć dom - mniejszy, starszy i o wiele mniej wygodny niż ten, który się zostawiło. Zgromadzić wszystkie dokumenty niezbędne do wynajmu. A na koniec przekonać się, że będzie to kosztowało niemal dwie trzecie pensji. Pozostało jeszcze szybko wydać większość oszczędności, które miały starczyć na długi czas, na meble, samochód, a ponieważ chłopcy grają na pianinie, także i na pianino. Zapisać się na obowiązkowe i nader uciążliwe kursy samochodowe, uświadamiające zgubne skutki jazdy po

pijanemu, ukończyć je w towarzystwie podekscytowanych nastolatków, którzy i tak jeździli po alkoholu, a potem zdać egzamin, choć ma się prawo jazdy od blisko dwudziestu lat. Uzyskać numer ubezpieczenia socjalnego. To wszystko zdawało się nie mieć końca. Wreszcie jednak mieliśmy dowody tożsamości, wszelkiego typu zezwolenia, gaz, elektryczność, telewizję kablową i konto w banku. Kupiliśmy nawet używany samochód.

Chłopcy nie znali ani słowa po angielsku, ale zaaklimatyzowali się w obcym kulturowo kraju równie szybko jak moi bracia i ja, gdy znaleźliśmy się w Izraelu. Jordan, najstarszy, oświadczył! nam pewnego dnia, że chce obciąć włosy. W Izraelu długie, czarne, kędzierzawe włosy opadające na ramiona nie były u chłopca niczym nadzwyczajnym. Tu jednak ktoś z takimi włosami wygląda - Jordan znał już na tyle angielski, by to zrozumieć - jak palant. Następną gruntowną zmianą dotyczyła ubioru i podczas gdy my ledwie mogliśmy sobie pozwolić na rzeczy firm Kmart i Payless, on żądał ciuchów od Abercombiego, Nautiki i Nike'a. Wiedział, czego chce, i miał stuprocentową rację. Gdy zmienił wygląd, niemal z dnia na dzień zyskał popularność. Gil, idąc w ślady starszego brata, szybko przystosował się do otoczenia, choć dopiero po dwóch latach płynnie mówił po angielsku. Mój najmłodszy syn, Charlie, poszedł własną drogą. Chłopiec, który siedział obok niego w klasie, był Chińczykiem i również nie znał angielskiego. Rozmawiając ze sobą codziennie, wypracowali własny język, nie przypominający ani hebrajskiego, ani chińskiego.

Osiadłam więc w końcu na dobre w swym podmiejskim domu. W mniejszym lub większym stopniu amerykański sen się spełnił, czyż nie? Usadowiona wygodnie w fotelu w pełni świadomie podjęłam decyzję, że pora odpocząć. Po raz pierwszy w dorosłym życiu chciałam wypoczywać, nic nie robić i niczym się nie martwić choćby

przez krótki czas. Wytrzymałam w tym postanowieniu prawie dwa tygodnie.

Leo był w pracy, dzieci w szkole, a ja... umierałam z nudów. Coraz bardziej zaczęła mi doskwierać samotność. Lubię towarzystwo. Potrzebuję przyjaciół, muszę bywać wśród ludzi. Bezczyenne siedzenie w nowym domu pozostawiało za dużo czasu na myślenie. Zaczęłam żałować przeprowadzki, narastało we mnie przekonanie, że Leo skłonił mnie do niej podstępem. Popadłam w przygnębienie, ciągle płakałam. Chciałam, by wszystko było jak dawniej w Izraelu - moja praca, firma, przyjaciele, dom, rodzina. Gdy wieczorami się skarżyłam, zirytowany Leo mnie wyśmiewał. Myślałam, że chcę zwolnić tempo, ale spokój nie przyniósł mi nic dobrego; przeciwnie - byłam bliska szaleństwa. Niezależnie od tęsknoty za domem, za Izraelem, i niezależnie od tego, że bezczynność nie leży w moim usposobieniu, pojawiła się także kwestia pieniędzy. Nasza sytuacja finansowa nie przedstawiała się najlepiej i zaczęliśmy się już martwić, czy zapewnimy dzieciom wszystko, czego im trzeba.

Postanowiłam więc poszukać pracy. Leo nie miał nic przeciwko temu, będzie tak samo zadowolony, czy zostanę w domu czy pójdę do pracy. W początkowym okresie pierwszej ciąży, wiele lat temu w Izraelu, spytałam go, co myśli o moim pójściu do pracy po urodzeniu dziecka. To nie ma znaczenia, ważne, byś była szczęśliwa, odpowiedział - i mówił zupełnie szczerze.

Zaczęłam przeglądać ogłoszenia w porannych gazetach. Znalazłam wiele ofert pracy dla nauczycieli w niepełnym wymiarze godzin, dla korepetytorów, pomocy nauczycielskich. Niewiele wiedziałam o nauczaniu, nie miałam referencji ani poświadczonych kwalifikacji, a przede wszystkim nie miałam pozwolenia na pracę. Wystąpiłam o nie - pozwalała mi na to wiza Leo - lecz jeszcze go nie otrzymałam. Uzyskanie pozwolenia na pracę wiąże się z bardzo powolną,

uciążliwą procedurą, ciągnącą się trzy lub cztery miesiące. Nieudolne urzędy robią, co się da, by maksymalnie utrudnić życie nowo przybyłym, zamieniają ich w umęczoną, nieszczęsną, tłoczącą się masę. Szukałam dalej i pewnej niedzieli na coś trafiłam. Jakaś instytucja szukała kogoś zainteresowanego badaniami dotyczącymi Bliskiego Wschodu. To jest to, pomyślałam. Ukończyłam wydział spraw bliskowschodnich na uniwersytecie w Tel Awiwie, mówię biegle dwoma językami używanymi w tym regionie. Kto jednak zatrudni mnie bez dokumentów? Obawiałam się też, że mój angielski nie jest dostatecznie dobry do tego typu pracy. I umiejętność obsługi komputera - to był jeden z wymogów. Co prawda bez problemów pisałam po hebrajsku, ale nie miałam doświadczenia w angielskim i nie znałam programów takich jak Excel, PowerPoint i tym podobne. Nie, nie byłam gotowa do podjęcia tej pracy.

W poniedziałek rano spacerowałam po centrum miasta, w którym mieszkaliśmy, i natknęłam się na sklep z upominkami, nieduży, lecz świetnie usytuowany. Weszłam do środka i tak poznałam Lindę.

Sklep miała mały, ale ciało wielkie, była co najmniej dziesięć cali ode mnie wyższa i jakieś dwieście funtów cięższa. Naprawdę potężna kobieta. Była miłośniczką kotów, hodowała ich cztery, wszystkie mieszkały w sklepie i nigdy nie wychodziły na zewnątrz. Słyszałam co prawda opowieści o tym, jak samodzielne są koty, jak czyste, jak skrupulatnie korzystają z kuwety, ale koty Lindy z pewnością nigdy nie czytały stosownych podręczników.

Wkrótce się zorientowałam, że Linda bardziej dba o koty niż klientów. A także sprzedawców. W chwili jednak, gdy weszłam do sklepu i po raz pierwszy zobaczyłam Lindę, koty były najmniejszym z moich zmartwień. Postanowiłam od razu przejść do rzeczy. Jak prosta, uczciwa, szczerą Izraelka. Zapytałam, czy nie potrzebuje pomocy. Właśnie szukam pracy.

Linda obejrzała mnie od czubka głowy do pięt i odrzekła, że owszem, może będzie zainteresowana. Jak długo planuję tu zostać? Czy tylko na lato? Odpowiedziałam, że zostaniemy dwa, może trzy lata. Zapytała, czy umiem sprzedawać. Uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Czy umiem sprzedawać? A to dobre!

Jedną z największych różnic między Izraelem a Stanami Zjednoczonymi stanowi odmienny poziom jakości usług. Nawet w Europie firmy nie są tak zorientowane na klienta jak tu - dlatego amerykańscy turyści mają opinię wybrednych i rozpieszczonych. W tym oceanie powszechnej usłużności Linda i jej grubiańskie maniery były wyjątkiem. Weźmy na przykład starszego pana, który przychodzi do sklepu, pyta o srebrne świeczniki i po pięciu minutach kupuje komplet za tysiąc siedemset dolarów. Przed wyjściem prosi Lindę o zapakowanie nabytku w ozdobny papier. Linda wolno podnosi się z fotela, spogląda wzrokiem bazyliczka i ryczy:

- Nie pakujemy w ozdobny papier! Czy pan uważa, że mamy na to czas?!

Klient chwytając swoje świeczniki i wybiega ze sklepu, nawet się nie oglądając.

Linda wszystkich traktowała w podobny sposób. Co dziwniejsze, klienci się jej trzymali. Nie miała nawet w sklepie kasy. Wszystkie pieniądze, które zarobiłyśmy, wędrowały do dużej szuflady.

Rozpoczynając pracę w tym sklepie, postanowiłam, że przede wszystkim muszę być uprzejma dla klientów. Uśmiechałam się, nawet jeśli nic nie kupili. Nie bez powodu Linda postępowała ze mną ostrożnie. Wyczuła jakoś, że nie pozwolę się traktować tak jak inni. Zauważyła również natychmiast, że sprzedajemy więcej. Byłam nie tylko miła dla klientów, potrafiłam także wyczuć ich potrzeby. Kiedyś przyszedł na przykład wystrojony macho po trzydziestce, z wielkim złotym łańcuchem dyndającym na piersi bardziej włochatej

niż sweter z angory i z palcami bardziej owłosionymi niż głowa. Szukał CD-romu, którego akurat nie mieliśmy. Przekonałam go, by w zamian za to kupił całą masę pism kobiecych, wmawiając, że wiedza, którą dzięki tej lekturze zdobędzie, przysporzy mu wielkiej popularności wśród pań.

W sklepie Lindy sprawy układały się dość dobrze, narastało jednak we mnie poczucie niezadowolenia. Cały dzień byłam na nogach, sześć dni w tygodniu i choć dzięki tej pracy utwierdziłam się w przekonaniu, że potrafię sprzedać lód Eskimosowi, nie spotkałam zbyt wielu Eskimosów w Nowym Jorku. A poza tym, jeśli Eskimos przyjeżdża do Nowego Jorku, to i tak nie po to, żeby kupić lód. Nie chciałam spędzić życia w jakimś sklepiku, zwłaszcza że nie był to mój sklepik. Moje niezadowolenie eksplodowało pewnej niedzieli, po kilku miesiącach pracy u Lindy. Tego ranka Gil obudził się chory. Leo był w pracy, a w niedzielę w sklepiku panował największy ruch. Nie chciałam zawieść Lindy, wzięłam więc syna ze sobą. Na nasz widok Linda ze złością zapytała, dlaczego przyszłam z dzieckiem. Wytłumaczyłam, lecz ona spojrzała wilkiem i warknęła:

- Po coś go tu przywlokła? Chcesz, żebyśmy się obie pochorowały?

To przepełniło miarękę. Staram się pomóc, a ta kobieta traktuje mojego syna jak zarazę. Pora dać sobie spokój i odpocząć.

Nic z tego. Nasza sytuacja finansowa była niepewna nawet wtedy, gdy pracowałam u Lindy; teraz zaczęły się poważne kłopoty. W supermarkecie kupowałam tylko najniezbędniejsze rzeczy; porównywałam ceny produktów różnych marek i wybierałam najtańsze z tych, na które miałam kupony. Przy kasie skrupulatnie sprawdzałam ceny wybijane przez kasjerki. To zadziwiające, jak częste są pomyłki mimo kodów paskowych i komputeryzacji. Zawsze udawało mi się odzyskać w ten sposób to dolara, to pięćdziesiąt centów, a w owym czasie liczył się każdy grosz. Oszczędzanie stało

się moją obsesją. Nasz dom w Izraelu, z dwoma jacuzzi i wszystkimi tymi sypialniami, jawił się jak z innego świata.

Przestaliśmy robić jakiegokolwiek przypadkowe zakupy, zmywarki do naczyń i suszarki używaliśmy tylko nocami, gdy elektryczność jest tańsza, i starannie planowaliśmy wyjazdy samochodem, tak by załatwić za jednym zamachem jak najwięcej spraw. Wyjście na kolację czy do kina nie wchodziło w rachubę. Popadałam w coraz głębszą depresję. Czy po to przyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych?

Pewnego wieczoru poszłam z dziećmi do supermarketu. Przy kasie okazało się, że nie mogę zapłacić moją kartą kredytową. Nie miałam pojęcia, że wyczerpaliśmy limit.

- Nie szkodzi - powiedziałam. - Mam jeszcze kartę debetową.

Ona też była nieważna. Nerwowo przepraszałam, tłumacząc, że coś musi być nie w porządku. I było. Sprawdziłam w bankomacie stan konta. Do następnej pensji Leo było dziesięć dni, a na naszym rachunku znajdowało się trzynaście dolarów. Nigdy nie czułam się tak zawstydzona. Zwróciłam wszystko, co zamierzałam kupić, i wyszliśmy ze sklepu. Po powrocie do domu zamknęłam się w sypialni i płakałam. Dłużej tego nie zniosę.

Chcę do moich starych przyjaciół, do krewnych, do matki. Chcę żyć jak dawniej.

Leo wrócił późno w nocy do cichego, ponurego domu. Chłopcy byli już w łóżkach. Nie zdawali sobie sprawy z naszej sytuacji finansowej, ukrywaliśmy trudności, nie chcąc ich niepokoić. To, czego byli świadkami w supermarkecie, wywołało szok, a moja reakcja jeszcze bardziej ich przerażyła; nigdy mnie takiej nie widzieli. Cały wieczór zachowywali się bardzo spokojnie i wczesnie położyli się do łóżek. Leo nie wiedział, że mamy na koncie tak mało, i gdy zastał mnie kompletnie roztrzęsioną, był wyraźnie zakłopotany.

Przytuliłam się do niego mocno, cała we łzach.

- Leo, nie wytrzymam tego ani chwili dłużej. Chcę wrócić do domu - błagałam.

Obejmował mnie przez chwilę, potem zapytał, co się stało, a ja opowiedziałam o kartach, trzynastu dolarach i upokorzeniu.

Łagodnym głosem zaczął mi cierpliwie tłumaczyć, że wszyscy wielcy ludzie interesu przeżywali na początku trudne chwile, że przeciętnie siedem razy musieli rozpoczynać wszystko od nowa, zanim wspięli się na szczyt. Tego właśnie nam trzeba - wytrwałości i cierpliwości. Trzydzieści dolarów to znak, dobry znak, ponieważ w tradycji żydowskiej trzynastka jest symbolem szczęścia, pomyślności w życiu. Szczęśliwe liczby to pięć - tyle, ile palców u ręki; siedem - tyle, ile dni w tygodniu; i trzydzieści - tyle ma się lat, przystępując do bar micwy.

Leo wiedział, że wierzę w takie rzeczy, ale sam był zawsze sceptyczny, próba ułagodzenia mnie za pomocą numerologii była tylko zagrywką taktyczną. Zrobiła jednak swoje, nawet się roześmiałam. Może Leo ma rację. To dopiero początki, a te zawsze są trudne.

Gdybym tylko dostała pracę, myślałam, wszystko ułożyłoby się lepiej. Znowu zaczęłam czytać ogłoszenia w gazetach. I znowu to znalazłam. Ogłoszenie instytutu badawczego, poszukującego specjalisty od spraw Bliskiego Wschodu; takie samo, jakie zauważyłam po przyjeździe do Nowego Jorku. Dziwne... Tak długo nikogo nie znaleźli? Ty jesteś tą osobą - powiedziałam do siebie. Czy jesteś już gotowa? Przez sześć miesięcy nie znaleziono odpowiedniego kandydata? Co to dla mnie oznacza? O co tu chodzi? Porozmawiałam o tym z Leo. Może pensja jest za niska, powiedział. Przecież w ogłoszeniu jest mowa o instytucji non profit. A może zatrudnili kogoś, a ta osoba już zrezygnowała z posady?

Postanowiłam wysłać swoją ofertę i dowiedzieć się, o co chodzi.



Minęły dwa tygodnie i nic się nie działo. Myślałam, że moja oferta nie wzbudziła zainteresowania. Miałam właśnie spróbować szczęścia w muzułmańskiej szkole w pobliżu naszego domu - mogłabym tam uczyć arabskie dzieci - gdy zadzwoniła Berta. Miała bardzo przyjemny głos z charakterystycznym akcentem. Zapytała, czy wciąż jestem zainteresowana pracą, oraz o kilka rzeczy, o których pisałam w swoim życiorysie i liście motywacyjnym, o moją znajomość hebrajskiego i arabskiego, wykształcenie i wreszcie - czy zechciałabym przyjść na rozmowę.

- Czy może być jutro rano? - spytałam.

Leo może wyśmiewać się do woli z moich przeczuć i przepowiedni, ale coś w tym jest. Dar Józefa. Miałam bardzo silne wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. To ogłoszenie zostało wydrukowane jakby specjalnie dla mnie. Czułam w kościach, że nie jest to zwykła praca, i chciałam jak najlepiej wypaść w rozmowie kwalifikacyjnej. Wyprawiłam dzieci do szkoły, włożyłam najlepszy kostium i złapałam pociąg do Nowego Jorku.

Droga z dworca Grand Central była prosta, miałam w zapasie trochę czasu, nie musiałam się spieszyć. Gdy dotarłam na miejsce, zobaczyłam wysoki budynek, brzydszy nawet od Ma'on Olim, domu dla imigrantów, gdzie moja rodzina została umieszczona po przyjeździe do Izraela. Policzyłam kondygnacje: parter, pierwsze piętro, drugie... szóste, ósme... jedenaste... trzynaste. Trzynaste! Czy to kolejny znak? Weszłam do środka, powiedziałam portierowi, dokąd

idę, i wpisałam się do książki gości. Zauważyłam liczne kamery nadzorujące. Wyjątkowo wytwornie: marmurowe posadzki, ciemne dywany, ciężkie żyrandole. Wnętrze wyglądało o wiele bardziej imponująco, niż można by sądzić po fasadzie. Wsiadłam z windy na drugim piętrze, znalazłam właściwy lokal i zapukałam.

- Proszę wejść! - krzyknął jakiś mężczyzna. - Kto tam?

- To ja, z ogłoszenia - odparłam, otworzywszy drzwi.

Nic nie wyglądało tak, jak sobie wyobrażałam, ani potężny, ciemnolity, nieogolony młody mężczyzna w szortach i sandałach, ani samo biuro; niewiele zresztą mogłam dojrzeć, bo mężczyzna zasłaniał mi widok. W moim przekonaniu w instytucie badawczym powinno się roić od poważnych, nudnych jegomościów w garniturach i krawatach, siedzących przy schludnych biurkach; na blatach leżą otwarte książki, a faceci piszą sprawozdania lub dyktują asystentom, którzy później przepiszą tekst. To miejsce wyglądało całkiem inaczej. Prawdę mówiąc, nie miało określonego charakteru.

- Czego pani sobie życzy? - spytał młody mężczyzna.

- Przyszłam na roz...

- Ach, już rozumiem, proszę wejść, proszę.

Rozejrzałam się dookoła. To była strefa wojny. Po całym pomieszczeniu walały się bezładnie sterty książek, gazet, papierów, teczek i pudeł oraz sprzęt elektroniczny. Spod zwałów papieru i rozmaitych urządzeń nie było widać żadnego biurka. Wiedziałam, że muszą tu być, ale na razie dostrzegałam tylko wystające monitory komputerów - mogłoby to wskazywać, że znajduje się tu coś w rodzaju biurek. Przyjrzawszy się bliżej, zauważyłam mnóstwo periodyków, niektóre były w języku arabskim. Na kilku stertach papieru leżały taśmy różnych rozmiarów, a na ścianach wisiały plakaty przedstawiające brodatych mężczyzn, których twarze nigdy wcześniej nie widziałam. Na niektórych plakatach widniały wersety

z Koranu, a na jednym zdjęcie słynnego meczetu Al-Aksa w Jerozolimie. Zaczęłam się zastanawiać, czy przyjscie tutaj było słuszną decyzją.

Tymczasem zwałisty facet, który sam wyglądał, jakby pochodził z Bliskiego Wschodu, wciąż świdrował mnie wzrokiem. Uśmiechał się, a ja byłam coraz bardziej zdziwiona. Co to za miejsce, kwatera główna Hamasu? Berta nie powiedziała mi dosłownie nic o tej instytucji. „Po prostu przyjdź, o szczegółach porozmawiamy na miejscu”. Może lepiej było uczyć arabskiego muzułmańskie dzieci. To, co zobaczyłam, rozbudziło jednak moją ciekawość. Na czym polega praca w takim miejscu? I gdzie są ludzie? Chciałam rozwiązać tę zagadkę. Jak dotąd nie było nikogo prócz mnie i faceta w szortach. Patrzył na mnie, a ja na niego. Ciągłe się uśmiechał. Nie byłam pewna, czego właściwie ode mnie oczekuje.

- *Tahqi arabi?* (Czy mówi pan po arabsku?) - zapytałam, ponieważ wyglądał jak ktoś z Bliskiego Wschodu.

Spojrzał na mnie, jakbym spadła z Księżyca. Może zna hebrajski, pomyślałam - niektórzy Żydzi sefardyjscy mają bardzo ciemną karnację. Zagadnęłam więc:

- *Ata medahcr writ?*

Znów cisza. Widocznie nie mówi ani w jednym, ani w drugim języku. Teraz przyszła jego kolej zastanawiać się, czy dobrze trafiłam - może zamierzałam pójść do psychiatry mającego gabinet na trzecim piętrze?

Nagle zza pleców kolosa, który już się nie uśmiechał, wynurzyła się kobieta. Dzięki Bogu. Berta. Wrażenie, które wyniosłam z rozmowy telefonicznej, okazało się słuszne. Była kobietą emanującą ciepłem. Zapytała, czy poznałam już Judę. Tak jakby, wymamrotaliśmy oboje i w końcu spojrzeliśmy na siebie, wymieniliśmy „Miło mi cię poznać” i uścisk dłoni. Berta

przepraszała, że inni członkowie zespołu są zbyt zajęci, by mnie powitać. Powiedziała, że prowadzi się tu wiele badań, a potem zapytała o moje zainteresowania i oczekiwania, poprosiła też o parę słów o sobie. Zupełnie nie interesowało jej, czy mam ważną wizję ani czy umiem obsługiwać komputer. Szkoda, bo zanim tu przyszedłam, Leo przez kilka dni uczył mnie podstaw Excela i PowerPointa. Po półgodzinnej rozmowie Berta oznajmiła:

- Myślę, że to wystarczy. Teraz możesz iść i pomówić z Maxem.

Max, najważniejszy człowiek w tym osobliwym miejscu, był niskim, pulchnym mężczyzną dobrze po sześćdziesiątce, z imponującą grzywą siwych włosów. Nasza rozmowa była krótka. Max zapytał o kilka szczegółów z mojej biografii; znał ją dobrze z życiorysu, który trzymał w ręce, gdy wchodziłam do jego biura. Następnie zainteresował się moimi poglądami politycznymi na kwestię konfliktu na Bliskim Wschodzie. Odparłam, że skłaniam się ku lewicy w tym sensie, że wierzę w potrzebę utworzenia państwa palestyńskiego. Kolejne pytanie dotyczyło mojej znajomości arabskiego, na co odpowiedziałam, że równie płynnie mówię po arabsku jak po hebrajsku. Potem, ku mojemu zdumieniu, zapytał, kiedy mogę zacząć, i polecił omówić dalsze szczegóły z Bertą. Max, jak się wkrótce przekonałam, nie lubił zawracać sobie głowy szczegółami.

Pensja, jaką zaproponowała mi Berta, była wyższa niż zarobki u Lindy. Przyjemnie zaskoczona jej wysokością nie zdołałam widocznie ukryć zdziwienia, ponieważ Berta natychmiast powiedziała, żebym się nie martwiła. Muszą sprawdzić, co potrafię, i jeśli wszystko pójdzie dobrze, sprawa moich poborów zostanie ponownie rozpatrzona.

Zapytałam, czego po mnie oczekują. Nie miałam najmniejszego pojęcia, na czym polega praca w instytucie, a rozmowa z Maxem

wcale mnie nie oświeciła.

- Przeważnie, jak sędzę, będzie to zwykła praca biurowa - odrzekła Berta. - Z twojego życiorysu wiem, że masz w tym pewne doświadczenie. Segregowanie dokumentów, robienie fotokopii, zakładanie teczek. Pokręcisz się tu trochę i znajdziesz coś dla siebie. Nie bój się, dasz sobie radę.

Gdy znalazłam się na ulicy, zadzwoniłam do Leo z pierwszej napotkanej budki telefonicznej.

- O Boże, dostałam ją! Dostałam! - krzyczałam do słuchawki. - Czy wiesz, ile mi zapłacą?! Non profit czy nie, my z pewnością będziemy mieli z tego zysk!

Ciągle nie mogłam uwierzyć, że naprawdę dostałam pracę. Niedawno znalazłam się w Stanach, nie miałam dyplomu amerykańskiego college'u, na komputerze znałam się średnio... Widocznie nie miało to żadnego znaczenia. Leo cieszył się z mojego sukcesu, ja byłam szczęśliwa, że się nam udało. Żadne z nas nie miało najmniejszego pojęcia, w co właściwie wdepnęłam.

Zostałam zatrudniona w instytucji non profit, prowadzącej badania na temat Bliskiego Wschodu. Na czym jednak dokładnie polega ta działalność? Spodziewałam się, miałam nadzieję, że gdy po raz pierwszy zjawię się pracy, ktoś się mną zajmie, pokaże mi wszystko, wprowadzi choćby najogólniej w istotę sprawy. Tak się nie stało. Nie tylko pierwszego dnia, ale przez całe miesiące tkwiłam w nieświadomości. Biuro funkcjonowało w ten sposób, że każdy prowadził wyłącznie własne sprawy. Każdy specjalizował się w kilku ściśle określonych zagadnieniach i nikomu nie przychodziło na myśl dzielić się wiedzą i znajomością rzeczy z innymi.

Dziś wygląda to całkiem inaczej. Pamiętając o własnych doświadczeniach z pierwszego dnia i o moim ówczesnym zagubieniu, zaproponowałam system polegający na tym, że każdy nowy

pracownik jest przydzielany starszemu, doświadczonemu, który wprowadza go w sprawy i wszystkiego uczy.



Mnie przywitała zupełna cisza. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, że instytucja funkcjonuje w stanie permanentnego kryzysu, zalewana nieskończoną liczbą zamówień na badania, zwłaszcza ze strony mediów. Wszyscy byli spięci i podenerwowani, włącznie z Maxem. Pracy było niewyobrażalnie dużo, nawet w latach przed 11 września, a Max w roli szefa wcale jej nie ułatwiał. Nie był, trzeba to jasno powiedzieć, otwartym i dobrze zorganizowanym człowiekiem. Nawet gdyby moi nowi koledzy chcieli mi pokazać co i jak, byłoby im trudno znaleźć czas na zajmowanie się mną, uczenie mnie i wprowadzanie w sprawy, nad którymi pracują.

Tego pierwszego dnia próbowałam dowiedzieć się czegoś od Judy. Znów się do mnie uśmiechał, ale zorientowałam się, że jest specem od komputerów i w istocie niewiele wie o badaniach, jakie się tu prowadzi.

Następnie zagadnęłam Amy, jasnowłosą, niebieskooką, atrakcyjną młodą kobietę. Max wspomniał, że jest ona jednym z najbardziej doświadczonych pracowników, sugerując, że jeśli będę się trzymała blisko niej, mogę nauczyć się podstaw. Poprosiłam Amy, by pokazała mi wszystko i powiedziała, nad czym pracuje. Spojrzała na mnie tak, jakby nigdy nie słyszała równie niestosownego pytania. Rzuciła jakąś wymówkę i wróciła do góry papierów spoczywających na biurku. Pokonana zrejterowałam na szóste piętro, do swojego miejsca

wygnania.

Instytut zajmował pomieszczenia na drugim i na szóstym piętrze. Szybko odkryłam, że tak jak w Ma'on Olim, im bliżej było się ziemi, tym wyższe miejsce zajmowało się w hierarchii. Zostałam zesłana na szóste, na Syberię, podczas gdy większość zatrudnionych w biurze, włącznie z Maxem, pracowała na drugim. Przysiadłam przy skrawku cudzego biurka - minęły miesiące, nim dostałam własne - i czułam się jak idiotka. Czy przyjście tu do pracy nie było grubym błędem? Może powinnam od razu dać sobie spokój? Co jest z tymi ludźmi? Dlaczego są tak nieprzyjaźnie nastawieni? Dlaczego to biurko nie jest czyste, porządne i przede wszystkim - moje? Co znaczy całe to składowisko śmieci?

Bezmyślnie sięgnęłam po broszurę, leżącą na stercie papierów przede mną. Tytuł: *The Holy Land Foundation for Relief and Development: Programs Objectives* (Fundacja Ziemi Świętej na rzecz Pomocy i Rozwoju: Programy Cele). Fundacja Ziemi Świętej, HLF. Pomoc i rozwój. Zastanowiło mnie to. Pomoc komu? Rozwój czego?

Na okładce widniał słodki obrazek przedstawiający grupkę klęczących arabskich chłopców, wszyscy mieli plecaki, a jeden z nich trzymał piórnik. Logo HLF tworzyły dwie dłonie, trzymające coś, co wyglądało znajomo. Dzieci na obrazku, czymś zaabsorbowane, nie patrzyły w moim kierunku, ale zdawała się to robić sama broszura. Uśmiechała się do mnie, przekomarzała. Składała się z dwóch części, w języku angielskim i w arabskim. Odwróciłam ją, by przyjrzeć się okładce z tyłu. Ten sam obrazek. To samo logo, arabska czcionka. Nic nadzwyczajnego.

W pierwszym odruchu chciałam cisnąć broszurę z powrotem na stertę zalegających biurko papierzysk, pójść do Maxa i powiedzieć mu, co o tym wszystkim myślę. Zastanawiałam się, jak długo ta książeczka tu leży, pokrywając się kurzem, i kto, jeśli ktokolwiek, już

się z nią zapoznał... i nagle biuro, moi małomówni koledzy, Max przestali mnie denerwować, ponieważ uświadomiłam sobie, że ta przekłeta broszura patrzy na mnie. Teraz domagała się, by zostawić ją w spokoju, wręcz błagała, by odłożyć ją z powrotem na biurko, gdzie leżała przez lata, nie budząc niczyjego zainteresowania, dopóki ja się nie zjawiłam.

Co się dzieje? Jeszcze raz przyjrzałam się książeczce. Ciągłe się uśmiechała, ale nie był to szczery uśmiech. Popatrzyłam uważnie na logo. I na obrazek. O mój Boże.

W czasie gdy przesiadywałam w bibliotece Knesetu, szukając informacji o ojcu, przekopując się przez dokumenty i druki takie jak ten, który leżał teraz przede mną, miałam już do czynienia z podobnego rodzaju trucizną. Z pozoru były to zawsze niewinne wydawnictwa propagandowe, ale lektura między wierszami ujawniała złowrogię, pełne jadu, tendencyjne treści. Jak mogłam tego nie zauważyć? Nawet zdjęcie zdawało się mieć dwa znaczenia. To samo z przodu i tyłu okładki, ale obraz z tyłu był odwrócony. Niedbalstwo czy może aluzja?

Uświadomiłam sobie teraz, co trzymają dłonie na logo HLF. To było wyobrażenie meczetu Al-Aksa w Jerozolimie, jednego z punktów zapalnych konfliktu arabsko-izraelskiego. To tam zaczęła się druga intifada, nazywana „intifadą Al-Aksa”.

W porządku, można by powiedzieć, umieścili meczet w logo. Wielkie rzeczy! Czy nie może być to wyraz patriotyzmu? Gdy jednak przyjrzeć się uważniej, widać, że przestrzeń między dłońmi trzymającymi meczet tworzy mapę Palestyny, obejmującą tereny od rzeki Jordan do Morza Śródziemnego. Każdy, kto ma rozeznanie w kwestii konfliktu arabsko-izraelskiego, wie, że na takiej mapie nie ma miejsca na Izrael. „Palestyna od rzeki do morza” - skandują Palestyńczycy na wiecach. Zastanawiało mnie, dlaczego fundacja na

rzecz pomocy i czegoś tam używa tak prowokacyjnego logo.

Dwa języki. To było intrygujące. Arabski tekst i angielski przekład. Czy właśnie o to chodzi? Dwa języki. Na Bliskim Wschodzie spotykałam się z tym wcześniej wiele razy. Te same słowa mogą znaczyć coś zupełnie innego, jeśli się czyta między wierszami. Kilka miesięcy przed 11 września wiceprezydent Dick Cheney odwiedził kraje arabskie, próbując przygotować grunt dla ataku na Irak. Szybko się nauczył, że to, co się mówi, niekoniecznie musi być zgodne z tym, o co chodzi w rzeczywistości. Po powrocie z rozmów Cheney powiedział, że jest zadowolony nie z powodu tego, co usłyszał, lecz tego, co - jak przypuszcza - kryje się za słowami przywódców krajów arabskich. Powiedz coś, co dla twoich ludzi znaczy co innego, pozwól ludziom o innych przekonaniach zinterpretować twoje słowa po swojemu, a w końcu podejmij działania, które z żadną z wymienionych interpretacji nie mają nic wspólnego.

Mówiąc otwarcie, w kulturze Zachodu takie postępowanie nazywa się po prostu kłamstwem. Weźmy na przykład broszurę, którą trzymałam w ręce. Ktoś ją wydał i przedstawił w niej w języku angielskim przesłanie i cele swojej organizacji. Podobne rzeczy powiedziane są po arabsku, z drobnymi tylko zmianami, i nagle publikacja ma dwa przesłania - jedno dla Amerykanów, od których ten ktoś ma nadzieję zdobyć fundusze, drugie dla ludzi mówiących językiem arabskim. Spojrzałam na broszurę i nie miałam wątpliwości, że kłamie mi w żywe oczy. Co próbuje przede mną ukryć?

Pracowałam nad nią kilka godzin. Przeczytałam bardzo dokładnie, najpierw po arabsku, ponieważ ten język jest dla mnie łatwiejszy, a także dlatego, że jak słusznie przypuszczałam, arabski tekst mógł ujawnić prawdę o rzeczywistych celach Fundacji Ziemi Świętej. Potem przeczytałam angielski przekład. Wielokrotnie porównywałam obie wersje. Pełna wahań zaczęłam pisać

sprawozdanie; wykończenie go zajęło mi kilka dni. Przeglądałam inne dokumenty, szukałam w książkach i kartotekach dowodów potwierdzających moje przypuszczenia. Skoro nikt w biurze nie chce mi pomóc, świetnie, ze wszystkim poradzę sobie sama. Nie miałam pojęcia, czy to, co robię, przyniesie mi awans czy wylanie z pracy, postanowiłam jednak zaufać intuicji. Oto fragment sprawozdania, które sporządziłam w niespełna tydzień po rozpoczęciu pracy w biurze. Zatytułowałam je: *HLF- dokąd naprawdę idą pieniądze?*

Fundacja Ziemi Świętej deklaruje w swej publikacji *HLF News* z 1992 roku, że przeznacza zgromadzone fundusze „dla najuboższych i najbardziej potrzebujących” w Palestynie. Czy rzeczywiście?

Manifest ten, opublikowany w językach arabskim i angielskim, wymienia organizacje palestyńskie działające na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy, które otrzymują fundusze od HLF. Lista w języku angielskim zawiera trzydzieści organizacji. W wersji arabskiej wymieniono trzydzieści dziewięć organizacji.

Wykazałam, że niektóre z dziewięciu organizacji pominiętych w tekście angielskim przekazują fundusze rodzinom terrorystów z Hamasu, zamieszanych w zamachy, w których giną Izraelczycy. Jedna z nich zapewniała nawet terrorystom bezpieczne kryjówki i udostępniała miejsca na tajne magazyny broni. Na czele innej, zdelegalizowanej przez władze izraelskie, stał człowiek należący do duchowych przywódców Hamasu.

Pozostałe organizacje wymienione w broszurze także miały powiązania z Hamasem; należał do nich między innymi Uniwersytet Muzułmański w Gazie, znany bastion Hamasu: około 60 procent deportowanych w 1992 roku członków Hamasu stanowili wykładowcy bądź studenci tej uczelni. Sam Jasir Arafat, chcąc powstrzymać działalność organizacji, zarządził w 1995 roku atak na uniwersytet i zniszczenie części jego wyposażenia.

Następnie wyliczyłam niektóre organizacje przedstawione w wersji angielskiej jako niewinne fundacje charytatywne. W rzeczywistości wspierały one Hamas i były kierowane przez przywódców tego ugrupowania. Przedstawiłam dowody na powiązania tych fundacji z terroryzmem. Dołączyłam pięć aneksów z dokumentami, z których zaczerpnęłam informacje. Na końcu dopisałam:

Jest to streszczenie moich wniosków na temat nielegalnego transferu funduszy przez HLF do palestyńskich organizacji prowadzących działalność terrorystyczną. Sadzę, że ten wstępny raport powinien dać asumpt do rozpoczęcia gruntowniejszego śledztwa. Proszę poinformować mnie, co pan o tym myśli.

I zostawiłam sprawozdanie na biurku Маха.

W pierwszej chwili nie chciałam jechać do San Francisco, miałam złe przeczucia co do tej podróży. Pracowałam już wówczas w biurze pewien czas, ale miałam bardzo niewielkie doświadczenie w rzeczach, które właśnie zamierzałam robić. Z czasem nauczyłam się przygotowywać do tego typu spotkań, ale wtedy nie miałam jeszcze praktyki. Wszystko było robione w wielkim pośpiechu, ponieważ dowiedziałam się o wyjeździe zaledwie dzień wcześniej. Popełniłam wszelkie możliwe błędy. I miałam straszliwą kłótnię z Leo. Nie chciał mnie słuchać ani uwierzyć, że tak nagle muszę wyjechać, by przyjrzeć się zbiorce pieniędzy, organizowanej wśród społeczności muzułmańskiej w San Francisco. Wyjazd nie był jedynym powodem kłótni; napięcie między nami narastało od kilku tygodni. Moja absorbująca praca, długie godziny spędzane w biurze, kłopoty dzieci w szkole, nasza sytuacja finansowa, wszystko to razem sprawiało, że byliśmy podenerwowani. Wyjazd doprowadził jednak Leo do wybuchu.

Pierwsze tygodnie w biurze były niezwykle trudne. Koledzy nadal

nie wykazywali chęci do pomocy, z niektórymi popadałam w ciągłe konflikty, a przy tym tak wielu rzeczy musiałam się jeszcze nauczyć. Gdy więc równo miesiąc po tym, jak zostawiłam raport o HLF na biurku Maxa, zostałam wezwana do jego biura, byłam pewna, że szykują się duże kłopoty.

Max zamknął drzwi. Usiadł za biurkiem, z którego uprzątnął tylko tyle rzeczy, by móc mnie widzieć. Wyglądał ponuro.

Koniec ze mną, pomyślałam. Nie powinnam pisać tak otwarcie o muzułmańskiej organizacji charytatywnej, nie znając celów i zasad instytucji, która mnie zatrudniła. To jest instytut badawczy, przypomniałam sobie, a nie CIA. Gdzie ja miałam głowę?

Max nie zaczął od ciskania gromów, zamiast tego koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego napisałam to sprawozdanie. Opowiedziałam, jak znalazłam broszurę i zauważyłam rozbieżności między deklaracjami a rzeczywistymi celami działalności fundacji dobroczynnej. Max zapytał, kto poddał mi myśl zajęcia się HLF i kto w biurze pomógł mi w poszukiwaniach. Wyjaśniłam, że była to wyłącznie moja inicjatywa i moje badania i nikt inny nie musi się za to wstydzic.

Max wyglądał na zmieszanego. Wstydzic?

- Ten raport - powiedział - jest bardzo interesujący. To prawdziwa rewelacja.

Dowiedziałam się później, że nadzwyczaj rzadko pozwalał sobie na tak pochlebne uwagi. Max jest typem szefa, który nie rozpieszcza podwładnych.

Ja natomiast w końcu zaczęłam rozumieć, na czym polega praca w tym miejscu.

Trochę czasu zajęło mi zrozumienie, co tak rewelacyjnego znalazło się w moim raporcie. Mnie, Izraelce, nie wydawała się zaskakująca myśl, że działalność charytatywna jest przykrywką dla wspierania terroryzmu. W Izraelu wszyscy o tym wiedzieli. Zadziwiła mnie

natomiast łatwość i tupet, z jakimi organizacje takie działały tu, w Stanach Zjednoczonych. Wtedy, długo przed 11 września, nie zdawałam sobie sprawy, że w Stanach - którym brakowało doświadczenia z muzułmańskim terroryzmem i gdzie ludzie skłonni są wierzyć w uczciwość organizacji religijnych i dobroczynnych - nikt nie wyobrażał sobie, że tak zwana Fundacja Ziemi Świętej może bez cienia skrupułów służyć jako narzędzie destrukcji. Na długo przed atakiem na World Trade Center i Pentagon próbowałam zainteresować FBI i Departament Stanu wynikami swoich poszukiwań, dotyczących wykorzystywania działalności charytatywnej jako przykrywki dla czegoś zupełnie innego. Moje informacje całkowicie zignorowano.

Po 11 września George W. Bush podpisał rozporządzenie, w którym wymieniono organizacje dobroczynne będące przykrywką dla ugrupowań terrorystycznych. Był to szok dla większości Amerykanów, nawet dla osób związanych z wymiarem sprawiedliwości i Kongresem. Pieniędźmi przeznaczonymi na działalność charytatywną płaci się mordercom? Niedługo potem podpisano poprawkę do rozporządzenia, która wywołała jeszcze większy wstrząs. Wymieniono w niej kilka innych tak zwanych fundacji dobroczynnych. Znalazła się między nimi HLF, a jej obecność na tej liście oznaczała otwarcie nowego frontu w wojnie z terroryzmem. W pierwszej wersji rozporządzenia podano nazwy organizacji, których główne siedziby znajdowały się w Afganistanie i Pakistanie. Dostatecznie daleko, by nie wpadać w panikę. HLF jednak miała bazę w Stanach Zjednoczonych, działała pod nosem władz, a czasem przy ich pełnej współpracy. Organizacja z siedzibą w Stanach, zwolniona od podatków, zbierała amerykańskie dolary na terroryzm.

Gdy pierwszy raz rozmawiałam z Maxem o przygotowanym

przeze mnie raporcie na temat HLF - na długo przed 11 września - obiecał przekazać moje wnioski, wraz z broszurą wydaną przez fundację, „właściwym ludziom”. Do dziś nie jestem pewna, kim byli ci „właściwi ludzie”, ale gdy zobaczyłam raport Departamentu Sprawiedliwości dotyczący HLF, przygotowany przed podpisaniem rozporządzenia przez prezydenta, niektóre partie wydawały się dziwnie znajome...

Dzień, w którym uznano HLF za organizację terrorystyczną, był dla mnie wielkim dniem. Targały mną jednak mieszane uczucia. Dlaczego trzeba było 11 września, by tak się stało? Dlaczego rząd potrzebował tyle czasu, by zrozumieć to, co ja dostrzegłam niemal natychmiast w materiałach jawnie rozprowadzanych przez tę organizację? Dlaczego nie potrafiono przyjąć do wiadomości, że terroryści działają w pełnym świetle?

Miałam wrażenie, że los znów sobie ze mnie zakpił. Po ucieczce z Iraku do Izraela wierzyłam, że pozostawiłam za sobą prześladowania, strach, terrorizm. Potem przyszedł rok 1973 i wojna Jom Kippur, gdy powróciły upiory przeszłości, a jeszcze później wojna w Zatoce. W końcu osiadłam w Stanach Zjednoczonych. Daleko od terroru, jak sądziłam, w kraju wielkich możliwości, kraju spokoju i pokoju... i w kraju przypominającym pole minowe. Okazało się, że w Ameryce mam więcej do czynienia z terroryzmem niż kiedykolwiek wcześniej. Historia lubi się powtarzać.

Do San Francisco wyjeżdżałam w piątek. Tego dnia wstałam o świcie i przygotowałam pyszną kolację szabasową dla Leo i chłopców - *kebba*, tradycyjne irackie danie z mięsa obtaczanego w mące, zupę, sałatki. Leo demonstracyjnie nie zwracał na mnie uwagi. Nie powinien tak mnie traktować. Nie powinien pozwolić mi wyjść w ten sposób. Będziemy musieli porozmawiać o tym po moim powrocie. Za nic w świecie nie mogłam stracić takiej okazji jak

zbiórka pieniędzy dla HLF. Wiedziałam już wówczas, że HLF jest przykrywką dla Hamasu. Od czasu gdy przeczytałam broszurę wydaną przez fundację, wiele się o niej dowiedziałam, czułam jednak, że moja wiedza nie będzie kompletna, jeśli nie pojadę do San Francisco, nie poznam ludzi, o których tak wiele czytałam, nie posłucham, co mówią.

Nękały mnie jednak coraz gorsze przeczucia. Wydawało się, że nic nie idzie tak, jak trzeba. Berta kupowała bilety na dzień przed lotem, były więc nie tylko skandalicznie drogie, ale do tego z przesiadką. Boże, jak ja nienawidzę latać. Kontrolę na lotnisku przeprowadzono nader pobieżnie, ale i tak przylecieliśmy do Denver z półgodzinnym opóźnieniem. Nie zdążyłam na samolot do San Francisco, a następny odlatywał przeszło godzinę później. Zanim dolecę, mityng już się zacznie.

Wylądowałam, złapałam taksówkę i na tylnym siedzeniu pospiesznie przebrałam się w muzułmański strój i zainstalowałam sprzęt nagrywający. To była niebezpieczna amatorszczyzna. Powinnam najpierw zameldować się w hotelu, a potem ostrożnie, dyskretnie przebrać się w swoim pokoju. Wejść jako pani West, wyjść jako królowa Saby.

Tym czasem taksówkarz jeździł w kółko. Nerwowo zapytałam, czy coś jest nie porządku, a on zaczął przeproszać. Zaklinał się, że nie próbuje mnie naciągać. Był pod adresem, który mu podałam, ale tam nie ma takiego hotelu. Skontaktował się z dyspozytorem, który oświadczył, że klientka musiała się pomylić. Nazwa ulicy i numer domu się zgadzały, ale hotel był w Berkeley, nie w San Francisco. Oznaczało to kolejne czterdzieści minut w taksówce, a mnie zaczęła ogarniać histeria. Pokłóciłam się z Leo, przeleciałam na drugi koniec Ameryki, mam spędzić cały weekend z dala od dzieci - i przez ten idiotyczny błąd wrócę z pustymi rękoma. Coś okropnego.

Spojrzałam na zegarek - w Nowym Jorku jest dziewiąta wieczór, Leo i dzieci są już chyba po kolacji. Wykręciłam numer domowy - kolejny niebezpieczny błąd, wiedziałam o tym, ale bardzo chciałam usłyszeć głos męża. Dobrze słowo od niego sprawiłoby, że poczułabym się o wiele lepiej. Nikt nie odbierał. Gdzie oni wyszli? Przez przednią szybę taksówki zobaczyłam morze czerwonych świateł postojowych. Świetnie. Stoimy w korku. Co jeszcze się zdarzy?

Byłam wówczas zupełną nowicjuską. Nie przyszło mi na myśl, że tego rodzaju imprezy rzadko rozpoczynają się punktualnie. Teraz wiem, że nawet jeśli informacja o takim spotkaniu jest ścisła, co zdarza się nader rzadko, jego faktyczny przebieg daleko odbiega od zakładanego. Już nie jestem zaskoczona, gdy zapowiadani mówcy nawet się nie pojawiają. Doświadczenie to cudowna rzecz. Jak celnie to ujął Oscar Wilde, doświadczeniem nazywamy po prostu swoje błędy. A ja byłam właśnie bliska popełnienia wielkiego błędu.

Zbiórkę pieniędzy miano przeprowadzić na wielkim, otwartym mityngu. Gdy wreszcie z niemal dwugodzinnym opóźnieniem dotarłam na miejsce, miałam nadzieję, że usłyszę przynajmniej mowy końcowe. Spodziewałam się zastać kilkaset osób. Gdy otwierałam drzwi sali, w której odbywał się mityng, liczyłam na to, że w muzułmańskim stroju wejdę niezauważona. To, co zastałam, sprawiło, że skamieniałam z przerażenia. Serce przestało mi bić, po plecach przeszły lodowate ciarki.

Znajdowałam się w ogromnym, wspaniale urządzonej holu. Piękne żyrandole, ciężkie dywany, co najmniej sto stołów z ciemnego drewna. Luksus. Stoły były uroczyście nakryte do kolacji, ale z jednym wyjątkiem nikogo przy nich nie było. Wokół tego jedyne go stołu siedziało około piętnastu mężczyzn, wszyscy się we mnie wpatrywali. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że źle trafiłam, ale rzut oka na twarze zgromadzonych rozwiął wątpliwości. To było

to miejsce. Rozpoznałam niektóre osoby. W poprzednich miesiącach przeglądałam akta i raporty, chłonąc i przyswajając informacje. Kilku ludzi siedzących teraz wokół wielkiego stołu miało własne teczki z aktami. Na przykład niski, tęgawy mężczyzna w średnim wieku, o siwych włosach i schludnie przystrzyżonej brodzie, to pewien jordański polityk. Inni należą do przywódców HLF. Wszyscy z pewnością zebrali się tu na mityng, gdzie więc się on odbywa? Czyżby się skończył? W holu było ciepło, miałam *na sobie* ciężkie suknie, ale pod spodem oblewał mnie zimny pot.

Niektórzy mężczyźni przyglądali mi się ciekawie, z zainteresowaniem, inni z wyraźną podejrzliwością. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że jestem tu obca. Co mogłam zrobić?

Miałam dwie możliwości - zostać lub wyjść. Podejść bliżej i próbować zagrać swoją rolę albo opuścić to pomieszczenie. Powiedzieć na przykład, że znalazłam się tu przez pomyłkę. W tym wypadku moja kariera byłaby skończona; nie mogłabym się już pokazać na żadnej innej tego rodzaju imprezie. Trzecim wyjściem była ucieczka w sytuacji, gdyby próbowano mnie zdemaskować. To mogło kosztować życie, bo uwięziona w niewygodnych sukniach i obciążona sprzętem miałam nikłe szanse wymknąć się tym mężczyznom. Zanim zdałam sobie sprawę, co robię, ruszyłam pewnym krokiem w głąb holu.

- *As-Salam alajkum* (Pokój niech będzie z wami) - powiedziałam bez wahania, jakbym znała zebranych od lat.

- *Wa alajkum as-salam* (I z tobą).

Moja pewność siebie ich zaskoczyła. Ciągnęłam dalej po arabsku:

- Nie jestem stąd, bracia. Zatrzymałam się u przyjaciół i to oni powiedzieli mi o kweście. Czy to jest kwesta na rzecz HLF?

- Tak, siostro. - Jak dotąd kupowali moje zagranie. - Dziękujemy za

przybycie.

- A więc już się skończyła? Szkoda, że nie przyszłam wcześniej.

- Nie, w rzeczy samej jeszcze się nawet nie zaczęła. Ludzie właśnie się schodzą. Proszę, czuj się jak w domu, usiądź, możesz poczekać z nami.

Zajęłam miejsce przy sąsiednim stole; o siedzeniu z mężczyznami nie mogło być mowy. Byli wyraźnie podejrzliwi i przez blisko godzinę rozmawiali tylko między sobą. Oczywiście po arabsku i prawie szeptem. Nagrywanie nie wchodziło w grę. Pod sukniami zaciskałam rękę na udzie tak kurczowo, że jeszcze przez tydzień miałam na nim sine ślady po paznokciach. Czy mówią o mnie? A co będzie, jeśli nagle postanowią dokładniej mnie wypytać? Bez przerwy obmyślałam swoją historyjkę. Czy wyda się wiarygodna? A jeśli już odgadli, kim jestem?

Ciągle szeptali, a ja wciąż słuchałam. Udało mi się wyłowić, że są bardzo rozczarowani wynikami tej kwesty. Mówili, że poprzednia zbiórka w tym miejscu przyniosła 100 tysięcy dolarów. Te pieniądze poszły na Harnaś, pomyślałam.

Siedziałam przy stole, czekając, aż pojawią się jacyś ludzie. Minął długi czas i nikt nie przyszedł. Mężczyźni kontynuowali cichą rozmowę, a po godzinie nagle zaczęli głośno mówić.

- Wygląda na to, że nikt już nie przyjdzie, możemy więc równie dobrze zacząć kolację teraz - zwrócił się do mnie jeden z mężczyzn. - Prosimy do nas.

- Nie, dziękuję, naprawdę powinnam już iść. - To była dla mnie szansa zniknięcia stąd.

- Ależ nie, nalegamy. - Nie zamierzali pozwolić mi odejść. - Przyjechałaś tu z daleka, zostaniesz więc i zjesz z nami kolację.

Powiedziałam, że muszę pójść do łazienki umyć ręce przed jedzeniem. Po wyjściu z holu zadzwoniłam do Leo. Podniósł telefon.

Dzieci spały.

Zapytał, czego chcę. Był bardzo chłodny, zdystansowany. Nie miałam głowy teraz się tym przejmować.

- Posłuchaj mnie - powiedziałam cicho. - Jestem na spotkaniu. Jeśli nie odezwę się w ciągu dwóch godzin, dzwoń do Berty. Ona zna adres i wszystkie szczegóły. Upewnij się tylko, czy ona wie, że chodzi o Berkeley, nie San Francisco. Będzie wiedziała, co robić i kogo zawiadomić. Jej numer alarmowy znajdziesz w prawej górnej szufladzie biurka na parterze.

Mogłam sobie wyobrazić Leo, trzy tysiące mil stąd, uważnie słuchającego moich słów. Nie był pewien, co ma zrobić z tym, co usłyszał - może się z nim w ten sposób drażnić? Nie było czasu na przekonywanie go, że nie żartuję. Niech się sam domyśli. Szybko się rozłączyłam i wróciłam do sali konferencyjnej, zanim moja nieobecność wzbudziła podejrzenia.

Podczas kolacji czułam się dziwnie, byłam przerażona, a jednocześnie rozkoszowałam się doskonałym jedzeniem; podano dania kuchni bliskowschodniej, między innymi szaszłyk i falafel - zupełnie jak w domu, w Izraelu.

Smaczny posiłek i napełnione żołądki sprawiły, że mężczyźni jakby się rozluźnili; zaczęliśmy rozmawiać. Mówiłam bardzo mało, uniżonym tonem, nadzwyczaj ostrożnie, tylko tyle, by nie wypaść z roli. Sytuacja była paradoksalna. Siedziałam przy jednym stole z członkami Hamasu, organizacji terrorystycznej, która przyczyniła się do śmierci większej liczby niewinnych Izraelczyków niż jakakolwiek inna. Ja, Żydówka i Izraelka, jedyna kobieta wśród piętnastu mężczyzn. Grałam w bardzo niebezpieczną grę. Skończyliśmy jeść, porozmawialiśmy jeszcze chwilę, wymieniliśmy adresy i numery telefonów, a ja ofiarowałam kopertę z okrągłą sumą na „sprawę”, dżihad. Wkrótce potem spotkanie się skończyło. W drodze do hotelu

zadzwoiłam z taksówki do Leo. W Nowym Jorku było już bardzo późno, lecz podniósł słuchawkę natychmiast po pierwszym dzwonku. Z pewnością czekał przy telefonie.

- W porządku - powiedziałam - możesz iść spać... Tak, nie martw się, wszystko poszło gładko. Opowiem ci po powrocie.

Cały czas zerkałam przez tylne okno taksówki, by się upewnić, że nikt za mną nie jedzie. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że wyszłam z tej historii cało. Dopiero gdy znalazłam się dostatecznie daleko od Berkeley, poczułam radość ze zwycięstwa. Co prawda nie nagrałam niczego, co można by później wykorzystać, ale zdałam najtrudniejszy egzamin - członkowie Hamasu wzięli mnie za swoją. Teraz, skoro przetrwałam w jaskini lwa, mogłam pójść wszędzie, dostać się na każde spotkanie, nagrać wszystko. Tego wieczoru przeszłam chrzest bojowy, ukończyłam z wyróżnieniem uniwersytet dla szpiegów. Dawniej byłam ośrodkiem zainteresowania, królową balu, teraz stałam się mistrzynią mimikry. Proces transformacji dobiegł końca.

Dowiedziałam się później, co się stało w dniu kwesty i dlaczego nikt nie przyszedł. Zbiórka funduszy miała być w założeniu doniosłym wydarzeniem, liczone na udział wielu członków społeczności muzułmańskiej. Ten wieczór wybrała jednak na swoje wesele córka bogatego i wpływowego muzułmanina, który mieszkał w tej dzielnicy. Ojciec panny młodej zaprosił wszystkich sąsiadów, którzy woleli iść na wesele niż na kwestę. Dlatego w hotelu zjawiono się tylko piętnastu mężczyzn i ja.

Leo przyjechał po mnie na lotnisko, ale ledwie się do mnie odzywał. Nagły, pospieszny wyjazd, zorganizowany w dziwny sposób w ciągu jednego dnia, tajemniczy telefon - wszystko to wydało mu się mocno podejrzane. Co on sobie myślał? W drodze z lotniska od słowa do słowa wywiązała się ostra wymiana zdań, zaczęliśmy na siebie krzyżeć i w rezultacie znaleźliśmy się dokładnie

w tym samym punkcie co przed moim wyjazdem do San Francisco.

Wreszcie Leo wyrzucił to z siebie: podejrzewał, że mam romans. Słuchając tych nonsensów, do reszty straciłam panowanie nad sobą. Wrzeszczeliśmy na siebie, aż w końcu zażądałam, by zatrzymał wóz. Wsiadłam, Leo odjechał, po czym zatoczył koło i wrócił po mnie. Nie kłóciliśmy się tak zażarcie od wyjazdu z Izraela. Dlaczego ludzie, którzy się kochają, upadają czasem tak nisko?

Powarkiwaliśmy na siebie jeszcze przez chwilę, a potem się pogodziliśmy. W domu przytuliłam się do Leo i długo płakałam w jego objęciach. Podjęłam tę pracę, by zarobić trochę pieniędzy, i dokąd mnie to zaprowadziło? A jeśli coś by mi się stało? Żadne pieniądze nie są tego warte. Podczas kwesty bałam się, ale nie o siebie, tylko o dzieci. Straciłam ojca i wiem, co to znaczy. Zrobię wszystko, by moje dzieci nie zostały sierotami. Wyjazd, zdenerwowanie z powodu spóźnienia, spotkanie z Arabami, bezsensowna kłótnia z mężem... za dużo tego wszystkiego. Płakałam jak mała dziewczynka.

Nie była to tylko reakcja po wielkim napięciu. Płakałam także dlatego, że w końcu zrozumiałam - nic nie dzieje się przypadkowo. Moja znajomość języka arabskiego i Bliskiego Wschodu, decyzja o wyjeździe z Izraela, ogłoszenie instytutu badawczego... wszystko miało swój cel. Można to nazwać zrzędzeniem losu, karmą, darem Józefa, interwencją opatrności lub jeszcze inaczej, do wyboru. Czy mi się to podoba, czy nie, znalazłam się tu z określonego powodu. To było moje przeznaczenie.

Los nie powinien do tego dopuścić.

Tym razem jednak los nie zadrwił sobie ze mnie. Tym razem tworzyłam historię i mogłam ukształtować ją tak, jak uważałam za słuszne.

Tato, gdybyś tylko wiedział, byłbyś ze mnie dumny.

ROZDZIAŁ 4

Dar al-Hidżra

Palestyński Dżihad Muzułmański. Sami al-Arjan. Muzułmański Komitet na rzecz Palestyny. Komitet na rzecz Wspierania Islamu. Ramadan Abd Allah. Instytut Badań nad Światowym Islamem. Fathi Ibrahim Szikaki. Brzmi jak greka? Dla mnie z pewnością tak właśnie było przez pierwsze dwa tygodnie pracy w biurze. W ciągu tych dwóch tygodni dowiedziałam się nieco o HLF i Harnasie, ale zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, co kryje się pod wymienionymi wyżej nazwami i nazwiskami. A potem przyszła prośba o przetłumaczenie pewnych dokumentów, zawierających zarówno te nazwy, jak i nazwiska.

Nie zamierzam wdawać się w szczegóły, powiem tylko tyle, ile jest konieczne, byście zrozumieli ich znaczenie dla mnie i dla bezpieczeństwa Amerykanów.

Pracowałam już od ponad tygodnia, gdy zadzwoniła Berta i poprosiła o przyjęcie na zebranie zespołu. Poczułam dreszczyk emocji. Wreszcie dowiem się co nieco o tym, co dzieje się tam, na drugim piętrze. Ludzie stamtąd zupełnie nic mi nie mówili. No i dobrze. Teraz jednak, podczas rozmowy na temat pracy, mam szansę nauczyć się czegoś, wychwycić jakieś informacje.

Zespół schodził się powoli. Podekscytowana nie mogłam się

doczekać pierwszego punktu porządku dziennego. Okazała się nim kwestia wyboru czcionki, która ma obowiązywać w dokumentach biurowych. Myślałam, że to jakiś żart. Times New Roman versus Arial. Nie znając terminów technicznych i rozmaitych zawiłości systemu Microsoft Word, niewiele zrozumiałam z całej dyskusji. Następnie moi koledzy przeszli do rozważań nad koniecznością utrzymania czystości w kuchni, a później omawiali inne, równie ważne kwestie. Czy wszystkim tym ludziom odebrało rozum, czy tylko ja nie potrafię pojąć doniosłości omawianych tu problemów?

Kilka dni później przypadał Purim, żydowskie święto, podczas którego ludzie przebierają się w kostiumy, idą do synagogi czytać Megilę, czyli Księgę Estery, i świętować ocalenie Żydów w Persji około 2500 lat temu. Purim to święto radosne, a do tradycji należy wówczas jedzenie przepysznych ciastek. Niecierpliwie czekałam na chwilę, gdy zabiorę dzieci do świątyni. Późnym popołudniem w przeddzień Purimu skończyłam pracę i byłam gotowa do wyjścia, gdy do mojego pokoju na Syberii weszła Amy i wręczyła mi dwa dokumenty.

- Max prosił, żebym ci to dała - rzekła. - Właśnie dostał je faksem i chce wiedzieć, co zawierają. Powiedział, że znasz arabski. Znasz arabski, prawda?

Podziękowałam jej, wzięłam papiery i rzuciłam na nie okiem. To było moje pierwsze zadanie w biurze, sprawdzian mojej przydatności. Raport dotyczący HLF zrobiłam sama, nikt mnie o to nie prosił. Teraz otrzymałam polecenie.

- Co to jest? - zapytałam?

- Nie jestem pewna. Wiem tylko, że zostały przechwycone dwa lata temu podczas jakiegoś nalotu na Florydzie.

- Dlaczego więc przekład stał się teraz taki pilny?

Amy nie miała pojęcia, była tylko posłańcem. Znów spojrzałam na

dokumenty. Wydruk z faksu był ledwie czytelny. Spytałam, czy istnieje lepsza kopia, ale Amy odrzekła, że jest tylko ta jedna.

Zaczęłam tłumaczyć, a im dłużej pracowałam, ty trudniejsze wydawało mi się to zadanie. Duże fragmenty tekstu były nie do odczytania, nawet w lepiej wydrukowanych częściach nie mogłam odczytać połowy zdań. I choć dobrze znałam arabski, nie potrafiłam przełożyć wielu terminów i słów, materia była zupełnie mi nie znana. Nigdy nie robiłam czegoś takiego i jak zwykle nie miałam słownika pod ręką. Straciłam pewność siebie, zaczęły dręczyć mnie wątpliwości, czy nadaję się do tej pracy. Byłam zdenerwowana, zła na siebie i na cały świat. Co tak ważnego znajdowało się w tych papierach, że trzeba je było nagle tłumaczyć w noc przed Purimem? I dlaczego muszę brać to wszystko tak poważnie? Nie znalazłam dobrej odpowiedzi. Chciałam jednak solidnie wykonać pracę, poszłam więc do biura poszukać innych dokumentów dotyczących tej problematyki. Musiałam poznać kontekst i zdobyć podstawowe wiadomości z tego zakresu, by zrozumieć, o co tu chodzi.

O drugiej w nocy skończyłam wreszcie przekład i zostawiłam tekst na biurku Maxa. Nie byłam zadowolona. Nie wiedziałam, co Max z nim robi - jeśli cokolwiek robi. Oczywiście ominęło mnie czytanie Megili, synagoga, święto, wszystko. Dzieci były ogromnie rozczarowane. To zupełnie coś innego niż opuszczenie meczu bejsbola z powodu pracy. Purim jest tylko raz w roku. Chłopcy poszli z Leo, ale oświadczyli, że święta beze mnie to nie to samo. Wspominam ten dzień jako jeden z najgorszych w mojej pracy.

Bywa tak, że robimy coś z wielką niechęcią, a potem okazuje się, że wysiłek opłacił się sownie, zaważył na naszej karierze zawodowej. Nic nie dzieje się bez powodu. Nie ma znaczenia, co Max zrobił z moim przekładem; mnie żmudne tłumaczenie tych dokumentów otworzyło oczy na kwestie związane z działalnością Palestyńskiego

Dżihadu Muzułmańskiego, PIJ, i jego powiązań w Stanach Zjednoczonych. Zafascynował mnie PIJ, zafascynowała mnie komórka PIJ w Tampie. Od tamtej nocy czytałam, słuchałam i oglądałam absolutnie wszystko, co mieliśmy w biurze na temat PIJ. A mieliśmy całkiem sporo, ponieważ w 1995 roku rząd amerykański uznał PIJ za organizację terrorystyczną. Zaczęłam sprowadzać dokumentację z całego świata, czasopisma, periodyki naukowe i polityczne, książki i artykuły po angielsku, hebrajsku, a najczęściej po arabsku. Czytałam to wszystko. Zapoznałam się z każdym dokumentem wydanym przez rząd w związku z PIJ i organizacjami satelickimi. Gromadziłam informacje i ciągle chciałam wiedzieć więcej. W ciągu zaledwie kilku miesięcy od pamiętnej, paskudnej nocy stałam się autorytetem w kwestii PIJ na skalę krajową. Ośmielę się powiedzieć, że nawet agenci rządowi, prowadzący śledztwo w sprawie tego ugrupowania, nie wiedzieli o nim tyle co ja.

Co znajdowało się w tych pierwszych tłumaczonych przeze mnie dokumentach? Były to komunikaty PIJ, w których ugrupowanie przyznawało się do zamachów terrorystycznych w Izraelu. Komunikaty zostały przechwycone przez rządowe oddziały specjalne w biurach Muzułmańskiego Komitetu na rzecz Palestyny (ICP) oraz Instytutu Badań nad Światowym Islamem (WISE) w Tampie na Florydzie. Pisano tam o „męczeńskiej śmierci porucznika i bohatera Issama Musy Barahimy [...]” o heroizmie, ofiarności i poświęceniu w dystrykcie Jenin [...] Żołnierze izraelscy uwierzyli, że porucznik Issam Barahima został już zabity [...] ale syjoniści doznali wstrząsu, gdy męczennik i bohater zaczął rzucać w nich granatami, a kiedy wystrzeli! kilka serii z karabinów maszynowych [...] porucznik izraelskich oddziałów specjalnych do walki z «terroryzmem» został zabity, a czterech żołnierzy odniosło ciężkie rany»„.

W zakończeniu można przeczytać: „Brygady Sajf al-Islam [Miecz

Islam], brygady Dżihadu Muzułmańskiego w Palestynie, ścigają syjonistycznego nieprzyjaciela i walczą z nim, by dowieść, że jedyną drogą wyzwolenia Palestyny jest walka zbrojna, dżihad [...] wszyscy nasi bohaterscy mudżahedini przysięgali na swe dusze i krew *szuchada* [męczenników...] Niech żyje Palestyna od morza do rzeki! [...] Niech żyje intifada!”.

Zaczęłam szukać w naszych archiwach wszystkiego, co mieliśmy na temat PIJ, ICP i WISE. Czytałam dokumenty, przesłuchiwałam taśmy, oglądałam kasety wideo. Na jednej z taśm, pochodzącej z grudnia 1992 roku, znalazłam przemówienie niejakiego Ramadana Abd Allaha Szallaha podczas otwarcia piątej dorocznej konferencji ICP. Konferencja odbywała się w hotelu w McCormick Center w Chicago. Oto kilka wyjątków z wystąpienia Ramadana Abd Allaha Szallaha w przekładzie z arabskiego:

Niektórzy z nas słyszeli być może to nazwisko [...] męczennik Issam Barahima z Palestyny [...] Barahima poległ męczeńską śmiercią w walce z siłami okupanta [...] Był młodym Palestyńczykiem, muzułmaninem, który ostatnie dwa lata życia spędził w jaskiniach wzgórz Zachodniego Brzegu. Jego bronią były karabin maszynowy i Koran, który nosił w kieszeni na piersi [...] Syjonistyczny wróg uznał, że Issam Barahima stoi za wszystkimi działaniami militarnymi dżihadu przeciwko celom nieprzyjacielskim przeprowadzonymi w ciągu ostatnich kilku miesięcy. [...] Żołnierze okupanta byli zaskoczeni, że Issam [...] rzucał granaty i strzelał do nich [z sali dochodziły okrzyki *Tachirl*, czyli «Chwała Allanowi[^]]. Issam zabił jednego syjonistę, a czterech innych zranił. A Bóg oczyścił go jako męczennika.

Brzmi znajomo, prawda? Retoryka jak z komunikatu PIJ. Zaczęłam się zastanawiać, czy ICP odgrywa w stosunku do PIJ tę samą rolę co HLF dla Hamasu: przykrywki służącej zmyleniu władz.

Wkrótce dowiedziałam się, czym jest ICP Na zarejestrowanej na taśmie wideo kweście w Cleveland, przeprowadzonej przez ICP, tamtejszy imam, współnik spiskowców, którzy podłożyli bomby w World Trade Center w 1993 roku, powiedział: „Muzułmański Komitet na rzecz Palestyny [...] jest aktywną ekspozyturą Muzułmańskiego Ruchu Dżihad (PIJ), tu zaś [w Stanach Zjednoczonych] nazywamy go Komitetem ze względów bezpieczeństwa. [...] Składajcie datki na Muzułmański Dżihad. Jeśli wypisujecie czek, wystawcie go na Muzułmański Komitet na rzecz Palestyny, ICP”.

ICP był więc „aktywną ekspozyturą” PIJ w Stanach Zjednoczonych. Ekspozyturą nielegalnej organizacji terrorystycznej, dumnie rezydującą i prowadzącą działalność w Ameryce. Doskonałe wykorzystanie swobód demokratycznych.

Następnie zajęłam się Ramadanem Abd Allahem Szallahem. Kto to jest, zastanawiałam się, i kim jest Sami al-Arjan, inny wyróżniający się mówca na konferencji w Chicago. Co ci panowie mają ze sobą wspólnego?

Zebrałam mnóstwo informacji, a uporządkowania ich zajęło mi miesiące. Przekażę tylko najistotniejsze, ponieważ ta książka nie jest podręcznikiem terroryzmu ani encyklopedią odrażających kreatur. Opowiada jednak o moim życiu, a ci ludzie stali się jego częścią.

Sami al-Arjan jest profesorem informatyki na Uniwersytecie Południowej Florydy w pięknym mieście Tampa. W początku lat dziewięćdziesiątych Sami załatwił amerykańskie wizy dla kilku osób, między innymi Szal-laha i Baszira Nafiego, którzy mieszkali w owym czasie w Anglii. Wszyscy znali się od dawna, od lat siedemdziesiątych. Nafl i Szallah mieszkali w Kairze i studiowali na egipskich uczelniach, Sami był studentem Uniwersytetu Karoliny Północnej, ale często odbywał nawet kilkumiesięczne podróże do Egiptu. W tym właśnie czasie ci młodzi Palestyńczycy wpadli na

pomysł założenia Palestyńskiego Dżihadu Muzułmańskiego. Po latach Sami zainicjował także powstanie WISE oraz ICP. Skoro ICP jest przykrywką dla terrorystycznej organizacji PIJ, mamy wszelkie powody nazwać Sarniego terrorystą. A co z inną organizacją, którą stworzył? On sam zawsze określał WISE jako instytut badawczy specjalizujący się w problematyce Bliskiego Wschodu. Miłe, nic nie mówiące określenie, prawda? Tak samo przecież nazywa się moje miejsce pracy. Dzięki Sarniemu WISE podpisał umowę z Komisją ds. Bliskiego Wschodu Uniwersytetu Południowej Florydy; pracownicy WISE korzystali z wszystkich przywilejów przysługujących pracownikom uniwersytetu.

Szallah i Nafti dostali wizy amerykańskie dzięki swemu staremu przyjacielowi, Sarniemu, który zaprosił ich do Stanów Zjednoczonych i wprowadził do zarządu WISE. Szallah jest ekonomistą, Nafi - teologiem i wykładowcą islamu, Sami - informatykiem. Ta trójka potrzebowała specjalisty z tytułem naukowym w zakresie problematyki bliskowschodniej, by całą rzecz uczynić wiarygodną. Tym kimś został Chalil Szikaki, doktor nauk politycznych Uniwersytetu Columbia, uważany przez wiele osób za muzułmanina o umiarkowanych poglądach. Doskonały wybór.

Szallah mieszkał w Tampie drzwi w drzwi z Sarnim do czasu, gdy w październiku 1995 roku został zabity na Malcie Fathi Ibrahim Szikaki, przywódca PIJ. Fathi był bratem Chalila. Co robi następnego dnia Szallah, wyróżniający się mówca na konferencjach ICP, bliski przyjaciel i współpracownik Sarniego al-Arjana, członek zarządu WISE i wykładowca Uniwersytetu Południowej Florydy? jedzie do Syrii i przejmuje sukcesję po Fathim Szikakim, zostaje sekretarzem generalnym Palestyńskiego Dżihadu Muzułmańskiego w Damaszku. Nietrudno zrozumieć, co to oznacza.

Wyobraźmy sobie, że mamy sympatycznego sąsiada, człowieka o

nienaganych manierach, naukowca, intelektualistę. Nikt nigdy nie powiedział o nim złego słowa. Naprawdę trudno go nie lubić. Może jest nawet wykładowcą naszego syna czy córki na uczelni. I wtedy pewnego dnia zostaje zastrzelony w swojej kryjówce przywódca organizacji terrorystycznej, powiedzmy - Osama Bin Laden. Co robi sąsiad? Bez chwili namysłu wsiada w pierwszy samolot lecący do Afganistanu lub Pakistanu czy jakiegoś innego przeklętego miejsca, gdzie znajduje się baza Al-Ka'idy, i natychmiast zostaje przywódcą tej organizacji.

Jak się więc okazuje, WISE była siostrzaną organizacją ICP, składającą się z zespołu doradców, a zatem kolejną przykrywką dla PIJ. A jak rozumieć fakt, że Sami zarejestrował ICP jako Muzułmański Fundusz Inwestycyjny (także ICP), nigdy jednak praktycznie nie używał tej nazwy? Sami zawsze mówił o ICP jako Muzułmańskim Komitecie na rzecz Palestyny, choć organizacja taka formalnie nie istniała.

Wkrótce po mianowaniu Szallaha przywódcą PIJ agenci federalni urządzili nalot na biura ICP i WISE w Tampie; także na dom Sarniego, ponieważ tam znajdowała się główna siedziba ICP w Stanach Zjednoczonych. Wśród zarekwirowanych wówczas dokumentów znajdowały się także komunikaty, które polecono mi przetłumaczyć.

Ten nalot oznaczał koniec ICP i WISE. Nie zostały nigdy formalnie rozwiązane, ale w praktyce zaprzestały działalności.

Gdy Szallah wyjechał do Syrii, by objąć przywództwo PIJ, Sami oświadczył, że nic nie wie o tej sprawie. Przy wielu okazjach publicznie zaprzeczał, że cokolwiek wiedział o działalności i poglądach Szallaha. W wywiadzie telewizyjnym oznajmił, że wszystko to było dla niego „wielkim wstrząsem”. Wielkim wstrząsem dla człowieka, który wraz ze swoim starym kumplem

Szallahem założył w Egipcie PIJ? Wielkim wstrząsem dla człowieka, który zaprosił Szallaha do Ameryki i pomógł mu załatwić wizę? Dla człowieka, który mieszkał Szallahem drzwi w drzwi, zatrudnił go i wraz z nim pracował w WISE, zespole doradców, który wspólnie założyli?

Od kilku miesięcy pracowałam w biurze, a ciągle nie wiedziałam, że jedynym skutecznym sposobem porozumienia się z Maxem jest e-mail. Siedziałam na szóstym piętrze, na Syberii, i choć w końcu dostałam własne biurko, pozostawałam poza głównym nurtem wydarzeń. Moje kontakty z Maxem były więc bardzo ograniczone. Nie orientował się, co dokładnie robię tam, na górze. Teraz za nic by się do tego nie przyznał, ale wiem, co wówczas o mnie myślał - że siedzę w biurze całymi dniami, a niewiele z tego wynika. Pewnego dnia wpadłam do Berty. Spytała mnie, nad czym pracuję, a ja odparłam, że czytam gazety, oglądam taśmy wideo, szukam informacji. Wtedy Berta powiedziała, że zdaniem Maxa mogłabym robić więcej, że nie dość się staram.

Nie byłam bardzo zaskoczona, gdy wychodząc pewnego wieczoru z biura, odkryłam, że Max ma spotkanie z trzema agentami rządowymi w sprawie PIJ i Sarniego al-Arjana, a ja nie zostałam zaproszona, choć właśnie tą sprawą się zajmowałam. Wiedziałam o tych trzech agentach, ponieważ dość dokładnie orientowałam się w prowadzonym przez nich śledztwie, nigdy wcześniej jednak nie poznałam żadnego z nich. Ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby Maxowi do głowy, byłoby powiedzieć mi o tym spotkaniu.

Weszłam więc nieproszona. Agenci popatrzyli na mnie, a Max ich przedstawił: Barry Carmody i mężczyzna, którego nazwę Kirk, obaj z FBI, oraz John Canfield z Urzędu Ceł. Max powiedział, że wszyscy ci trzej goście pracują nad sprawą Sarniego i PIJ i najwyraźniej oczekiwał, że uśmiechnę się uprzejmie i wyjdę.

Tak się złożyło, że tego dnia miałam na sobie obcisłą białą bluzkę, obciste džinsy, szeroki pas w stylu kowbojskim i buty na wysokich obcasach.

Agenci nie mogli oderwać ode mnie oczu. I wtedy Canfield zapytał nieco protekcyjnym tonem:

- Czy możesz powiedzieć nam coś nowego o Sarnim? Max, wierząc się nerwowo na krześle, oznajmił:

- Nie, nie sądzę, by wiedziała coś więcej o Sarnim, nie pracuje obecnie nad tą sprawą.

Od miesiący pożerałam PIJ, pochłaniałam WISE, oddychałam IPC. Każdej nocy, gdy Leo i dzieci już spali, ślęczałam nad aktami. Częściej chodziłam do łóżka z Sarnim i Szallahem niż z biednym Leo. Tego wieczoru na przykład zabierałam do domu grubą na cztery cale segregator z dokumentami na temat PIJ. Canfield świetnie trafił; wybuchłam jak wrzący wulkan. Miałam dość wygnania na szóste piętro, zebranych poświęconych krajowi czcionki, bycia niedocenianą i niewidzialną. Pora coś z tym w końcu zrobić.

- Tak, panowie, mogę wam powiedzieć kilka rzeczy o Sarnim - powiedziała, patrząc na tych czterech mężczyzn. - Chcecie Samiego? Dostaniecie go.

John, Barry i Kirk byli kompletnie zaskoczeni. Zaczęłam pokazywać dokumenty dotyczące ich człowieka. Z wielkiej teczki, którą miałam ze sobą, wyjęłam cały segregator akt poświęconych Barahimie, tak zwanemu męczennikowi z dokumentów, które tłumaczyłam. Wiedzieli o Barahimie, ale nie wiedzieli, że na konferencji ICP jego historia została powtórzona w wersji niemal takiej samej jak w komunikacie PIJ. Potem pokazałam dokumenty mające związek z Uniwersytetem Południowej Florydy i dotyczące Samiego. Agenci mieli kopie tych dokumentów i powinni byli wiedzieć to, co właśnie zamierałam im powiedzieć. Nie wiedzieli.



Gdy Szallah, Sami i ich powiązania z PIJ stały się przedmiotem zainteresowania władz, Uniwersytet Południowej Florydy zatrudnił prawnika, który miał przeprowadzić dochodzenie w sprawie Sarniego, IPC i WISE i - jak miały nadzieję władze uniwersytetu - przywrócić dobre imię uczelni. Prawnik sporządził dwustronicowy raport. Wniosek był taki: Uniwersytet Południowej Florydy w żaden sposób nie mógł wiedzieć, że Szallah jest tym, kim jest. W ramach swego dochodzenia prawnik przeprowadził wywiad z Chalilem Szikakim, jednym z filarów WISE, bratem zabitego przywódcy PIJ. Zapytał Szikakiego, kiedy poznał on Shallaha. Szikaki mieszkał w Stanach Zjednoczonych od 1985 roku; Shallah przyjechał w roku 1991. Pytany odpowiedział prawnikowi, że poznał Szallaha, gdy obaj rozpoczęli pracę w WISE.

Ja miałam jednak zapis konferencji ICP z 1990 roku. Można było na nim zobaczyć, jak Szikaki siada po wygłoszeniu przemowy, a Szallah, także należący do grona mówców, wstaje i oznajmia: „Zgadzam się ze słowami mego brata Chalila”. Pokazałam Małowi i trzem agentom fragment raportu prawnika, gdzie Chalil mówi, że nie ma powodu wstydzić się swego udziału w konferencji ICP, ponieważ było to spotkanie akademickie, natury czysto intelektualnej. Kolejne kłamstwo. Wręczyłam agentom książki, których nie znali, między innymi *tom z serii „Islam i Palestyna”*, buńczucznie zatytułowany: *Przemówienia wygłoszone na trzeciej dorocznej konferencji ICP: Islam - droga do zwycięstwa*. Tom zawierał również wnioski końcowe z konferencji. To czysto akademickie spotkanie odbyło się w Chicago w grudniu 1990 roku. Oto kilka wyjątków z wniosków końcowych w

przekładzie z arabskiego:

Konferencja została zwołana w czasach najtrudniejszych dla islamu i świata arabskiego. W czasach gdy każdego dnia, nieprzerwanie trwa rzeź naszego narodu, narodu dżihadu [...] i gdy siły militarne Zachodu zostały rozlokowane w sercu Pustyni Arabskiej i stacjonują w świętych miejscach islamu.

Uczestnicy konferencji pozdrawiają bojowników intifady, błogosławią ich poświęcenie i determinację w prowadzeniu dżihadu mimo terroru stosowanego przez nieprzyjaciela i embarga nałożonego przez jego sojuszników. Wzywają także wszystkie odłamy *ummy* [społeczności muzułmańskiej] do jedności i solidarności oraz zwania szeregów w obliczu nowego najazdu krzyżowców na ziemię muzułmanów i islamu [wojsk Stanów Zjednoczonych w Arabii Saudyjskiej...].

Uczestnicy konferencji oświadczają, że dżihad jest jedyną drogą odzyskania całej świętej ziemi palestyńskiej, która jest własnością całej *ummy*, i nikt nie ma prawa ustąpić jej choćby piędzi oraz godzić się na istnienie syjonizmu i wszelkich jego odmian, ponieważ byłaby to zdrada Allaha, jego Proroka, naszego narodu muzułmańskiego, dżihadu, męczenników i nieustannie padających ofiar. [...]

Uczestnicy konferencji apelują do wszystkich uczciwych ludzi *ummy*, organizacji, instytucji muzułmańskich i narodowych, zwłaszcza na kontynencie amerykańskim, o zmobilizowanie środków i energii dla wsparcia bojowników dżihadu w Palestynie, tak by dzięki odpowiednim zasobom finansowym zdołali przezwyciężyć dotkliwie ich nękający groźny kryzys ekonomiczny, który nasilił się jeszcze podczas wojny w Zatoce. Apelują także do wszystkich muzułmanów o wsparcie dżihadu naszych braci w Kaszmirze, Afganistanie, Erytrei, Libanie i Sudanie.

Uczestnicy konferencji stwierdzają, że celem inwazji obcych wojsk

[Stanów Zjednoczonych w Arabii Saudyjskiej] jest przede wszystkim zniszczenie siły militarnej Iraku, zagrażającej bezpieczeństwu Izraela, zajęcie arabskich i muzułmańskich pól naftowych, rozszerzenie hegemonii, przywództwa i wpływów amerykańskich na świecie, nie zaś wyzwolenie Kuwejtu. [...]

Wystarczy. Dżihad, intifada, krzyżowcy, męczennicy, znowu dżihad. Rzeczywiście, czysto akademickie. Bardziej niż nauczanie filozofii Sokratesa i Platona. I święte. Jak święta wojna. Dżihad.

Dopiero się rozkręcałam. Teraz pokazałam Maxowi, Johnowi, Barry'emu i Kirkowi umowę, jaką Sami zawarł z Uniwersytetem Południowej Florydy. Dołączone zostały do niej życiorysy Baszira Nafiego i Ramadana Abd Allaha Szallaha. Nafi przedstawia się jako wydawca „Al-Muchtar al-Islami” („Przeglądu muzułmańskiego”) oraz „At-Tali'a al-Islamijja” („Muzułmańskiej Awangardy”). Ramadan pisze, że był jednym z wydawców „Al-Muchtar” oraz „An-Nur” („Światła”). Zamierzałam udowodnić, że z wyjątkiem być może Chalila Szikakiego wszyscy gracze, wszyscy tak zwani naukowcy z ICP i WISE, byli ściśle powiązani z **PIJ** na długo przedtem, nim otrzymali wizy wjazdowe do Stanów Zjednoczonych. Każdy, kto miał dostęp do tych materiałów, zarówno agenci rządowi, jak uniwersytecka Komisja do spraw Bliskiego Wschodu, powinien to wiedzieć.

- Czy któryś z was - spytałam - widział kiedykolwiek te publikacje?

Nie widzieli.

Przeprosiłam na chwilę, pobiegłam do swego pokoju, chwyciłam kilka kopii czasopism i dzienników i wróciłam do swoich słuchaczy. Siedzieli nieruchomo, jak zakłęci - jakby po prostu bali się ruszyć. Max także.

Podaliśmy im wywiad z Fathim Shikakim, w którym oświadcza on,

że „Al-Muchtar al-Islami” był organem propagandowym PIJ. Pracownicy ICP i WISE byli wydawcami i współautorami (czasem pod pseudonimami) tego pisma na długo przedtem, nim zatrudnili się w tych instytucjach.

Redakcja „Al-Muchtar” miała siedzibę w Egipcie. Gdy przywódcy PIJ opuścili Egipt, Baszir Nafi zaczął wydawać w Londynie „At-Tali’a al-Islamijja”. Jednocześnie pismo wychodziło w Izraelu pod tytułem „An-Nur”. Nafi był w Anglii, Szallah w Jerozolimie, prowadzili między sobą ożywioną wymianę faksów w sprawach wydawniczych. W kilku opracowaniach historycznych poświęconych PIJ, wydanych po hebrajsku i arabsku, można znaleźć informację, że pisma te były oficjalnymi organami organizacji. Pokazałam niektóre z nich czwórce mężczyzn. Dorzuciłam kilka numerów „At-Tali’a” i dodałam, że udało mi się zdobyć wszystkie numery tego czasopisma. Następnie uświadomiłam swoim słuchaczom, że amerykańska edycja „At-Tali’a” wychodziła w Raleigh, w Karolinie Północnej. Tak się złożyło, że taki sam adres miał Sami, gdy mieszkał w Raleigh przed wyjazdem do Tamy.

Długoletnie zaangażowanie Sarniego, Nafiego i Szallaha w działalność PIJ było zupełnie oczywiste.

Wyglądało na to, że Sami zdołał skupić wokół siebie imponującą ekipę terrorystów. Jednym z szacownych dżentelmenów, których zaprosił do WISE i do udziału w uniwersyteckiej dyskusji przy okrągłym stole, był Hasan at-Turabi, przywódca rządzącej partii fundamentalistycznej w Sudanie. Nie trzeba wiele trudu, by dowiedzieć się, kim jest At-Turabi. Z danych Departamentu Stanu dotyczących Bin Ladena, ogłoszonych w 1996 roku, wynika, że przez pięć lat, od 1991 roku At-Turabi gościł Usamę Ibn Ladina w Sudanie. Sami zaprosił At-Turabiego na Florydę w roku 1992.

To jeszcze nie wszystko. WISE działała we współpracy z

uniwersytecką Komisją do spraw Bliskiego Wschodu (MEC). W 1991 roku rada naukowa, złożona niemal w całości z członków MEC, zatwierdziła pracę doktorską, w której znalazło się stwierdzenie, że Baszir Nafi był blisko związany z Fathim Szikakim i wydawał „At-Tali’a” „specjalnie dla organizacji”. Mimo to członkowie MEC zasiadający w radzie, która przyjęła tę pracę, nie zauważyli powiązań między Nafim a PIJ.

A teraz najlepsze. W myśl umowy zawartej z uniwersytetem członkowie WISE mieli prawo korzystać z przywilejów przysługujących wykładowcom. W ten sposób Szallah, przywódca terrorystów, odbył wycieczkę dla VIP-ów samolotem linii Mac Diii.

Slogan linii brzmi: „Najważniejszy jest dla nas człowiek”, a jej baza znajduje się w Tampie na Florydzie, tam gdzie baza amerykańskich sił powietrznych. Najważniejszy jest człowiek. Także Szallah, człowiek, który wkrótce zostanie sekretarzem generalnym Palestyńskiego Dżihadu Muzułmańskiego. Uśmiecha się, ścisnął dłoń, robi zdjęcia, i kto wie, co notuje w pamięci. Czego szuka taki człowiek w bazie amerykańskich sił powietrznych? Człowiek, który jest przywódcą wielkiej organizacji terrorystycznej, blisko współpracującej z Al-Ka’idą!

Ten fragment mojego zaimprovizowanego wystąpienia wywołał wielkie wrażenie. Agenci od lat prowadzili dochodzenie w sprawie PIJ, byli najlepszymi rządowymi ekspertami w tym zakresie. Mimo to w ciągu kilku miesięcy, korzystając jedynie z ogólnie dostępnych źródeł, dowiedziałam się na ten temat więcej niż oni. Po prostu zasypałam ich informacjami.

Był jeszcze jeden powód, dla którego moi słuchacze czuli się nieswojo. Gdy niespełna godzinę wcześniej weszłam do biura Маха... no cóż, pożerali mnie wzrokiem. Matka natura obdarzyła mnie atrybutami, uważanymi przez niektórych mężczyzn za

pociągające. Zupełnie po mnie nie widać, że urodziłam troje dzieci. Teraz mam czworo, a moja figura nadal niewiele się zmieniła. Być może dlatego John próbował zażartować sobie ze mnie, pytając, czy powiem im coś o Samim. Tak czy inaczej, podczas gdy agenci usiłowali oderwać oczy od mojego dekoltu, ja bombardowałam ich wiadomościami. Teraz patrzyłam na całą czwórkę z mieszaniną sympatii, złośliwej satysfakcji i dumy. Znów byłam sobą, potrafiłam zwrócić na siebie uwagę. Długie miesiące traktowania mnie jak niewidzialnej nie nadwerężyły mojej umiejętności przyciągania uwagi, gdy tego chciałam. Do perfekcji opracowałam dwie strategie zachowania, niemal tak jakbym miała kontrolowane rozdzielenie jaźni. Muszę przyznać, że ten wieczór był zabawny. John Canfield patrzył na mnie z wyraźnym niedowierzaniem i po długim milczeniu powiedział:

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Z pewnością drugiej takiej nie ma na świecie.

Następnego dnia Max wezwał mnie do swego biura. Widziałam, że rozpira go chęć rozmowy o wczorajszym wieczorze, ale nie może znaleźć właściwych słów. Powiedział mi tylko, że poproszono nas o pewne dodatkowe informacje na temat PIJ. Jacyś agenci przyjdą na początku przyszłego tygodnia; czy mogę wziąć udział w tym spotkaniu i podzielić się swą wiedzą? Aha, i może chciałabym przenieść się do biura na drugim piętrze? Dzięki temu nie będę musiała ciągle biegać między drugim a szóstym.

Uśmiechnęłam się; miałam nieodparte wrażenie *deja vu*. Było dokładnie tak, jak w Ma'on Olim. Im wyżej w hierarchii, tym bliżej ziemi. Na dodatek Max zapytał, czy potrzebuję kogoś, kto pracowałby ze mną. Może kogoś z biura? Przydzielili mi pomocnika, jeśli chcę. W końcu zaczął:

- A co do wczorajszego dnia...

- Tak?

- Dostrzegłaś, czego reszta z nas nie widziała, i wiesz, co z tym zrobić. Roześmiałam się.

- Ostatnia sprawa - powiedział. - Ponieważ jesteś jedyną Izraelką w naszym instytucie, pomyślałem sobie, że może potrafiłabyś znaleźć sposób wydostania pewnych dokumentów z Izraela. Od kilku lat próbujemy je zdobyć, są bardzo ważne. Nawet agencja federalna prowadząca to dochodzenie nic nie może zdziałać w tej sprawie.

- Zrobię, co w mojej mocy - odparłam.

Max objaśnił mi, o jakie dokumenty chodzi. Potrzebny był nam wyciąg z postanowienia izraelskiego Sądu Najwyższego w sprawie Udy. Abd al-Aziz Uda był duchowym przywódcą PIJ. W połowie lat osiemdziesiątych został skazany na deportację z Izraela. Odwołał się do Sądu Najwyższego w tym kraju, ponownie uznano go za terrorystę i przywódcę PIJ i deportowano w 1987 roku wraz z naszym dobrym, teraz już świętej pamięci znajomym, Fathim Szikakim.

INS (Wydział Bezpieczeństwa Narodowego) prowadzi bazę danych, którą wykorzystuje się do tego, by nie wpuszczać do Stanów Zjednoczonych wszelkiej maści podejrzanych indywiduów. Każdy, to był w swoim rodzinnym kraju aresztowany i oskarżony o terroryzm, automatycznie otrzymuje zakaz przekraczania granicy amerykańskiej. Jak więc uznany za terrorystę Uda zdołał w latach 1988-1992 wielokrotnie wjechać do kraju - na zaproszenie Sarniego al-Arjana - i brać udział w konferencjach ICP? INS, jak przekonaliśmy się 11 września, nie zawsze jest najskuteczniejszym filtrem. Nie ma dowodów na to, że Abd al-Aziz Uda przekraczał granicę, ale są kasety wideo, na których pojawia się jako uczestnik „czysto akademickich” spotkań, co dowodzi, że tu bywał. Prawdopodobnie posługiwał się fałszywym paszportem. Właśnie brak materiałów dotyczących Udy sprawiał, że tak ważne stały się dla Maxa akta izraelskiego Sądu

Najwyższego. Jak mogłam je zdobyć?

Czy pamiętacie moją młodszą siostrę Betty, tę, po której urodzeniu mama bez przerwy płakała? Betty była świetną studentką i zamierzała zostać lekarzem. W Izraelu bardzo trudno dostać się na uczelnię medyczną. Działa ich w kraju tylko cztery, a konkurencja jest ogromna. Betty dostała się jednak z łatwością. Zaczęła studia podczas służby wojskowej. Wojsko rano i wieczorem, nauka w środku dnia. Jednocześnie zainteresowała się prawem i postanowiła zacząć studia prawnicze - mimo że odbywała służbę wojskową i studiowała medycynę. Znow została przyjęta bez trudu.

Może miała za dużo czasu, by poświęcać go tylko na wojsko i medycynę, nie wiem. Tak czy inaczej skończyła studia z najwyższymi ocenami. Gdy więc pojawiła się sprawa dokumentów, zadzwoniłam do niej. Była przecież prawnikiem, mogła wiedzieć, jak je zdobyć.

Łatwizna, powiedziała. W Izraelu, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, istnieje publiczna baza danych gromadząca orzeczenia Sądu Najwyższego. Betty weszła do bazy, skopiowała potrzebne mi fragmenty, wysłała pliki e-mailem, a dyskietkę do moich zbiorów pocztą kurierską. Trzy godziny po tym, jak Max prosił mnie o pomoc w znalezieniu tych akt, zeszłam na dół do jego biura.

- Przemyślałam wszystko - oznajmiłam. - Dziękuję, ale nie. Nie chcę przenosić się na dół. Za wielki chaos. Nie zdołam pracować tak dobrze jak tu, gdzie teraz jestem. Podoba mi się na górze. Tam jestem u siebie i mogę zorganizować sobie pracę. Mogę przeglądać kasety wideo jak dzień długi, mogę słuchać taśm do woli i szperać w dokumentach ułożonych według mojego systemu. Myślę więc, że zostanę tam trochę dłużej. A jeśli chodzi o kogoś, z kim miałabym pracować, tak, z pewnością przyda mi się ktoś do pomocy. Chcę George'a. George był jednym z najbardziej cenionych pracowników i jedną z pierwszych osób w biurze, z którymi udało mi się nawiązać

jakiś kontakt. Był chrześcijaninem, ale dużo wiedział o judaizmie i Izraelu, ponieważ spędził blisko rok w Jerozolimie, studiując nauki polityczne. Miał wątpliwą przyjemność być świadkiem zamachu terrorystycznego - widział wybuch bomby w autobusie - i to, jak sądzę, sprawiło, że postanowił pracować w naszym biurze, choć utrzymywał, że powód był inny. George powiedział mi, że jedną z rzeczy, które najbardziej go zaskoczyły w Izraelu, było to, że Izraelczycy są o wiele mniej religijni niż Amerykanie. W tym sensie, że mniej gorliwie praktykują. To prawda. O wiele mniejszy procent mieszkańców Izraela chodzi regularnie do synagogi niż Amerykanów do kościoła. Właśnie w czasie rozmowy z George'em uświadomiłam sobie, jak wspaniale religijne są Stany Zjednoczone.

Mimo rozdziału Kościoła od państwa i świeckiego szkolnictwa Amerykanie są bardzo rzywiązani do wartości judeochrześcijańskich, a przy tym traktują ten rozdział z wielkim nabożeństwem. To czyni Amerykę jeszcze bardziej godną podziwu.

Wiedziałam, że będzie mi się z George'em dobrze pracowało. On się zajmie dokumentami angielskimi, ja - arabskimi. Razem zrobimy o wiele więcej.

- Lubię George'a. Jest bardzo bystry - powiedziałam Maxowi. -1 wiem, że dobrze się orientuje w kwestiach dotyczących PIJ. Będę wdzięczna, mogąc z nim pracować nad tą sprawą. Aha, jeszcze jedno. Tu są dokumenty, których szukałeś. Mam nadzieję, że się przydadzą.

I podałam mu pliki, które Betty przesłała mi e-mailem.

- Jak, do diabła, je zdobyłaś? - Max osłupiał.

Mogłabym przysiąc, że drżała mu ręka, którą wyciągnął po dokumenty.

Przez miesiące przedzierałam się przez sterty materiałów zalegających półki i przepełnione pudła. Przypadkiem znalazłam broszurę HLF i okryłam, że fundacja ta jest przykrywką dla Hamasu.

Polecono mi przetłumaczyć dokumenty dotyczące Barahimy i w ten sposób wpadłam na trop agentów PIJ w Stanach Zjednoczonych. Im dłużej pracowałam, tym większej nabierałam wprawy, a moje poszukiwania stawały się bardziej celowe. Poznając struktury, metody działania i wszelkie zawiłości tego tajemnego świata, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że istnieje kod, który muszę złamać, żeby zrozumieć, jak ten system działa.

Kawałki układanki zaczęły stopniowo tworzyć całość, obraz stawał się wyraźniejszy. Wiedziałam teraz, że w Stanach Zjednoczonych miało swe bazy wiele organizacji, grup, komórek, zmierzających do zniszczenia Ameryki, Zachodu, wszystkiego, co jest nam drogie. Nie byłam zaskoczona. Przyjechałam z kraju, w którym terroryzm jest elementem codzienności. Tego dnia, gdy wpadła mi w ręce broszura HLF, zdałam sobie sprawę, że organizacje dobroczynne w Ameryce wykorzystywano jako przykrywkę dla działalności terrorystycznej i zbierania na nią funduszy. Ale to nie wszystko; działacze tych organizacji zajmowali się także lobbingsiem i budowali infrastrukturę dla czegoś, czego w owym czasie jeszcze nie potrafiłam dokładnie określić. W początkowym okresie pracy coraz jaśniejsze stawało się dla mnie, że wielu przywódców grup terrorystycznych rezyduje w Ameryce i traktuje ten kraj jako bezpieczną bazę wypadową dla swoich operacji. Zadziwiała mnie łatwość, z jaką działali w tym kraju.

Nadal było wiele rzeczy, których nie wiedziałam; czułam, że brak mi istotnych informacji. Jakie miałam atuty w tej zabawie w kotka i myszkę? Znajomość Arabów i muzułmanów. Wiedzę z zakresu historii i problemów politycznych regionu, w którym narodził się muzułmański terroryzm. Języki. Determinację. Coraz wyraźniej czułam, że jestem stworzona do tej pracy, gotowa do podjęcia ryzyka, nawet do poświęceń. Siedząc w biurze z George'em, przedzierając się przez kolejne pliki dokumentów, gromadząc skrzętnie informacje,

zdałam sobie w pewnym momencie sprawę, co należy zrobić. Dość pracy za biurkiem. Trzeba wyjść na ulicę.

W czasach przed 11 września instytucje religijne i dobroczynne były całkowicie poza zasięgiem działania agentów rządowych. Wkroczenie do meczetu czy na konferencję zorganizowaną przez organizację religijną lub „dobroczynną” mogłoby wywołać zarówno oburzenie ludzi wierzących wszelkich wyznań, jak i niewierzących obrońców praw człowieka. Co więcej, agencje takie jak FBI żywiły zadawnioną niechęć do podejmowania śledztwa, dopóki przestępstwo nie zostało faktycznie popełnione. Tak więc spisek, którego rezultatem było podłożenie bomb w World Trade Center i w ambasadach amerykańskich we wschodniej Afryce, nie był wart dochodzenia - dopóki nie wyleciały w powietrze ambasady w Kenii i Tanzanii. Dopóki nie runęły Twin Towers. To nastawienie zmieniło się radykalnie po 11 września, wcześniej jednak wywrotowcy mogli działać w tym kraju swobodnie, bez obaw, że zostanie wdrożone przeciw nim śledztwo. Działali więc. A ja wiedziałam, co dzieje, i zdawałam sobie sprawę, że należy to zatrzymać. Jeśli władze nie mogą lub nie chcą tego zrobić, niech pozwolą spróbować mnie.

Musiałam przygotować się bardzo starannie - postępować o wiele rozważniej niż podczas wyprawy na zbiórkę funduszy dla HLF w Berkeley. Musiałam stworzyć sobie fałszywą tożsamość: fałszywy adres, zmyślony życiorys i rodzinę. Sfabrykowałam wymyślną historię i powtarzałam ją Jo z nudzenia. Mogłam mówić bez końca o swoich rodzinnych okolicach, mieście, w którym znajdował się mój meczet, dawniejszych losach mojej arabskiej rodziny na Bliskim Wschodzie. Chodziłam nawet często do „swojego” meczetu, by uwiarygodnić te opowieści. Rozmawiałam z innymi wiernymi, szlifując kolokwialny arabski. Jeśli chodzi o przebranie, byłam spokojna. Nabrałam dostatecznej wprawy, gdy w - innym co prawda

- przebraniu sprzedawałam odzież ortodoksyjnym żydom w Izraelu. Nie było trudno wyglądać jak muzułmanka. Po tygodniach przygotowań poczułam, że jestem gotowa.

Nie byłam pierwszą osobą próbującą infiltrować te ugrupowania. Często kończyło się to wpadką. Szczęśliwców po prostu wypędzano, z innymi bywało gorzej. Jako kobieta byłam szczególnie zagrożona, gdyż w tym środowisku nie traktuje się dobrze nawet własnych kobiet. Nawet w czasach przed zlinchowaniem dwóch izraelskich żołnierzy w Ramallah, co pokazano w telewizji, ci ludzie byli śmiertelnie poważni. Podobno tchórz umiera tysiąc razy, ale prowadzić tajne działania i udawać, że nie ma w tym ryzyka, to zupełna głupota. Historia lubi się powtarzać, a ja nie chciałam skończyć jak mój ojciec. Gdyby coś mi się przytrafiło, co stałoby się z moimi dziećmi? Przez wszystkie lata, jakie upłynęły od pierwszego tajnego zadania, mój strach wcale się nie zmniejszył. Suknie, które nosiłam, nie tylko pomagały ukryć moją tożsamość, ale i ten strach. Niebezpieczeństwo to nieodłączny element tego rodzaju gry i nawet wówczas, gdy nie wykonuję tajnego zadania, czai się gdzieś w pobliżu.

Ustanowiłam więc dwie zasady. Po pierwsze, nigdy nie prowadzę operacji w swoich stronach. Zbyt ryzykowne, ktoś mógłby mnie później zobaczyć w supermarkecie, w centrum handlowym, bez przebrania. Po drugie, należy skupić się na jednym. Gdy pracuję, staję się muzułmańską kobietą, a skoro nią jestem, nie ma się czego obawiać.

Wąska jezdnia była zapchana samochodami. Tłoczyło się ich o wiele więcej, niż można by oczekiwać w piątkowe popołudnie. Policjant, sprawiający wrażenie zdenerwowanego, kierował liczne samochody w stronę meczetu i przyległego doń parkingu. Kierowcy wystawiali głowy i ręce z aut, przekrzykiwali się nawzajem i dawali

sobie palcami najrozmaitsze znaki. Od razu było widać, że dzieje się coś niecodziennego.

Rano, przed wyjazdem na lotnisko, uściskałam dzieci; trzymałam je długo w objęciach, tak jak dawno temu robiła to mama. Zapytały, czy dzieje się coś złego. Leo wiedział, dokąd jadę, ale dzieci nie, i czuły, że zachowuję się dziwnie. Zdecydowaliśmy z Leo, że lepiej oszczędzić im niepokoju. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę w domu przed kolacją.

Na ulicy panował obłąkańczy ścisk, samochody poruszały się zderzak w zderzak, wyły klaksony, strzelały rury wydechowe, a nad tym wszystkim górował Dar al-Hidżra. Z daleka nie wyglądał imponująco - duży, biały, prostopadłościenny, nieciekawy, przypominał nieco szkołę publiczną. Gdy jednak podjechałam bliżej, wrażenie okazało się fałszywe. Coraz wyraźniej było widać, że to obszerna, elegancka, piękna i nowoczesna budowla. Zobaczyłam dwie bramy, jedną dla pojazdów, drugą dla pieszych. Zaparkowałam wynajęty samochód i ruszyłam do wejścia. Najbliżej parkingu, od frontu, znajdowało się wejście dla mężczyzn; wejście dla kobiet było z innej strony; aby tam dotrzeć, musiałam okrążyć cały meczet. Dopiero wtedy zorientowałam się, jak potężna jest to budowla. Zauważyłam ładny plac zabaw dla dzieci, którego urządzenie, jak się później dowiedziałam, kosztowało około 70 tysięcy dolarów; podarowała je korporacja Nike. Znalazłam wejście i weszłam do środka. Znak w korytarzu wskazywał, że kobiety i dzieci muszą kierować się w prawo. Korytarz nie prowadził do prawdziwej sali modlitw, lecz raczej pomieszczenia wyposażonego w głośniki, przez które nadawano piątkowe kazanie, *chutba al-dżuma*. Po lewej stronie było przejście tylko dla kobiet, prowadzące do głównej sali modlitw. Podobnie jak mężczyźni musiałyśmy zdjąć buty, nim wstąpimy na świętą ziemię meczetu. Przed wejściem znajdował się

hamam, gdzie wszyscy obmywali ręce i twarze. W głównej sali, na wysokości około dwudziestu stóp, ciągnęła się galeria. Nie widać z niej było prowadzącego modły, ale za to był dobry widok na siedzących na dole mężczyzn. Weszłam po schodach na galerię.



Trzy dni wcześniej Max powiedział mi, że zadzwonili do niego jacyś ludzie z instytutu bliskowschodniego w Waszyngtonie. Słyszałam o tym instytucie - pod pewnymi względami przypominał nasz - ale nie zetknęłam się jeszcze z jego pracownikami. Max zapytał, czy chciałabym spotkać się z nimi i wymienić informacje o HLF i pokrewnych organizacjach. Sam nie mógł pojechać, ale opowiedział im o mnie.

Mogłabym załatwić to w jeden dzień, polecieć z La Guardii na lotnisko Reagana i wrócić akurat na szabasową kolację. Max już wiedział, jakie jest moje stanowisko w kwestii piątkowych wieczorów - że jeśli tylko było to możliwe, chciałam spędzać je z rodziną przy kolacji.

Przed wyjazdem porozumiałam się telefonicznie z jednym z ludzi z Waszyngtonu. Harry sprawiał wrażenie miłego młodego człowieka. Był prawnikiem. Ustaliliśmy, jakie dokumenty powinnam zabrać ze sobą, a potem Harry powiedział:

- Jeśli wystarczy czasu, po spotkaniu możesz odwiedzić Dar al-Hidżra. To powinno być interesujące doświadczenie.

Nasze spotkanie nie było specjalnie owocne, mimo że Harry był doskonale zorientowany w interesującej nas oboje sprawie HLF i jej macierzystej organizacji, Muzułmańskiego Stowarzyszenia na rzecz

Palestyny (IAP). Ludzie z Waszyngtonu podchodzili do swojej pracy zupełnie inaczej niż ja. Traktowali rzecz bardziej po akademicku i nie wierzyli, że z zebranych przez nich informacji można zrobić konkretny użytek. Mówiłam, że bardzo zależy mi na tym, by zainteresować naszymi odkryciami odpowiednie władze. Odparli, że nie sądzą, by ktokolwiek potraktował mnie serio. Mieli rację. Przynajmniej wtedy.

Postanowiłam więc pojechać do Dar al-Hidżra. Słowo *hidżra* ma dwa znaczenia. Określa się nim ucieczkę proroka Mahometa z Mekki do Medyny w 622 roku; symbolicznie przyjmuje się tę datę za początek istnienia muzułmańskiej wspólnoty religijnej, wyznacza też początek kalendarza muzułmańskiego. Termin „hidżra” pochodzi od rdzenia oznaczającego przeniesienie się na nowe miejsce, Dar al-Hidżra to więc w pewnym sensie „Dom Nowo Przybyłych” tak jak po hebrajsku Ma’on Olim. Może to jakiś znak?

Dar al-Hidżra był również domem Muhammada al-Hanutiego. Gdy po raz pierwszy szłam do meczetu, nie wiedziałam, kto to jest. Przed wyjazdem zapytałam Maxa, czy wie coś o tym miejscu, ale niewiele mógł mi powiedzieć. Sprawdziłam w naszej bazie danych. Też prawie nic.

Zaraz po wejściu zauważyłam, że meczet jest urządzone bardzo bogato, wystawnie, ale ze smakiem. Musiał mieć zamożnych opiekunów. Zorientowałam się też, że w ten piątek nabożeństwo ma szczególny charakter. Meczet był już szczelnie wypełniony, a ludzie ciągle tłoczyli się przy wejściu; zaczęto także zbierać datki przed kazaniem, co nie było w zwyczaju. Dałam pięć dolarów. Wiele kobiet zawodziło, niektóre biły się po piersiach i twarzy jak zawodowe płaczki. Tłum był niezwykle podniecony, zanim jeszcze pojawił się imam Al-Hanuti.

Było to w grudniu 1998 roku, w pierwszy piątek po wznowieniu bombardowań Iraku przez Amerykanów. Saddam Husajn szukał

sposobów rozbudowania i unowocześnienia swego śmiertelnościowego arsenału i wyrzucił inspektorów ONZ, którzy próbowali znaleźć to, co chciał ukryć pod swymi pałacami. Odpowiedź nastąpiła szybko i spowodowała wielkie poruszenie nie tylko w Bagdadzie, ale jak się wydawało, także tu, w północnej Wirginii. W Dar al-Hidżra.

Później dowiedziałam się, że Al-Hanuti urodził się w 1937 roku w Hajfie. Po zakończeniu wojny o niepodległość Izraela jego rodzina uciekła do Iraku. W 1965 roku przeniósł się do Kuwejtu, a w 1978 do Stanów Zjednoczonych. W 1992 roku założył w Waszyngtonie Wielkie Centrum Islamskie, znane także jako Dar al-Hidżra. Więzi Al-Hanutiego z Irakiem były bardzo silne, toteż gdy w końcu pojawił się w ten piątek, by wygłosić kazanie, zaczął - po angielsku - od opowieści o Iraku, z którego właśnie wrócił. Był wstrząśnięty cierpieniami narodu irackiego. Wojna i embargo spowodowały brak żywności i lekarstw, co przyczyniło się do śmierci wielu irackich dzieci. Słuchaczy, wzburzonych, zanim jeszcze imam zaczął mówić, ogarniało coraz większe podniecenie. Wszyscy dookoła mnie płakali. Musiałam się przyłączyć, żeby nie wzbudzić podejrzeń, gdy więc Al-Hanuti opowiadał o Iraku, ja myślałam o swoim dzieciństwie. O tym, co tam przeszłam, co mi zrobili Irakijczycy i co zrobili mojemu ojcu. Nie trzeba było długo czekać, z oczu popłynęły mi łzy. I wtedy kobiety wokół mnie zaczęły się obejmować. Dołączyłam do nich.

W tym momencie Al-Hanuti przeszedł na arabski. Rozejrzałam się dookoła. Co najmniej połowę zgromadzonych w meczecie stanowili Afro-amerykanie. Zastanawiałam się, jak wielu z nich mówi po arabsku i może zrozumieć tę część kazania. Im dłużej słuchałam, tym bardziej przygnębiające stawały się słowa imama. Oto fragmenty w tłumaczeniu z arabskiego:

Naród iracki cierpi od wielu lat, gnębiony kolejnymi wojnami. Dlaczego? Ponieważ Izrael i Stany Zjednoczone zamierzają zniszczyć

wszystkie ośrodki islamu na świecie. [...] Historia uczy, że są oni wrogami islamu i muzułmanów. Ale Allah jest potężny i zwycięży nawet ich. [...] Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by uwolnić naród iracki od tyranów [Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników] [...] wszyscy musimy być gotowi wesprzeć dżihad naszymi pieniędzmi i naszymi sercami. [...] Dar al-Hidżra będzie najwspanialszym przykładem wierności, wyzwolenia i podsycania dżihadu, do którego wzywa Allah.

Dar al-Hidżra i dżihad? W tym momencie Al-Hanuti zaczął się modlić. Wszyscy w meczecie - mężczyźni na dole, kobiety na galerii - wstali. Zrozumiałam, że popełniłam straszny błąd.

Moje przebranie? Doskonałe. Mój zmyślony życiorys? Bez zarzutu. Nawet łyż autentyczne. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, by nauczyć się modlitw i sposobu modlenia się. Jak wstawać, jak się poruszać, kiedy bić pokłony. Niedobrze. Czułam, że stopy mam jak z ołowiu, płytki oddech, zdrętwiałe palce; przed oczyma latały mi plamy. W tej naładowanej atmosferze nie usłoby mi na sucho, gdyby wydało się, że udaję muzułmankę. Musiałam szybko myśleć. Skupiłam się. Z pewnością coś pamiętam. Widywałam przecież kiedyś modlących się muzułmanów - kierowców, którzy dostarczali ubrania do zakładu matki, robotników, którzy budowali mój dom w Izraelu. Zaczęłam przypominać sobie ich gesty.

Szybko! Właśnie się zaczyna! Miałam wrażenie, że stoję obok siebie samej i mówię: „Rusz się, dziewczyno, potrafisz to zrobić”.

Al-Hanuti zaczął prowadzić modły. Pamiętałam, że muzułmanie mają zwyczaj podchodzić blisko do siebie w czasie modlitwy, tak że stoją ramię w ramię. W Dar al-Hidżra panował jednak taki ścisk, że było to niepotrzebna, a ja zyskałam kilka dodatkowych sekund na myślenie. Po każdym zdaniu wygłoszonym przez imama wierni odpowiadali „Amen”.

Naród iracki cierpi [...] ale Allah pomści jego cierpienia.

Amen.

Allah przeklnie Amerykanów i Brytyjczyków.

Amen.

Allah da nam zwycięstwo nad tyranami i wrogami naszego kraju [Iraku].

Amen.

Allahu, niewierni Amerykanie i Brytyjczycy walczą przeciwko Tobie.

Amen.

Allah spełni swą obietnicę, a Jego przekleństwo spadnie na niewiernych Żydów.

Amen.

Allah rzuci przekleństwo na tyrańskich Amerykanów.

Amen.

Allah da narodowi irackiemu zwycięstwo.

Allah uwolni naród iracki od tyranii.

Amen.

Potem nastąpiła zwykła, tradycyjna modlitwa piątkowa. Do tej chwili przypomniałam już sobie wszystko. Biłam pokłony, składałam i rozkładałam ręce, niczym nie wyróżniałam się spośród tłumu. Kazanie jednak mną wstrząsnęło. Jak wiele osób rzeczywiście zrozumiało słowa imama? Przypuszczałam, że większość Afroamerykanów nie rozumiała ani słowa. Ale Egipcjanie, Palestyńczycy, Irakijczycy? Jak wielu przyszło rzeczywiście modlić się i praktykować i ilu podzielało poglądy imama? Nie było wątpliwości, gdzie leżą sympatie Al-Hanutiego. Czy w czasie wojny publiczne popieranie nieprzyjaciela nie jest aktem zdrady? Jak daleko może być posunięta wolność słowa? Al-Hanuti namawiał słuchaczy do uczynienia z Dar al-Hidżry ośrodka dżihadu. Dla mnie nie było to

nic innego jak wypowiedzenie wojny Ameryce, Zachodowi, cywilizacji. Jeśli w *Chutba al-dżuma* mówi takie rzeczy, co powiedziałby, ogłaszając fatwę? Fatwa - wyrok śmierci - ogłoszona przez szanowanego imama ma ogromną moc.

Czy naprawdę ma znaczenie, jaka część wiernych zgromadzonych w Dar al-Hidżra w pełni rozumiała wszystko, co powiedział Al-Hanuti i się z tym zgodziło? Potrzeba tylko kilku osób, które zgadzają się z tego rodzaju *chutbą* lub utrzymaną w takim duchu fatwą, by spowodować zamęt. Fanatyków, którzy zamierzają wykonać fatwę, nic nie zniechęci ani nie powstrzyma; jeśli ktoś podejmuje się takiego zadania, z radością odda życie za sprawę. Jedynym sposobem, by zatrzymać tego rodzaju ludzi, jest zapobiec wydawaniu wyroków.

Duchowni tacy jak Al-Hanuti i meczety takie jak Dar al-Hidżra propagują fundamentalizm, który może okazać się skrajnie niebezpieczny. Na takich kazaniach wychowuje się młode pokolenie - przy Dar al-Hidżra działa także szkoła. Ciekawe, czego uczą w szkole przy meczecie, w którym imamem jest Al-Hanuti. A dziwimy się teraz, gdzie Amerykanie, który wyjechali do obozów Bin Ladena w Afganistanie, przesiąkli tymi szaleńczymi ideami.

Wychodząc z meczetu, byłam zaabsorbowana myślami o tym, co widziałam i słyszałam. Zdawałam sobie sprawę, że widać po mnie zdenerwowanie, ponieważ ludzie mi się przypatrywali, choć przypuszczali zapewne, że jestem wstrząśnięta kazaniem i cierpieniami Irakijczyków. Rzeczywiście, byłam poruszona kazaniem, ale z całkiem innych powodów. W tłumie opuszczającym meczet rozpoznałam kilka osób, znanych przywódców i filarów społeczności muzułmańskiej w Stanach Zjednoczonych. Znajomo wyglądał zwłaszcza pewien bardzo wymizerowany mężczyzna; w pierwszej chwili nie mogłam sobie przypomnieć, kto to jest - pamiętałam go jako tęższego - aż w końcu mnie olśniło. Abd al-Halim al-Aszkar.

Właśnie zwolniono go z więzienia, ponieważ podjął strajk głodowy, a więzienni lekarze woleli nie ryzykować bez potrzeby. Nic dziwnego, że tak schudł. Al-Aszkar został zatrzymany w Nowym Jorku, ponieważ odmówił zeznań przed federalną wielką ławą przysięgłych, która badała powiązania Musy Abu Marzuka, przywódcy politycznego Hamasu i jednego z liderów IAP, macierzystej organizacji HLF. Kolejne kawałki układanki. Im więcej ich zbierałam, tym bardziej wszystko się komplikowało. Gracze mogli mieć różne nazwiska i adresy, należeć do różnych organizacji, ale wszyscy grali w tę samą grę. Musiałam się dowiedzieć, kto rozdaje karty.

Złapałam samolot do Nowego Jorku, a z lotniska pojechałam taksówką. Powiedziałam kierowcy:

- Jeśli zdążę do domu na kolację, dobrze panu zapłacę.

Facet pędził, jakby goniło nas stado diabłów, a gdy weszłam do domu, kolacja już czekała. Znów znalazłam się w realnym, dobrze znanym świecie i ogarnęła mnie radość.

Następnego dnia, w sobotę, pojechałam do biura. Napisałam raport z tego, co widziałam, słyszałam i nagrałam. Przetłumaczyłam partie arabskie. Potem zaczęłam uważniej przyglądać się całości materiału. Zarzucałam mizerną przynętę w nadziei, że złapię kilka płotek. To, co wyciągałam z wody, zaczęło ostatecznie przybierać kształt mitycznego potwora morskiego, tak wielkiego, że przekraczał najśmielsze wyobrażenia moje i moich kolegów. Ta przynęta doprowadziła mnie do wniosków, których rezultatem były największe operacje antyterrorystyczne w dziejach Stanów Zjednoczonych. Odkryłam połączenia, rozszyfrowałam kod, znalazłam klucz. Sami al-Arjan, PIJ, Muhammad al-Hanuti, Abd al-Halim al-Aszkar, HLF, It-Al-Ka'ida. Wielu uczestników, jeden spis. I jeden adres w Wirginii. Sezam został otwarty. Hasło doprowadziło mnie do

źródła. Wpadłam na trop saudyjski.

To, co teraz powiem, burzy nieco porządek chronologiczny, ale chciałam dokończyć w tym miejscu opowieść o Al-Hanutim. Kilka dni po odwiedzeniu meczetu próbowałam zainteresować FBI tekstem kazania imama. Zgodnie z przewidywaniami Harry'ego wyśmiali mnie. Wolność słowa, niedostateczne podstawy do wszczęcia śledztwa, przestępstwo nie zostało jeszcze popełnione... i tak dalej, i tak dalej.

Po 11 września zadzwonili do mnie z prośbą, bym przekazała im te taśmy.

- Cieszę się, że mogę pomóc - powiedziałam - ale chyba jest już trochę za późno, nie sądzicie?

Gdy w tym samym czasie poznałam prokuratora generalnego Johna Ashcrofta, jedną z kwestii, które poruszyłam podczas rozmowy, była sprawa Al - Hanutiego. Dałam mu taśmy, którymi nie było zainteresowane FBI. Dwa tygodnie później zadzwonili do mnie pewni ludzie z INS. Powiedzieli, że informacje, które przekazałam Ashcroftowi, mają dla nich duże znaczenie i że będą próbowali zablokować prośbę Al-Hanutiego o przyznanie obywatelstwa. Może nawet zostanie deportowany. Tak się jednak nie stało; mimo że musiał opuścić meczet i przez pewien czas mieszkał na północy stanu Nowy Jork, jak się ostatnio dowiedziałam, został mianowany „wielkim muftim Waszyngtonu” i lada chwila wróci do... Dar al-Hidżra.

Całe to zamieszanie z Al-Hanutim i Dar al-Hidżra może wydać się kwestią pomniejszego znaczenia, do której przywiązuję zbyt wielką wagę. Dorzucę więc kilka słów, które pomogą uzyskać jaśniejszy obraz. Kilka dni po 11 września pewien Jordańczyk, Ajud al-Rabbaba zgłosił się do FBI. Zeznał, że rozpoznał w telewizji twarze dwóch porywaczy, którzy skierowali samolot na gmach Pentagonu. Obu,

czyli Haniego Handżura, przewodcyra grupy, oraz Nawafa Alhazmiego, który również leciał tym samolotem, poznał w meczecie w swojej dzielnicy. Tam się zaprzyjaźnili, Al-Rabbaba zapraszał ich na herbatę, pomógł wynająć mieszkanie, wyjechał z nimi do Connecticut. Meczeta, w którym ta trójka się poznała, to znane już Centrum Muzułmańskie Dar al-Hidżra.

A w Dar al-Hidżra w rok po 11 września wszystko toczy się po staremu - nowy imam wzywa do dżihadu i siebie nienawieć do Izraela i jego sojuszników.

ROZDZIAŁ 5

Incydent dyplomatyczny

W pierwszych miesiącach pracy spędzałam w biurze większość weekendów. Nie lubię tego. Weekend to pora odpoczynku, cieszenia się rodziną i żeby było zabawniej... prac domowych.

Leo próbuje pomagać mi w prowadzeniu domu. Dobrze radzi sobie z odkurzaczem, trzeba mu to przyznać, ale są rzeczy, których nigdy nie da rady zrobić zgodnie z moimi wymaganiami - takie jak mycie parkietów czy składanie upranej bielizny. Wozi natomiast dzieci na lekcje gry na pianinie i rozmaite inne zajęcia, wykonuje drobne naprawy domowe, dba o trawnik i terminowe płacenie rachunków, a czasem, gdy pracuję do późna, przygotowuje nawet prostą kolację. Mimo to ciągle pozostaje dostatecznie wiele obowiązków dla matki czworga dzieci, które trzeba nakarmić i ubrać i którym trzeba pomagać w lekcjach. Przez pierwszy rok pobytu w Ameryce każdego wieczoru Leo i ja godzinami siedzieliśmy w dziećmi, pomagając nawet w matematyce - dziecko, które nie zna języka, nie zdoła rozwiązać zadania. Stopniowo sytuacja się poprawiała. Teraz moje dzieci nie tylko doskonale radzą sobie w szkole, ale osiągają wielkie sukcesy w dziedzinach nieobjętych programem szkolnym. Jedno z nich miało recital fortepianowy w Carnegie Hall.

Czasem docieram do domu po dziesiątej wieczorem i wtedy zaczynam myć łazienki i podłogi, gotować, a potem sprzątać kuchnię. Nie umiem zostawić brudnej kuchni, w ogóle nie znoszę brudu i bałaganu, mam na tym punkcie obsesję. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam biuro, wydało mi się miejscem, przez które przeszedł huragan. Po awansie dostałam własny lokal i zespół pracowników, a mój wydział coraz bardziej wyróżniał się na tle innych wydziałów biura; panowała w nim czystość i porządek niczym w muzeum. W domu, niezależnie od tego, o której wracam i jak jestem zmęczona, muszę doprowadzić wszystko do porządku, a potem idę do sypialni.

Tam przebieram się w wygodniejsze ubranie i siadam do komputera. W ciągu dnia nie starcza mi czasu, by poszperać w stronach organizacji radykalnych czy mających powiązania z terroryzmem, przeczytać pocztę elektroniczną, sprawdzić nowe wiadomości, dotrzeć do nowych informacji. Muszę wiedzieć absolutnie wszystko o muzułmańskim terroryzmie.

Im silniejsza stawała się moja pozycja zawodowa, tym więcej przybywało mi pracy. Przesiadywałam w biurze nie tylko późnymi nocami i w weekendy, ale także w święta, nawet największe, takie jak Jom Kippur, czyli Dzień Pojednania. Ludzie powinni oderwać się wtedy od ziemskich spraw i problemów, pościć i rozmyślać o Bogu, zastanowić się nad sobą, prosić o odpuszczenie grzechów i obiecywać poprawę. Nie chodzi o postanowienia w rodzaju: „Muszę schudnąć pięć kilogramów”, lecz raczej o to, by stać się lepszym człowiekiem. Trzy lata z rzędu siedziałam w biurze podczas Jom Kippur, głodna z powodu postu, zła na samą siebie i pełna wyrzutów sumienia, że jestem w pracy, a nie w domu, gdzie moje miejsce. Za każdym razem obiecywałam sobie, że to się nie powtórzy, ale zawsze wynikało coś nieoczekiwanego i wymagającego mojej obecności.

Jest jednak pewna korzyść z przesiadywania w biurze, gdy nikt

inny nie pracuje - ma się wtedy święty spokój. Żadnych telefonów i brzęku pagera, żadnych zebrań i problemów biurowych. Tylko ja, dokumenty i cisza.

Tak więc w sobotę po wizycie w Dar al-Hidżra zamknęłam okna, aby do pokoju nie przedostawały się żadne odgłosy ruchu ulicznego, i czytałam, myślałam, wysilałam pamięć. Przetłumaczyłam arabskie fragmenty kazania Al-Hanutiego, opisałam wydarzenia w meczecie i zaczęłam jeszcze raz wszystko analizować. Rozmyślałam o Al-Aszkarze, człowieku, który został zwolniony z więzienia po podjęciu strajku głodowego. Dlaczego właśnie o nim? Może dlatego, że musiałam odpocząć od Al-Ha-nutiego, a może dlatego, że zrobiła na mnie wrażenie determinacja Al-Aszkara. Albo po prostu było to przeczucie.

Nie znaczy to, że przestał mnie interesować Al-Hanuti, w żadnym razie. Po prostu szukałam punktu zaczepienia, Al-Aszkar wydawał się do tego najlepszy. Przystudiowałam jego dossier i odkryłam, że kierował organizacją charytatywną pod nazwą Fundacja Edukacyjna Al-Aksa. Zgodnie z dokumentami Departamentu Sprawiedliwości fundacja ta była przykrywką dla Hamasu w Stanach Zjednoczonych. Tak jak HLF.

Szukałam zeznań podatkowych Fundacji Edukacyjnej Al-Aksa - formularzy 1023, dotyczących zwolnień od podatków, i formularzy 990, które muszą składać co rok organizacje wykazujące dochód wyższy niż 25 tysięcy dolarów. Zeznania takie muszą składać wszystkie organizacje charytatywne w Stanach Zjednoczonych i w większości wypadków bez trudu można do nich dotrzeć. Wiem jednak z doświadczenia, że agenci rządowi zajmujący się terroryzmem rzadko do takich zeznań zagląдают.

W zeznaniu 1023 Al-Aksy znalazł się pewien adres. Herndon w Wirginii, Grove Street. Tam pod numerem 555 mieszkał jeden z

członków zarządu fundacji. Widziałam już gdzieś ten adres, byłam tego pewna. Jak mogłabym zapomnieć liczbę taką jak 555? Piątka jest cyfrą magiczną nie tylko w kulturze żydowskiej, ale i arabskiej. *Hamsa*, jak Arabowie nazywają liczbę pięć, jest symbolem szczęścia, odstrasza demony. Wysiłałam pamięć... tak, to musi być to. Sięgnęłam do archiwum. Druga szafka od lewej, górna szuflada... Bingo! Sami al-Arjan i WISE. Starzy znajomi.

W roku 1991 nasz stary znajomy Ramadan Allah Szallah, wówczas dyrektor wykonawczy WISE, napisał list do Marka Orra, dyrektora Ośrodka Spraw Międzynarodowych Uniwersytetu Południowej Florydy. Szallah, warto przypomnieć, jest dziś sekretarzem generalnym terrorystycznej organizacji Palestyński Dżihad Muzułmański. W czerwcu 2002 roku dumnie ogłosił ze swej kryjówki w Damaszku, że to on wydał rozkaz wysadzenia izraelskiego autobusu; zginęło wówczas osiemnaście osób, a ponad trzydzieści zostało rannych. Szallah pisał, że najhojniejszą ofiarodawcą na rzecz WISE „jest Międzynarodowy Instytut Myśli Muzułmańskiej (HIT) z siedzibą w Waszyngtonie”. Do listu dołączył broszurę opisującą HIT i jego działalność.

W liście wspomniany był Baszir Nafi, jeden z czterech założycieli WISE i PIJ, deportowany ze Stanów Zjednoczonych w 1997 roku. Przejrzałam szybko papiery i odkryłam, że Nafi był zatrudniony przez HIT, a jako adres instytutu podano 555 Grove Street w Herndon w Wirginii. Postanowiłam więc sprawdzić, ot, tak, na wszelki wypadek, czy z tym adresem ma jakieś związki Al-Hanuti. Niespodzianka, niespodzianka: Al-Hanuti miał hipotekę na dom przy 555 Grove Street w Herndon w Wirginii. Ten adres pojawiał się, gdziekolwiek spojrzełam. Czy tylko przypadkiem? Bardzo dziwne. Muszę go dobrze zapamiętać.

Gdy poznałam Dana Cadmana, był on agentem INS w

Waszyngtonie, ale w latach pobytu na Florydzie, gdzie zetknął się z Sarnim al-Arjanem, zaczął prowadzić dochodzenie przeciwko terrorystom działającym w Stanach Zjednoczonych. Dan poświęcił się zwalczaniu terroryzmu, ponieważ na długo wcześniej niż ktokolwiek inny z INS dostrzegł kryjące się niebezpieczeństwo. Jest człowiekiem nieustępliwym, niezwykle wnikliwym w dociekaniu prawdy. Ameryka potrzebuje więcej ludzi takich jak on.

Dan zajmował się na Florydzie między innymi przeglądaniem podań o przyznanie obywatelstwa i pewnego dnia na jego biurku pojawiło się podanie Sarniego. Sami często podkreśla w oświadczeniach dla prasy, że jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. Otóż nie. Głosował w wyborach prezydenckich, co jest niezgodne z prawem, ponieważ mogą to robić tylko osoby mające obywatelstwo amerykańskie. Ma nawet wzruszające zdjęcie swoje i swojej rodziny wraz z George'em W. Bushem i jego żoną Laurą, zrobione przed objęciem przez Busha prezydentury.

Sam nie jest obywatelem amerykańskim w głównej mierze dzięki Danowi Cadmanowi. W podaniu o przyznanie obywatelstwa znajduje się rubryka, gdzie ubiegający się musi wymienić organizacje, których jest członkiem. Dan zauważył, że Sami wymienił tylko Towarzystwo Informatyczne przy Uniwersytecie Południowej Florydy. Wiedziony przecuciem zajrzał do dokumentów Sarniego i dowiedział się, że profesor przyczynił się do załatwienia wielu wiz osobom z krajów Bliskiego Wschodu, które po przybyciu do Ameryki zostały członkami WISE. Poszukał głębiej i odkrył, że Sami nie tylko należał do WISE i ICP, był także ich założycielem. Ponieważ Sami nie podał prawdy w sprawie przynależności organizacyjnej, Dan odrzucił jego podanie o obywatelstwo. Sami podał do sądu Dana i INS - i przegrał. Sędzia także uznał, że zatajenie takiej informacji, zwłaszcza wobec powiązań WISE i ICP z PIJ, jest kłamstwem. Sami nigdy nie

otrzymał obywatelstwa.

Już w Waszyngtonie Dan wpadł na pomysł utworzenia w ramach INS jednostki antyterrorystycznej, której zadaniem będzie tropienie terrorystów w Stanach Zjednoczonych i usuwanie ich z kraju. Nowy szef, niepodzielający entuzjazmu Dana dla działań antyterrorystycznych, powiedział na to:

- Jasne, czemu nie? Pozwólmy temu gościowi zajmować się terrorystami, skoro tak go to bawi.

Aby pomóc Danowi w tym przedsięwzięciu, przydzielono mu nawet biurko do wyłącznego użytku. Dan usiadł przy nowym biurku i opracował plan. Wiedział dobrze, że Sami nie jest wyjątkiem, że wiele takich osób mieszka w Stanach Zjednoczonych. Zdawał sobie sprawę, że nie może liczyć na żadną pomoc ze strony swych przełożonych, zaczął więc nawiązywać kontakty z terenowymi biurami INS w poszukiwaniu współpracowników. Chodził od biura do biura i opowiadał agentom o swoich zamierzeniach, zorganizował także konferencję w Nowym Meksyku, na którą zaprosił stu agentów INS oraz niezależnych ekspertów w zakresie walki z terroryzmem. Ciężko pracował i gromadził informacje. Gdy już zgromadził ich dostatecznie dużo i gdy pracownicy oddziałów terenowych zaczęli interesować się jego pracą, także przełożeni zwrócili na niego uwagę. Po roku przydzielono mu dwóch agentów i analityczkę.

Na konferencji w Nowym Meksyku Dan poznał swojego szefa, Maxa. Powiedział mu, że próbuje dowiedzieć się jak najwięcej o Sarnim i komórce PIJ w Tampie, by rozgryźć, jak ci ludzie działają w Stanach Zjednoczonych. Chciał z jednej strony poznać sposób ich myślenia, a z drugiej - zorientować się, jak mogło dojść do tego, że Sami jako poręczyciel pomógł załatwić wizy amerykańskie tyłu swoim kolegom z PIJ oraz co trzeba zrobić, żeby w przyszłości uniknąć takich błędów.

Max ciągle pamiętał nauczkę, jaką dałam w biurze Johnowi Canfieldowi, Barry'emu Carmody'emu i Kirkowi.

- Mam właściwą osobę, powie ci dużo o Sarnim - oznajmił.

Veronica Cates, analityczka przydzielona do pomocy Danowi, pojawiła się w moim biurze wczesnym rankiem - wysoka, jasnowłosa, elegancka i bardzo bystra; miałam wrażenie, że jest w niej coś dystyngowanego. Krótco po dołączeniu do zespołu Dana stała się fanatyczką swojej pracy. Siedziała z George'em i ze mną cały dzień, pobierając intensywny kurs wiedzy o Sarnim, i wyszła dopiero na ostatni pociąg powrotny do Waszyngtonu. My mówiliśmy, ona chłoneła i notowała informacje. Poprosiła o kopie dokumentów. Musiała wiele się nauczyć, ale robiła to z przyjemnością.

Pewnego dnia Max polecił mi przygotować raport w sprawie Hamasu i powiązanych z nim organizacji w Stanach Zjednoczonych. Byłam ekspertem w kwestii Fundacji Ziemi Świętej, a HLF była przykrywką dla Hamasu, dlatego Max postanowił przydzielić to zadanie mnie. Wiedziałam dużo o HLF, ale zdawałam sobie także sprawę, że w Stanach Zjednoczonych działają również inne organizacje powołane w tym samym celu - zbierania pieniędzy dla Hamasu. Poszperałam w naszych danych na temat HLF, łącznie z moimi wcześniejszymi raportami, i jeden wniosek od razu się narzucił. HLF była powiązana z inną organizacją dobroczynną, Muzułmańskim Stowarzyszeniem na rzecz Palestyny (IAP).

Gdy tylko to odkryłam, zrobiłam przerwę i zaczęłam czytać gazety. Uwielbiam czytać gazety. Nie codzienne gazety amerykańskie, te przeglądam nocą. Zaczęłam czytać stare gazety arabskie sprzed lat. Można się z nich wiele dowiedzieć, jeśli się wie, gdzie i czego szukać. Najpierw sięgnęłam po czasopismo wydawane przez Biuro Informacyjne IAP, zatytułowane „Az-Zajtuna”. Oliwka. Bardzo wymowny tytuł. Nie dlatego, że gałązka oliwna symbolizuje pokój,

ale dlatego, że drzewa oliwne tak powszechnie występują na Zachodnim Brzegu, w Palestynie. „Oliwka”, lektura dla mnie fascynująca, była następczynią innej gazety, „Ila Filistin” („Do Palestyny”). To ostatnie piśmiątło było przeładowane propagandą Hamasu; znalazłam tam między innymi wywiady z szejkiem Ahmadem Jasinem, duchowym przywódcą tej organizacji; artykuły i komentarze na temat aresztowania szejka w Izraelu; komunikaty Hamasu; instrukcje dla donatorów.

W numerze tego periodyku z października 1988 roku przeczytałam *Kartę zasad Hamasu*. Powiedziano tam: „Pierwszą zasadą jest, że Hamas stanowi część organizacji Bracia Muzułmanie [...] Dżihad jest jego przeznaczeniem [...] jedyną drogą rozwiązania kwestii palestyńskiej jest dżihad”.

W numerze z listopada - grudnia 1989 roku znalazłam ogłoszenie IAP: „Naród palestyński wchodzi właśnie w trzeci rok Błogosławionej Intifady pod przewodnictwem Hamasu. [...] Zapewniamy wszystkich Arabów i muzułmanów, że nasz dżihad trwa. [...] Ziemia palestyńska jest areną odwiecznej walki między sprawiedliwymi - muzułmanami, a złoczyńcami - Żydami i ich sojusznikami. [...] Jedyną drogą wyzwolenia Palestyny, całej Palestyny, jest dżihad. [...] Każdy muzułmanin, każdy Arab, jest zaangażowany w kwestię palestyńską i dżihad w imię Allaha. Muzułmański Ruch Oporu [po arabsku: Harakat al-Mukawama al-Islamijja; słowo «Hamas» to akronim] jest sumieniem narodu palestyńskiego i narzędziem kary dla tych, którzy zdradzili [...] lud arabski. [...] Wróg zniszczył tysiące domów i tysiące drzew oliwnych. [...] Nie szczędźmy ofiar, póki Allah nie obwieści zwycięstwa nad Żydami i ich sprzymierzeńcami”.

Po tym rozwlekłym wstępie następowały praktyczne wskazówki dla donatorów: „IAP w Ameryce Północnej będzie informował was o

przebiegu intifady aż do zwycięstwa. Wzywany do dżihadu w imię Allaha poprzez ofiarowanie każdej kwoty, na jaką was stać, na wsparcie intifady. [...] Wysyłajcie wpłaty do Fundacji Ziemi Okupowanych” - tak wcześniej nazywała się Fundacja Ziemi Świętej. W 1990 roku zarząd fundacji poszedł po rozum do głowy i przyjął mniej wyzywającą nazwę. W ogłoszeniu wymieniono adresy pocztowe w Los Angeles. Podpisano: „Muzułmańskie Stowarzyszenie na rzecz Palestyny w Ameryce Północnej”. IAP.

Zadziwiająca, jak wiele informacji może wydobyć odpowiednio wyszkolony szperacz z powszechnie dostępnych źródeł. Jeszcze przed epoką Internetu, który uczynił moją pracę łatwiejszą i szybszą, potrafiłam znaleźć prawdziwe perły, szukając po prostu w archiwach. W tym punkcie dochodzenia wiedziałam, że HLF i IAP były powiązane z Hamasem, postanowiłam więc zająć się IAP sięgając do dostępnych dokumentów. Zaczęłam gromadzić wszystko, co dotyczyło IAP. Zdobyłam akt rejestracji stowarzyszenia. Jak często bywało podczas dochodzeń dotyczących tego rodzaju organizacji dobroczynnych, im bardziej zagłębiałam się w problem, tym sprawa okazywała się bardziej skomplikowana. Te organizacje-przykrywki działały w sposób tak pokrętny i przebiegły, że prawie rozumiem, dlaczego władze nie potrafiły skutecznie z nimi walczyć. Słyszałam o agentach, którzy rozbijali jakąś grupę lub niszczyli jej stronę internetową po to tylko, by kilka dni później zobaczyć ją odrodzoną pod inną nazwą. Zupełnie jak mitologiczna hydra - odcina się jedną głowę, a na tym miejscu odrastają dwie nowe.

Choć nie miałam siły Heraklesa, byłam nie mniej wytrwała - i o wiele bardziej wścibska. Ślęczałam, czytałam, analizowałam; nadchodziła zima, na zewnątrz dni stawały się coraz krótsze, a moje dni pracy wydłużały się wraz z mnożącymi się zawiłościami dochodzenia. Tropiłam jedne po drugich nazwy, adresy i nazwiska

pracowników tej złożonej organizacji. W końcu sporządziłam liczący 49 stron raport na temat IAP i jego związków z Hamasem. Nazwałam plik: *IAP, niekończąca się historia*.

IAP zmieniała nazwy, siedziby i dyrektorów w nader pokrętny i zawiły sposób. Postaram się przedstawić to jak najprościej. Organizacja została zarejestrowana po raz pierwszy w 1981 roku w Illinois jako Muzułmańskie Stowarzyszenie na rzecz Palestyny w Ameryce Północnej. Rok później zmieniło się widniejące w rejestrze nazwisko przedstawiciela, a także adres pocztowy - odtąd siedziba IAP znajdowała się w rezydencji ówczesnego prezesa organizacji w Illinois. W raporcie rocznym z 1991 roku podano, że biuro zostało rozwiązane. W 1993 roku IAP zostało zarejestrowane ponownie, tym razem jako Amerykańskie Towarzystwo Muzułmańskie (AMS). W numerze „Az-Zajtuna” z lutego 1992 roku znalazła się jednak informacja, że „filia w Chicago działa oficjalnie od 9 [tegoż miesiąca]”. Oczywiście jest, że filia IAP w Chicago nie zarzuciła działalności w okresie między pseudorozwiązaniem w 1991 roku a ponowną rejestracją w 1993. Rok później organizacja znów zarejestrowała się w Chicago, teraz pod nazwą IAP, podając, że zamierza prowadzić interesy jako Amerykańskie Towarzystwo Muzułmańskie. Tak więc IAP i AMS to jedno i to samo.

Poza Illinois IAP zarejestrowało się w 1986 roku w Kalifornii jako korporacja non profit. Z kolei centrala IAP w Teksasie utworzyła pięć różnych korporacji; wszystkie w sposób oczywisty były przybudówkami stowarzyszenia. Pierwszą z tych korporacji założono w 1990 roku pod nazwą Środkowoamerykańska Liga na rzecz Palestyny (AMELP); jej zarejestrowanym przedstawicielem został Ghassan A. Dahduli, mieszkaniec Richardson w Teksasie. Kiedy zbierałam te materiały, nie potrafiłam przewidzieć, że w przyszłości Dahduli odegra pierwszoplanową rolę w moich działaniach

przeciwko terroryzmowi, że wytropienie go stanie się jednym z moich największych sukcesów.

W tym samym roku, w którym Dahduli zorganizował AMELP, Biuro Informacyjne IAP w Dallas uzyskało wpis do rejestru jako Muzułmańskie Stowarzyszenie na rzecz Palestyny w Ameryce Północnej. Miało ono tego samego przedstawiciela - Ghassana A. Dahduliego - i ten sam adres co AMELP. W 1993 roku IAP pod własną nazwą zarejestrowało się w Teksasie. Ponadto IAP działało także przez nigdzie niezarejestrowane bazy w Indianie i Arizonie.

Nazwy tych wszystkich korporacji plątały mi się po głowie. Wiele fasad, jeden dach. Rezultat był taki, że niemal niemożliwe stało się śledzenie poczynań związanych z nimi ludzi - tak jak nie sposób obserwować naraz pięciu gier w trzy kubki na rogu ulicy, próbując jednocześnie przyłapać oszusta i odkryć wysokość stawek.

Zbierając materiały na temat IAP, ze zdumieniem odkryłam, że Mu-hammad al-Hanuti - imam z Dar al-Hidżra, który wzywał Allaha, by pokarał amerykańskich tyranów, oraz nawoływał wiernych w meczecie do dżihadu i wspierania Iraku w walce ze Stanami Zjednoczonymi - był w początku lat dziewięćdziesiątych przywódcą IAP. Sprawa stawała się coraz bardziej intrygująca. A później znalazłam także nazwisko Sarniego. Tak, znów Sami al-Arjan. On również działał w IAP do chwili, gdy zaczął tworzyć własną organizację - PIJ.



Zaciekawiło mnie, co spowodowało tak wielkie zmiany w przywództwie IAP i jego przybudówek w końcu lat

osiemdziesiątych. Przeczytałam wszystkie numery „Ila Filistin”, słuchałam taśm, oglądałam kasety wideo, szperałam w archiwach publicznych. Przystudiowałam akty rejestracji i setki dokumentów - i w końcu wszystko stało się jasne. Kluczem do całej historii było powstanie Hamasu.

IAP służył jako ostoja palestyńskiego fundamentalizmu w Stanach Zjednoczonych, zapewniając wsparcie ideologiczne i finansowe palestyńskim radykałom w Strefie Gazy. Przed założeniem Hamasu Sami - Palestyńczyk - i jego PIJ byli częścią tej organizacji. W końcu lat osiemdziesiątych, wraz z wybuchem pierwszej intifady, z ruchu Braci Muzułmanów, który dał początek dzisiejszym najbardziej skrajnym ugrupowaniom muzułmańskim, wyłonił się Hamas. Założył go ówczesny przywódca Braci Muzułmanów, szejk Ahmad Jasin, który zorientował się, że powstały doskonałe warunki do utworzenia nowej organizacji polityczno-militarnej. Nazwa Hamas jest nie tylko akronimem Muzułmańskiego Ruchu Oporu, ale znaczy także „zapał”, „żarliwość”.

Niemal natychmiast po powstaniu Hamasu IAP zaczęła pełnić funkcję zaplecza finansowego tej organizacji w Stanach Zjednoczonych. Przybudówka IAP HLF, także zbierała fundusze dla Hamasu.

W gorącym okresie intifady nastąpił rozłam między Hamasem, szybko zyskującym popularność i wpływ, a PIJ, Dżihadem Muzułmańskim. Organizacje rywalizowały między sobą o fundusze z zagranicy, a także o poparcie Palestyńczyków, od tego bowiem zależała liczba zwerbowanych mudżahedinów. Świątowały nawet w różne dni początek intifady, każda obchodziła rocznicę swojego przystąpienia do walk. Podobna walka toczyła się w Stanach Zjednoczonych, wewnątrz IAP.

Gdy w IAP ostatecznie zwyciężył interes Hamasu, Sami,

zwolennik PIJ, wystąpił z organizacji i założył ICP, Komitet na rzecz Wspierania Islamu, później przemianowany na Muzułmański Komitet na rzecz Palestyny. Sami mądrze wybrał tę nazwę, jako że Amerykanie żywią szacunek dla instytucji religijnych; pod nowym szyldem pozornie kryła się organizacja religijna, dzięki czemu Sami nie musiał płacić podatków ani przedstawiać władzom dokumentacji finansowej. Bardzo sprytnie, bardzo wygodnie.

Okazało się więc, że Sami, Dahduli i Al-Hanuti wywodzą się z IAP. To stowarzyszenie rozciąga swe macki dosłownie wszędzie - taka była konkluzja „niekończącej się historii”.

Zadzwoiłam do Veroniki, ponieważ przyszedł mi do głowy pewien pomysł i chciałam z nią porozmawiać. Dawniej, w epoce przed 11 września, INS próbował uniemożliwić wjazd do kraju tylko znanym, mającym za sobą wyroki terrorystom. Poplecznicy terrorystów, ludzie wydający fatwy, wzywający do dżihadu przeciwko Amerykanom lub rzucający jawne groźby pod adresem Stanów Zjednoczonych otrzymywali wizy amerykańskie bez trudności. Działo się tak po części dlatego, że INS nie dość skutecznie sprawdzał tych ludzi; pracownicy agencji wywiadowczych nie wierzyli, że muzułmański fundamentalizm stanowi wielkie zagrożenie dla Ameryki, i nie obserwowali związanych z nim środowisk tak uważnie, jak należało. W INS nie było nawet działu gromadzącego informacje na ten temat. Dan Cadman utworzył taki dział, nie rozwiązywało to jednak problemu, ponieważ INS nie miał danych wywiadowczych. Wywiad to domena CIA i FBI, ale agencje te nie przekazują swoich informacji INS. Ani komukolwiek innemu, skoro już o tym mowa. INS stał się obiektem zmasowanej krytyki za to, że umożliwił niepożądanym osobom wjazd do Ameryki, choć w wielu wypadkach stało się tak tylko dlatego, że nie otrzymał potrzebnych informacji od wywiadu.

Oznajmiłam Veronice, że mam dla niej propozycję.

- Śmiało - odrzekła. - Słyszę, jak ci mózg pracuje. - Niemal widziałam, jak Veronica szeroko uśmiecha się do słuchawki.

- Musimy znaleźć sposób uniemożliwienia poplecnikom terrorystów wjazdu tutaj - powiedziałam. - Niektórzy są równie groźni jak ich podopieczni. Jeśli ci ludzie nienawidzą nas tak bardzo, po co tu przyjeżdżają? Czy tylko siał nienawiść i wzywać do dżihadu, nie wspominając już o zbieraniu pieniędzy?

Mój pomysł był naprawdę niezwykle prosty. Departament Stanu dysponuje listą znanych terrorystów, mających zakaz przekraczania granicy amerykańskiej. Dlaczego nie rozszerzyć tej listy o nazwiska osób wspierających terroryzm, potencjalnych terrorystów i tych, którzy wydając fatwy, przysparzają terroryzmowi zwolenników? Osób, które mogą stanowić realne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych.

Pomysł bardzo spodobał się Veronice i od razu opowiedziała o nim Danowi. Szybko zadzwolili ponownie. Chętnie zaczęliby zbieranie informacji o tego rodzaju ludziach ode mnie. Czy mam kogoś szczególnego na myśli?

Rzeczywiście, miałam. Doktora Iszaka al-Farhana i szejka Jusufa al-Karadawiego. Mogli stanowić dobry punkt wyjścia. Al-Farhan i Al-Karadawi, dwaj znani muzułmańscy uczeni. Dwaj dystyngowani dżentelmeni. Farhan - przywódca polityczny w Jordanii; Al-Karadawi - zamieszkały w Katarze szanowany duchowny, mający na całym świecie wielką liczbę zwolenników. Obaj często przyjeżdżali do Stanów Zjednoczonych i uczestniczyli w ważnych zjazdach i kongresach organizowanych przez muzułmanów.

Mogłoby się wydawać dziwne, że chciałam pozbawić dwóch szanowanych przywódców muzułmańskich prawa do wypowiedzenia własnych opinii w kraju wolności słowa. Były jednak po temu

powody. Al-Karadawi jest być może najbardziej poważanym duchownym świata muzułmańskiego, ale jest także jednym z duchowych przywódców znanych nam już Braci Muzułmanów. Na długo przedtem, nim Bracia dali początek Hamasowi, byli międzynarodowym ekstremistycznym ruchem muzułmanów-sunnitów, powstałym w Egipcie w 1928 roku. Gdy po I wojnie światowej mocarstwa europejskie podzieliły między siebie region Bliskiego Wschodu, narodziny ruchu były przejawem sprzeciwu wobec ustanawiania granic przez kraje Zachodu - granic istniejących do dziś. Zdaniem członków ruchu prawo do tego ma tylko społeczność arabska, *umma*, kierująca się zasadami szariatu, prawa muzułmańskiego. Bracia w dalszym ciągu pozostają w opozycji w stosunku do rządów wszystkich krajów arabskich, a w większości tych krajów członkowie ruchu są ścigani i niekiedy skazywani na śmierć. Z Braci Muzułmanów wyłoniły się nie tylko Hamas, Pij i egipski Muzułmański Dżihad (do tego ugrupowania należeli zabójcy prezydenta Egiptu Anwara as-Sadata, zamordowanego w 1981 roku), ale także Al-Dżama'at al-Islamijja - Grupa Muzułmańska kierowana przez szejka Umara Abd ar-Rahmana. Ar-Rahman, znany jako Ślepy Szejek, odsiadywał w amerykańskim więzieniu federalnym karę dożywocia za udział w spisku, którego celem było wysadzenie w powietrze Lincoln Tunnel w Nowym Jorku. Choć na szczęście zamach nie doszedł do skutku, Rahman został skazany. Jego organizacja, Al-Dżama'at al-Islamijja, ma powiązania z Al-Ka'idą. Syn Ślepego Szejka był na przykład w Al-Kai'dzie najważniejszym człowiekiem po Bin Ladenie; zginął podczas bombardowania Afganistanu przez Amerykanów po 11 września. W takim właśnie świecie żył i odgrywał wielką rolę Al-Karadawi, człowiek, któremu próbowałam uniemożliwić wygłaszanie kazań na amerykańskiej ziemi.

Jakbym słyszała teraz chór oburzonych włosów: czy to oskarżenie

nie jest oparte na domysłach? Oto fakty:

Przez ponad dziesięć lat Al-Karadawi był zapraszany do Stanów Zjednoczonych przez wiele radykalnych organizacji muzułmańskich, wygłaszał przemówienia jako honorowy gość na rozmaitych zjazdach i konferencjach. Jedną z takich konferencji odbyła się w 1995 roku w Toledo w stanie Ohio, a zwołana została przez Stowarzyszenie Muzułmańskiej Młodzieży Arabskiej (MAYA). Al-Karadawi mówił wówczas:

Ibn Umar i Abu Hurajra powiedzieli w hadisach [zbiór wypowiedzi Mahometa i jego towarzyszy, drugie obok Koranu źródło wiedzy religijnej]: Nie powinniście ustawać w walce z Żydami, bo oni będą z wami walczyć, dopóki muzułmanie ich nie wybiją. A gdy Żyd skryje się za kamieniem i drzewem, drzewo i kamień powiedzą: „O, sługo Allaha, muzułmaninie, za mną schował się Żyd. Przyjdź i zabij go!”. Zmartwychwstanie nie nastąpi, dopóki się to nie dokona. [...] Nasi bracia z Hamasu, w Palestynie, z Muzułmańskiego Dżihadu [PII] przywrócili nam wiarę po tym, jak inni się poddali i popadli w rozpacz. Możemy przystanąć na chwilę, odpocząć, ale dżihad trwa [...] aż do Dnia Zmartwychwstania.

Mamy więc jeszcze jednego muzułmańskiego duchownego, który nienawidzi Żydów i Izraela. Cóż w tym nadzwyczajnego? Muzułmanie nienawidzą Żydów, tak jest od dawna i niewiele można z tym zrobić. Dlaczego Amerykanie mają się tym przejmować?

Po pierwsze, ugrupowania, z którymi sympatyzuje Al-Karadawi, znajdują się na rządowej liście zagranicznych organizacji terrorystycznych, sporządzonej w 1995 roku - już samo to, zgodnie z prawem o imigracji i naturalizacji, wystarczy do wydalenia Al-Karadawiego ze Stanów Zjednoczonych.

Ale jest jeszcze coś. W *chutbie*, kazaniu wygłoszonym w 1996 roku i dostępnym na stronach internetowych Hamasu, Al-Karadawi

twierdził, że zamachowcy-samobójcy z Hamasu i Muzułmańskiego Dżihadu nie są terrorystami, lecz męczennikami, i że potencjalnymi celami zamachów są wszyscy Izraelczycy. Al-Karadawi był więc pierwszym duchownym muzułmańskim, który głośno powiedział, że te barbarzyńskie samobójcze zamachy - stosowanie do nich słowa „męczeństwo” jest wręcz groteskowe - są uprawnionym narzędziem walki z ludnością cywilną. Ten człowiek o wielkim autorytecie moralnym pierwszy wydał fatwę, popierającą i usprawiedliwiającą podobne metody, wskutek czego przyczynił się do ich rozpowszechnienia. Jest nie mniej odpowiedzialny za 11 września niż Bin Laden. Al-Karadawi nie tylko wspierał Hamas i PIJ oraz nawoływał do dżihadu i zamachów samobójczych. Należał także wraz z rodziną do największych udziałowców banku At-Takwa, który - jak okazało się po 11 września - finansował działalność Al-Ka'idy i którego aktywa zostały zamrożone przez władze. Zdaniem Departamentu Skarbu bank ten organizował także dostawy broni dla ludzi Bin Ladena.

Taki był właśnie człowiek, którego próbowałam utrzymać z dala od Stanów Zjednoczonych. Niegrzeczna dziewczynka.

Teraz Al-Farhan. Sekretarz generalny Muzułmańskiego Frontu Akcji (IAF). IAF służył jako zaplecze polityczne Braci Muzułmanów w Jordanii; był blisko powiązany z Hamasem - także przybudówką Braci - i podobnie jak Hamas przeciwstawiał się procesowi pokojowemu na Bliskim Wschodzie.

Al-Farhan nie poprzestał jednak na działalności opozycyjnej. Gdy w 1992 roku aresztowano w Izraelu młodego Palestyńczyka, Nasira Hidmiego, który próbował zdetonować bombę, ujawnił on w zeznaniach rolę ekspozytur Hamasu w Stanach Zjednoczonych; opowiedział, jak rekrutuje się nowych terrorystów i jak szkoli się ich na konferencjach muzułmańskich w Ameryce. Hidmi zeznał, że

konferencje te były organizowane i finansowane przez IAP i MAYA, Al-Farhan odgrywał w nich ważną rolę nie tylko jako mówca, ale także człowiek prowadzący nabór młodzieży palestyńskiej do Hamasu. Powiedział także:

Na konferencję muzułmańską przybyło pięć tysięcy zaproszonych gości, których rozlokowano w hotelach wokół centrum. [...] Na konferencji w Kansas City Muhammad Salah zaprosił około dwudziestu młodych mężczyzn, między innymi i mnie, na tajne zebranie działaczy Hamasu. [...] Powiedziano nam, że wszyscy obecni na tym zebraniu młodzi ludzie pochodzą z terytoriów okupowanych i zostali wybrani na podstawie formularzy, które wypełnili w obozach [dla uchodźców]. Chodzi o to, by podjęli oni działania w strukturach Hamasu, wspierających i podtrzymujących intifadę. [...] Wśród ludzi, którzy wygłaszali dla nas prelekcje, był Iszak al-Farhan, członek parlamentu jordańskiego.

Al-Farhan działał więc w Hamasie i brał udział w tajnych zebraniach, podczas których rekrutował i instruował terrorystów. Czy jednak Hamas nie jest problemem wyłącznie Izraela? Otóż nie. Takie myślenie to poważny błąd. Mimo to władze amerykańskie przyjęły takie właśnie błędne stanowisko i przez lata traktowały Hamas i PIJ jako problem wyłącznie Bliskiego Wschodu. Przedstawiciele rządu zupełnie nie przyjmowali do wiadomości faktu, że wszystkie te organizacje są w istocie jednym i tym samym, są mackami tej samej bestii - muzułmańskiego fundamentalizmu - i że mają identyczny cel: zabijać, zabijać, zabić. Członkowie Hamasu odbywali szkolenie wojskowe w obozach Bin Ladena w Afganistanie. Richard Reid, tak zwany *shoe bomber*, agent Al-Ka'idy, który próbował wysadzić samolot American Airlines, lecący z Paryża do Nowego Jorku, odwiedził Izrael kilka miesięcy przed 11 września. Poznał tam wyszkolonego w obozach Bin Ladena aktywistę Hamasu, który

wyuczył go rozmaitych sztuczek przydatnych w tym fachu.

Po 11 września władze zmieniły stanowisko, ale wówczas było już za późno.

Oto dlaczego Iszak al-Farhan jest bez wątpienia problemem Ameryki. Od lipca 1995 do kwietnia 1997 roku toczył się na Manhattanie proces w sprawie ekstradycji Musy Abu Marzuka, szefa biura politycznego Hamasu. W tym czasie do Białego Domu i ambasady amerykańskiej w stolicy Jordanii, Ammanie, wpłynęło wiele pism z prośbami o uwolnienie Marzuka. Wypowiadał się w tej sprawie także Al-Farhan jako sekretarz generalny IAF. W piśmie z 13 maja 1996 roku Al-Farhan wzywał „wszystkie rządy krajów arabskich i świata islamskiego i wszystkich obrońców praw człowieka do połączenia wysiłków i żądania zmiany decyzji w sprawie ekstradycji oraz uwolnienia dr. Musy Abu Marzuka, więźnia opinii publicznej i rozgrywek politycznych”. Pół roku później, 10 listopada 1996 roku, ambasada amerykańska w Ammanie otrzymała faks następującej treści:



Żądamy natychmiastowego uwolnienia dr. Musy Abu Marzuka i niewydawania go w ręce syjonistycznego wroga. [...] Ostrzegamy, że jeśli dr Musa Abu Marzuk nie odzyska wolności i zostanie wydany Żydom, wyrócimy wasz świat do góry nogami w Ammanie, Jerozolimie i wszystkich krajach arabskich, i będziecie opłakiwać zmarłych, tak jak działo się w 1982 roku w Libanie, gdzie zniszczyliśmy koszary piechoty morskiej za pomocą samochodu-pułapki, a w naszym kraju jest dużo samochodów. Przypomnijcie

sobie też Arabię Saudyjską i cysternę, która wybuchła, zabijając waszych żołnierzy.

W Departamencie Stanu przetłumaczono te pogróżki, a jakiś urzędnik nagryzmolił na tekście: „Faks w języku arabskim podpisany przez Muzułmański Front Akcji”. Ten faks został nadany z biur IAF, kierowanego przez Al-Farhana.

Przygotowaliśmy wraz z George’em grube tomy dokumentacji na temat obu panów, Al-Karadawiego i Al-Farhana, i przesłaliśmy je Veronice. Szczerze mówiąc, żadne z nas nie wierzyło, że z informacji tych, choć całkowicie wiarygodnych, zostanie zrobiony dobry użytek.

Przez osiem miesięcy nie słyszałam nic o Al-Karadawim ani Al-Farhanie. Jeśli chodzi o władze, informacje idą tylko w jedną stronę. Gdy tylko przekaze się je agentom, stają się tajne; nie praktykuje się nawet zwrotu materiałów, a władze nigdy się nie przyznają, że je otrzymały. Cała moja praca, cały wkład w zapewnienie bezpieczeństwa narodowego, pozostaje nieznana. Muszę tkwić w ukryciu i nigdy nie doczekałam się wyrazów uznania za to, co robię. Takie są reguły gry i choć czasem zżymam się, że nikt nie wie, kim naprawdę jestem, anonimowość zapewnia mi bezpieczeństwo. Żli chłopcy nie zdają sobie nawet sprawy, że tu jestem; a przynajmniej nie zdawali do czasu wydania tej książki. Mimo to fakt, że jest się trzymanym w nieświadomości co do losów zdobytych ciężką pracą informacji, może wywoływać frustrację. Podałam im wszystko na talerzu, zabrali wszystko i zostawili mnie z pustym talerzem.

Pewnego ranka doczekałam się wreszcie telefonu od Veroniki. Głosem pełnym napięcia przekazała mi najświeższe wiadomości.

Rozpętało się piekło. Wywołałam incydent dyplomatyczny. Czułam się prawie winna z tego powodu. Prawie.

Sprawę opisał „New York Times” w numerze z 5 maja 2000 roku, zajmując przy tym jednoznaczne stanowisko: „Urzednicy imigracyjni

na międzynarodowym lotnisku Kennedy'ego zatrzymali wybitnego, umiarkowanego muzułmańskiego przywódcę politycznego z Jordanii i po długim przesłuchaniu odesłali go do domu pierwszym samolotem, co wywołało natychmiastowe protesty na najwyższym szczeblu i postawiło amerykańskich dyplomatów w kłopotliwej sytuacji”.

Umiarkowany muzułmański przywódca polityczny. Rzeczywiście. W artykule, w którym błędnie tytułowano go rektorem uniwersytetu i senatorem - w rzeczywistości jest byłym senatorem - napisano, że sześćdziesięciosiedmioletni Al-Farhan „przybył we wtorek z Ammanu do Nowego Jorku samolotem jordańskich linii lotniczych. Miał odwiedzić syna i córkę, mieszkających w Stanach Zjednoczonych, oraz przeprowadzić rozmowy z przedstawicielami amerykańskich ugrupowań muzułmańskich. [...] Pan Al-Farhan legitymował się jordańskim paszportem dyplomatycznym, a jego wiza, uprawniająca do wielokrotnego przekraczania granicy, była ważna do grudnia 2003 roku. Pan Al-Farhan miał wizę amerykańską od chwili, gdy obronił doktorat na Uniwersytecie Columbia czterdzieści lat temu. Jak powiedział Al-Farhan, po okazaniu paszportu zabrano go do osobnego pomieszczenia, gdzie oficerowie służb imigracyjnych powiedzieli mu, że Departament Stanu unieważnił jego wizę, po czym zaczęto go przesłuchiwać. [...] Po sześciogodzinnym przesłuchaniu polecono mu kupić bilet powrotny za dwa tysiące dolarów na lot linii KLM do Ammanu. [...] Urzędnicy imigracyjni oznajmili mu, że otrzymał zakaz wjazdu do Stanów Zjednoczonych przez co najmniej pięć lat”.

Dlaczego tak się stało? INS otrzymał raport sporządzony przeze mnie i George'a. Zebrano dodatkowe informacje, przeprowadzono własne dochodzenie, zweryfikowano fakty i wyciągnięto wnioski. Następnie sporządzono kolejny raport i przesłano go do

Departamentu Stanu. Agencja postulowała, by dołączyć nazwisko Al-Farhana do listy osób niepożądanych.

W Departamencie Stanu przestudiowano drobiazgowo dane i raport INS, porównano z informacjami, którymi dysponowała ambasada amerykańska w Ammanie, sprawdzono inne źródła i wpisano nazwisko tego człowieka na listę.

Problem polegał tylko na tym, że Al-Farhan, jako były członek jordańskiego parlamentu, jest z punktu widzenia Departamentu Stanu dyplomatą. Właściwą w takim wypadku procedurą jest zawiadomienie dyplomaty, że jego wiza straciła ważność, zanim opuści swój kraj. Departament Stanu zaniedbał tego. Al-Farhan przyleciał do Nowego Jorku, jego nazwisko wyskoczyło w komputerze INS, potraktowano go jak terrorystę, przesłuchiowano, a końcu odesłano do domu. Zanim to jednak nastąpiło, Al-Farhan zadzwonił do ambasadora Jordanii w Stanach Zjednoczonych, swego starego znajomego. Wiadomość o deportacji rozeszła się błyskawicznie. Al-Farhan nie zdążył jeszcze wrócić do kraju, gdy zaczęły się tam masowe wiece i antyamerykańskie demonstracje Braci Muzułmanów, na których tysiące ludzi krzyczały: „Śmierć Ameryce!”. W jordańskich mediach ukazywały się liczne doniesienia o tym incydencie. Ambasador Stanów Zjednoczonych w Jordanii, William Burns, zadzwonił do Al-Farhana, by „wyrazić swoje zaniepokojenie” tym, co się stało. Później Burns został wezwany do jordańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w celu złożenia oficjalnych wyjaśnień. Clinton wyrażał głębokie ubolewanie. Na polecenie Departamentu Stanu ambasador amerykański osobiście przeprosił Al-Farhana za ten incydent. A Al-Farhan otrzymał zadośćuczynienie w postaci bezterminowej wizy amerykańskiej.

Czy o to mi chodziło? Czy tego właśnie chciałam? W żadnym razie. Czułam, że popełniłam jakiś błąd. Wpadłam na pomysł,

dostarczyłam informacji i spowodowałam całe to zamieszanie. Zadzwoniłam do Veroniki i powiedziałam jej, co mnie dręczy. Ona także była zdenerwowana, ale zupełnie nie czuła się winna i nie uważała, żebym zrobiła coś złego. Od razu powiedziała, że to nie był mój błąd. Postąpiłam właściwie. Na sto procent. To samo dotyczy wydziału antyterrorystycznego INS. Departament Stanu zepsuł jednak wszystko, zaniedbując przestrzegania protokołu. I aby wyciszyć sprawę, zrobił nawet coś gorszego: przedłożył politykę nad względy bezpieczeństwa. Choć Farhan nie został powiadomiony, jak należało, o cofnięciu wizy, nadal był tym, kim był. Nadal nie było powodu, by formalnie go przeproszać ani dawać mu wizy uprawniającej do nieograniczonego wjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Veronica miała rację. My byliśmy w porządku, Al-Farhan - nie.

Sprawa z Al-Karadawim była o wiele prostsza. Wynikła kilka miesięcy po incydencie z Al-Farhanem. Także i w tym wypadku INS sprawdził materiały, które dostarczyliśmy, sporządził własny raport, przekazał go Departamentowi Stanu i nazwisko Al-Karadawiego zostało dodane do listy. Tym razem Departament Stanu zachował się właściwie; może czegoś się nauczyli. Gdy Al-Karadawi próbował przedłużyć swą wizę, został wezwany do ambasady amerykańskiej w Katarze, gdzie dowiedział się, że jego dziesięcioletnia wiza, uprawniająca do wielokrotnego wjazdu, została unieważniona. Proste i skuteczne, tak jak powinno być w przypadku Al-Farhana.

Nie wiedziałam o niczym do chwili, gdy dotarła do mnie informacja, że Al-Karadawi nie pojawił się na konferencji w Baltimore, na której był oczekiwany. Historię z wizą odebrałam jak swoje wielkie zwycięstwo. Al-Karadawi i inni muzułmańscy duchowni, którzy nadużywają swego autorytetu do szerzenia idei dżihadu, nie mają po co tu przyjeżdżać.

Nieco ponad rok po incydencie z Al-Farhanem dowiedziałam się, że w lipcu 2001 roku ma przyjechać na 26. doroczną konwencję Koła Muzułmańskiego w Ameryce Północnej (ICNA) szajch Ikrima Sabri, wielki mufti Jerozolimy i Palestyny. Do tego czasu znów awansowałam w pracy, ostatecznie przeniosłam się na drugie piętro i kierowałam zespołem uzdolnionych młodych ludzi.

Ten mufti, najwyższy autorytet religijny dla wyznawców islamu, jest znany z tego, że nawołuje do unicestwienia Stanów Zjednoczonych, popiera dżihad i samobójcze zamachy, zachęca dzieci do składania siebie w „ofierze”, do „męczeństwa”. „Im młodszy jest męczennik - mówił - tym większy mam dla niego szacunek”. Wyniesiony przez samego Jasira Arafata do tak wysokiej godności, Sabri wygłosił w 1997 roku w rządowej stacji radiowej Głos Palestyny następujące słowa: „O, Allahu, zniszcz Amerykę, ponieważ rządzą w niej Żydzi-syjniści. [...] Allah uczyni Biały Dom czarnym. [...] Muzułmanie oznajmiają Anglii, Francji i wszystkim narodom niewiernym, że Jerozolima jest arabska. [...] Allah zemści się, w imię swego Proroka, na osadnikach kolonialistach, którzy są potomkami małąp i świń. Przepraszamy cię, o Mahomecie, za uczynki tych małąp i świń, które chcą sprofanować twą świętość”.

Dwudziestego czwartego sierpnia 2001 roku, zaledwie dwa tygodnie przed 11 września, mufti przybył do oficjalnej telewizji palestyńskiej, by wygłosić *chutbę*. Powiedział wówczas: „Allahu, zachowaj Al-Akse. Allahu, zlikwiduj okupację i wszystkich, którzy ją popierają. Zniszcz Stany Zjednoczone i wszystkich ich popleczników i agentów. Zniszcz Anglię i wszystkich jej popleczników i agentów. [...] Allahu, daj zwycięstwo islamowi i muzułmanom”.

Po 11 września władze izraelskie aresztowały Sabriego, który wrócił właśnie z nielegalnej podróży do południowego Libanu, gdzie spotkał się z działaczami Hezbollahu. W areszcie Sabri oświadczył:

„Przy pomocy Allaha Biały Dom stanie się czarny, a Ameryka, Anglia i Izrael zostaną unicestwione”.

Ponieważ Sabri jest dla Palestyńczyków wielkim autorytetem religijnym, jego oświadczenia są w istocie fatwami. Gdy ktoś mający taką władzę jak Sabri, Ślepy Szejk, Al-Hanuti czy Al-Karadawi wzywa do zniszczenia Ameryki, nie jest to tylko retoryka i nie ma to nic wspólnego z wolnością słowa. Ci ludzie, choć nie walczą z bronią w rękę, są równie odpowiedzialni za szerzenie się terroryzmu jak sami terroryści. A może nawet bardziej, ponieważ to oni podżegają i zachęcają do walki. To oni uczynili z mordowania powinność religijną. Oni używają swego ogromnego autorytetu do uczenia śmierci zamiast życia, nienawiści zamiast pokoju, męczeństwa zamiast nadziei.

Podobnie jak w przypadku Al-Karadawiego i Al-Farhana najlepsze, co można było zrobić, to trzymać Sabriego z daleka od Stanów Zjednoczonych. Przygotowałam więc wraz z moim zespołem raport na temat muftiego, zawierający jego wypowiedzi i dowody świadczące o wspieraniu terroryzmu oraz bardzo bliskich związkach z Hamasem. Przesłaliśmy opracowanie Veronice. Kilka dni później zadzwoniła z wiadomością, że raport jest już w drodze do Departamentu Stanu.

- Nie widzę powodu, dla którego nie mieliby uniemożliwić mu przyjazdu - powiedziała.

Ja również sądziłam, że dowody są na tyle mocne, iż Departament Stanu z przyjemnością odmówi temu gościowi wizy.

Tydzień później miałam kolejny telefon od Veroniki. Była wściekła. Departament Stanu nie zgodził się wpisać Sabriego na listę osób niepożądanych. Stało się tak dlatego, że podczas przeglądania dokumentów jeden z funkcjonariuszy zauważył oficjalny tytuł Sabriego: „wielki mufti Jerozolimy i Palestyny”. Na widok tytułu ten

ktoś wpadł w popłoch. Sabri otrzymał wizę. Tytuł, nie człowiek - to się liczyło. Znow polityka wygrała z bezpieczeństwem narodowym. Veronica powiedziała, że Dan próbował odwoływać się od tej decyzji, ale urzędnicy Departamentu Stanu ukręcili łeb całej sprawie.

Sabri przyjechał na konwencję w Cleveland. Nawoływał tam o wsparcie dla Hamasu i kontynuowanie samobójczych zamachów oraz wygłaszał zdania w rodzaju: „Żydzi nie odważyli się sprawić mi kłopotów, ponieważ to najbardziej tchórzliwe kreatury, jakie Allan kiedykolwiek stworzył” albo: „Powtarzamy im [Żydom]: Tak bardzo jak wy kochacie życie, muzułmanie kochają śmierć i męczeństwo”.

Nic dziwnego, że tak zmanipulowani młodzi muzułmanie gotowi są oddać własne życie po to, by pozbawić życia innych.

Na dodatek rok po 11 września Dan zgodził się objąć stanowisko w Europie. Nie prowadzi już wojny przeciw terroryzmowi.

Teraz, gdy wyjechał, kto w INS pomoże mi powstrzymać napływ terrorystów do Ameryki?

Przeznaczenie. To musiało być przeznaczenie, ta prośba Maza o raport na temat IAP Podobnie jak w wielu innych wypadkach z samego opracowania zrobiono niewielki użytek, ale to, czego się dowiedziałam, nie poszło na marne. Drobne, z pozoru nieistotne szczegóły złożone w całość utworzyły wyrazisty obraz. Informacje, które zdobyłam, pomogły władzom uniemożliwić przyjazd Al-Karadawiego do Stanów Zjednoczonych. Mimowolnie spowodowałam nawet incydent dyplomatyczny z Jordanią. Ale to nie wszystko.

Gdy tylko znalazłam w „Ila Filistin” *Kartę zasad Hamasu*, zrobiłam kopie i przekazałam je - podobnie jak wiele innych tekstów z tego periodyku - przy różnych okazjach rozmaitym ludziom. Dużo później pewien sędzia, rozstrzygający w procesie z powództwa cywilnego, poprosił Departament Sprawiedliwości o opinię, czy HLF

jest przykrywką Hamasu. W kwietniu 2002 roku Departament wydał decyzję, że w istocie tak jest, a na jej poparcie przedłożył sądowi dokumenty. Byłam zaskoczona, widząc, że znalazły się w nich materiały, które zebrałam z „Ila Filistine” - *Karta zasad Hamasu*, zawiadomienia o zbiórkach pieniędzy na HLF, kilka komunikatów Hamasu. Na niektórych tekstach widniały moje odręczne notatki po hebrajsku.

Rzeczywiście, niekończąca się historia.

Sprawę IAP, Hamasu, deportacji zaczęłam od Al-Hanutiego i na nim chciałam ją zakończyć. Dowiedziałam się, że Al-Hanuti był jednym z głównych świadków na procesie Abu Marzuka na Manhattanie; śpiewał nawet pieśni na jego cześć podczas rozpraw. Później zdobyłam też informację, że był jednym z niepostawionych w stan oskarżenia spiskowców, którzy zorganizowali podłożenie bomby w World Trade Center w 1993 roku. Było to dobrane towarzystwo, do spisku należał także Osama Bin Laden, który również nie został oskarżony.

W połowie 1999 roku, gdy zbliżał się koniec tysiąclecia, siedziałam przy biurku i rozmyślałam nad tym, jak często i regularnie w każdym dochodzeniu pojawiają się te same nazwiska. Zawsze były ze sobą powiązane w taki czy inny sposób, a rozróżnienie między PIJ, Hamasem, Hezbollahem i Al-Ka'idą stawało się coraz trudniejsze.

Wreszcie zakończyłam zbieranie materiałów na temat Al-Hanutiego. Wiedza o poczynaniach imama i jego poglądach wygłaszanych konsekwentnie w Dar al-Hidżra, a także mój coraz większy pesymizm w kwestii zdolności władz do uchronienia nas przed takimi jak on sprawiły, że raport kończył się taką oto ponurą przepowiednią: „Dopóki radykalni islamscy imamowie w rodzaju Al-Hanutiego będą odgrywali kluczową rolę w dużych ośrodkach muzułmańskich, nie powinno budzić zdziwienia to, że będą się

zdarzały wydarzenia podobne do zamachu bombowego na World Trade Center; muzułmańscy fundamentaliści nadal będą usiłowali osiągnąć swój cel - zdobycie dominacji nad światem”.

ROZDZIAŁ 6

Piątkowe kazanie

Nie wiem, czy było to zamierzone, czy nie, ale zdecydowana większość wielkich muzułmańskich konferencji w Stanach Zjednoczonych odbywa się w czasie najważniejszych amerykańskich świąt, takich jak Święto Dziękczynienia czy Boże Narodzenie. Może to przypadek, a może dzieje się tak dlatego, że święta często przypadają w długie weekendy, łatwo więc zorganizować trzydniową imprezę. A może ma to być wyraz patriotyzmu ze strony organizatorów i uczestników tych konferencji?

W 1999 roku konferencja IAP w Chicago odbywała się jak zwykle w Święto Dziękczynienia. Zamierzałam wziąć w niej udział, ale chciałam także spędzić święto z rodziną. Leo również wolał być w pobliżu na wypadek, gdyby coś poszło źle, bo moja praca nie należała do bezpiecznych, a do tego byłam w ciąży. Ponieważ nie cierpię latać, zdecydowaliśmy, że odbędziemy trzygodzinną podróż z Nowego Jorku do Chicago naszą starą furgonetką. Gdy ja będę w pracy, Leo i dzieci będą mieli wakacje, a wieczory spędzimy razem.

Leo nie miał nic przeciwko temu, by prowadzić całą drogę, a ja przez większość jazdy pracowałam na laptopie. Chłopcy zachowywali się wspaniale. Grali w gry komputerowe i oglądali filmy na przenośnym wideo, które zainstalowaliśmy z tyłu. Denerwowali się z

powodu mojej pracy - niewiele da się ukryć przed dziećmi - i starali mi się pomóc, bardzo grzecznie się zachowując.

Do hotelu w Rosemont, na przedmieściu Chicago, dotarliśmy znużeni. Hotel nie należał do wytwornych i znajdował się kilka przecznic od Ramada Plaza, gdzie miała odbyć się konferencja. Zatrzymanie się w Ramada Plaza nie wchodziło w rachubę, ponieważ Leo i chłopcy nie wyglądali na Arabów, stanowiących większość uczestników zjazdu. Wystarczyłoby przypadkowe spotkanie w windzie, holu czy restauracji i zostałabym zdemaskowana. Wieczorami jadalіśmy w restauracjach położonych daleko od Ramada. Mimo to szyję miałam w ten weekend obolałą od oglądania się przez ramię.

Zanim poszliśmy do łóżek, przygotowałam przebranie i aparaturę nagrywającą na następny dzień; chciałam uniknąć rano niepotrzebnego zdenerwowania. Upewniłam się, że baterie są w porządku, taśmy gotowe do nagrywania, wszystkie akcesoria na swoim miejscu. Chłopców rozpierała energia po trzech godzinach siedzenia bez ruchu i zaczęli skakać po ogromnych łózkach. Nie miałam serca przerwać tej zabawy, ale dziecięce wrzaski stargały mi nerwy. Gdy w końcu się położyliśmy, dzieci zasnęły niemal natychmiast, ale ja przewracałam się z boku na bok; nie mogłam znaleźć wygodnej pozycji. O czwartej nad ranem, wracając z kolejnej wyprawy do łazienki, spojrzałam na Leo. Patrzył na mnie uważnie, szeroko otwartymi oczyma. On także nie spał całą noc.

W dzień Święta Dziękczynienia jeszcze przed świtem wzięłam gorący prysznic, by zmyć resztki nocy i nocnych niepokojów. To śmieszne nosić dzisiaj kostium, pomyślałam, wkładając muzułmański strój. Czyż porą na przebieranki nie jest Halloween? Sprawdziłam wszystko jeszcze raz: sprzęt nagrywający dobrze przymocowany, baterie sprawne, taśmy także. Włożyłam do portmonetki więcej

pieniędzy i wizytówki - moje alter ego jest zawodową szwaczką; przybrałam taką tożsamość dlatego, że wiem przecież co nieco o tym biznesie - i wiele o pieniądzach. Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka na takich konferencjach. Nie mogłam posługiwać się swoimi kartami kredytowymi, jest na nich moje prawdziwe nazwisko. W rezultacie błogosławiłam pomysł zabrania ze sobą większej gotówki, ponieważ tego rana mogłam zapłacić od razu za wszystkie posiłki, a później w ciągu dnia wpłaciłam na syna męczennika.

Gdy skończyłam się ubierać, dzieci ciągle mocno spały. Leo poszedł po samochód, ja zeszłam na dół po kilku minutach. Muzułmanka w zwykłym hotelu w Chicago to dziwny widok. Miałam wrażenie, że wszyscy mi się przyglądają, a ponieważ tylko udawałam muzulmankę, tym bardziej mnie to krępowało.

Leo wysadził mnie w pewnej odległości od podjazdu do Ramada Plaża, ponieważ inaczej ktoś mógłby zauważyć, że wysiadam z samochodu nieprowadzonego przez „brata”. W stronę wejścia do hotelu płynął już strumień ludzi. Dołączyłam do nich i szybko maszerowałam w przesywającym zimnie tego ranka, nie oglądając się za siebie. Przez całą drogę czułam na sobie zaniepokojone spojrzenie Leo. Zauważyłam, że samochody krążące wokół w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania mają tablice rejestracyjne Illinois. Było wśród nich wiele starszych modeli, co oznaczało, że nie zostały wynajęte. Należą zatem do okolicznych mieszkańców, którzy prawdopodobnie znają się nawzajem. Muszę zachować przytomność umysłu, opowiadając swoją historyjkę.

Recepcjonista skierował mnie do stołu w odległym kącie holu, gdzie rejestrowano uczestników. Utworzyła się już tam kolejka. Ustawiłam się w niej - i zaczęłam się bać. To była konferencja IAP Muzułmańskiego Stowarzyszenia na rzecz Palestyny, uczestniczyło więc w niej wielu Palestyńczyków. Każdy z nich mógł rozpoznać po

akcencie, że pochodzę z Iraku. A gdyby mnie o to zapytali? Gdyby pytali o różne inne rzeczy? A ja potknęłabym się na jakimś szczególe swojej opowieści? Ludzie prowadzący zapisy byli bardzo podejrzliwi wobec każdego, kogo nie znali i kto nie wyglądał na pochodzącego z Bliskiego Wschodu. Maglowali wiele osób z kolejki. Niektóre udzielały właściwych odpowiedzi i wpisywano je na listę, ale akurat przede mną stał w kolejce człowiek, który nie wyglądał na Araba ani nie mówił po arabsku. Zadano mu kilka pytań. Próbował się tłumaczyć, ale organizatorzy nie kupili jego historii. Byli bardzo uprzejmi, lecz nie pozwolili temu człowiekowi wejść. Oznajmili, że konferencja jest tylko dla członków IAP i poprosili o opuszczenie hotelu. Gdy przyszła moja kolej, powitali mnie uśmiechami. Uśmiechnęłam się także, ale serce biło mi mocno.

Niczego nie podejrzewali. Kobieta o „bliskowschodnim” wyglądzie i do tego w ciąży - to znakomity kamuflaż. Zapisałam się jako uczestniczka konferencji i zapłaciłam wpisowe, a wtedy zapytali mnie, czy jestem członkinią IAP. Nie jestem? No tak, a może chciałabym się zapisać? Za jedynie trzydzieści dolarów dostawałabym regularnie periodyk stowarzyszenia, „Az-Zajtuna”. Zgodziłam się natychmiast. Powoli wracała mi pewność siebie. Teraz zapytano mnie, czy jestem zainteresowana kupnem talonów na posiłki. Oczywiście. Byłam w ciąży i wiecznie głodna, a cena wydawała się rozsądna.

- A więc którądy na śniadanie? - zapytałam, ponieważ burczało mi w brzuchu.

Pokazano mi drogę. Po chwili znalazłam się w obszernej, pięknej jadalni. Wytworne gzymsy, piękne kryształowe żyrandole, pełno światła. Bufet śniadaniowy wyglądał bardzo obiecująco. W jadalni nie było zbyt wielu osób, przypuszczalnie ze względu na zbyt wczesną porę. Siedziałam sama przy stoliku. Jedzenie było

wyśmienite, trzy razy wyprawiałam się do bufetu. Gdy zbierałam się do wyjścia, podszedł kelner. Podałam mu talon i poprosiłam o jeszcze o kawę. Popatrzył na mnie jak na wariatkę.

- Co to jest? - zapytał.

- Talon - wyjaśniłam. - Śniadaniowy!

Kelner, który domyślił się, co się stało, tłumaczył mi niczym niedorozwiniętemu dziecku, że śniadanie dla uczestników konferencji jest po drugiej stronie holu, w mniejszej jadalni; na drzwiach znajduje się czerwony napis: „Trzecia Doroczna Konferencja IAP”.

Czułam się głupio, ale przynajmniej dobrze podjadłam. Gdy ma się pełny żołądek, podobne rzeczy mogą tylko śmieszyć. Kelner podał mi rachunek za śniadanie, co było o wiele mniej zabawne, ponieważ kosztowało ono więcej niż wszystkie posiłki na talony razem wzięte.

Zapłaciłam i wróciłam do holu. Ludzie z IAP pokazali mi drogę do sali konferencyjnej, znajdującej się w innej części tego wielkiego hotelu. Poszłam tam rozświetlonym korytarzem z oknami z obu stron, wychodzącymi na urocze patio. Wydawało się, że pozostała część hotelu nie należała pierwotnie do budynku, została dobudowana później. Minąwszy korytarz, znalazłam się w obszernym pomieszczeniu z żyrandolami i ciemnymi dywanami w rdzawoczerwone i żółte ciapki, wypełnionym ciężkim zapachem, tak typowym dla centrów konferencyjnych. Typowe było tu zresztą wszystko; solidnie i statecznie urządzone miejsce przypominało dziesiątki tego rodzaju centrów w kraju. Po lewej stronie znajdował się mniejszy hol, w którym później zorganizowano kiermasz kaset, książek i innych rzeczy. Główna sala konferencyjna usytuowana była poza większym holem, za dwójgiem przejściowych drzwi.

Ciągle było wcześnie, ludzie zaczęli dopiero zajmować miejsca w swoich sektorach. Znajdowały się tu oczywiście sektory IAP i HLF - znanej nam już organizacji dobroczynnej, uznanej po 11 września za

przykrywkę ugrupowania terrorystycznego. Były też sektory Światowej Fundacji Pomocy (GRF), kolejnej organizacji charytatywnej, która niespełna rok później znalazła się na tej samej liście, oraz Międzynarodowej Fundacji Miłosierdzia (BIF), która dołączyła do listy miesiąc po GRF. A zaproszono tu również inne organizacje charytatywne, wszystkie powiązane z terroryzmem.

Zatrzymałam się przy jednym z boksów. Na widok sadowiącego się tam mężczyzny poczułam nagły skurcz w żołądku. Udało mi się go opanować, ponieważ musiałam przemawiać z tym człowiekiem, a nieczęsto zdarzała się taka okazja.

Był niewysoki, szczupły, prawie łysy. Wyglądał zupełnie niepozornie. Podeszłam, z wielkim trudem próbując przywołać uśmiech na twarz. Przedstawił mi się. Muhammad Salah, muzułmański działacz obrony praw człowieka. Rozdawał zielone znaczki do wpinania w klapę i prosił o datki. Dałam mu dziesięć dolarów, zaczęliśmy rozmawiać.

Na początek zapytał mnie, czy wiem, kim on jest. Skłamałam, że nie.

- Dlatego właśnie takie konferencje są tak ważne - powiedział. - Dzięki nim możemy opowiedzieć innym o ucisku i cierpieniach muzułmanów w Ameryce i na całym świecie.

Zaczął opowiadać mi swoją historię. Był Palestyńczykiem, ale miał obywatelstwo amerykańskie. Handlował używanymi samochodami tu, w Chicago. Na początku lat dziewięćdziesiątych wyjechał do Izraela odwiedzić rodzinę i przyjaciół. I co mu się przydarzyło? Został zatrzymany przez tamtejsze władze i spędził w więzieniu pięć lat.

- Dlaczego? - spytałam, próbując wyglądać na wstrząśniętą.

- Powiem pani dlaczego. Ponieważ Izraelczycy represjonują niewinnych Palestyńczyków - kontynuował z wielkim oburzeniem w głosie. - A wie pani, co jest najgorsze? Gdy wróciłem do Stanów

Zjednoczonych, po tym, jak mnie torturowano i myślałem, że umrę w tym więzieniu, Amerykanie zaczęli śledztwo przeciwko mnie i zajęli mi konta! Mnie, niewinnemu obywatelowi, sprzedawcy samochodów, głowie rodziny, ojcu pięciorga dzieci!

Musiałam włożyć niemało wysiłku, by nie wypaść z roli.

- Oczywiście! Teraz sobie przypominam! - wykrzyknęłam. - Jak mogłam zapomnieć? Jest pan wielkim bohaterem. Opowiem pańską historię moim trzem chłopcom i mam nadzieję, że dzięki niej tym chętniej zostaną mudżahedinami, *Insza-Allah!* [jeśli Bóg pozwoli].

Powiedziałam, że jest odważny i nieugięty i że my, muzułmanie, wszyscy powinniśmy brać z niego przykład. Poprosił mnie, bym poszukała jego żony, która także jest na konferencji, i porozmawiała z nią. Obiecałam, że to zrobię. Zamieniliśmy jeszcze kilka słów i pożegnałam swojego rozmówcę. Nie poznałam żadnych nowych faktów, ale konwersacja z Salahem była pouczająca. Poznaj metody swojego przeciwnika - oto moja dewiza.

A teraz inna wersja tej historii. Przypomniałam ją sobie od razu, gdy ujrzałam niedużego, kruchego mężczyznę, żalącego się, że został tak okrutnie potraktowany. Salah był przywódcą wojskowego skrzydła Hamasu, operującego na całym świecie. Gdy został aresztowany w Izraelu na początku 1993 roku, miał przy sobie blisko 100 tysięcy dolarów w gotówce. Jak sam zeznał, pieniądze te miały zostać rozdzielone między bojowników Hamasu. Salah przyjechał do Izraela, by odbudować rozbite struktury tego ugrupowania po deportowaniu przez władze izraelskie większości najbardziej niebezpiecznych działaczy. Podczas pobytu w więzieniu Salah ujawnił w rozmowach z innymi więźniami i dobrowolnie spisany zeznaniu w języku arabskim - myśląc, że wszystko to dotrze raczej do głównych funkcjonariuszy Hamasu niż do Izraelczyków - szczegółowe dane na temat struktur i sposobów finansowania

organizacji. Jego zeznanie zostało później uznane za prawomocne i wykorzystane w procesie przeciwko Musie Abu Marzukowi w Nowym Jorku.

Salah opisał tam, że został mianowany na wysokie stanowisko przez Marzuka - szefa biura politycznego Hamasu, człowieka, którego proces o ekstradycję popchnął kogoś z biura jordańskiego eksdyplomaty, Iszaka al-Farhana, do wysłania pogróżek do ambasady amerykańskiej w Ammanie. Marzuk, jedna z najbardziej znaczących postaci w Harnasie, blisko współpracował z Muhammadem Salahem. Salah ujawnił, że został upoważniony przez Marzuka do rekrutacji ochotników, mających walczyć w „świętej wojnie”, na szkolenie w zakresie posługiwania się materiałami wybuchowymi. W Stanach Zjednoczonych Salah zaczął szkolenie dziesięciu takich ochotników, trzech z nich zostało wybranych do przeprowadzenia zamachów. Zajmował się nie tylko nadzorowaniem produkcji bomb, materiałów wybuchowych i detonatorów do zdalnego inicjowania wybuchu, ale na polecenie Marzuka eksperymentował też z bronią biologiczną i chemiczną.

Nasir Hidmi, miody Palestyńczyk, który został schwytany podczas próby zdetonowania bomby w Izraelu i który ujawnił rolę Iszaka al-Farhana w rekrutacji terrorystów na konferencji w Kansas, powiedział, że selekcji owych dwudziestu potencjalnych terrorystów dokonał osobiście Muhammad Salah.

Właśnie on, ten niewinny obywatel, sprzedawca używanych samochodów i ojciec rodziny.

To jeszcze nie wszystko. Marzuk wyznaczył Salaha do przeprowadzenia negocjacji w sprawie uwolnienia przywódców Hamasu z izraelskich więzień. Dal mu kartę przetargową przydatną w rozmowach z Izraelczykami: powiedział, gdzie jest ukryte ciało izraelskiego żołnierza, porwanego i zamordowanego przez Hamas.

Żołnierz był brutalnie torturowany, wylupano mu oczy, okrutnie okaleczono. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam Salaha, moszczącego się w swoim boksie, przed oczyma stanęła mi scena tortur, słyszałam krzyki ofiary. Mam nadzieję, że zabili tego żołnierza, zanim zrobili to, co zrobili...

Niedobrze mi się robi na samą myśl o torturach. Reaguję całym ciałem - mam nudności, bóle brzucha, kołatanie serca. Za każdym razem, gdy myślę o czymś takim, przypominam sobie starego człowieka, którego torturowano w więzieniu razem z moim ojcem, tego, który przyniósł list od ojca. W kilku słowach opowiedział mamie o okrucieństwach, wyrywaniu paznokci, wieszaniu na obracającym się pod sufitem wentylatorze. Gdy podawał mamie list, wyraźnie widziałam na jego dłoni dziesiątki małych blizn po papierosach, którymi go przypalano. Na dodatek w czasie, gdy odbywała się konferencja, reagowałam jeszcze silniej, ponieważ byłam w ciąży. Słuchając obłudnych, nikczemnych kłamstw Salaha, musiałam jednak powściągnąć wszelkie uczucia i opanować się.

Tymczasem zapełniał się sektor HLF. Podeszłam tam i od razu zagadnął mnie jakiś mężczyzna, spytał, czy dobrze znam tę organizację. W środku aż zatrzęśłam się ze śmiechu. Prawdopodobnie wiedziałam więcej o tych ludziach, niż oni sami wiedzieli o sobie. Na zewnątrz jednak nie bez wysiłku przybrałam naiwny wyraz twarzy i wyznałam, że wiem bardzo niewiele. Podczas rozmowy zapytał mnie, dlaczego ja, Irakijka, interesuję się kwestią palestyńską. Odpowiedziałam, że wszyscy jesteśmy braćmi, wszyscy jesteśmy muzułmanami, a dżihad nie ma granic. Chłonał z zachwytem każde słowo. Ponadto, dodałam, mój mąż jest Palestyńczykiem. Biedny Leo. Już sama myśl o nim jako uczestniku tej konferencji to więcej, niż mogłam znieść.

Mój rozmówca, pucołowaty rudzielec, nie wyglądał na

Palestyńczyka bardziej niż Leo. Opowiedział mi krótko o HLF i wielkim znaczeniu wysyłania pieniędzy do Palestyny, a potem oznajmił, że jednym z najważniejszych przedsięwzięć fundacji jest program adopcji dzieci. Za jedne pięćdziesiąt dolarów miesięcznie mogę „adoptować”, to znaczy wspierać finansowo palestyńskie dziecko, które sobie wybiorę.

- Zwłaszcza teraz, gdy zostało już tylko kilka tygodni do świętego miesiąca ramadanu - tłumaczył - pieniądze mogą się przydać, można za nie sprawić przyjemność tym dzieciom. Będą zachwycone świątecznymi paczkami, jeśli więc zdecydujesz się zaopiekować się dzieckiem, teraz byłaby najlepsza pora zacząć.

Czułam, że coś tu się szykuje.

- Czy mogłabym dowiedzieć się nieco więcej? - zapytałam.

Był wyraźnie zadowolony. Objął, że jest to w ostatnim czasie najbardziej udany eksperyment fundacji (niewątpliwie przysporzył sporo pieniędzy Hamasowi, pomyślałam). Wyjął kilka dużych folderów z podobiznami dzieci. Sieroty. W folderach były także informacje o tych dzieciach - wiek, płeć, miejsce pobytu, okoliczności, w jakich zostały sierotami. Przeczytałam trochę tych notek. Większość mówiła o dzieciach *shuhada*. Męczenników! Zamachowców-samobójców i im podobnych! Program ten był więc kolejną zachętą dla każdego, kto uważał męczeństwo za drogę do raju, ponieważ taki ktoś zyskiwał pewność, że jego dzieci zostaną zabezpieczone. Przejrzałam uważnie jeszcze kilka zdjęć i notek.

- Widzisz - powiedziałam rudowłosemu - pomoc finansowa dla palestyńskiego dziecka to rzecz naprawdę godna pochwały. Ale jeśli mam zrobić dobry uczynek, nie chcę zatrzymywać się w połowie drogi. Chcę adoptować syna męczennika.

Wyglądał na bardzo zadowolonego, ale po chwili zmarszczył brwi.

- To może być problem, droga siostró. Widzisz, akurat teraz nie

mam nikogo odpowiedniego. Oczywiście to tylko kwestia czasu. Takie dzieci są dla nas najważniejsze.

Nie ustępowałam. Powiedziałam, że sama mam dzieci i wiem, jak straszne jest sieroctwo (w tej ostatniej sprawie nie kłamałam). Czułabym się o wiele lepiej, dodałam, wiedząc, że moje pieniądze trafiły w najlepsze ręce, a cóż może być lepszego niż wsparcie syna człowieka, który oddał życie za dżihad.

Zadziałało. Upewnił się, że pozostanę przez całą konferencję, i zaproponował, bym przyszła do jego boksu następnego dnia. Spróbuje zorganizować dla mnie coś specjalnego.

Zaczął się już lunch, a ja znów byłam głodna. Przyłączyłam się grupy idącej do jadalni, żeby mieć pewność, że tym razem trafię do właściwej jadalni, i weszłam tam razem z innymi kobietami. Kobiety i dzieci jadły w dużym, urządzonym bez smaku pomieszczeniu, połączonym drzwiami z jadalnią dla mężczyzn. Dzieci siedziały z nami, ale wiele z nich biegało tam i z powrotem między pokojami. Separacja od mężczyzn była dla mnie bardzo wygodna; nikt nie mógł się domyślić, że przyszłam na konferencję sama.



Przy wielu przykrytych białymi obrusami stołach w naszej jadalni nie było nikogo, ale za to do bufetu ustawiała się długa kolejka; podawano kurczaka, klopsiki, ryż i sałatę. To miał być lunch? Nie dość, że jedzenie wygląda podle, to jeszcze porcje były mikroskopijne. Kilka kobiet stojących przede mną głośno narzekało i domagało się więcej jedzenia. Jak w *Olwerze Twiście*, pomyślałam. Spokojnie wzięłam swoją papkę i usiadłam przy stole.

Siedziało tam dziesięć kobiet i wszystkie od razu wiedziały, że nie jestem stąd, ponieważ znały większość członków tutejszej społeczności. Było także oczywiste, że nie jestem Palestynką. W rezultacie moja osoba wzbudziła wielkie zainteresowanie. Zapytały, kim jestem i jak się tu znalazłam, a ja gładko opowiedziałam swoją historyjkę. Mój mąż nie mógł przyjść, jest urzędnikiem państwowym i choć uczestniczył we wcześniejszych konferencjach, czuł się nieswojo, biorąc udział w spotkaniach o charakterze politycznym. Trajkotałam tak, pilnując jednocześnie, by nie wymknęło mi się ani słowo po hebrajsku - jedno z tych, których używam bez zastanowienia, odpowiedników „tak, wiem” i „okay”. Powiedziałam, że moje przyście tu było wspólną decyzją - ponieważ jako kobieta spędzam większość czasu z dziećmi (tego przecież oczekuje się od muzułmanki), powinnam przyjść na tę konferencję, by móc zapoznać dzieci z ideami i praktykami islamu, o których się tutaj mówi.

Po lunchu znów wpadłam na Salaha. Tym razem był z żoną i zostawił ją w moim towarzystwie. Wyglądałyśmy zupełnie tak samo - długie, ciemne suknie, długi biały hidżab, niewypolerowane paznokcie, brak makijażu. Była jednak między nami gigantyczna różnica, o której ona nie miała pojęcia, a która mnie przyprawiała o coraz większą irytację. Pozwoliłam jej mówić. Taka długa rozmowa stawała się zbyt męcząca i zbyt ryzykowna, ale ratowałam się, wychwalając dzielność pani Salah, umiejętność przeżycia bez męża z piątką dzieci przez pięć długich lat. Spytałam, jak zdołała sobie z tym poradzić.

- Allahowi niech będą dzięki - odrzekła - za naszą wspaniałą tutejszą społeczność muzułmańską. Praktycznie każdy nam pomagał, wiedząc o cierpieniach mojego męża, i nigdy niczego nam nie brakowało. Solidarność muzułmanów to bardzo potężna broń.

- To prawda - odpowiedziałam z pełnym przekonaniem.

Leo obudził nas w piątek wczesnym rankiem. Dzieci natychmiast wyskoczyły z łóżek, choć wieczorem w Święto Dziękczynienia wróciły bardzo zmęczone po przygodach w Chicago. Podczas gdy ja rozmawiałam z Muhammadem Salahem i próbowałam kupić syna męczennika w boksie HLF, one spacerowały szerokimi ulicami śródmieścia, oglądając świąteczną paradę, i przy okazji dosłownie wpadły na Johna Malkovicha. Długa jazda i wielogodzinny spacer na rześkim jesiennym powietrzu sprawiły, że chłopcy spali jak susły. Nie mogłam zrozumieć ich nienaturalnego porannego ożywienia, dopóki Leo nie przyznał się, że obiecał im cały dzień w chicagowskim parku DisneyQuest.

Dzieci były szybsze nawet ode mnie. Gdy ja ciągle mocowałam sprzęt nagrywający, już gotowe czekały. Obyło się prawie bez słów. Kiedy skończyłam się ubierać, zeszliśmy osobno na dół i pojechaliśmy do Ramada.

Piątek jest świątecznym dniem muzułmanów, dniem odpoczynku. Tego dnia wierni idą do meczetu i słuchają *Chutba al-dżuma*, piątkowego kazania. W domu jemy zawsze w piątki tradycyjną rodzinną kolację. Nie tym razem, pomyślałam. Nie było świątecznego obiadu w Święto Dziękczynienia i nie będzie piątkowej kolacji. Zamiast tego mam IAP i *Chutba al-dżuma*.

Do tej pory dość dobrze orientowałam się, co się dzieje na konferencji. Najważniejsze prelekcje odbywały się w wielkiej sali konferencyjnej, natomiast spotkania i prelekcje towarzyszące - w mniejszych pomieszczeniach, rozrzuconych po całym hotelu. Wiedziałam, że tego dnia nie prelekcje, lecz kazanie będzie głównym wydarzeniem.

Przyglądałam się, jak organizatorzy konferencji wypraszają wszystkich z głównej sali i układają na podłodze taśmę, by zaznaczyć równe rzędy. Zgodnie z tradycją wierni powinni stać w idealnie

prostym szeregu podczas modlitwy, żeby miała ona największą siłę.

Zbliżała się pora kazania i obszerna sala zaczęła się wypełniać ludźmi. Był coraz większy ścisk; wydawało się, że przyszedli tu wszyscy muzułmanie i Palestyńczycy z Chicago. Później dowiedziałam się, że nie było to dalekie od prawdy - wielu miejscowych imamów mówiło swoim parafianom, że w ten piątek *sałat*, modły, odbędą się w sali konferencyjnej hotelu Ramada bezpośrednio po kazaniu. Przyszło tak wielu wiernych, że prawie nie było gdzie stanąć. Gdy wokół mnie zaczęli tłoczyć się ludzie, wpadłam w panikę. Sprzęt nagrywający mógł się zepsuć albo, co gorsza, zostać odkryty.

Powietrze w pomieszczeniu stało się gorące i gęste, wszyscy narzekali na duchotę i ścisk. Inaczej niż podczas prelekcji, gdy kobiety siedziały po jednej stronie sali, a mężczyźni po drugiej, teraz musiałyśmy stanąć za mężczyznami. Kazanie uważano za bardzo ważne, mężczyźni otrzymali więc przywilej stania bliżej imama, tak by mogli lepiej wszystko słyszeć. W świecie muzułmańskim mężczyźni zajmują znacznie wyższą pozycję niż kobiety, nawet jeśli przyszło im mieszkać na Zachodzie.

Kazanie miał wygłosić dr Salah Sułtan. Był to czterdziestoletni mężczyzna średniego wzrostu, ciemnowłosy, z ciemną brodą; w jego czarnych oczach czaiło się coś złowieszczonego. Sułtan założył niedawno Amerykański Uniwersytet Muzułmański w Southfield, w Michigan. Uczelni tej udzielało wsparcia wiele wpływowych organizacji muzułmańskich i wielu znanych muzułmańskich uczonych. Jednym z tych intelektualistów był Jusuf al-Karadawi, duchowny, który podzegał do zamachów samobójczych i któremu dzięki mojemu raportowi zabroniono wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Ten wybitny uczyony nie tylko udzielił swego błogosławieństwa przedsięwzięciu Sułtana, ale i sam był rektorem Amerykańskiego Uniwersytetu Muzułmańskiego w Katarze. Macki, wszędzie te macki.

Mimo straszliwego ścisku bardzo chciałam posłuchać, co ma do powiedzenia taka znakomitość, jak rektor muzułmańskiego uniwersytetu, dr Salah Sułtan. Niewiele o nim wiedziałam i miałam nadzieję, że jako uczoney przedstawi swe poglądy na kwestię muzułmańską w Ameryce i nawiąże do tematu konferencji, który brzmiał *Stulecie rozwoju*. Sułtan zaczął mówić, a ja czułam się coraz bardziej nieswojo. Oto fragmenty tego kazania w tłumaczeniu z arabskiego:

Co znaczy dla was „Sprawa”? I co znaczy dla waszych dzieci? [...] Jak wiele wiedzą o tych tragediach? Czy mówicie im, że tam Dzieci Syjonu rozcinają łona palestyńskich matek? Gdy w 1992 roku Chalid M. Chalid był z wizytą u Szamira [Icchak Szamir, premier Izraela w czasie wojny w Zatoce], zobaczył na jego biurku osobliwą popielniczkę. Zapytał: „Cóż to za dziwna popielniczka?”, Szamir odpowiedział, że jest to głowa płodu. Głowa płodu! Izraelski żołnierz otworzył łono palestyńskiej matki, wyjął płód, odciął mu głowę i dał Szamirowi w prezencie. Dał w prezencie! Tak właśnie robią Żydzi. Zabicie muzułmanina i każdego innego nie-Żyda nic dla nich nie znaczy, ponieważ ich dewizą jest «Goje są dla nas niczym». Mówi o tym Talmud: „Jeśli napotkasz nie-Żyda, zabij go”.

Sułtan wygłaszał kazanie, a powietrze stawało się coraz gęściejsze. Mówił przez blisko czterdzieści minut, coraz trudniej było oddychać. *Hidżab* ciążył mi, jakby był z ołowiu, głowa omal mi nie pękła, sprzęt nagrywający uwierał. Ze wszystkich stron napierały na mnie sąsiadki. Gdy Sułtan zaczął opowiadać o żołnierzach, kobietach i płodach, poczułam mdłości. Potrzebowałam powietrza. Wielka sala zaczęła wirować wokół mnie. Chciałam stamtąd wyjść, ale nie było sposobu precyzyjnie się przez tłum. Jak on może mówić takie rzeczy? Tu są kobiety i dzieci. Jak oni wszyscy mogą tego słuchać? Sułtan ciągnął dalej:

Chcę, by każde dziecko zasypiało z myślą o krwawiącej Palestynie i czynach męczenników. [...] Chcę być człowiekiem, który broni ziemi, honoru, Świętej Jerozolimy. Jeśli ten honor jest gwałcony, chcę oddać życie. Nadejdzie dzień, gdy lud powstanie pod sztandarem dżihadu. [...] Reżim syjonistyczny jest niebezpieczny dla Żydów, niebezpieczny dla chrześcijan, niebezpieczny dla Amerykanów. Izrael jest waszą zgubą. Dla własnego interesu chce pozbawić was suwerenności. Zabili Amerykanów w Libanie, by jeszcze bardziej podsyć konflikt. Tych ludzi nie obchodzi, kogo niszczą: „Goje są dla nas niczym. Zabić nie-Żydów. Jeśli spotkasz cierpiącego nie-Żyda, nie pomagaj mu, ale zaszkodź, bo uraduje to Boga”.

Dżihad, męczeństwo, embriony z odciętymi głowami... Byłam na wpół żywa z braku powietrza, w głowie wirowało mi coraz szybciej i szybciej.

Wreszcie kazanie się skończyło i zaczęły piątkowe modły. Inaczej niż za pierwszym razem w Dar al-Hidżra, teraz byłam przygotowana. Dokładnie wiedziałam, jak modlą się muzułmanie. Przy każdym pokłonie czułam swój brzuch i musiałam wykonać wielki wysiłek, aby się podnieść. Najpierw na kolana, potem głowa do podłogi, a potem się podnieść, i wszystko od początku. Niosła mnie wielka fala wiernych, omal się nie utopiłam. Byłam lepka od potu i bliska omdlenia. Otaczające kobiety ruszyłyby wtedy na pomoc... i znalazłyby coś dziwnego pod moimi sukniemi. Po świeżo wysłuchanym kazaniu Salaha Sułtana z pewnością by mnie zlinczowały. Z trudem łapiąc powietrze, przygryzałam dolną wargę, aż poczułam smak krwi. Gdy modlitwa się wreszcie skończyła, powlokłam się do wyjścia resztką sił. Byłam zupełnie wyczerpana. Musiałam złapać tchu. Musiałam opuścić to miejsce.

Po powrocie do hotelu wzięłam długi prysznic, położyłam się na łóżku i rozpłakałam się. Co mnie tak rozstroiło? Może po prostu

historia z płodem? Ten makabryczny obraz wywołał we mnie gwałtowne emocje; myślałam o moim nienarodzonym dziecku i o dziecku, które straciłam. To było zupełnie bez sensu, Sułtan mówił przecież o rzeczach, które w jego środowisku były czymś zwykłym. Barbarzyńskie akty dekapitacji i obcinania członków są powszechne w niektórych krajach arabskich i muzułmańskich, takich jak Arabia Saudyjska czy Afganistan pod rządami talibów; władze uważają to za stosowną karę. Nosisz nieodpowiednie buty, talibowie zabiją cię w biały dzień. Ukradniesz coś, Saudyjczycy obetną ci rękę. Masz romans z żonatą mężczyzną - ukamienują cię. Nie masz męża, a jesteś w ciąży - własny ojciec poderżnie ci gardło. Publicznie. Jesteś reporterem „Wall Street Journal” - zamordują cię po barbarzyńsku, a ktoś zadba o to, by scena morderstwa została nagrana na wideo i znalazła się w Internecie. Przykłady braku szacunku dla życia można by mnożyć w nieskończoność.

Jak powiedział w kazaniu mufti Ikrim Sabri, „muzułmanie kochają śmierć i męczeństwo”. W oficjalnej palestyńskiej telewizji można zobaczyć dzieci w wieku przedszkolnym, śpiewające z ogniem w oczach, że „zjedzą ciało swojego wroga”. Muzułmańscy duchowni, imamowie, szajchowie, nawet ambasador Arabii Saudyjskiej w Wielkiej Brytanii, dr Ghazi al-Kusabi, wychwalają samobójcze zamachy. Także po 11 września. Posługiwanie się słowem „męczeństwo” na określenie morderstwa jest odrażające. Rodzice takich „męczenników” zwykle są dumni ze swoich dzieci i powtarzają, że zachęcą także pozostałe potomstwo do naśladowania tego wzoru. A Saudyjczycy, na przykład, publicznie i bezwstydnie zbierają pieniądze na „męczenników”. Podczas jednej tylko zbiórki telewizyjnej zgromadzono 100 milionów dolarów. Osama Bin Laden, zapytany o muzułmanów, którzy zginęli podczas zamachów na ambasady Stanów Zjednoczonych w Kenii i Tanzanii, spojrzął na

pytającego jak na głupka i odpowiedział: „Wszyscy poszli do nieba!”.



Kultura, w której wyrósł Sułtan, jest przesycona gwałtem i pozbawiona szacunku dla życia i zdrowia. Jakże głęboką, mroczną, niewyobrażalną nienawiść musi żywić w sercu uczony rektor Amerykańskiego Uniwersytetu Muzułmańskiego, by głosić takie poglądy. Jak wielki musi być jego gniew, skoro nawołuje do dżihadu i męczeństwa. Czy Sułtan przekaze tę nienawiść swoim studentom w Michigan, tak jak to zrobił podczas dzisiejszej *chutbyl* I czy wielu jego słuchaczy w Ramada Plaża uwierzyło w opowieść o Szamirze i popielnicze z głowy ludzkiego płodu? Jak daleko będą zdolni posunąć się ci, którzy wezmą tę opowieść za prawdę?

Wypoczęta i spokojniejsza zadzwoniłam do Leo i dzieci. Bawili się wspaniale. Od razu poczułam się lepiej, mogłam już zebrać myśli.

W swojej pracy często mam do czynienia z nienawiścią. Czytam mnóstwo pełnych nienawiści wypowiedzi i słów podżegających do morderstw, wygłaszanych przez duchownych i innych szanowanych przywódców muzulmańskich. Przeglądam strony internetowe, na których gloryfikuje się samobójcze zamachy, pokazuje osoby przypisujące sobie za nie odpowiedzialność, testamenty samobójców, specjalne instrukcje dotyczące technik kidnapingu i zabijania, okaleczone ciała męczenników - wszystko to ma służyć propagandzie i rekrutacji bojowników. Oglądam fotografie i filmy wideo z całego świata, przedstawiające morderstwa, egzekucje, tortury, okaleczanie, na przykład sceny linczu na żołnierzach w Ramallah czy zabójstwo Daniela Pearl. Widuję kasety szkoleniowe dla terrorystów, uczące

jak zabijać, porywać, niszczyć.

Mimo że stykam się z takim ogromem nienawiści, moje życie i ta książka są od niej wolne, jej miejsce zajmuje miłość. Moje życie jest pełne miłości - do Leo i naszych dzieci, do mamy, moich braci i siostry, do przyjaciół. I do taty i babci, których nie ma już wśród żywych, ale zawsze będą z nami. Gdy mam do czynienia z nienawiścią, staram się wyłączyć emocje, kierować się raczej umysłem niż sercem. Myśleć racjonalnie, jak lekarz na oddziale onkologicznym. Jeśli jednak zetknę się z czymś takim, jak *chutba* Sułtana, bywa to bardzo trudne.

W końcu poczułam, że mogę jeszcze raz wysłuchać *chutby*. Przewinięłam taśmę i włączyłam głos.

Nic. Cisza. Tak jak się obawiałam, nagranie się nie udało.

Rozczarowana i zdenerwowana znów zaczęłam płakać. To nie powinno się zdarzyć. Przecież będę skończona, nie mogę wrócić do domu bez tego kazania. Muszę zdobyć taśmę, by mieć dowód, że zostało wygłoszone. Jedynym sposobem ukrócenia tego typu praktyk w przyszłości jest ujawnienie ich, wystawienie na widok publiczny.

Przysięgam sobie, że nie wyjadę z Chicago bez tej taśmy.

Ogarnęłam się trochę w przedpokoju i wróciłam taksówką na konferencję. Poszłam prosto do boksu IAP czyli organizatorów. Oznajmiłam, że wysłuchałam kazania i absolutnie muszę mieć taśmę z jego nagraniem. Proszę spróbować później, wieczorem, odpowiedzieli. Następnie złożyłam wizytę w stoisku HLF. Wciąż chciałam kupić syna męczennika.

Nękały mnie wątpliwości, czy dokładając się do utrzymania syna męczennika, nie posuwam się za daleko. Nawet symboliczna suma przyczyniała się do popierania męczeństwa. Część tych pieniędzy może nawet pójdzie na potrzeby dziecka, ale część z pewnością trafi

do Hamasu, posłuży finansowaniu dżihadu. Musiałam jednak postępować zgodnie z tym, co podpowiadał mi instykt. Może korzyści przewyższą ujemne strony tego posunięcia. Może, zastanawiałam się, jestem jak tajny agent Agencji do Walki z Narkotykami, który w pewnych sytuacjach zażywa narkotyki, by zyskać wiarygodność. To nie znaczy, że jest uzależniony, takie są wymogi jego zawodu. Chciałam łożyć na dziecko męczennika, ale to nie czyniło mnie zwolenniczką terroryzmu.

Rudowłosy gość z HLF znów dyżurował w boksie. Pamiętał mnie doskonale.

- Czy zgadniesz, co się stało? - zapytał rozpromieniony. - Udało nam się znaleźć chłopca. Syna prawdziwego *shahida*. Akurat dla ciebie!

Przybrałam stosownie zachwycony wyraz twarzy. Dowiedziałam się, że chłopiec ma dziesięć lat i trzech braci. Pokazano mi jego zdjęcie i powiedziano, że jego ojciec został zastrzelony w Jerozolimie, poległ, „walcząc za sprawę”. Wpłaciłam 100 dolarów za dwa miesiące i zostawiłam adres, na który jako szwaczka dostaję pocztę; miesięcznie miałam wpłacać 50 dolarów. Mój przyjaciel z HLF obiecał, że będzie mi przysyłał zdjęcia chłopca, a także wydawnictwa fundacji. Dzięki jednemu z tych wydawnictw dokonałam ważnego odkrycia. Moje pieniądze nie wsparły więc terroryzmu, w ostatecznym rozrachunku pomagają go powstrzymać.

Zadowolona z nowej zdobyczy chciałam wysłuchać jeszcze kilku prelekcji. Idąc przez korytarze, zobaczyłam nagle Muhammada al-Hanutiego; był bardzo bliskim znajomym wielu organizatorów konferencji. Miał wygłosić wykład. Przez krótki czas śledziłam go, próbując zabawiać się w detektywa. Widziałam, jak witał się z innym imamem; wymieniali długie, serdeczne uściski niczym starzy przyjaciele. Ten człowiek, Dżamal

Said, był imamem meczetu w Chicago. To on zwerbował naszego znajomego Muhammada Salaha w szeregi Braci Muzułmanów. Obserwowałam Al-Hanutiego, żeby dowiedzieć się, z kim się kontaktuje, i usiłowałam podsłuchiwać rozmowy, aż w pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że zachowuję się głupio. Wystarczy po prostu posłuchać jego wykładu. Słuchałam więc i nagrywałam, mając świadomość śmieszności całej sytuacji. Tyle przecież widziałam o tym panu, praktycznie wszystko, podczas gdy on nic o mnie nie wiedział. Nawet tego, że istnieję - ten brak niewątpliwie nadrobi, gdy moja książka ukaże się na rynku. Byliśmy jak gwiazdor filmowy i jego wielbicielka. Przypomniało mi się, jak wiele godzin spędziłam, usiłując zebrać jego dossier. To właśnie on. Facet, który zabrał mi tyle czasu.

Po wykładzie wróciłam do organizatorów i poprosiłam o taśmę z kazaniem. Dowiedziałam się, że ciągle jej nie ma i że powinnam spróbować później. Jeszcze raz wygłosiłam kwestię o tym, jak bardzo, jak rozpaczliwie jest mi potrzebna.

Później poznałam Nahlę al-Arjan, żonę Sarniego. On był tu także, wraz z żoną i trójką młodszych dzieci. Zagadnęłam Nahlę, przypominając jej, że spotkałyśmy się już na wcześniejszych konferencjach, co było prawdą. Porozmawiałyśmy o jej bracie, Mazinie An-Nadżarze, który był jednym z założycieli ICP i WISE. W 1997 roku został aresztowany, ponieważ przez dziesięć lat nielegalnie przebywał w Stanach Zjednoczonych. Zatrzymano go na podstawie tajnych informacji i nie pozwolono wpłacić kaucji. Później sędzia uznał, że z powodu swoich związków z PIJ An-Nadżar stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i nakazał jego deportację. W czasie tej konferencji nadal jednak siedział w więzieniu, a ja powiedziałam Nahli, że jej brat jest dla nas, muzułmanów, bohaterem narodowym. Mówiłyśmy o tym, jak ciężko jest być

muzułmaninem w Stanach Zjednoczonych, że nie możemy być dumni z tego, kim jesteśmy, i jak bardzo władze nas prześladują.

Sami al-Arjan wygłosił wykład, który także nagrałam. Podczas tego wykładu pokazał film ze swoim szwagrem w roli głównej. An-Nadżar żalił się w więzieniu, że nie ma pojęcia, dlaczego jest tu przetrzymywany. Później na ekranie pojawiła się jego żona i nieszczęsne dzieci. Film był nader wzruszający, wprost chwycił za serce.

Po raz kolejny poszłam do boksu IAP i poprosiłam głównego organizatora konferencji o taśmę z *chutbą*. Wiedziałam, że muszą tu mieć oficjalne nagranie, zawsze tak jest na tego typu imprezach. Organizator wyciągnął spod stołu plik taśm i dał mi jeden zestaw. W końcu miałam tę taśmę. Zapłaciłam i nawet nie czekając na wydanie reszty, ruszyłam w drogę powrotną do hotelu.

Gdy tam dotarłam, rodzina już na mnie czekała. Chciałam od razu przesłuchać taśmę, zamierzałam opowiedzieć Leo o swoich przygodach. Nie mogłam jednak zrobić tego w obecności dzieci. Poza tym byliśmy głodni, poszliśmy więc na smaczną włoską kolację. Dziwnie się czułam bez *hidżabu*. Dzieci nie zauważyły mojego napięcia, ale Leo doskonale je wyczuwał. Po powrocie ułożyliśmy chłopców do snu i niecierpliwie sięgnęłam po kasety. Znalazłam tę z kazaniem, włożyłam do odtwarzacza i wyteżyłam słuch. Kasetą była czysta. Ta przeklęta kasetą była czysta! Zdenerwowana poszłam do łóżka, nie mówiąc Leo o tym, co przydarzyło mi się tego dnia.

Następnego dnia - to był ostatni dzień konferencji i moja ostatnia szansa zdobycia kazania - nie zamierzałam się poddawać. Znowu poszłam do organizatora i opowiedziałam mu rzewną historię. Jestem nauczycielką. Uczę w szkole i mam też własne dzieci. Gorąco pragnę przekazać im prawdę o islamie. Zapłacę każdą cenę za to kazanie. Zawiera ono istotę, rdzeń, wszystko, co w islamie

najważniejsze. Jest dla mnie sprawą zasadniczej wagi odtworzenie tego kazania dzieciom, które, *Insza Allah*, pewnego dnia same mogą stać się *shuhada*. Wyglądało na to, że moje słowa wzięte zostały za dobrą monetę, przynajmniej taką miałam nadzieję.

Wieczorem kulminacyjnym punktem uroczystości zakończenia konferencji było przedstawienie w wykonaniu dzieci w wieku szkolnym. Małych dzieci. Widowisko nosiło tytuł *Jak zostałem męczennikiem*. Na scenie w hotelu Ramada Plaża w Chicago, w stanie Illinois, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w ostatnich dniach XX wieku, młodzi Amerykanie pochodzenia arabskiego przedstawiali, jak dobrzy muzułmańscy chłopcy idą na dżihad, zabijają Żydów i zostają męczennikami. Przerażające.

Znalazłam organizatora, który siedział przy tylnym wejściu do sali, pracowicie nagrywając przedstawienie. Po raz tysięczny zapytałam o taśmę. Spojrzał na mnie przeciągle, po czym wyjął taśmę spod stołu. Było oczywiste, że ten egzemplarz nie pochodzi z masowego nakładu jak te, które dano mi wcześniej. Nie miał nawet nalepki. Mężczyzna wręczył mi taśmę i życzył powodzenia.

- Ile jestem winna? - zapytałam.

- Nic - odrzekł. - Od ciebie nie wzięłbym ani grosza.

Gdy później sprawdziłam taśmę w samochodzie, okazało się, że w końcu ją mam - całą *chutbę*, niezredagowaną i niewygładzoną. Wraz ze śmiercionośną zawartością.

Po przedstawieniu poszłam do stoiska organizatorów jeszcze raz i poprosiłam o kasetę z przedstawieniem, które właśnie się skończyło. Zostawiłam adres, obiecano mi wysłać taśmę. Kilka tygodni później nadeszła pocztą. Byli tancerze, była muzyka, ale nie było ani śladu występu dziecięcego zespołu. *Jak zostałem męczennikiem* zniknęło z oficjalnych nagrań z konferencji.

W marcu 2000 roku w „Washington Report” ukazała się krótka

notka podpisana przez Ra'ida N. Tajidza, a zatytułowana: *Konwencja IAP w Chicago przyciągnęła 2000 osób*:

Blisko 2000 osób wzięło udział w trzeciej dorocznej konwencji Muzułmańskiego Stowarzyszenia na rzecz Palestyny (IAP), która odbyła się podczas czterodniowego weekendu Święto Dziękczynienia w hotelu Ramada Plaża w Chicago. Temat przewodni konwencji brzmiał: *Stulecie rozwoju*, a prelegenci wygłaszali odczyty poświęcone islamowi i jego roli w walce o równe prawa dla Palestyny i całego świata muzułmańskiego. [...]

Uczestnicy wyrazili zadowolenie z przebiegu konferencji. „Prelegenci byli wspaniali. Dowiedziałem się wielu rzeczy zupełnie dla mnie nowych” - powiedział [jeden z uczestników]. Nie zdawałem sobie sprawy, że muzułmanie w Ameryce podlegali takim represjom jak Muhammad Salah i Mazin an-Nadzar. Zwołanie tej konferencji jest wielką zasługą IAP”.

Podczas ostatniej sesji przeprowadzono zbiórkę pieniędzy, która przyniosła ponad 100 tysięcy dolarów. Kolejnym punktem programu były występy grupy tanecznej Nudzum.

Zespół młodzieżowy wykonał tradycyjne arabskie tańce ludowe oraz żywe pieśni muzułmańskie. Po występie tancerzy dzieci zaprezentowały przedstawienie ukazujące determinację młodego pokolenia Palestyńczyków w walce o wyzwolenie Palestyny. [...]

Wspaniała dziennikarska robota. Teraz wiemy, ile osób wzięło udział w konferencji i ile pieniędzy zebrano na IAP, które - jak pamiętamy - jest przykrywką dla Hamasu. Dowiedzieliśmy się także, jak straszne represje dotyczą w Ameryce muzułmanów, takich jak nieszczęsny Muhammad Salah, sprzedawca używanych samochodów i bojownik o prawa człowieka. Najbardziej jednak zadziwiło mnie sformułowanie, że dzieci przedstawiły „determinację młodego pokolenia Palestyńczyków w walce o wyzwolenie Palestyny”.

Poprzez męczeństwo i dżihad, oczywiście. Sposób, w jaki zrelacjonowano to wydarzenie, jest nader charakterystyczny; prawda - jak widać - ma różne oblicza.

I jeszcze jedno - próbując ustalić, ile naprawdę pieniędzy zebrano na konferencji IAP, przejrzałam zeznania podatkowe stowarzyszenia za rok 1999. Sprawdzałam bardzo dokładnie, ale dotacje zebrane podczas konferencji nie zostały w ogóle uwzględnione w zeznaniach.

ROZDZIAŁ 7

Spisek milenijny

Z okien samolotu puste ulice Waszyngtonu w styczniowy sobotni poranek wyglądały szaro i smutnie. Nie lubię szarości, ale spowite w nie miasto nie traciło wcale na urodzie. W ostatnich latach często tu przyjeżdżałam i zawsze na nowo zachwycały mnie elegancja, spokój, europejska architektura tego miasta, tak różnego od Nowego Jorku... Waszyngton jest dostojny i pełen powagi, jak przystało na stolicę supermocarstwa.

Gdy samolot zbliżał się do lotniska Reagana, naszym oczom ukazały się w całej swej wspaniałości pokryty lodem Potomac, Kapitol, wyniosły obelisk Waszyngtona w sercu National Mall.

Było bardzo zimno. Nawet krótka przechadzka do wypożyczalni samochodów wystarczyła, bym przemarzła do szpiku kości. A może to nie tylko mróz sprawiał, że drżałam na całym ciele? Musiał być jakiś inny powód, byłam przecież ciepło ubrana, w kilka grubych warstw odzieży ukrytych pod ciężkim płaszczem, a przy tym w samochodzie powietrze było aż gęste z gorąca. Dlaczego więc dygotałam z zimna?

W drodze z lotniska zatrzymaliśmy się w biurze Federal Express, by odebrać przesyłkę, która miała nadejść z Kalifornii. Nadeszła, zgodnie z obietnicą. Serce biło mi jak szalone, gdy na nią patrzyłam.

Czy znajdę w niej odpowiedź? Muszę znaleźć. Inaczej nasze spotkanie nie miałoby większego sensu - a ja zrobiłabym z siebie głupca. To nie byłby dobry początek, zważywszy na to, dokąd jechaliśmy.

Nigdy przedtem nie byłam w Białym Domu. Nikt z nas nie był. W każdym razie w sprawach urzędowych. Moi towarzysze, Max i dwóch pracowników biura, Bruce i Neil, byli pełni obaw co do tej podróży. Podobnie ja, pochylona nad kierownicą, nie myślałam ani o śliskich jezdniach, ani o niezbyt dużym ruchu ulicznym, nie zwracałam nawet większej uwagi na światła; po bezsennej nocy głowę mi zaprzętało planowane spotkanie, paczka, która wiozłam na to spotkanie, i sposób, w jaki ją zdobyłam.

Neil próbował służyć mi za przewodnika, wykorzystując wskazówki z Internetu, ale czasu było niewiele - musieliśmy obejrzeć przed spotkaniem zawartość paczki - a moja wariacka jazda nie kołała bynajmniej nerwów, gdy zarzucało nas w labiryncie wspaniałych placów i ulic wokół Białego Domu. Znaleźliśmy w końcu miejsce do parkowania na Pennsylvania Avenue, ale nie było już ani minuty na przejrzenie zawartości paczki. Wypadliśmy więc z samochodu na przeraźliwie zimno i pobiegliśmy do drzwi - drzwi do biur Białego Domu.

Przy drzwiach nie było ochrony. Teraz jest inaczej, po 11 września stanowisko ochrony przeniesiono przed budynek. Wówczas znajdowało się na końcu długiego korytarza, wyłożonego brzydkim szarym dywanem. Pokazaliśmy dowody tożsamości, strażnik zadzwonił po osobę, z którą mieliśmy się spotkać, i zaproponował, byśmy usiedli w przyległej poczekalni. Ruszyliśmy tam biegiem, opadliśmy na dwie szerokie, drewniane ławki, rozerwaliśmy paczkę z FedEx, i rozłożyliśmy jej zawartość na trzeciej ławce.

W paczce znajdował się duży plik dokumentów dotyczących organizacji Dobroczynność bez Granic; przesłały je nam władze stanu

Kalifornia. Ponad dwieście stron nazwisk, projektów, kart kontrolnych pracowników, dostarczonych władzom przez dyrektorów tej zwolnionej od podatków instytucji. Jak szaleni przerzucaliśmy dokumenty, szukając pewnego nazwiska... i było tu! Tak! Tak! Tego właśnie nazwiska potrzebowałam. Joseph J. Adams. Od początku wiedziałam, że musi tu być.

Poczułam, że nie jest mi już tak zimno. Rozejrzałam się dookoła. Pokój był bardzo wysoki i miał ogromne okna. Skromnie urządzone, ale bardzo przyjemny, wręcz gościnny. Mnie też było bardzo przyjemnie. Mnie, uciekinierce z Iraku, od niedawna mieszkającej w Ameryce, a teraz czekającej na spotkanie z wysokim urzędnikiem Białego Domu w sprawie dotyczącej bezpieczeństwa narodowego. Gdzie indziej na świecie mogłoby się to zdarzyć? I ilu ludziom?

Człowiek, z którym mieliśmy się spotkać, zajmował wysokie stanowisko w administracji. Przyszedł po nas jego asystent, Peter, mężczyzna średniego wzrostu, z jasnymi włosami i uśmiechem na twarzy. W tym momencie ja też już się uśmiechałam, zniknęły rozterki, obawy i zmęczenie. Zawartość paczki przywróciła mi pewność siebie.

Peter zaprowadził nas do następnego stanowiska ochrony. Zbadano nas wykrywaczem metali i chwilę potem znaleźliśmy się w ogromnym pomieszczeniu pełnym ludzi, swobodnie ubranych, ale pochłoniętych pracą. Podłoga, wyłożona piękną mozaiką z białych i czarnych płytek, przypominała gigantyczną szachownicę. Rzeczywiście musi być tutaj wzorowa atmosfera, skoro tyle osób pracuje w weekend.

Gdy przechodziliśmy przez hol, Peter cały czas opowiadał nam urzędowym tonem o historii tego miejsca. Urzędnik Rady Bezpieczeństwa Narodowego, z którym byliśmy umówieni, wprowadził nas do swego biura osobiście; jego sekretarka miała

przecież wolny dzień. Otworzył drzwi, które wyglądały na stare i zrobione z litego drewna, a mnie zamarło serce. Te drzwi miały co najmniej dwie stopy grubości i były metalowe; wydawały się bardziej odpowiednie do wielkiego skarbcza niż małego pomieszczenia, jakie się za nimi kryło. Biuro, choć nieduże, wyposażone było w wielkie ekrany, na których widniały mapy Ameryki, pobłyskujące kolorowymi światełkami.

Przedstawiliśmy się sobie nawzajem i usiedliśmy przy stole konferencyjnym: Peter i jego szef na końcach, nasza czwórka pośrodku. Urzędnik powiedział, że następnego dnia Peter wyjeżdża nad Zatokę Perską i że obaj są zainteresowani materiałami dotyczącymi organizacji non profit Dobroczynność bez Granic.

Zanim Peter przyszedł po nas do poczekalni, tuż po tym, jak znaleźliśmy nazwisko Adamsa, zapadła decyzja, że to ja poprowadzę prezentację materiału.

- Dlaczego ja? - zapytałam. - Wy o wiele lepiej mówicie po angielsku.

Max, Bruce i Neil wiedzieli jednak, że potrafię wyrecytować wszystkie dane z zamkniętymi oczyma. Przywołałam więc w myślach wszystko, co wiedzieliśmy i co odkryliśmy podczas poszukiwań, jakie prowadziliśmy w ciągu ostatnich dni. Znaleźliśmy wiele nowych informacji i trzeba było poukładać je w głowie, ale w końcu poczułam, że mogę zacząć mówić.

Kilka dni przed spotkaniem w Białym Domu w naszym nowojorskim biurze panował spokój. Co roku o tej porze życie w całym mieście zwalniało tempo. Nawet tu, w finansowym centrum świata świąteczny nastrój i zimno panujące na dworze okazywały się przemożne. W tym roku jednak sprawy przedstawiały się nieco inaczej: zaczęło się już odliczanie dni do początku nowego tysiąclecia, do syndromu 2000. Wszyscy, nawet najbardziej zagorzali sceptycy,

przejmowali się kwestią wirusa milenijnego. Każdy próbował udawać, że absolutnie nie wierzy w jakąkolwiek katastrofę, ale wiele osób postanowiło odłożyć na kilka dni podróż samolotem lub zrezygnowało z korzystania z windy. „Tylko na wszelki wypadek, wiesz - powtarzali najbliższym przyjaciołom. - Nie dlatego, że się boję czy coś takiego”.

Tymczasem w sferach rządowych sytuacja daleka była od spokoju. Podczas gdy jedni próbowali zaradzić wirusowi komputerowemu, inni martwili się całkiem innym wirusem.

Pierwszy sygnał ostrzegawczy pojawił się w początku grudnia. Na granicy z Kanadą został zatrzymany Ahmad Rassam, Algierczyk, który próbował jako turysta wjechać do Stanów Zjednoczonych samochodem wyładowanym ogromną ilością materiałów wybuchowych. Były to robione prawdopodobnie domowym sposobem ładunki na bazie nitrogliceryny, podobne do użytych w 1993 roku w zamachu na World Trade Center. Amerykańska funkcjonariuszka służby celnej, która schwytała Rassama, nie otrzymała od władz federalnych ostrzeżenia, że terroryści mogą próbować wjechać do kraju. Zauważyła, że Rassam dziwnie się zachowuje, i postanowiła zawierzyć swojemu instynktowi.

Wkrótce potem przeszukano mieszkanie Rassama w Montrealu i odkryto jego plany. Przewoził w bagażniku materiały wybuchowe w nadziei, że upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu - ofiaruje Amerykanom prezent noworoczny i uhonoruje obłąkanego mordercę uznawanego za świętego męża, Osamę Bin Ladena. Rassam, który sam chciał zostać świętym mężem, zamierzał przyłączyć się do milenijnych fajerwerków, wysadzając międzynarodowe lotnisko w Los Angeles.

W tym samym czasie, gdy aresztowano Rassama, odkryto rozrzucone po całym świecie kryjówki innych terrorystów, między

innymi kilku Członków Al-Ka'idy. W Białym Domu zaczęła kruszeć niezbita pewność, że żaden cudzoziemiec nie ośmieli się dokonać zamachu terrorystycznego na amerykańskiej ziemi.

Pierwsza widoczna rysa pojawiła się po podłożeniu bomby w World Trade Center. Później jednak nastąpił wybuch w budynku federalnym w Oklahoma City i gdy tylko władze ustaliły, że było to dzieło Amerykanina, Timothy'ego McVeigha, znów za nedorzeczny uznano pomysł, że muzułmańscy terroryści mogą zaatakować tu, w Ameryce. Oznaki świadczące, że jest to realne zagrożenie, zlekceważono; znów zwyciężyła dawna koncepcja FBI, że zamach w World Trade Center był jednorazowym wyczynem grupy szaleńców.

Wiadomość o materiałach wybuchowych przewożonych przez Rassama w bagażniku, była jednak zbyt ważna, by można ją zignorować. W ostatnich dniach 1999 roku eksperci bardzo uważnie analizowali wszelkie dane dotyczące potencjalnych ataków na amerykańskie cele w kraju i za granicą w czasie obchodów Nowego Roku. Za poważnie zagrożone uznano ambasady amerykańskie, między innymi w stolicy Jordanii, Ammanie, i inne placówki zagraniczne. W rezultacie ambasady postawiono w stan najwyższej gotowości.

Siedemnastego grudnia 1999 roku jordańskie tajne służby doprowadziły do ekstradycji z Pakistanu Chalila ad-Dika. Tego Jordańczyka pochodzenia palestyńskiego podejrzewano o to, że był mózgiem komórki terrorystycznej, która planowała uderzyć w zachodnie placówki w Jordanii, między innymi w ambasadę amerykańską i hotel Radisson w Ammanie, a także zniszczyć mosty Allenby i Szejka Husajna.

W Stanach Zjednoczonych Ad-Dika poszukiwano z powodu jego związków z Al-Ka'idą. Był informatykiem odpowiedzialnym za digitalizację wielu dokumentów Al-Ka'idy. Niektóre z nich umieścił

w Internecie, co miało służyć rekrutacji mudzahedinów. Na podstawie raportów wywiadu władze amerykańskie doszły do wniosku, że był on kluczową postacią związaną z finansowaniem zamachów, które Al-Ka'ida zamierzała przeprowadzić podczas obchodów początku nowego tysiąclecia. Ponieważ jego nazwisko i numer telefonu znaleziono w notesie Rassama, przypuszczano, że Ad-Dik mógł finansować kanadyjską grupę Rassama, tę, która planowała wysadzenie lotniska międzynarodowego w Los Angeles.

O ekstradycji Ad-Dika dowiedziałam się z gazet jordańskich, które doniosły o tym wcześniej niż prasa amerykańska. Napisano tam, że Ad-Dik jest obywatelem amerykańskim, co przykuło moją uwagę. Postanowiłam przyjrzeć mu się bliżej. Dlaczego, można by zapytać. Po co zawracać sobie głowę człowiekiem, który już został aresztowany? Czy nie powinnam zająć się innymi rzeczami, podczas gdy amerykańskie i jordańskie służby wywiadowcze będą świętowały sukces i zamknięcie tej sprawy?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba znać zasady funkcjonowania siatki Al-Ka'ida. Agenci i funkcjonariusze tej organizacji nigdy nie pracują pojedynczo, działają w małych grupach. Grupy te są rozrzucone w wielu krajach, ale ich członkowie mieszkają zwykle blisko siebie, co ułatwia pracę. Współpracownicy Rassama na przykład mieszkali wraz z nim w jednym mieszkaniu.

Ad-Dik finansował komórkę Rassama, a także kilka innych. Nie należał do żadnej z tych grup, ale - jak przypuszczałam - koordynował ich poczynania. Jego wspólnicy ciągle musieli przebywać na wolności, bo jak wiadomo, nie mógł działać sam. Mimo że Ad-Dik siedział w więzieniu, wspólnicy ci mogli stanowić realne zagrożenie dla Ameryki. A ponieważ był obywatelem amerykańskim, uznałam, że najlepiej zacząć poszukiwania od amerykańskiego adresu Ad-Dika.

Zaczęłam więc wraz z Bruce'em i Neilem poszukiwać śladów tego człowieka w Stanach Zjednoczonych. W kilkuosobowym zespole pracuje się o wiele łatwiej niż osobno. Każdy zajmuje się kilkoma bazami danych, a potem informacje się porównuje, weryfikuje, zestawia i tworzy osobny plik.

Publicznie dostępne bazy danych mogą dostarczyć wielu informacji. W naszych poszukiwaniach często wykorzystujemy bazę numerów ubezpieczenia społecznego. Szukamy innych nazwisk powiązanych z tymi numerami. Praw jazdy. Adresów związanych z danym nazwiskiem. Numerów telefonów działających pod tymi adresami (jeśli chodzi o budynek mieszkalny, uwzględnia się wszystkie przypisane do tego adresu numery). Pojazdów zarejestrowanych pod konkretnymi adresami. Innych osób posługujących się danym adresem. Właścicieli nieruchomości, powiązań biznesowych, konfliktów z prawem... Listę można by ciągnąć w nieskończoność. Wystarczy kilka kliknięć myszką, a doświadczony *researcher* może dowiedzieć się niemal wszystkiego o osobie, która go interesuje.

Szukając informacji o Ad-Diku, natrafiliśmy na kilka interesujących szczegółów. Na przykład to, że występował jako Joseph J. Adams. Albo to, że został naturalizowanym obywatelem Stanów Zjednoczonych dzięki fikcyjnemu małżeństwu w Teksasie. Zawarł je z kobietą, która uczyniła dochodowy interes z poślubiania muzułmanów, gdyż dzięki małżeństwu z Amerykanką otrzymywali obywatelstwo. Nie wiem, ile jej za to płacono, ale miała czterech takich mężów.

Po ślubie Ad-Dik wyjechał do Kalifornii, gdzie zamieszkał w Anaheim, w kompleksie mieszkaniowym przy W. Winston Road. Byłam przekonana, że niektórzy z sąsiadów byli jego współnikami, a inni wiedzieli o jego działalności, nawet jeśli z nim nie

współpracowali. Adres Ad-Dika w Anaheim był wart zainteresowania.

Zdobyliśmy listę numerów telefonicznych powiązanych z nazwiskami Ad-Dik i Adams. Niektóre dotyczyły bezpośrednio tych dwóch nazwisk, inne były numerami sąsiadów i wspólników. Bruce i Neil nadal starali się wyszukać więcej informacji powiązanych z tym adresem, ja natomiast zaczęłam dzwonić po kolei pod wszystkie numery z listy. Niektóre były już odłączone, użytkownicy innych wyraźnie nie mieli nic wspólnego z tą sprawą.

Wybrałam następny z listy.

- *As-Salam alajkum* (Pokój niech będzie z tobą) - zaczęłam od tradycyjnego muzułmańskiego pozdrowienia.

- *Wa alajkum as-salam* (I z tobą). - Mężczyzna dobrze mówił po arabsku.

Przedstawiłam się w tym samym języku jako Fatma, reporterka „Al-Hajat”, znanej gazety arabskojęzycznej wychodzącej w Londynie. Byłam zadowolona, że mogę porozmawiać z nim po arabsku, to przecież język mojej matki.

- Piszę reportaż dla naszej gazety - powiedziałam - i doszły mnie słuchy, że kilku pana sąsiadów było niepokojonych przez władze.

- *Na'am uhti* (Tak, siostrze). Nie uwierzyłabyś, co oni zrobili.

Miał rację, nie uwierzyłam. Nawet jak na FBI to było zbyt nieprawdopodobne.

- Bardzo wcześnie rano - ciągnął mężczyzna - zapukali do moich drzwi. Dwóch agentów w ciemnych garniturach i jaskrawoczerwonych krawatach. Zadali mi kilka pytań, a potem spytali, czy znam Osamę Bin Ladena.

- Co?!

Nie byłam pewna, czy ten człowiek mnie nie nabiera. Jaki agent przy zdrowych zmysłach zadałby takie pytanie? Czyżby spodziewali

się, że terrorysta, do którego drzwi zapukali, odpowie: „Oczywiście, właśnie wróciłem z wojskowego obozu szkoleniowego Bin Ladena w Afganistanie”?

- Zapytali mnie - mówił - czy znam Ahmada Rassama lub kogoś z nim związanego. Powiedzieli, że jest terrorystą i planował zdetonować bombę na lotnisku w Los Angeles.

A potem zaczął się użalać nad ciężkim losem muzułmanów w Ameryce; skarżył się, że ilekroć ktoś wysadzi coś w powietrze, wszyscy natychmiast oskarżają o to całą społeczność muzułmańską.

- Napisz o tym, sostro - powiedział. - Świat powinien się dowiedzieć, jak jesteśmy tu traktowani.

Dzwoniłam pod kolejne numery z listy. Moi rozmówcy powtarzali tę samą historię, jak to wczesnym ranem agenci FBI pukali do ich drzwi i pytali, czy znają Osamę Bin Ladena lub Ahmada Rassama. Niektórzy twierdzili, że agenci pokazywali im zdjęcie Bin Ladena i wypytywali o ich związki z tym człowiekiem.

Dowiedziałam się więc, że podobnie jak nasza trójka także FBI bardzo interesowało się tym adresem. I najwidoczniej agenci niczego się nie dowiedzieli. Postępowali tak jak podczas śledztwa w sprawach kryminalnych: zadawali pytania, pokazywali zdjęcia. Czy ktoś coś widział albo słyszał? Działali na chybił trafił, a te niecelowe i nieracjonalne wysiłki okazywały się nieskuteczne.

Jedna z osób, z którymi rozmawiałam, kobieta niemówiąca po arabsku, wspomniała, że agenci FBI przesłuchiwali ją nawet po tym, jak powiedziała, że pracuje w muzułmańskiej organizacji dobroczynnej. Dobroczynnej? To słowo musiało obudzić moją czujność. Zapytałam, o jaką organizację chodzi.

- Och... Nie jestem pewna, czy powinnam to pani powiedzieć. Muszę najpierw porozmawiać o tym z szefem. Czy mogłaby pani zadzwonić za kilka godzin?

Zapisałam jej numery, włącznie z numerem telefonu komórkowego, i zanim skończyłyśmy rozmowę, z innej linii zadzwoniłam na jej komórkę. Powitała mnie wiadomość: „Tu Zycie dla Pomocy i Rozwoju. Nie możemy teraz odebrać telefonu, lecz kontakt z tobą jest dla nas ważny...”.

Zaczęliśmy szukać informacji o tej organizacji. Okazało się, że większość funduszy przeznaczają na pomoc dla Iraku, ale trochę pieniędzy wysyłano także do Jordanii. Nie znalazłam jednak żadnych powiązań z Ad-Dikiem.

Po kilku godzinach rozmów telefonicznych - ciekawych, lecz prowadzących donikąd - wykręciłam numer, z którym wcześniej nie mogłam uzyskać połączenia; figurował on na liście jako numer Ad-Dika. Tym razem telefon odebrała miła starsza pani. Nie mówiła ani słowa po angielsku, ale była bardzo rozmowna. Miała egipski akcent. Znow przedstawiłam się jako Fatma.

- *As-Salam alajkum*. Czy mogę mówić z Chalilem? - zaczęłam.

- Jakim Chalilem, moja duszko? - spytała, posługując się typowym dla arabskiego określeniem.

- Chalilem Ad-Dikiem - nie poddawałam się.

- Nie znam nikogo takiego.

Uwierzyłam jej. Postanowiłam posłużyć się drugim nazwiskiem Ad-Dika:

- A może zna pani Josepha Adamsa?

- Proszę pani - odrzekła przeproszającym tonem - nie znam wszystkich przyjaciół mojego syna. Przyjechałam tu tylko w odwiedziny z Egiptu.

- A jak nazywa się pani syn?

- Hiszam Diab, tak właśnie się nazywa.

- Czy pani syn mieszka teraz pod tym adresem?

- O tak, mieszka tu już od kilku lat.

- A jak długo pani syn przebywa w Stanach Zjednoczonych? - naciskałam. - Czy ma obywatelstwo amerykańskie?

- Nie, jeszcze nie ma. Ale mówił mi, że wkrótce dostanie. - I nigdy pani nie słyszała, żeby wspominał Chalila?

- Nie, moja duszko.

Była naprawdę miłą, starszą panią, znudzoną i szczęśliwą, że może porozmawiać z kimś przez telefon. O czymkolwiek. Niestety, nie miałam czasu do stracenia.

- Czy mogę więc porozmawiać z pani synem? - zapytałam.

- *Misz maudiud* [nie ma go w domu], moja duszko. Myślę, że powinnaś spróbować po piątej.

Piąta w Kalifornii oznacza ósmą wieczorem w Nowym Jorku. Nie mogłam jednak dzwonić z domu; muszę korzystać z bezpiecznego telefonu w biurze. Niewykluczone, że może wpadłam na trop.

Tymczasem zbieraliśmy informacje o Hiszanie Diabie. Pracował w organizacji charytatywnej. Już samo to wystarczyło, by wpisać go na listę podejrzanych, zważywszy na moje doświadczenia z muzułmańskimi fundacjami dobroczynnymi i związki tych instytucji z ugrupowaniami terrorystycznymi. Organizacja nazywała się Dobroczynność bez Granic, działała na zasadzie non profit i była zwolniona z podatków. Doskonała nazwa. Bez granic. Pracownik takiej organizacji mógłby bez przeszkód podróżować po całym świecie, prawda? Taka nazwa nie wskazywała również w żaden sposób na związki z islamem.

Około piątej czasu kalifornijskiego znów zadzwoniłam do Diaba. Tym razem odebrał osobiście. Rozmawialiśmy oczywiście po arabsku. Teraz byłam ostrożniejsza, nie mogłam pozwolić sobie na błąd. Przedstawiłam się, opowiedziałam, kim jestem i co robię, i powtórzyłam historyjkę o tym, że piszę artykuł na temat dyskryminacji muzułmanów w Stanach Zjednoczonych. Wymieniłam

Ad-Dika, obywatela amerykańskiego, jako przykład kolejnego muzułmanina, który został bezprawnie aresztowany. Oznajmiłam, że mam informację, iż mieszka on z Ad-Dikiem.

Diab był równie powściągliwy, jak jego matka rozmowna, i niezbyt chętny do udzielania informacji. Mamrotał, że ledwie zna Ad-Dika, widział go może raz czy dwa. Gdy spytałam go o organizację, w której pracuje, odpowiedział, że „działają przede wszystkim dla ogółu społeczeństwa”. To wszystko, co z niego wydobyłam. Dowiedziałam się jednak czegoś bardzo ważnego - Diab znał Ad-Dika. Bardzo dziwne, że wypierał się bliższej znajomości, skoro mieli ten sam numer telefonu. Mógł to być przypadek, ale raczej mało prawdopodobne.

Jakiś smrodek unosił się także wokół Dobroczynności bez Granic. Prawo nie zabrania muzułmanom prowadzić organizacji dobroczynnych „dla ogółu społeczeństwa”, a lakoniczne wyjaśnienia Diaba były tak mętne, że musiał coś przede mną ukrywać. Trzeba wyjątkowo uważnie przyjrzeć się temu panu i jego organizacji.

Z ogólnie dostępnych danych wyłowiliśmy podstawowe informacje o finansach Dobroczynności bez Granic. W czwartek wieczorem zadzwoniliśmy do odpowiedniego departamentu stanowego Kalifornii, powiedzieliśmy, że sytuacja jest wyjątkowa i prosimy o dodatkowe dokumenty - zeznania podatkowe organizacji, akt rejestracji i kilka innych. Urzędnicy stanowili obiecali, że następnego dnia - w piątek - prześlą faksem, co dadzą radę, a resztę - pocztą kurierską.

Rzeczywiście, zeznania podatkowe przysły faksem w piątek po południu.

Okazało się, że w 1997 roku Hiszam Diab był dyrektorem naczelnym Doroczynności bez Granic, a w roku 1998 - dyrektorem finansowym. W zeznaniu za rok 1997 podano, że organizacja

otrzymała zwrot 75 257 dolarów za wdrażanie programu informacyjnego dla Kalifornijczyków, dotyczącego recyklingu oleju silnikowego. Program był subsydiowany przez Kalifornijską Radę Gospodarki Odpadami. Dobroczynność była więc nie tylko zwolniona od podatków, ale dostała od stanu zwrot pieniędzy za swą działalność. Coś tu miało brzydki zapach i z pewnością nie był to zużyty olej silnikowy. Nadal jednak nie mieliśmy dowodu na bezpośrednie związki Ad-Dika z Diabem i z organizacją. Trzeba było czekać na przesyłkę FedEx, tam kryła się odpowiedź.

Tymczasem Bruce i Neil znaleźli ponad sto nazwisk osób powiązanych z adresem Ad-Dika - ludzi, którzy tam mieszkali, i ich sąsiadów. Nie mogliśmy zająć się wszystkimi, ograniczyliśmy się więc do czasu, gdy Ad-Dik mieszkał pod tym adresem, i wyszło ponad trzydzieści nazwisk. Prześwietliliśmy wszystkich razem i każdego z osobna i zdobyliśmy trochę nowych informacji.

Dowiedzieliśmy się na przykład, że w tym samym domu mieszkał brat Ad-Dika, Taufik ad-Dik. Zamieszkiwanie rodziny pod jednym dachem to stara tradycja arabska. Taka społeczność nazywa się *hamula* i mogą tworzyć ją cztery lub więcej pokolenia członków jednej rodziny. Tym razem jednak mogło nie chodzić o hołdowanie zwyczajom, lecz ułatwienie sobie współpracy. Zaczęliśmy szukać informacji o Taufiku Ad-Diku i okazało się, że przedstawia się jako rzecznik IAP w Kalifornii. IAP! Przykrywki Hamasu w Ameryce! IAP ciągle tkwiło mi w głowie; ledwie kilka tygodni wcześniej brałam udział w konferencji tego stowarzyszenia w Chicago. To nie był przypadek, a FBI przeoczyło ważną wskazówkę. Ciepło, coraz cieplej.

Dowiedzieliśmy się, że kompleks mieszkalny przy Winston Road składa się z dwunastu domów i jest własnością pewnego imigranta z Czechosłowacji. Chalil i Taufik Ad-Dikowie oraz Hiszam Diab mieszkali tam w jednym czasie. To upewniło mnie, że Diab znał

Chalila Ad-Dika lepiej, niż skłonny był przyznać. Zaczęliśmy szukać informacji o innych osobach zamieszkałych pod tym adresem. Na ogół prowadziło to donikąd, ale jeden człowiek - Chalid Aszur, który mieszkał tam przed dwoma laty - wcześniej mieszkał w Tucson w Arizonie. W chwili gdy zobaczyłam adres w Tucson, wyrwało mi się: „Jasny gwint!”. Byłam pewna, że to jest to. Tu leży odpowiedź na moje pytania. Teraz nie było już ciepło, lecz gorąco, wiadomość wręcz parzyła mi ręce.

Zaczęliśmy dokładnie prześwietlać Chalida Aszura. Okazało się, że mieszkał wcześniej w Katarze i podobnie jak Ad-Dik był z pochodzenia Palestyńczykiem. Także miał powiązania z IAP Do Stanów Zjednoczonych przyjechał w sierpniu 1985 roku na studia. Zapisał się na Wydział Sztuk Pięknych Pima Community College w Tucson. W czasie pobytu w tym mieście bardzo aktywnie działał w tamtejszym Centrum Muzułmańskim. Od września 1992 do stycznia 1993 roku jako swój adres podawał adres Centrum, 901 E. First Street.

W momencie gdy zobaczyłam ten adres przy nazwisku Aszura, wiedziałam już bardzo wiele o Centrum Muzułmańskim w Tucson. Nie wspominałam o tym dotąd, ponieważ właściwym miejscem na omówienie działalności tej instytucji będzie następny rozdział. Tu ważne jest tylko, że w latach osiemdziesiątych IAP miało wielki wpływ w Centrum Muzułmańskim w Tucson - i że Centrum to było pierwszą amerykańską bazą jeszcze innej organizacji.

Al-Ka'idy.

Gdy tylko dotarło do mnie, że Aszur działał w Centrum w Tucson, wiedziałam, że to mój człowiek. Należało się nim zająć. Poszukiwania wykazały, że w 1991 roku został aresztowany w Blaine w stanie Waszyngton podczas próby przekroczenia granicy z fałszywym paszportem. W jego samochodzie znaleziono paramilitarne czasopisma - czyli mówiąc po prostu, materiały instruktażowe

dotyczące produkcji materiałów wybuchowych i bomb - a także wydawnictwa IAP. Przyznał się, że jest członkiem IAP, i choć początkowo zatrzymano go jako potencjalnie niebezpiecznego, po kilku dniach pozwolono mu wrócić do Kanady. Później jakoś ponownie udało mu się dostać do Stanów Zjednoczonych.

Od końca 1993 roku przez pewien czas Aszur mieszkał w Anaheim przy W. Winston Road, później przeniósł się zaledwie kilka przecznic dalej. Znaleźliśmy jeszcze inny adres, w Phoenix, w Arizonie: adres American Express CapitaFinance, LLC, towarzystwa usług finansowych. Aszur musiał podać adres towarzystwa, by spełnić wymagania urzędu skarbowego - gdy kwota pojedynczej transakcji opiewa na więcej niż 10 tysięcy dolarów, prawo podatkowe wymaga, by osoba przelewająca pieniądze wypełniła formularz, zawierający dane osobiste i adres. Dowiedzieliśmy się później, że tylko w 1999 roku Aszur wyprowadził z kraju blisko pół miliona dolarów. Skąd osoba zarabiająca sześćset dolarów na tydzień miała tyle pieniędzy? Bardzo zaradny musi być człowiek, który z takiej pensji potrafi tyle zaoszczędzić. I dlaczego ktoś zadaje sobie tyle trudu i jedzie tak daleko - z Kalifornii do Arizony - by dokonywać takich transakcji? Oddziały American Express CapitaFinance są wszędzie!

Wiedzieliśmy coraz więcej o Aszurze i Diabie, ale ciągle nie mogliśmy znaleźć dowodów ich bezpośrednich powiązań z Ad-Dikiem poza faktem, że wszyscy mieszkali pod tym samym adresem. Rozważaliśmy ten problem, gdy w naszym biurze pojawił się Max i zapytał, czy mamy dość materiału, by przedstawić sprawę.

- Komu przedstawić? - spytałam.

- Białemu Domowi. Właśnie miałem stamtąd telefon.

Ekstradycja Ad-Dika z Pakistanu i informacje o jego planach, w połączeniu z przypadkowym zatrzymaniem Rassama na granicy kanadyjskiej, wywołały w Białym Domu zaniepokojenie. FBI z kolei

kręciło się w kółko, nie mogąc zebrać żadnych istotnych informacji, tak że dochodzenia w sprawie Ad-Dika i Al'Kaidy utknęły w martwym punkcie. Ktoś z Rady Bezpieczeństwa Narodowego (NSC) postanowił więc zadzwonić do Maħa, choć „cywila”, by zorientować się, co wiemy.

- Która jest godzina? - rzuciłam do Maħa, nie podnosząc nawet głowy znad sterty papierów na biurku.

- Około drugiej.

- Daj nam jeszcze trochę czasu i wtedy ci powiem.

Nasze dochodzenie w sprawie Ad-Dika było dalekie od zakończenia, ale coś już mieliśmy. Brat Ad-Dika miał powiązania z IAP; jeden z jego sąsiadów kierował organizacją, która otrzymywała duże zwroty podatków od stanu Kalifornia; inny sąsiad działał w Centrum Muzułmańskim w Tucson i transferował duże sumy pieniędzy. Nie wiedziałam jeszcze, dokąd szły te pieniądze, ale miałam pewien pomysł, jak to sprawdzić. Około piątej po południu skończyliśmy analizować dane na temat Dobroczynności bez Granic. Przedstawiłam Maħowi w skrócie wnioski z naszego dochodzenia i powiedziałam, że moim zdaniem organizacja ta odgrywa kluczową rolę w działalności Ad-Dika w Stanach Zjednoczonych.

Maħ wyszedł na obiad i wrócił po dwóch godzinach. Oznajmił nam, że gdy tylko powiedział ludziom z Rady Bezpieczeństwa Narodowego o organizacji, którą kieruje sąsiad Ad-Dika, poprosili o spotkanie w Białym Domu następnego dnia rano.

- Masz jeszcze cały wieczór i noc - powiedział Maħ. - Czy myślisz, że zdążysz?

- Czas to nie jedyny problem - odpowiedziałam. - Czekamy jeszcze na pewne dokumenty z Kalifornii.

- Poproś ich, żeby wysłali paczkę nocnym kurierem od razu na lotnisko w Waszyngtonie. Jeśli mogą to zrobić, polecimy wszyscy

rano samolotem.

Ludzie z Kalifornii zgodzili się wysłać nam paczkę, tak byśmy dostali ją w sobotę rano.

Pozostało mi tylko kilka godzin na znalezienie dowodu, że Ad-Dik był bezpośrednio związany z Dobroczynnością bez Granic. Max uważał, że powinniśmy skoncentrować wysiłki na Diabie, ponieważ kierował on organizacją, i że o tym właśnie będziemy rozmawiać podczas spotkania z funkcjonariuszami NSC. Odpowiedziałam, że nie mamy czasu na wszystko i powinniśmy zająć się Aszurem. Spieraliśmy się, aż Max zaczął podnosić głos. Zatrzęsło mnie.

- Nie przeszkadzaj nam - krzyczałam - i pozwól pracować! Dowiesz się wszystkiego, gdy sami będziemy wiedzieli! Zajmij się lepiej organizacją wyjazdu.

Max patrzył oniemiały, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł. Byłam trochę zaskoczona swoim zachowaniem. To niepodobne do mnie. Wtedy zorientowałam się, że mija pora kolacji, a ja nie jadłam całego dnia. Post to niezbyt dobry pomysł, gdy jest się w ciąży.

Rozmawiałam właśnie przez telefon z urzędnikiem stanowym z Kalifornii, gdy Berta wetknęła głowę w drzwi i powiedziała, że ktoś czeka na drugiej linii.

- Nie teraz, Berto. Niech zostawią wiadomość. - Ale...

- Powiedz, żeby zadzwonili za pół godziny.

- Ale to Gil - udało jej się wreszcie wtrącić. - Mówi, że obiecałaś być w domu przed siódmą.

Spojrzałam na zegar ścienny. Było dziesięć po siódmej. Rano obiecałam rodzinie, że po szabasowej kolacji pójdziemy do kina i spędzimy cały wieczór razem. Jakie kino? Jaka kolacja? Poprosiłam Bertę, by przeprosiła w moim imieniu i powiedziała Gilowi, że zadzwonię do domu za kilka minut.

- Powiedz, że niedługo wracam, obiecuję.

Teraz byłam nie tylko głodna, ale i zawstydzona. Cały ten tydzień ciężko pracowałam i zjawiałam się w domu późnym wieczorem. Obiecałam dzieciom, że w piątek się nie spóźnię i zjemy razem kolację.

W chwilę potem przyszedł Max i oznajmił, że Berta ma dla nas bilety na pierwszy poranny lot do Waszyngtonu. Pozostało bardzo niewiele czasu i choć mieliśmy mnóstwo informacji, należało jeszcze połączyć je w spójną, przekonującą całość.

Zadzwoił Leo. Zapomniałam o telefonie do domu! Była prawie dziesiąta, nie miałam pojęcia, że jest tak późno. Skruszona przeproszałam gorąco. Spokojnie dał mi do zrozumienia, że moja nieobecność sprawiła przykrość jemu i dzieciom. Nie dotrzymałam obietnicy.

- Mam nadzieję, że przynajmniej coś zjadłaś. Musisz dbać o siebie i dziecko. - W jego głosie można było wyczuć zarówno niezadowolenie, jak niepokój.

- Oczywiście, że jadłam, Leo - skłamałam. - Wszystko w porządku, nie denerwuj się.

- Z pewnością jesteś zajęta. Zadzwonię później. - Leo odłożył słuchawkę.

Sprawiłam mu przykrość, ale cóż mogłam na poradzić. Musiałam skończyć pracę.

Zaczęliśmy przygotowywać dokumentację powiązań między Chalilem i Taufikiem Ad-Dikami, Aszurem i Diabem a Dobroczynnością bez Granic. Zrobiliśmy fotokopie tego, co mieliśmy na temat Centrum Muzułmańskiego w Tucson; Centrum miało być jednym z motywów przewodnich naszej prezentacji. Skopiowaliśmy fragmenty starych gazet. Wraz z upływem czasu jutrzejsze spotkanie zapowiadało się coraz ciekawiej.

Zadzwoił telefon. To znowu Leo. Bardzo przygnębiony.

Powiedziałam mu, że chcę porozmawiać z dziećmi. Po drugiej stronie zapadła pełna niedowierzania cisza.

- Poszły do łóżek. Już dawno temu.

Do łóżek? Spojrzałam za zegar i zamarłam. Była druga nad ranem. Najwyższy czas kończyć, ale musiałam mieć pewność, że jutro w Waszyngtonie nie wyjdziemy na amatorów. Wszystko powinno być bez zarzutu i bardzo nam na tym zależało. O trzeciej pojawił się Max. Przejrzał prezentację i zaczął szukać dziury w całym. Byłam zbyt zmęczona, żeby się złościć.

- To są gotowe materiały na jutro. Kropka - powiedziałam. Wreszcie o wpół do czwartej wyszliśmy z biura na pokryte śniegiem ulice. Gdy dotarłam do domu, Leo jeszcze nie spał, czekał na mnie, ale wkrótce po moim przyjściu zasnął. Ja jednak nie mogłam spać. Zjadłam pierwszy posiłek od dwudziestu godzin. Gdy położyłam się w końcu do łóżka, wciąż czułam przypływ adrenaliny, a w głowie kłębiły mi się informacje. Na dodatek dziecko zaczęło kopać; wierciłam się i przewracałam z boku na bok do szóstej, gdy trzeba było wstawać. Uczesałam się i ubrałam stosownie do okazji, należało się przecież odpowiednio zaprezentować. Żeby tylko nie trzeba było lecieć samolotem...

W poczekalni Białego Domu z niepokojem przeglądaliśmy dokumenty przysłane z Kalifornii. I wreszcie znaleźliśmy dowód na powiązania Ad-Dika z Dobroczynnością bez Granic. Posługując się personaliami Joseph J. Adams, podał jako swój adres 4036 Garden Grove w Kalifornii - czyli adres organizacji. To nie przypadek ani pomyłka. Elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Okazało się też, że Josepha J. Adamsa łączył z organizacją nie tylko adres i numer telefonu; należał on także do kierownictwa programu recyklingu oleju silnikowego. Za swą pracę w tym programie otrzymywał od stanu Kalifornia wynagrodzenie według stawek godzinowych oraz

dotatkowe świadczenia! Wystawiał rachunki za pouczenie mieszkańców Kalifornii, co robić, a czego nie robić z olejem silnikowym, a w rzeczywistości od ponad dwóch lat był za granicą. W tym czasie krążył po Bliskim Wschodzie i Pakistanie, próbując podkładać bomby w rozmaitych miejscach. Jego brat Taufik, pracujący dla programu jako specjalista w zakresie ochrony środowiska naturalnego, pobierał wynagrodzenie konsultanta. Zastanawiało mnie, jak czuliby się mieszkańcy Kalifornii, gdyby wiedzieli, że dolary z ich podatków zwracane są organizacji, której szef ma powiązania z agentem Al-Ka'idy, podejrzanym o finansowanie zamachów na Amerykanów.

Spotkanie z funkcjonariuszami NSC w Białym Domu szło dobrze. Jak na pierwszy raz - nawet bardzo dobrze. Przedstawiłam związki Ad-Dika z Dobroczynnością bez Granic, tło jego działalności i okoliczności aresztowania w Jordanii; opowiedziałam wszystko, czego się dowiedzieliśmy o organizacji, i zrelacjonowałam skomplikowany proces dochodzenia do prawdy.

- Czy orientujecie się, co FBI wie o tej sprawie? - spytał urzędnik Białego Domu. Pytanie adresowane było bardziej do jego podwładnego, Petera, niż do mnie.

- O ile wiem, zupełnie nic - odparł Peter.

- Jak to możliwe, że FBI nie dotarło do tych informacji?

- Być może coś wie, ale nie dzieli się tym. Tak czy inaczej oni nawet, gdy coś mają, zachowują to tylko dla siebie - odrzekł Peter.

Słyszając te słowa po raz pierwszy, byłam pewna, że źle zrozumiałam. Zrozumiałam jednak dobrze. Z początku nie mogłam otrząsnąć się ze zdumienia, później tyle razy słyszałam podobne słowa od wielu agentów rządowych, że stopniowo dotarło do mnie, iż taka sytuacja nie jest wyjątkiem, lecz regułą. FBI nie dzieli się informacjami. Zbiera je tylko z różnych źródeł i od innych agencji,

między innymi od NSC, INS, Departamentu Skarbu; czasem nawet włącza się we wspólne działania. Nie dzieli się jednak w zamian swoją wiedzą, a do tego nie informuje, co dzieje się z dostarczonymi przez innych materiałami.

- Jak pani zebrała wszystkie te informacje? - Tym razem pytanie skierowane było do mnie.

- Wszystkie są ogólnie dostępne. Trzeba tylko wiedzieć, czego szukać - odparłam.

Nie umiałam odczytać, co kryje się w jego spojrzeniu. Mogło to być niedowierzanie czy wręcz niewiara w to, co mu powiedziałam: że nie wychodząc z biura, zebraliśmy informacje, których nie umiało zdobyć działające w terenie FBI. Ale niewykluczone, że spojrzenie to wyrażało nagłą chęć znalezienia agentów FBI odpowiedzialnych za śledztwo w sprawie Ad-Dika i dania im po łapach.

- Tylko tyle mogłam zdobyć - ciągnęłam - ponieważ nie mam dostępu do materiałów wywiadu ani możliwości dotarcia do źródeł dla ogółu niedostępnych. Sądzę jednak, że FBI ma takie możliwości i powinno zajrzeć do akt Aszura i Diaba.

W duchu zastanawiałam się jednak, jak agenci FBI mogli dowiedzieć się czegokolwiek w śledztwie Ad-Dika, stosując takie metody. Puk puk. Czy zna pan Osamę Bin Ladena? Zamiast zapoznać się z dokumentami, jak zrobił mój zespół, wypytywali sąsiadów Ad-Dika w bezsensowny sposób i z oczywistym skutkiem.



Dobłą wiadomością było to, że moje odkrycia dotyczące finansowania działalności terrorystycznej przez muzułmańskie

organizacje charytatywne nie były dla funkcjonariuszy NSC czymś zupełnie nowym. Dlatego między innymi byli tak zainteresowani spotkaniem z nami i informacjami na temat Dobroczynności bez Granic. Dowiedziałam się później, że celem podróży Petera nad Zatokę Perską było zebranie danych o kilku takich organizacjach. Podobnie jednak jak ja, ludzie z NSC wiedzieli, jak trudno przekonać Departament Skarbu, że problem jest palący i że do jego rozwiązania potrzebne będą przypuszczalnie pewne zmiany w obowiązującym prawie.

Dla mnie najbardziej oburzające w historii z Dobroczynnością bez Granic było to, że organizacja ta w rzeczywistości dostawała pieniądze od władz amerykańskich. Później rozmowa z pracownikami NSC zeszła na jeszcze bardziej jaskrawy, ale doskonale im znany przykład absurdu - sposobu finansowania Muzułmańskiej Afrykańskiej Agencji Pomocy (IA-RA), mającej powiązania z rządem sudańskim; rządem, który przez lata dawał schronienie Bin Ladenowi. Dopóki nie wyszły na jaw jej powiązania z terroryzmem, IARA otrzymywała fundusze od USAID, Amerykańskiej Agencji na rzecz Międzynarodowego Rozwoju. USAID, jak podają jej materiały informacyjne, jest „niezależną agencją działającą na rzecz rozwoju gospodarczego i pomocy humanitarnej na świecie, zgodnie z celami polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych”. USAID przestała finansować IARA „ze względów bezpieczeństwa narodowego”, IARA nadal jednak działa w Ameryce i nadal jest zwolniona od podatków.

- Musimy teraz wspólnie sporządzić listę organizacji charytatywnych, które mogą mieć powiązania z terroryzmem - powiedział Peter.

Natchnęło mnie to pewną myślą.

Umówiłam się z Veroniką na lunch. Latem 2000 roku pogoda była paskudna, ciągłe burze i silne deszcze, ale nie wpływało to na

moje samopoczucie. Zarówno w domu, jak i w pracy sprawy przedstawiały się lepiej niż kiedykolwiek. Pracowałam dużo, ale nie byłam przemęczona ani zestresowana. Od pewnego czasu chciałam podzielić się z Veroniką pomysłem, który wpadł mi do głowy w związku z listą organizacji podejrzanych o związki z terroryzmem, ale Veronica pracowała nad innymi sprawami i nic z tego nie wyszło. Wspólny lunch był doskonałą okazją do rozmowy o moim pomyśle.

W tym czasie intensywnie współpracowałam z Białym Domem; jeździłam tam mniej więcej co miesiąc. Zazwyczaj próbowałam łączyć te wyjazdy z wizytami w meczetach, bywaniem na wiecach lub spotkaniami z innymi przedstawicielami władz. Po powrocie Petera z Zatoki Perskiej zapytałam go o listę. Oczywiście nie mógł mi powiedzieć, jakie organizacje się na niej znajdują.

- Ale ja ci nie jestem do tego potrzebny. Doskonale wiesz, które z nich powinny zostać sprawdzone - rzekł.

Podczas jednego z naszych spotkań wspomniał mi jednak, że gdy agenci jordańskich tajnych służb odkryli ukryty skład materiałów wybuchowych, które miały zostać użyte do zamachów w czasie obchodów nowego tysiąclecia i które kupiono za pieniądze od Ad-Dika, byli przerażeni ich ilością. Ktoś powiedział, że tych materiałów wystarczyłoby do „wysadzenia w powietrze całego Bliskiego Wschodu”.

Siedziałyśmy więc z Veronicą w hinduskiej restauracji w pobliżu gmachu INS, a ja zamierzałam opowiedzieć jej o swoim pomyśle.

- Co do listy organizacji dobroczynnych, którą FBI i Biały Dom przygotowują razem dla Departamentu Stanu... - zaczęłam.

- Tak? - Veronica patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Oczywiście wiesz o tej sprawie, prawda? Oczywiście nie wiedziała.

Niepojęty jest sposób działania władz.

Tę listę wykonano na użytek Departamentu Stanu, któremu podlegał w tym czasie INS. Veronica i Dan Cadman powinni o niej wiedzieć! Lista miała pomóc departamentowi w odróżnieniu prawdziwych organizacji charytatywnych od tych, które mają związki z terroryzmem. Wydawało się zupełnie naturalne, że departament powiadomi INS o istnieniu takiej listy.

Nie powiadomił. Po raz pierwszy Veronica usłyszała o niej ode mnie.

Powiedziałam jej, że nie mam jeszcze pewności co do tego, które organizacje powinny znaleźć się na liście, ale chyba wiem, jak to sprawdzić. Veronica musi dostać tę listę, a tymczasem ja wprowadzę ją pokrótce w całą sprawę.

Wyjaśniłam, że niektóre organizacje dobroczynne nie tylko zbierają fundusze na działalność terrorystyczną, ale wykorzystują swoje zasoby do finansowania spotkań i konferencji, na których gromadzą się zwolennicy terroryzmu i wygłaszane są podżegające przemowy, tworzące grunt do werbowania ochotników. Co więcej, organizacje te pomagają załatwiać wizy amerykańskie wszelkiego rodzaju podejrzanym osobnikom, którzy przyjeżdżają tu pod pozorem działalności religijnej lub charytatywnej. Dzięki fasadzie dobroczynności są zwolnione od podatków, a nieodłączny w ich wypadku internacjonalizm znakomicie sprzyja transferowaniu pieniędzy na wszystkie strony świata. A przy tym organizacje te często wykorzystują jako przykrywkę magiczne słowa „pomoc humanitarna”. Jako „pracownik organizacji humanitarnej” każdy może jeździć, gdzie i kiedy chce, i przewozić duże sumy pieniędzy bez wzbudzania podejrzeń. Któż podejrzewałby „pracownika organizacji humanitarnej”, niosącego pomoc nieszczęśliwym, chorym i głodnym.

Jedną z takich organizacji była Pomoc dla Afryki (HAP), założona i kierowana przez Wadiha al-Hadżdża. W wolnych chwilach Al-Hadżdż

pracował także jako osobisty sekretarz... Osamy Bin Ladena! Skończył w więzieniu za udział w zamach bombowych na ambasady w Kenii i Tanzanii. Dzięki HAP mógł swobodnie jeździć po świecie i sfinansować te zamachy.

Innym pracownikiem organizacji humanitarnej był egipski pediatra, który w 1995 roku przyjechał do Stanów Zjednoczonych jako przedstawiciel Kuwejckiego Czerwonego Półksiężycyca. Imię i nazwisko? Ajman az-Zawahiri. Zajęcie? Zastępca i osobisty lekarz Bin Ladena oraz główny ideolog Al-Ka'idy. Az-Zawahiri był oskarżony w Stanach Zjednoczonych o udział w zamachach bombowych na ambasady amerykańskie we wschodniej Afryce; został także zaocznie skazany na śmierć przez egipski sąd wojskowy, ponieważ odgrywał decydującą rolę w egipskim Muzułmańskim Dżihadzie. Tymczasem jeszcze w 1995 roku swobodnie podróżował po Ameryce. Przyjechał tu z Afganistanu i objeżdżał kraj, kwestując na wdowy i sieroty; zebrał blisko pół miliona dolarów. Prawdopodobnie zapomniał nadmienić, że chodzi o te wdowy i sieroty, które dopiero owdowieją lub zostaną osierocone wskutek jego działalności charytatywnej - jej przykładem był zamach bombowy na ambasadę egipską w Pakistanie jeszcze w tym samym roku. Tak wyobraża sobie ten pediatra pomoc humanitarną.

W końcu opowiedziałam Veronice o swoim pomysle: Departament Stanu powinien sprawdzać ludzi, którzy otrzymali wizy dzięki poręczeniu organizacji charytatywnych figurujących na liście. Powinien przyjrzeć się podaniom o wizy złożonym przez osoby, które powołują się na te organizacje i wybierają na zorganizowane przez nie konferencje, a przede wszystkim zbadać powody, dla których ci ludzie chcą przyjechać do Stanów Zjednoczonych, jeśli w podaniu o wizę znajdzie się twierdzenie, że ktoś chce pracować w jednej z organizacji z listy, podanie powinno zostać dwa, trzy, a nawet cztery

razy sprawdzone.

Veronice bardzo się to spodobało. Poprosiła mnie o listę, którą zrobiłam. Przypuszczała, że będzie ona dość zbliżona do listy oficjalnej i chciała zapoznać się z nią, zanim otrzyma oficjalną listę z FBI. Kilka dni później wysłałam jej mój wykaz organizacji z grubymi plikami dokumentów na temat każdej z nich. Po dwóch dniach zadzwoniłam, by zapytać, czy dostała oficjalną listę. Gdyby było trzeba, mogłam przyspieszyć sprawę dzięki swoim znajomościom.

Veronica odpowiedziała, że złożyła formalną prośbę o prawo wglądu w listę i otrzymała równie formalną odmowę. Osłupiała ze zdumienia.

Nie mogłam wprost uwierzyć. Wydawało mi się kompletnie bez sensu, że FBI i Departament Stanu odmawiają agentce INS, Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego, dostępu do tego rodzaju dokumentu. Dla mnie podobne zakazy były czymś zwyczajnym; nader często słyszałam: „Nie może pani tego dostać, zobaczyć, wiedzieć o tym”, ale ja nie pracowałam dla rządu. Jak FBI mogło odmówić współpracy z INS? Co warta jest lista organizacji, które nie powinny działać w naszym kraju, jeśli INS, Urząd Ceł i inne agencje odpowiedzialne za ochronę granic nie mają do niej dostępu?

Wściekła zadzwoniłam do Białego Domu. Peter pracował już w innym departamencie, lecz facet, który go zastąpił i odebrał mój telefon, wiedział, kim jestem. Opowiedziałam mu, co się stało.

- Zadzwonię do FBI i dowiem się, o co chodzi - oświadczył. Oddzwonił po niespełna godzinie.

- Załatwione - powiedział. - Rozmawiałem ze Steve'em z FBI, opowiedziałem mu o pani pomyśle i wyjaśniłem, dlaczego INS powinien mieć dostęp do listy. Chętnie porozmawia z Veronicą, powinna do niego zadzwonić. Zaproponowałem, żebyście wy także nawiązali kontakt, być może w przyszłości będziecie współpracowali.

Dał mi numer telefonu Steve'a. Zadzwoiłam jeszcze tego samego dnia. Był uprzejmy, ale traktował mnie protekcjonalnie.

- Czego właściwie pani oczekuje? - zapytał.

Wyjaśniłam szczegółowo, o co chodzi i kim jest Veronica. Oznajmił, że Veronica powinna się z nim skontaktować.

Zrobiła to niemal natychmiast. Pięć minut później zadzwoniła do mnie.

- Nie zgadniesz, co się stało - powiedziała.

- Jest podobna do mojej - strzeliłam podniecona. Byłam pewna, że Veronica dzwoni, by mi powiedzieć, że obie listy są niemal identyczne.

- Skąd mam to wiedzieć? Steve powiedział, że to poufna lista, a ja nie jestem upoważniona do jej otrzymania.

- Żartujesz!

- Chciałabym, żeby tak było. Stanowczo odmówił. Pytałam, dlaczego nie chce mi dać listy, skoro w rozmowie z urzędnikiem Białego Domu wyraził zgodę - lamentowała Veronica. - Zaproponowałam, żeby porozmawiał z moim szefem. Odparł, że taka rozmowa niczego nie zmieni.

Zadzwoiłam do Białego Domu i opowiedziałam funkcjonariuszowi NSC, co się stało. Teraz on myślał, że ja żartuję. Gdy dotarło do niego, że mówię poważnie, wpadł w szal. Zadzwoił do Veroniki i zapytał ją o rozmowę ze Steve'em. A potem wysłał jej listę, choć było to niezgodne z obowiązującymi procedurami.

Zaproponowałam wówczas, by - skoro INS i Biały Dom wiedzą już to samo - zorganizować spotkanie i omówić metody współpracy w kwestii tej listy i innych wspólnych spraw. Veronica mnie wyśmiała.

- Oszalałaś? My i oni nie jesteśmy sobie równi. Nikt nie życzy sobie takiego spotkania.

Rada Bezpieczeństwa Narodowego Białego Domu ma zwalczać terroryzm, podobnie jak INS. Są więc po tej samej stronie, czyż nie? I mimo to nie chcą ze sobą współpracować? W kraju komunistycznym czy rządzonym przez dyktatora, takim jak ten, z którego uciekłam jako dziecko, zbyt bliska współpraca może być niebezpieczna. W tego typu reżimach bliskie stosunki między wysokimi urzędnikami mogą prowadzić do konspiracji. Utrzymać się przy władzy można tylko, stosując zasadę dziel i rządź. Ale żeby w kraju prawdziwie demokratycznym instytucje rządowe nie umiały nawiązać współpracy w celu powstrzymania terroryzmu? To nie mieściło mi się w głowie. Czy Al-Ka'ida, Hamas, PIJ także trzymały się właściwych procedur, spiskując, by zniszczyć Zachód? Oczywiście, że nie. Tak więc, podczas gdy terroryści zgodnie parli naprzód, mieli wspólne listy potencjalnych amerykańskich celów i wspierali się nawzajem finansowo, agenci Stanów Zjednoczonych mający zwalczać terroryzm byli zajęci wyplątywaniem się z biurokratycznych procedur. Tymczasem ich tak zwani współpracownicy z FBI nie zamierzali dzielić się z nimi informacjami. Gdyby nie ja, Veronica nigdy nie dowiedziałaby się o liście.

Gdy po 11 września rozmawiałam z prokuratorem generalnym Johnem Ashcroftem, opowiedziałam mu historię Veroniki i listy.

- Jak można oczekiwać, że rząd zwalczy terroryzm, skoro różne instytucje rządowe nie porozumiewają się ze sobą i nie wymieniają informacji? - zapytałam. Jak możemy do czegoś dojść, skoro FBI siedzi na informacjach nawet wtedy, gdy Biały Dom nakazuje je ujawnić?

Na szczęście nie pracuję dla rządu. Nie muszę trzymać się obowiązujących tam zasad i mogę wykonywać swoją pracę, nie martwiąc się o awans ani o to, że zaszkodzę sobie w karierze. Mogę spotykać się, z kim chcę i kiedy chcę.

Pewnego dnia czytałam w pracy kwartalny biuletyn HLF, który regularnie otrzymywałam jako patronka syna męczennika. Biorąc pod uwagę, że HLF powinna zajmować jedno z pierwszych miejsc na liście organizacji charytatywnych powiązanych z terroryzmem, byłam mocno zaskoczona tym, co zobaczyłam. Organizacja z dumą ogłaszała, że w końcu otrzymała wsparcie finansowe od USAID!

Departament Stanu znów okazał się niekompetentny. Opracowano dla nich listę, HLF figurowała na tej liście, a mimo to dostała pieniądze od USAID. Natychmiast zadzwoniłam do Białego Domu. Po co ta lista, zapytałam, skoro znajdujące się na niej organizacje mają prawo do państwowych pieniędzy, które niewątpliwie zostaną wykorzystane do wspierania terroryzmu. Mój znajomy w Białym Domu nie mógł w to uwierzyć. Poprosił, bym przesała mu faksem stronę z biuletynu HLF z doniesieniem o otrzymaniu dolarów od USAID. Kilka dni później dostałam od niego wiadomość. Departament Stanu uświadomił sobie pomyłkę i odebrał HLF prawo do dotacji z USAID. Błąd został naprawiony.

Gdybym nie przeczytała tego biuletynu, HLF - organizacja uznana przez George'a W Busha w końcu 2001 roku za terrorystyczną - otrzymywałaby pieniądze od rządu Stanów Zjednoczonych. Rząd finansowałby terrorystów, którzy atakują jego obywateli.

Dlaczego więc nikt inny - choćby FBI, które tak skrzętnie ukrywa informacje i z nikim się nimi nie dzieli - nie potrafił zauważyć tej „pomyłki”?

Materiały, które dostarczyłam na pierwsze spotkanie w Białym Domu, zostały przekazane do FBI. Co z nimi zrobiono? Kilka razy pytałam o to Petera, a on zawsze odpowiadał, że nie miał wiadomości z FBI. Przypuszczał, że agencja po prostu przetrzymuje te materiały.

Przypuszczał słusznie.

Czy był to wyjątek? Czy FBI zwykle wykorzystuje informacje i podejmuje działania, czy też normą jest przetrzymywanie materiałów przez lata?

Oto jeden przykład. Robert C. Wright był agentem FBI w Chicago. W 1998 roku doprowadził do zajęcia 1,7 miliona dolarów na kontach bankowych Muhammada Salaha, sprzedawcy używanych samochodów i agenta Hamasu; tego, którego poznałam na konferencji IAP w Chicago. Raport Wrighta niezbitnie dowodził, że Salah werbuje terrorystów i finansuje zamachy terrorystyczne. Wykazywał także, że Salah miał powiązania natury finansowej z zamożnym saudyjskim biznesmenem Jasinem Kadim. Kadi dostarczał pieniądze Hamasowi za pośrednictwem kompanii z New Jersey o nazwie Baji Mai Investment (BMI). Po 11 września władze amerykańskie uznały Kadiego za sponsora Osamy Bin Ladena.

Jak FBI wynagrodziło Wrighta za świetnie wykonaną pracę? Odsunięciem go od śledztwa pod zarzutem bezprawnego nękania. Podczas rozpracowywania Salaha partnerem Wrighta był agent Dżamal Abd al-Hafiz, muzułmanin. Hafiz utrzymywał bliskie stosunki z księgowym BMI, który wówczas szukał pracy jako tłumacz w FBI.

Wright doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że członkowie Hamasu próbują penetrować FBI, prosił więc Al-Hafiza, by idąc na spotkanie z prezesem BMI, przeciwko któremu toczył się właśnie proces przed wielką ławą przysięgłych, założył aparaturę podsłuchową. Al-Hafiz odmówił. Wright powiadomił o tym przełożonych, Al-Hafizowi polecono założyć podsłuch. Znowu odmówił nagrania rozmowy, chyba że człowiek, z którym ma się spotkać, zostanie powiadomiony o nagrywaniu. Oświadczył, że nie wierzy w możliwość ochrony go przez FBI (a sam był przecież agentem biura). Co więcej, powiedział: „Muzułmanin nie nagrywa

innego muzułmanina”. Okazało się, że w przeszłości Al-Hafiz także odmawiał wykonywania tego typu zadań.

Wright złożył skargę i uzasadnił ją w ten sposób, że on sam, będąc katolikiem, nigdy nie kierował się względami religijnymi w trakcie śledztwa przeciw terrorystom. W odpowiedzi Al-Hafiz oskarżył Wrighta o nękanie, stanowiące przejaw dyskryminacji religijnej i etnicznej. Zamiast dokładnie przyjrzeć się Al-Hafizowi, FBI odsunęło Wrighta od śledztwa, Hafiz zaś awansował. Obecnie pracuje jako łącznik FBI w... Arabii Saudyjskiej.

Po 11 września Jasin Kadi został co prawda uznany za protektora terrorystów, ale nie miało to nic wspólnego z dochodzeniem prowadzonym przez FBI; po odsunięciu Wrighta Biuro nie poczyniło najmniejszych postępów. Salah ciągle jest na wolności i działa w Chicago jako obrońca praw człowieka. Kadi uparcie utrzymuje, że nie miał żadnych związków z terroryzmem. Gdyby zainteresowano się nim po raporcie Wrighta z 1997 roku, być może on i inni bogaci saudyjscy biznesmeni zastanowiliby się dwa razy, nim wsparliby swymi pieniędzmi organizacje terrorystyczne.

A co z Wrightem? Wrócił do pracy nieco ponad rok po 11 września, ale zakazano mu kontaktów z BMI i udziału w śledztwie przeciw Kadiemu. Nie ma nawet dostępu do własnych materiałów.

To prawda, że świat był inny przed 11 września. Ale czy ta tragedia czegoś nas nauczyła? Czy agencje rządowe współpracują teraz ze sobą bliżej? Powszechnie wiadomo, że główną przyczyną klęski wywiadu, który nie zdołał zapobiec tragedii, był brak współdziałania agencji; czy jednak FBI zrewidowała swoje metody działania, by sprawniej i skuteczniej ścigać terrorystów ukrywających się wśród nas?

Przekonuje się opinię publiczną, że są ludzie, którzy troszczą się o nasze bezpieczeństwo, zdobywają informacje, dzielą się swą wiedzą z innymi, robią wszystko, by nie dopuścić do kolejnego ataku

terrorystów.

Czy rzeczywiście tak jest? Każdy musi sam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

W marcu 2002 roku otrzymałam e-mail od Dana Cadmana. Pisał, że zadzwoniła do niego znajoma imieniem Loraine, prawniczka INS do spraw imigracyjnych wyznaczona przez władze INS do zbadania sprawy Sarniego al-Arjana. Zapoznawszy się z materiałami, Loraine uznała, że nie ma dostatecznych podstaw do deportowania Sarniego, i zamierzała zamknąć tę sprawę. Dan poprosił, by zanim podejmie decyzję, porozmawiała ze mną. Umówiliśmy się na spotkanie w Nowym Jorku, w gmachu INS.

Idąc tam, zabrałam ze sobą część moich materiałów dotyczących Sarniego. Nie byłam pewna, czego dokładnie potrzebuje Loraine; przecież FBI pracowało nad sprawą Sarniego od kilku lat. Towarzyszył mi Mikę, młody prawnik, który właśnie zaczął pracę w naszym biurze, a teraz pomagał mi przewieźć papiery. Musieliśmy załadować je na dwa duże wózki sklepowe. Gdy weszliśmy do pokoju, Loraine spojrzała na nas i nasze wózki zupełnie oszołomiona.

- Co to jest? - zapytała.

- Chciała pani materiałów na temat Sarniego, prawda?

Zanim zaczęłam, musiałam zorientować się, co wie Loraine i na jakim etapie jest jej dochodzenie. Nie było sensu powtarzać tego, co już wiedziała.

- Sądzę, że wiem wszystko, co trzeba wiedzieć. Przejrzałam wszystkie materiały - powiedziała - i nie ma tam dostatecznych danych, by przekonać jakiegokolwiek sędziego.

Dodała, że spotkała się ze mną tylko na prośbę Dana Cadmana.

- Szanuję go, dlatego tu jestem.

- Jakie materiały pani przeglądała? - spytałam. - Większość ma FBI w Tampie. Nie może pani zamknąć sprawy, dopóki ich pani nie

zobaczy.

Wiedziałam, co ma FBI, choć oczywiście nigdy nie pozwolono mi tych materiałów obejrzeć. Kilka pomieszczeń wypełnionych dokumentacją dotyczącą Sarniego al-Arjana. Tysiące stron akt, setki nagrań, przetłumaczonych i spisanych, mnóstwo informacji.

- No więc byłam w Tampie - odparła Loraine - widziałam materiały FBI i przejrzałam je dokładnie.

- A kiedy została pani przydzielona do tego dochodzenia? - rzuciłam. Nie było możliwości, by Loraine przejrzała dokumentację FBI. Nawet ekspertowi w sprawie Sarniego, komuś takiemu jak John Canfield, zabrałoby to miesiące.

- Prawie dwa tygodnie temu.

Tak myślałam. Coś w jej opowieści nie ma sensu.

- Poszłam tam - ciągnęła - zachowywali się okropnie, ale dla mnie to nic nowego. Zawsze tak się zachowują. Jakiś gość zaprowadził mnie do pokoju i dał dwa tekturowe pudła - zakreśliła ręką kwadrat o boku mniej więcej stopy. - Powiedział, że nic nie wiedzą o moim dochodzeniu, ale ponieważ kazano im udostępnić materiały, przygotowali je dla mnie. W pudełkach znalazłam kasetę wideo, list napisany przez Sarniego i kilka dokumentów. Przystudiowałam wszystko starannie, co zajęło mi parę godzin, choć prawdopodobnie trwałoby o połowę krócej, gdyby był tam ktoś, kto wyjaśniłby mi kilka kwestii.

FBI ma góry materiałów dotyczących tej sprawy, a dali Loraine dwa pudełka i nikt nie objaśnił, co się w nich znajduje. Nic dziwnego, że chciała zamknąć dochodzenie.

Musiałam więc zacząć od początku. Ponieważ Loraine nie wiedziała nic, trzeba było opowiedzieć wszystko po kolei. ICP, WISE, Ramadan Abd Allah Szallah, Baszir Nafi, „Al-Muchtar al-Islami”, „At-Tali’a al-Islamijja”. Opowiedziałam o moim pierwszym spotkaniu z

Johnem Canfieldem - zrobiłam właściwie powtórkę tamtego przedstawienia, tylko że wtedy mówiłam do ludzi, którzy dużo wiedzieli o Sarnim i przez lata deptali mu po piętach. Teraz moim słuchaczem był ktoś, kto niedawno włączył się do dochodzenia i wiedział bardzo niewiele.



Mówiłam i mówiłam, wyciągałam dokument po dokumencie i objaśniałam, co zawierają. Po kilku godzinach Loraine poprosiła, żebym przestała. Miała już dość. Powiedziała, że została przekonana i że jej zdaniem każdy sędzia uzna te dowody. Uświadomiłam jej, że FBI ma wszystko, co tu pokazałam, i o wiele więcej. Ukryli przed nią informacje, a do tego informacje, których sami nie zdobyli! Pierwszy nakaz rewizji, ten, dzięki któremu przeszukano biura ICP i WISE i uzyskano większość materiałów, będących teraz w posiadaniu FBI, został załatwiony na wniosek INS. Jeśli informacje należą do kogokolwiek, to przede wszystkim do INS.

W drodze powrotnej do biura Mikę powiedział mi, że on, prawnik, nigdy nie uwierzyłby w tę historię, gdyby nie był świadkiem tej rozmowy.

- Postępowanie FBI jest nie tylko niewyobrażalne - dodał. - Jest obrzydliwe.

Mnie przypominało ono zachowanie mojej małej córki, która łapie rzeczy nie zawsze będące jej własnością i oświadcza: „To moje”. Odebranie jej tych rzeczy wymaga czasem nie lada wysiłku. Podobnie postępuje FBI, „To moje i już” - oznajmia. I nikomu nie odda, nawet jeśli samo z tych informacji nie korzysta. Typowy

dziecinny egoizm. Gdyby podzielono się wiedzą z innymi agencjami, być może prowadzone przez nie dochodzenia zakończyłyby się sukcesem, który przyćmiłby nieco chwałę FBI. Nawet jeśli taka postawa zagraża krajowi, FBI nie widzi powodu, by ją zmienić. Moje dziecko wkrótce wyrośnie z takich zachowań. Czy wyrośnie także FBI?

Pewnego dnia w początkach 2002 roku zadzwoniła do mnie miła kobieta, która przedstawiła się jako asystentka prokuratora stanowego Kalifornii. Powiedziała, że krótko po 11 września gubernator Gray Davis wezwał wszystkich prokuratorów federalnych z jej wydziału i oświadczył, że chce zmienić priorytety i skupić się na walce z terroryzmem. Nie zamierza dopuścić do tego, by podobna katastrofa wydarzyła się w Kalifornii. Tak więc moja rozmówczyni - a także wiele innych osób - otrzymała nowe zadanie i teraz zaczynała gromadzić wiedzę o terroryzmie. Ktoś polecił jej mnie.

- Potrzebuję pani pomocy w uzyskaniu pewnych informacji na temat HLF i innych kalifornijskich organizacji powiązanych z terroryzmem - powiedziała.

- Dlaczego, jeśli wolno zapytać, potrzebuje pani do tego mojej pomocy? O ile wiem, Departament Sprawiedliwości ma co najmniej dwa tysiące dokumentów dotyczących tej sprawy. Dlaczego tam nie poszuka pani informacji?

- Proszę nie myśleć, że nie próbowałam - odparła, śmiejąc się niewesoło. - Powiedziano mi, że nie mam upoważnienia.

Po tym, czego się dowiedziałam o FBI, tego rodzaju rzeczy już mnie nie dziwiły.

- Z pewnością pani wie - dodałam - że po uznaniu HLF za organizację terrorystyczną nawet raport FBI na jej temat został odtajniony. Większość tego materiału jest dostępna dla każdego.

Obiecałam dostarczyć jej trochę danych o HLF i innych

organizacjach terrorystycznych w Kalifornii i kilka dni później przesałam e-mailem dokumenty dotyczące HLF, Ad-Dika, IAP i Al-Ka'idy.

Dałam jej to, czego odmówił jej własny pracodawca, Departament Stanu.

Po paru dniach przyszedł e-mail: „Dostałam. Przeczytałam. Fascynujące. Czy mogłabym spotkać się z panią i porozmawiać na ten temat?”.

Wracając do FBI - wiemy już, że nie udostępnia informacji innym. Ale czy udostępnia je własnym pracownikom?!

Mniej więcej w tym samym czasie, cztery miesiące po 11 września, zadzwonił do mnie agent FBI z Kalifornii. Szukał wskazówek, które ułatwiłyby mu dochodzenie w sprawie działalności Al-Ka'idy w Kalifornii. Powiedziałam mu o Ad-Diku, Diabie, Aszurze i Dobroczynności bez Granic. Wcześniej w ogóle nie słyszał o tych ludziach i organizacji i był bardzo zadowolony, że dowiedział się wreszcie ode mnie. Zapytał, jakiego rodzaju materiałami dysponuję, a ja odpowiedziałam, że wśród dokumentów przesłanych przeszło dwa lata temu przez władze stanowe Kalifornii znajdują się unieważnione чеки Dobroczynności bez Granic. Uznał, że mogą być bardzo pomocne; FBI będzie mogło sprawdzić konta bankowe i prześledzić, co dzieje się z pieniędzmi organizacji. Poprosił, bym przekazywała mu wszystko, co uznam za ważne.

Wysłałam mu wielkie pudło dokumentów, które wraz z Bruce'em i Neilem przygotowałam przy okazji pierwszej wizyty w Białym Domu. Były tam nazwiska i adresy ludzi i instytucji, z którymi mieli powiązania Ad-Dik i Diab, listy pracowników organizacji dobroczynnej i kopie jej czeków. Po kilku dniach agent zadzwonił.

- To jest bardzo dziwna sprawa - powiedział. - Przejrzałem akta tych ludzi, które mamy u siebie, i przeczytałem pani materiały. Pani

dokumenty są świetne i bardzo przydadzą mi się w dochodzeniu.

Wiedziałam, że pracownicy NSC zdawali sobie sprawę ze znaczenia informacji, które im przekazaliśmy, i że natychmiast przesłali je FBI. Teraz było jasne, że przez dwa lata nasze materiały leżały niewykorzystane.

Ale było coś jeszcze w tej historii. Coś przerażającego.

- Gdy przeglądałem nasze akta dotyczące Ad-Dika - powiedział agent - okazało się, że na początku lat pięćdziesiątych Ad-Dik i inni prowadzili szkoleniowe obozy wojskowe w południowej Kalifornii. (Później dowiedziałam się, że w obozach tych szkolono między innymi ludzi Ślepego Szejka, którzy próbowali wysadzić tunel Lincolna w Nowym Jorku).

- O Boże. Jak długo ta informacja się tam znajduje? - Byłam naprawdę wzburzona.

- Od lat.

- I nawet to nie wystarczyło, żeby zacząć dochodzenie?

- Informacja wywiadu. Nie do wykorzystania - odparł.

FBI nie tylko więc przetrzymywało latami moje informacje o Ad-Diku i jego współnikach, ale na dodatek wiedziało, że Ad-Dik prowadzi wojskowe obozy szkoleniowe w Kalifornii i planuje zamachy bombowe na różne cele w Ameryce. I pozwolono tym ludziom działać bez przeszkód.

W końcu 1999 roku, w czasie gdy Ad-Dik siedział w więzieniu w Jordanii, Aszur, który prosił o azyl w Ameryce, bez trudu mógł zostać namierzony; można było przeprowadzić śledztwo, w razie potrzeby odmówić azylu, i deportować tego człowieka. Gdy to piszę, jest na wolności i włóczy się gdzieś po zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Diab natomiast około 11 września poleciał do Pakistanu. Gdy zadzwonił do mnie agent FBI, było już za późno, Diab od dawna znajdował się poza zasięgiem władz amerykańskich.

FBI nie wykorzystywało posiadanych informacji, utrzymując, że sposób, w jaki zostały zdobyte, uniemożliwia przedstawienie ich w sądzie.

Niech to powiedzą ofiarom zamachów terrorystycznych i ich rodzinom.

Wtedy jednak, gdy skontaktował się ze mną wspomniany wyżej agent, wydawało się, że po 11 września sprawy idą w końcu ku lepszemu. Agent był człowiekiem oddanym swojej pracy i doświadczonym; brał udział we wcześniejszych dochodzeniach przeciwko terrorystom i przyczynił się do aresztowania członków Al-Dżama'at al-Islamijja, grupy kierowanej przez Ślepego Szejka i powiązanej z Al-Ka'idą. Wydawało się, że w Kalifornii coś się wreszcie ruszyło.

Agent zgłosił oficjalnie wdrożenie śledztwa, zgodnie z zasadami obowiązującymi w Biurze, aby było wiadomo, że je prowadzi, i by każdy, kto ma jakieś informacje w tej sprawie, mógł się z nim skontaktować.

Kilka dni później zadzwonił do mnie i powiedział, że został odsunięty od śledztwa. W biurze FBI w Anaheim zauważono, że adres Ad-Dika znajduje się na terenie objętym ich jurysdykcją. Przejęli dochodzenie.

Po pewnym czasie zadzwonił do mnie wreszcie agent z oddziału FBI w Anaheim. Był bardzo nieuprzejmy. Polecił mi wysłać dokumenty, które przekazałam pierwszemu agentowi z Kalifornii; oświadczył, że pracują nad sprawą i że będziemy w kontakcie.

Kolejny raz wysłałam e-mailem gigantyczny plik dokumentów na zachodnie wybrzeże.

Nigdy jednak nie usłyszałam już tego agenta.

Dlaczego, można by zapytać, FBI nie podjęło dochodzenia w sprawie Ad-Dika, Diaba, Aszura i Dobroczynności bez Granic nawet

po przekazaniu przeze mnie Białemu Domowi wszystkich materiałów na ten temat? Dlaczego FBI nie zrobiło nic z całym tym dobranym towarzystwem, skoro było aż nadto powodów do zainteresowania się tymi ludźmi?

Odpowiedź jest prosta. FBI nie mogło tego zrobić, ponieważ prowadziło skrupulatne śledztwo w sprawie kogoś innego.

Zajmowało się śledzeniem mnie.

ROZDZIAŁ 8

Oblicze bestii

Po wielu wiekach wewnętrznych waśni i konfliktów nadszedł czas, by młodzi ludzie z krajów arabskich zjednoczyli się we wspólnym ruchu. Arabowie i muzułmanie byli do tej pory podzieleni na sekty, plemiona, narody. Gdy jednak Rosjanie zaatakowali Afganistan w końcu lat siedemdziesiątych, sunnici i szyici, Jordańczycy, Palestyńczycy, Irakijczycy, Saudyjczycy, Algierczycy, Marokańczycy, Syryjczycy, Libańczycy i Egipcjanie wszyscy się połączyli, tworząc wielki wspólny ruch - dżihad.

Takie zjednoczenie sił pod wspólnym sztandarem, ruch panarabski o takim znaczeniu i sile, pojawił się po raz pierwszy od czasów proroka Mahometa.

Mały/lokalny konflikt w Afganistanie dał początek ruchowi, który wkrótce zmieni bieg historii Ameryki.

Siła sprawczą i motorem tego ruchu był jeden człowiek, charyzmatyczna i nieprzeciętna osobowość.

Abd Allah Azzam.

Ból w dole pleców stawał się nieznośny. Nasilał się od trzech dni i stał się tak dotkliwy, że nie mogłam już chodzić. Postanowiłam zadzwonić do mojej lekarki.

Ta ciąża różniła się od wszystkich poprzednich - a może to ja się

zmieniłam. Po pierwsze, nie mogłam uwierzyć, że będę miała córkę, mimo że widziałam dziecko na monitorze podczas USG i mimo wyników badań prenatalnych. Do samego końca byłam przekonana, że urodzę chłopca. Podobnie jak wcześniej, pracowałam całe dziewięć miesięcy, nie przybierałam na wadze tyle, ile należało, a moje dziecko odmawiało przyjścia na świat w terminie. Teraz jednak hormony zachowywały się inaczej, wiedziałam o tym, ponieważ czułam zwiększone podniecenie. To się nigdy przedtem nie zdarzało.

Nigdy też nie dokuczał mi taki ból. Poprzednio jechałam do szpitala dopiero wtedy, gdy pojawiały się regularne skurcze co trzy minuty. Po dwudziestu minutach dziecko pojawiało się na świecie. Teraz jednak nie było skurczów, tylko ból.

Lekarka wyjaśniła mi przez telefon, że prawdopodobnie głowa dziecka uciska miednicę.

- To już czas - orzekła. - Proszę powiedzieć, kiedy pani chciałaby przyjechać do szpitala. Dziś, jutro, im szybciej, tym lepiej.

Tego jeszcze nie było. Zaplanowany poród? Do tej pory nie miałam nic do powiedzenia w tej kwestii; moje dzieci same wybierały datę urodzenia.

- W dowolnym momencie mogę urodzić dziecko?

- Oczywiście. Już i tak jest tydzień po terminie. Proszę przyjechać, wywołamy poród i będzie po wszystkim!

Jutro było niemożliwe, musieliśmy podpisać umowę w sprawie domu, który właśnie kupowaliśmy. Pojutrze, w środę? Tak, środa była dobra. Rok szkolny dobiegał końca; Jordan kończył we wtorek szkołę podstawową, z doskonałymi wynikami, tak więc ja pójdę do szpitala, a Leo na uroczystość rozdania świadectw.

- Zgoda - powiedziała lekarka. - Do zobaczenia w środę. I tak dwa dni później pojechałam urodzić dziecko.

Co zabiorę do szpitala? Trochę rzeczy osobistego użytku.

Szczoteczkę do zębów, kosmetyki, przybory do makijażu, koniecznie. Coś do czytania, jakieś czasopisma, książkę czy dwie.

Czy mogłam zabrać segregatory z dokumentami? Nie bardzo. Są za ciężkie, a poza tym, gdyby przypadkiem wpadło coś w oczy pielęgniarce... Najlepszym rozwiązaniem było wziąć tylko lektury w języku arabskim.

Po drodze do szpitala wpadłam do biura, chwyciłam kilka starych czasopism - to moja ulubiona lektura - i parę książek, które od pewnego czasu zamierzałam przeczytać. Kilka dni w szpitalu to dobra okazja do zapoznania się z pozycjami figurującymi na mojej liście „rzeczy do zrobienia”.

Dopiero gdy Shirley się urodziła, uwierzyłam w końcu, że mam córkę. Przytuliłam ją, pocałowałam i zaczęłam płakać ze szczęścia. To było najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam.

Shirley zasnęła, gdy tylko skończyłam karmić ją piersią. Kiedy beknęła, ostrożnie ułożyłam ją w łóżeczku. Spała spokojnie, tak krucha, tak zachwycająca. Byłam szczęśliwa jak nigdy; patrząc na nią, czułam się hojnie obdarowana przez los. Ta maleńka, chłopcy, Leo, nasz nowy dom, praca - wszystko w moim życiu układało się doskonale.

Leo został przy mnie całą noc. Rano poszedł do domu, by pomóc chłopcom przygotować się do ostatniego dnia szkoły. To było dla nich ważne wydarzenie. Wieczorem Jordan i Charlie mieli występ, a zaraz potem Jordan miał wygłosić mowę na uroczystym rozdaniu świadectw. Trzystu chłopców z jego rocznika przygotowało przemówienia, spośród których wybrano cztery, w tym mowę Jordana. Leo musiał więc zawieźć chłopców na występ, a potem do szkoły Jordana.

Byłam zmęczona, a jednocześnie podekscytowana. Przyszło mi do głowy, że może powinnam trochę poczytać; była szansa, że lektura

okaże się dostatecznie nudna, by przy niej usnąć.

Najpierw jednak sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Leo. Spędził przy mnie bezsenną noc i musiał być równie podniecony jak ja.

- Co słytać? - spytałam.

- Wszystko w najlepszym porządku, kochanie. Dzieci są już w domu. Jordan przeczytał mi swoją mowę. Wspaniała! Nagram ją dla ciebie. Prosto z uroczystości przyjedziemy wszyscy do szpitala. Jak mała? A jak ty się czujesz? Czy czegoś ci potrzeba?

Niczego mi nie było trzeba. Powiedziałam, że obie mamy się znakomicie i że śpiąca Shirley wygląda prześlicznie. Czułam, jak bardzo go to uszczęśliwiło.

Przeprowadzka do Stanów Zjednoczonych bardzo nas do siebie zbliżyła, być może dlatego, że znaleźliśmy się z dala od wszystkich naszych bliskich, rodziny i przyjaciół. Mieliśmy tylko siebie. I dzieci, oczywiście, ale są pewne sfery życia niedostępne dla dzieci. Byliśmy naprawdę bratnimi duszami; zgadzaliśmy się w większości życiowych kwestii. Na początku jednak, w Izraelu, kłóciliśmy się często. Izraelczycy mają skłonność do emocjonalnych wybuchów i często toczą bezsensowne sprzeczki z najbliższych powodów. Może to stres wywołany sytuacją polityczną, a może południowy temperament. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych oboje zauważyliśmy, że kłócimy się coraz rzadziej. Więż między nami stawała się silniejsza, a narodziny Shirley umocniły ją jeszcze bardziej.

Gdy tylko Leo się rozłączył, sięgnęłam do torby leżącej na fotelu obok mego łóżka. Włożyłam telefon i wyciągnęłam coś ze środka. To była książka, nie czasopismo. A ponieważ nie zawierała zdjęć, miałam szansę usnąć w ciągu dziesięciu minut.

Autorem książki był Abd al-Dżalil Battirdzi. Znałam to nazwisko; po raz pierwszy zetknęłam się z nim w 1999 roku, gdy zajmowałam

się Międzynarodową Fundacją Dobroczynną (BIF), jedną z podejrzanych organizacji charytatywnych. Przyjrzałam jej się dobrze. Zawsze działała we współpracy ze Światową Fundacją Pomocy (GRF) i HLF. Na konferencjach muzułmańskich, w których uczestniczyłam, miałam okazję zauważyć, że stoiska tych organizacji nieodmiennie sąsiadowały ze sobą. Wiele razy dostawałam pocztą elektroniczną lub tradycyjną zawiadomienia o wspólnej zbiórce funduszy organizowanej przez BIF i GRF albo GRF i HLF. A ponieważ wiedziałam, czym jest w istocie HLF, byłam zupełnie pewna, że GRF i BIF zajmują się tym samym. Zdobyłam zeznania podatkowe BIF i dowiedziałam się, że co roku fundacja zbierała miliony dolarów i wysyłała większość tych pieniędzy do Afganistanu, Pakistanu, Bośni i Czeczenii, nigdy nie podając dokładnie, co rzeczywiście dzieje się z pieniędzmi. Wszystkie te miejsca były bastionami Al-Ka'idy i Bin Ladena. Choć siedziba BIF mieściła się podobno w Chicago, odkryłam, że centrala organizacji znajduje się w rzeczywistości w Arabii Saudyjskiej. Na akcie rejestracji znajdują się nazwiska trzech głównych fundatorów: Adila Abd al-Dżalila Battirdżi, jego kuzyna Szahira Abd ar-Raufa Battirdżi oraz Mazina M.S. Babaretha. Każdy z tych szacownych dżentelmenów podał jako swój adres Dżuddę w Arabii Saudyjskiej.

Saudyjskie koneksje natychmiast spowodowały włączenie się w mojej głowie dzwonek alarmowy. Zbyt wiele razy miałam do czynienia z finansowanymi przez Saudyjczyków organizacjami charytatywnymi, które miały powiązania z terroryzmem. Zajął się więc tymi trzema panami.

W przypadku dwóch z nich moje dochodzenie prowadziło donikąd. Straciłam na to masę czasu i do niczego nie doszłam. Inaczej rzecz się miała z Abd al-Dżalilem Battirdżim. Odkryłam, że oprócz BIF kieruje on jeszcze jedną organizacją, WAMY. Zdaniem FBI

istnieją uzasadnione podejrzenia, że WAMY, Światowy Związek Młodzieży Muzułmańskiej, jest organizacją terrorystyczną. Publikacje WAMY znaleziono w bagażu Ahmeda Adża-dża, człowieka, którym wraz z Ramzim Jusufem zaplanował zamach bombowy w World Trade Center w 1993 roku. Podobnie jak BIF, także ta organizacja ma centralę w Arabii Saudyjskiej. Główne biuro w Stanach Zjednoczonych znajduje się w Falls Church w Wirginii, a dyrektorem tego biura jest Abd Allah Bin Laden, przyrodni brat Osamy. Tak jak BIF, po 11 września WAMY została uznana za organizację finansującą Al-Ka'idę. Gdy piszę te słowa, jej dyrektor siedzi w amerykańskim więzieniu. Wiedziałam więc, że nie powinnam tracić z oczy Battirdziego i BIF. Miałam przeczucie, że ten człowiek może okazać się bardzo ważny.

Leżąc w szpitalnym łóżku, uważnie przyglądałam się książce. Na lśniącej czerwonej okładce widniały dwie wzniesione naprzeciw sobie pięści. Na lewej pięści wyrysowane było godło radzieckie, sierp i młot; na prawej wypisano sentencję po arabsku: *La ilaha Ula Allah*. Lewa część oznaczała ZSRR, prawa - świat muzułmański. Bardzo wojownicza okładka. Nader obiecująca, choć czytam tyle książek, które mają zachęcające okładki, a okazują się niewiele warte.

Książka nosiła tytuł *Al-Ansar al-Arab fi Afghanistan (Arabscy ochotnicy w Afganistanie)*. Mały znaczek w rogu okładki - dwie wyciągnięte do siebie dłonie z kulą ziemską w tle - był niemal identyczny z logo BIF.

Krótki tekst na tylnej okładce mówił o wojnie radziecko-afgańskiej: „W Afganistanie trwa dżihad. Arabowie są jak strumień, który zasila rzekę dżihadu”. Podano także informację, że książka wydana została przez BIF i WAMY. Wstęp wyjaśniał, dlaczego wojna przeciwko radzieckim najeźdźcom miała przełomowe znaczenie dla sposobu postrzegania Zachodu przez muzułmanów i Arabów. Wojna,

której celem było wyzwolenie Afganistanu, zakończyła się druzgocącą klęską Związku Radzieckiego, supermocarstwa. Chwalebne zwycięstwo otworzyło oczy wielu młodym muzułmanom. Poczuli w sobie wielką siłę, a jedność dała im świadomość, że są niezwyciężeni. Dzięki temu zwycięstwu zapragnęli czegoś więcej. Skoro zdołali pobić Rosjan, bez trudu mogą pokonać dekadentki Zachód.

Dżihad, nowy dżihad, może zapoczątkować dominację świata muzułmańskiego.

Spojrzałam na moją córeczkę. Spała rozkosznie zaróżowiona. Przyszło mi do głowy, że w końcu będę mogła kupować w sklepie różowe dziecięce ubranka i zabawki. Do tej pory wszystko musiało być niebieskie. Wyobraziłam sobie, jak zaplatam jej warkocze, tak jak babcia zaplatała moje. Nieprędko to jednak nastąpi. Shirley przyszła na świat prawie zupełnie łysa.

Wróciłam do książki. We wstępie pojawiło się nazwisko Abd Allaha Az-zama. Nic dziwnego, zważywszy na fakt, że właściwie wszystkie opracowania dotyczące wojny radziecko-afgańskiej, napisane z punktu widzenia arabskiego lub muzułmańskiego, mówią o człowieku, któremu udało się to, co nie udało się dotąd żadnemu muzułmaninowi od początków islamu: przekonać wszystkie odłamy wyznaniowe i wszystkie kraje arabskie do połączenia sił w dżihadzie. Jako Palestyńczykowi Azzamowi bardzo leżało na sercu wyzwolenie Palestyny, ale na początku lat osiemdziesiątych zorientował się, że to w Afganistanie powstały najlepsze warunki do poprowadzenia międzynarodowego dżihadu. Jeździł z jednego kraju arabskiego do drugiego, wygłaszał kazania i prelekcje, prowadził rozmowy, przekonywał i zaczął werbować bojowników swojej sprawy, dżihadu, który miał wyzwolić świat muzułmański spod ucisku niewiernych.

Wiedziałam o tym wszystkim; o Azzamie i jego roli podczas wojny w Afganistanie wiedział każdy, kto zajmował się tym, co ja. Ta książka na pewno mnie uśpi. Jeszcze tylko parę stron i zasnę.

W ciszę gwałtownie wdarł się dzwonek telefonu komórkowego. Shirley poruszyła się w łóżeczku. Chwyciłam aparat jak najszybciej, przeklinając pod nosem, że nie wyłączyłam go po rozmowie z Leo.

- Halo - powiedziałam cicho.

- Jesteś czymś zajęta? - zapytał znajomy głos. To był John Canfield.

- Cześć, John. - Zupełnie nie miałam głowy do rozmowy z nim. - Co słychać?

- Mam dobrą i złą wiadomość. Zdołaliśmy zmienić termin, jak sugerowałam, i wyznaczyliśmy nowy. Tym razem, mam nadzieję, ostateczny. Na koniec września.

John mówił o planowanym wyjeździe grupy operacyjnej z Tamy do Izraela. Wraz z zespołem agentów FBI John miał zebrać tam informacje o Sarnim i PIJ. Wyjazd był odkładany tyle razy, że nabrałam wątpliwości, czy kiedykolwiek nastąpi. Wreszcie kilka tygodni przed narodzinami Shirley John zadzwonił z wiadomością, że wyjeżdżają... w sierpniu.

- W sierpniu wszyscy w Izraelu biorą urlop - powiedziałam. - Wielu osób nie będzie nawet w kraju, gdy wasz zespół się pojawi.

John posłuchał mojej rady i teraz informował mnie, że termin wyjazdu po raz kolejny został zmieniony.

- Dobrze - powiedziałam. - A jaka jest zła wiadomość?

- Wygląda na to, że z wielu spotkań, które FBI miało nadzieję zaaranżować, nic nie wyjdzie. Nie udało nam się dotrzeć do nikogo ważnego. Może ty masz jakiś pomysł? - W jego głosie wyczułam przygnębienie.

- Ach, o to chodzi? Nie martw się, John, jest jeszcze dużo czasu - pocieszyłam go. - Dam ci wszystkie nazwiska i kontakty, których

potrzebujesz. Uspokój się i zostaw to mnie. W tej chwili nie mogę nic zrobić, przez kilka dni jestem poza biurem, ale jak tylko wrócę, popracuję nad tym. Obiecuję.

John, uspokojony, dostawszy to, o co mu chodziło, zażartował sobie:

- A kto pozwolił ci tak długo nie przychodzić do biura? Gdzie jesteś? Mężczyzna! Każda kobieta natychmiast by zgadła. John wiedział, że jestem w dziewiątym miesiącu ciąży i niczego się nie domyślił.

- Jestem w szpitalu. Urodziłam dziecko.

Podziałało tak, jakby Mikę Tyson rąbnął go między oczy.

- No nie... gdzie naprawdę jesteś? Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

- Ależ skąd, jestem w szpitalu.

- Jesteś szalona, wiesz o tym? Całkiem odebrało ci rozum. Nie odezwę się więcej do ciebie! Dopiero co urodziłaś i wdajesz się ze mną w rozmowę o pracy? Powinnaś wypoczywać, myśleć o dziecku, nic nie robić - a na pewno nie pracować!

- Daj spokój, urodziłam kilka godzin temu, córka śpi spokojnie koło mnie, czuję się doskonale. Czytałam książkę/ gdy zadzwoniłeś. O Afganistanie.

- Jesteś stuknięta. Tyle mogę powiedzieć.

A potem, próbując nieco rozładować sytuację, zapytał:

- A jak wyglądasz? Mam nadzieję, że tak dobrze jak zawsze?

Nie myślałam o tym do tej pory. Jak wyglądam? Podczas ciąży prowadziłam bardzo aktywny tryb życia. Przytyłam zaledwie szesnaście funtów i moja lekarka była tym nieco zaniepokojona. Naturalnie piersi miałam nabrzmięte, a brzuch rozciągnięty, ale nie byłam opuchnięta i kilka godzin po porodzie czułam się tak, jakbym straciła już większość tego, co przybyło mi w ciągu dziewięciu miesięcy.

- Wyglądam chyba tak samo - odparłam.

- Twój mąż to szczęściarz i tyle. Teraz odpocznij trochę, dobrze? I najserdeczniejsze gratulacje!

- Zadzwonię później. - Tym razem nie tylko się rozłączyłam, ale i wyłączyłam telefon.

Lubię rozmawiać z Johnem, porządny z niego gość.

Teraz byłam naprawdę rozbudzona. Znów sięgnęłam po książkę Battirdziego w nadziei, że tym razem spełni swoje zadanie i mnie uspi. Przerzuciłam słowo wstępne i wprowadzenie; powtarzały się w nich te same stare gadki o Azzamie. Jak przyjechał do Afganistanu na początku lat osiemdziesiątych, jak zaczął werbować mudżahedinów... Nudy i jeszcze raz nudy.

W rozdziale pierwszym znalazła się opowieść o tym, jak kilku ludzi skupiło się wokół Azzama, słuchając jego słów. „Jeden z mężczyzn, którzy dowodzili siłami arabskimi podczas afgańskiego dżihadu - napisano na stronie 26 - pochodził z niezwykle zamożnej rodziny saudyjskiej; pod wrażeniem walki Afgańczyków postanowił przyłączyć się do nich i poświęcić wszystko dla afgańskiego dżihadu. Ten wysoki młody mężczyzna poszedł śladem dr. Abd Allaha Azzama”.

Zrobiło mi się zimno.

Przeczytałam ten fragment jeszcze raz. I jeszcze raz. To niemożliwe. A jednak. Czarne arabskie litery na żółtawym papierze. Nie do wiary. Książka, którą trzymałam w rękach, okazała się skarbem większym niż kopalnie króla Salomona i skarbiec Ali Baby razem wzięte. Czytając tych kilka zdań, natychmiast zorientowałam się, o czym traktuje i jak jest ważna. Jej bohaterem był Osama Bin Laden, a książka opisywała początki jego działalności podczas wojny w Afganistanie.

Podeksycytowana wróciłam do lektury. Czytałam łapczywie,

jakbym chciała połączyć cały tekst za jednym zamachem, gorączkowo przerzucając kartki, ale jednocześnie chłonąc i starając się zapamiętać każde słowo tego jedyne go w swoim rodzaju dokumentu.

„W roku 1979 Abu Abd Allah miał nie więcej niż 22 lata i ważył zaledwie 70 kilogramów. Był bardzo szczupły”. Abu Abd Allah to *nom de guerre* Osamy Bin Ladena. Wielu arabskich bojowników walczących w Afganistanie przybierało inne nazwiska. „Miał 180 centymetrów wzrostu. Na Osamie, który był absolwentem wydziału ekonomii Uniwersytetu Króla Abd al-Aziza w Dżuddzie, ciążyła wielka odpowiedzialność, wraz z dziewięcioma braćmi zarządzał majątkiem ojca”.

Od tej chwili opowieść kontynuuje sam Bin Laden: „W roku 1399 [według naszego kalendarza 1978], gdy przebywałem w Dżuddzie, dowiedziałem się, że wojska radzieckie zaatakowały Afganistan. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie i postanowiłem dołączyć do mych braci mudżahedinów w Pakistanie. Około dwóch tygodni zajęło mi przygotowanie się i zebranie pieniędzy od rodziny i braci”.

Następnie opisany jest strach, jaki towarzyszył Bin Ladenowi w pierwszych latach w Afganistanie: „Do pierwszego kwartału 1984 roku Bin Laden często odwiedzał [funkcjonariuszy partii] Jama'at-e Islami w Lahaur i dostarczał im pieniądze. Nie chciał jednak wyjeżdżać na front i rzadko opuszczał rejon Lahaur, Islamabadu i Peszawaru”.

Był więc wielkim tchórzem, pomyślałam. Jego towarzysze mudżahedini ginęli w walce z Rosjanami, a on przyglądał się temu z bezpiecznej odległości, zza granicy pakistańskiej. Osama mówi o tych dniach: „Na nieszczęście do 1984 roku nie mogłem włączyć się fizycznie [...], czego gorzko teraz żałuję; dopiero w miesiącu radżab 1984 roku po raz pierwszy wyruszyłem w głąb kraju, na pola bitewne dżihadu”.

Bin Ladena opuścił więc strach, a zmiana ta dokonała się prawdopodobnie pod wpływem Azzama. Ten charyzmatyczny mężczyzna, mentor i duchowy ojciec Osamy, polecił mu „udać się do Dżadzi, gdzie przebywa szajch Sajaf”.

I dalej: „W Dżadzi, na wyzwolonym terenie w pobliżu granicy Afganistanu i Pakistanu, szajch Sajaf, przywódca Zjednoczenia [ugrupowań mudżahedinów], założył obóz. [...] Jeden z licznych namiotów zarezerwowany został tam dla Osamy Bin Ladena, gdy ten po raz pierwszy postawił nogę w Afganistanie. Tu Bin Laden miał okazję przyjrzeć się z bliska dżihadowi i mudżahedinom. To, co zobaczył, ujął słowami: «Byłem wstrząśnięty skrajnie nędznymi warunkami i brakiem wszystkiego - broni, dróg, okopów. Błagałem Allaha Wszechmocnego o przebaczenie, czułem się winny, że posłuchałem niektórych braci i szajchów, i krewnych, którzy mówili mi, bym nie szedł w głąb kraju, że to byłoby dla mnie zbyt ryzykowne. Czułem, że to czteroletnie opóźnienie może być okupione tylko męczeństwem w imię Allaha»,,. A więc tam właśnie wszystko się zaczęło, pomyślałam. Tam Bin Laden postanowił użyć swego bogactwa i wiedzy, by utworzyć infrastrukturę i zbudować ufortyfikowane obozy dla bojowników dżihadu. Tam, w Dżadzi, w pobliżu granicy pakistańskiej, Bin Laden założył później swą pierwszą bazę w Afganistanie, pierwszy obóz szkoleniowy dla Arabów, ciągnących tłumnie do Afganistanu, by przyłączyć się do dżihadu. Obóz ten i nowe ugrupowanie utworzone przez Bin Ladena stały się znane jako Masada, czyli „Jaskinia Lwa”.

Rzuciłam okiem na córeczkę. Ciągle spała, wróciłam więc do czytania i doszłam do miejsca, w którym Azzam opisuje, jak zaangażował się w wojnę. „Przyglądałem się sytuacji na świecie i wyczuwałem narastającą tęsknotę do dżihadu, która zawsze mi towarzyszyła. Wiedziałem, że dżihad trwa w Jemenie - między

ruchem muzułmańskim a komunistami - a także w Afganistanie. Postanowiłem więc udać się do jednego z tych krajów. Podpisałem kontrakt z Uniwersytetem Króla Abd al-Aziza w Dżuddzie i uczyłem tam przez semestr”. To tam Azzam poznał Bin Ladena. „Bóg Wszechmogący wejrzał w nasze serca i widząc tęsknotę do dżihadu, spełnił nasze pragnienie i wskazał nam drogę”.

A potem pojawił się jeszcze bardziej zdumiewający fragment, opowiadający o bogatym Saudyjczyku Wa'ilu Dżulajdanie. Ten człowiek stał się trzecim członkiem triumwiratu, który wstrząsnął światem blisko dwadzieścia lat później.

Na Uniwersytecie Stanowym w Kentucky Abual-Hasan [inne nazwisko Dżulajdana] pilnie uczęszczał na wykłady z cyklu „Dzieje cywilizacji”. Wykładowca próbował zamienić przybytek nauki w miejsce sporów ideologicznych i metodologicznego zamętu. Uczeń zwrócił się jednak przeciwko mistrzowi, zatruta strzała przemieniła się w bumerang. Abu al-Hasan wspomina: „Latem 1980 roku żydowski profesor nazwiskiem Godson wykładał o cywilizacji islamu. [...] Mówił na temat muzułmańskiego dżihadu, ostrzegając studentów, że jest on zagrożeniem, niesie ze sobą zniszczenie wszelkiej ludzkiej cywilizacji. Powiedział, że w imię islamu zostały zniszczone pozostałości cywilizacji greckiej; że pod naporem islamu padła cywilizacja bizantyńska, że z tego samego powodu przestały istnieć cywilizacja perska i egipska. Zakończył słowami: «Cywilizacja Zachodu, której dobrodziejstwami cieszymy się w XX wieku, także upadnie wskutek muzułmańskiego dżihadu. Raz rozpoczęty dżihad dojdzie do Moskwy i ogarnie Rosję. Wtedy wybuchnie III wojna światowa pod sztandarami dżihadu, a to oznaczać będzie koniec cywilizacji, którą obecnie cieszymy się na Zachodzie». W tym momencie ja, młody muzułmanin, zrozumiałem, że dżihad w Afganistanie to dla nas wielka nadzieja. Wrogiem jest ktoś, kto mówi

takie rzeczy, nawet jeśli wcześniej był przyjacielem. Są ludzie, którzy przeciwstawiają się komuś, kto mówi takie rzeczy, i poprą dżihad. Od tej chwili byłem zdecydowany poświęcić się walce”.

Wiedziałam, że Dżulajdan odgrywał ważną rolę w Al-Ka'idzie, dopóki jednak nie przeczytałam książki Battirdżiego, nie zdawałam sobie sprawy, jak ważną.



Książka opisywała następnie szczegółowo pięć pierwszych lat wojny w Afganistanie, między innymi założenie przez Azzama, Bin Ladena i Dżulajdana biura Maktab al-Chidmat i wojskowych obozów szkoleniowych dla Arabów w Afganistanie. Biuro, utworzone w 1984 roku, służyło pomocą mudżahedinom i uchodźcom wojennym. W książce wymieniono wielu arabskich bojowników dżihadu, a także Amerykanów, którzy zostali zwolennikami Bin Ladena. Niektórzy z tych ludzi trafili później do więzień za udział w zamachach bombowych na ambasady amerykańskie albo zostali oskarżeni o wspieranie Al-Ka'idy. Jednym z nich był Inam Arnaut, dyrektor chicagowskiego oddziału BIF (organizacji dobroczynnej, która była współwydawcą książki Battirdżiego); w lutym 2000 roku - oskarżony o wspieranie Al-Ka'idy - w zamian za złagodzenie kary przyznał się do wymuszania okupów. Wielu innych figuruje na listach gończych FBI. Znałam te nazwiska i niektóre opisywane wydarzenia, ale dzięki książce mogłam uzyskać pełny obraz, uporządkować rozproszone fragmenty informacji, zrozumieć to, co było dla mnie (i dla innych) niejasne.

Książka Battirdżiego była nie tylko najbardziej fascynującą pracą

na temat muzułmańskiego terroryzmu, jaką kiedykolwiek czytałam, ale także zdumiewająco bogatym, podstawowym źródłem wiedzy o pierwszych pięciu latach działalności Bin Ladena, najgroźniejszego terrorysty wszech czasów. Opowiada o jego losach od najwcześniejszego dzieciństwa i przybliża sylwetki ludzi, którzy później go otaczali. Jest unikatową skarbnicą wiadomości z pierwszej ręki, dotyczących tego, co stanowiło największą zagadkę dla ludzi zajmujących się terroryzmem - korzeni Al-Ka'idy. Z żadnej innej książki czy publikacji nie sposób się tego dowiedzieć.

Dzięki Battirdziemmu wyjaśniła się jeszcze jedna ważna dla mnie kwestia: Bin Laden otoczony był przez małą grupę lojalnych ludzi, którym mógł ufać, którzy zaczęli razem w Masadzie, a potem rozproszyli się po całym świecie, by tworzyć bazy Al-Ka'idy w Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii, Niemczech, Bośni, Arabii Saudyjskiej. Al-Ka'ida stała się organizacją globalną. Książka, osobliwa kombinacja systematycznego wykładu i wspomnień, pozwoliła mi zrekonstruować pełny obraz, odtworzyć całą historię, której tytuł powinien brzmieć: *Al-Ka'ida: narodziny bestii*.

Krążące po głowie myśli wyczerpały mnie, na chwilę przestałam czytać. Spojrzałam na Shirley. Nie spała już, ale leżała cichutko, bacznie mi się przyglądając. Nie zwariowałam. Naprawdę mi się przypatrywała. Wyjęłam ją z łóżeczka i przemawiałam do niej, ale po kilku chwilach mała zaczęła się niecierpliwić. Była głodna. Ułożyłam się więc tak, by móc czytać, a jednocześnie karmić ją piersią.

„W ten sposób Bin Laden określił, w czym leży istota problemu. Był teraz niezbitnie przekonany, że stosowane dotychczas metody wysyłki zaopatrzenia powodują, iż nie dociera ono na front, i muszą zostać zmienione. Jako specjalista pracował wraz z braćmi przy budowie słynnych tuneli w Mekce, a teraz zaczął rozważać pomysł wykorzystania swych umiejętności w górach Dżadzi. Nie trzeba było

wiele czasu, by pomysł wykrystalizował się w jego głowie”.

Właściciel ogromnej firmy budowlanej, zamożny biznesmen, znalazł w końcu sposób na wykorzystanie swoich zasobów. Zbudował w górach fortece nie do zdobycia. Po 11 września znajdzie w tych bunkrach schronienie przed ścigającymi go amerykańskimi siłami specjalnymi i żołnierzami Północnego Sojuszu Afgańskiego.

Upewniłam się, że Shirley jest wygodnie, i czytałam dalej:

Jak powiedział autorowi Bin Laden: „Mudżahedini potrzebują tuneli do przechowywania broni, na szpitale i jako miejsce wypoczynku dla ludzi. Gdy mówię ludzi, mam na myśli tych, którzy kochają dżihad i islam. Związek Radziecki i Ameryka nazbyt zamąciły w głowie muzułmanom, przekonując ich, że są nietykalnymi supermocarstwami, że mają najnowocześniejszą broń i wywiad. Większość tego odbiega od prawdy”.

To był dowód, że nienawidził nas już wtedy. Nienawidził nas od samego początku. Nawet wówczas, gdy Stany Zjednoczone - za pośrednictwem CIA i jej pakistańskiego odpowiednika - opłacały i szkoliły w nadziei wykorzystania go przeciwko Rosjanom. O samego początku, gdy my uważaliśmy go za sojusznika, on nienawidził nas i wszystko, co reprezentujemy.

Dziś także większość przedstawicieli władz wierzy, że Bin Laden zwrócił się przeciwko nam dopiero po wojnie w Zatoce, podobno dlatego, że obecność oddziałów amerykańskich w krajach arabskich potraktował jako profanację swojej świętej ziemi. Battirdzi ukazał, że było inaczej. Bin Laden wykorzystał tylko wojnę w Zatoce jako dogodny pretekst do uzasadnienia swoich poczynań. Przytoczone w książce słowa Bin Ladena dowodzą, że plany zniszczenia narodziły się w tym pokrętym, chorym umyśle blisko dziesięć lat przed operacją Pustynna Burza.

Spojrzałam na córeczkę, małą i niczego nieświadomą. Gdy

odkładałam książkę na szafkę przy łóżku, po twarzy płynęły mi łzy.

Shirley ssała w najlepsze.

Pewnego gorącego dnia w sierpniu 1998 roku jechałam do biura. Pracowałam tam już od wielu miesięcy i nadal codziennie uczyłam się czegoś nowego. Jak zwykle słuchałam po drodze wiadomości. Przywiązywałam do tego wielką wagę, czytałam prasę, słuchałam radia, wykorzystywałam media elektroniczne. Musiałam być pierwsza i najlepiej poinformowana.

Około ósmej podano wiadomość o zamachach na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii. Straty były ogromne. Poraziła mnie liczba zabitych i rannych, a także przebiegłość zamachowców. Gdy w związku z zamachami pojawiła się nazwa Al-Ka'ida, od razu zrozumiałam również, jak niekompletna jest moja wiedza. Zajmowałam się drobiazgowo PIJ i Hamasem, ale o Al-Ka'idzie wiedziałam zbyt mało.

Nie mogłam mieć o to do siebie pretensji. Do tej pory wszyscy traktowali Al-Ka'idę z pewnym lekceważeniem.

Spójrzmy na przykład na Amerykanów. Zamachy we wschodniej Afryce w 1998 roku tylko przez krótki czas zajmowały pierwsze miejsce w serwisach agencyjnych, potem media przestały się nimi interesować. Ludzie są patriotami lokalnymi - niepokoi ich przede wszystkim to, co dzieje się najbliżej. W Afryce poniosło śmierć wiele osób, ale zamachów nie dokonano na ziemi amerykańskiej, a ofiary w większości nie były Amerykanami. Przekonywaliśmy siebie samych, że obywatele Stanów Zjednoczonych, którzy wówczas zginęli, zdawali sobie sprawę, że podejmują pracę w niebezpiecznym zakątku ziemi. Dla ogromnej większości Amerykanów Al-Ka'ida niewarta była uwagi.

Problem polegał na tym, że władze amerykańskie były w tej kwestii równie niefrasobliwe jak społeczeństwo. Władze powinny

potraktować Al-Ka'idę o wiele poważniej na długo przez wydarzeniami w Afryce.

Natychmiast po zamachach zaczęłam gromadzić informacje o Al-Ka'idzie. Wiedziałam wtedy, podobnie jak wszyscy, że organizacja powstała w czasie wojny radziecko-afgańskiej. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych powszechnie było również wiadomo, że Stany Zjednoczone wspierały Bin Ladena w początkach jego działalności. Wówczas mogło się to wydawać dobrym pomysłem, przynajmniej z punktu widzenia taktyki. Pod względem strategicznym okazało się to katastrofą. Zaskakujące? Nie bardzo. Wspieranie terroryzmu, niezależnie od motywów, zawsze *ma* skutki *odwrotne od* zamierzonych.

Co sprawiło, zastanawiałam się w pierwszym okresie poszukiwań, że Bin Laden zamienił się z sojusznika w zajadłego wroga?

Jak zwykle próbowałam dotrzeć do podłoża sprawy i zrozumieć, jak i dlaczego Al-Ka'ida robi to, co robi. W tym wypadku nie wchodziły w grę żadne akcje w przebraniu, musiałam ograniczyć się do gromadzenia ogólnie dostępnych informacji - szukać publikacji, starych gazet i książek traktujących o tamtych, owianych mgłą tajemnicy czasach wojny afgańskiej.

Zaczęłam ściągać z całego świata odbitki starych numerów „Al-Dżihad”, wydawanego przez Maktab al-Chidmat periodyku, do którego pisali Abd Allah Azzam i inni arabscy bojownicy w Afganistanie. Dotarłam do „Al-Bunjan al-Marsus” („Trwałe podwaliny”), czasopisma wychodzącego po arabsku w Pakistanie, relacjonującego szczegółowo przebieg wojny radziecko-afgańskiej z punktu widzenia bojowników arabskich.

Z publikacji tych dowiedziałam się, że podczas wojny przeciwko Rosjanom nie działała organizacja terrorystyczna o nazwie Al-Ka'ida. Był natomiast Abd Allah Azzam, któremu udało się zjednoczyć świat

arabski pod hasłem dżihadu i który niczym Szczurołap z Hamelin poprowadził rzesze młodych Arabów na wojnę w Afganistanie. Nacjonalizm, siła napędowa działań wielu tych młodych ludzi, nie miał wówczas żadnego znaczenia; ważny był Afganistan. Azzam, Bin Laden i Dżulajdan założyli Maktab al-Chidmat nie jako organizację terrorystyczną, ale dobroczynną.

Tu więc, pomyślałam, krył się załączek pomysłu wykorzystania organizacji charytatywnych jako przykrywek dla działań terrorystycznych. Dobroczynność, uchodźcy, fundusze, mudżahedini, dżihad... znakomicie. W miarę lektury obraz całości stawał się coraz wyraźniejszy. Zrozumiałam ewolucję idei. Podczas wojny radziecko-afgańskiej wielu problemów przysparzał mudżahedinom przemyt broni i sprzętu wojskowego przez granicę pakistańską. Dostawy utrudniali zarówno Pakistańczycy, jak i liczni Afgańczycy, którzy ostro przeciwstawiali się obecności i udziałowi w wojnie bojowników arabskich. Wtedy właśnie Bin Laden i jego ludzie zaczęli wykorzystywać dobroczynność jako przykrywkę - pod żywnością i rzeczami dla uchodźców przewożono to, o co naprawdę chodziło: broń i amunicję. Do organizacji charytatywnych aktywnie uczestniczących w tego typu operacjach należał saudyjski Czerwony Półksiężyc, którego szefem był wówczas nie kto inny tylko Wa'il Dżulajdan.

W numerach „Al-Dżihad” i „Al-Bunjan” (zdobyłam niemal wszystkie) znalazłam jeszcze kilka interesujących szczegółów. Na przykład to, że Maktab al-Chidmat otworzyło ośrodki w różnych krajach Europy, Azji i Ameryki. W Ameryce przybrało nazwę bardziej odpowiadającą „dobroczynnej” orientacji: Al-Kifa, Biuro Uchodźców. Rzeczywiście, zbierano pieniądze na to, co nazywało się pomocą humanitarną, na przykład na sieroty w Afganistanie, bardzo dogodnie jako obiekt dobroczynności. W bardzo podobny sposób działa HLF,

nawet wydawnictwa obu organizacji są podobne. Deklaracja wpłat na utrzymanie dziecka męczennika, którą wypełniłam na konferencji IAP, była identyczna z formularzami Maktabu.

Odkryłam też rzecz o zasadniczym znaczeniu: zarówno redakcja „Al-Dżihad”, jak „Al-Bunjan” miały ten adres co Centrum Muzułmańskie w Tucson w Arizonie. Centrum w Tucson pełniło wówczas funkcję pierwszego oddziału Maktabu w Ameryce.

Postanowiłam dowiedzieć się czegoś o tym Centrum. Przejrzałam publicznie dostępne roczne raporty (moja specjalność) i znalazłam informację, że w 1983 roku jego prezesem był Wa'il Dżulajdan. Podobnie jak Osama Bin Laden, zafascynowany słowami Abd Allaha Azzama, rzucił wszystko, by poświęcić życie dla dżihadu. Im bliżej przyglądałam się Dżulajdanowi, tym lepiej rozumiałam rolę, jaką odgrywał w Al-Ka'idzie. Podczas licznych spotkań z funkcjonariuszami FBI, NSC, Departamentu Skarbu i INS okazywało się jednak, że żaden z nich nie orientuje się, kim jest ten człowiek. Przy wielu okazjach próbowałam ich zainteresować, dawałam materiały. Tak było na przykład podczas spotkania w Białym Domu, dotyczącego Chalila ad-Dika i dochodzenia w sprawie spisku milenijnego. Wymieniłam nazwisko Dżulajdana, ponieważ rozmawialiśmy o Al-Ka'idzie i chciałam uświadomić zebrany, jak ważną jest on postacią w tej organizacji. Przyniosłam ze sobą obszerne dossier, zawierające między innymi zdjęcie Dżulajdana w „Al-Dżihad”, dowód jego związków z Centrum Muzułmańskim w Tucson i saudyjskimi organizacjami dobroczynnymi powiązanyymi z Bin Ladenem, a także opublikowany w gazecie wywiad, w którym Azzam i Bin Laden mówią o Dżulajdanie jako o swym bracie i bojowniku dżihadu. Władze amerykańskie nie podjęły jednak przeciwko Dżulajdanowi żadnych kroków; zrobiono to dopiero rok po 11 września.

Po wyjeździe z Ameryki w 1984 roku Dżulajdan, założyciel Maktabu, wykorzystywał Centrum Muzułmańskie w Tucson jako punkt kontaktowy, poprzez który prowadzono dystrybucję wydawnictwa Maktabu. Prowadzono tam również werbunek mudżahedinów. W Centrum rozpoczął swoją drogę do dżihadu Wadih al-Hadżdż, osobisty sekretarz Bin Ladena, oskarżony później o udział w zamachach na ambasady w Afryce. Dżulajdan utrzymywał związki z meczetem w Tucson przez kilka lat, dopóki w końcu 1987 roku nie przeniesiono głównej siedziby Maktabu do Nowego Jorku. Wkrótce potem w miastach amerykańskich, między innymi w Nowym Jorku, Chicago, Bostonie i Tucson, działało co najmniej dwadzieścia oddziałów biura.

Nowojorski oddział Maktabu był zamieszany w kilka zamachów terrorystycznych i spisków: zamordowanie rabina Meira Kahana w 1990 roku przez As-Sajjida Nusajra, podłożenie bomby w World Trade Center w 1993 roku, nieudany spisek mający na celu wysadzenie tunelu Lincolna w Nowym Jorku. W operacjach tych uczestniczyli agenci Maktabu; biuro sfinansowało i dostarczyło materiały wybuchowe.

FBI błędnie założyło, że wszystkie te wydarzenia nie mają ze sobą nic wspólnego. Po co zajmować się mordercą Kahana - myślano - przecież to tylko fanatyczny muzułmanin, który zabił szalonego Żyda. To był zgubny w skutkach błąd. Podczas pobytu w więzieniu Nusajr pomógł agentom Maktabu zaplanować zamach na tunel Lincolna.

Gdy krótko po zabójstwie Kahana FBI przeszukała mieszkanie Nusajra, znalazła mnóstwo podręczników w języku arabskim, zawierających szczegółowe instrukcje technik zabijania, kidnapingu, zasad selekcji nieprzyjacielskich celów; niektóre z tych podręczników zostały wydane przez Maktab. Przetłumaczono je dopiero trzy lata później, po zamachu na World Trade Center. Nawet wówczas jednak

FBI nie chciało uznać, że zamach ten był dowodem istnienia rozgałęzionego, potężnego spisku i że na tym się nie skończy. Nawet wówczas utrzymywano, że zamach był dziełem szaleńca i nie wiązano go z Maktabem. Nigdy by jednak nie nastąpił bez pomocy Maktabu.

Dochodzenie w tej sprawie prowadzono w taki sam sposób, jak wiele innych śledztw przeciwko terrorystom, na przykład przeciw PIJ czy Hamasowi. Agenci Biura nie zadawali sobie trudu studiowania „Al-Much-tar”, periodyku PIJ, ani „Ila Filistin” Hamasu, zaniechali także lektury czasopisma Azzama, „Al-Dżihad”. FBI nigdy nie przyjrzało się bliżej Maktabowi. Ja jednak to zrobiłam.

Może się wydawać dziwne, ale wnioski FBI w sprawie zamachu bombowego na World Trade Center w 1993 roku zgadzały się z moimi - nie był to pomysł Maktabu.

FBI było zdania, że zamachu dokonał człowiek obłąkany.

Ja wiedziałam, że była to Al-Ka'ida.

W jaki sposób Al-Ka'ida była zamieszana w te wydarzenia?

Po kilku latach spędzonych wspólnie w Afganistanie drogi Bin Laden i Azzama zaczęły się rozchodzić. Mistrza i ucznia poróżniła wizja dżihadu i jego przyszłości. Bin Laden wiedział, że Azzam i Maktab opowiadają się za walką, ale przywiązują także wagę do innych form działania, sam jednak uważał, że należy skupić się przede wszystkim na szkoleniu wojskowym i traktował Afganistan jako bazę dla przyszłego, ogólnoświatowego dżihadu. W końcu 1985 roku Bin Laden i około pięćdziesięciu wiernych mu arabskich bojowników rozstali się z Azzamem i założyli Masadę, wojskowy obóz szkoleniowy na obrzeżach Dżadzi, gdzie mieli być szkoleni najlepsi mudżahedini, najbardziej fanatyczni bojownicy na świecie. Stamtąd bojowników tych wysyłano by wszędzie tam, gdzie konieczny będzie dżihad, do wszystkich zakątków świata.

Azzam zginął w 1989 roku w Peszawarze wskutek wybuchu bomby podłożonej w jego samochodzie. Fama głosiła, że to Bin Laden wyeliminował swego byłego mentora, a później rywala. Ale czy tak było naprawdę?

Książka Battirdziego, wydana dwa lata po śmierci Azzama, opisuje konflikt i rozstanie Azzama i Bin Ladena. Nie rozmawiali ze sobą blisko rok, ale potem Azzam odwiedził Masadę, zachwycił się sposobem prowadzenia obozu i nie mógł się nachwalić metod działania Bin Ladena. Pozostał w obozie kilka tygodni; rankami uczył bojowników Koranu; dopiero potem zaczynały się ćwiczenia wojskowe. Pod koniec życia Azzam nie tylko nie rywalizował ze swoim uczniem, ale wręcz entuzjastycznie go popierał.

Czytając książkę Battirdziego, przypomniałam sobie, jak przed laty natrafiłam w „Al-Dżihad” na artykuł Azzama z 1988 roku. Azzam opisywał tam swą nową wizję dżihadu u schyłku dziesięcioletniej wojny radziecko-afgańskiej: „Społeczność muzułmańska nie umocni się, jeśli nie utworzy ruchu, który sprawdzi się w walce. Uczestnicy ruchu muszą przejść przez próbę ognia. Ten ruch będzie iskrą, która rozpali płomień *ummy*. Poprowadzi dżihad i obejmie w nim przywództwo”.

Dalej następuje opis szkolenia wojskowego w Masadzie i konkluzja: „Zrozumieliśmy teraz znaczenie tej bazy, w której uczy się islamu i wychowuje od najwcześniejszego dzieciństwa do pełnienia misji”. Azzam sam więc wyznał, że jego wcześniejsza dezaprobata zamieniła się w pełną akceptację bazy szkoleniowej Bin Ladena. Ten ostatni dobrze to rozumiał i nie miał powodu chować urazy do Azzama.

Artykuł opisujący ewolucję swych poglądów po obejrzeniu Masady zatytułował Azzam *Al-Ka'ida as-Saliba* (Solidna baza). Po arabsku *alka'ida* znaczy baza - centrala lub kwatera główna.

Azzam, twórca ideologicznych podwalin ogólnoswiatowego dżihadu, zanim odszedł w zapomnienie, dał swemu uczniowi pożegnalny prezent. Pierwszy nazwał ugrupowanie Bin Ladena Al-Ka'ida i nazwa ta się przyjęła.

Przez kilka lat Al-Ka'ida i Maktab blisko ze sobą współpracowały. Maktab prowadził werbunek mężczyzn, którzy mieli zostać mudżahedinami. Przybywali oni ze wszystkich stron świata do Pakistanu i umieszczani byli w *bajt al-ansar*, domach gościnnych. Stamtąd wysyłano ich na dżihad, podczas gdy ich rzeczy osobiste i dokumenty pozostawały w owych domach gościnnych. Przybytki te finansowane były, przynajmniej w części, przez Światową Ligę Muzułmańską (MWL), saudyjską organizację, która służy jako parasol dla licznych organizacji charytatywnych. Biurem MWL w Pakistanie kierował Wa'il Dżulajdan, który opuścił Maktab wraz z Bin Ladenem i został jednym z najwyższych rangą funkcjonariuszy Al-Ka'idy. Najlepsi ochotnicy, najodważniejsi i najbardziej fanatyczni, wysyłani byli z domów gościnnych do Masady, obozu Bin Ladena.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Maktab stopniowo jednak szedł w rozsypkę. Po pierwsze, nie żył już legendarny przywódca, Azzam. Potem zabity został w swoim nowojorskim biurze szef Maktabu w Stanach Zjednoczonych, Mustafa Szalabi. Uważano, że był to rezultat albo wewnętrznej rywalizacji, albo konfliktu ze Ślepym Szejkem, Umarem Abd ar-Rahmanem. W końcu został aresztowany i skazany Ślepy Szejk. Oddziały Maktabu przestały istnieć, agenci jakby rozplynęli się w powietrzu.

Byłam mocno zaintrygowana tym dziwnym zjawiskiem i usiłowałam dowiedzieć się czegoś od przedstawicieli władz, między innymi urzędników Białego Domu. Gdzie podziali się rozliczni agenci Maktabu? Niemożliwe, żeby wszyscy się wycofali, zostali sprzedawcami samochodów czy bankierami. Musieli znaleźć inne

metody działania, inny sposób wcielania w życie wizji Azzama, zapowiadającej panowanie islamu na świecie.

Najpoważniejszym kandydatem do objęcia kierownictwa Maktabu w Stanach Zjednoczonych był Wadih al-Hadżdż. Tak się jednak nie stało, Al-Hadżdż skończył jako osobisty sekretarz Bin Ladena i uczestnik zamachów na ambasady we wschodniej Afryce. Działacz Maktabu i dyrektor BIF, Inam Arnaut, w lutym 2000 roku zawarł układ z władzami i przyznał się do finansowania rozruchów w Czeczenii i wspierania oddziałów bośniackich, a kierowana przez niego organizacja dobroczynna, BIF, uznana została za przykrywkę dla Al-Ka'idy. To samo spotkało GRF, organizację, której prezesem i skarbnikiem był kolejny człowiek związany z Maktabem, Rabih Hadda; on też znalazł się w więzieniu. Podobnie ułożyły się losy wielu innych działaczy Maktabu.

Jak się więc okazało, ludzie związani z Maktabem - Arnaut, Al-Hadżdż, Hadda i inni - zdając sobie sprawę, że organizacje charytatywne stwarzają wielkie możliwości działania, że dzięki zbiórkom pieniędzy można finansować dżihad - zakładali własne organizacje. Im więcej ich powstawało, tym mniej potrzebny stawał się Maktab.

A tymczasem rosła w siłę organizacja, w której dawni działacze Maktabu mogli znaleźć bezpieczną przystań - Al-Ka'ida.

Władze nie zajmowały się tymi ludźmi zbyt gorliwie, tak że ci mogli prowadzić swoją działalność bez przeszkód. Gorzej nawet: nigdy naprawdę nie przyjęły do wiadomości, że Nusajr, Jusuf, Adżadż i reszta bandy, która wysadziła World Trade Center w 1993 roku, blisko współpracowała z Maktabem, Ślepym Szejkiem i Al-Ka'idą. A do tego, mimo że Bin Laden należał do spisku, Al-Ka'ida nigdy nie została oskarżona o ten zamach; nawet po 11 września FBI nie przyznało się do błędu.

Najgorsze jednak jest bez wątpienia to, że władze, a zwłaszcza FBI, systematycznie ignorowały wskazówki i dowody dotyczące Al-Ka'idy. Do dziś funkcjonariusze organu ochrony porządku publicznego utrzymują, że nie wiadomo kiedy, dlaczego i jak powstało to ugrupowanie. Jeżeli chodzi o al Ka'idę, FBI wykazywało się nieporadnością lub - zależnie od punktu widzenia - dopuszczało się karygodnego zaniedbania od zamachu na World Trade Center w 1993 do 11 września 2001 roku.

Pierwsze spojrzenie na broszurę sprawiło, że poczułam się, jakby uderzono mnie obuchem w głowę. Spojrzałam jeszcze raz i w gardle mi zaschło. Była tam, po arabsku, pojawiała się w całej broszurze. Natychmiast zadzwoniłam do Maxa, by mu o tym powiedzieć. Dosłownie oniemiał. Potem przekazałam tę wiadomość przyjacielowi, muzułmańskiemu uczoneму; chciałam zyskać pewność, że się nie mylę. Trzeci telefon był do Andy'ego McCarthy'ego, prokuratora kierującego śledztwem w sprawie zamachu bombowego na World Trade Center. Gdy powiedziałam mu o swoim odkryciu, o tym, jaką nazwę zobaczyłam w broszurze, nie mógł wyjść ze zdumienia. Poprosił mnie o przesłanie faksem tekstu, co od razu zrobiłam.

Tydzień później zadzwoniłam do niego ponownie, żeby dowiedzieć się, co nowego, ale nie było dla mnie żadnych wiadomości.

Cóż zresztą mógłby powiedzieć mi o tej sprawie?

Wszystko zaczęło się we wrześniu 1992 roku, gdy na pokład samolotu pakistańskich międzynarodowych linii lotniczych, lecącego do Stanów Zjednoczonych, wsiadł Ramzi Ahmad Jusuf. Tym samym samolotem leciał Ahmad Adżadz. Obaj mężczyźni znali się z niedawnego pobytu w obozie szkoleniowym w Afganistanie. Wojna radziecko-afgańska już się skończyła, ale obozy szkoleniowe działały

prężniej niż kiedykolwiek; Bin Laden zaś budował na opuszczonych wzgórzach Afganistanu bunkry i tunele, wykorzystując najnowocześniejsze techniki i materiały. Bin Laden wypowiedział wojnę Ameryce, a Jusuf i Adżadż się na nią zaciągnęli. Podczas lotu z Pakistanu Jusuf podmienił zdjęcie w fałszywym paszporcie irackim, który właśnie kupił na czarnym rynku w Peszawarze za sto dolarów. Adżadż podróżował już wcześniej do Stanów Zjednoczonych i nie żywił aż tak dużego respektu dla bystrości urzędników imigracyjnych, by podjąć próbę nadania swemu paszportowi pozorów autentyczności. Zostawił swój fałszywy brytyjski paszport bez zmian.

Adżadż był bardzo zaskoczony, gdy zatrzymano go na lotnisku - głównie dlatego, że nie był ani trochę podobny do osoby ze zdjęcia, ale także dlatego, że jak na człowieka z brytyjskim paszportem postąpił się zadziwiająco nieporadnym angielskim. Jusuf, widząc, że jego współnik został zatrzymany, szybko podjął decyzję - sam zgłosił się do INS i poprosił o azyl polityczny. Wiedział, że iracki paszport daje mu prawo do ubiegania się o azyl. I rzeczywiście, puszczono go wolno i poinstruowano, że ma zgłosić się za kilka miesięcy i dowiedzieć, jaka decyzja zapadła w jego sprawie. Te kilka miesięcy wystarczyło, by Jusuf, z niewielką pomocą swoich przyjaciół, zdołał zorganizować zamach i zdetonować bombę w World Trade Center.

W chwili aresztowania Adżadż miał przy sobie podręczniki. Dużo podręczników. Dla ścisłości - dwie pełne walizki. Niektóre z nich omawiały metody posługiwania się szyframi. FBI przetłumaczyło je i przedstawiło jako dowody rzeczowe podczas procesu w sprawie zamachu w World Trade Center.

Jeden egzemplarz znajdował się w firmowej kopercie WAMY z emblematem przedstawiającym kulę ziemską z zaznaczonym Bliskim

Wschodem i dłonią z mieczem, który przeszywa glob. Napis na emblemacie brzmiał: „Studium Wojskowe Dżihadu przeciwko Tyranom”. Podręcznik zawierał szczegółowy wykład technik uprowadzania, zbijania, zamachów bombowych, a także konspiracji i poruszania się mudżahedinów po krajach Zachodu bez wzbudzania podejrzeń. Cynicznie wykorzystując podejście Zachodu do praw człowieka, zalecano tam schwytanym agentom bezzwłoczne składanie skarg, że byli torturowani i zeznania zostały na nich wymuszone siłą. Podawano także metody wyboru celów. Bardzo wysokie miejsce na liście najlepszych celów zajmowały ambasady amerykańskie.

Na stronie trzeciej i czwartej znalazły się następujące słowa:

Rządy państw muzułmańskich nigdy nie były i nigdy nie będą ustanawiane w drodze rozwiązań pokojowych i współpracy. Ustanawiane są [zawsze] przez pióro i karabin przez słowo i kulę przez język i zęby w imię Allaha miłosiernego i współczującego. Tego, co jest własnością „domu gościnnego”, Prosimy nie zabierać bez pozwolenia.

W walizce Adżadża znaleziono także podręcznik podający skuteczne sposoby zatrzymywania rosyjskich czołgów. Nazwa widniejąca na jego okładce pojawiała się również na każdej stronie. Tłumacz z FBI przetłumaczył ją jako „Pierwszy element”.

Nazwa, która tak mną wstrząsnęła, brzmiała: Al-Ka'ida.

W pierwszym tygodniu 1995 roku policja w Manili, stolicy Filipin, została postawiona w stan najwyższej gotowości na kilka dni przez wizytą papieża Jana Pawła II i zrobiła nalot na małe mieszkanie w domu, w którym wybuchł pożar. Znaleziono wiele dowodów spisku terrorystycznego, włącznie z zaimprovizowaną fabryczką bomb - podręczniki chemii, ogromną ilość chemikaliów, takich jak nitrobenzen, bomby rurowe, przewody, cyfrowe zegarki Casio. Wśród

przechwyconych rzeczy były także sutanny, szczegółowe mapy z zaznaczoną trasą podróży papieża, paszporty i komputer, w którym zachowała się część planów terrorystów. Plany te zakładały jednoczesne wysadzenie w powietrze dwunastu odrzutowych samolotów pasażerskich nad Pacyfikiem. Operacja miała kryptonim „Bojinka”, od serbsko-chorwackiego słowa oznaczającego wybuch. W komputerze znaleziono również liczne pliki zawierające rozkłady lotów.

Spiskowcy uciekli z mieszkania zaraz po wybuchu pożaru, ale jednego z nich, Abd al-Hakima Murada, wkrótce zatrzymano. Inny uczestnik spisku, Ramzi Jusuf, który zbiegł ze Stanów Zjednoczonych natychmiast po zamachu na World Trade Center, i tym razem zdążył opuścić Filipiny; aresztowany został w końcu kilka miesięcy później w jednym z domów gościnnych Bin Ladena w Pakistanie.

Z przesłuchań tych dwóch ludzi wyłonił się obraz mrozący krew w żyłach.

Jusuf zaczął zeznawać już w samolocie, którym przewożono go z Pakistanu do Stanów Zjednoczonych. Opowiedział, jak zaplanował zamach na World Trade Center i jak go dokonał. Chcąc sprawdzić swoje gadżety i własnoręcznie wykonane elementy przed wielką rozgrywką, najpierw podłożył bombę w kinie w Manili, a następnie w samolocie filipińskich linii lotniczych; w wyniku wybuchu zginął jeden z pasażerów. Z tego wyczynu był szczególnie dumny, ponieważ zmontował bombę w samolocie, a po zejściu z pokładu użył zegarka Casio jako detonatora czasowego. Zeznał, że jego grupa planowała zabić papieża, wysadzając tunel podczas przejazdu głowy Kościoła; w planach było także zabójstwo prezydenta Clintona. Wyjawił również przesłuchującym niektóre sposoby zdobywania informacji; utrzymywał na przykład, że wiedzę na temat systemu bezpieczeństwa na lotnisku, łącznie z zasadami działania nowych,

nader wymyślnych urzędzeń, zaczerpnął z reportażu w CNN.

Jusuf odmówił wyjaśnienia kilku kwestii, wciąż istniała więc możliwość, że inni agenci Al-Ka'idy wykorzystają w przyszłości wypracowane przez niego techniki, a poza tym część zeznań obliczona była na zmylenie przesłuchujących, podrzucenie błędnych tropów. Mimo to wyszło na jaw kilka przerażających szczegółów. Jusuf wybrał na przykład World Trade Center dlatego, że runięcie jednej wieży na drugą spowodowałoby śmierć 250 tysięcy osób. Tyle właśnie wynosiła liczba ofiar bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki podczas II wojny światowej. Po zamachu Jusuf zajmował się szkoleniem młodych ludzi w obozach w Pakistanie, w pobliżu granicy afgańskiej, w zakresie posługiwania się materiałami wybuchowymi. I wreszcie opowiedział o swoim przyjacielu od dzieciństwa, Muradzie, który w 1992 roku przyjechał do Stanów Zjednoczonych, by kontynuować naukę pilotażu, rozpoczętą w Katarze.

Murad także złożył zeznania. Powiedział, że gdy Jusuf dowiedział się o planowanym przez niego w 1992 roku wyjeździe do Stanów Zjednoczonych, namawiał go, by przy tej okazji rozeznał się w ewentualnych celach. Tak się też stało; Murad przemieszczał się z Florydy do Kalifornii, z Teksasu do Waszyngtonu i rzeczywiście sporządził listę. Znajdowało się na niej wiele mostów, elektrowni atomowych i oczywiście World Trade Center, gdzie Murad zrobił kilka zdjęć. Pozostałych obiektów nie wolno było fotografować.

Murad miał więc wybrać cele, Jusuf wysadzić je w powietrze. Spotkali się w Pakistanie krótko po zamachu na World Trade Center, opracowali plan dalszych działań i postanowili wyjechać na Filipiny wraz z wujem Jusufa, Chalidem Szajchem Muhammadem, trzecim członkiem tej komórki Al-Ka'idy. Na Filipinach obmyślili operację „Bojinka”, a potem wpadli na kolejny pomysł.

Agenci FBI napisali w protokole z przesłuchania Murada: „Przesłuchiwany miał zamiar wsiąść na pokład amerykańskiego samolotu linii krajowych, przejąć nad nim kontrolę i uderzyć w kwaterę główną CIA. Do realizacji tego planu nie zamierzał używać żadnych bomb ani ładunków wybuchowych. Miał to być zamach samobójczy, którego dokonałby z największą ochotą”.

Brzmi dziwnie znajomo, prawda? Murad zamierzał włamać się do kabiny pilotów, wykorzystać nabytą w Stanach Zjednoczonych umiejętność pilotażu i uderzyć w gmach CIA. Sześć lat przed 11 września FBI wiedziała, że taki pomysł zakiełkował w głowach terrorystów, którzy już wcześniej próbowali zburzyć World Trade Center.

Murad znalazł się w więzieniu w 1995 roku, później w tym samym roku został aresztowany Jusuf. Chalid Szajch Mohammad nigdy nie został jednak schwytany i nigdy nie zapomniał o planach, które zamierzał zrealizować wraz ze swoimi towarzyszami. FBI jak zwykle wyciszyło sprawę, Muhammad zaś - obecnie najbardziej obok Bin Ladena poszukiwany członek Al-Ka'idy - dopracował i ulepszył pierwotny pomysł, a w końcu wcielił go w życie 11 września.

W 1996 roku FBI po raz pierwszy wdrożyło dochodzenie przeciwko Al-Ka'idzie. Niezależnie od tego, czy powodem było wydalenie Bin Ladena z Sudanu i jego przeprowadzka do Afganistanu, czy rozbicie w poprzednim roku komórki filipińskiej, czy jakieś inne względy, Biuro postanowiło podjąć w końcu działania przeciw organizacji terrorystycznej. Postanowiono śledzić Wadiha Al-Hadżdża, podejrzanego o związki z Al-Ka'idą. Była to ze wszech miar słuszna decyzja.

Al-Hadżdż, chrześcijanin z Libanu, przeszedł na islam i ożenił się z April Ray, obywatelką amerykańską z Arizony, konwertytką. Poznali się dzięki ogłoszeniu w gazecie; po ślubie Al-Hadżdż przeprowadził

się do Arizony i włączył w działalność Centrum Muzułmańskiego w Tucson. Bardzo wiele czasu spędzał w podróżach do Pakistanu, Afganistanu i Sudanu, coraz intensywniej też współpracował z Maktabem i Al-Ka'ida. W 1992 roku został osobistym sekretarzem Bin Ladena w Sudanie.

W 1994 roku Al-Hadżdż przeprowadził się z Sudanu do Nairobi, stolicy Kenii. FBI śledziło go przez dwa lata, podejrzewając, że jego związki z Bin Ladenem to coś więcej niż „zwykła znajomość”. Inwigilowano go systematycznie, nagrywano jego rozmowy telefoniczne. Żona Al-Hadżdża, która wiedziała, że mąż pracuje dla Bin Ladena, domyślała się, że telefony są na podsłuchu. Porozumiewali się szyfrem. Pewnego razu Al-Hadżdż poprosił żonę o wysłanie „dziesięciu zielonych papierów”.

- Zielonych papierów? - zdziwiła się - Masz na myśli pieniądze?

- Dziękuję ci bardzo. To jest tylko dla twoich uszu. Nikt inny nie słucha - odparł sarkastycznie zirytowany Al-Hadżdż.

Innym razem Ray miała wrażenie, że słyszy z telewizora głos, mówiący: „To jest to. To jest ta linia. [...] Tak, tak, czy to Arab czy Anglik?”. Przypisała ten incydent niedbałości podsłuchujących.

Na początku 1997 roku FBI i miejscowa policja wspólnie przeprowadziły nalot na dom Al-Hadżdża w Kenii, krótko po jego powrocie ze spotkania z Bin Ladenem w Afganistanie. Skonfiskowano wówczas notesy telefoniczne, listy i komputery. Okazało się, że Al-Hadżdż utrzymywał bardzo bliskie osobiste kontakty z wieloma osobami, które - jak później wyszło na jaw - w taki czy inny sposób były zamieszane w działalność terrorystyczną, między innymi z człowiekiem związanym z członkami hamburskiej komórki Al-Ka'idy - to ona przeprowadziła zamachy 11 września.

Jeden z listów znalezionych w domu Al-Hadżdża opatrzony był napisem „Ścisłe tajne”. Był to raport przygotowany dla „urzędników

administracji”, co w istocie oznaczało kierownictwo Al-Ka’idy. Pierwsza część raportu, zatytułowana *Abd as-Sabur ujawnia zasady nowej polityki*, mówi o „młodych ludziach i Hadżdzu”, którzy są w doskonałej formie, a Sabur otrzymał od Hadżdża pełnomocnictwo. „Nowa polityka to przygotowanie 300 działaczy na przybycie gościa”.

Abd as-Sabur to przybrane nazwisko Al-Hadżdża; Hadżdż - Bin Laden; pełnomocnictwo - pieniądze; nowa polityka - ożywienie działań militarnych w Somalii; gość - miejscowe władze i FBI. Samo FBI nazywane było przez Bin Ladena i jego zastępców „Food and Beverage Indusrry” (Wytwórnią Jedzenia i Picia). Cóż za ironia.

W chwili gdy zobaczyłam list, zorientowałam się, że jest zaszyfrowany. FBI także doskonale zdawało sobie sprawę z tego, że terroryści posługują się szyfrem. Kilka lat później na procesie Al-Hadżdża tego typu dokumenty posłużyły jako dowody rzeczowe. Po zamachu na World Trade Center w 1993 roku FBI przesłuchiwało taśmy z rozmowami telefonicznymi między Jusufem a siedzącym w więzieniu Adżadżem. Omawiając plany zamachu ci dwaj posługiwali się terminami związanymi z gotowaniem i nazwami rozmaitych warzyw. Od lat było wiadomo, że jedzenie oznacza materiały wybuchowe i przedstawiono nawet nagrania rozmów z użyciem tego szyfru podczas procesu w 1995 roku, mimo to jednak FBI nie dostrzegало związku między zamachem na World Trade Center a wysadzeniem w powietrze ambasad amerykańskich we wschodniej Afryce. To, czego nauczono się o szyfrach, szybko poszło w zapomnienie.



W raporcie były wzmianki o inżynierach (specjaliści od wysadzania w powietrze), łączności (materiały wybuchowe) i „najlepszych drogach dojścia na tereny położone na południe od Kenii”, co oznaczało trasy prowadzące do Dar es-Salaam z Kenii lub Somalii. Terroryci, jak się później okazało, wielokrotnie sprawdzali te trasy, zanim wykorzystali je do transportu materiałów wybuchowych. Następnie wyszczególniono w liście wydatki na zakup żywności (materiałów wybuchowych potrzebnych do realizacji planów). Nawet ja, nowicjuszka w zakresie odczytywania szyfrów, widziałam jasno, że list jest dowodem na to, iż szykuje się coś większego.

Nalot na dom Al-Hadżdża przyniósł FBI jeszcze inne interesujące zdobycze.

Na twardym dysku komputera znaleziono e-mail, zawierający wzmiankę o wypowiedzeniu przez Bin Ladena wojny Ameryce. Mówiło się tam także o „agencji” (Al-Ka’ida), która przygotowuje się do przyszłych działań, co oznaczało uzbrojenie komórki afrykańskiej - to właśnie zostało ustalone podczas spotkania Al-Hadżdża z „dyrektorem”, Osamą Bin Ladenem, w Afganistanie.

W liczącym sześć stron e-mailu znalazł się również taki fragment: „Z tych właśnie powodów musimy zadać sobie pytanie, czy jesteśmy gotowi do tej wielkiej, potajemnej bitwy. Czy podjęliśmy wszelkie możliwe kroki, by nikt z nas nie wpadł w pułapkę? Liczyliśmy na błogosławieństwo Allaha, nie dość polegając na sobie”.

O mój Boże, pomyślałam, czy można to powiedzieć jaśniej? Nie może być mowy o pomyłce - przygotowywali się do „wielkiej, potajemnej bitwy”, to zupełnie oczywiste!

Pod koniec korespondent Al-Hadżdża pisał: „Bracie, skończyłem już pierwszą i drugą modlitwę, a ponieważ postanowiliśmy kontaktować się tą drogą, przekazałem ci wiadomości dotyczące

najważniejszych modlitw - trzeciej i czwartej. Przesyłam pozdrowienia wszystkim inżynierom”.

Modlitwy: etapy przygotowań do zamachu. Dwa zakończone, dwa zostały do wykonania. Okropność.

FBI jest obecnie przekonane, że autorem e-mailu, znalezionego w 1997 roku w komputerze osobistym Al-Hadżdża, był Harun Fazil, człowiek, który zorganizował zamachy na ambasady. Fazil znajduje się dziś na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI, oskarżony o dwanaście morderstw - tylu Amerykanów zginęło w zamachach.

W 1997 roku, po nalocie FBI, Al-Hadżdż wrócił do Stanów Zjednoczonych; zamieszkał wraz z żoną i siedmiorgiem dzieci w Arlington w Teksasie. FBI nadal inwigilowało go bardzo skrupulatnie; nagrywano rozmowy telefoniczne i prowadzono całodobową obserwację. Krótco po powrocie, 24 września 1997 roku, został wezwany do złożenia zeznań przed wielką ławą przysięgłych w sprawie swoich powiązań z Bin Ladenem.

W rok po akcji FBI w domu Al-Hadżdża w Nairobi Kenią i Tanzanią wstrząsnęły dwie potężne eksplozje, powodując śmierć 224 niewinnych ludzi.

Oskarżonemu o udział w zamachach Wadihowi Al-Hadżdżowi postawiono więcej zarzutów niż innym uczestnikom spisku. W materiale, który posłużył do postawienia go w stan oskarżenia, znajdowały się dowody uzyskane przez FBI w wyniku inwigilacji, a także znalezione w domu Al-Hadżdża w Kenii, takie jak list i e-mail.

Dowody, które FBI przetrzymywało przez rok, nie robiąc nic.

Dowody wystarczające do postawienia mordercy przed sądem zostały przez Biuro uznane za niewystarczające do podjęcia działań przeciwko spiskowcom, którzy znajdowali się pod obserwacją. Mimo wielkiej liczby tropów i wskazówek - niektóre były tak wyraźne i oczywiste, że zdawały się krzyczyć: „Uwaga, niebezpieczeństwo

zamachu!” - nie zapobieżono tragedii.

Co więcej, FBI wiedziało z zeznań Jusufa, że po zamachu na World Trade Center wyjechał on do Pakistanu, gdzie prowadził kursy posługiwania się materiałami wybuchowymi. W miesiącu poprzedzającym przyjazd Jusufa przeszkolono sześćdziesięciu mężczyzn; on sam podczas swego pobytu w Pakistanie miał siedemdziesięciu uczniów, a kolejnych sześćdziesięciu planowano wyszkolić na następnym kursie. Łatwo sobie wyobrazić, ilu specjalistów od zniszczenia wychodziło z tego obozu... Gdzie ci wszyscy ludzie się podziawali? Czy także zostawali sprzedawcami samochodów? Gdzie są teraz i co robili do tej pory? Czy po zeznaniu Jusufa FBI nie powinno zainteresować się tymi ludźmi i zrobić czegoś w tej sprawie?

Było wiele innych sygnałów ostrzegawczych. W tym samym roku 1998 Bin Laden wydał fatwę, wypowiadającą wojnę Ameryce. Następnie CIA dostała cynk o akcjach terrorystycznych planowanych przez organizację dobroczynną, powiązaną z Bin Ladenem, fundację Al-Hamarajn. Zatrzymano dziewięciu Arabów i przeszukano biura fundacji w Kenii, a ponieważ w znalezionych tam materiałach nie było dowodów potwierdzających istnienie spisku, CIA nie przesłuchiwała nawet podejrzanych i zaniechała śledztwa.

Tak więc FBI zaczęło szeroko zakrojone dochodzenie w sprawie Bin Ladena w 1996 roku. Dobry ruch. Jako podejrzanego wytypowano Wadiha Al-Hadżdża. Jeszcze lepszy ruch. Podejrzany, jak się później okazało, był rzeczywiście zamieszany w zamachy i doskonale się stało, że znalazł się pod obserwacją. Agenci FBI śledzili go bardzo uważnie, a potem zrobili nalot na jego dom i skonfiskowali materiały dowodzące jego winy. Kolejne świetne posunięcie. Ale na tym się skończyło.

Mieli dowody w rękę. Rozmowy telefoniczne, spotkania z Bin

Ladenem, listy, e-maile, częste wyjazdy, posługiwanie się szyfrem. Wszystko, czego było trzeba.

Brakowało tylko jednej rzeczy, koniecznej do tego, by FBI wykonało ruch kończący sprawę i zatrzymało terrorystę.

Przestępstwo jeszcze nie zostało popełnione.

Gdy dokonano zamachów na ambasady, FBI szybko aresztowało Al-Hadżdza i postawiło - oraz niektórych innych winowajców, przynajmniej tych, których zdołano namierzyć - przed obliczem sprawiedliwości. Dysponując takimi dowodami, FBI bez trudu przekonało prokuratorów federalnych o udziale Al-Hadżdza w zamachach, choć obrońca utrzymywał, że jego klient jest lojalnym Amerykaninem, a nie człowiekiem Bin Ladena.

Nic jednak nie zrobiono lub mówiąc oględniej - nie zrobiono dostatecznie wiele, by zapobiec śmierci tylu niewinnych ludzi w Kenii i Tanzanii.

FBI postępowało zgodnie ze swą zasadą, że dopóki przestępstwo nie stanie się faktem, nie aresztuje podejrzanego. Zaniechano należytego wykorzystania informacji, które mogły posłużyć do powstrzymania morderców, zanim wykonają swą zabójczą misję.

Podczas toczącego się w Nowym Jorku procesu przeciw sprawcom zamachu na ambasady co dzień śledziłam sprawozdania. W lutym 2001 roku przeczytałam, że przedstawiono na nim jako jeden z dowodów podręczniki znalezione w domu jednego z oskarżonych, Chalida al-Fawwaza, w Manchesterze, w Anglii. Znajdowały się w nich rysunki przedstawiające kulę ziemską przeszytą mieczem.

Prokurator określił te podręczniki jako coś „zupełnie nowego”.

Dla mnie jednak nie było to nic nowego. Widziałam taki sam emblemat już wcześniej, a tego rodzaju rzeczy niełatwo zapomnieć. Miałam go w swoich materiałach dotyczących zamachu na World Trade Center w 1993 roku - widniał na podręcznikach Maktabu,

znalezionych w bagażu Adżadza.

Władze nie zainteresowały się tymi podręcznikami, nie traktowały poważnie ich znaczenia przez pięć lat - ani po zamachu na World Trade Center, ani po odkryciu spisku w Manili w 1995 roku, ani nawet po wysadzeniu w powietrze ambasad w 1998 roku.

W czasie procesu dowiedziałam się jeszcze innej interesującej rzeczy. W związku z pewnym telefonem pojawiła się postać Tarika Hamdiego. Skojarzyłam je od razu z dochodzeniem w sprawie PIJ. Tak, znów Sami al-Arjan. Hamdi był członkiem zarządu powierniczego Wspólnoty Muzułmańskiej w Tampa Bay, meczetu na Florydzie; na czele zarządu stali Sami, jego szwagier Mazin an-Nadżar i Ramadan Abd Allah Szallah, obecny sekretarz generalny PIJ. Hamdi był także mocno związany z WI-SE oraz ICR W 1990 roku miał nawet z Sarnim wspólną skrzynkę pocztową w Tampie.

Jeden ze świadków, pracownik sieci satelitarnej O'Gara, zeznał podczas procesu, że w marcu 1998 roku obywatel amerykański Zijad Chalil zapłacił 7500 dolarów za telefon satelitarny IMMARSAT Przyszedł jeszcze raz w maju zamówić kilka akcesoriów do tego telefonu. Tym razem jednak poprosił o wysłanie zakupu panu Tarikowi Hamdiemu, zamieszkałemu przy 933 Park Avenue w Herndon, w Wirginii.

O co chodziło w sprawie z telefonem? Okazało się, że w 1998 roku stacja ABC News chciała przeprowadzić wywiad z Bin Ladenem. Nawiązano kontakt z Chalidem al-Fawwazem, prawą ręką Bin Ladena w Anglii. Al-Fawwaz odesłał dziennikarzy do pana Tarika Hamdiego z Waszyngtonu. ABC napisała wówczas list adresowany do Muhammada Atefa, dowódcy wojsk Bin Ladena, ponawiając prośbę o wywiad. W liście powoływano się na wcześniejsze kontakty z Hamdim, którego Atef, jak się wydaje, dobrze znał. Gdy uzgodniono warunki, Hamdi pojechał wraz z ekipą ABC News do

Afganistanu. Po przylocie do Pakistanu 17 maja 1998 roku wysłał faksem wiadomość do Al-Fawwaza; napisał w niej, że dojechali bezpiecznie i że wszystko idzie zgodnie z planem. Jakim planem? Zijad Chalil kupił telefon. Telefon był przeznaczony dla samego Osamy Bin Ladena. Później kupił baterię, ale niełatwo było dostarczyć ją do Afganistanu. Czy można znaleźć lepszy sposób niż skłonienie ABC News do załatwienia - i opłacenia - przejazdki Hamdiego do Afganistanu, co umożliwiło mu osobiste dostarczenie baterii?

Można by zapytać, cóż wielkiego się stało. Co w tym niezwykłego, że Hamdi dostarczył jakieś baterie Bin Ladenowi?

Otóż stało się to, że bateria zasilala telefon satelitarny, przez który Bin Laden osobiście wydał rozkaz wysadzenia w powietrze ambasad w Kenii i Tanzanii. Stało się to, że człowiek, który współpracował z Samim al-Arjanem umożliwił wydanie tego rozkazu - dzięki stacji ABC News.

Wytałam mleko z ust Shirley i położyłam ją do łóżeczka. Jeśli będzie taka grzeczna, pomyślałam, wychowywanie jej nie sprawi problemów. Wkrótce okazało się, że jej spokój z pierwszych miesięcy, gdy na przemian jadła i spała, to tylko pozory. Niebawem stała się córeczką mamusi - i w końcu zrozumiałam, co musiała czuć moja matka, gdy byłam małą dziewczynką, a ona biegała za mną po całym domu.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Leo i chłopcy jeszcze nie przyszli. Minęła jedenasta, dawno powinni już tu być. Spojrzałam na książkę Battirdziego, ale nie mogłam zmusić się do czytania, zbyt mnie to denerwowało i wyczerpywało. Wiedziałam, że jeśli znów zacznę czytać, nie zasnę. Dwadzieścia godzin wcześniej urodziłam dziecko, potrzebny mi był wypoczynek, postanowiłam więc zostawić książkę na rano.

Nie mogłam przestać martwić się o Leo i dzieci. Taki już los matki; byle drobnostka naruszająca ustalony porządek rzeczy, a w głowie natychmiast włączają się dzwonki alarmowe. Może po prostu utknęli w korku? Postanowiłam zadzwonić do Maxa i opowiedzieć mu o swoim odkryciu. Byłam pewna, że książka Battirdziego może odegrać dużą rolę w dochodzeniu i chciałam podzielić się tymi rewelacjami ze swoim szefem.

Wzięłam do ręki telefon i od razu zrozumiałam, dlaczego Leo nie zadzwonił, by uprzedzić o spóźnieniu. Wyłączyłam przecież telefon po rozmowie z Johnem Canfieldem i zapomniałam go włączyć. Znalazłam wiadomość od Leo, że uroczystość zakończenia roku szkolnego bardzo się przedłużyła i że właśnie są w drodze. Mogli tu być w każdej chwili. Zadzwoniłam do Maxa. Złożył mi gratulacje, zamieniliśmy kilka zdań i opowiedziałam mu o książce.

Nie mógł pojąć, dlaczego robię wokół niej tyle szumu.

- Ależ, Max, nie rozumiesz? To rzecz jedyna w swoim rodzaju! Bin Laden opowiada własnymi słowami całą historię Al-Ka'idy⁷ od początku! Wszyscy tu są, on sam, Azzam, Dżulajdan, Chalifa, wszyscy! Jak zaczynali, co robili! Max, to naprawdę nadzwyczajne!

Ciągle do niego nie docierało, dlaczego jestem taka podekscytowana.

Nie tylko on nie mógł mnie zrozumieć. Kilka dni po porodzie wróciłam do biura i wkrótce potem zadzwoniłam do Białego Domu, by powiedzieć im o książce. Tłumaczyłam, że to dowód o zasadniczym znaczeniu. Książka napisana przez Saudyjczyka w 1991 roku, gdy nazwisko Bin Laden nie miało jeszcze złowroziej wymowy; napisana po to, by zachęcić młodych ludzi do wstępowania w szeregi mudżahedinów. Ludzie z Białego Domu nie byli jednak zbyt zainteresowani. Nie poddawałam się. Przetłumaczyłam i przekazałam im najważniejsze fragmenty. Znowu

nic. Gdy się dopytywałam, odpowiedzieli, że przesłali książkę dalej, ale nie wiedzą, co się z nią stało.

Po 11 września, po przeszukaniu biur BIF (która wraz z WAMY wydała *Arabskich ochotników w Afganistanie*) oraz aresztowaniu i oskarżeniu jej szefa, Arnauta, zadzwoniono do mnie w końcu z Departamentu Sprawiedliwości i poproszono o kopię mojego egzemplarza. Nagle ktoś przypomniał sobie o książce, której bohaterami byli Arnaut i wielu jego współpracowników. Na przykład Muhammad Bajazid, oskarżony o próbę zakupu uranu, mającego posłużyć do skonstruowania broni jądrowej dla Bin Ladena. Albo Muhammad Dżamal Chalifa, przyrodni brat Bin Ladena, zamieszany w zamach na World Trade Center w 1993 roku i w operację „Bojinka”. Czy Abu Talha, sponsor Al-Ka’idy w Europie, który pomagał sfinansować zamachy 11 września i kilka miesięcy potem został aresztowany w Hiszpanii. A także wielu, wielu innych. Byli tam wszyscy, cały trzon Al-Ka’idy, bojownicy z czasów Masady. Książka mogłaby nosić tytuł *Who is who w Al-Ka’idzie*, a mimo to władze zainteresowały się nią dopiero po 11 września, choć zabiegałam o to już dwa lata wcześniej. Nic dziwnego, że agenci rządowi mówili mi, że wiem więcej o Al-Ka’idzie niż oni sami.

Leo i dzieci ciągle się nie pojawiali i teraz byłam już mocno zdenerwowana. Co ich zatrzymało? Zaczęły ogarniać mnie złe przecucia, a im usilniej starałam się je odsunąć, tym bardziej stawałam się niespokojna.

Przypomniałam sobie, jak wiele lat wcześniej, jeszcze w Izraelu, Leo wracał z pracy, a ja czekałam na niego w domu; po powrocie miał zabrać dzieci na lekcje muzyki. Spóźniał się, byłam pewna, że stało się coś złego, i wtedy dostałam telefon ze szpitala. Leo miał wypadek. Powiedziano mi, że powinnam przyjechać. Choć wiedziałam, że żyje, pędziłam do szpitala przerażona.

O tym, co się zdarzyło, dowiedzieliśmy się dopiero kilka dni później, od policji. Leo zupełnie nic nie pamiętał, nawet po dziesięciu latach nie mógł sobie przypomnieć wypadku. Było ciemno, padało, a kierowca ciężarówki, wyładowanej skrzynkami pomarańczy, skradzionych właśnie z jakiegoś sadu, próbował ukradkiem wjechać na szosę; przednie światła miał wyłączone. Leo nic nie widział, wyjechał zza wzgórza i uderzył w ciężarówkę. Życie uratował mu wielki amerykański samochód (uznawał tylko takie wozy), ale z podobnego wypadku nie można wyjść bez szwanku. Do sali szpitalnej weszłam z bijącym sercem; Leo leżał na łóżku, był przy nim młody lekarz. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, poczułam wielką ulgę i wdzięczność dla losu, a wtedy Leo odwrócił głowę. Nie mogłam powstrzymać krzyku. Lewa strona jego twarzy była zmasakrowana, sinoczarna, pokryta świeżymi ranami, a rozmiarami przypominała wielki arbuza. Lewo oko zrobiło się wyłupiaste niczym u przeraźliwie szpetnej ryby. To była twarz monstrum.

Minęły miesiące cierpliwego leczenia, zabiegów chirurgicznych i dentystycznych, zanim Leo wyglądał jak dawniej. Tomografia komputerowa i rezonans magnetyczny wykazały jednak, że ma duży krwiak. Lekarze nie wiedzieli, jakie będą tego skutki. Moim zdaniem zmienił się po wypadku.

Mimo wszystko nigdy nie przestałam go kochać; był moim mężem, ojcem moich dzieci, moją jedyną miłością. Twarz miał zniekształconą, ale w głębi duszy pozostał sobą.

Czarne myśli przysły natychmiast, gdy Leo i chłopcy wbiegli do pokoju. Całowali mnie i ściskali, i oglądali Shirley, jakby była darem niebios. Opowiedzieli mi o sukcesie koncertu, a później o przemówieniu Jordana. Wszyscy byli pod wrażeniem - nauczyciele, dzieci, rodzice; śmiali się, klaskali, ocierali łzy. W swojej mowie

Jordan podsumował ostatecznie trzy lata, w czasie których przemienił się z cudzoziemca i outsidera w jedno z najbardziej lubianych dzieci w szkole. Na zakończenie dostał owację na stojąco, a gdy publiczność w końcu usiadła, dyrektor szkoły powiedział zebranym, że Jordan miał bardzo pracowity dzień, ponieważ na uroczystość zakończenia szkoły przyjechał prosto z koncertu w muzeum i omal się nie spóźnił. Wtedy Jordan znów wziął mikrofon i oznajmił:

- A do tego dziś rano urodziła mi się siostra.

Dostał ogromne brawa.

To był bardzo dobry rok pod każdym względem. Chłopcom wiodło się doskonale we wszystkim. Wystąpili w telewizji, grali nawet z Billym Joelem i innymi gwiazdami. Leo i ja czuliśmy się i zachowywaliśmy jak para zakochanych nastolatków. W pracy odnosiliśmy sukcesy. Kupiliśmy dom, a teraz mamy kolejne dziecko. Tego wieczoru mój szpitalny pokój wypełniało tyle miłości i radości, że starczyłoby ich dla dużej rodziny na dziesięć lat.

Leo zabrał dzieci do domu. Powoli zapadałam w sen, a w głowie uparcie kłębiły mi się rozmaite myśli: poród, koncert, wypadek Leo, World Trade Center, ambasady, FBI, książka Battirdziego...

Głowa ciążyła mi coraz bardziej, pomyślałam o Leo i jego potwornej twarzy, którą obnosił przez kilka miesięcy, i wtedy ta twarz zaczęła przenikać się z inną - z twarzą młodego, wysokiego Saudyjczyka o łagodnym głosie, brodatego i w turbanie, siedzącego spokojnie i obmyślającego plany walki z niewiernymi. Później pojawili się inni brodaci mężczyźni w kuflach, skupieni wokół niego w Masadzie, a potem imamowie, muzułmańscy uczeni, saudyjscy bankierzy, działacze organizacji dobroczynnych, i zanim zapadłam w dobroczynny, zbawczy sen, wszystko nagle stało się jasne i już wiedziałam.

To ci dobrodusznicy, bogaci ludzie, skrywający się za parawanem

działalności charytatywnej, urzędujący w wytwornie urządzonych biurach w Wirginii, mieszkańcy pałaców w Arabii Saudyjskiej, podżegający do dżihadu lub finansujący go - to ich twarze są obliczem bestii.

ROZDZIAŁ 9

Pogoń za pieniędzmi

Agenci służb specjalnych z Tamy, prowadzący dochodzenie w sprawie Sarniego al-Arjana i Palestyńskiego Muzułmańskiego Dżihadu, postanowili wyjechać w poszukiwaniu dowodów do Izraela. Do skompletowania pełnego obrazu działalności PIJ brakowało danych dotyczących transferu pieniędzy ze Stanów Zjednoczonych do PIJ i jego działaczy na Bliskim Wschodzie.

Władze izraelskie, chcąc uniemożliwić terrorystom łatwe przetrzymywanie funduszy do kraju, skrupulatnie sprawdzają wszelkie wpływy pieniężne zarówno w Izraelu, jak i na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy; organizacje terrorystyczne, takie jak PIJ, nie mogą więc otwierać tam i utrzymywać kont bankowych. Trzeba było zatem wymyślić metody obejścia przepisów. Najprostszym rozwiązaniem jest zakładanie kont za granicą. Fathi Szikaki, zabity na Malcie przywódca PIJ, miał na przykład konto w banku szwajcarskim, podobnie jak kierowana przez Sarniego organizacja charytatywna, ICP Agenci z Tamy mieli nadzieję dowiedzieć się w Izraelu, jak funkcjonuje mechanizm transferu funduszy.

Były też inne metody; jedna z nich okazała się dość pomysłowa. Wprowadził ją w życie Hamas w końcu lat dziewięćdziesiątych, zakładając bank o nazwie Al-Aksa i rozrzucając jego oddziały po

całym Bliskim Wschodzie. Al-Aksa nawiązał współpracę z amerykańskim Citybankiem, mającym oddział w Tel Awiwie. Pieniądze można było składać w dowolnym oddziale Al-Aksy, a wypłacić w Citybanku w sercu Izraela. Prosty i skuteczny sposób ominięcia izraelskiej kontroli. Zawsze działał ponadto stary, wypróbowany system kurierów, ryzykowny, lecz wciąż przydatny.

Służby specjalne wiedziały, że Sami zbiera fundusze dla PIJ. W 1995 roku, kilka dni po zorganizowanym przez PIJ podwójnym zamachu samobójczym, w którym zginęło osiemnaście osób, Sami wystosował list z apelem o składanie datków; pisał w nim o „dwóch mudżahedinach, męczennikach dla chwały Allaha” i prosił o pieniądze, aby „operacje takie jak ta mogły być kontynuowane”. Agenci chcieli wykryć trasy, którymi pieniądze przybywały ze Stanów Zjednoczonych na Bliski Wschód, w czym miały pomóc rozmowy ze specjalistami z izraelskiego wywiadu oraz naukowcami.

O tym właśnie wyjeździe mówił John Canfield, gdy dzwonił do mnie do szpitala, ale o całej sprawie słyszałam dużo wcześniej, zanim jeszcze zaszłam w ciążę. Wyjazd był wielokrotnie odkładany. Najpierw Departament Stanu odmówił zgody na tego typu przedsięwzięcie. Potem kilkakrotnie przesuwano termin. Po blisko dwóch latach ustalono, że grupa wyjedzie w sierpniu, ale John, idąc za moją radą, znów przełożył wyjazd, tym razem na koniec września.

Kilka dni po urodzeniu Shirley wróciłam do biura. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było ułożenie planu podróży Johna. Nigdy nie przyszłoby mi głowy, że ten wyjazd, który - jak miałam nadzieję - zamknie ostatecznie śledztwo w sprawie Sarniego - spowoduje zamiast tego kryzys w moich stosunkach z Johnem, zakończy się odsunięciem go od sprawy, niemal wylaniem z pracy i przeniesieniem do innego kraju. Nawet w najgorszych snach nie przypuszczałam, że wyjazd, który miał dostarczyć informacji,

pozwalających postawić Sarniego przed sądem, ogromnie zaszkodzi dochodzeniu.

John powiedział mi, że FBI zaplanowało dla agentów sił specjalnych serię spotkań, i zapytał, czy mogłabym pomóc mu zaaranżować dodatkowe spotkania z osobami, które uważam za specjalistów w tej dziedzinie. Natychmiast zaczęłam dzwonić - do izraelskiego Ministerstwa Sprawiedliwości, wywiadu, ekspertów w zakresie terroryzmu, dziennikarzy, wysokich rangą funkcjonariuszy policji, pracowników wyższych uczelni, w tym kilku moich dawnych wykładowców z uniwersytetu w Teł Awiwie. Z powodu różnicy czasu między obydwoma krajami wiele rozmów przeprowadzałam albo wczesnym ranem, albo późno w nocy. Wstawałam o trzeciej nad ranem naszego czasu, żeby przewinąć i nakarmić Shirley, i między tymi czynnościami dzwoniłam do Izraela.

Godzinami szczegółowo opowiadałam Johnowi o ludziach i organizacjach, z którymi umówiłam go na spotkanie. Mówiłam mu, co ci ludzie wiedzą i jakie informacje należy od nich uzyskać. Jeden z nich na przykład, dziennikarz i były agent wywiadu, opublikował książkę, w której dokładnie opisał rolę komórki PIJ w Tampie. Przetłumaczyłam dla Johna stosowny rozdział i wyjaśniłam, jakie informacje tego dziennikarza mogłyby przydać się w śledztwie. Dałam Johnowi listę pytań do każdej z osób, z którymi grupa planowała się spotkać.

Po czterech dniach pracy plan wyjazdu był szczelnie wypełniony - umówione spotkania miały trwać od wczesnego rana do późnej nocy. Przy zastosowaniu zwykłych procedur biurokratycznych nigdy nie zdołano by zorganizować wszystkiego na czas. Gdyby John próbował skłonić Departament Sprawiedliwości do formalnego wystąpienia z prośbami o zaaranżowanie tych spotkań - prośbami, które musiałyby zostać następnie przesłane do izraelskiego

Ministerstwa Sprawiedliwości - a potem czekać na zgodę i oficjalne wyznaczenie terminu, nikt by się z nikim nie spotkał. Uzyskanie oficjalnej zgody trwałoby miesiącami. Nawiązałam więc wstępnie kontakty z ekspertami w Izraelu, a po uzyskaniu zgody Izraelczyków John wyznaczył daty spotkań. Dopiero wtedy wystosował formalne prośby do odpowiednich władz, podając dokładny termin spotkania oraz numer faksu osoby, z którą miał się spotkać, tak by można było natychmiast powiadomić Izraelczyków, którzy wstępnie wyrazili zgodę na spotkanie, i uzyskać potwierdzenie z ich strony. John dostarczył Departamentowi Sprawiedliwości całkowicie gotowy plan wyjazdu.

Izraelskie Ministerstwo Sprawiedliwości wysłało oficjalne pismo potwierdzające, że oczekuje przybycia „delegacji z Johnem Canfieldem na czele”. Dla mnie było oczywiste, że John jest szefem delegacji. Spośród pracowników agencji rządowych tylko John i jeszcze jeden agent znali Sarniego i PIJ od podszewki. Tym drugim ekspertem był Barry Carmody, agent FBI, który towarzyszył Johnowi podczas pierwszej wizyty w naszym biurze. Barry, agent służb specjalnych w Tampie, przez lata pracował z Johnem, jednak w połowie lat dziewięćdziesiątych, w czasie gdy po raz pierwszy zorganizowano nalot na biura organizacji Sarniego, osiągnął właśnie wiek emerytalny, został odsunięty od śledztwa - i przeniesiony na emeryturę - właśnie wówczas, gdy w śledztwie nastąpił zasadniczy przełom. Do sprawy włączono kilku nowych agentów FBI, którzy nie mieli oczywiście rozeznania w sytuacji. Jeśli więc o mnie chodzi, nikt inny niż John nie mógł być szefem delegacji. FBI miało jednak inne zdanie w tej kwestii.

Kilka miesięcy przed wyjazdem Biuro postanowiło aktywniej włączyć się w dochodzenie i pracę delegacji. Zdawano sobie sprawę, że śledztwo dobiega końca i niedługo znajdzie finał przed sądem,

ponieważ John i Barry przygotowali już dostatecznie wiele materiału do aktu oskarżenia. FBI uznało więc, że pora przejąć kontrolę. Mianowano nowego dyrektora sił specjalnych, człowieka, który nic nie wiedział o PIJ, i rozszerzono skład delegacji do Izraela o wielu dodatkowych agentów. Zgodnie z obowiązującymi przepisami za organizację spotkań zespołu z Izraelczykami odpowiadało biuro FBI w Tel Awiwie, mające siedzibę w ambasadzie amerykańskiej. Tamtejsi agenci umówili kilka spotkań, ale gdy dowiedzieli się, że za szefa delegacji uważany jest John Canfield, wpadli w szal. Podobnie zareagowali ich koledzy tu, w Stanach Zjednoczonych.

Następnie okazało się, że ja, osoba z zewnątrz, brałam udział w układaniu planu wyjazdu. Moje nazwisko padało podczas każdego spotkania funkcjonariuszy służb specjalnych z Izraelczykami. FBI szalało z wściekłości. Agenci z Tel Awiwu odmówili przekazywania służbom specjalnym, to znaczy Johnowi Canfieldowi, jakichkolwiek istotnych informacji.

Nie pomogło także to, że niektóre spotkania okazały się katastrofą. Gdy John wyjechał do Jordanii, by porozmawiać z kilkoma tamtejszymi specjalistami, agenci pozostali w Izraelu i poprosili kilku ekspertów, z którymi nawiązano kontakt dzięki mnie, o ponownie spotkania. Podczas tych rozmów pod nieobecność Johna szybko wyszła na jaw ich ignorancja.

Kilku Izraelczyków zadzwoniło do mnie, by dać wyraz swemu oburzeniu. Dzwonił między innymi jeden z ekspertów, Gad, który wymieniał informacje z Johnem, a potem jeszcze raz rozmawiał wiele godzin z agentami na ich prośbę.

- Co się, u diabła, dzieje? Dlaczego ci agenci, których pani do mnie przysłała, nie mają o niczym pojęcia?

Wiedziałam, o co chodzi, ale zapytałam:

- Co pan ma na myśli?

- Ci, którzy przyszli do mnie po mojej rozmowie z Johnem, to stado baranów - odparł. - Siedziałem tu całe godziny, tłumacząc im wszystko jak przedszkolanka!

Nigdy nie widziałam Gada w takim stanie.

- Zapytali mnie, kim jest Baszir Nafi. Nafi! Prowadzą śledztwo w sprawie PIJ i nie wiedzą, kim jest Nafi? Zupełne ciemniaki! Co się dzieje z Johnem? Dlaczego jego koledzy w niczym się nie orientują?

Nie umiałam odpowiedzieć. A przy tym wówczas nie wiedziałam jeszcze, że sprawy stoją aż tak źle.

Kilka dni po powrocie delegacji z Izraela Jerry, nowy człowiek FBI wyznaczony do kierowania śledztwem, wezwał Johna do swego biura. Opryskliwym tonem oznajmił mu:

- FBI oficjalnie przejęło dochodzenie. Służby specjalne nie mają tu już nic do roboty. Teraz to jest moje śledztwo. Od tej chwili pracuje pan pod moim kierunkiem. Raporty proszę składać bezpośrednio mnie. Będzie pan robił dokładnie to, co panu powiem. Nie będzie pan już podejmował żadnych samodzielnych działań w sprawie Sarniego. Od tej chwili, ponieważ jest pan pracownikiem Urzędu Ceł, zajmie się pan tylko finansami PIJ, niczym innym. W tej sprawie także będzie składał raporty mnie i tylko mnie.

John słuchał bez słowa. Dlaczego on - jedyny już w tej chwili ekspert od Sarniego - miałby składać raporty temu żółtodziobowi? W końcu odpowiedział najprościej, jak umiał:

- Odp... się.

Cisnął Jerry'emu w twarz plik kartek, które tamten mu wręczył, i wyszedł z biura.

Wkrótce potem zadzwonił do Johna jego przełożony z Urzędu Ceł. Dobrze znał swego pracownika; orientował się, jak wiele John wie o Samim i jak dobry jest w tym, co robi.

- Niewiele mogę zrobić, John - powiedział. - Przejęli sprawę.

Całkowicie. Nie wygramy z nimi w żaden sposób, tu chodzi o zwalczanie terroryzmu, a to ich działka. Żądają raportu o wszystkim, co odkryłeś w czasie dochodzenia. Musisz go złożyć, nie masz wyboru.

FBI przydzieliło do śledztwa około dwudziestu nowych agentów; żaden z nich nie orientował się w sprawie. W chwili gdy gotowe już były materiały wystarczające do sporządzenia aktu oskarżenia - zebrane przez Johna i Barry'ego, FBI cofnęło dochodzenie do punktu wyjścia, wyrzucając do kosza rezultaty ciężkiej, niemal siedmioletniej pracy.

Izraelczycy byli wściekli. Uważali, że wymiana agentów przyczyniła się do zahamowania śledztwa i że informacje, których dostarczyli, powinny aż nadto wystarczyć do uzyskania wyroków skazujących - i mieli rację. Podczas gdy John Canfield przyjechał do Izraela, by uzupełnić swą naprawdę gruntowną wiedzę o poczynaniach Sarniego i przyspieszyć zakończenie sprawy, agenci FBI przybyli tu, by nauczyć się wszystkiego od zera - i przejęli kontrolę nad śledztwem.

Dochodzenie w sprawie Sarniego jest, mówiąc językiem urzędowym, „w toku”. W rzeczywistości oznacza to regres, spowodowany dążeniem FBI do rozgłosu i prestiżu.

Wyjazd delegacji do Izraela potwierdził (jeśli chodzi o mnie i o Johna), że droga do piekła jest wybrukowana dobrymi chęciami.

Ale to nie był jeszcze koniec całej historii.

Po starciu z Jerryem John nadal współpracował ze mną nad sprawą Sarniego. Powiedział, że nie traktuje tej rozmowy zbyt serio, chce robić swoje i przyspilić Sarniego al-Arjana.

Pewnego dnia wysłałam mu wiadomość na pager, ale nie oddzwonił. Trochę mnie to zdziwiło, ponieważ zwykle odpowiadał natychmiast, ale nie zastanawiałam się nad tym zbyt.

Przypuszczałam, że jest bardzo zajęty dochodzeniem albo szkoleniami, albo czymś w tym rodzaju. Tydzień później znów nadałam wiadomość. Znów bez odpowiedzi. Ciągle nie dopuszczałam myśli, że coś nie jest w porządku. Tydzień później zadzwoniłam do jego biura i zostawiłam kolejną wiadomość. Potem wysłałam e-mail. Minęły dwa miesiące i wciąż nie było odpowiedzi. Musi mieć naprawdę dużo pracy, myślałam.

Pewnego dnia zadzwonił do mnie Gad, izraelski ekspert, ten, który narzekał na ignorancję agentów FBI. Chciał zasięgnąć mojej opinii w pewnej sprawie. W czasie rozmowy zapytał, co sądzę o „biednym Johnie”.

- Co ma pan na myśli? Co się stało? - Powinnam była się domyślić, że dzieje się coś niedobrego. Jak mogłam zbagatelizować fakt, że John nie odzywa się przez dwa miesiące?

- Byłem pewien, że pani wie. Nic pani nie słyszała?

- Nic. O czym pan mówi? - byłam już naprawdę przerażona.

- Został odsunięty od śledztwa. Dla niego sprawa się już skończyła.

To się nie powinno zdarzyć. Natychmiast wysłałam wiadomość na pager Johna, a potem jeszcze jedną i kolejne, i tak dzień po dniu.

Nic.

Byłam już teraz pewna, że mnie unika. Myślałam, że popadł w depresję, a może nawet się wstydzi - pracowaliśmy tak ciężko, sukces wydawał się na wyciągnięcie ręki i nagle wszystko wzięło w łeb.

Cały czas próbowałam nawiązać z nim kontakt, chciałam z nim porozmawiać, podnieść go na duchu.

Po kilku tygodniach bezskutecznych prób zadzwoniłam do niego do domu.

Słuchawkę podniosła jego żona.

- Jak on się miewa? - zapytałam. - Czy wszystko w porządku?

- Mogłoby być lepiej - odparła spokojnie - ale jakoś się trzyma.

- Czy jest bardzo przygnębiony?
- Z pewnością nie jest uszczęśliwiony tą sytuacją.
- Proszę powiedzieć mu, żeby się nie martwił. Nic nie dzieje się bez powodu, nawet jeśli nie umiemy dojrzeć w tym sensu. Wszystko obróci się na dobre.

- Mam taką nadzieję.

- Czy John jest w domu? Od dłuższego czasu próbowałam go złapać. Czy mogę z nim porozmawiać?

- Hmm.. on teraz nie może rozmawiać.

- A więc kiedy mogłabym zadzwonić?

- Przykro mi, on naprawdę nie może teraz z panią rozmawiać, ale proszę mi wierzyć, zrobi to, jak tylko będzie mógł.

A więc zadzwoni do mnie, gdy tylko poprawi się jego nastrój.

Jak na kogoś, kto potrafi czytać między wierszami, wykazałam się bezprzykładną głupotą. Pewnego piątku, niedługo po mojej rozmowie z żoną Johna, zadzwonił do mnie Eli, izraelski oficer śledczy, który pracował z Johnem nad sprawą Samiego ał-Arjana. Powiedział, że planuje przyjechać wraz z kilkoma kolegami na kilka dni do Stanów Zjednoczonych, i zapytał, czy jestem zainteresowana spotkaniem i wymianą informacji.

- Tak, to chyba dobry pomysł - odpowiedziałam. - Chciałabym tylko, aby John był w lepszym stanie psychicznym i żeby także mógł się z wami spotkać.

- Stanie psychicznym? Jego stan psychiczny jest w porządku.

- Skąd wiesz? - Byłam całkowicie zaskoczona.

- Rozmawiałem z nim dwa dni temu. Był pogodny i ożywiony jak zwykle.

- Ale - wykrztusiłam - próbuję złapać go od dawna i nigdy do mnie nie oddzwonił!

- Chyba wiesz, o co chodzi - odparł Eli. - Nie wolno mu z tobą

rozmawiać.

- Nie wolno? - Nadal nie rozumiałam. - Jego żona tak powiedziała?

- Nie żona! - Eli musiał myśleć, że straciłam rozum. - Cymbały z FBI! Zakazali mu rozmawiać z tobą. Nie tylko o Sarnim, ale w ogóle. Sprawdzają Johna z powodu tego, co działo się między wami.

- Co?

- No tak, chcę wiedzieć, czy przekazywał ci poufne materiały.

- O czym ty mówisz?

- O ile wiem, pewien kraj - nie Izrael - skontaktował się z FBI, a następną rzeczą, jaką zrobiło FBI, było rozpytywanie, gdzie zdobyłaś pewne informacje. Oni myślą, że przekazał ci je John, więc zakazali mu rozmów z tobą.

Dopiero wtedy, po dwóch długich miesiącach, wreszcie zrozumiałam. Nie chciałam dostrzec rzeczy oczywistych. Teraz jednak wszystko było jasne jak słońce na niebie.

W połowie 2000 roku, kilka miesięcy po spotkaniu w Białym Domu w sprawie Chalila ad-Dika, wysłałam faks do znajomych w Jordanii - napisałam o śledztwie i moich odkryciach i zapytałam, czy są tym zainteresowani.

Byli, naprawdę byli. Poprosili o przekazanie wszystkiego. Wysłałam więc pocztą elektroniczną informacje o Dobroczynności bez Granic, Hi-szame Diabie i Aszurze; wyjaśniłam także, na jakiej podstawie uważam, że do Jordanii transferowane są wielkie sumy pieniędzy i w jaki sposób te transfery wiążą się z działalnością terrorystyczną. Ponieważ Ad-Dik siedział teraz w tutejszym więzieniu, Jordańczycy ogromnie się ucieszyli z tych informacji. Powiedziałam, że dostali wszystko, co zdobyłam, ale że władze amerykańskie mogą mieć więcej danych, i poradziłam, aby się z nimi skontaktowali.

Tak też zrobili.

Nawiązali kontakt z FBI.

Gdy tylko Jordańczycy złożyli oficjalną prośbę, ktoś w kwaterze głównej FBI wyszedł z siebie. Moje nazwisko znajdowało się w jordańskim faksie, a FBI nie mogło zrozumieć, jak zdobyłam informacje o Ad-Diku, Diabie i Aszurze, których oni sami nie mieli. Przypuszczano, że nastąpił przeciek z winy jakiegoś funkcjonariusza państwowego. FBI nie mogło pogodzić się z faktem, że ja - osoba z zewnątrz, w ich oczach ktoś bez żadnego znaczenia - mogłam dostarczyć Jordańczykom tak interesujących danych. Nie mogli pojąć rzeczy podstawowej: że uzyskałam te informacje ze źródeł ogólnie dostępnych i że to ja przekazałam je władzom - w tym wypadku Johnowi Canfieldowi - a nie odwrotnie. Dla FBI było nie do pomyślenia, by ktoś mógł dokonać czegoś podobnego, nie mając dostępu do ogromnej bazy danych Biura.

Jeszcze gorsze było to, że moje nazwisko znano już w centrali FBI w Waszyngtonie. Kilku agentów z centrali, którzy zostali przydzieleni do służb specjalnych w Tampie, słyszało je bez przerwy w czasie wyjazdu do Izraela. Eli powiedział im, że więcej wiem o Sarnim niż ktokolwiek inny, i namawiał do nawiązania ze mną współpracy w tej sprawie. FBI orientowało się także, że pomagałam Johnowi ułożyć plan wyjazdu. W chwili gdy Jordańczycy, zgodnie moja sugestią, skontaktowali się z Biurem, byłam tam już zbyt dobrze znana. Po powrocie agentów z Izraela postanowiono całkowicie przejąć dochodzenie, a przy okazji pozbyć się za jednym zamachem dwóch niewygodnych osób, Johna Canfielda i mnie.

Gdy Eli powiedział mi o dochodzeniu, wpadłam w panikę. W jaki sposób FBI mnie śledziło? Znałam ich metody. Podśluch telefoniczny, obserwacja, wypytywanie... nie korzystali z baz danych, nie czytali starych gazet. Czy chodzą za mną? Podśluchują? Czy mogę bezpiecznie używać telefonu? Może moje rozmowy z biura także są

nagrywane? Dranie! Terroryci i kryminalisci robią, co chcą, a FBI śledzi mnie! Nigdy o nic nie prosiłam w zamian za informacje. Nie chciałam ani pieniędzy, ani dokumentów, niczego. Dzieliłam się całą swoją wiedzą, ponieważ chciałam powstrzymać terroryzm. Do szału doprowadzało mnie, że podczas gdy mnie śledziło FBI, moi starzy, dobrzy znajomi ze spisku milenijnego fruwali wolni niczym ptaki.

FBI nie tylko nie potrafiło dotrzeć do żadnej informacji, które znalazłam na temat Dobroczynności bez Granic, nie tylko nie zdobyło jednej tysięcznej mojej wiedzy w kwestiach tak istotnych, jak działalność Centrum Muzułmańskiego w Tucson, nie tylko pukało do drzwi w Anaheim i pytało mieszkańców, czy znają Bin Ladena - nawet po tym, jak przekazałam Białemu Domowi dane, które mogły posunąć dochodzenie naprzód - ale także za jedynych terrorystów zamieszanych w spisek, których mogło śledzić, uznało Johna Canfielda i mnie!

Gdy wywiad jordański poprosił o informacje i współpracę, FBI powinno pójść po rozum do głowy i zwrócić się do mnie o pomoc, zadzwonić, umówić się na spotkanie - jak zrobił to Biały Dom i tylu funkcjonariuszy innych agencji rządowych, a potem robić swoje. Co więcej, Biuro powinno wykorzystać okazję i współdziałać z Jordańczykami, którzy mogliby rzucić dodatkowe światło na sprawę.

Zamiast tego FBI natychmiast unicestwiło wszelkie szanse współpracy z zaprzyjaźnionym krajem; zniszczyło także moje powiązania z Jordańczykami. Po całej tej historii kilkakrotnie wysyłałam do nich e-maile, ale pozostawały bez odpowiedzi. Prawdopodobnie dostali od FBI takie same instrukcje jak John.

Niespodziewanie pewnego dnia zadzwonił John.

Oślupiałam.

- John! - niemal wrzasnęłam. - Czy już po wszystkim? Możemy już rozmawiać? - czułam wielką ulgę.

- Do cholery, wcale nie jest po wszystkim - odparł John. - Wciąż nie wolno mi z tobą rozmawiać. O ile wiem, nigdy nie powiedzą mi, że to już koniec i znów mogę robić, co chcę. Wolno ci wiedzieć, że prowadzą dochodzenie w twojej sprawie, ale nigdy nie zwracają sobie głowy informowaniem cię, że się skończyło. Tym, co mnie teraz podsłuchują, a wiem, że to robią, mówię: Chrzanię was. Jestem już od tego chory, mam dość. Jeśli chodzi o nas, woleliby, żebyśmy nigdy już ze sobą nie rozmawiali. Więc niech idą do diabła.

Byłam zaskoczona, ale to, co mówił, miało sens.

- Nie boisz się? - zapytałam.

- Co jeszcze mogą mi zrobić, no? Wylać mnie? Za późno, już odsunęli mnie od największego śledztwa, w jakim kiedykolwiek brałem udział. Co jeszcze mogą mi zrobić - wsadzą mnie do więzienia?

- John, cokolwiek się dzieje, będzie lepiej - powiedziałam. - Naprawdę w to wierzę. Kiedyś się przekonasz, że cała ta śmierdząca sprawa obróci się na twoją korzyść. A co do FBI, jest takie arabskie powiedzenie: *kullu kalb jidži jaumu*, co znaczy: „Na każdego przyjdzie zły czas”.

Rozmawialiśmy prawie dwie godziny. Mieliśmy tyle do nadrobienia.

- A co z podsłuchem? - zapytałam w pewnej chwili.

- Co z podsłuchem? To najbardziej żałosna strona tego całego dochodzenia. Słuchają nas, ale co mogą z tym zrobić? Myślisz, że sąd wydal na to zgodę? Podsłuchują cię, ty się wkurzasz, ale są to informacje nie do wykorzystania. Wiesz, co z nimi robią.

Wiedziałam. Nic nie robią.

- No więc mów tym pierdołom, co tylko chcesz i niech się tym udławiają.



Wkrótce potem FBI oskarżyło Johna o przekazywanie informacji osobom postronnym. Jednym z dowodów miał być artykuł Gada, opisujący, w jaki sposób Iran wspiera organizacje terrorystyczne. Gad wspomniał tam o dokumencie znalezionym podczas rewizji w biurze WISE. Dokument powstał w Egipcie w 1981 roku i zawierał plan utworzenia w różnych krajach jednostek wywiadowczych, mających działać pod przykrywką instytucji oświatowych. Podobna formuła jak w przypadku WISE. Jednostki te miały zbierać informacje dla wywiadu irańskiego. FBI oskarżyło Johna o dostarczenie tego dokumentu Gadowi. John zadzwonił do mnie zasmucony i powiedział, że teraz znajdzie się to w jego aktach.

- Dlaczego utrzymują, że ty to zrobiłeś?
- Ponieważ znam Gada i pracowałem z nim nad sprawą Sarniego.
- Ależ ten dokument jest ogólnie dostępny, każdy może się z nim zapoznać.

Gdy w 2000 roku szwagier Sarniego, Mazin an-Nadżar, został zwolniony z więzienia (tylko po to, by zostać ponownie aresztowany i w końcu deportowany), INS upublicznił wiele dokumentów dotyczących Sarniego. Znajdował się wśród nich także dokument, o którego bezprawne ujawnienie FBI oskarżyło Johna prawie dwa lata później.

FBI zupełnie nie orientowało się w tej sprawie. Co zaś się tyczy Johna - do dziś nie udowodniono mu żadnych wykroczeń. Jest czysty, ale odsunięty na boczny tor.

Na tym polega siła władzy. Aby się kogoś pozbyć, nie trzeba niczego udowadniać. Wystarczy zarzut, nawet niepoparty dowodami,

sama sugestia, że dopuszczono się uchybień - i na nazwisku oraz w kartotece zostaje plama. Na zawsze.

W amerykańskim sądzie oskarżony jest uważany za niewinnego, dopóki nie udowodni mu się winy. W Ameryce terroryści i ich poplecznicy dobrze znają swoje prawa i głośno krzyczą o „wolności słowa” i „prawach człowieka”. John Canfield został oskarżony, osądzony i skazany na wygnanie za Atlantyk, choć jedyną zbrodnią, jaką popełnił, było rzetelne prowadzenie śledztwa.

Jeśli chodzi o nasze stosunki, wróciły do normalności. Pozostajemy nadal w bliskim kontakcie.

Sprawdziła się moja przepowiednia - na początku 2002 roku, kilka miesięcy po wszczęciu przeciw niemu dochodzenia, John awansował w Urzędzie Ceł. Wysoko awansował. Na nowym stanowisku mógł ubiegać się o interesującą go posadę za granicą. Złożył podanie, a ponieważ lepiej nadawał się do tej pracy niż ktokolwiek z pozostałych kandydatów, wybrano właśnie jego.

Zadzwoił do mnie, szczęśliwszy niż kiedykolwiek od swego powrotu z niesławnej wyprawy do Izraela, i powiedział mi, że wyjeżdża za granicę.

Życzyłam mu powodzenia. Rzeczywiście zasłużył sobie na ten awans.

- Ale nie tylko dlatego dzwonię - oznajmił. - Kilku przyjaciół urządza mi przyjęcie pożegnalne. Musisz przyjechać i zabrać ze sobą kolegów z biura.

- Nie boisz się, że FBI odnotuje to w twoich aktach?

- Nie żartuj.

Teraz naprawdę mógł nie dbać o to, co robi FBI. Zapytałam go, czy słyszał najnowsze wieści o Sarnim.

To było krótko po 11 września. O Sarnim stało się wówczas głośno. Zgodził się udzielić 26 września wywiadu stacji Fox News, myśląc

zapewne, że padną pytania o prawa muzułmanów i ich dyskryminację po 11 września. Zamiast tego Bill CReilly wypytywał go o jego powiązania z terroryzmem, a w szczególności stosunki z Ramadanem Abd Alla-hem Szallahem, Tarikiem Hamdim i Mazinem an-Nadžarem. Sami wyparł się wszelkich związków z terroryzmem. O'Reilly powiedział wówczas:

„W porządku. Chciałby pan unicestwienia Izraela. Sprowadza pan z daleka gościa [Szallaha], płacą mu pensje przyzwoici obywatele Florydy, potem on wraca do siebie i zostaje jednym z poruczników czy generałów Dżihadu Muzułmańskiego, ale pan zupełnie nic o tym nie wie. Inny gość [Tarik Hamdi] aranżuje dla ABC wywiad z Osamą Bin Ladenem, ale o tym też pan nic nie wie. Widzi pan, doktorze, dla mnie wygląda to tak, jakby na Uniwersytecie Florydy Południowej działo się coś niedobrego. Czy słusznie odnoszę takie wrażenie?”

Sami odpowiedział: „Pańskie wrażenie jest całkowicie niesłuszne, ponieważ wszystko można, jak pan wie, interpretować w rozmaity sposób. W istocie rzeczy prowadzimy działalność naukową. Zapraszamy bardzo wiele osób. Wszyscy są intelektualistami. Chce pan znaleźć czarną owcę czy kilka czarnych owiec, ale jeśli skoncentruje się pan na nich, uzyska pan jednostronny obraz. Faktem jest, że od lat stanowimy przedmiot dochodzenia FBI...”

O'Reilly: „Słusznie”.

Sami: „I nie dopatrzonego się żadnego przestępstwa, nawet jeśli były jakieś podejrzenia”.

O'Reilly: „Czyżby? Pański szwagier ma być właśnie teraz deportowany. Wygląda, jakby wykopywano go z kraju, prawda?”

Sami: „Jedno z drugim nie ma nic wspólnego”.

Taka wymiana zdań trwała jeszcze jakiś czas, po czym O'Reilly podsumował:

„No dobrze, doktorze, chciałem powiedzieć - z całym należnym

szacunkiem - że doceniam pańską zgodę na udział w programie, ale na miejscu CIA śledziłbym pana bez przerwy. Śledziłbym pana dwadzieścia cztery godziny...”.

Sami: „No tak, pan mnie nie zna. Pan nic o mnie nie wie. Pan nie...”.

Wywiad Sarniego w telewizji wywołał powszechne oburzenie, a w konsekwencji władze uniwersyteckie wysłały go na płatny urlop. Uczelnia znalazła się jednak pod ostrzałem ugrupowań broniących praw człowieka, utrzymujących, że niezależnie od opinii, jakie wyraża Sami, nie wolno naruszać obowiązującej w środowisku akademickim wolności słowa. Argumentowano też, że skoro FBI nie może mu udowodnić działalności terrorystycznej, Sami jest przyzwoitym człowiekiem. Ponieważ miał stały etat, władze uczelni musiały podjąć decyzję, czy przywrócić go do pracy, czy próbować się go pozbyć.

Kilka miesięcy później Uniwersytet Południowej Florydy wniósł sprawę sądową przeciw Sarniemu; aby wygrać, musiano mu udowodnić powiązania z terroryzmem. Poproszono o pomoc FBI, ale Biuro nie udzieliło żadnej pomocy.

Parę dni po złożeniu pozwu pojawiła się w moim biurze prawniczka z Departamentu Skarbu. Powiedziała mi, że wszyscy powinniśmy świętować wytoczenie Sarniemu sprawy.

- Świętować? - zdumiałam się. - Co świętować? To, że władze i FBI nic z nim nie zrobiły przez lata? Że FBI odmówiło uniwersytetowi pomocy, gdy o tę pomoc prosił? Że ludzie muszą się bronić sami, bo władze nie robią tego, co do nich należy? Nie ma powodu do świętowania. To, w jaki sposób potraktowano sprawę Sarniego, to hańba!

Ta pani była bardzo zadowolona, że Sami znalazł się wreszcie w tarapatkach, i wszystkiego się spodziewała, tylko nie podobnych słów.

Ale ja jeszcze nie skończyłam.

- Jeśli FBI nie może dać sobie rady z Sarnim, powinno przynajmniej mieć tyle przyzwoitości, żeby udostępnić informacje, które ma na jego temat, tak by inni, na przykład uniwersytet, mogli z nich zrobić jakiś użytek.

Prawniczka wyglądała na zmieszaną. Wiedziała, że mam rację. O tym jednak, co było najgorsze w sprawie Sarniego al-Arjana i sposobie prowadzenia śledztwa przez FBI, dowiedziałam się dużo później.

Pożegnalne przyjęcie Johna Canfielda odbywało się w dużej, niezbyt eleganckiej restauracji w niewielkim centrum handlowym. Znałam niektórych zaproszonych, ale większości nigdy wcześniej nie widziałam. Byli tam Barry Carmody i Kirk, dwaj agenci, którzy towarzyszyli Johnowi podczas jego pierwszej wizyty w naszym biurze; znałam także - przynajmniej z rozmów telefonicznych - kilku tłumaczy ze służb specjalnych, którzy brali udział w dochodzeniu przeciwko Sarniemu. John przedstawił mi kilku facetów i odszedł porozmawiać z innymi gośćmi.

W pewnej chwili Barry zaczął wygłaszać mowę. Wspominał początki pracy z Johnem w oddziałach specjalnych w Tampie, mówił, że ta wspólna praca to były najlepsze lata jego życia i że będzie tęsknił za Johnem.

A potem powiedział coś, co i ja, i John, i wielu pozostałych gości słyszeliśmy już przy wielu okazjach, a czego do końca nie rozumiałam.

Zrozumiałam dopiero kilka miesięcy później.

Barry powiedział, że przez wszystkie lata pracy w FBI nigdy nie przyzwyczał się do sposobu, w jaki działało Biuro.

- Podczas dochodzenia w sprawie Sarniego - ciągnął - zawsze byliśmy drudzy na mecie.

Udali się wówczas do banku sprawdzić konta Sarniego i Szallaha, sądząc, że to doskonały trop.

- Nic prostszego - rzekł dyrektor banku. - Kilka miesięcy temu prosiło nas już o to kilku chłopców od was, wszystkie dokumenty są więc przygotowane.

Było to dla nich bardzo niemiłe zaskoczenie. Podobnie rzecz wyglądała w spółce telefonicznej i w większości miejsc, do których się zgłaszali podczas tego śledztwa. Gdziekolwiek poszli, cokolwiek znaleźli - inni agenci rządowi byli pierwsi.

W połowie 2000 roku poproszono mnie o współpracę ze służbami specjalnymi z Kalifornii przy trwającym już od lat dochodzeniu przeciwko człowiekowi zamieszanemu w działalność Hamasu i innych organizacji terrorystycznych. Wciąż brakowało dostatecznych dowodów, by postawić go przed sądem. Pojechałam do Kalifornii na spotkanie z agentami. Po dwóch dniach wypełnionych rozmowami usłyszałam podczas kolacji coś, co wreszcie pozwoliło mi połączyć w całość wszystkie elementy, potwierdzić przypuszczenia i zrozumieć mechanizm działania FBI. Przemowa Barry'ego na przyjęciu Johna nabrała całkiem nowego znaczenia.

- Gdybyśmy tylko mogli przekazać pani to, co mamy na tego gościa... - powiedział jeden z agentów. - Mamy dość obciążających dowodów, by zamknąć go na dwadzieścia lat. To wstyd, że nie możemy pokazać pani tego materiału.

- Dlaczego więc go nie wykorzystacie? Po co wam potrzebna moja pomoc? Dlaczego, zamiast zanieść to wszystko do sądu, desperacko potrzebujecie tego, co ja o nim wiem?

Czułam przez skórę, jaka będzie odpowiedź.

- Ponieważ to są informacje tajne, nie do wykorzystania.

- Czy nie czujecie się głupio, siedząc na tak ważnych materiałach? Zamiast zrobić z nich użytek, musicie prosić mnie, żebym przyleciała

na koszt podatnika i pomogła wam dostać to, co już macie w rękach?

- To nie my. To FBI. Mają pewną jednostkę zwaną FISA, wszyscy nazywają ją „Ciemną Stroną”.

FISA to skrót od Foreign Intelligence Surveillance Act (jednostka obserwacyjna wywiadu zagranicznego); nazwę „Ciemna Strona” wymyślił, jak się później dowiedziałam, Barry Carmody.

- Mają cenne materiały, ale trzymają je dla siebie. Wszystkie akta są gdzieś schowane i nikomu nie wolno z nich korzystać.

- Ale dlaczego tak zabiegają, żeby te informacje trafiały przede wszystkim do nich? - Nie mogłam tego pojąć. - Nagrywają, inwigilują, gromadzą, gromadzą, gromadzą - i tylko tyle?

Tak właśnie było. „Ciemna Strona” prowadziła dochodzenie, zbierała materiały... i nic nie robiła. Praca jednostki polegała tylko na zdobywaniu informacji. Nic więcej nie wchodziło z zakres jej obowiązków. Nie dzieliła się swymi zdobyczami z nikim, nawet z innymi wydziałami FBI.

Tak właśnie funkcjonowało FBI. Dwóch agentów Biura mogło siedzieć w sąsiednich pokojach, może nawet za ścianką działową w jednym pomieszczeniu, i pracować nad tą samą sprawą. Jeden nich pracował dla Ciemnej Strony”. Dysponował wszystkimi materiałami wywiadowczymi i wiedział, co robi drugi agent, wiedział, że walczą z tym samym wrogiem. Mimo to nigdy nie przekazał nic swojemu koledze, nie mówił mu nawet, jakie materiały ma w swoich aktach. Okropność.

Mniej więcej w tym samym czasie dowiedziałam jeszcze o czymś. Była to najgorsza wiadomość dotycząca dochodzenia przeciwko Sarniemu al-Arjanowi, jaka kiedykolwiek do mnie dotarła. Okazało się, że śledztwo w sprawie Sarniego i jego kamratów z PIJ nie zaczęło się w 1995 roku, po objęciu przez Szallaha funkcji sekretarza generalnego PIJ.

FISA pracowała nad Sarnim długo przed rozpoczęciem oficjalnego śledztwa, całe lata przed utworzeniem oddziału służb specjalnych w Tampie, lata przed wyjazdem Szallaha do Syrii. „Ciemna Strona” miała Sarniego na oku od samego początku lat dziewięćdziesiątych, od przeprowadzki Szallaha do Tampy. FBI dostało cynk od wywiadów brytyjskiego i izraelskiego, które sugerowały, aby przyjrzeć się bliżej Szallahowi i Sarniemu. Zajęła się więc nimi „Ciemna Strona”. Od ponad dziesięciu lat podsłuchiwali i obserwowali obu tych panów. To miał na myśli Barry, mówiąc, że ktoś zawsze ich wyprzedzał. Bez wątpienia ktoś z „Ciemnej Strony”.

„Ciemna Strona” przechwyciła i zarejestrowała połączenia między Sarnim i Szallahem a gośćmi z Syrii - Fathim Szikakim i innymi. Ci ludzie rozmawiali o zamachach terrorystycznych w taki sposób, jakby zastanawiali się, czy zamówić frytki do cheesburgera. Pewna rozmowa między Florydą a kwaterą główną PIJ w Damaszku wstrząsnęła nawet agentami FISA. Mówiono o jednym z zamachów, do którego publicznie przyznał się Hamas. Wszyscy działacze PIJ byli wściekli. „To jest nasza operacja - mówili. - Jak oni mieli czelność przypisać ją sobie?”.

Szallah był w stałym kontakcie telefonicznym z Syrią, a jego rachunki za rozmowy tylko z tym krajem opiewały na kwoty rzędu siedmuset lub ośmuset dolarów miesięcznie. Rachunki miesięczne często przekraczały dwa tysiące dolarów - mniej więcej tyle, ile zarabiał w WISE.

Co zrobiło z tym FBI?

Zupełnie nic.

FBI nagrało wszystkie rozmowy, ale nie podjęło żadnych działań. Mogli unieszkodliwić Szallaha i Sarniego na długo przedtem, nim Szallah został przywódcą PIJ. Były to jednak dane wywiadowcze, FBI nie mogło ich wykorzystać i zrobić czegoś, by zmienić sytuację.

To wszystko nadal tkwi prawdopodobnie w szafkach z aktami w biurach FISA.

Wiem jednak, co zrobi FBI po ukazaniu się tej książki. Znow zaczną dochodzenie przeciwko Johnowi Canfieldowi. Oskarżą go o przekazanie mi informacji o FISA. Biedny John. Nie miał z tym nic wspólnego, nie wspomniał nawet słowem na ten temat. Mimo to FBI będzie deptało mu po piętach i utrudniało życie. To potrafi robić najlepiej. A John nie będzie jedynym obiektem zainteresowania FBI; moje wspomnienia staną się przyczyną wielu dochodzeń, ponieważ FBI nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że tak wiele danych można znaleźć w ogólnie dostępnych materiałach. Poza tym o wiele łatwiej śledzić agenta rządowego niż terrorystę. Zastanawiam się czasem, jak duże jest moje dossier w FBI. Z pewnością o wiele większe niż Chalila ad-Dika, Iszaka al-Farhana czy Wa'ila Dzulajdana. Nie mam co do tego wątpliwości.

Podobnie wyglądała sprawa obozów szkoleniowych Ad-Dika w Kalifornii. FBI wiedziało o nich - czy może „Ciemna Strona” wiedziała - ale tylko schowało informacje w poukładanych teczkach. A do tego HLF - Biuro prowadziło dochodzenie w sprawie tej organizacji od początku lat dziewięćdziesiątych, ale została ona uznana za terrorystyczną dopiero po 11 września. Dwadzieścia cztery godziny na dobę śledzono Abd al-Halima al-Aszkara (tego, który zaczął w więzieniu strajk głodowy), a także działaczy kierowanej przezeń fundacji edukacyjnej Al-Aksa. Śledztwa prowadziły donikąd. A „Ciemna Strona”, nie szczędząc wysiłków, z wielkim zaangażowaniem zajmowała się Johnem i mną, marnotrawiąc pieniądze podatników i zapychając szuflady niewykorzystywanymi informacjami. „Oburzające” to zbyt łagodne określenie na takie praktyki.

Podobno nowe prawo, wprowadzone w końcu 2002 roku, pozwoli

w końcu wykorzystywać informacje wywiadowcze. Może z części materiałów zgromadzonych przez FISA zostanie zrobiony właściwy użytek. Może nawet w sprawie Sarniego.

Sami zaś... no tak, będzie prawdopodobnie bardzo dumny, gdy dowie się, jak wiele czasu, pieniędzy i wysiłku marnowały na niego władze amerykańskie przez całe lata. W listopadzie 2002 roku wyjechała do Izraela druga delegacja FBI, by zebrać informacje o PIJ. Wieść niesie, że po jej powrocie zabrano się w końcu do pracy nad aktem oskarżenia Sarniego i jego żony.

Jeśli nawet się tak stanie, będzie to o dziesięć lat za późno, a wszystkie laury zbierze zapewne Jerry z Tamy, choć nie jemu się one należą.

Im więcej nabierałam doświadczenia, tym bardziej oczywista stawała się dla mnie niezdolność władz do wyjścia z labiryntu muzułmańskiego terroryzmu. Było to wypadkową kilku czynników, między innymi niekompetencji i bezmyślności agentów rządowych, wskutek czego wiele dochodzeń i spraw sądowych ciągnęło się latami bez większych postępów. Opisałam już liczne tego przykłady, a kolejne znajdują się w tym rozdziale i następnych. Agenci bardzo często niewiele wiedzą o krajach arabskich i islamie; stosują w pracy pomysły i strategie zapożyczone z dochodzeń w sprawach kryminalnych i podchodzą do terroryzmu tak jak do morderstw czy handlu narkotykami.

Zwalczanie terroryzmu tylko za pomocą informacji wywiadowczych i gromadzenia faktów odnoszących się do przestępstwa jako takiego to zaledwie ślizganie się po powierzchni. To nie wystarcza, by w pełni zrozumieć rozmiary przestępstwa i sporządzić solidny akt oskarżenia, którego rezultatem będzie wyrok skazujący lub, co ważniejsze, zapobieżenie kolejnym zamachom. Potrzebne są tu głębokie zrozumienie problemu i wiedza na temat

źródła przestępstwa, sposobów zdobywania funduszy, znajomość przemian w czasie i zasięgu geograficznego, a także podbudowy ideologicznej.

W tym właśnie zakresie mogę być pomocna. Władze nie potrafiły poradzić sobie z Al-Ka'idą nie tylko dlatego, że poszczególne instytucje nie współpracowały ze sobą i lekcewały sygnały ostrzegawcze, ale przede wszystkim z powodu niedostatecznej wiedzy o tej organizacji i jej poprzedniku, Maktab al-Chidmat. Dochodzenia, w których mimo wszystko zwracano się o pomoc do ekspertów takich jak ja, często kończyły się sukcesem.

Duży wpływ na skuteczność prowadzonych działań ma także zażarta rywalizacja między agencjami. Zamiast współpracy i wspólnej walki o unieszkodliwienie terrorystów niektóre agencje obsesyjnie walczą o prestiż i uznanie. Najważniejsze staje się to, komu przypadnie zasługa. Ostatecznym potwierdzeniem fiaska takiej polityki był 11 września. Jak rzekł bez ogródek Richard Shelby, republikanin i ważna persona w Senackiej Komisji do spraw Wywiadu: „Gdyby informacje FBI, CIA, NSA i Urzędu Imigracyjnego zostały zebrane i zestawione ze sobą, być może nie doszłoby do zamachu 11 września”.

Ponieważ miałam do czynienia z prawniczką z władz stanowych Kalifornii, która prosiła mnie o informacje, jakich nie chciał jej udostępnić Departament Sprawiedliwości; z Lorraine, która nie otrzymała od FBI niemal żadnej pomocy w dochodzeniu przeciwko Sarniemu, oraz z innymi tego typu przypadkami, o których jeszcze napiszę, jestem bardzo sceptyczna wobec dzisiejszych obietnic reform oraz współpracy i reorganizacji najważniejszych instytucji zajmujących się egzekwowaniem prawa. Słyszałam już tę śpiewkę.

Spośród agencji rządowych, z którymi miałam okazję się stykać, najmniej chętnie dzieli się swymi informacjami FBI. Agenci służb

specjalnych w Kalifornii, którzy opowiedzieli mi o „Ciemnej Stronie”, mówili także, jakie walki musieli staczać ze swoimi odpowiednikami w FBI. Jak zwykle w ich zespole znajdował się też agent FBI. Na każdym spotkaniu wszyscy agenci - Urzędu Ceuł, INS, IRS i innych instytucji państwowych - rozdawali przygotowane przez siebie dokumenty wszystkim członkom zespołu. Gdy jednak proszono o to samo agenta FBI, wyjmował notes i trzymając ostrożnie tuż przy twarzy, tak by nikt nie mógł zajrzeć mu przez ramię, komentował taki czy inny fakt:

- Owszem, doskonale o tym wiemy i mamy wartościowe informacje na ten temat.

- Jakie informacje? - pytali inni. - Co takiego wiesz?

- Nie mogę powiedzieć. To ściśle tajne.

W pewnym momencie moi rozmówcy mieli dość i w rewanżu zaczęli ukrywać informacje przed człowiekiem z FBI. Przestali nawet informować go o spotkaniach lub organizowali je wtedy, gdy nie mógł na nie przybyć. A wszystko to działo się długo po 11 września.

Muszę jednak zaznaczyć, że pracowałam także z wieloma agentami rządowymi, którzy bardzo poważnie podchodzili do swoich obowiązków; byli to ludzie z INS, Urzędu Ceuł, Departamentu Skarbu, NSC, czasem nawet z FBI. Miałam okazję współpracować z wieloma przyzwoitymi ludźmi. Z kolei ja, ilekroć byłam proszona o pomoc, starałam się jak najlepiej przekazać wszystko, co wiem. Traktowałam to jako swój obowiązek.

Muszę oczywiście pozostać za kulisami. Nie mogę się ujawnić, a to, co robię, nie przysporzy mi zaszczytów. Na tym jednak polegają zasady gry.

Wiec miał się rozpocząć o jedenastej przed południem, teraz była dziewiąta, ale nie obawiałam się, że nie zdążę. Wiedziałam już z doświadczenia, że niegroźne było nawet godzinne spóźnienie; takie

rzeczy rzadko kiedy zaczynały się o wyznaczonej porze. Tego ranka nie spieszyłam się, spokojnie wstałam, ubrałam się, a potem złapałam pierwszy ekspres z Penn Station do Waszyngtonu. W Białym Domu musiałam być przed południem.

Był piękny, słoneczny piątek, może trochę za chłodny. Park Lafayette, gdzie miał odbyć się wiec, świecił jeszcze pustkami.

Nie pierwszy i nie ostatni raz pojawiałam się na takim wiecu. Ogromnie sobie cenię ten wspaniały symbol demokracji i wolności: każdy może tu stanąć, o rzut kamieniem od Białego Domu, i wyrazić swoje poglądy. To jest możliwe tylko w Ameryce, nie do pomyślenia byłoby w Rosji, Chinach czy Arabii Saudyjskiej. Śmiałkowicie, którzy odważyliby się wykrzykiwać antypaństwowe hasła w pobliżu siedziby władz, zostaliby natychmiast przepędzeni.

Wiedziałam, że pojawi się tu dziś Sami al-Arjan i że będzie protestował przeciwko uwięzieniu swego szwagra, Mazina an-Nadzara, który niespełna rok po 11 września został deportowany ze Stanów Zjednoczonych. Wówczas jednak, na długo przed tą datą, los An-Nadzara nie był jeszcze przesądzony. Sami, człowiek praworządny, naukowiec, zeznawał jako świadek w procesie brata swojej żony. Przed sądem, powołując się na piątą poprawkę, odmówił odpowiedzi na dziewięćdziesiąt dziewięć ze stu dwudziestu pytań. Skoro ten uczciwy pan profesor nie miał się czego obawiać, dlaczego tak konsekwentnie wykorzystywał prawo do odmowy zeznań - czyżby obawiał się narazić na odpowiedzialność karną? Wprost nie mogłam się doczekać, co też Sami publicznie powie na temat procesu swego szwagra.

Obeszłam park dookoła, a gdy wróciłam o wpół do pierwszej, wiec ciągle jeszcze się nie zaczął. Może nie dotarła do mnie informacja o jego odwołaniu? A może rozpoczął się punktualnie i skończył, zanim się pojawiłam? Podszedł do mnie nieco dziwnie

wyglądający osobnik z wielką kamerą telewizyjną na ramieniu i zapytał po arabsku, czy wiem coś o wiecu. Widać było, że jest nietutejszy.

- Tak - odpowiedziałam również po arabsku - o ile wiem, był zaplanowany na dziś. Przyszłam jednak zbyt późno i być może już się skończył.

- Musiałby skończyć się przed wpół do jedenastej, bo przyszedłem tu o tej godzinie. Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli tymczasem zadam pani kilka pytań? - Mówił z wyraźnym wahaniem.

Wyjął dowód tożsamości. Był Egipcjaninem, reporterem egipskiej telewizji państwowej.

- Polecono mi zrobić reportaż o muzułmanach w Ameryce na przełomie tysiącleci - wyjaśnił. - Zamierzam dać mu tytuł *Muzułmanie wobec nowego milenium*. Czy może poświęcić mi pani kilka chwil?

- Czemu nie - odparłam.

Zapytał, jak wyobrażam sobie nowe tysiąclecie w Stanach Zjednoczonych z punktu widzenia wyznawców islamu; co czeka w nadchodzących latach tutejszą społeczność muzułmańską; co sędzę o problemie żydowskim i sytuacji Żydów w Ameryce i na całym świecie. A potem padło pytanie, czy moim zdaniem w najbliższym dziesięcioleciu Ameryka mogłaby mieć prezydenta muzułmanina.

Rozbawiło mnie to, ale odpowiadałam z poważną miną, że w moim przekonaniu sytuacja nas, muzułmanów, w Ameryce jest zła i będzie jeszcze gorsza. Koniecznie musimy się zjednoczyć. Podałam przykład nieszczęsnego narodu irackiego, cierpiącego głód i pozbawionego opieki medycznej z powodu sankcji narzuconych przez siły sprzymierzone. Kto w Egipcie czy Arabii Saudyjskiej tym się przejmuje? Dodałam słowo o Palestynie i Kosowie. Jeśli chodzi o prezydenta muzułmanina, to muzułmanów w Ameryce bardziej

interesuje powodzenie w życiu osobistym i sytuacja finansowa niż problemy szerszej natury - zjednoczenie i walka za islam na całym świecie.

- Niech nasi bracia przestaną cieszyć się przyjemnościami życia, jakie oferuje im Ameryka - oznajmiłam - a wtedy może pomyślimy o prezydencie muzułmaninie.

Stałam i spokojnie odpowiadałam na pytania, a sytuacja robiła się coraz zabawniejsza. Tak usilnie starałam się nie wybuchnąć śmiechem, że łzy same napłynęły mi do oczu. Powiedziałam, że muszę kończyć i zostawiłam reportera oniemiałego. W ustronnym zakątku parku siadłam na ławce, zadzwoniłam do biura i opowiedziałam kolegom, co mi się właśnie przytrafiło. Zapytali, czy podczas wywiadu miałam zasłoniętą twarz. Dopiero teraz dotarło do mnie, że jej nie zasłoniłam i że moja facjata będzie pokazywana w całym Egipcie, a może i gdzie indziej.

Teraz już przestało być zabawnie.

Szybko wróciłam do dziennikarza i zaczęłam się głupio tłumaczyć, że mój mąż jest urzędnikiem państwowym, że podtrzymuję wszystko, co powiedziałam, ale nie mogę pozwolić, by moja twarz była pokazywana w telewizji, bo mąż miałby nieprzyjemności w pracy.

- Czy zechciałaby więc pani powtórzyć to wszystko z zakrytą twarzą? Ja po prostu muszę mieć ten wywiad - powiedział. - Pani jest niesamowita.

Nie miał ekipy, był reporterem, kierownikiem, producentem, kamerzystą i akustykiem w jednej osobie. Przewinął więc taśmę - upewniłam się, że nagranie zostało skasowane - zakryłam twarz i zaczęliśmy wszystko od nowa. Tym razem, zawoalowana tak, że widać mi było tylko oczy, zupełnie nie mogłam się opanować. Próby stłumienia chichotu sprawiały, że wydawałam dźwięki

przypominające muczenie. Zmagania z ogarniającym mnie śmiechem skończyły się tym, że z oczu popłynęły mi strumienie łez, a reporter sądził, że płaczę ze smutku i wzruszenia. Znów poprosiłam go, by przestał. Zwijając swój ekwipunek, powiedział, że jestem jedną z najbardziej szczerych i dzielnych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał, oraz że jeśli jego szefowie w Egipcie pozwolą mu po powrocie pokazać tylko fragment tego, co nakręcił w Ameryce, będzie to wywiad ze mną.

Mata Hari nie była lepsza ode mnie.

Wiec rozpoczął się chwilę po zakończeniu wywiadu. Wszyscy spóźnili się z powodu piątkowego kazania; wierni nie mogli wyjść przed jego końcem. Jak zapowiadano, przemawiali Sami i prawnik jego szwagra, a także inni mówcy. Było to doprawdy nieznośne. W pewnej chwili z Białego Domu wyszedł pewien wysoki urzędnik, z którym miałam okazję pracować. Przyglądał się protestującym, a ponieważ znam go dobrze, wiedziałam, co myśli o tych ludziach - o nas - stojących tu i krzyczących, że Mazin an-Nadżar jest bohaterem.

Był zdegustowany.

Rozbawiona nagrałam na taśmie wideo, jak rzuca drwiące spojrzenia, i zastanawiałam się, jak by zareagował, gdyby rozpoznał mnie w tym przebraniu.

Jeszcze przed końcem wiecu nabrałam pewności, że jeśli pojedę do domu pociągiem, nie zdążę na szabasową kolację. Gdy było już po wszystkim, złapałam taksówkę na lotnisko. Kierowca, Arab, wzięwszy mnie za muzułmankę, zapytał, skąd wracam. Opowiedziałam mu o wiecu i o bezprawnym aresztowaniu jednego z nas. Gdy dojechaliśmy do lotniska, zapytałam, ile jestem winna. Odwrócił się i bardzo ciepłym głosem odpowiedział:

- Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy wziąć choćby centa od ciebie, siostrze. To, co robią twoi ludzie, jest święte, jesteście

prawdziwymi bohaterami islamu. Z całego serca proszę, byś przekazała moją zapłatę tam, gdzie się najbardziej przyda - ofiaruj ją na sprawę.

W samolocie zapięłam pas i natychmiast zamknęłam oczy, często tak robię. To był mały samolot - pilot, dziewięciu pasażerów i ja; tylko jeden rząd siedzeń i zbyt wiele okien. Przypominał raczej taksówkę. Gdy szczęśliwie przeżyliśmy start - tego momentu nie cierpię najbardziej - zaczęłam rozmyślać o rozmowie z taksówkarzem. Co powiedziałby ten gość, gdyby dowiedział się, kim jestem? A właściwie to kim ja jestem? Czym jestem?

Mieszkam z rodziną w ładnej okolicy, nasze dzieci chodzą do dobrych szkół, mają przyjaciół. Leo ma kolegów z pracy, oboje też mamy przyjaciół. Krótko mówiąc, znamy wiele osób. Nieuchronnie pojawia się pytanie: „Czym się zajmujesz?”. Czym się naprawdę zajmuję? Co mogę odpowiedzieć, gdy zapytają o to rodzice kolegów szkolnych moich dzieci? Jaki zawód podaję, gdy staram się o kredyt hipoteczny albo zapisuję dzieci do szkoły? Mogę oczywiście napisać „łowczyni terrorystów” albo „szpieg”. Nawet gdyby niczym to nie groziło, nietrudno sobie wyobrazić, że uznano by mnie za osobę niespełna rozumu. Nawet w kontaktach z krewnymi i bliskimi przyjaciółmi pojawia się pytanie: powiedzieć czy nie powiedzieć? Komu zaufać, komu powierzyć sekret? A jeśli komuś powiem, czym się zajmuję, nie mogę potem obwiniać tej osoby o zdradzenie mojej tajemnicy. Skoro sama nie potrafię utrzymać języka za zębami, jak mogę oczekiwać tego od kogoś innego?

Wykręty i konfabulowanie najtrudniejsze były w pierwszych miesiącach pracy, gdy nawet ja nie byłam pewna, co właściwie robię. Z upływem czasu wszystko się jakoś poukładało, zyskałam jaśniejsze poczucie sensu swojej pracy, a w wymyślaniu historyjek - czy ściśle mówiąc, kłamstw - nabrałam zawodowej wprawy. Jedną

wymyśloną osobowością posługuję się podczas wykonywania tajnych zadań, drugą mam na codzienny użytek. Tak to wygląda do dziś. Moja praca związana jest z bezpieczeństwem narodowym. Gdy jednak widzę lub słyszę o wydarzeniach, do których się przyczyniłam - dochodzeniu, rewizji, deportacji, aresztowaniu - nie mogę przecież powiedzieć: „To moje dzieło”.

Nie mogę tego zrobić i nie sądzę, by kiedykolwiek było to możliwe.

Druga intifada w Izraelu nie zaczęła się spontanicznie, poprzedziły ją długie miesiące nadzwyczaj licznych wieców i demonstracji, których nasilenie przypadło na wrzesień i październik 2000 roku. Demonstracje te, organizowane pod hasłami propalestyńskimi i projeruzolimskimi (oczywiście chodzi o Jerozolimę dla Palestyńczyków) oraz antyizraelskimi i anty-amerykańskimi, odbywały się na całym świecie. Flagi amerykańskie płonęły w Rosji, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Malezji, RPA i - nie trzeba dodawać - niemal wszystkich krajach arabskich. W Stanach Zjednoczonych wszystkie większe organizacje muzułmańskie organizowały wiece. Biegałam z jednego na drugi, choć było to krótko po urodzeniu Shirley i ciągle karmiłam ją piersią. Chciałam ich zobaczyć jak najwięcej, dlatego jak szalona podróżowałam z miejsca na miejsce w nadziei, że nie umknie mi nic ważnego. Podczas demonstracji, w których uczestniczyłam w przebraniu muzułmanki, emocje dochodziły niekiedy do szczytu, co było trudne do zniesienia. Najbardziej przygnębiało mnie to, że choć zgromadzenia te formalnie miały wymusić rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego, powszechnie dawano wówczas upust nienawiści do Stanów Zjednoczonych i obwiniano ten kraj o wszystkie problemy, z jakimi boryka się Bliski Wschód.

Szesnastego września 2000 roku brałam udział w wiecu pod

hasłem „Prawo Palestyńczyków do powrotu”, odbywającym się przed Białym Domem. Tego dnia podobne demonstracje zorganizowano w Anglii i w Izraelu i wszędzie emocje sięgały zenitu. W Waszyngtonie liczni mówcy przez cały dzień oskarżali Izrael o ludobójstwo, rasizm i brutalne metody działania. Jeden z prowadzących zaproponował, byśmy uczcili minutą ciszy pamięć „męczenników”. Tłum wokół mnie skandował *Ajjasz!*; był to terrorysta zwany „Inżynierem” ze względu na swą umiejętność planowania, odpowiedzialny za wiele morderstw. Został „zameczony”, gdy zawierający minibombę telefon komórkowy wybuchł mu w twarz. Później wchodzili na podium starsi ludzie i opowiadali historie o tym, jak byli wyrzucani z domów w środku nocy, a następnie bez skrupułów deportowani z kraju. Niektóre z tych opowieści były naprawdę makabryczne i po raz pierwszy czułam się wytrącona z równowagi. Rozpłakałam się gwałtownie, tym razem nie na pokaz, a jeszcze bardziej płakałam w drodze do domu. Byłam tak roztrzęsiona - ręce mi drżały, nic nie widziałam przez łzy - że nie mogłam nawet nagrywać. Musiałam jednak mieć ten materiał, poprosiłam więc jednego ze stojących w pobliżu demonstrantów, by przez chwilę nagrywał za mnie. Wielce uradowany, że może pomóc siostrze w potrzebie, ochoczo chwycił kamerę wideo, wspiął się nawet na podium i filmował zarówno mówców, jak i rozentuzjasmowaną publiczność, w tym także i mnie.

Zadawałam sobie pytanie, jaki efekt wywrą wygłaszane tu słowa na młodych, pełnych temperamentu muzułmanach, skoro ja, z całą moją wiedzą i doświadczeniem, zareagowałam tak emocjonalnie.

O tym, co tu robię i kim jestem, a także - *co tu się* naprawdę dzieje, przypomniały mi mowy przywódców amerykańskiej społeczności muzułmańskiej. Wróciłam do rzeczywistości.

Jednym z organizatorów demonstracji i mówców był Nihad

Awad, dyrektor Rady do spraw Stosunków Amerykańsko-Muzułmańskich (CAIR). Rada przedstawiała się jako organizacja umiarkowana, walcząca o przestrzeganie praw człowieka i sprawiedliwość. Jej przedstawiciele często i gwałtownie polemizowali z doniesieniami mediów na temat terroryzmu. Na wiecu Awad powiedział: „Oni [Żydzi] powtarzają: «W przyszłym roku Jerozolima będzie nasza», a my mówimy: «W przyszłym roku cała Palestyna będzie nasza»„. Innymi słowy, państwo Izrael przestanie istnieć.

Na innym wiecu Nihad Awad nawoływał do nienawiści nie tylko wobec Izraela, ale także wobec Stanów Zjednoczonych. Oskarżał Izrael, że jest narzędziem prześladowania Palestyńczyków przez Amerykanów, twierdząc, że „wydano ponad pięćdziesiąt miliardów dolarów na wojsko walczące o interesy Izraela, w rzeczywistości jednak wojsko to walczy o interesy Stanów Zjednoczonych. [...] Moje pieniądze, nasze pieniądze idą na finansowanie terroryzmu [...] ale kto jest prawdziwym terrorystą? Czyż nie Izraelczycy? Izraelczycy czynią dzieci kalekami, zabijają niewinnych ludzi, bombardują miasta bez sprzeciwu ze strony Stanów Zjednoczonych. [...] Wszystko to robi się w imieniu Stanów Zjednoczonych”.

Tych samych Stanów Zjednoczonych, w których Awad mieszka i dobrze mu się wiedzie.

W tym czasie także inni przywódcy społeczności muzułmańskiej mieli do powiedzenia nader interesujące rzeczy o Ameryce.

Muzzamile Saddiki, prezes Muzułmańskiego Stowarzyszenia Ameryki Północnej, oznajmił na wiecu przed Białym Domem: „Oczekujemy na przebudzenie się sumienia Ameryki. Ameryka musi się przebudzić, ponieważ kto pozostaje po stronie nieprawości, naraża się na gniew Boży. Amerykanie, pamiętajcie, że Bóg wszystko widzi. Jeśli nadal będziecie żyć w nieprawości i tolerować nieprawość,

spadnie na was gniew Boży”.

Gniew, który zapowiadał Saddiki, spadł niespełna rok później, 11 września 2001 roku. Krótko po katastrofie w katedrze waszyngtońskiej odbyło się nabożeństwo za dusze ofiar. Obok prezydenta Busha stali ksiądz, rabin i imam, odprawiający modły. Imam nazywał się Muzzamile Saddiki.

Zastanawiałam się, co było przyczyną takiej nienawiści do Ameryki. Dlaczego ci samozwańczy przywódcy, od dziesiątków lat mieszkający w Ameryce z rodzinami i korzystający z wolności i wszystkich dobrodziejstw najwspanialszej demokracji w historii, pielęgnują tak wielką niechęć do tego kraju. Wprost trudno uwierzyć, że ludzie ci chcą należeć do społeczeństwa, które z taką furją atakują w swoich przemówieniach. Gdyby wrócili do swych rodzinnych krajów i powtarzali to, co wolno im mówić tutaj, długo by nie żyli. Ale mimo to nienawidzą Stanów Zjednoczonych i podżegają do nienawiści na wiecach, konferencjach i w meczetach. Łatwo więc zrozumieć, skąd biorą się amerykańscy talibowie i amerykańskie grupy terrorystyczne, takie jak Buffalo Six, której zarzucano wspieranie Al-Ka'idy i uczestniczenie w jej szkoleniach przeprowadzanych w afgańskich obozach. W przypadku tego typu indywiduów, wyuczonych nienawiści do kraju, w którym wyrosli, droga od wysłuchania słów imama nawołującego do przemocy do samej przemocy, takiej, jakiej doświadczyliśmy 11 września, jest bardzo krótka.

Niedługo po rozpoczęciu drugiej intifady przed ambasadą Izraela w Waszyngtonie miał odbyć się wiec. Początek planowany był na pierwszą po południu, ja dotarłam pół godziny później i zastałam tylko trzy osoby. Około drugiej zaczęło mżyć, postanowiłam więc spakować kamerę i ekwipunek i pojechać na dworzec kolejowy. Przeżycia ostatnich tygodni tak mnie wyczerpały, że ucieszyłam się z

odwołania wiecu i z tego, że mogę wrócić do domu, do córeczki. Właśnie zamierzałam odejść, gdy zaczęły nadjeżdżać autokary. Zobaczyłam Nihada Awada, Abd al-Halima al-Aszkara i kilku działaczy związanych z Dar al-Hidżra; w końcu zgromadziło się około dwóch tysięcy osób.

Znów można było usłyszeć pełne nienawiści przemowy i nawoływania do przemocy, a mówcy wykrzykiwali powtarzane przez tłum typowe dla Hamasu i PIJ hasła w rodzaju „Krwcią i siłą ducha wyzwolimy Palestynę!”.

Jeden z przemawiających zaintonował pieśń w języku arabskim, a zgromadzeni się przyłączyli.

Al-Aksa nas wzywa, Chodźmy wszyscy na dżihad, I ukamienujemy Żydów.

Brałam już wcześniej udział w niezbyt przyjemnych zgromadzeniach, to jednak przerosło wszystkie inne. Z taką nienawiścią do Żydów - nie do Izraelczyków, lecz do Żydów w ogóle - nie zetknęłam się nigdy wcześniej. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że gdyby mnie zdemaskowano i odkryto, że jestem Żydówką, zostałabym zlinczowana przez rozjuszony motłoch.

Jeden z mówców, dr Ajman Siradž ad-Din, którego przedstawiono jako wykładowcę nauk politycznych i prawa międzynarodowego, porównał Izrael do Trzeciej Rzeszy. „Nie ma różnicy między Barakiem i Szaronem a Hitlerem. Wszyscy są tacy sami” - rzekł (chodziło o Ehuda Baraka i Ariela Szarona, ówczesnego premiera Izraela i przywódcę partii Likud). Porównywanie Żydów z nazistami, trudne wręcz do wyobrażenia, było czymś zwyczajnym na tego typu wiecach.

Następnie Siradž ad-Din wygłosił pochwałę „męczeństwa” i zaintonował pieśń *Chajbar, Chajbar*, a tłum zgromadzony przez ambasadą izraelską podjął śpiew.

Rozejrzałam się dookoła. *Chajbar, Chajbar!* Czy obecni tu dziennikarze wiedzą, co to za straszliwa pieśń? Z pewnością nie. Jutro gazety napiszą o „pokojoyej manifestacji propalestyńskiej”.

Obok mnie stała muzułmanka z trojgiem dzieci. Dziecko, które trzymała na rękach, miało nie więcej niż dwa miesiące; pozostałych dwoje, może trzy - i czteroletnie, wyglądało bardzo mizernie, stojąc w zimnie, deszczu i ścisku. Było mi ich żal. Przez cztery godziny matka wykrzykiwała na całe gardło „Śmierć Żydom!” i *Chajbar, Chajbar!*, a mnie, gdy tak patrzyłam na jej dzieci, gdy pomyślałam o własnych, ogarniał smutek. Patrzyłam na czteroletnie dziecko w T-shircie z nadrukowaną podobizną Hasana Nasrallaha, przywódcy Hezbollahu, śpiewające wraz z całym zgromadzonym tłumem.

Chajbar, Chajbar słyszałam podczas wielu innych demonstracji, ta pieśń rozbrzmiewała w całym kraju, towarzysząc paleniu flag izraelskich, od Florydy do Teksasu, od Nowego Jorku do Kalifornii i z powrotem do Waszyngtonu. Ktoś nierozumiejący słów może ją wziąć za radosną pieśń o wolności; mówiło mi o tym wielu dziennikarzy, którzy odnieśli takie właśnie wrażenie. Jej wymowa jest jednak nieco inna: „*Chajbar, Chajbar, Strzeżcie się, Żydzi, nadchodzi armia Mahometa*”. Piosenka nawiązuje do opowieści z czasów Mahometa. Podczas kampanii, której celem było podbicie całego Półwyspu Arabskiego, wojska proroka oblegały miasto Chajbar, zamieszkane przez Żydów. Mahomet pobity w kilku kolejnych bitwach przez doskonałą armię przeciwnika postanowił wypróbować nową taktykę. Wysłał do władz miejskich emisariuszy, którzy mieli ustalić warunki zawarcia pokoju. Gdy tylko traktat pokojowy został podpisany i otwarto bramy miasta, armia Mahometa ruszyła do szturm i wycięła w pień wszystkich mieszkańców. *Chajbar, Chajbar* znaczy więc: „Zwiedzmy Żydów, zawierając z nimi pokój, a potem ruszajmy naprzód i wybijmy ich

wszystkich”.

Pieśń o wolności.

Śpiewano wiele tego typu pieśni, na przykład podczas wiecu przed konsulatem izraelskim w Miami można było usłyszeć:

„Odrzucamy negocjacje, dżihad wskrzesi naszą nację.

Dżihad przywróci nam ziemię, zniszczy syjonistów plemię”.

Jakieś dziecko pociągnęło tłum do zaśpiewania: „Za pieniądze amerykańskich podatników Żydzi zabijają przeciwników”.

Najgorszymi podżegaczami są, w moim przekonaniu, duchowni. Imamowie są przywódcami duchowymi, mają wielką władzę; ich słowo jest prawem, ich zalecenie - rozkazem Allaha.

„Piękne słowa nie wyzwolą Al-Kuds [Jerozolimy] ani Al-Aksy - głosił Muhammad al-Asi, były imam Akademii Islamskiej w Potomac w stanie Maryland. - Dokonać może tego tylko broń. I nikt inny nie będzie za was ani za mnie nosił tej broni. To my będziemy ją nosić”.

Od takich słów łatwo przejść do czynów.

Relacje z wieców rzadko pojawiały się w telewizyjnych wiadomościach, jedna wszakże pojawiła się w telewizji w zupełnie nieoczekiwany sposób. Na wiecu w parku Lafayette, podobnie jak na wielu innych, tłum był bardzo rozemocjonowany, ale na mnie nie robiło to już większego wrażenia. Ludzi było mnóstwo, przyjechało wiele autokarów z Nowego Jorku, New Jersey, Michigan, Illinois. Do parku przemaszerowałam wraz innymi demonstrantami z placu Wolności; po drodze śpiewano: „Zwycięstwo da nam Allah, naszym wzorem jest Hezbollah” i „O, drogi Nasrallahu, w drodze do wyzwolenia jesteśmy z tobą”.

Wiec trwał całe popołudnie; około wpół do piątej reporterów już dawno nie było, a demonstranci zaczęli się rozchodzić. Ja także byłam gotowa do odwrotu. I wtedy na mównicę wszedł Abd ar-Rahman al-

Amudi z Amerykańskiej Rady Muzułmańskiej (AMC). Stałam z kamerą w odległości piętnastu stóp od niego/ gdy zaczął mówić po angielsku do ożywionego tłumu:

- Nowojorskie media przyklepiły mi etykietkę poplecznika Hamasu.

Czy jest tu ktoś, kto popiera Hamas?

Odpowiedzią był chóralny śmiech.

- Czy ktoś tu popiera Hamas? Znów wybuch śmiechu.

- Czy ktoś tu popiera Hamas? Tłum śmieje się coraz głośniej.

- Słyszysz nas, Billu Clintonie? Wszyscy popieramy Hamas. *Allahu akbar* [Bóg jest wielki].

Euforyczna radość.

- Jak mówią, jestem także podobno zwolennikiem Hezbollahu. Czy jest tu ktoś, kto popiera Hezbollah?

Tłum ryczy z uciechy.

Wiele w ostatnich czasach słyszałam, ale teraz nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Czy ten gość naprawdę publicznie głosi poparcie dla Hezbollahu, organizacji terrorystycznej, od której tylko Al-Ka'ida zabiła więcej Amerykanów? Organizacji, której ofiarą padły setki żołnierzy amerykańskich w Bejrucie i w Arabii Saudyjskiej?

Amerykańska Rada Muzułmańska uchodziła powszechnie za organizację umiarkowaną, Al-Amudi - za człowieka o umiarkowanych poglądach. Był częstym gościem w Białym Domu, a publicznie poparł dwie organizacje terrorystyczne tuż przed frontem Białego Domu. Czy to ja oszalałam, czy naprawdę przekroczono tu jednak granice wolności słowa?

Bardzo wzburzona pojechałam na dworzec i gdy tylko usiadłam w wagonie, sprawdziłam taśmę wideo, by upewnić się, że wszystko zostało nagrane. Potem zadzwoniłam do redakcji „New York Daily News”. Gdy wysiadałam na nowojorskiej Penn Station, czekał już tam na mnie reporter tej gazety. Dałam mu taśmę. Gazeta poprosiła

Al-Amudiego o ustosunkowanie się do tej kwestii. Początkowo upierał się, że mówił tylko po arabsku i dlatego jego słowa zostały z pewnością opacznie zrozumiane. Dziennikarze „Daily News” puścili mu moją taśmę. Wówczas oświadczył, że od tej pory będzie rozmawiał tylko przez prawnika.

Sprawa szybko stała się głośna, moją taśmę pokazano w emitującej program na cały kraj stacji telewizyjnej Fox. Trwały właśnie przygotowania do wyborów, a Hillary Clinton, która ubiegała się o fotel senatora stanu Nowy Jork, otrzymała na kampanię około 50 tysięcy dolarów od AMC Al-Amudiego i innych organizacji muzułmańskich. Al-Amudi uważany był za przyjaciela pani Clinton. Jeden z jej przeciwników zobaczył taśmę w telewizji i bez mojej zgody wykorzystał ją w swej kampanii. Byłam przerażona, gdy obudziłam się pewnego rana i zobaczyłam, że moją taśmę wykorzystuje się w telewizji do rozdmuchania afery politycznej. Moim celem było tylko zdemaskowanie Al-Amudiego.

Hillary Clinton zwróciła pieniądze AMC i pozostałym ugrupowaniom muzułmańskim, zerwała wszelkie związki z nimi i radykalnie zmieniła swoje zapatrywania na kwestię palestyńską. Po tym incydencie także George W. Bush oddał tysiąc dolarów, które otrzymał od Al-Amudiego.

Kilka miesięcy później Al-Amudi pojawił się w telewizyjnym show. Nadal utrzymywał, że nastąpiła „pomyłka” i że jego zdaniem za tym wszystkim stoi Steven Emerson, dziennikarz CNN, zajmujący się problematyką bliskowschodnią. Powiedział, że od czasu tej historii czuje się tak, jakby co wieczór kładł się z panem Emersonem spać i co rano budził się koło niego w łóżku.

O ile może to pocieszyć pana Al-Amudiego, ja byłam jedyną osobą, którą powinien zobaczyć w swoim łóżku i która powinna nawiedzać go w snach.

Nie skończyła się jeszcze jedna sprawa z Al-Amudim, a jego nazwisko znów pojawiło się w polu moich zainteresowań - w sprawie 555 Grove Street.

Donna Chabot jest osobą niezwykle mądrą, zdecydowaną i w dużym stopniu nieprzewidywalną. Myślmy w podobny sposób. Donna docenia siłę mediów, w odróżnieniu od innych agentów rządowych, z którymi miałam do czynienia, a którzy są przekonani, że stoją ponad wszystkimi i że media są tylko bezużyteczną niedogodnością. Doskonale zdaje sobie sprawę, że w naszej działalności opinia publiczna - kształtowana przede wszystkim przez media - odgrywa decydującą rolę. I wie również, jak ważna jest gruntowna znajomość problematyki, którą się zajmujemy.



Donna zadzwoniła do mnie po raz pierwszy, gdy szukała informacji na temat Ghassana Dahdulego, działacza IAR. Jak zwykle w takich wypadkach zapytała, czy znam Dahdulego, czy coś na niego mam, skąd pochodzą moje wiadomości. Próbowwała zebrać wszelkie możliwe dane, ponieważ służby specjalne, do których należała, chciały przyspilić Dahdulego za pogwałcenie przepisów wizowych. Wcale nie dlatego, że było to jego najgorsze przestępstwo, ale dlatego, że był to najprostszy sposób pozbycia się terrorysty; na podobnej zasadzie unieszkodliwiono Ala Capone za przestępstwa podatkowe. Chodziło o to, by udowodnić, że wiza Dahdulego jest nieważna. Otrzymał ją jako duchowny, a w jego życiorysie nie było najmniejszej wzmianki o jakichkolwiek studiach w tym zakresie. Ponieważ Dahduli i jego rodzina mieszkali w Stanach Zjednoczonych

od czasu wynalezienia przez Thomasa Edisona żarówki, nie było łatwo wyrzucić tego gościa z kraju na podstawie oskarżeń o pogwałcenie przepisów wizowych. Służby specjalne wniosły sprawę o deportację Dahdulego, sędzia wydał wyrok po myśli skarżących, Dahduli zaś wniósł apelację i poprosił o azyl polityczny. Aby nie dopuścić do przyznania azylu, siły specjalne musiały zbudować o wiele poważniejsze oskarżenie, udowodnić, że Dahduli jest terrorystą.

Wysłuchałam Donny, a potem zapytałam:

- Dlaczego tak nagle przyczepiliście się do Dahdulego? Czy dlatego, że właśnie wyszły na jaw jego powiązania z Al-Hadżdżem?

Przywykłam już do długiej ciszy, która zapadała, gdy rzucałam podobnego rodzaju rewelacje. Czekałam. W końcu Donna się odezwała:

- Skąd wiesz o Al-Hadżdżu? Myślałam, że to są tajne informacje! Oczywiście tak nie było.

Kilka dni po naszej rozmowie telefonicznej Donna zapukała do drzwi mojego biura. Powiedziała mi, że przyjedzie z Teksasu, ale nie dodała, że zabierze ze sobą całą ekipę. Pojawiła się w towarzystwie prokuratora stanowego i dwóch agentów FBI. Zostaliśmy sobie przedstawieni, a potem już na początku rozmowy Donna i jej zespół przyznali, że sprawa nie wygląda dobrze. Adwokat Dahdulego przedstawił listę około dwudziestu osób, które gotowe są zeznawać na korzyść jego klienta; nie tylko szanowanych muzułmanów, ale także Amerykanów, chrześcijan i Żydów. Służby specjalne nie dysponowały dostateczną liczbą dowodów zdobytych w sposób legalny, by przekonać sędziego, że Dahduli jest terrorystą; wszystko, co miały, to drugorzędna kwestia niejasności związanych z jego wizą. Wzięłam kilka segregatorów i zaprosiłam wszystkich do sali konferencyjnej; moje biuro nie nadawało się do pięcioosobowych

narad, nie moglibyśmy nawet wygodnie usiąść. Poprosiłam o jakieś ciastka i lekkie drinki dla wszystkich, a potem otworzyłam pierwszy segregator. Zawsze powtarzam, że mam segregator na każdą okazję i jest to prawda. Na każde spotkanie przygotowuję odpowiedni zestaw dokumentów i teraz także przygotowałam wiele materiałów na temat Dahdulego. Materiałów, jak się później okazało, wartych swej wagi w złocie. Zrobiłam cztery grube segregatory, stanowiące dwa identyczne zestawy. W każdym zestawie jeden segregator zawierał dokumenty w języku angielskim, drugi w arabskim; jeden zestaw był dla mnie, drugi dla moich gości, tak byśmy mogli bez przeszkód się porozumieć, gdy pojawią się pytania. Wiedziałam, że się pojawią, ponieważ nikt nie może przyswoić sobie tylu informacji podczas jednej rozmowy, nawet jeśli trwa ona wiele godzin. Tak też się stało.

Moi goście wiedzieli, że IAP jest przykrywką dla Hamasu, ale nie mieli pomysłu, jak to udowodnić, a tym bardziej jak powiązać z tą sprawą Dahdulego. Zaczęłam od pytania. Nie był to trik mający przyciągnąć ich uwagę, trudno było o uważniejszych słuchaczy. Chciałam po prostu pokazać im, co przede wszystkim może zostać zakwestionowane przez sędziego. Zapytałam, jak mogą utrzymywać przed sądem, że IAP jest przykrywką dla Hamasu, skoro IAP zostało zarejestrowane w Stanach Zjednoczonych w 1981 roku, co najmniej sześć lat przed powstaniem Hamasu na Bliskim Wschodzie. Nie spodobało im się to pytanie; wyglądali na przygnębionych. Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że zaraz im poprawię humor. I zaczęłam objaśniać, w jaki sposób IAP było powiązane ze Stowarzyszeniem Braci Muzułmanów, z którego wyłonił się Hamas, i jak później, w 1987 roku, powstała HLF. A potem, żeby udowodnić, że ich modlitwy zostały wysłuchane, pokazałam coś, czego ani oni, ani żadna inna rządowa agencja nigdy nie zdobyłaby bez mojej pomocy.

Poprosiłam, że otworzyli swój segregator na odpowiedniej stronie. Wyciągnęłam małą broszurę w jaskrawej, biało-zielonej okładce. Broszura została wydana przez Biuro Informacyjne IAP. Wydrukowano ją w Stanach Zjednoczonych, na okładce widniała angielska nazwa „Muzułmańskie Stowarzyszenie na rzecz Palestyny”, ale reszta tekstu była w języku arabskim. Na tylnej okładce znajdował się wykaz biur IAP w Stanach Zjednoczonych wraz z adresami, pod które można było składać zamówienia na dodatkowe egzemplarze broszury. Na przedniej okładce wielki napis po arabsku głosił: *Karta zasad Hamasu*.

Od czasu pierwszej wizyty w Dar al-Hidżra starałam się odwiedzać ten meczet przy okazji każdej wizyty w Waszyngtonie. Bywałam tam tym częściej, im mocniej zacieśniała się moja współpraca z władzami. Współpracowałam z kilkoma agencjami rządowymi - i z pewnymi organizacjami pozarządowymi zajmującymi się muzułmańskim terroryzmem. Poza tym przed Białym Domem odbywało się coraz więcej wieców, czasem więc widywałam Biały Dom od wewnątrz, a czasem z zewnątrz - a nierzadko i tak, i tak podczas jednego pobytu w Waszyngtonie. Zawsze próbowałam umawiać się na spotkania i narady w drugiej połowie tygodnia, aby móc przy okazji pójść do meczetu w piątek. Pewnego razu poszłam po kazaniu do sklepu w Dar al-Hidżra. Znano mnie tam, byłam stałą klientką. Miałam nawet rachunek, dzięki czemu mogłam kupować różne rzeczy i płacić za nie później, jeśli jakiegoś dnia nie wystarczyło mi pieniędzy.

Rozglądając się po sklepie zauważyłam broszurkę zatytułowaną *Karta zasad Hamasu*. Znałam ten tytuł, fragmenty *Karty* czytałam w czasopiśmie Hamasu „Ila Filistin”. Zdumiało mnie, że broszurka ta została wydana przez IAP w Ameryce Północnej. Najlepsze jednak było to, że IAP podała adres, pod który chętni mogą składać zamówienia na broszurę, i był to adres Ghassana Dahdulego.

Agenci służb specjalnych, od kilku lat prowadzący dochodzenie w sprawie LAR nigdy nie trafiliby na tę publikację w języku arabskim, tę przyjemną broszurkę z okładką w bieli i zieleni, kolorach flagi palestyńskiej. Gdy pokazałam im ten dowód związków Dahdulego z Hamasem, ich radość nie miała granic.

A potem rzuciłam drugą bombę. Opowiedziałam, w jaki sposób Biuro Informacyjne IAP działało w końcu lat osiemdziesiątych w Centrum Muzułmańskim w Tucson, tam gdzie początkowo ulokowała się również Al-Ka'ida. Jak się spodziewałam, moi słuchacze bardzo niewiele wiedzieli o Centrum. Patrzyli na mnie zafascynowani i z każdą minutą coraz bardziej zachwyceni. Dahduli kierował Centrum Muzułmańskim w Tucson, a mniej więcej w tym samym czasie prowadził Biuro Informacyjne IAP Działaczem Centrum był wówczas doskonale znany moim gościom Wadih Al-Hadżdż. Wiedzieli, że numery telefonów Dahdulego - domowy, biurowe, w ogóle wszystkie - znaleziono w notesie skonfiskowanym Al-Hadżdży; dowodziło to, że tych dwóch ludzi łączyło coś więcej niż zwykła znajomość. Właśnie notes Al-Hadżdża był przyczyną nagłego zainteresowania służb specjalnych Dahdulim. Powiedziałam im jednak coś, czego nie wiedzieli - że Al-Hadżdż i Dahduli byli współnikami od czasów, gdy obaj działali w Centrum, co w przypadku Dahdulego ma kluczowe znaczenie. Objaśniłam również naturę związków Wa'ila Dżulajdana z Centrum i pokazałam dokumenty ukazujące jego rolę w Al-Ka'idzie. Podkreśliłam znaczenie tego Centrum i fakt, że nadal, lata po odejściu Dżulajdana, jest ono ośrodkiem rekrutacji mudzahedinów. Od tej chwili moi goście wyglądali na znacznie bardziej odprężonych; na twarzy Donny zauważyłam nawet cień uśmiechu.

To jeszcze nie był koniec. Teraz pokazałam znajdujące się w arabsko-języcznym segregatorze numery „Ila Filistin”, pisma

wydawanego przez Biuro Informacyjne Dahdulego. Pismo przestało wychodzić na początku lat dziewięćdziesiątych, agenci rządowi nigdy więc o nim nie słyszeli. Opisałam zawartość „Ila Filistin”, a także jego następcy, „Al-Zajtuna”. O tym drugim czasopiśmie wiedzieli, ale nie zdawali sobie sprawy, jak podburzające teksty znajdowały się w dawniejszych numerach. Później zademonstrowałam niektóre wydawnictwa IAP w języku angielskim, „Palestine Monitor” i jego następcę, „Muslim World Monitor”. W obu tych czasopismach na każdej stronie można było znaleźć najświeższe informacje dotyczące Hamasu i szejka Jasina, duchowego przywódcy ugrupowania, a także teksty propagujące terroryzm. Nic dodać, nic ująć. O tym także moi goście nigdy nie słyszeli. Na koniec pokazałam broszury i ulotki IAP i Dahdulego, a także wiele innych związanych ze sprawą dokumentów, jasno dowodzących ścisłych związków między Dahdulim, IAP i Hamasem. Dahduli pojawiał się bez przerwy. Wszystko to znajdowało się w moich segregatorach i wszystko pochodziło z ogólnie dostępnych źródeł. Teoretycznie każdy mógł dotrzeć do tych informacji. Służby specjalne jednak nie dotarły, zrobiłam to ja.

Po wysłuchaniu i przyswojeniu sobie informacji moi słuchacze, w pełni świadomi ich wartości, zadali mi pytanie niezwiązane bezpośrednio ze sprawą Dahdulego. Chcieli wiedzieć, jakie ugrupowania lub organizacje powiązane z Hamasem powinny stać się przedmiotem dochodzenia i która z nich jest najgroźniejsza. Czy jest to IAP, HLF czy może Centrum Muzułmańskie w Tucson. Zastanawiałam się przez chwilę, czy powinnam powiedzieć, co naprawdę myślę, zdawałam sobie bowiem sprawę, że wywoła to zaskoczenie. Postanowiłam jednak rzucić trzecią bombę i oznajmiłam:

- Nic prostszego. To powinna być InfoCom.

Donna i agenci federalni dosłownie podskoczyli na krzesłach.

Donna spytała niepewnym głosem, dlaczego tak uważam. Odparłam:

- Ponieważ ta firma bez trudu może pracować pieniądze. Prowadzi interesy z wieloma firmami saudyjskimi i w niektórych państwach nad Zatoką Perską. Płyną stamtąd wielkie sumy pieniędzy, a operacje są trudne do prześledzenia. Oficjalnie są to opłaty za usługi komputerowe świadczone przez InfoCom, ale pieniądze płyną do Hamasu i być może innych organizacji terrorystycznych. A poza tym InfoCom to firma Abu Marzuka.

InfoCom była bardzo dochodową firmą komputerową, importującą i eksportującą oprogramowanie oraz obsługującą ponad pięćset stron internetowych w samej tylko Arabii Saudyjskiej, w tym stronę firmy budowlanej Bin Ladena. InfoCom była zarządzana przez te same osoby, które działały w IAP i HLF, lecz w odróżnieniu od tych dwóch organizacji firma operowała naprawdę wielkimi sumami pieniędzmi. Założona została przez Musę Abu Marzuka, politycznego przywódcę Hamasu, człowieka, w którego sprawie wysłano z biura jordańskiego dyplomaty Iszaka al-Farhana faks z pogrózkami do ambasady amerykańskiej w Ammanie. O, przepraszam, w rzeczywistości to nie Marzuk stworzył InfoCom. Założycielką operującej wieloma milionami firmy była jego żona, która na początek zainwestowała w nią około 250 tysięcy dolarów. Nic dziwnego, że udało się jej zaoszczędzić taką sumę, była przecież gospodynią domową!

Gdy kończyłam mówić o InfoCom, Donna i jej towarzysze sprawiali wrażenie, jakby natychmiast chcieli wyjść z mojego biura. Usłyszeli już wystarczająco dużo, może więcej, niż się spodziewali, i kiedy wychodzili, byli znacznie szczęśliwsi niż w chwili, gdy wkraczali w nasze progi. Tego popołudnia z pewnością zarobiłam na swoją pensję.

Po spotkaniu Donna często do mnie dzwoniła. Omawialiśmy

dokumenty przedstawione przez adwokata Dahdulego, a ja wysłałam jej faksem materiały zawierające kontrargumenty. Prawnicy Dahdulego utrzymywali, że publikacje zarówno ich klienta, jak i IAP miały charakter czysto religijny i służyły krzewieniu islamu. A do tych publikacji należały, jak łatwo zgadnąć, „Ila Filistin” i „Al-Zajtuna”. Czekala ich niemiła niespodzianka.

Szanowałam Donnę i jej zespół. Byli profesjonalistami doskonale znającymi swój fach i oddanymi pracy. Nie potrafili dotrzeć do informacji, których im dostarczyłam, ale mieli ogromną wiedzę na temat innych ważnych aspektów działalności Hamasu i IAP; rozumieli także mechanizm funkcjonowania przykrywek dla organizacji terrorystycznych. Najbardziej zaskakująca była dla mnie była harmonijna współpraca wszystkich członków tego zespołu służb specjalnych. Nawet agenci FBI chętnie dzielili się informacjami z resztą kolegów, a także z innymi przedstawicielami władz - praktycznie z każdym, kto tych informacji potrzebował. (Mam nadzieję, że pisząc o tym, nie przysparzam im kłopotów). Widać było wyraźnie, że lubią pracować w zespole, a i mnie współpraca z nimi sprawiała przyjemność.

Kilka miesięcy później, na początku sierpnia, Donna zadzwoniła do mnie. Była bardzo podekscytowana, wyczułam, że dzieje się coś ważnego.

- Zgadnij, skąd dzwonię? - zapytała.

- Nie mam pojęcia - odparłam. - Skąd?

- Myślę, że ty powinnaś dowiedzieć się o tym pierwsza. Nie chcę, żeby dziennikarze cię zaskoczyli. Robimy właśnie nalot na InfoCom!

Doceniłam ten gest. Oznaczało to, że wcześniej niż inni dowiem się o najważniejszych rzeczach związanych z tą akcją. Donna była mi wdzięczna za pomoc i w ten sposób wyraziła swoją wdzięczność. Nie słowami, lecz czynem. Później powiedziała mi przy kawie, że tego

samego dnia, gdy byli u mnie w biurze, spotkali się z funkcjonariuszami Departamentu Skarbu w sprawie InfoCom. Dlatego właśnie przyjechali w grupie - jednym z celów tej podróży było opracowanie strategii działania wobec InfoCom.

I dlatego byli tak zaskoczeni - i pod wrażeniem - gdy nazwałam InfoCom najbardziej niebezpieczną instytucją. O IAP, HLF i Harnasie mówiło się bez przerwy, ale mało kto choćby napomknął o InfoCom.

Rok po nalocie pracownicy tej firmy stanęli przed sądem. To był tylko jeden z wielu sukcesów zespołu Donny. Dziś jego członkowie zapraszani są na konferencje i narady poświęcone walce z terroryzmem, by jako świetni znawcy tej problematyki mogli podzielić się swą wiedzą z innymi.

W październiku, pewnego spokojnego sobotniego popołudnia, gdy Leo zawiózł dzieci na lekcje gry na pianinie, a ja pracowałam w biurze, zadzwonił telefon. Dziwne. Kto może dzwonić tu w sobotę? To była Donna. Nie zastała mnie w domu, spróbowała więc złapać mnie w biurze.

- Jeszcze raz zgadnij - przekomarzała się ze mną, śmiejąc się do słuchawki. Tym razem zgadłam.

- Dahduli, prawda?

- Trafiony!

- Jak to zrobiłaś? - spytałam i sama już nie mogłam opanować śmiechu.

- To nie ja zrobiłam, tylko ty. Zanim zapadła decyzja w sprawie jego apelacji, spotkaliśmy się z nim. Nie mieliśmy nic do roboty, naprawdę. Pokazaliśmy mu tylko materiały, które nam dałaś. Zgadnij, co się stało?

Umierałam z ciekawości.

- Spojrzał na dokumenty - powiedziała Donna - i po prostu wycofał apelację. Powiedział, że chce wyjechać. Poddał się bez

procesu.

Śmiałam się tak, że aż pociekły mi łzy. Chodzili za tym gościem prawie cztery lata. W końcu dostał, na co zasłużył.

- Dahduli i jego adwokaci po prostu nie mogli sobie wyobrazić, w jaki sposób zdobyliśmy materiały sprzed dziesięciu lat. Osłupieli, gdy bez trudu udowodniliśmy im kłamstwo przy próbie przedstawienia tych publikacji jako „czysto religijnych”. To tylko twoja zasługa - zakończyła Donna. - Bez ciebie nic byśmy nie działali.

Ghassan Dahduli spędził kilka tygodni w więzieniu, a potem Donna osobiście eskortowała go w drodze na lotnisko i podczas lotu do Jordanii. Po wylądowaniu w Ammanie Dahduli został natychmiast aresztowany przez miejscowe władze za powiązania z terroryzmem.

Biblia czyni wyraźne rozróżnienie między prorokami fałszywymi a prawdziwymi. W tamtych czasach nauka była w powijakach, królestwa znikwały równie szybko, jak się pojawiały, a przy podejmowaniu decyzji ważnych dla państwa powszechnie kierowano się przepowiedniami. Królestwa upadały, armie ścierano w proch i dopiero wówczas stawało się jasne, że niektóre z tych katastrof były skutkiem przepowiedni szarlatanów. Mędracy ustalili więc zasady, które miały pomóc władcom zdecydować, który prorok jest prawdziwy, a który fałszywy.

Trzeba było całych pokoleń, by wysnuć prosty wniosek.

Mędracy orzekli, że prorocy, którzy przepowiadali pomyślność, byli fałszywi.

Ci, którzy przepowiadali katastrofę, byli prawdziwi. To oni ostrzegali przed gniewem Bożym, musieli więc działać natchnieni przez Boga.

Podobnie jest z darem Józefa, moim przekleństwem. Powiem coś i wkrótce wydarza się coś zupełnie przeciwnego. Zwykle nic dobrego.

Leo długo droczył się ze mną i prosił, żebym powiedziała: „Nigdy nie wygramy na loterii”. Twierdził, że jeśli wypowiem te słowa, wygramy następnego dnia. Nigdy się na to nie zdobyłam. Pod wpływem nagłego impulsu powiedziałam jednak na przykład, że Gil jest bardzo przystojny. Nie minęła doba, a Gil przewrócił się i rozbił sobie podbródek; pozostała mu szpecąca blizna. Pewnego razu wyrwało mi się, że Charlie nigdy nie zachoruje. Następnego dnia zapadł na groźną infekcję uszu, wymagającą interwencji chirurga. Wyraziłam zachwyty dla pewnego sklepu z odzieżą, który lubiłam i który cieszył się ogromnym powodzeniem. Po miesiącu sklep zbankrutował. Tego rodzaju przykłady mogę mnożyć bez końca.

Na początku września 2001 roku zostałam zaproszona przez wywiad Urzędu Cel i Departamentu Skarbu na naradę w sprawie prania pieniędzy przez muzułmańskie organizacje charytatywne w Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza w Michigan. Na takie spotkania zazwyczaj nie chodziłam sama. Zabierałam ze sobą któregoś z młodszych pracowników biura, aby przy okazji mógł się czegoś nauczyć i nawiązać ważne znajomości. Niektórzy z moich współpracowników wykorzystywali te znajomości, by znaleźć pracę w instytucjach rządowych. Tym razem pojechałam z Samem - młodym, świeżo po college'u, ale bardzo oddanym pracy i niezwykle błyskotliwym. W głównej siedzibie Urzędu Cel w Waszyngtonie zaprowadzono nas do pokoju narad. Na jednej ze ścian zauważyłam ogromny ekran, prawdziwy cud nowoczesnej techniki, z mapą Stanów Zjednoczonych usianą migoczącymi światełkami.

- Co to jest? - zapytałam.

- To sporządzona przez nasz wywiad mapa zagrożeń ze strony terrorystów - usłyszałam w odpowiedzi. - Proszę spojrzeć na znaki, to potencjalne cele. Światła informują o stopniu zagrożenia; od zielonego, oznaczającego brak zagrożenia, poprzez żółty i

pomarańczowy do czerwonego, sygnalizującego stan najwyższej gotowości.

Wszystkie światła były zielone.

- Dlaczego tak jest - zaciekało mnie. - Dlaczego widać tylko zielone światła?

- Widzę, że pani nie zrozumiała - rzekł mój rozmówca protekcjonalnym tonem. - To jest mapa Stanów Zjednoczonych, tylko naszego kraju - łaskawie mnie oświecił. - Nie mówimy o zagrożeniach na całym świecie, interesuje nas to, że w Stanach Zjednoczonych nie ma w tej chwili niebezpieczeństwa.

- A co z planami wysadzenia w powietrze lotniska w Los Angeles?
- brnęłam dalej. - Jak możecie być pewni, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa?

- Ach, o to chodzi. To dawna sprawa, sprzed roku, sprzed początku tysiąclecia. Wówczas mieliśmy tu trochę pomarańczowych świateł, ale od tamtej pory sytuacja się znacznie uspokoiła, nie sądzi pani?

Przekazałam wszystkie niezbędne informacje i przedstawiłam kilka metod stosowanych przez organizacje charytatywne do finansowania terroryzmu. Pokój narad opuszczałam jednak bardzo niespokojna.

Już w pociągu zapytałam Sama:

- Czy sądzisz, że jesteśmy zupełnie bezpieczni?

- To wygląda zbyt dobrze, żeby było prawdziwe - odparł. - Ale ci ludzie dysponują informacjami wywiadu.

Kilka dni później spotkałam się z Leo na lunchu. Bardzo lubię, gdy możemy wymknąć się z pracy i zjeść razem lunch. Czuję się tak, jakbym była na randce - tyle że z własnym mężem. Poszliśmy do lubianej przez nas oboje restauracji wietnamskiej. Przed oczami ciągle miałam ogromny ekran z pokoju narad.

- Nie mogę przestać myśleć o tym, że sytuacja dogania mnie, gdziekolwiek jestem - powiedziałam. - Sądziłam, że gdy wyjedziemy

z Izraela, nigdy więcej nie usłyszę już o terroryzmie. I popatrz, gdzie znalazłam się teraz. W samym środku tego wszystkiego. Terrorysty są tam, ale tutaj znajduje się wielu ich przywódców i kwatery główne. To przerażające.

- Czy dzieje się coś złego? Boisz się o swoje bezpieczeństwo?

- Nie, w gruncie rzeczy nie.

Uczucie niepokoju wywołały we mnie zielone światełka w pokoju narad, a poza tym trwała właśnie druga intifada; Izraelem codziennie wstrząsały zamachy terrorystyczne. Ale to przecież działo się w Izraelu.

- Teraz sytuacja jest chyba inna - ciągnęłam. - Sądzę, że jesteśmy bezpieczni. To jest Ameryka. Zamachy terrorystyczne to problem Bliskiego Wschodu. Tu mam do czynienia z przykrywkami dla ugrupowań terrorystycznych i podejrzanymi organizacjami dobroczynnymi, ale nie z ludźmi, którzy naprawdę detonują bomby.

Pod wpływem nagłego impulsu zakończyłam:

- Myślę, że nic nam nie grozi, w Ameryce jesteśmy bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej.

Do biura wróciłam dość późno, trochę po trzeciej. Był poniedziałek, 10 września 2001 roku.

ROZDZIAŁ 10

Ptaki w ogniu

W biurze byłam w pewnym sensie samotna. Latem 2001 roku odeszli wszyscy bardziej doświadczeni pracownicy, George, Bruce i Neil. Bruce zaczął pracować w instytucji rządowej, pozostali chcieli ukończyć studia doktoranckie. Mój niewielki zespół tworzyli nowi ludzie, najbardziej z nich doświadczony był Sam, który wówczas - we wrześniu - był u nas zaledwie od dwóch miesięcy. Przez ten krótki czas wiele się nauczył i został moją prawą ręką, ale jedynym ekspertem z zakresie terroryzmu w zespole byłam ja.

W ten piękny, ciepły wtorkowy rano oglądałam w biurze telewizyjną relację o uderzeniu samolotu w World Trade Center. Widziałam na żywo, jak drugi samolot wbija się w drugą wieżę. Natychmiast stanął mi przed oczami raport z przesłuchania przez FBI Abd al-Hakima Murada: „Przesłuchiwany miał zamiar wsiąść na pokład amerykańskiego samolotu linii krajowych, przejąć nad nim kontrolę i uderzyć w kwaterę główną CIA. Do realizacji tego planu nie zamierzał używać żadnych bomb ani ładunków wybuchowych. Miał to być zamach samobójczy, którego dokonałby z największą ochotą”.

Ludzie Bin Ladena, kamraci Murada, zrealizowali więc ostatecznie swój plan.

Gdy stało się jasne, że dzieje się coś wyjątkowego, członkowie zespołu zaczęli się schodzić w moim biurze na drugim piętrze. Nigdzie nie można było jednak znaleźć Maa. Nie zadzwonił, nie odpowiedział na dwie wiadomości, które mu zostawiłam.

Podobnie jak większość Amerykanów w tych pierwszych godzinach czuliśmy się kompletnie dezorientowani i zagubieni. Próbowaliśmy dodzwonić się do Leo - każdy próbował skontaktować się z rodziną i upewnić, że wszystko w porządku - ale wszystkie linie były zajęte. W biurze panowała upiorna cisza, ludzie zaczęli wpadać w panikę. Chcieli ode mnie usłyszeć, co mają robić; chcieli, żebym dodała im otuchy.

I wtedy zadzwonił telefon. Po czterdziestu pięciu minutach ciszy zabrzmiało to jak sygnał alarmowy. Na drugim końcu linii znajdował się były agent CIA i przyjaciel Maa.

- Moim zdaniem powinniście zostawić wszystko i natychmiast wyjść z biura - poradził. - Jak wiesz, doniesienia są sprzeczne, ale wygląda to na początek wojny. Zaatakowany został Pentagon, a podobno także Departament Stanu. Nad National Mail w Waszyngtonie widać dym, nie wiadomo, ile jeszcze samolotów lata; mówi się co najmniej o trzech. Sądnym dzień.

- Ale dlaczego - zapytałam - ktoś miałby atakować nasze biuro?

Moi pracownicy słyszeli tę rozmowę i całkiem opacznie ją zrozumieli. Jeden wypadł nawet z biura i zanim dodzwoniłam się na jego komórkę, był już dwadzieścia przecznic dalej.

- Nic jeszcze nie wiadomo - powiedział przyjaciel Maa. - Na waszym miejscu zamknąłbym wszystkie komputery, bo nie wiadomo, czy nie spróbują cyberataku, i schował się gdzieś, choćby w domu.

Przez chwilę myślałam, że tak właśnie powinnam postąpić - zabrać wszystkich za miasto, do domu, i tam pracować. Ale co z

komputerami i telefonami? Nie, musimy tu zostać. A poza tym wiedziałam, że z miasta nie będzie łatwo się wydostać.

Spojrzałam na swoich współpracowników. Byli przerażeni.

- Powinniśmy się ewakuować - powiedział jeden z nich, a reszta potakująco kiwała głowami.

- Słyszeliście rozmowę - powiedziałam. - Jeśli ktoś chciałby wyjść, nie mam nic przeciwko temu. Jeśli martwicie się o rodziny, idźcie. Ja zostaję, a jeśli ktoś chce zostać ze mną, proszę bardzo. Ludzie będą nas teraz potrzebowali bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Tak naprawdę nie wiemy, gdzie jest bezpiecznie, a gdzie nie.

Moja pewność siebie podziałała. Wszyscy postanowili zostać. Wrócił także mężczyzna, który wybiegł z biura. Wysłałam dwie osoby do domu Maa, ponieważ chciałam się dowiedzieć, czy nic mu się nie stało, a poza tym był tu teraz bardzo potrzebny.

Mał pojawił się późno, długo po runięciu drugiej wieży. Na jego widok wykrzyknęłam:

- Właśnie to zrobił! Bin Laden dokończył wreszcie to, co zaczął w 1993!

Żaden Amerykanin nigdy nie zapomni 11 września i pierwszych godzin po zamachu.

Później po zamachu pełna napięcia cisza w biurze ustąpiła miejsca wrzawie i bezustannie dzwoniącym telefonom. Media oczywiście oszalały. Dzwonili do nas wszyscy dziennikarze, z którymi kiedykolwiek współpracowaliśmy, przede wszystkim ze stacji telewizyjnych. „Czy to Bin Laden? - pytali. - Gdzie byli szkoleni piloci Al-Ka'idy?”. Później zaczęli dzwonić znajomi agenci rządowi. W pierwszych godzinach po zamachu desperacko próbowali zapobiegać kolejnym zagrożeniom, ale później także chcieli się dowiedzieć, czy moim zdaniem to zaatakował Bin Laden.

Nikt nie mógłby dziś powiedzieć, patrząc z perspektywy czasu, że

od początku wiedział, kto stoi za zamachem. A jednak pierwszym pytaniem dzwoniących do mnie dziennikarzy i agentów było: „Czy Bin Laden ma pilotów?”.

Przez długi czas zajmowałam się kwestią kursów pilotażu dla ludzi Al-Ka'idy. Wiedziałam, że ważni działacze tej organizacji, na przykład członkowie komórki filipińskiej - Murad, Ramzi Jusuf i Chalil Szajch Muhammad - brali lekcje latania. Murad, który ujawnił swój plan przeprowadzenia samobójczej misji, uczył się latać w Nowym Jorku, Teksasie i na Florydzie. Protokół z przesłuchania Murada dowodzi, że FBI doskonale wiedziało o jego planie i nauce pilotażu.

Co więcej, na początku 2000 roku, podczas procesu przeciw sprawcom zamachów na ambasady, ludzie Bin Ladena ujawnili, że działacze Al-Ka'idy pobierają lekcje latania w Ameryce i Sudanie. Uczą się pilotować zarówno wielkie maszyny pasażerskie, jak i samoloty do opryskiwania pól. Istnieją świadectwa opisujące, w jaki sposób finansowano kursy pilotażu członków Al-Ka'idy. Większość amerykańskich szkół latania oferuje kursy języka angielskiego dla cudzoziemców chcących uczyć się latać, by mogli się zapoznać z niezbędnym słownictwem. Szkoły te reklamują się na całym świecie.

Bin Laden przypuszczalnie zainteresował się szkoleniem pilotów na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy musiał przemieszczać się z miejsca na miejsce i z konieczności wynajmował pilotów, niebędących członkami Al-Ka'idy. Jednym z pilotów, którym Bin Laden zaproponował stałą pracę, był Issam ar-Ridi, który odmówił przyjęcia posady z powodu zbyt niskiej pensji. (Podobnie jak inne osoby znające Bin Ladena Ar-Ridi określił go później jako skąpca - żądał na przykład od swych podwładnych szczegółowego rozliczenia się z każdego grosza wydanego podczas wykonywania zadań). Bin Laden słusznie założył, że kształcąc na pilotów ludzi, którzy przysięgali mu wierność, o wiele taniej kupi sobie bezpieczeństwo.

Ar-Ridi pracował od czasu do czasu dla Bin Ladena, dopóki nie rozbił jednego z jego samolotów. Przeżył wypadek, ale wolał uciec. W 1994 roku, przed katastrofą, latał w zespole z innym pilotem Ihabem Alim.

Ihab Ali był taksówkarzem w Orlando na Florydzie. Pochodził z Egiptu, gdzie mieszkała jego żona i cała rodzina, i często odwiedzał ojczyznę. W 1999 roku został aresztowany jako członek Al-Ka'idy, ponieważ FBI znalazło w domu Wadiha Al-Hadżdża w Kenii korespondencję między obu panami. W 1994 roku Ali uczył się pilotażu w Oklahomie.

Nie tylko najważniejsze amerykańskie media chciały poznać nasze zdanie; dzwonili dziennikarze z całego świata, między innymi z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji, a także niemal z każdego dużego miasta w Stanach Zjednoczonych. Większość rozmów przeprowadziłam osobiście. Wszyscy chcieli dowiedzieć się czegoś o spisku i Bin Ladenie, ale też o powiązaniach swego kraju czy miasta z terroryzmem i zamachem. Bez końca powtarzałam te same informacje o nauce latania i pilotach; jeśli było to istotne, przekazywałam dziennikarzom szczegółowe dane dotyczące ich miejscowości. Potem musiałam dostarczyć moim rozmówcom materiały potwierdzające to, co ode mnie usłyszeli. Wysyłałam kopie aktu oskarżenia Ihaba Alego, wykazy adresów, dowody powiązań z takimi terrorystami, jak Al-Hadżdż, i tak dalej. Gdy pytano, skąd moja pewność, że zamach był dziełem Bin Ladena, odpowiadałam, że cele, metoda i precyzja wykonania są charakterystyczne dla Al-Ka'idy. Plan Murada, kursy pilotażu, fakt, że Al-Ka'ida stała za pierwszym zamachem na World Trade Center - wszystko to sprawiało, że nie miałam wątpliwości co do sprawców obecnej katastrofy. Dla większości dziennikarzy - a także agentów rządowych - szokująca była wiadomość, że podłożenie bomby w World Trade Center w 1993 roku było dziełem Al-Ka'idy;

nie mieli o tym najmniejszego pojęcia.

Cztery dni po zamachu zadzwonił do mnie prokurator federalny z Manhattanu i poprosił o dane na temat podłożenia bomby w World Trade Center oraz odpowiednie materiały, takie jak zeznanie Murada. Zwracał się o to do FBI, ale nic nie uzyskał. Nie pomogły prośby ani błagania, nie dostał najmniejszej wskazówki. Po 11 września niemal wszyscy przedstawiciele władz zdawali sobie sprawę, że rozprawa z terroryzmem jest koniecznością, FBI nie zmieniło jednak swojego postępowania. Gdy kilka miesięcy później służby specjalne, powołane przez nowojorski departament policji do walki z terroryzmem, zwróciły się do FBI z prośbą o pomoc, nic nie uzyskały. Jak w wielu podobnych wypadkach skończyło się na telefonie do mnie.

Rozmawiałam z prokuratorem federalnym, przekazałam stosowne informacje, a potem opowiedziałam o Al-Muhadżirun, Imigrantach, ugrupowaniu mającym bazę w Wielkiej Brytanii i filię w Nowym Jorku. Zajmowałam się nim od dłuższego czasu. Dwudziestego ósmego kwietnia 2001 roku, niespełna sześć miesięcy przed 11 września, Imigranci zorganizowali wiec przed siedzibą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Szef ich nowojorskiego biura, Kamran Buchari, powiedział wówczas: „Jest nas tu niewielu, ale miliard muzułmanów popiera dżihad. [...] Pewnego dnia wyzwolimy wszystkie ziemie zamieszkałe przez muzułmanów. Pewnego dnia flaga islamska zawiśnie na Białym Domu! *Allahu Akbar!*” Następnie Buchari zagrzewał zgromadzonych do skandowania: „Hezbollah, Hezbollah, Hezbollah!” oraz: „Popieramy Bin Ladena! Bin Laden! Czego chcemy? Dżihadu! Czego chcemy? Dżihadu! Dżihadu! Dżihadu!”. Próbowałam zainteresować władze taśmami wideo nagranych na wiecu, ale bez powodzenia; powiedziano mi, że wypowiedzi Buchariego nie przekraczają granic wolności słowa.

Kilka miesięcy później ujawniono dokumenty dowodzące, że Imigranci robili znacznie więcej, niż tylko wznosili okrzyki - werbowali mudzahedinów i opłacali ich szkolenie tu, w Stanach Zjednoczonych, przede wszystkim kursy pilotażu. A przy tym członkowie ugrupowania sami także uczyli się latać.

Tydzień po zamachu Sam zadzwonił do mnie do domu o jedenastej wieczorem i powiedział, że czyta artykuł o porywaczach i szkołach pilotażu w Oklahomie. Chciał wiedzieć, czy znam ten tekst, ponieważ słyszał przypadkiem, jak mówię coś przez telefon o Oklahomie i szkołach latania. Przeczytałam artykuł, a potem zajrzałam do akt Ihaba Alego.

Bingo.

Ihab Ali uczył się pilotażu w Norman w Oklahomie, w Airman Flight School. Dwaj inni z dziewiętnastu porywaczy, Muhammad Atta i Marwan asz-Szahhi, podali jako pierwszy swój adres w Stanach Zjednoczonych właśnie adres tej szkoły; dopiero później uczyli się na Florydzie. Także tak zwany dwudziesty porywacz, Zakarijja Musawi, szkolił się w Norman.

Po katastrofie wielokrotnie zadreślałam się pytaniem, czy można było temu zapobiec. Czy można było zrobić coś więcej i czy nie ma również mojej winy w tym, że zignorowano znaki ostrzegawcze.

Władze z pewnością dysponowały wskazówkami. Miały informacje o spisku Murada; miały pod kluczem Alego, członka Al-Ka'idy i wyszkolonego pilota. Wiedziały, że członkowie grupy filipińskiej uczyli się latać, że Al-Ka'ida gorliwie szkoli pilotów w Ameryce. Istniał nawet raport agenta FBI Kennetha Williama z lipca 2001 roku, donoszący, że niektórzy Imigranci pobierają lekcje latania w Arizonie. Williams zauważył również, że za te szkolenia płacono gotówką. Raport wysłany został do Waszyngtonu, do przewodniczącego zespołu zwalczającego terroryzm, prowadzącego w

tym czasie śledztwo przeciwko Zakarijji Musawiemu. Przewodniczący nigdy podobno go nie zobaczył, a Musawi został aresztowany zaledwie dwa tygodnie przed 11 września. Przede wszystkim jednak władze wiedziały, że Bin Laden wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym.

Gdy spojrzę się z perspektywy czasu, najprostsze się wydawało nakazanie szkołom latania informowanie FBI o wszystkich uczestnikach kursów płacących za naukę gotówką i następnie sprawdzenie tych osób. Czy dzięki tej wiedzy udałoby się zmienić bieg wydarzeń? Nie wiem i nikt już się tego nie dowie. Dziś FBI przygląda się uważnie nawet szkołom nurkowania, ponieważ ma informacje, że Ramzi Jusuf przechodził szkolenie w tej dziedzinie. Dopiero jednak po 11 września FBI ostatecznie przyznało, że grupa filipińska była częścią Al-Ka'idy.

Administrację Clintona obwiniano o zlekceważenie niebezpieczeństwa, jakie stanowi Al-Ka'ida, jednak trzy lata wcześniej, gdy władze amerykańskie przeprowadziły akcje w Afganistanie i Sudanie, media podniosły wrzawę, oskarżając Clintona, że próbuje wywołać wojnę, by odciągnąć uwagę opinii publicznej od skandali w swoim życiu osobistym. Głośno protestowali oczywiście przedstawiciele amerykańskiej społeczności muzułmańskiej. „Nasz kraj popełnił akt terroryzmu - mówił w kazaniu Maher Hathout, rzecznik Centrum Muzułmańskiego Południowej Kalifornii i szanowany przywódca amerykańskich muzułmanów. - To, co zrobiliśmy, jest bezprawne, niemoralne, niehumanitarne, nie do przyjęcia, głupie i nie - amerykańskie”. Dodał też, że wystrzelenie pocisków było „odrażającą zbrodnią”, gorszą niż wysadzenie ambasad, ponieważ pociski te, jak utrzymywał, zabiły niewinnych ludzi śpiących w domach.

Tego typu retoryka nie uległa zmianie po 11 września. Cieszący się

autorytetem muzułmanie bagatelizowali sam zamach, wyrażali natomiast obawy, że wyznawcy islamu bardzo ucierpią z rąk żądnych zemsty Amerykanów. Niektórzy najbardziej wpływowi przywódcy, nawet ci utrzymujący ściśle więzi z Białym Domem, potępili zamach - nie jako dzieło muzułmanów, lecz jako prowokację izraelską. „Jeśli zamierzamy szukać podejrzanych - powiedział 11 września Salaam al-Marayati, dyrektor Muzułmańskiej Rady Spraw Publicznych - powinniśmy szukać grup, które odnoszą największe korzyści z tego typu incydentów, i moim zdaniem na liście podejrzanych powinniśmy umieścić Izrael”.

Nie tylko Al-Marayati głosił tego typu poglądy; także Mohammed Gameaha, imam i przywódca duchowy Muzułmańskiego Centrum Kulturalnego na Manhattanie, największego i najbardziej wpływowego meczetu w mieście, sugerował, że za zamachem stoją Żydzi. Dla całości obrazu warto dodać, że nieco później Gameaha oznajmił, iż żydowscy lekarze w Stanach Zjednoczonych trują muzułmańskie dzieci, a zaraz potem wyjechał na stałe do Egiptu. Jeśli takie poglądy wygłaszał publicznie w Nowym Jorku, można sobie wyobrazić, co opowiadał w Egipcie.

Inni przywódcy negowali nawet dowody dotyczące porywaczy. Ghazi Khankan, dyrektor do spraw religijnych Centrum Muzułmańskiego w Long Island, powszechnie uważany za człowieka o poglądach umiarkowanych, oświadczył, że Muhammad Atta, prowodyr zamachowców, „żyje i mieszka w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Jego paszport został ukradziony. Donosi o tym prasa arabska, a mimo to FBI utrzymuje, że był on jednym z porywaczy. Dlaczego media o tym nie poinformowały?”.

Rozpowszechnienie w świecie muzułmańskim przekonania, że zamach został zorganizowany przez Izrael, nie zmieniło nawet pokazanie taśmy wideo, na której można było zobaczyć Bin Ladena

szczyłającego się sukcesem swego przedsięwzięcia. Poglądy tego typu, niekiedy w jeszcze skrajniejszej postaci, wciąż dominują w pewnych społecznościach na świecie, a nawet w Ameryce.

W krajach arabskich utrzymuje się wiara w to, że Al-Ka'ida walczy w imię islamu. Senator John Kerry w wywiadzie z czerwca 2002 roku powiedział: „Gdyby jutro odbyły się wybory w Arabii Saudyjskiej lub w Egipcie, wygrałby Osama Bin Laden. Oni to wiedzą. My to wiemy. Cały świat to wie”.

Badania przeprowadzone przez Instytut Gallupa - w niespełna pół roku po 11 września - w dziewięciu krajach muzułmańskich, między innymi Pakistanie, Kuwejcie i Arabii Saudyjskiej, ukazują, że mieszkańcy tych krajów żywią urazę do Stanów Zjednoczonych i określają je jako kraj „bezwzględny”. Większość ankietowanych uważa, że interwencja wojskowa Stanów Zjednoczonych w Afganistanie jest „naganna moralnie”. Sześćdziesiąt jeden procent nie wierzy, że zamach 11 września został przeprowadzony przez organizację arabską.

Przez pierwsze cztery dni po zamachu pracowałam jak szaleni. Max i większość zespołu przenieśli się do mojego biura, które stało się kwaterą główną. Ponieważ tylko ja potrafiłam odpowiadać na sypiące się lawinowo pytania, pracowałam ciężiej niż kiedykolwiek. Robiąc naraz dziesięć, dwanaście rzeczy, nadałam nowe znaczenie słowu „wielozadaniowość”. Telefon dzwonił bez przerwy, prowadziłam jednocześnie dwie, trzy rozmowy, szukając przy tym materiałów lub czytając różne dokumenty, a do tego wydawałam pracownikom polecenia typu: „znajdź”, „podaj”, „wyślij faks”, „skopiuj”... Nie spałam cztery dni, ratowałam się kilkoma krótkimi drzemkami przy biurku. Nie było chwili wytchnienia, jedliśmy w przelocie i ledwie starczyło czasu na wyjście do toalety. Każdy, kto do nas zadzwonił, chciał dowiedzieć się wszystkiego, chciał dostać

wszystkie potrzebne materiały i oczekiwał, że stanie się to natychmiast.

Uczucia trzeba było pozostawić na boku, to nie była pora na poddawanie się emocjom, a przy tym byłam zbyt zajęta i zmęczona, by zastanawiać się nad swoimi uczuciami i nad tym, co dzieje się z moją rodziną.

Czwartej nocy po zamachu po raz pierwszy pojechałam do domu. Była trzecia nad ranem. Podczas jazdy kłębowisko myśli w mojej głowie zaczęło stopniowo ustępować miejsca emocjom; w końcu odzyskałam zdolność odczuwania.

Nie sposób oddać słowami uczuć, jakie ogarniają ludzi po klęskach takich jak 11 września. Moje dzieciństwo upływało w cieniu zamordowanego ojca, młodość spędziłam w kraju, gdzie wszyscy - łącznie ze mną - niejedną raz doświadczyli wojny i gdzie terroryzm i żałoba były elementami codzienności, czułam się więc o wiele bardziej bezbronna, niż chciałam przed sobą przyznać. Do domu wchodziłam, czując w głowie zamęt.

Czekała na mnie nieprzyjemna niespodzianka.

Leo, który wiedział, jak bardzo jestem zajęta, nie powiedział mi, że Shirley jest chora. Miała ciężkie zapalenie uszu, bardzo wysoką gorączkę i krzyczała z bólu. Leo czuwał przy niej i regularnie podawał jej tylenol, ale to nic nie pomagało. W domu panował chaos, bo choć Leo starał się ze wszystkich sił, nie umiał sobie poradzić z opieką nad czwórką dzieci i utrzymaniem porządku - przynajmniej nie w sposób odpowiadający moim standardom.

O wpół do czwartej nad ranem, po trzech nieprzespanych nocach, zajęłam się sprzątaniem kuchni, układaniem upranych rzeczy, przygotowaniem śniadań do szkoły dla chłopców, doprowadzaniem wszystkiego do porządku. Żałowałam, że nie mam dość pieniędzy, żeby zatrudnić kogoś do pomocy, jak robiła mama w dawnych

czasach w Iraku. Nie miałam ich jednak.

Krzątałam się po kuchni i coraz bardziej osaczały mnie wspomnienia, krążyły nade mną niczym sępy. Cztery dni pracowałam jak maszyna, teraz przejęły władzę uczucia. Przeżywałam na nowo World Trade Center, Pentagon, lot 93 w Pensylwanii, wojnę Jom Kippur w Izraelu, liczne zamachy terrorystyczne z czasów mojej młodości i w końcu stracenie mojego ojca.

Skończyłam kuchenne porządki i poszłam na górę. Shirley spała spokojnie, czuwał przy niej Leo. W sypialni rozebrałam się, stanęłam przed lustrem. Parzyła na mnie jakaś kobieta, ale to nie byłam ja. To była stara, zmęczona, pokonana kobieta, tak smutna jak nigdy wcześniej.

Po raz pierwszy od zburzenia Twin Towers runęła blokada emocjonalna, którą do tej pory odczuwałam. Nie umiałam powstrzymać łez.

O wpół do dziewiątej tego rana znów byłam w biurze.

Kila tygodni po 11 września, gdy wydawało mi się, że doszłam ze sobą do ładu, natknęłam się w Internecie na artykuł z „New York Timesa”, zatytułowany *Rok w obrożach* i oczywiście poświęcony w dużej części zamachowi. Zdjęcia płonących wież opatrzone były krótkimi komentarzami. Czytałam: „Pracownicy I World Trade Center, które zostało uderzone najpierw, lecz stało dłużej, wychylają się z okien. Robi się coraz goręcej, ludzie za chwilę wypadną, a dziecko z ewakuowanej właśnie szkoły przy Chambers Street zawoła do nauczycielki: «Proszę pani, ptaki w ogniu!»,,.

Myliłam się. Do odzyskania równowagi wewnętrznej było jeszcze daleko.

W chwili ataku na World Trade Center uświadomiłam sobie, że mamy wojnę. Nie było innego określenia niż wojna. Następnego

dnia użył tego słowa prezydent Bush, a wszyscy zastanawiali się, przeciwko komu lub czemu jest ta wojna. Jak wypowiedzieć wojnę organizacji takiej jak Al-Ka'ida, działającej w różnych krajach? W ciągu kilku tygodni narodził się termin, który na dobre wszedł do języka w większości krajów cywilizowanego świata: „wojna z terroryzmem”.

Miałam dylemat. Zostałam wciągnięta w wojnę z terroryzmem znacznie wcześniej, niż została wypowiedziana. Z kim jednak lub z czym powinnam walczyć? Po 11 września wiedziałam, że muszę coś zrobić i że wszystkie moje poprzednie wysiłki były niczym w porównaniu z tym, co trzeba zrobić teraz. Przez kilka dni nie potrafiłam sobie wyobrazić, na czym to ma dokładnie polegać.

Hamas, PIJ, Al-Ka'ida, Bin Laden, bomba w World Trade Center w 1993 roku, ambasady amerykańskie w Kenii i Tanzanii, USS *Cole* - jakiego rodzaju ukryte związki łączą wszystkie te sprawy? To musiało być coś oczywistego, ale nie potrafiłam tego nazwać. Jak się nazywał wróg, z którym zamierzałam walczyć? Wreszcie do mnie dotarło. Rzeczywiście proste, ale z pewnością o to właśnie chodzi. Przypomniałam sobie noc, gdy leżałam w szpitalu po urodzeniu Shirley. Zmęczona i wyczerpana porodem, wstrząśnięta książką Battirdziego, przez krótką chwilę patrzyłam wówczas bestii prosto w oczy. Nie było nikogo poza nami, nie toczyła się żadna gra. Tylko my dwoje, bestia i ja. Twarzą w twarz.

Wstrząs był zbyt silny; wyparłam ten incydent z pamięci, przestałam o nim myśleć. Ale natychmiast po 11 września przypominałam sobie o bestii, a teraz już wiedziałam, na czym powinien polegać mój udział w wojnie. Ponieważ mnóstwo wiedziałam o organizacjach charytatywnych i przykrywkach dla działalności terrorystycznej, musiałam uderzyć w terroryzm, odcinając go od źródeł jego siły, tak by nie miał czym się żywić.

Musiałam zatrzymać przepływ pieniędzy dla terrorystów.

- Jerome?

- Tak? - Podszedł natychmiast i stanął wyprostowany niczym żołnierz piechoty morskiej przed surowym sierżantem. Był wysoki, atletycznie zbudowany i nieśmiały.

- Wiem, że przyszedłeś tu jako ochotnik tylko na krótko - powiedziałam - ale możemy chyba wykorzystać ten czas lepiej niż przez ostatnie dni.

Jerome'a zarekomendował mi jego przyjaciel, Sam. Biuro Jerome'a na Wall Street było po 11 września czasowo zamknięte, on zaś postanowił zerwać na chwilę z robieniem pieniędzy i dla odmiany zająć się czymś pożytecznym. Był jednym z wielu ochotników, którzy dołączyli do nas po zamachu. Przez pierwsze dni byłam zbyt zajęta, by zlecać mu coś innego niż zajęcia biurowe. Gdy zaczęłam się zastanawiać, jakie zadania przydzielić ochotnikowi, który na co dzień obraca się w świecie finansów, nagle mnie olśniło.

Zabrałam go do ciemnego kąta pokoju, gdzie stały dwa wielkie pudła. Otworzyłam jedno z nich i wyjęłam grubą segregator z napisem SAAR na okładce.

- To jest coś, nad czym zaczęłam pracować dawno temu - powiedziałam. - Czuję, jakby to było niemal moje dziecko. Przez kilka lat zbierałam fragmenty, najmniejsze ułamki informacji i wkładałam do tych segregatorów. Wszystkie są związane z pewnym adresem w Herndon, w Wirginii: 555 Grove Street. I z pewną organizacją o nazwie Fundacja SAAR. Na początek powinieneś wiedzieć, że SAAR finansuje kilka przykrywek dla organizacji terrorystycznych. Dowiesz się więcej, jak zapoznasz się z aktami. Chcę, żebyś zaczął od zrobienia listy wszystkich organizacji, których nazwy tu się pojawiają.

Jerome pojawił się po kilku godzinach i chciał się ze mną zaraz zobaczyć. Nie przepadałam za nim, bo był zbyt ugrzeczniony i

przepraszający. Teraz domagał się rozmowy, natychmiast.

- Przykro mi, ale SAAR, twoje dziecko, została rozwiązana - oznajmił. - Myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

Dziwne. SAAR rozwiązana? To na pewno pomyłka.

- Niech się temu przyjrzę - powiedziałam.

W połowie 2001 roku SAAR złożyła zeznanie podatkowe za rok 2000. Widziałam wcześniejsze zeznania fundacji, ale nie miałam okazji obejrzeć tego ostatniego. Powinnam była zwracać większą uwagę na swoje dziecko, pomyślałam, studiując dokumenty, które przyniósł mi Jerome. U dołu ostatniego formularza rzeczywiście znajdowało się oświadczenie, że SAAR została rozwiązana w grudniu 2000 roku. Podano również szczegóły sprzedaży udziałów SAAR w spółce Mar-Jac. Mar-Jac była firmą drobiarską, sprzedającą *halal*, czyli ubijane tradycyjną metodą kurczaki dla muzułmanów, a jej dochód wyniósł 240 milionów dolarów tylko w jednym roku. Całkiem nieźle... Udziały w Mar-Jac, które SAAR kupiła za 1 964 000 dolarów, zostały sprzedane tylko za 2 650 000. Ciężkie czasy, bezwzględny rynek. SAAR odnotowała więc stratę 9 314 000 dolarów, co oznacza, że zapłaciła podatek tylko od 2,65 miliona dolarów.



SAAR sprzedała te udziały firmie, której siedziba znajdowała się przy... 555 Grove Street. Co więcej, prezesem tej firmy był Jakub Mirza, były prezes SAAR. SAAR ogłosiła więc bankructwo, sprzedała udziały warte blisko 12 milionów dolarów samej sobie po okazyjnej cenie 2,65 miliona - i wyprała ponad 9,3 miliona dolarów. Nieźle, jak

ma jeden dzień pracy.

Przeglądałam dalej zeznanie SAAR za 2000 rok i ku swemu zdziwieniu zobaczyłam coś, czego nie zauważyłam we wcześniejszych zeznaniach fundacji. Zgodnie z punktem 15 w 1996 roku SAAR otrzymała darowizny w wysokości 120 000 dolarów. W 1997 roku suma darowizn wyniosła ponad 1,1 miliona dolarów. W 1998 roku rozwiązana 20 grudnia 2000 fundacja otrzymała darowizny, subwencje i datki na łączną sumę 1 783 545 883 dolary. Nie, to nie pomyłka. Miliard siedemset osiemdziesiąt trzy miliony, pięćset czterdzieści pięć tysięcy, osiemset osiemdziesiąt trzy dolary darowizn dla organizacji, która nigdy nie organizowała zbiórki funduszy, nie drukowała apeli, nie wysyłała listów ani e-maili z prośbą o wsparcie, nigdy nie pojawiła się w Internecie - nigdy nie próbowała zbierać pieniędzy. Nieźle, jak na jeden rok pracy.

Byłam pewna, że nie popełniłam błędu, nie przeoczyłam tak ważnej informacji. Sprawdziłam jeszcze raz zeznanie SAAR za 1998 rok. Nie figurowała tam ta astronomiczna suma.

- Jerome - powiedziałam - zapomnij o wszystkim, co ci poleciłam. Zajmij się wyłącznie SAAR. Chcę, żebyś znalazł, co tylko się da. Bądź podwójnie czujny tam, gdzie wspomniana jest Arabia Saudyjska. Musimy wiedzieć wszystko o SAAR i 555 Grove Street. Mamy wojnę, a naszym zadaniem jest uniemożliwienie finansowania terroryzmu.

Jerome trafił na coś pół godziny później. Przeglądając materiały dotyczące firmy, którą kupiła SAAR, zauważył, że jednym z jej dyrektorów jest Szarif Sidki. Uwagę Jerome'a zwrócił jego adres w Arabii Saudyjskiej. Sidki mieszkał i prowadził praktykę jako prawnik w Stanach Zjednoczonych; miał kancelarię w Waszyngtonie i pośredniczył przy rejestracji rozlicznych firm związanych z SAAR. Gdy Jerome zaczął badać majątek Sidkiego, okazało się, że wraz z Chalidem ibn Mahfuzem należy on do właścicieli przedsiębiorstwa o

nazwie Jeminvest. Ibn Mahfuz jest szwagrem Osamy Bin Ladena. Jemhwest jest właścicielem portu w Jemenie.

Portu, w którym wysadzono w powietrze USS *Cole*.

- To wojna - powiedział wstrząśnięty Jerome.

Na organizację mającą siedzibę przy 555 Grove Street natknęłam się po raz pierwszy przypadkiem w początkach mojej pracy, gdy badałam sprawę Sarniego al-Arjana. Dowiedziałam się wówczas, że WISE otrzymuje większość funduszy od Międzynarodowego Instytutu Myśli Muzułmańskiej (HIT). Widziałam kopie czeków i zeznań podatkowych, dowodzących, że Fundacja SAAR oraz Safa Trust także finansują utworzone przez Sarniego przykrywki dla PIJ. Safa, SAAR oraz HIT miały ten sam adres w Herndon, w Wirginii.

Dwaj członkowie kierownictwa SAAR, Safa i HIT, Taha Dżabir al-Alwani i Dżamal Barzindzi, byli aktywnymi uczestnikami konferencji PIJ. W Wigilię Bożego Narodzenia w 1989 roku na konferencji ICP Al-Alwani wygłosił wykład pod tytułem: *Umma, ruch muzulmański i wyzwanie intelektualne*. W tym czasie koniec wojny w Afganistanie był już bliski, a pierwsza intifada w Izraelu osiągnęła maksymalne nasilenie. Al-Alwani mówił:

Nie ma wątpliwości, że ideologiczny i organizacyjny upadek komunizmu, którego jesteśmy świadkami, to przede wszystkim skutek dżihadu w Afganistanie. Dżihad odniósł wspaniałe zwycięstwo pod każdym względem. Dzisiaj jednak ten sam dżihad stanął w obliczu impasu ideologicznego. [...] Intifada przebiega pomyślnie. Prośmy Allaha Wszechmogącego, by dał jej zwycięstwo. [...] Ale oprócz tego dżihadu potrzebujemy dżihadu innego rodzaju, dżihadu ideowego i kulturalnego, który pozwoli odbudować i umocnić ducha islamu, tak byśmy wraz z nadejściem zwycięstwa potrafili spożytkować jego owoce i wykorzystali je dla dobra *ummy*.

To nie był zwykły przypadek, że organizacje kierowane przez

Barzindziego i Al-Alwaniego finansowały przykrywki PIJ. Były one powiązane z PIJ na różne sposoby: wyznawały tę samą ideologię i walczyły w tej samej wojnie. W owym czasie nie rozumiałam jednak jeszcze słów Al-Alwaniego o „dżihadzie ideowym i kulturalnym”, przynajmniej nie w pełni.

Baszir Nafi, jeden z czterech filarów WISE, był uważany przez władze za potencjalnego następcę Fathiego Szikakiego, zabitego przywódcy PIJ. Gdy sekretarzem generalnym PIJ został Szallah, INS zaczął szukać Nafiego w Tampie, gdzie podobno miał pracować w WISE. Nie udało się go jednak znaleźć.

Znaleziono go natomiast w Wirginii. Dowiedziano się wówczas, że jego jedyne związki z WISE polegały na tym, że WISE sfinansował załatwienie przez Sarniego wizy dla Nafiego. Nafi nie przepracował w WISE ani jednego dnia.

Pracował natomiast dla HIT.

Wkrótce potem Nafi został deportowany i wrócił do Anglii.

Powiązania między HIT a PIJ Sarniego były rzeczywiście bardzo bliskie.

Postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej o SAAR, Safa oraz HIT za pomocą swojej ulubionej metody, czyli czytania starych gazet i wydawnictw. Przebrnęłam przez wszystkie muzułmańskie publikacje, do jakich udało mi się dotrzeć, przeglądałam artykuły, reklamy, ogłoszenia, noty biograficzne, wszystko. Wiedziałam, że tego typu organizacje zawsze ogłaszają się w prasie, aby przypominać się potencjalnym ofiarodawcom.

Nie znalazłam zupełnie nic na temat SAAR. Ani jednego słowa.

Spróbowałam szukać w Internecie. Przeglądarka wyrzuciła jedną wzmiankę o SAAR.

Ten pojedynczy trop doprowadził mnie do witryny pod nazwą Islam Online. Witryna specjalizuje się w odpowiedziach na pytania,

które przesyłają muzułmanie. Odpowiedzi udzielają znani uczeni i imamowie, między innymi Muhammad al-Hanuti z Dar al-Hidżra, Salah Sułtan, który na konferencji IAP w Chicago opowiadał o „dzieciach Syjonu”, rozcinających łona palestyńskich matek, oraz szejk Jusuf al-Karadawi, wpływowy duchowny, któremu odmówiono wizy amerykańskiej, gdy przedstawiłam wyniki swojej pracy. Odkryłam, że witrynę tę utworzyły dwie osobistości świata muzułmańskiego, Al-Karadawi i Abd ar-Rahman al-Amudi, prezes AMC (Amerykańskiej Rady Muzułmańskiej), którego później uwieczniłam na taśmie podczas wiecu w Lafayette Park w Waszyngtonie, gdy bezczelnie głosił poparcie dla organizacji terrorystycznych.

W witrynie można było znaleźć życiorys Al-Amudiego.

Podawano tam, że jest on „jedynym uprawnionym do zatwierdzania duchownych muzułmańskich wszystkich rodzajów amerykańskich Sił Zbrojnych”. Imponujące. Zanim zaczął pracę w AMC, pełnił funkcję asystenta prezesa... fundacji SAAR.

Ponieważ nie mogłam znaleźć nic więcej na temat SAAR, spróbowałam z Safa, ale nie mogłam odkryć najmniejszej wzmianki na temat tej organizacji, nawet w prasie wychodzącej w Arabii Saudyjskiej.

To było bardzo dziwne. Zwykle gdy szukam w starych gazetach informacji o organizacjach, znajduję ich naprawdę wiele. Tym razem jednak zupełnie nic. Mocno niepokojące, trudno mi było wyobrazić sobie coś takiego.

Teraz zajęłam się HIT. W tym wypadku trafiłam na kilka tropów. Jak się wydawało, HIT został utworzony na początku lat osiemdziesiątych jako zespół doradców; jego statutowym celem było nauczanie zasad islamu.

SAAR, Safa i HIT były organizacjami non profit. Znaczy to, że

podobnie jak HLF, LAP oraz ICP musiały utrzymywać się z dotacji. Nie propagowały swojej działalności, nie prowadziły publicznych zbiórek pieniędzy - a mimo to mogły finansować inne instytucje, takie jak WISE Sarniego Al-Ar-jana. Chcąc sprawdzić, jakimi pieniędzmi obracały, przejrzałam ich zeznania podatkowe. Odkryłam coś, z czym nie spotkałam się w setkach zeznań podatkowych, z jakimi miałam do czynienia.

Safa dawała setki tysięcy dolarów rocznie HIT.

SAAR dawała Safa miliony dolarów rocznie.

SAAR także dawała pieniądze HIT.

Zarówno SAAR, jak Safa zainwestowały pieniądze w Mar-Jac, firmę drobiarską, której siedziba również mieściła się przy 555 Grove Street w Herndon w Wirginii.

SAAR przekazywała też miliony dolarów rocznie fundacji dobroczynnej z siedzibą na brytyjskiej wyspie Man - znanej z tego, że dokonuje się tam operacji prania brudnych pieniędzy.

A ponadto SAAR otrzymywała miliony dolarów jako darowizny.

W jaki sposób te trzy organizacje - zespół doradców i dwie fundacje dobroczynne - nie czyniąc najmniejszych wysiłków w celu zdobycia funduszy, corocznie zamykały budżet takimi kwotami?

Po swojej pierwszej wizycie w Dar al-Hidżra, gdzie spotkałam Abd al-Halima al-Aszkara, wojskowego dowódcę Hamasu i wieloletni obiekt obserwacji FBI, zwolnionego właśnie z więzienia po strajku głodowym, przyjrzałam się funduszom założonej przez Aszkara w Missisipi Fundacji Edukacyjnej Al-Aksa. Organizacja ta została później uznana przez FBI za przykrywkę dla Hamasu. Jak zawsze w takich wypadkach zdobyłam zeznania podatkowe fundacji. W formularzu 1023, czyli podaniu o zwolnienie od podatku, odkryłam, że członek zarządu Al-Aksy, Muhammad Dżarlit, podał jako swój adres 555 Grove Street. Oznaczało to, że organizacja charytatywna

uznana przez FBI za przykrywkę dla Hamasu jest zarejestrowana pod tym samym adresem co instytucja finansująca PIJ.

To było dziwne. Od czasu gdy PIJ i Hamas wyodrębniły się ze swej macierzystej organizacji, Braci Muzułmanów, nie współpracowały blisko ze sobą. Przeciwnie, prowadząc działalność i rekrutując członków w tych samych środowiskach, zażarcie ze sobą rywalizowały. Skąd więc ten wspólny adres?

Zastanawiałam się nad powiązaniem między PIJ, Hamasem i 555 Grove Street i w końcu zrozumiałam ich istotę; analiza rozmaitych tropów prowadziła do nieuchronnego wniosku.

Wiedziałam, że Iszak al-Farhan, jordański dyplomata, deportowany z mojego powodu, czy raczej z powodu swoich związków z Braćmi Muzułmanami i Hamasem, należał do zarządu HIT. Dlaczego właśnie on? Wiedziałam, że na liczne konferencje organizowane przez HIT zapraszani są mówcy należący do Braci Muzułmanów. W 1991 roku na przykład, gdy HIT zorganizował wspólną konferencję ze Zjednoczonym Stowarzyszeniem na rzecz Studiów i Badań w Herndon w Wirginii, wśród mówców znaleźli się Taha Dżabir al-Alwani, Sami al-Arjan, Ramadan Abd Allah Szallah, Iszak al-Farhan, Musa Abu Marzuk (wówczas szef biura politycznego Hamasu) oraz Kamal al-Hilbawi (szef Braci Muzułmanów w Ameryce Północnej).

Mój wniosek: HIT był powiązany z PIJ i z Hamasem; Farhan należał do zarządu Instytutu; HIT służył jako przybudówka Braci Muzułmanów jeszcze przed wyłonieniem się z tej organizacji Hamasu i PIJ; HIT organizował konferencje, w których uczestniczyli członkowie Hamasu i PIJ z jednego prostego powodu - HIT reprezentował interesy Braci Muzułmanów.

Odkrycie związków Al-Aszkara z 555 Grove Street naprowadziło mnie także na inny ważny trop. Wcześniej koncentrowałam się na

SAAR, Safa i HIT ze względu na to, że finansowały przedsięwzięcia Sarniego. Teraz zrozumiałam, że pod tym adresem kryje się coś więcej niż tylko siedziba trzech organizacji. Postanowiłam przyjrzeć mu się bliżej.

Jak wielokrotnie wcześniej w podobnych sytuacjach, weszłam do bazy danych dotyczących firm i organizacji prowadzących działalność gospodarczą. Po wpisaniu adresu ekran dzieli się zawsze na dwie części; po lewej stronie pojawia się nazwa firmy lub firm mających siedzibę pod tym adresem; po prawej - nazwiska osób zarejestrowanych jako właściciele i pracownicy tych firm.

Wpisałam «555 Grove Street» i ku memu zdziwieniu po lewej stronie ekranu pojawiło się około 130 nazw ułożonych w porządku alfabetycznym. Afrykańska Agencja Muzułmańska, Fundacja na rzecz Dzieci, Korporacja Grove Street i tak dalej, i tak dalej. Dalej na liście znajdowały się HIT, Mar-Jac, Safa, SAAR, a na samym końcu jakaś Fundacja York. Większość nazw brzmiała niewinnie, przypominała typowe nazwy nadawane przedsiębiorstwom i organizacjom.

Gdy kliknie się w nazwę firmy, po lewej stronie ekranu pojawia się lista jej pracowników. Przy ponad stu firmach mogłam spodziewać się setek nazwisk, było ich jednak tylko dwanaście, między innymi Hiszam at-Talib, Al-Alwani i Barzindzi; wszyscy, których znałam jako pracowników HIT, pojawiali się w firmach.

Trudno się w tym wszystkim połapać, ja także miałam spore kłopoty. Ponad sto firm i organizacji, dwanaście osób, jeden adres, a oprócz tego żadnych wzmianek w prasie angielskojęzycznej czy arabskiej, żadnych śladów w Internecie, a co najważniejsze - żadnych dowodów na to, że prowadzono zbiórki pieniędzy. I mimo to ogromne sumy przepływają swobodnie we wszystkich kierunkach. Im głębiej kopałam, tym silniejszy smród unosił się nad 555 Grove Street.

Kontynuowałam badania. Dwanaście osób kierowało wieloma mużułmańskimi przedsiębiorstwami i organizacjami dobroczynnymi, mającymi siedzibę pod tym adresem, ale także jeszcze innymi organizacjami - tworzyło to sieć oplatającą całe Stany Zjednoczone. Wielokroć występowały podwójne zależności; założyciel jednej fundacji dobroczynnej był jednocześnie członkiem zarządu drugiej i prezesem trzeciej. Na przykład w czasie, gdy Al-Amudi pracował w SAAR, Barzindzi, jeden z założycieli SAAR, wchodził w skład zarządu AMC Al-Amudiego.

Te ponad sto firm i organizacji transferowało pieniądze między sobą, a także do firm mających siedziby gdzie indziej. Organizacje z 555 Grove Street przekazywały darowizny pieniężne AMC, która rewanżowała się tym samym. Organizacje z 555 Grove Street dawały pieniądze Dar al-Hidzra i otrzymywały stamtąd darowizny. Niektóre fundacje dobroczynne, takie jak HLF, były wspierane finansowo przez organizacje z 555 Grove Street, nie dając nic w zamian. Wielkie sumy przepływały nieustannie na wyspę Man. Pieniądze, jak się zorientowałam, krążyły w kółko; organizacje przekazywały sobie darowizny albo inwestowały w siebie nawzajem, a ponieważ wiele z nich uzyskało zwolnienie od podatków, nie sposób było wysledzić wszystkich dróg przepływu pieniędzy.

Chciałam sprawdzić, czy firmy i organizacje z 555 Grove Street istnieją naprawdę, czy tylko na papierze. Zaczęłam dzwonić do informacji. Prawdziwa firma musi mieć działające telefony. Jednorazowo można poprosić tylko o trzy numery, musiałam więc dzwonić wielokrotnie. Zdecydowana większość tych firm nie była wymieniona w spisie telefonów.

Jedną z niewielu, które miały numer telefonu, była SAAR. Sprawdziłam, jakie jeszcze nazwy i nazwiska przypisane są do tego numeru, i okazało się, że ma go inna fundacja edukacyjna, kierowana

przez szefów SAAR - i mieszcząca się przy 555 Grove Street. Znalazłam też numer firmy drobiarskiej Mar-Jac, który był jednocześnie numerem Safa Trust. I tak dalej. Nic tu nie miało sensu.

Uznałam, że należy zobaczyć, jak wygląda to miejsce. Powinien to być wielopiętrowy budynek, dostatecznie duży, by pomieścić siedziby około stu trzydziestu firm i organizacji, mających być może wspólną centralę telefoniczną - stąd zapewne zamieszanie z telefonami.

Pojechał ze mną George. Chciał prowadzić, a ja byłam szczęśliwa, że nie muszę lecieć samolotem albo podróżować pociągiem w przebraniu muzułmanki. Dotarliśmy do Herndon, znaleźliśmy adres i obejrzelśmy budynek. Był to rzeczywiście biurowiec, ale mały, zaledwie dwupiętrowy, zbudowany z jasnobrązowej cegły i z oknami o przyciemnionych szybach, tak że nie było widać, co dzieje się w środku. Numer 555 widniał dumnie we frontowym oknie. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się meczet. Postawiłam pójść tam, by dowiedzieć się czegoś o budynku z naprzeciwka, ale najpierw należało przyjrzeć się samemu 555 Grove Street.

W niewielkim holu wisiała tablica informacyjna, zawierająca tylko dwie nazwy, firmy komputerowej zajmującej parter, i SAAR. Nie było Safa, HIT, Mar-Jac ani żadnej innej z ponad stu firm i organizacji mających siedzibę przy 555 Grove Street.

Tylko SAAR.

Czym właściwie jest SAAR?

Weszliśmy na pierwsze piętro.

Pusto.

Na drugim piętrze zobaczyliśmy na końcu długiego korytarza szklane drzwi, wisiała na nich złota tabliczka z napisem SAAR. Zapukałam.

Cisza.

Spróbowałam jeszcze raz.

Znowu nic.

Był środek dnia, zwykłego dnia pracy, a w SAAR nie zastaliśmy żywej duszy.

Postanowiłam pójść do meczetu i czegoś się dowiedzieć, a potem tu wrócić. George został w samochodzie. Być może pracownicy wyszli po prostu na lunch? Mimo wszystko można się było spodziewać, że SAAR, finansująca tyle innych organizacji, zajmuje obszerne biuro i zatrudnia wielu pracowników.

Meczet prezentował się równie osobliwie; zajmował drugie piętro budynku wyglądającego na biurowiec. Poszłam do kancelarii i zagadnęłam brodatego mężczyznę w stroju pakistańskim. Nie znał arabskiego, rozmawialiśmy więc po angielsku. Przedstawiłam się, powiedziałam, że mieszkam w Pensylwanii, że zamierzam przeprowadzić się w okolice Herndon i chciałabym dowiedzieć się czegoś o miejscowej społeczności muzułmańskiej i o możliwościach zatrudnienia. Mężczyzna odparł, że okolica jest znakomita dla muzułmanów, społeczność duża i czynna, a w meczecie jest nawet muzułmańska szkoła. Nie wiedział jednak nic pewnego o pracy.

- A może w SAAR? - zapytałam. - Słyszałam, że to prężna organizacja działająca w tej okolicy.

- Siostro - odrzekł - chciałbym być bardziej pomocny. Ale nigdy nie słyszałem o SAAR.

Wróciłam na drugą stronę ulicy i znów poszliśmy z George'em do siedziby SAAR. Tym razem szklane drzwi otworzył jakiś mężczyzna. Nie chciał nas wpuścić do środka, nie chciał rozmawiać, zachowywał się z wielką rezerwą. Zdołałam jednak zauważyć, że za szklanymi drzwiami z napisem SAAR znajduje się małe pomieszczenie z jednym biurkiem, jednym telefonem i komputerem. Nietrudno było zgadnąć, że oprócz człowieka w drzwiach nikogo tam nie było.

Miałam już teraz pewność, że te rozliczne firmy i organizacje są fasadą. Pozostawało pytanie, w jakim celu utworzono tak misterną sieć, oplatającą Stany Zjednoczone od Karoliny Północnej poprzez Georgię, Utah, Pensylwanię, Maryland, Delaware, Waszyngton, Indianę, do Wirginii.

Odpowiedź na to pytanie kryła się w relacjach między HIT a Braćmi Muzułmanami. Bracia Muzułmanie powstali osiemdziesiąt lat temu; jego członkowie, przez lata prześladowani w krajach Bliskiego Wschodu (później także Zachodu), wypracowali niezwykle przebiegłe, wyrafinowane metody działania. Trzeba było dziesiątków lat, by Zachód zorientował się, z jaką perfekcją wykorzystywano jego zasoby i system finansowy do wspierania terroryzmu i propagowania fundamentalizmu. Jedną z metod było tworzenie niewytkie skomplikowanej siatki firm i organizacji charytatywnych, co uniemożliwiało śledzenie poczynañ tychże firm i organizacji. SAAR zbudowała swoją sieć zgodnie z tą zasadą.

Skąd jednak pochodziły pieniądze SAAR? Kto za tym stał? I czym, na litość boską, była SAAR?

Wiedziałam, że można rozwiązać te zagadkę; musiałam tylko znaleźć właściwy trop.

Dwa tygodnie później musiałam pojechać w okolice Waszyngtonu na spotkanie służbowe. Zabrałam ze sobą dwóch współpracowników, jeden z nich miał ciemną furgonetkę, doskonały pojazd dla trójki konspiratorów, mających przewieźć duży ładunek. Zabraliśmy ze sobą ciemne ubrania, mieliśmy latarki i duże czarne torby. Po załatwieniu sprawy przebraliśmy się, związałam włosy w węzeł i pojechaliśmy na 555 Grove Street. Mieliśmy zatrzymać się w najbardziej oddalonym krańcu parkingu przylegającego do budynku, gdzie stała mała budowla - cztery ściany i drzwi, ale bez dachu i okien. Identyczna budowla znajdowała się na drugim końcu

parkingu, bliżej ulicy i biurowca. Postanowiliśmy zacząć od bardziej oddalonej.

W tych budynkach mieściły się śmietniki biurowca. Zauważyłam je podczas pierwszej wizyty tutaj i uznałam, że skoro nigdzie nie mogę zdobyć wystarczających informacji o SAAR, dobrze będzie przejrzeć jej śmieci.

Z harmonogramu oczyszczania miasta dowiedzieliśmy się, że śmiecie wywozi stąd dwa razy w tygodniu prywatna firma. Wóz miał pojawić się następnego dnia, w chwili naszego przyjazdu pojemniki powinny więc być pełne.

Gdy dojeżdżaliśmy, ku naszemu przerażeniu okazało się, że w meczecie trwa właśnie jakieś zgromadzenie. Na ulicy parkowało wiele samochodów, ciągle nadchodzili ludzie, a na drugim piętrze paliły się światła. Niedobrze. Mimo ciemności ktoś z okien meczetu mógł zauważyć ludzi przeszukujących kontenery po drugiej stronie ulicy. Nie zamierzałam się jednak poddać. Zaparkowaliśmy furgonetkę przed śmietnikiem, tak by zasłaniała wejście. Jedna osoba została na straży, dwie pozostałe - na zmianę - przeszukiwały śmieci. Poszłam w pierwszej parze.

Smród unoszący się wokół SAAR dopadł mnie w końcu w sensie dosłownym, choć nie sposób było oczywiście odróżnić śmieci SAAR od innych. Między resztkami jedzenia i rozmaitych odstręczających pozostałości znalazłam duże pudła wypełnione papierem. Sprawdziłam przy latarce - to rolki zużytego papieru komputerowego. Nie o to chodziło. Szukałam dalej.

Trudno sobie nawet wyobrazić, jak odrażające rzeczy znajdowaliśmy. Jedno wszakże było pewne - ludzie z 555 Grove Street bardzo lubili kurczaki, *halal*. Między papierzyskami walało się mnóstwo kurzych kości.

Co kilka minut nasz wartownik podnosił alarm, bo wydawało mu

się, że ktoś się zbliża. W pewnej chwili przechodziło obok kilka osób, wszyscy troje schowaliśmy się wtedy w krzakach za śmietnikiem. Znalazłam tam starą, podartą, mokrą i zabłoconą broszurę Międzynarodowej Muzułmańskiej Organizacji Pomocy Humanitarnej (IIRO). Przeczytałam w niej później o działalności charytatywnej IIRO w Afganistanie i współpracy z saudyjskim Czerwonym Półksiężycem.

W drugim śmietniku po dłuższej chwili grzebania w kontenerze znaleźliśmy biuletyny HLF, takie jak te, które otrzymywałam pocztą.

W jakimś momencie zdałam sobie sprawę, że w tych warunkach nie dam rady wyselekcjonować tego, co może okazać się przydatne. Postanowiłam, że zabierzemy ze sobą tyle, ile się da, i przejrzymy wszystko w bezpieczniejszym i przyjemniejszym miejscu.

Zaczęliśmy pakować zawartość śmietnika do toreb. Napełniałam torbę, wystawiałam z wielkiego kontenera, mężczyźni pakowali ją na furgonetkę, a potem się zmienialiśmy. Podczas jednej z takich tur właściciel ciężarówki potknął się i upadł głową prosto w śmieci.

Załadowaliśmy furgonetkę po dach i ruszyliśmy do Nowego Jorku.

Nie da się opisać wrażenia, jakie zrobiliśmy na pracownikach punktu pobierania opłat przy wjeździe na autostradę. Modliliśmy się, by nie zatrzymała nas policja. Do biura dotarliśmy bardzo późno. Gdy wnosiliśmy na górę wielkie czarne torby, śmiałam się na myśl o tym, jakie miny będą mieli jutro ludzie wywożący śmieci z 555 Grove Street. Oczywiście znacznie większa niespodzianka czekała naszych kolegów z biura, którzy przyszli rano do pracy i zastali sterty odpadków.

Byłam brudna i śmierdząca, pewnie zwymiotowałam na swój widok, chciałam więc skończyć wszystko jeszcze tej nocy. Zaczęliśmy sprawdzać zawartość toreb. Znowu duże ilości zużytego papieru komputerowego. Szkoda. Także wiele kurzych kości odbyło

przejażdżkę do Nowego Jorku. Po dłuższym czasie znalazłam jednak kawałki jakiegoś listu.

Napisanego odręcznie, po arabsku, adresowanego do jakiejś firmy w Arabii Saudyjskiej.

Całe godziny szukaliśmy brakujących fragmentów; musieliśmy jeszcze raz przejrzeć to, co już oglądaliśmy. Krótco przed świtem zdołałam skompletować wszystkie kawałki.

Był to brudnopis listu firmy drobiarskiej Mar-Jac SA, z prośbą o materiały i maszyny, do firmy z Arabii Saudyjskiej pod nazwą Al-Watania.

Słyszałam już wcześniej tę nazwę; przypomiinałam sobie niejasno, że jest to wielkie przedsiębiorstwo. Szybko sprawdziłam. Rzeczywiście, Al-Watania była wielkim zlepkim firm, handlujących kurczakami, odzieżą i tysiącem innych rzeczy, należały do niej również wydawnictwa takie jak to, które opublikowało książkę Battirdżiego *Arabscy ochotnicy w Afganistanie*. Przeglądając strony internetowe Al-Watania - utrzymywane przez In-foCom - znalazłam informację, że właścicielem kompanii jest Ar-Radżhi. Widziałam to nazwisko na listach właścicieli niektórych firm z 555 Grove Street.

I wtedy mnie olśniło.

SAAR to nie było coś.

To był ktoś.

SAAR to szejik Sulajman Abd al-Aziz ar-Radżhi. Albo jego brat, Salih Abd al-Aziz ar-Radżhi.

Dwaj saudyjscy potentaci, należący do najbogatszych ludzi na świecie.

To było moje brakujące ogniwo, mój trop, moje „Sezamie, otwórz się” do sekretneho skarbcza Ali Baby. Ar-Radżhi stał za tym wszystkim - za SAAR, HIT, 555 Grove Street, za pokrętnymi i nieuchwytnymi firmami i organizacjami, które obracały miliardami dolarów i

przekazywały pieniądze najgroźniejszym ugrupowaniom terrorystycznym na ziemi. Nie byłam pewna, czy skrót SAAR pochodzi od Saliha czy Sulajmana, czy może od obu. Nie robiło mi to wielkiej różnicy; ci dwaj byli głównymi postaciami imperium Ar-Radżhi, które stworzyło 555 Grove Street.

Nic dziwnego, że nie publikowano informacji o SAAR, nic dziwnego, że nie było potrzeby zbierania pieniędzy i szukania ofiarodawców. Panowie Ar-Radżhi mogli sami finansować terroryzm przez najbliższe tysiąc lat.

Naruszyłam wreszcie mur oszustwa. Pierwsza bitwa wygrana. Do wygrania wojny ciągle było jednak daleko.

Przez pewien czas męczył mnie w związku z SAAR pewien problem. SAAR - gdy odkryłam, co to jest, zaczęłam nazywać wszystkie firmy i organizacje z 555 Grove Street siecią SAAR - była wielomiliardowym przedsięwzięciem, ściśle powiązaniem z HIT i około stu innymi organizacjami. HIT miał związki z PIJ, Hamasem i Braćmi Muzułmanami, a w działalność HIT zamieszani byli Al-Farhan, Sami, Szallah i Nafi. Saudyjscy miliarderzy przekazywali pieniądze organizacjom terrorystycznym poprzez swoje przykrywki. Były to organizacje palestyńskie, co zgadzało się z ideologią Braci Muzułmanów. Wydawało się jednak niedorzeczne, że tak wielki mechanizm stworzono tylko z myślą o Bliskim Wschodzie.

Rok po odkryciu przez mnie powiązań między 555 Grove Street a braćmi Ar-Radżhi zaczął się proces przeciwko sprawcom zamachów na ambasady. Władze ujawniły wówczas utajnione wcześniej dokumenty ze śledztwa. Jednym z nich był notes telefoniczny Wadiha al-Hadżdża, ten, w którym znaleziono numery Ghassana Dahdulego. Przejrzałam zapiski, niektóre po arabsku, inne w języku angielskim; pewne fragmenty były ledwie czytelne.

Pod koniec znalazłam nazwisko i adres w Arabii Saudyjskiej.

Nazwisko brzmiało Salih Abd al-Aziz ar-Radżhi. SAAR. Dlaczego osobisty sekretarz Osamy Bin Ladena zapisał adres Saliha ar-Radżhiego?

Kilka dni później ujawniono inny notes telefoniczny Al-Hadżdża. Nazwisko Saliha ar-Radżhiego widniało w nim także, tym razem nie z adresem, lecz z numerem telefonu w Arabii Saudyjskiej.

Zeznając na procesie, Al-Hadżdż opowiedział o początkach swej współpracy z Bin Ladenem. Przyjechał do Afganistanu jako pracownik saudyjskiej organizacji pomocy humanitarnej Światowa Liga Muzułmańska (MWL), po czym przyłączył się do mudżahedinów. Wiedziałałam, że wielu innych członków Al-Ka'idy, na przykład Wa'il Dżulajdan i Ihab Ali, zaczęli swój dżihad z MWL. Gdy dowiedziałam się, że Al-Hadżdż również był związany z MWL, od razu sprawdziłam adres siedziby tej organizacji w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście - 555 Grove Street.



Dwudziestego dnia procesu prokurator mówił o komórce Al-Ka'idy w Wielkiej Brytanii i wspomniał nazwisko, które brzmiało dziwnie znajomo: Tarik Hamdi. Zajrzałam do mojego segregatora dotyczącego ICP i znalazłam go. Gdy ostatni raz natknęłam się na to nazwisko, Hamdi był tylko sekretarzem Sarniego. Daleko zaszedł od tego czasu, pomyślałam. Teraz jeździ na drugi koniec świata i osobiście dostarcza Bin Ladenowi baterie do telefonu satelitarnego. Postanowiłam więc przyjrzeć się bliżej utalentowanemu panu Hamdiemu.

Wkrótce okazało się, że on także pracuje w HIT. A jego adres to...

555 Grove Street.

Książka Battirdżiego - jest to moim zdaniem biografia Bin Ladena - zawiera kilka zaskakujących informacji o najbliższych Bin Ladenowi członkach Al-Ka'idy. Dowiedziałam się z niej jednak nie tylko tego. Z tyłu okładki znajdował się znak Muzułmańskiej Fundacji Dobroczynej (BIF) i napis: „Ladżnat al-Birr al-Islamija”, a niżej: „Światowy Związek Młodzieży Muzułmańskiej” (WAMY). Orientowałam się, czym jest BIF, ale nic nie wiedziałam o „Ladżnat al-Birr al-Islamija” poza tym, że nazwa przypomina arabski odpowiednik BIF. Przejrzałam stare arabskie czasopisma i znalazłam życiorys niejakiego Ibrahima Husajna Bahafzallaha, a w nim informację, że kieruje on organizacją charytatywną „Ladżnat al-Birr al-Islamija”. Wówczas zaczęłam oczywiście szukać możliwych powiązań Bahafzallaha z Ameryką. I odkryłam, że jest wiceprezesem MWL oraz dwóch innych organizacji - wszystkie miały siedzibę przy 555 Grove Street.

Istniały więc silne powiązania między wydawcami książki a tym adresem. Ale to nie wszystko. Notka na skrzydełku obwoluty informowała, że książka została wydana w 1991 roku w Dżuddzie, w Arabii Saudyjskiej, przez wydawnictwo Al-Watania.

Al-Watania, ta sama Al-Watania, na którą natrafiłam w śmieciach z 555 Grove Street, własność Ar-Radżiego. Jej filiami były w Stanach Zjednoczonych Mar-Jac i inne firmy mające siedzibę pod tym adresem.

Nie miałam już wątpliwości - sieć SAAR była powiązana nie tylko z Hamasem i PIJ, ale także z Al-Ka'idą.

Al-Ka'ida stałą się częścią sprawy 555 Grove Street. Albo, inaczej mówiąc, każde moje dochodzenie, czy to dotyczące PIJ, czy Hamasu, czy Al-Ka'idy, okazywało się jakoś związane z budynkiem przy 555 Grove Street.

W tym miejscu zbiegały się wszystkie tropy.

Nierozwiązane zostały jeszcze dwie kwestie dotyczące sieci SAAR. Po pierwsze - jak to się stało, że ludzie zajmujący kierownicze stanowiska w sieci, z których żaden nie był Saudyjczykiem, mogli kontrolować imperium warte miliardy dolarów i założone w Arabii Saudyjskiej? Wielu dyrektorów SAAR mieszka w okolicy Herndon, w osiedlu zwanym Safa, leżącym przy ulicy o tej samej nazwie. Władze są teraz zdania, że grupa tych zażytych znajomych tworzy coś w rodzaju sekretnej organizacji.

Odpowiedź znalazłam w rejestrze HIT. Widnieją tam następujące nazwiska założycieli i członków zarządu:

Taha Dżabir al-Alwani, WAMY, Arabia Saudyjska.

Dżamal Barzindzi, WAMY, Arabia Saudyjska.

O mój Boże, pomyślałam, HIT to tylko inna nazwa WAMY. WAMY - Światowy Związek Młodzieży Muzułmańskiej - jak nazwa wskazuje, skupiał młodzież; HIT to był WAMY dla młodzieży, która weszła w wiek dojrzały. Na początku lat dziewięćdziesiątych do kierownictwa WAMY należał Battirdzi, uważany przez władze za finansistę Bin Ladena. WAMY wydał biografię Bin Ladena pióra Battirdziego, gdzie gloryfikowano dżihad. WAMY wydawał podręczniki w rodzaju tych, jakie znaleziono u Ah-mada Adżadża, jednego ze spiskowców zamieszanych w zamach na World Trade Center w 1993 roku; podręczniki uczące porywania autobusów, zabijania niewinnych ludzi i nienawiści do Amerykanów, chrześcijan i Żydów. Od chwili powstania dyrektorem WAMY w Stanach Zjednoczonych był Abd Allah Bin Laden, przyrodni brat Osamy. Z tego i innych powodów FBI uznaje WAMY za podejrzaną organizację terrorystyczną. Przed wszystkim jednak WAMY był organizacją saudyjską, co poczytywał sobie za powód do dumy; otrzymywał nawet fundusze od rządu Arabii Saudyjskiej. Barzindzi, Al-Alwani,

At-Talib i Ahmad Tutundzi, czterej Irakijczycy, którzy założyli później imperium SAAR, trafili jakoś do Arabii Saudyjskiej. Otoczenie okazało się sprzyjające i nader podatne na ich idee; Saudyjczycy hojnie wspierali ich finansowo, co ułatwiało działania propagandowe. W Arabii Saudyjskiej utworzony został HIT, a cokolwiek przyświecało jego założycielom, pomysł musiał się narodzić w czasie ich pobytu w tym kraju. Pomyślałam, że w Arabii Saudyjskiej musiało się zdarzyć coś, co pchnęło tę czwórkę na drogę prowadzącą do SAAR.

Najważniejszą i najtrudniejszą do rozwiązania kwestią było, jakie motywy kryły się za utworzenia tego gigantycznego imperium na Zachodzie. Nie mogło chodzić tylko o finansowanie dżihadu; przedsięwzięcie było zbyt wielkie i zbyt złożone, by służyć tylko do tego. Musiał być jakiś inny cel.

Aby zrozumieć te motywy, poznać wizję przyszłości wprowadzaną w życie przez tych czterech Irakijczyków, postanowiłam zbadać ich przeszłość.

Wyłonił się obraz mrozący krew w żyłach.

Pierwszy z tej czwórki, Ahmad Tutundzi, zgodnie ze zwyczajem, o którym wspominałam, wyjechał na studia wyższe do Anglii, podobnie jak wielu innych młodych, zamożnych Irakijczyków. Studiował inżynierię naftową, a w 1960 roku założył Stowarzyszenie Studentów Muzułmańskich w Wielkiej Brytanii; członkami stowarzyszenia byli przede wszystkim Irakijczycy. W tym okresie poznał Hiszama at-Taliba, swego mentora i późniejszego szwagra. At-Talib był z kolei przyjacielem Barzindziego i obaj mieli bliskie powiązania z ruchem Al-Ihwan - Braci Muzułmanów. W 1963 roku Tutundzi przeprowadził się do Stanów Zjednoczonych i wkrótce założył Związek Studentów Muzułmańskich (MSA). Siedem lat zajęło mu pisanie pracy doktorskiej; zwykle trwa to dwa lata, ale nie

spiesząc się z doktoratem, mógł poświęcić się pracy propagandowej wśród młodzieży muzułmańskiej w Ameryce. MSA szybko przestał być tylko organizacją studencką; na jej czele stał między innymi Wa'il Dzulajdan, który w tym samym czasie kierował Centrum Muzułmańskim w Tucson. MSA, mający ponad sto sekcji w amerykańskich uczelniach, zbierał pieniądze na HLF, BIF i GRF - wszystkie te organizacje zostały po 11 września uznane przez władze za terrorystyczne. Na stronach internetowych MSA, utworzonych przez sekcję z Ohio, publikowano najnowsze doniesienia na temat algierskiej Muzułmańskiej Grupy Zbrojnej (GIA), będącej zdaniem Departamentu Stanu organizacją terrorystyczną. W niektórych wydawnictwach MSA propagowano ideologię Braci Muzułmanów, a na oficjalnej stronie internetowej związku określa się Bin Ladena jako „muzułmańskiego uczonego”; znajduje się tam także jego zdjęcie oraz tekst pierwszej deklaracji wojennej przeciw Ameryce z 1996 roku.

At-Tutundzi zamierzał zbudować sieć sekcji MSA, obejmującą cały świat, czego zwiastunem było utworzenie w 1966 roku Międzynarodowej Federacji Muzułmańskich Organizacji Studenckich (IIFSO). W 1969 roku został sekretarzem generalnym IIFSO. Sekcje MSA zaczęły wówczas powstawać na całym świecie - z wyjątkiem krajów arabskich. Tamtejsze rządy nie zamierzały tolerować organizacji propagujących ideologię Braci Muzułmanów.

Następnie Tutundzi przeprowadził się do Arabii Saudyjskiej i założył WAMY, zaczynając w ten sposób następny etap realizacji swego planu. Zjechali także do tego kraju niektórzy jego koledzy i przyjaciele narodowości irackiej, których poznał w Anglii i Stanach Zjednoczonych i którzy podzielali jego zaangażowanie w sprawę szerzenia islamu. Byli wśród nich Barzindzi i Al-Alwani. Plan grupy zaczął nabierać realnych kształtów po sekretnym spotkaniu z Salihem ar-Radżhim, który został scharakteryzowany przez jej członków jako

„dobroczyńca WAMY i człowiek służący narodowi muzułmańskiemu lepiej niż ktokolwiek inny”.

Bracia ar-Radżhi wpadli na doskonały pomysł wykorzystania nie Saudyjczyków w roli ambasadorów swojej sprawy. Mało kto podejrzewałby cudzoziemców o realizowanie planów saudyjskich. Większość tych Irakijczyków poznała się co prawda na Zachodzie, ale wszyscy byli bardzo zainteresowani ruchem promuzułmańskim, gdy więc przybyli do Arabii Saudyjskiej, bez trudu porozumieli się z braćmi. Wszyscy otrzymali obywatelstwo saudyjskie, co w przypadku imigrantów prawie się nie zdarzało. Nawet urodzonym tu dzieciom imigrantów nie przyznawano obywatelstwa i nie wydawano innych dokumentów. Tym razem wszystko poszło jednak szybko, z błogosławieństwem saudyjskiego wywiadu.

W 1979 roku Tutundzi i jego towarzysze wzięli udział w konferencji zorganizowanej w Szwajcarii, w Lugano, przez grupę wybitnych uczonych muzułmańskich; Tutundzi nazwał ich w wywiadzie telewizyjnym „przywódcami narodu muzułmańskiego”. Konferencję prowadził szejik Jusuf al-Karadawi; człowiek, któremu zdołałam później uniemożliwić wjazd do Stanów Zjednoczonych. Tematem obrad były problemy *ummy*, społeczności muzułmańskiej, takie jak asymilacja w krajach Zachodu. Po wyczerpującej dyskusji uczeni doszli do wniosku, że aby zmienić sytuację na lepsze, należy prowadzić działania w dwóch kierunkach: z jednej strony tworzyć instytucje finansowe, z drugiej - edukacyjne.

Jednym z rezultatów konferencji było niemal natychmiastowe utworzenie HIT, wzorcowego zespołu doradców, mającego poprawić kondycję muzułmańskiej oświaty. Pomysł ten nie był jednak niczym nowym dla ludzi SAAR.

W 1973 roku Barzindzi założył w Stanach zjednoczonych organizację religijną (a tym samym zwolnioną od podatku) o nazwie

Północnoamerykański Trust Islamski (NAIT). Jak na ironię, imamowie związani z NAIT mieli pełną swobodę wypowiedzi tylko w Stanach Zjednoczonych, w świecie arabskim było to niemożliwe.

Wiedziałam, że NAIT miał jakieś meczety w Ameryce. Należał do nich między innymi meczet w Bridgeview w stanie Illinois, kupiony na początku lat siedemdziesiątych. Muhammad Salah, terrorysta z Hamasu i sprzedawca używanych samochodów, ten, którego spotkałam na konferencji IAP w Chicago, opisał w odrębnym zeznaniu, jak zwerbował go imam tego meczetu i przywódca Braci Muzułmanów w Stanach Zjednoczonych. Własnością NAIT był także meczet w Norman w Oklahomie, w którym wkrótce po przyjeździe tu zaczął bywać Zakarijja Musaui. Dwóch z zamachowców z 11 września korzystało z pomocy wiernych związanych z meczetem w San Diego, także należącego do NAIT. Moataz al-Hallak, imam meczetu w Arlington w Teksasie, był podejrzewany przez władze o związki z Bin Ladenem i jego organizacją. Na początku lat dziewięćdziesiątych Al-Hallak koordynował zakup prywatnego samolotu dla Bin Ladena. Meczet, w którym nauczał, należał oczywiście do NAIT. Dwóch z sześciu mężczyzn aresztowanych w październiku 2002 roku w Buffalo za planowanie wyjazdu do Afganistanu i wstąpienia do Al-Ka'idy uczęszczało do meczetu, będącego własnością NAIT. W akcie założycielskim Dar al-Hidżra napisano, że właścicielem i tego meczetu jest NAIT.

W akcie założycielskim NAIT na pierwszej stronie określono cel organizacji: „[...] służyć jak najlepiej interesom islamu i MSA”. Podano również, że Barzindzi i At-Talib, założyciele NAIT, są także założycielami MSA oraz Islamskiego Towarzystwa Ameryki Północnej (ISNA). ISNA było filią NAIT. Podobnie jak Fundacja SAAR.

Byłam zupełnie zbita z tropu.

I wtedy zrozumiałam, że NAIT nie miał jakichś meczetów w Ameryce. NAIT był właścicielem największej liczby amerykańskich meczetów - kilkuset na 1200 działających. Dzięki kolosalnej fortunie i szczodrości braci Ar-Radżhi zakupu wszystkich tych meczetów dokonano w ciągu niespełna dziesięciu lat, bez trudu wygrywając z konkurencją. Jako właściciel meczetów NAIT mógł zacząć realizować swoje plany.

Teraz wszystko stało się jasne. NAIT, ISNA, MSA, SAAR, HIT, ICP, WI-SE, IAP, Safa i sto innych firm i organizacji z 555 Grove Street były częścią mistrzowskiego planu wprowadzenia w życie tego, co Al-Alwani nazwał „dżihadem ideowym i kulturalnym”. Dopiero teraz naprawdę zrozumiałam, co miał na myśli. Bogaci saudyjscy biznesmeni, bracia Ar-Radżhi, wykorzystali swych ambasadorów - Al-Alwaniego, Tutundżiego, Barzindżiego i At-Taliba - do zakupu meczetów w Stanach Zjednoczonych, by za pośrednictwem duchownych wpływać na umysły młodych amerykańskich muzułmanów, propagować wśród nich fundamentalizm i dżihad.

Bracia Ar-Radżhi i ich ambasadorowie, naturalizowani Saudyjczycy pochodzenia irackiego, wypracowali więc błyskotliwą metodę szerzenia tajnej muzułmańskiej rewolucji. Jakieś trzydzieści lat temu założyli powstanie narodu muzułmańskiego i sprytnie postanowili ukształtować świat na swoją modłę bez bitew i podbojów - przynajmniej na początku.

Ludzie SAAR zdawali sobie sprawę, że mają dość pieniędzy, by kupić dominację islamu na świecie.

ROZDZIAŁ 11

Saudyjskie powiązania

„O godzinie 12.01 rozpoczęło się największe natarcie w naszej wojnie z terroryzmem. Dziś rozpoczęliśmy walkę z tymi, którzy finansują globalny terror”.

Słowa te wypowiedział George W. Bush 24 września 2002 roku na konferencji prasowej w Ogrodzie Różanym Białego Domu. Cztery dni wcześniej zadzwonił do mnie funkcjonariusz rządowy z wiadomością, że właśnie wysyła mi faksem listę firm i organizacji, i zapytał, czy mogłabym dostarczyć o nich informacji. Jak zwykle nie interesowałam się nawet, w jakim celu sporządzono tę listę i do czego zostaną wykorzystane moje materiały. Moja praca polegała na dostarczaniu informacji, a nie zadawaniu pytań. Z wyjątkiem jednego.

- Na kiedy potrzebuje pan tych materiałów? - Im pilniejsza sprawa, tym mniej miałam czasu na poszukiwania.

- Na wczoraj - odparł z zakłopotaniem urzędnik. Dlaczego oni wszyscy dzwonią właśnie w piątki?

Lista, która mi przysłano, zawierała sześćdziesiąt kilka nazw. Niektóre, takie jak Al-Ka'ida, Abu Sajjaf czy Maktab al-Chidmat, znałam bardzo dobrze. Inne brzmiały mniej znajomo: Cukiernie Al-Hamatiego, Centrum Miodu An-Nura czy Miód dla przemysłu i

Handlu Asz-Szify. Jak się wydawało, miód nie został wybrany przypadkowo; firmy te nie tylko przekazywały część swych dochodów Al-Ka'idzie, ale przemycały także broń i narkotyki. Pomysł wykorzystania handlu miodem jako przykrywkę dla kontrabandy był bardzo sprytny, ponieważ ze względu na konsystencję i zapach miodu amerykańscy celnicy niechętnie sprawdzali transporty tego produktu.

Aby dotrzymać terminu, podzieliłam pracowników na zespoły, każdy dostał do sprawdzenia fragment listy, a ja koordynowałam pracę zespołów. Rzuciwszy okiem na listę, zauważyłam nazwę Rabita Trust, która skojarzyła mi się z arabską nazwą Światowej Ligi Muzułmańskiej (MWL) - Rabita ał-Alam al-Islami. Zebrałam informacje i okazało się, że Rabita była filią MWL, największej muzulmańskiej organizacji dobroczynnej, założonej przez władze Arabii Saudyjskiej i bez osłonek wspierającej ogólnoswiatowy dżihad. Adres MWL w Stanach Zjednoczonych: 555 Grove Street, Herndon, Wirginia. Pracowaliśmy cały weekend i do niedzieli wieczorem zebraliśmy trzy wielkie segregatory, zawierające raporty i materiały pomocnicze. Odkryliśmy, że jednym z dyrektorów Rabity jest Wa'il Dżulajdan. Ten sam Wa'il Dżulajdan, którego osobą chciałam przed laty zainteresować Biały Dom. Wa'il Dżulajdan, który wraz z Abd Allahem Azzamem i Osamą Bin Ladenem założył Maktab al-Chidmat, a później został szefem finansów Al-Ka'idy. Ponieważ Dżulajdan kierował Rabita, było dla mnie oczywiste, że ten trust jest ściśle powiązany z Al-Ka'idą. Mój raport na temat Rabity i Dżulajdana liczył sześć stron; po raz kolejny przedstawiałam w nim władzom dowody działalności tego człowieka.

Następnego dnia po wysłaniu przez mnie materiałów prezydent Bush podpisał rozporządzenie, zawierające listę działających na całym świecie organizacji, przedsiębiorstw, instytucji, które finansują

i wspierają terroryzm. W następnych tygodniach i miesiącach listę tę uzupełniano.

Byłam mile zaskoczona, gdy okazało się, że władze wykorzystały dostarczone przeze mnie materiały. Rezultaty moich poszukiwań i materiały dowodowe zostały przedstawione niemal słowo po słowie.

Później dowiedziałam się, dlaczego zwrócono się właśnie do mnie. Podobnie jak inne tego typu dokumenty, listę potencjalnych sponsorów terroryzmu sporządzono na podstawie informacji wywiadowczych zebranych przez CIA, FBI, Departament Skarbu i Biały Dom. Informacje ocenił następnie zespół złożony z przedstawicieli tych instytucji, a potem zapadła decyzja, kto ostatecznie ma znaleźć się na liście. Zespół ten nie potrafił jednak określić, które z zebranych informacji, jeśli w ogóle jakieś, są ogólnie dostępne.

Władze nie mogą nikogo oskarżyć o wspieranie terroryzmu, nie przedstawiając amerykańskiej opinii publicznej dowodów działalności przestępczej. I tu właśnie wkraczam ja i mój zespół, gdyż my możemy dostarczyć informacji dostępnych w publicznych źródłach. Wyniki moich poszukiwań władze mogą wykorzystać jako argumenty dla mediów, nie ujawniając informacji dostarczonych przez wywiad, co mogłoby zaszkodzić przyszłym dochodzeniom.

W pierwszym rozporządzeniu prezydenta nie znalazła się jednak Rabita; jak słyszałam dlatego, że członkiem zarządu tej organizacji dobroczynnej był prezydent Pakistanu Parwiz Muszarraf. Gdyby rząd Stanów Zjednoczonych wciągnął Rabitę na listę organizacji terrorystycznych, powstałaby niezręczna sytuacja. Kilka tygodni później, po wyjaśnieniu sprawy uczestnictwa Muszarrafa w zarządzie Rabity, organizacja ta została dopisana do prezydenckiej listy, a jej aktywa zamrożono.

Związki Rabity z MWL wzbudziły moje zainteresowanie. Wydawało mi się niedorzeczne, że organizacja uznana w Stanach Zjednoczonych za finansującą terroryzm, sama była finansowana przez władze Arabii Saudyjskiej. Oznaczało to, że Saudyjczycy, nasi rzekomi sojusznicy, wspierali dżihad.

Rabita funkcjonowała tylko dzięki pieniądзом od macierzystej organizacji, Światowej Ligi Muzułmańskiej. MWL z kolei jest finansowana przez rząd saudyjski. Przedstawiciel MWL w Kanadzie, Arafat al-Aszi, oskarżony o działalność terrorystyczną, zeznając przed sądem, powiedział: „Proszę mi pozwolić wyjaśnić jedną kwestię. Światowa Liga Muzułmańska jest [...] organizacją całkowicie finansowaną przez państwo. Innymi słowy, pracuję dla rządu Arabii Saudyjskiej”.

Zgodnie z oficjalnym biuletynem MLW, „Wiadomości islamskie”, organizacja ta wspiera i finansuje dżihad w Kaszmirze, Czeczenii, Afganistanie, Palestynie, na Filipinach, w Libanie, Sudanie - dosłownie wszędzie, gdzie toczy się święta wojna.

Im więcej wiedziałam, im bliżej poznawałam kolejno HLF IAP, WISE, ICP, Maktab al-Chidmat, BIF, GRF... wszystko prowadziło do SAAR, a najbardziej zaskakujące było dla mnie to, że czegokolwiek tknęłam, zawsze natrafiałam na jakieś powiązania z Arabią Saudyjską. Od pierwszych dni Al-Ka'idy i wojny w Afganistanie w latach siedemdziesiątych stałym elementem obrazu były w taki czy inny sposób saudyjskie pieniądze. Dlaczego?

Powód jest całkiem prosty. Arabia Saudyjska jest krajem głęboko religijnym. Jedną z podstawowych zasad islamu jest wiara w to, że wszystko należy do Allaha. Bogactwo - rzecz w Arabii Saudyjskiej powszechna - jest wyznawcom Allaha oddane tylko w zarząd. Aby oczyścić te pieniądze, zasłużyć na błogosławieństwo Allaha w nagrodę za ich właściwe wykorzystanie, wierni muszą ofiarować

określoną część tych pieniędzy na słuszną sprawę. *Zakał*, doroczna jałmużna, służy oczyszczeniu pieniędzy w oczach Allaha. Rzecz jasna sprawą najbardziej wartą ofiary jest dżihad.

Dlaczego jednak zamożni Saudyjczycy ryzykują, angażując się w toczone gdzieś daleko wojny? Dlaczego władze saudyjskie przejmują się dżihadem w Kaszmirze, Bośni czy Czeczenii?

Odpowiedzią na to jest wahabizm, nurt religijny w islamie, powstały w XVIII wieku i biorący swą nazwę od nazwiska założyciela, Abd al-Wahhaba. Jest to ruch fundamentalistyczny, którego zwolennicy nawołują do oczyszczenia islamu z wszelkich naleciałości, odrzucają jakiegokolwiek zmiany prawa koranicznego. Wahabici chcą uczynić narody muzułmańskie jeszcze bardziej muzułmańskimi, a narody wyznawców innych religii nawrócić na islam. Krótko mówiąc, celem ruchu jest dominacja islamu na świecie. Zamiar ten najłatwiej zacząć wprowadzać w życie tam, gdzie rozgorzały już gwałtowne konflikty między muzułmanami a niewiernymi, na przykład w Palestynie czy w Kaszmirze. Gdy po I wojnie światowej rozpadło się Imperium Osmańskie, wahabici skorzystali z okazji - zajęli dwa święte miasta islamu, Mekkę i Medynę, i utworzyli własne państwo.

Nazwali je Arabią Saudyjską.

Saudyjczycy uważają więc, że wspieranie dżihadu jest równoznaczne z szerzeniem islamu na świecie. Ale czy rzeczywiście prowadzą dżihad? Jak wiadomo, z dziewiętnastu zamachowców z 11 września piętnastu było Saudyjczykami. Czy którykolwiek z nich pasował do typowego wizerunku tak zwanego samobójcy-męczennika? Żaden nie cierpiał nędzy, żaden nie żył pod okupacją, żaden nie wychował się w rozbitej rodzinie, żaden nie był analfabetą ani człowiekiem w rozpaczliwej sytuacji życiowej. Co pchnęło tych młodych ludzi do popełnienia aktu takiego barbarzyństwa?

Szkoła. Po 11 września przyjrzałam się bliżej saudyjskiemu systemowi szkolnictwa i to, czego się dowiedziałam, było przerażające. W Arabii Saudyjskiej czwartoklasiści na przykład dowiadują się, dlaczego na ich fladze państwowej znajduje się miecz. „Miecz jest narzędziem dżihadu prowadzonego w imię Allaha” - objaśnia podręcznik. Dzieci uczą się wierszy takich jak ten z podręcznika dla ośmioklasistów:

Uważaj, Izraelu. Jesteśmy narodem.

Pewnego dnia nasz miecz zetnie twoją głowę.

Dzięki mieczowi nasz kraj odzyska swe prawa i godność [...]

W szóstej klasie dzieci poznają nowe słowo *mudżahid* i jego zastosowanie w różnego typu zdaniach, w liczbie pojedynczej i mnogiej. Do takich zdań należą: „*Mudżahidun* zwyciężyli w imię Allaha” lub „Allah kocha mudżahedinów”. W siódmej klasie uczniowie zapoznają się z Koranem, w którym jest mowa o tym, że Bóg pokarze i wytępi niewiernych.

Nic dziwnego, że bardzo wiele saudyjskich dzieci przyswaja ten rodzaj nauki i zaczyna myśleć o swojej przyszłości w kategoriach: „Czym chciałbym zostać, gdy wysadzę się w powietrze?”.

Obowiązek *zakatu* jest więc przyczyną ofiarowywania datków, a wychowanie w duchu wahabizmu - przyczyną przekazywania darowizn na dżihad na całym świecie. Kto jednak bezpośrednio finansuje świętą wojnę? Wiele ugrupowań prowadzących dżihad - między innymi Hamas i PIJ - zostało w niektórych krajach zdelegalizowane. Bin Laden prowadzi wojnę przeciwko samej Arabii Saudyjskiej. Jak więc dobrzy Saudyjczycy mogą dawać mu *zakat*, zachowując jednocześnie lojalność wobec państwa?

Dzięki muzułmańskim organizacjom charytatywnym - na tym właśnie polega genialność rozwiązania, na które wpadł Abd Allah Azzam, mentor i duchowy ojciec Bin Ladena. Cóż może być bardziej

oczyszczającego i szlachetnego niż ofiarowanie pieniędzy organizacji charytatywnej? Organizacja przekazuje następnie darowizny przykrywkom ugrupowań terrorystycznych, przebranych za zespoły doradców bądź instytucje religijne lub edukacyjne, a instytucje te oddają pieniądze na dżihad i na mudżahedinów. Ten sprytny system umożliwia łatwe pranie pieniędzy i sprawia, że przepływ pieniędzy jest niezwykle trudny do prześledzenia. Rząd amerykański przez długi czas dawał się zwodzić, pozwalając na to, by olbrzymie sumy saudyjskich petrodolarów przepływały bez problemów z rąk do rąk.

Dziś władze Arabii Saudyjskiej nie finansują Bin Ladena. Nie bezpośrednio. Finansują jednak na przykład MWL, która z kolei daje pieniądze na dżihad - także dżihad Bin Ladena. Dla Saudyjczyków każdy dżihad przeciwko niewiernym jest usprawiedliwiony, ponieważ jego celem jest szerzenie islamu, a ściśle mówiąc - wahabizmu. Czym są jednak wszystkie te kraje - Czeczenia, Afganistan, Bośnia, Filipiny - do których płyną pieniądze na wsparcie dżihadu? Twierdzami Al-Ka'idy, gdzie ludzie Bin Ladena odgrywają w świętej wojnie główną rolę. Zatem saudyjskie pieniądze państwowe nie idą bezpośrednio do Bin Ladena, ale i tak w rezultacie dostaje je Al-Ka'ida. Co więcej, władze saudyjskie otwarcie finansują Hamas; przyznała to publicznie rodzina królewska. Czym zaś jest Hamas? Działacze tego ugrupowania szkolą się w obozach Bin Ladena, a jego sponsorzy - tacy jak Jasin Kadi, zamożny Saudyjczyk uznany przez władze amerykańskie za terrorystę - finansuje także Al-Ka'idę. Dżihadu Hamasu nie sposób odróżnić od dżihadu Al-Ka'idy.

Rząd Stanów Zjednoczonych ciągle nazywa Saudyjczyków „naszymi przyjaciółmi i sojusznikami”, my jednak jesteśmy dla nich tylko niewiernymi. Saudyjczycy wspierają dżihad; muzułmański terroryzm, do którego podżegają wahabici, narodził się w Arabii

Saudyjskiej i jest finansowany z pieniędzy za saudyjską ropę.

I na tym polegają, moim zdaniem, saudyjskie powiązania.

Po wysłaniu władzom raportu na temat organizacji charytatywnych, które znalazły się na pierwszej liście, nadal intensywnie zajmowałam się Rabią. Ponieważ szczególnie interesowały mnie przyczółki terroryzmu w Stanach Zjednoczonych, szukałam możliwych powiązań między Rabią a organizacjami mającymi tu swe siedziby. Odkryłam, że Rabią - w przeciwieństwie do macierzystej MWL - nie ma oddziałów w naszym kraju, sprawdziłam więc jej pracowników. Muzułmańskie organizacje charytatywne, jak przekonałam się, badając SAAR, mogą istnieć tylko z nazwy, łatwo je założyć i łatwo rozwiązać. Można się wiele dowiedzieć, przyglądając się związanym z nimi ludziom, bo ludzie ci nie pojawiają się i nie znikają tak często, jak zakładane przez nich organizacje. Skoncentrowałam więc poszukiwania na dwóch z trzech założycieli i dyrektorów Raby: Abd Allahu Umarze an-Nasafie i Abd Allahu al-Ubajdzie. Trzecim założycielem był Dżulajdan, o którym wiedziałam aż nazbyt wiele. Nazwiska An-Nasafa i Al-Ubajdy również nie były mi obce; czytałam o nich liczne artykuły w „Wiadomościach islamskich”. An-Nasaf, który był sekretarzem generalnym MLW w czasie, gdy Dżulajdan kierował pakistańskim oddziałem organizacji, zrobił na mnie duże wrażenie. Jego nazwisko wymieniano niemal w każdym numerze biuletynu MWL. Przytaczano większość jego wypowiedzi; utrzymywał w nich, że MWL wspomaga dżihad, który jest jedyną drogą do wyzwolenia krajów muzułmańskich, takich jak Afganistan, Czeczenia, Kaszmir i Palestyna.

Poprosiłam Jerome'a, by sprawdził, czy An-Nasaf ma jakieś kontakty w Stanach Zjednoczonych.

Byłam w połowie ważnej rozmowy telefonicznej, gdy

uśmiechnięty od ucha do ucha Jerome pomachał mi przed oczami kartką papieru z wynikami swoich poszukiwań.

Wystarczył szybki rzut oka, aby wszystko stało się jasne. Tłumiąc okrzyk, walnęłam pięścią w biurko i zamarłam z półotwartymi ustami. Jerome złożył dłoń jak pistolet i wystrzelił.

To był dobry strzał. Okazało się, że Nasaf jest dyrektorem saudyjskiej organizacji o nazwie Makka al-Mukarrama, Święta Mekka. Adres organizacji w Stanach Zjednoczonych: 555 Grove Street.

Ale to nie wszystko - taki sam był adres domowy Nasafa.

Sam pracował nad Al-Ubajdem, drugim dyrektorem Rabity. Odkrył, że Al-Ubajd, obecny sekretarz generalny MWL, jest także dyrektorem spółki inwestycyjnej Sanabil al-Chajr, mającej siedzibę oczywiście przy 555 Grove Street. Co więcej, jest także wicedyrektorem firmy drobiarskiej Al-Watania, jednej z firm braci Ar-Radžhi.

Nasaf i Al-Ubajd, obecny sekretarz generalny MWL i obecny dyrektorzy Rabita Trust, organizacji oskarżanej o finansowanie Al-Ka'idy, byli więc blisko związani z 555 Grove Street. Macki zdawały się sięgać wszędzie.

Trzeci dyrektor Rabita Trust, Dżulajdan, dopiero rok po 11 września został - na podstawie moich raportów przekazanych Departamentowi Skarbu - ostatecznie uznany za sponsora Bin Ladena i głównego logistyka Al-Ka'idy: „Stany Zjednoczone dysponowały wiarygodnymi informacjami, że Wa'il Hamza Dżulajdan jest współnikiem Osamy Bin Ladena i kilku wysokich dowódców Bin Ladena. Dżulajdan kierował organizacjami, które dostarczały finansowego i logistycznego wsparcia Al-Ka'idzie. W związku z tym Stany Zjednoczone wpisują Dżulajdana na listę osób wspierających terroryzm”.

Przez długi czas bezskutecznie próbowałam zainteresować władze

Dżulajdanem. Wreszcie w 2002 roku sytuacja się zmieniła. Uważam to za swoje osobiste zwycięstwo.

Pod koniec 2001 roku zadzwonił do mnie pewnego dnia John Canfield. Był już gotowy do wyjazdu z Tamy i objęcia stanowiska za granicą. Powiedział mi, że miał właśnie telefon z Waszyngtonu, od człowieka ze służb specjalnych Urzędu Celnego. Służby specjalne chciały zasięgnąć rady Johna jako eksperta w zakresie finansowania terroryzmu i związanych z tym operacji prania pieniędzy.

- Chcieli, żebym przyleciał na spotkanie z nimi. Odpowiedziałem, że prawdziwego eksperta mają dużo bliżej - oznajmił. - Dałem im twój numer telefonu. Myślę, że człowiekiem, który do ciebie zadzwoni, będzie Mark.

- Czy znasz tego Marka? - zapytałam.

- Tak - odparł John. - Jest starszy ode mnie i choć nie miał przedtem do czynienia z terroryzmem, to bardzo dobry agent. Przyszedł z narkotyków, gdzie stał się sławny dzięki tajnym operacjom. Słyszałem, że czasem przebierał się za kobietę i golił włosy rąk i nóg. Daję słowo, że z tym gościem nie ma żartów.

Mark zadzwonił niespełna godzinę później. Przedstawił się jako agent Green Quest, nowo utworzonego oddziału specjalnego Departamentu Skarbu; zadaniem oddziału była likwidacja transferu pieniędzy ze Stanów Zjednoczonych do organizacji terrorystycznych. Zapytał, czy może przyjechać do Nowego Jorku i spotkać się ze mną.

Gdy zobaczyłam Marka, nie mogłam wyjść ze zdumienia, jak ten wysoki, mający sześć stóp, barczysty mężczyzna mógł kiedykolwiek uchodzić za kobietę. Ta myśl mnie rozbawiła. Czy mnie można by wziąć za mężczyznę? Nigdy w życiu.

Mark był bardzo spragniony informacji. Przedstawiłam mu zasady działania przykrywek dla organizacji terrorystycznych i sposoby przekazywania pieniędzy na dżihad. Przygotowałam dla niego listę

problemów, którym warto się przyjrzeć, związanych przede wszystkim z operacjami prania pieniędzy. Znalazły się tam między innymi dane dotyczące podejrzanej działalności na terenie Florydy, Michigan i Kalifornii. Ponieważ Green Quest nadzorował i koordynował dochodzenia lokalnych służb specjalnych, Mark miał przestać moje wskazówki zespołom w poszczególnych stanach. W przeciwieństwie jednak do innych agentów, którzy brali ode mnie materiały i przekazywali je „właściwym ludziom”, a potem nic się nie działo, Mark natychmiast dowiedział, że traktuje sprawę bardzo poważnie. Wkrótce po otrzymaniu moich wskazówek zaczęli dzwonić do mnie agenci oddziałów lokalnych z prośbą o spotkanie; udało się je zorganizować w ciągu kilku dni. Udzieliłam przybyłym wszelkich informacji i dochodzenia ruszyły całą parą. Wydawało się, że wreszcie coś się dzieje.

Podczas mojego trzeciego spotkania z Markiem ledwie zdążyliśmy zamienić parę słów, gdy wszedł Sam z dokumentami, które właśnie nadeszły z Europy.

- Przepraszam - powiedział - ale wiem, że właśnie na to czekasz. Myślę, że chciałabyś na to spojrzeć.

Zajrzałam do przyniesionych papierów - były to nędzne, ledwie czytelne kopie, a co najgorsze po niemiecku. Nie trzeba było jednak znać języka; o tłumaczenie mogłam postarać się później. Najważniejsza w tych aktach spółki z Vaduz w Liechtensteinie była lista nazwisk.

Popatrzyłam na te nazwiska. Spojrzałam na Marka. I znów na papiery.

- No, no. Ich imperium rozpościera się więc daleko poza naszymi granicami - wymamrotałam.

Ciągle wpatrywałam się w nazwiska. Zaczęło do mnie docierać, że nie zauważyłam czegoś, co miałam pod samym nosem.

- Robimy błąd, Mark - oznajmiłam ku jego zaskoczeniu. - Przyszedłeś do mnie po wskazówki. Idąc za nimi, uganiamy się po całym kraju. To wszystko są mniej ważne dochodzenia i powinniśmy zostawić je lokalnym służbom specjalnym, które teraz nad nimi pracują. Prawdziwe zadanie jest do wykonania na twoim podwórku, blisko Waszyngtonu. W tych papierach z Vaduz znalazłam coś, co jest skomplikowane i wyjaśnienie wymaga wiele czasu, ale wierz mi, jest warte każdej poświęconej minuty. Chodzi o pewien adres w Herndon w Wirginii. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to jest ważne. Zapamiętaj nazwę i numer - 555 Grove Street - ponieważ od dziś będziesz nad tym pracował. Ten adres zmieni twoje życie, a Green Quest stanie się sławny.

Mark już mnie znał. Uwierzył w każde słowo.

W 1976 roku Hiszam at-Talib, Muhammad M. Szamma i Dżamal Barzindzi, twórcy sieci SAAR, założyli bank w Vaduz, w księstwie Liechtenstein.

Nazwali go Nada International, od nazwiska dyrektora, Jusufa M. Nady. Nada, Egipcjanin z pochodzenia, a od siedemnastego roku życia obywatel włoski, bliski przyjaciel Saddama Husajna, był jednym z wyróżniających się przywódców Braci Muzułmanów. W Egipcie odsiadywał wyrok za udział w próbie zabójstwa Gamala Abdel Nadera, pierwszego prezydenta tego kraju. Po wyjściu na wolność wyjechał do Europy i założył najważniejsze instytucje finansowe Braci Muzułmanów - a także Al-Ka'idy. Nada został również dyrektorem dwóch banków założonych na Bahamach, at-Takwa (Nabożność) i Akida.

7 listopada 2001 roku prezydent Bush uznał bank At-Takwa, jego kierownictwo i związane z nim z nim przedsiębiorstwa za sponsorów Al-Ka'idy i wezwał do zamrożenia aktywów tego banku. Podobnie stało się z bankiem Akida. Prezydent określił At-Takwę jako

„konsorcjum zagranicznych banków i instytucji finansowych, pomagające Al-Ka'idzie transferować pieniądze na całym świecie. Konsorcjum to [...] zbiera fundusze dla Al-Ka'idy. Zarządza funduszami, inwestuje je i dystrybuuje. Zapewnia zwolennikom terroryzmu dostęp do Internetu, bezpieczne połączenia telefoniczne i inne możliwości komunikowania się. Organizuje nawet dostawy broni. [...] Przedstawia się jako grupa legalnie działających przedsiębiorstw, lecz pieniądze pobierane od każdej transakcji przekazywane są organizacjom terrorystycznym. Umożliwia nielegalny transfer pieniędzy z jednego kraju na opłacenie aktów terroru w innym”. Na zakończenie prezydent powiedział: „Likwidując tę siatkę, zapobiegamy kolejnym zbrodniom. Dzisiejsze działania zablokują ważne źródło funduszy dla al-Ka'idy”.

Zdaniem Departamentu Skarbu, At-Takwa i Akida były fasadami, a nie prawdziwymi instytucjami bankowymi. At-Takwa, sieć kompanii w Szwajcarii, Liechtensteinie, na Bahamach i we Włoszech, udzielała porad inwestycyjnych i umożliwiała transfer gotówki do rozmaitych radykalnych ugrupowań muzułmańskich. W pewnym momencie jej aktywa osiągnęły wysokość 220 milionów dolarów. At-Takwa inwestowała pieniądze klientów zgodnie z szariatem, prawem islamskim, które zakazuje pobierania odsetek. Do jej licznych klientów należeli Jusuf al-Karadawi, jego żona, dzieci i inni członkowie rodziny. Klientami At-Takwy byli także krewni Bin Ladena, między innymi bracia i siostry Osamy. Nada, jako dyrektor banku Akida, zatrudnił - co mogłoby wydawać się zdumiewające - niejakiego Sulajmana Abd al-Aziza ar-Radźhiego. Jednego z braci stojących za SAAR.

Ar-Radźhi, człowiek, którego bogactwo owiane było legendą, pracował więc dla Nady. Nada pracował dla Barzindźiego i At-Taliba, którzy z kolei pracowali w organizacji dobroczynnej finansowanej

przez braci Ar-Radzhi, Fundacji SAAR. Trudno się w tym połąpać? I o to właśnie chodzi.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia 2002 roku czternaście kolejnych firm i instytucji powiązanych z At-Takwą wpisano na listę prezydencką jako sponsorów Al-Ka'idy, a ich aktywa zamrożono. Także one były kierowane przez Nada.

Nada został uznany za „szczególnie groźnego światowego terrorystę” z powodu wsparcia finansowego, jakiego udzielał Al-Ka'idzie. On sam utrzymywał, że padł ofiarą odpowiedzialności zbiorowej, ponieważ należy do Braci Muzułmanów i ponieważ niektórzy krewni Bin Ladena byli jego klientami. „Jestem członkiem Braci Muzułmanów od pięćdziesięciu lat - oświadczył. - To nie jest tajemnicą. Ale organizacja ta nie stosuje przemocy”.

Z pewnością nie stosuje, panie Nada. Jest tylko macierzystą organizacją PIJ, Hamasu, Al-Ka'idy i wielu innych tego rodzaju ugrupowań.

Nada został więc uznany za terrorystę. Doskonale. Później wciągnięto na listę także jego bank, Nada International. Jeszcze lepiej. Ale Nada kierował tylko kilkoma instytucjami finansowymi w Europie i na Bahamach. Nie był jedynym człowiekiem rządzącym ogólnoswiatowym imperium. Z pewnością nie był mózgiem operacji, której celem była dominacja na świecie. Zatrudnili go ludzie z 555 Grove Street - bracia Ar-Radzhi i ich ambasadorowie - gdy zakładali pierwszą placówkę, Nada International. To oni wymyślili i stworzyli molocha, którego macki sięgały wszędzie. Oni zakładali muzułmańskie instytucje takie jak HIT, nastawione na nauczanie własnej wersji islamu. Oni kupili w Ameryce gigantyczną liczbę meczetów, w których propaguje się fundamentalizm. Oni założyli banki, finansujące światowy terrorizm.

Nada trafił więc na listę osób mających powiązania z

terroryzmem. Ale nie znaleźli się na niej bracia Ar-Radżhi, Al-Alwani, Barzindzi, Al-Talib, Totondzi i inni twórcy SAAR.

Mark przejrzał dokumenty, które otrzymałam z Liechtensteinu. Dowodziły one, że założycielami Nada International byli ludzie z SAAR i że do sieci tej należą instytucje finansowe rozrzucone daleko poza granicami Stanów Zjednoczonych. Nie miałam wątpliwości, że to właśnie SAAR z jej przybudówkami i pracownikami powinien zająć się Green Quest. Green Quest, ze mną jako pozostającym w cieniu przewodnikiem, musi rozprawić się z 555 Grove Street.

Przedstawiłam Markowi sprawę w ogólnych zarysach, zaczynając od samego początku. Opowiedziałam, jak SAAR finansuje przykrywkę dla PIJ i Hamasu, jakiego typu związki łączą ją z Braćmi Muzułmanami; mówiłam o MWL i Al-Ka'idzie; pokazałam listę stu firm i organizacji należących do sieci SAAR i wyjaśniłam mechanizm pojawiania się i znikania kolejnych przybudówek, kierowanych przez te same dwanaście osób. Pokazałam zeznania podatkowe SAAR, w tym za rok 1998, z kwotą 1,8 miliarda dolarów otrzymanych przez fundację w charakterze darowizn. Gdy zaczęłam mówić o tym wszystkim, Mark był wręcz uszczęśliwiony. Musiał jednak otrzymać pozwolenie swoich przełożonych na rozpoczęcie śledztwa.

Zadzwoił następnego dnia rano.

- Mamy zgodę. Moi szefowie sądzą, że informacje, których nam dostarczyłaś, warte są uwagi. Chcą, żeby nasz zespół spotkał się z tobą i zaczął pracę nad 555 Grove Street. Czy możemy przyjechać do ciebie jutro?

- Jutro? - zdziwiłam się. - Nie, potrzebuję więcej czasu, żeby przygotować się do spotkania. Muszę uporządkować dokumenty, przejrzeć je...

- Po co? - przerwał Mark. - Powtórzysz po prostu to, co powiedziałaś mnie. W tej sprawie nikt nie może być lepiej

przygotowany niż ty.

Zawsze jednak jest coś do przygotowania, jeśli prezentacja ma wypaść przekonująco. Jerome i ja wyszliśmy z biura po północy.

Spodziewałam się, że jak zwykle w takich wypadkach przyjedzie zespół dwóch, najwyżej trzech śledczych. Ku memu zdziwieniu Mark przybył w towarzystwie siedmiu panów w nienagannych garniturach. Byli to agenci Green Quest, Urzędu Skarbowego i Urzędu Cel w Sterling w Wirginii, którego jurysdykcji podlegają Herndon i 555 Grove Street. Agentem Urzędu Cel był Dave Kane, wysoki, szczupły, miły w obejściu mężczyzna. Pracował tam od trzech lat i podobnie jak Mark, w chwili gdy znalazł się w Green Quest, także nie miał doświadczenia w zwalczaniu terroryzmu, później jednak odegrał kluczową rolę w śledztwie. Poprosiłam Jerome'a, by do nas dołączył, przygotowaliśmy biurko odpowiednie dla tak dużej grupy osób i zaczęłam mówić o 555 Grove Street.



Byłam pod wrażeniem. Wysłanie ośmiu osób na spotkanie ze mną oznacza, że sprawa jest traktowana poważnie. W 1999 roku zwróciło się do mnie dwóch agentów FBI z biura w Wirginii, szukających informacji o Barzindżim i innych dyrektorach SAAR. Spotkaliśmy się, pracowałam z nimi kilka miesięcy. Agenci śledzili, a nawet przesłuchiwali niektóre osoby związane z 555 Grove Street w obecności ich prawników. Podobnie jak wielu innych, także i tego dochodzenia FBI stopniowo zaniechało. Do dziś nic się w tej sprawie nie wydarzyło. Może tym razem dzięki Green Quest będzie inaczej. Bardzo chciałam opowiedzieć im wszystko o SAAR i przekonać ich,

jakie to jest ważne.

Siedzieliśmy sześć godzin. Wyjaśniłam, że SAAR jest siecią, na którą składają się zespoły doradców, organizacje charytatywne i firmy nastawione na zysk, w sumie około stu instytucji mających siedzibę przy 555 Grove Street. Opowiedziałam, kim są Sulajman i Salih Ar-Radżhi; jak po raz pierwszy natrafiłam na 555 Grove Street, gdy badałam sprawę Sarniego i PIJ oraz przykrywek dla Hamasu; co to są HLF, Fundacja Edukacyjna Al-Aksa, WISE, ICP i wiele innych muzułmańskich organizacji charytatywnych mających związki z terroryzmem. Wszędzie pojawiały się jakieś związki z SAAR.

Do tego miejsca, dopóki trzymałam się porządku chronologicznego, moja opowieść skupiała się na powiązaniach między SAAR a palestyńskimi ugrupowaniami Hamas i PIJ. Nie to jednak najbardziej zainteresowało ludzi z Green Quest, tylko Al-Ka'ida. Wprowadziłam więc historię Tarika Hamdiego i naświetliłam jego związki z Sarnim al-Arjanem, HIT oraz Bin Ladenem i jego telefonem satelitarnym. Byli zaskoczeni. Następnie wyjęłam kopie notesów telefonicznych Wadiha al-Hadżdża. Żaden z agentów nie słyszał o Al-Hadżdżu! Opowiedziałam więc, kim jest i co robił, i pokazałam nazwisko Saliha ar-Radżhiego widniejące w obu notesach. Siedzieli cicho, jakby odjęło im mowę. Na zakończenie powiedziałam:

- W pierwszej kolejności musicie jak najszybciej pojechać do Tampy. John Canfield mógłby im pomóc, ale właśnie wyjeżdża z Florydy do pracy za granicą.

- W Tampie możecie dostać wszystkie materiały, do których ja nie mam dostępu. FBI rozpracowywało Sarniego przez długie lata. Mają dokumenty, kasety wideo z nagraniami ludzi SAAR na konferencjach ICP kopie czeków, które Sami dostawał od SAAR, listy - najważniejsze informacje dla śledztwa. Powinniście dotrzeć tam,

zanim wyjedzie Canfield, pomoże wam zorientować się w tych stosach materiałów, powie, co jest wam potrzebne i gdzie to znaleźć. Bez niego straciecie masę czasu. Po powrocie nawiążcie kontakt z agentami FBI, którzy kilka lat temu pracowali nad tą sprawą. Oni także zebrali wiele danych na temat SAAR, może się z wami podzielić.

Zgodnie z moją sugestią ludzie z Green Quest pojechali na Florydę, a po powrocie Mark od razu do mnie zadzwonił. Wiedziałam, że nie ma sensu pytać, co tam załatwili; od lat pracowałam z agentami rządowymi i reguły były dla mnie jasne. Ja dawałam, ono brali. I to wszystko.

- Pamiętasz, mówiłaś mi o taśmie, na której przedstawiono Sarniego jako przedstawiciela PIJ i na której zbiera on pieniądze dla PIJ? Czy mogłabyś zrobić dla mnie kopię tej taśmy?

Oczywiście, mogłam to zrobić. Ale dlaczego Mark zwrócił się z tym do mnie? Właśnie wrócił z Tamy, gdzie przechowuje się tę i wiele innych taśm! Pomyślałam, że być może nie mieli czasu na skopiowanie całego materiału.

Kilka dni później Mark poprosił mnie o kopie zeznań uzyskanych przez FBI i INS, o których mu mówiłam. To było jeszcze dziwniejsze, ale wysłałam faksem te kopie.

Tego samego dnia zadzwonił do mnie Dave Kane.

- Mówiłaś, że masz kopie wystąpień Barzindziego i Al-Alwaniego na konferencjach ICP

- Tak, a o co chodzi?

- Czy mogłabyś mi je wysłać?

- No jasne.

- Wspominałaś też, że masz kopie czeków HIT dla Sarniego. **Czy** mógłbym je od ciebie dostać?

- Oczywiście - odparłam. - Będę szczęśliwa, mogąc wam pomóc, chłopcy. Ale moje kopie czeków są marnej jakości, ledwie czytelne.

FBI w Tampie z pewnością ma lepsze, a może i wiele więcej kopii czeków niż ja. Dlaczego ich o to nie poprosicie?

- Chyba masz rację. - W jego głosie słyszałam dziwną nutę. - Czy mogłabyś jednak skopiować te czek i wysłać je do mnie kurierem?

Tego typu prośby nadchodziły przez pewien czas i stopniowo zaczęłam zdawać sobie sprawę, co zdarzyło się na Florydzie. Dobrze znałam ludzi z FBI w Tampie. To oni mnie śledzili. Oni śledzili Johna Canfielda i odebrali mu dochodzenie w sprawie Sarniego. Oni odmówili pomocy Loraine, prawnicze z INS, która w konsekwencji zwróciła się do mnie. Nie spodziewałam się po nich wiele. W najgorszych snach nie przewidywałam jednak, jak źle potraktują Green Quest.

Agenci Green Quest spotkali się z Johnem Canfieldem, który wyjaśnił im szczegółowo, czego powinni szukać w materiałach FBI i jak najłatwiej to znaleźć. Nie miał niestety żadnych dokumentów, ponieważ wszystko musiał oddać, gdy odsunięto go od śledztwa. Utrzymywał jednak kontakty z ludźmi z FBI, ponieważ dzwonili oni z prośbami o informacje, zabrał więc zespół Green Quest do kwatery Biura w Tampie i przedstawił nowemu szefowi, Jerry'emu. Agenci powiedzieli Jerry'emu, czym się zajmują i poprosili materiały na temat SAAR i Sarniego, między innymi materiały zdobyte podczas rewizji w siedzibach ICP i WISE.

W odpowiedzi usłyszeli, że dochodzenie w sprawie Sarniego to sprawa FBI, a materiały będące w posiadaniu FBI są poufne. Nie zostaną udostępnione.

A działo się to wiele miesięcy po 11 września.

Ludzie z Green Quest próbowali tłumaczyć, że nie rywalizują ze służbami specjalnymi z Tamy, chcą tylko informacji związanych z prowadzonym dochodzeniem, nie zaś wszystkich informacji o Sarnim. Jerry polecił im wówczas złożyć szczegółowy raport pisemny

na temat tego śledztwa, zawierający także dokładny wykaz potrzebnych materiałów wraz z uzasadnieniem.

Na tego rodzaju dyskusjach upłynęła cała wizyta w kwaterze FBI w Tampie.

Nie pozostało nic innego, jak poprosić szefową Green Quest, Marcy Futerman, o interwencję u jej przełożonego w Urzędzie Ceł. Futerman to łagodna, wyrozumiała szefowa i dba o swój zespół. Zorientowała się, że jeśli nie zrobi szumu wokół tej sprawy, jej ludzie mogą wrócić z pustymi rękoma. Przełożony Marcy zadzwonił do kwatery głównej FBI w Waszyngtonie i poprosił o zgodę na wydanie Green Quest materiałów w Tampie. Wyrażono zgodę i polecono zespołowi z Tampy współpracować z Green Quest.

Mark i jego koledzy przedłożyli raport Jerry'emu i w końcu wpuszczono ich do archiwum. Dostali kilka pudeł - zupełnie jak Loraine - i powiedziano im, że tylko tu znajdują się materiały dotyczące prowadzonego przez nich dochodzenia. Ale to nie wszystko. Okazało się, że mogą tylko obejrzeć materiały, nie wolno było ich kopiować, skanować, fotografować ani nagrywać. Mogli tylko robić notatki. Co więcej, przez cały czas towarzyszył im agent FBI, który bacznie patrzył, czy nie robią kopii i nie chowają niczego ukradkiem - i podsłuchiwał ich rozmowy. Gdy tylko zaczęli z ożywieniem rozmawiać o dokumentach, które wydawały się interesujące, opiekun z FBI oświadczył, że czas na przerwę, bo jest pora lunchu. FBI wydawało się przerażone perspektywą, że ludzie z Green Quest mogliby znaleźć w materiałach coś, co zostało przeoczone przez Biuro, dokładano więc wszelkich starań, by tak się nie stało.

Wyjazd zakończył się niepowodzeniem, ale zespół nie wrócił do Waszyngtonu z niczym, przywieźli doskonałe raporty, które dał im John. Brakowało natomiast dowodów, czyli materiałów, których

wydania odmówiło FBI. Dlatego właśnie Mark i Dave Kane wciąż dzwoniли do mnie z prośbami o kopie dokumentów i taśm.

Green Quest nadzorował i koordynował działania służb specjalnych podległych Urzędowi Ceł. W ich skład wchodziłi agenci FBI i Urzędu Skarbowego, współpracowano także blisko z Biurem Kontroli Aktywów Zagranicznych (OFAC), które również podlegało Urzędowi Ceł. Agenci Green Quest nadzorowali dochodzenia, które biura lokalne prowadziły na podległym sobie terenie, a czasami, jak w przypadku śledztwa w sprawie SAAR, angażowali się bezpośrednio. OFAC wspomagało Green Quest, podobnie postępowali agenci FBI; miałam z nimi kontakt kilka lat wcześniej w związku z SAAR. W przeciwieństwie do swoich kolegów z Tamy byli chętni do współpracy i pomocni, przynajmniej w tym momencie. Dostarczyli Green Quest wiele dokumentów, a i mnie także traktowali poważnie przez wszystkie miesiące wspólnej pracy; nigdy dokładnie nie rozumiałam, dlaczego nie odebrano im tej sprawy.

Sytuacja tak się ułożyła, że główną rolę w dochodzeniu przeciwko SAAR odgrywali Mark i Dave, pracujący bezpośrednio ze mną. Mark reprezentował Green Quest, Dave - biuro Urzędu Ceł ze Sterling. Musieli przeanalizować dostarczone przeze mnie materiały, napisać raport i pokazać go prokuratorowi federalnemu, który miał zdecydować, czy są wystarczające powody do wdrożenia oficjalnego śledztwa. Mark i Dave znajdowali się pod silną presją ze strony przełożonych; wszystkim bardzo zależało na czasie. Tak więc Mark i Dave ze strony rządowej oraz trójka z naszego biura - Sam, Jerome i ja - pracowaliśmy bardzo ciężko dzień i noc. Poświęcałam temu dochodzeniu większość czasu, choć jednocześnie robiłam mnóstwo innych rzeczy. Prowadziłam kilka własnych spraw, współpracowałam z prokuratorami federalnymi oraz agentami FBI,

Urzędu Ceł i INS z całego kraju, chodziłam na muzułmańskie konferencje i wiece. Znalazłam nawet czas na ponowne przeszukiwanie śmietnika w celu zdobycia jakichś tropów.

- Wspominałaś Tanka Hamdiego - powiedział pewnego dnia Mark. - Jakie są dowody na to, że to rzeczywiście on dostarczył telefon Bin Ladenowi?

Odpowiedziałam, że znajdują się one w aktach procesu przeciwko sprawcom zamachów na ambasady. Wyciągnęłam odpowiednie strony i przez pół godziny przesyłałam mu faksem. Znow zadzwonił.

- Podczas twojej prezentacji zapisałem w notesie, że Hamdi miał także związki z Sarnim. Nie udało nam się natrafić na nazwisko Hamdiego w materiałach, które pozwolono nam przejrzeć w Tampie.

Wysłałam mu e-mailem zdjęcie z periodyku Uniwersytetu Florydy Południowej, „Kwartalnik Stosunków Międzynarodowych UFP”, przedstawiające Sarniego i Hamdiego w towarzystwie Hasana at-Turabiego, sudańskiego przywódcy, który udzielił gościny Bin Ladenowi. Co więcej, adres WISE do korespondencji, znajdujący się w bazie danych, był taki sam jak adres Hamdiego. Wysłałam Markowi i te dokumenty. Po kilku minutach miałam kolejny telefon.

- A skąd wiesz, że Hamdi pracował dla HIT?

Odparłam, że Tarik Hamdi był publicystą kwartalnika HIT, „Islamijjat al-marifa” („Islamizacja wiedzy”). Wysłałam Markowi stronę z tego czasopisma z nazwiskiem Hamdiego. Znow zadzwonił.

- W porządku, ale skąd wiesz, że ciągle u nich pracuje?

Nie wiedziałam. Była jednak znakomita okazja, by się tego dowiedzieć. Zadzwoniłam więc do HIT - po godzinach, ponieważ miałam nadzieję uzyskać informacje bez konieczności rozmowy z kimś. Odezwała się poczta głosowa. Spośród różnych możliwości wybrałam połączenie z pracownikami instytutu. Wysłuchałam nagrania i rzeczywiście Hamdi miał w systemie własny numer

poczty głosowej. Ciągle zatem pracował w HIT. Długo potem, jak stało się powszechnie wiadome, że ten człowiek pracuje dla Bin Ladena, HIT miał go na swojej liście płac.

Następnego dnia Mark drążył dalej:

- Na jakiej podstawie twierdzisz, że Hamdi jest zamieszany w jeszcze inne sprawy związane z Al-Ka'idą oprócz tej historii z telefonem satelitarnym? Może to jednorazowy wyskok, a on w rzeczywistości nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi?

Kolejne usprawiedliwione pytanie, choć niełatwo było na nie odpowiedzieć. Władze nie wysuwały przecież przeciw Hamdiemu żadnych oskarżeń. Żyje sobie spokojnie, a jego żona, Wafa Huzejjin, uczy w szkole średniej Bethesda-Chevy Chase w pobliżu Waszyngtonu. Ona także była mocno zaangażowana w działalność ICP w Tampie, gdzie poznała swego męża; była redaktorem naczelnym „Inquiry” („Pytania”), czasopisma ICP wychodzącego w języku angielskim, oraz sekretarką Sarniego al-Arjana.

Krąży plotka, że zdaniem FBI Hamdi powiedział już wszystko, co wiedział, nie ma więc powodu dalej się nim interesować.

Czy jednak czegoś nie przeoczono? Znalazłam moje akta dotyczące CDLR (Komitetu Obrony Praw), saudyjskiego ugrupowania opozycyjnego z siedzibą w Londynie i przykrywki Al-Ka'idy. Był wśród nich wycinek z gazety IAP „Az-Zajtuna” z połowy lat dziewięćdziesiątych z ogłoszeniem, że otwarto biuro CDLR w Stanach Zjednoczonych. W ogłoszeniu podano dwa numery telefonów. W swoim czasie nie mogłam zdobyć informacji o tych numerach. Mark jednak, jako agent rządowy, mógł to zrobić. Podyktowałam mu oba numery. Po dwóch dniach zadzwonił i powiedział, że miałam rację: oba numery telefonów należały do Hamdiego. Był przedstawicielem CDLR w Stanach Zjednoczonych, a zatem jego związków z Al-Ka'idą nie sposób uznać za jednorazowe.

Podczas gdy Mark wziął mnie w krzyżowy ogień pytań na temat HIT, Dave interesował się Światową Ligą Muzułmańską. Po sposobie, w jaki zadawali pytania, widać było, że podzielili się organizacjami należącymi do sieci SAAR. Systematycznie przechodzili od jednej do drugiej. Podobnie, jak ja przed laty, startowali od podstaw dużej piramidy organizacji mających bazę w Stanach Zjednoczonych, i wolno wspinali się na szczyt. Wiedziałam, że gdy tam dotrą, znajdą braci Ar-Radżhi. Na razie jednak ciągle się wspinali.

Dave zapytał mnie na przykład, dlaczego wiążę Rabita Trust, uznaną za organizację terrorystyczną, z MWL i 555 Grove Street. Odpowiedziałam, że zgodnie z informacją na stronie internetowej MWL Rabita była jej filią. Dyrektor Rabity, An-Nasaf, jako swój adres podaje 555 Grove Street. Wysłałam Dave'owi wszystkie akta ukazujące związki Rabity z tym adresem.

Marc i Dave nie znali tak podstawowych rzeczy, jak zawartość strony internetowej MWL, ponieważ nie mogli korzystać z Internetu w pracy. Gdyby to robili, zostawiliby ślady, a ci, na których strony by weszli, mogliby nabrać podejrzeń. Zdziwiająca, ale w każdym biurze znajdował się tylko jeden komputer, którego nie można było namierzyć jako rządowy, toteż kolejka do tego sprzętu była długa. Gdy nauczyłam Marka i Dave'a, jak obsługiwać Internet, by znaleźć dokumenty, trafić na odpowiednie strony i domyślić się, kto prowadzi te strony, a także kilku innych sposobów, których często używam, zaczęli surfować nocami, w domach.

Dochodzenie trwało długie miesiące. Ludzie z Green Quest pracowali nocami i w weekendy, i ja także. Pojawiali się u mnie w biurze co najmniej raz w tygodniu. Byłam im potrzebna i zawsze starałam się służyć pomocą. Na początku wiedzieli tak mało, że chcąc rozpracować związki SAAR z terroryzmem, nie mogli obejść się beze mnie.

Byli entuzjastami swojej pracy. Po 11 września władze postawiły przede wszystkim na zwalczanie terroryzmu, a wielu agentów przydzielono do oddziałów antyterrorystycznych. Ludzie, z którymi dawniej pracowałam, nierzadko byli z tego niezadowoleni, uważali to nawet za degradację, ale Mark i Dave do nich nie należeli. Praca z takim zespołem była dla mnie porywającym doświadczeniem, choć wymagała wielkiego wysiłku. Wystarczyło raz o czymś wspomnieć, a oni natychmiast zabierali się do poszukiwań.

Nigdy wcześniej nie brałam udziału w dochodzeniu, podczas którego agenci traktowali poważnie każde moje słowo. Przez lata słyszałam, że moje wskazówki będą „przeanalizowane”, „sprawdzone” i „rozważone” - i wiele razy dochodzenie utykało w martwym punkcie. Współpraca z Green Quest - nie tylko z Markiem, Dave'em czy Marcy, ale z całym zespołem - układała się zupełnie inaczej. Poważnie traktowali zarówno informacje, których dostarczałam, jak i samo dochodzenie, i nie zaniedbywali niczego, co mogłoby posunąć je do przodu.

Stało się dla mnie jasne, że SAAR wielokrotnie była przedmiotem śledztwa. Informacje o fundacji zbierały OFAC i FBI, inne agencje rządowe także zauważyły, że coś niewyraźnego dzieje się przy 555 Grove Street w Herndon. Żadna z tych agencji nie umiała jednak powiązać sieci SAAR z terroryzmem; kończyło się na podejrzeniach, a dochodzenia prowadziły donikąd.

Tak było, dopóki ja się nie włączyłam. Korzystałam tylko z dostępnych publicznie źródeł i tak długo szukałam, kopiąc coraz głębiej i głębiej, spędzając w pracy całe noce i weekendy, aż w końcu mogłam złożyć wszystko w całość. Znalazłam brakujące ogniwo, odkryłam powiązania między SAAR a terroryzmem. Gdy Green Quest, dzięki moim wskazówkom, sięgnął głębiej i wykorzystał źródła, do których nie miałam dostępu, moje odkrycia zostały

poparte dowodami. Ludzie z Green Quest powiedzieli, że moje informacje, w połączeniu z zastrzeżonymi informacjami, którymi dysponuję, stwarzają solidne podstawy do wszczęcia oficjalnego śledztwa, oraz że materiały, których nie mogłam zobaczyć, były lepsze, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam. Oni także stawali się łowcami terrorystów.

Z rodzaju pytań, jakie zadawali mi Dave i Mark, wynikało, że pracują nad uzyskaniem nakazów rewizji. Mark powiedział, że poczynili znaczące postępy w dochodzeniu, ale napotkali poważne problemy, gdy próbowali przekonać prokuratora stanowego, że należy przeszukać nie tylko 555 Grove Street, ale także mieszkania osób związanych z siecią SAAR. To ja wytłumaczyłam zespołowi z Green Quest, że przeszukanie tylko 555 Grove Street nie wystarczy, że decydujące znaczenie ma sprawdzenie ludzi i że władze powinny przyjrzeć im się co najmniej tak dokładnie jak sieci, którą kierują. Wydawało się jednak, że prokuratorowi stanowemu nie podoba się pomysł przeszukiwania domów dyrektorów organizacji charytatywnych i spółek, zażądał zatem więcej dowodów, zanim podpisze nakazy rewizji.

Z własnej inicjatywy zadzwoniłam do niego i zapytałam, czego dokładnie potrzebuje. Odparł, że największym problemem jest przekonanie sędziego, że osoby te mogą mieć w domu materiały, które rzucają światło na sprawę. Powiedziałam, że ci ludzie nie tylko prowadzą fikcyjne instytucje, które stworzyli jako zasłonę dymną, ale robią znacznie więcej. Nie był przekonany, nadal uważał, że żaden sędzia tego nie kupi. Wtedy wpadłam na pomysł.

- A jeśli - rzuciłam - udowodnię panu, że każda z tych osób zarejestrowała wiele firm przy 555 Grove Street, ale jako adres do firmowej korespondencji podała miejsce swojego zamieszkania?

- Proszę przygotować dla mnie listę - powiedział - a obiecuję pani,

że pojawimy się w ich domach.

Pracowałam wraz moim zespołem czterdzieści osiem godzin; przekopaliśmy się przez akta wszystkich tych osób, sprawdzając, kto używa adresu domowego jako adresu swoich firm.

Prokurator stanowy zaaprobował tę listę.

Wtedy zadzwonił Mark z wiadomością, że prokurator nie zgodził się jednak wydać nakazu rewizji w domu Al-Hamdiego. Powiedziałam, że gdy Al-Hamdi kupił baterie, wysłano ją na jego adres domowy. Być może dostarczano tam także inne rzeczy, które mogłyby zainteresować władze. Później Mark powiadomił mnie, że dom Al-Hamdiego również zostanie przeszukany.

Na początku marca 2002 roku zadzwonił do mnie do biura agent rządowy o imieniu Brandon. Powiedział, że jest kilka spraw, o których chciałby ze mną porozmawiać. Zapytałam, o co chodzi. Zwykle gdy agenci dzwonią do mnie, chcą czegoś konkretnego, jakichś wskazówek lub dokumentów związanych z prowadzonym właśnie śledztwem. Na takie spotkania zawsze przygotowuję materiały, spytałam więc, co powinnam przygotować tym razem.

- Chcemy po prostu zasięgnąć pani opinii w pewnej kwestii. My? Opinii? Zabrzmiało to bardzo dziwnie.

Brandon prosił o jak najszybsze spotkanie, najlepiej następnego dnia. Pojawił się dość wcześnie rano w towarzystwie kobiety, która przedstawiła się jako Anita. Poprosiłam ich o dowody tożsamości, a potem przywitałam. Zapytali, czy moglibyśmy zamknąć drzwi. Na jednej ze ścian mojego biura wisiała wielka mapa z zaznaczoną siecią SAAR. Na monitorze komputera widać było nową mapę, nad którą pracowałam na prośbę Marka i Dave'a. Brandon i Anita usiedli, a ja spodziewałam się, że teraz nastąpi zwykła, przyjemna wymiana pytań i odpowiedzi - oni będą pytać o informacje, a ja będę starała się dostarczyć ich jak najwięcej.

- Zdajemy sobie sprawę - zaczął Brandon - że jest pani, hmm... bardzo zaangażowana w śledztwo w Wirginii. Jak się pani być może domyśla, termin akcji jest bardzo bliski. Dlatego tu jesteśmy.

Wiedziałam, że udało się osiągnąć znaczny postęp z nakazami rewizji, od kiedy dostarczyłam wielu niezbędnych informacji. Wiedziałam także, że przeszukania będą miały duży zasięg, ponieważ proszono mnie o materiały dotyczące pewnych miejsc, w których planowano rewizje, łącznie z domami prywatnymi, o których wspominałam.

- Słucham? - zaczęłam być niespokojna. Nie miałam pojęcia, do czego to ma prowadzić.

- No więc, mamy pewien problem - powiedział Brandon. - Dotyczący bezpieczeństwa agentów w czasie akcji.

Zaschło mi w gardle.

- Co dokładnie macie na myśli? - wymamrotałam.

- Inaczej mówiąc, chcemy mieć pewność, że oni nie będą czekać na naszych agentów.

Wrócił mi spokój.

- Upewnijmy się, czy dobrze zrozumiałam. Jesteście tu, by mnie zapytać, czy zadzwoniłam do Barzindziego, Al-Alwaniego lub Dżarlita, by ich uprzedzić, że agenci Green Quest i Urzędu Cel zamierzają zjawić się w ich domach takiego a takiego dnia? Sugerujecie, że kazałam im czekać na agentów z bronią?

Byłam zszokowana i upokorzona jak nigdy wcześniej.

- Ależ nie, źle nas pani zrozumiała, martwimy się tylko i chcemy mieć pewność, że wszystko przebiegnie bez kłopotów.

- Czy zdajecie sobie sprawę, do kogo mówicie? - rzuciłam ostrym tonem. - Nie wiem, kim jesteście, a wy z pewnością nie wiecie, kim jestem ja. To moje śledztwo, moje oczko w głowie, mój plan - wyłącznie mój - a wy oskarżacie mnie, że jestem źródłem

przecieków? Wszystkiego sama się dowiedziałam. Wszystko pochodzi z ogólnie dostępnych źródeł i mogę ujawniać, co mi się podoba. Nikt nie może mi tego zabronić. Mogłam to zrobić w dowolnym czasie, kilka miesięcy albo kilka lat temu. Wszystko, co ma Green Quest, ma dzięki mnie. Siedziałam i uczyłam ich wszystkiego od początku i co dostaję w zamian?

Anita usiłowała ratować sytuację, mówiąc, że oni są tylko posłańcami, którym polecono przyjść tutaj, zadać kilka pytań i upewnić się, że to niegrzeczni chłopcy zostaną zaskoczeni, a nie agenci.

- Nawet kryminalistę w areszcie informuje się, że będzie przesłuchiwany w sprawie przypisywanego mu przestępstwa. Mogliście przynajmniej uprzedzić mnie, o co chodzi, zanim się tu zjawiliście - odparowałam.

Teraz role się odwróciły i to oni znaleźli się w defensywie. Naprawdę nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, ale też zanim tu przyszli, nie zadali sobie trudu, żeby się tego dowiedzieć.

Brandon próbował zmienić temat. Przyglądał się mapie na moim monitorze i spytał, co to jest. Odpowiedziałam, że opracowuję to dla Green Quest. Poprosił o kopię. Wydrukowałam pięć sztuk, a potem powiedziałam:

- Widzi pan to? To wszystko pochodzi z publicznie dostępnych dokumentów. I wie pan co - może to nie jest taki zły pomysł. Może powinnam podzielić się tym z „New York Timesem”, z wydaniem niedzielnym.

Miło było popatrzeć na ich przerażenie.

- Wstyd - powiedziałam. - Poświęciłam życie tej sprawie, a wy oskarżacie mnie, że jestem podwójnym agentem? Wynoście się z mojego biura. Już! Rozmowa skończona.

Czmychnęli bez słowa.

Natychmiast zadzwoniłam do Marcy Futerman. Nie było jej i jak mi powiedziano, nie będzie przez cały tydzień. Poprosiłam do telefonu jej asystenta.

- Co tu się dzieje!?! - zaczęłam krzyczeć w chwili, gdy podniósł słuchawkę. - To tak mi dziękujecie? Wysyłając ludzi, żeby mnie przesłuchali?

Nie miałam pojęcia, czy on lub Marcy wiedzieli o tej sprawie, ale to był najlepszy sposób, by się o tym przekonać.

- Powiedz mi tylko, czy Marcy się na to zgodziła.

- Owszem, Marcy została poinformowana, ale daję ci słowo, że nigdy nie zaaprobowałaby czegoś takiego.

Mówił szczerze, a ja zrozumiałam, że Marcy znalazła się między młotem a kowadłem.

- Wiesz, jak wysoko Marcy cię ceni. Musisz jednak zdać sobie sprawę, że pewne rzeczy nie zależą od niej. Nie mogła nic zrobić, aby temu zapobiec.

Następnie przekazałam Markowi wiadomość na pager. Odezwał się dopiero po wielu godzinach, było to dla niego nietypowe. Wydawał się bardzo przygnębiony. Próbowałam powiedzieć mu, że przesłuchiwali mnie jacyś agenci, o których nigdy nie słyszałam, ale on powtarzał tylko bez przerwy, że ma wrażenie, że jest śledzony.

- Nie mogę się z tego otrząsnąć. Cały dzień czuję, że ktoś za mną chodzi. Nie wiem, co się dzieje, ale ktoś próbuje mnie w coś zrobić.

- To samo robią ze mną - wtrąciłam.

- Nie wiem, czego ode mnie chcą, wiem tylko, że nie zrobiłem nic złego - powtarzał.

Zadzwoniłam do Dave'a. On także był smutny. Także go śledzono.

Czym sobie na to zasłużyłam? Za każdym razem, gdy coś mi się udaje, za każdym razem, gdy dochodzenie dobrze idzie, ja kończę jako obiekt inwigilacji. To smutne i frustrujące. Nie pierwszy raz od

historii z Johnem Canfieldem interesowano się mną; były inne przypadki, o których nie mogę tu opowiedzieć. Teraz jednak sprawy zaszły dalej - po raz pierwszy oskarżono mnie wprost o działanie na szkodę agentów federalnych.

Przez wiele dni nie mogłam otrząsnąć się ze wzburzenia. Nie potrafiłam się na niczym skupić. Nie mogłam spać, dręczyły mnie nocne koszmary, w których polowali na mnie agenci - ci sami, którzy przyszedli mnie przesłuchiwać. Wiedziałam, że mój telefon jest na podsłuchu, że ktoś za mną chodzi, że ktoś nagrywa każde słowo, które wypowiem... Najgorsze jednak, że nikt nie mógł mi pomóc. Miałam zadzwonić na policję? Może znalazłam się po niewłaściwej stronie. Może, myślałam, powinnam dołączyć do ludzi z 555 Grove Street. Z pewnością w ich rękach byłabym o wiele bezpieczniejsza niż w rękach władz.

Robię to, co robię, ponieważ próbuję uczynić Stany Zjednoczone krajem choćby trochę bezpieczniejszym. I tak mi się za to dziękuje.

Kilka tygodni później, 20 marca 2002 roku, wróciłam do biura z pewnego spotkania i znalazłam na biurku plik wiadomości od dziennikarzy. Zadzwoniłam do tego, którego wiadomość leżała na wierzchu.

- Co pani sądzi o dzisiejszej akcji w Wirginii? - zapytał.

- O czym pan mówi? - udałam zdziwienie. Domyślałam się, o co chodzi, ale chciałam mieć pewność.

- Dziś wczesnym ranem - odparł - około stu pięćdziesięciu agentów FBI, Urzędu Ceł i INS oraz policjantów zrobiło nalot na szesnaście miejsc w Wirginii i jakąś firmę drobiarską w Georgii. Nie słyszała pani? Mówią o tym we wszystkich wiadomościach.

Green Quest i inni przeprowadzili więc akcję przeciwko SAAR. Było to najszerzej zakrojone uderzenie w terroryzm w historii Stanów Zjednoczonych. Akcję kontynuowano w następnych dniach.

Wezwania do sądu otrzymało także około stu właścicieli firm komputerowych.



Wszyscy wiedzieli o akcji, tylko nie ja. Miałam się dowiedzieć ostatnia i oglądałam telewizyjne relacje z tego wydarzenia ze skrajnie mieszanymi uczuciami. Z jednej strony czułam się zadowolona, z drugiej - bezlitośnie wykorzystana. Pomyślałam, że podobnie musiał czuć się John Canfield, gdy odsunięto go od dochodzenia w sprawie PIJ.

Pocieszałam się myślą o bardzo zabawnym zbiegu okoliczności. Ja, była Irakijka, okazałam się jedyną osobą zdolną rozprawić się z byłymi Irakijczykami, założycielami SAAR.

Złapał swój swojego.

Minęły dwa miesiące od akcji, a ja nie usłyszałam ani jednego słowa od ludzi z Green Quest. Nagle pewnego dnia zadzwonił Mark i poprosił o spotkanie.

- Po co? - zapytałam z przekąsem. - Twoje dochodzenie skończone. Nie jestem ci już potrzebna.

- Nie gniewaj się, proszę - powiedział. - Nie mogłem z tobą rozmawiać. W mojej sprawie także prowadzono dochodzenie. Chodzili za mną, moje telefony były na podsłuchu, przesłuchiwali mnie. Przeżyłem bardzo ciężkie chwile. Proszę, nie dokładaj mi zmartwień. Nie zasłużyłem na to.

Co to jest, pomyślałam. Powtórka historii z Johnem Canfieldem? Co jest z tymi ludźmi nie w porządku, że śledzą tych, którzy prowadzą śledztwo?

- Jeśli mi nie wierzysz - ciągnął - porozmawiaj z prokuratorem stanowym, z którym współpracowałam. Powie ci. On i wszyscy inni członkowie zespołu byli pod obserwacją.

Wiedziałam, że John jest człowiekiem prawdomównym, ale byłam ciekawa i zadzwoniłam do prokuratora. Nie naciskałam go zbyt mocno, ponieważ rzecz dotyczyła dochodzenia, które prawdopodobnie jeszcze się toczy. Potwierdził każde słowo Marka. Inwigilowano wszystkie osoby zaangażowane w śledztwo w sprawie SAAR.

Wśród agencji prowadzących te inwigilacje znajdowało się FBI.

Wszystko jasne! FBI było nader zainteresowane dochodzeniem w sprawie SAAR, które stało się tak ważne i tak prestiżowe. Już wcześniej w nie ingerowało w niezbyt elegancki sposób. Po akcji ludzie mający informacje o sieci SAAR dzwonili do Biura, nie wiedząc, kto w rzeczywistości prowadzi to dochodzenie. FBI, zamiast przekazać nowe dane Green Quest, zatrzymywało je dla siebie i kierując się nimi, podejmowało własne śledztwa; Urzędu Ceł o niczym nie informowano. Co więcej, dwaj agenci FBI w Wirginii przydzieleni do Green Quest nagle i całkowicie zerwali współpracę. Było oczywiste, że dostali takie polecenie. FBI nadal odmawiało przekazywania Green Quest materiałów niezbędnych do prowadzenia śledztwa; traktowało ten zespół gorzej niż wroga - więcej dokumentów, łącznie z tajnymi, udostępniono Zakarijji Musawiemu, gdy toczyło się przeciwko niemu dochodzenie. A prawdziwy skandalem jest, że wszystko to działo się po 11 września.

Dziś, w chwili gdy piszę te słowa, FBI próbuje całkowicie przejąć dochodzenie. Jeszcze raz powtarza się historia z Sarnim al-Arjanem i Johnem Canfieldem. FBI utrzymuje, że Urząd Ceł i Green Quest były uprawnione do wszczęcia dochodzenia, które wydawało się dotyczyć prania pieniędzy, teraz jednak, gdy rzecz wiąże się z terroryzmem,

Urząd Ceł z tym sobie nie poradzi. Czy to nie zabawne? Sądząc z tego, jak radziło sobie FBI z innymi śledztwami, można mieć pewność, że jeśli przejmie sprawę

SAAR, będzie to oznaczało koniec. Ile sukcesów w walce z terroryzmem może sobie przypisać FBI? Z pewnością niezbyt wiele.

To nie FBI odegrało jednak najbrzydszą rolę w tej paskudnej aferze.

Gorsze było postępowanie CIA.

CIA śledziła mnie oraz agentów z Green Quest i Urzędu Ceł. CIA i FBI śledziły wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z dochodzeniem w sprawie SAAR. W pobliżu ich domów kręciły się białe furgonetki i samochody z przyciemnionymi szybami. Wszyscy agenci, niektórzy bardzo doświadczeni i znający metody inwigilacji, wiedzieli, że są obserwowani. Ja także zdawałam sobie z tego sprawę. Czułam, że chodzą za mną wszędzie i pilnują mnie - w domu, supermarkecie, drodze do pracy... dlaczego?

Gdy pojawiałam w przebraniu na konferencjach, w meczetach, na wiecach, musiałam zachowywać wielką ostrożność i byłam bardzo zdenerwowana, ale odprężałam się, gdy tylko wracałam do własnej postaci. Teraz byłam obserwowana 24 godziny na dobę. Straszna jest świadomość, że pozbawiono cię prywatności... i poczucia bezpieczeństwa. Te dziwne, niewystępujące wcześniej trzaski w telefonach... nieudolnie zatarte ślady otwierania poczty w domu i w biurze... i ten człowiek w moim supermarkecie - przecież widziałam go tydzień temu w pociągu do Waszyngtonu... Życie może obrzydnąć, gdy się wie, że ktoś cały czas depcze ci po piętach.

Agenci Urzędu Ceł byli przesłuchiwani, ich przełożeni również. A także prokurator prowadzący sprawę SAAR. Wszystkich pytano między innymi o to, czy przekazywali mi jakieś materiały. Wszyscy powtarzali, że to niedorzeczny pomysł; że dopóki ja się nie

włączyłam, nikt nie wpadł na żaden trop związany z SAAR i 555 Grove Street. Mówili, że nie sposób było przekazać mi czegoś ważnego, bo i tak wiedziałam to wcześniej. To ja dostarczałam materiałów, nie odwrotnie. Żadna z tych osób nie miała najmniejszego pojęcia, z jakiego powodu jest śledzona.

Choć ryzykuję podejrzenie o paranoję, muszę przedstawić swoją teorię na temat roli CIA w całej tej sprawie. Nie mam pewności, ale odnoszę wrażenie, że komuś w Agencji nie podoba się pomysł zbyt dociekliwego badania wątku saudyjskiego. Akcja wymierzona w SAAR i 555 Grove Street już się odbyła - CIA nie mogła tego zmienić - ale inwigilowanie i utrudnianie życia osobom związanym z tą sprawą to najskuteczniejszy sposób niedopuszczenia do dalszych postępów śledztwa.

Być może także dlatego władze patrzą tak niechętnie na procesy wytoczone przez rodziny ofiar 11 września niektórym saudyjskim instytucjom i kilku Saudyjczykom, na oskarżanie ich o finansowanie terroryzmu i na żądania odszkodowań. A może chodzi o coś innego? Czy CIA zaangażowała się w sprawę SAAR dlatego, że Saudyjczycy kierujący siecią są w rzeczywistości Irakijczykami, i CIA - jak sugerował mi ktoś znający się na rzeczy - potrzebuje pomocy tych ludzi, by obalić reżim Saddama Husajna? To z kolei może być przyczyną pozostawienia przez władze w spokoju Ta-rika Hamdiego - także Irakijczyka - choć jest aż nadto dowodów na jego związki z terroryzmem.

CIA z pewnością ma jakieś plany. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas je poznał, przynajmniej nie w dającej się przewidzieć przyszłości.

Zanim jednak agencje takie jak CIA wejdą z kimś w układy, powinny dobrze zastanowić się nad wyborem partnera.

Jeśli CIA rzeczywiście znów próbuje tego typu gier, czy to w związku z Irakiem, czy z Arabią Saudyjską, to wszyscy jesteśmy w

poważnych tarapatach. Nie tylko dlatego, że śledztwo przeciw SAAR będzie sabotowane, ale przede wszystkim dlatego, że współpraca z terrorystami i ich poplecznikami, jak wielokrotnie dowiodła historia, wydaje się dobrym pomysłem tylko doraźnie, na dłuższą metę zawsze kończy się katastrofą.

CIA pomagała Bin Ladenowi podczas wojny przeciwko Rosjanom w Afganistanie - i dokąd nas to zaprowadziło?

Epilog

Wiosna 2003 roku

- Czy naprawdę jesteś przekonana, że musisz to zrobić? - zapytał Leo.

Tak właśnie było. Pomysł kiełkował w mojej głowie od pewnego czasu. Im bardziej angażowałam się w pracę, tym więcej dowiadywałam się o skandalicznych i oburzających rzeczach, które dzieją się tuż pod moim nosem. Coraz silniej narastało we mnie przekonanie, że nie mam wyboru, że muszę opowiedzieć o tym, czego doświadczyłam, prowadząc swoją wojnę z terroryzmem.

- Sądzę, że ludzie powinni wiedzieć, Leo. Sytuacja może zmienić się na lepsze tylko wówczas, gdy problemy staną się znane opinii publicznej.

Amerykanie wyobrażają sobie, że rozmaite instytucje rządowe wyciągnęły wnioski z klęski 11 września i teraz zgodnie ze sobą współpracują, wspierając się nawzajem. Nic podobnego. Przynajmniej w przypadku wielu dochodzeń, w których brałam udział.

- Jeśli to opiszę, może coś się ruszy.

- Pomyślałaś o swoim bezpieczeństwie? Wielu ludziom to się nie spodoba.

Leo miał rację. Sporo osób mogło wpaść w furję - zarówno terrorystów, jak i pracowników pewnych amerykańskich agencji rządowych. Decyzji nie ułatwiała też świadomość, że jestem matką i

żoną. Wydanie tego typu książki mogło zagrozić bezpieczeństwu mojej rodziny. Starannie rozważyłam wszystkie za i przeciw i doszłam do wniosku, że innego wyjścia nie ma. Trzeba podjąć wyzwanie.

Do tej pory działałam wyłącznie incognito. Poważnie zaszkoziłam wielu przestępcom i organizacjom przestępczym, ale zawsze pozostawałam za kulisami. Dzięki temu mogłam w razie potrzeby podejmować także tajne misje. Jeśli jednak chciałam nadal pracować, opublikowanie tej książki pod własnym nazwiskiem nie wchodziło w rachubę. Ponieważ nigdy nie zabiegałam o sławę i uznanie, nie stanowiło to dla mnie problemu.

Musiałam znaleźć sposób, by zachować anonimowość po ukazaniu się książki. Zdałam sobie sprawę, że trzeba będzie jeszcze głębiej zejść do podziemia. Chcąc móc robić to, co umiem najlepiej - ścigać terrorystów - będę musiała zmienić adres, ukryć się, może nawet wyjechać za granicę. Życie moje i mojej rodziny było zagrożone i aby zminimalizować ryzyko, musiało zostać gruntownie zmienione.

Zastanawiałam się, kogo powinnam obawiać się najbardziej. IAP? HLF? Ghassana Dahdulego? Może Jusufa al-Karadawiego? Al-Karadawi jest bardzo szanowanym muzułmańskim duchownym, mającym miliony zwolenników. Cieszy się tak wielkim autorytetem wśród wyznawców islamu jak papież wśród katolików. Ilu z nich zechce zemścić się na mnie za uniemożliwienie ich duchowemu przywódcy przyjazdu do Ameryki? Wystarczy przecież jeden fanatyk, by wyrządzić krzywdę nie do naprawienia. A ilu Saudyjczyków i Irakijczyków zaangażowanych w działalność SAAR wpadnie w szal na wiadomość, że takich wielkich szkód narobiła Żydówka urodzona w Iraku? Z pewnością nie brakuje im środków i ochotników, by mnie znaleźć i wyrównać rachunki.

Czy jednak będą to moi jedyni wrogowie? A co na przykład z FBI?

Albo z CIA? Lub z Departamentem Stanu? Nie należało liczyć na to, że którakolwiek z tych instytucji przedstawi mnie do tytułu „Człowieka roku”. Wielokrotnie wykazywałam, że struktury władzy nie funkcjonują prawidłowo nawet po 11 września i pilnie wymagają zmian. Wielu agentów rządowych będzie mi wdzięcznych za ujawnienie poczynań FBI, które chętnie ujawniliby sami, inni jednak z pewnością znienawidzą mnie za to, co napisałam. Choć starałam się nie dotykać tu niczego, co mogłoby zaszkodzić prowadzonym obecnie dochodzeniom, a także unikać szczegółów, mogących przyczynić się do inwigilowania ludzi, z którymi współpracowałam, zdaję sobie sprawę, że rezultatem opublikowania książki będzie mnóstwo nowych śledztw. Każdy, kto kiedykolwiek miał ze mną kontakt, zostanie wzięty pod obserwację. Agenci federalni, prokuratorzy, nawet dziennikarze, mogą za to ręczyć. Czy jednak władze tym się zadowolą? Czy może ktoś stamtąd uzna, że wyrządziłam już dość szkód i trzeba mnie powstrzymać, zanim przysporzę kolejnych kłopotów.

Podjmując decyzję napisania książki, musiałam brać pod uwagę Leo i dzieci. Oni także poniosą konsekwencje i przeżyją ciężkie chwile po opublikowaniu tej historii. Będą znów musieli się przeprowadzić, porzucić dotychczasowe życie, ukrywać się i w rezultacie pozostawać w areszcie domowym. To tak jakby wrócili wraz ze mną do chaty w Bagdadzie. Już teraz męczą mnie po nocach koszmarne wizje przyszłych kłopotów.

Dziwny jest ten nasz świat: porządni ludzie muszą się ukrywać, podczas gdy terroryści korzystają z wszelkich wolności, jakie oferuje Zachód.

Wbrew wszystkiemu kontynuowałam pisanie, ponieważ pewne rzeczy, o których dowiedziałam się w minionych latach, musiały zostać ujawnione, jeśli coś miało się zmienić. Gorąco wierzę w siłę

mediów i opinii publicznej jako katalizatorów zmian. Chciałabym, aby ta książka wywołała poruszenie. Ludzie powinni wiedzieć, że zagrożenie ze strony muzułmańskiego terroryzmu jest duże i ciągle rośnie, a władze muszą niezwłocznie wypracować skuteczniejsze niż dotychczas sposoby przeciwdziałania temu zagrożeniu.

Dopóki imamowie nawołują do przemocy, przemoc nie zostanie wypleniona. Ci imamowie żyją wśród nas, są naszymi sąsiadami. Głoszą kazania w meczecie na rogu. Nauki trafiają czasem na podatny grunt i wtedy słowa przeradzają się w czyny.

Dopóki nazywamy popleczników terrorystów „przyjaciółmi i sojusznikami”, zmierzamy prosto do katastrofy. Nie powinniśmy nigdy już dopuścić do takiej klęski, jakiej doświadczyliśmy 11 września. Nie powinniśmy pozwalać, by kraje wspierające, finansujące i propagujące w szkołach dżihad szantażowały nas albo straszyły, że skutkiem destabilizacji bliskowschodniego reżimu będzie zastąpienie go czymś jeszcze gorszym lub wybuchnie kryzysem paliwowym. Żaden reżim nie może być gorszy od tego, który daje pieniądze na dżihad.

Rząd amerykański traktuje terroryzm poważniej niż kiedykolwiek wcześniej, ale ciągle nie stosuje odpowiednich metod - nie przygląda się bliżej organizacjom terrorystycznym, tak jak ja to robię. Koncentruje wysiłki na ściganiu terrorystów, a nie próbuje przede wszystkim zgłębić przyczyn, dla których stają się terrorystami.

Zawsze będę się starała pomagać władzom chwycić, deportować i aresztować terrorystów. Są to działania niezbędne, ale same w sobie nie wystarczą, by rozwiązać problem terroryzmu. Być może ta książka pozwoli ludziom zrozumieć, że z terroryzmem trzeba walczyć nie tylko poprzez zapobieganie zamachom, konieczne jest także wykorzenienie wspierającej go ideologii - ponieważ gdy złapie się jednego terrorystę, na jego miejsce szkolonych jest piętnastu

następnych. Podobnie lekceważenie terrorystów tylko dlatego, że należą na przykład do Hamasu, a nie do Al-Ka'idy, PIJ czy Hezbollahu, może okazać się zgubne w skutkach. Organizacje różnią się nazwami, ale niczym więcej. Terroryzm trzeba zwalczać niezależnie od szyldu, pod jakim występuje.

Kwestią o zasadniczym znaczeniu jest uświadomienie sobie, że tę wojnę można wygrać tylko wówczas, gdy zmianie ulegnie sposób kształcenia dzieci i młodzieży w krajach sponsorujących terroryzm, a finansowanie terrorystów zostanie uniemożliwione. Można tego dokonać przez zastosowanie presji politycznej i ekonomicznej i choć nie należy liczyć na szybki sukces, jest to jedyny sposób zniszczenia terroryzmu u źródła.

Na razie jednak władze powinny przede wszystkim przemyśleć strategię postępowania i stosować ją nie tylko na papierze, ale i w życiu. W sprawach bezpieczeństwa narodowego nie można się oszukiwać. Dopóki agenci do wałki z terroryzmem wciąż nic nie będą wiedzieli o korzeniach i historii islamu, dopóki nie nauczą się korzystać z publicznie dostępnych, podstawowych źródeł, takich jak zeznania podatkowe, dopóki nie uzyskają łatwego dostępu do Internetu i będą uzależnieni tylko od informacji wywiadu, często niemożliwych do wykorzystania w sądzie, dopóty terroryści zawsze będą krok przed nami. Dopóki dochodzenia w sprawie saudyjskich firm i obywateli będą blokowane przez agencje rządowe, a zamiast terrorystów będą śledzeni porządni ludzie, dopóki agencje - mianowicie FBI - odmawiają udzielania informacji innym przedstawicielom władz, a nawet utrudniają prowadzone przez nich dochodzenia, Ameryka nie wygra tej wojny. Jeśli do opinii publicznej dotrze, jak poważna jest sytuacja, ta historia będzie może miała lepsze zakończenie.

Gdy rozważaliśmy wraz z Leo, czy powinnam pisać, zdałam sobie

sprawę, że jeśli zwycięży strach o własne bezpieczeństwo, jeśli zrezygnuję, przez następne kilka dziesiątków lat będę siedziała w bujanym fotelu przed kominkiem, powtarzając: „Spójrz, Leo, gdybym napisała książkę, sprawy mogłyby wyglądać zupełnie inaczej”.

Nigdy bym sobie nie wybaczyła, nigdy nie mogłabym sobie spojrzeć w oczy.

Wiele razy, gdy udawałam się w przebraniu do meczetu albo, co gorsza, gdy byłam inwigilowana przez agentów rządowych, męczyła mnie jedna myśl: dlaczego nie mogę żyć normalnie? Dlaczego nie mogę, jak inni ludzie, posiedzieć spokojnie w kawiarni, pójść na siłownię, cieszyć się zwykłymi przyjemnościami życia? Dlaczego muszę narażać się na ciągłe nieprzyjemności i wstrząsy - czy to wysłuchiwać przemówień liderów społeczności muzułmańskiej, czy bezsilnie patrzeć, jak władze amerykańskie partaczą kolejne dochodzenie przeciw terrorystom?

Odpowiedź jest prosta. Czuję, że muszę to robić. Jeżeli nie ja, to kto?

W rzeczywistości bez trudu mogą też zrobić to inni. Sam i Jerome dołączyli do mojego zespołu, nie wiedząc nic o terroryzmie, a teraz, niewiele ponad rok później, potrafią zdobywać informacje i wykorzystywać je równie skutecznie jak ja.

Każdy może to robić. Aby ścigać terrorystów, trzeba tylko chcieć.

Mamy wojnę, czy nam się to podoba, czy nie. 11 września wszyscy staliśmy się żołnierzami. Chcemy i możemy wygrać tę wojnę, ponieważ słuszność jest po naszej stronie.

Mam zaszczyt walczyć na pierwszej linii frontu. To dobrze. Tam właśnie chciałby mnie widzieć mój ojciec.

Obyśmy wszyscy żyli w pokoju.